

DEMONY

DĘBSKI
GRZĘDOWICZ
JUREWICZ
KOMUDA
KOSSAKOWSKA
PILIPIUK
PIEKARA
SIEDLAR
SNIHUR
SZREJTER
ZIEMKIEWICZ



*Don't even fix the price,
Don't pay the ferryman,
Until he get you to the other side.*

*Chris De'Burgh,
„Don't pay the ferryman”
Jarosław Grzędowicz*

ANTOLOGIA

Andrzej Pilipiuk, Jarosław Grzędowicz, Eugeniusz Dębski, Maja Lidia Kossakowska, Paweł Siedlar, Eva Snihur, Jacek Komuda, Maciej Jurewicz, Rafał A. Ziemkiewicz, Jacek Piekara

D E M O N Y



Wydawnictwo: Fabryka Słów 2009

Spis treści „Demony”

Obol dla Lilith

Valca Demona

Więzy krwi

Brzytwą kochanie, brzytwą

Zoya

36 pięter w dół

Skrzynia z Zamku Anioła I

II

Czytając w ziemi

Akwizytor

Sierotki

Epilog

Obol dla Lilith

Jeżeli w wieku dwudziestu siedmiu lat ockniesz się nagle na dworcu, siedząc na ruinie całego dotychczasowego życia, bez grosza przy duszy, pokryty nie swoją krwią, to pewnie ostatnie czego byś chciał, to spotkać wujka-świra.

Zakałę rodziny.

Ja również nie miałem najmniejszej ochoty spotykać swojego nieszczęsnego siostrzeńca.

Paweł Porębski na razie nie został jeszcze menelem. Jeszcze nie spadł na dno. Ale pojmował przynajmniej, w rzadkich przebłyskach świadomości, że ma do tego cholernie blisko. To bardzo łatwe. Dużo łatwiejsze niż ludzie sądzą. Po prostu samo się dzieje. Jeżeli nie słuchasz już niewyraźnych, wygłaszanych nabzdyczonym, damskim głosem komunikatów w rodzaju: „Pociąg osobowy do Kuluszek odchodzi z peronu drugiego, tor trzeci”, to znaczy, że nigdzie się nie wybierasz. Jeżeli widzisz tylko nogi od kolan w dół spieszących się we wszystkie strony podróźnych należących do głównego nurtu życia, bo siedzisz bezmyślnie na twardej ławce peronu, gapiąc się w pokrytą lastrиковymi płytkami podłogę, to znaczy, że siedzisz na dworcu dlatego, że nie masz dokąd pójść. W twojej kieszeni nie spoczywa bilet, a toból u twoich nóg to nie bagaż przygotowany w pośpiechu na kilkudniowy wyjazd. Poszedłeś na dworzec, ponieważ nie masz pojęcia, gdzie się podziać. Na dworcu jest jakiś dach, ściany, i nikt nie zwraca uwagi na człowieka siedzącego na ławce. Te wszystkie nogi, które widzisz zamglonymi oczami, to podróźni. Ludzie, którzy przybyli na dworzec, bo muszą się gdzieś przejechać pociągiem. Mokasyny, półbuty, pantofle, adidas, szpilki i sztyblety należą do

płynących z prądem życia. Ty, natomiast, znajdujesz się na rafie. Na mieliźnie przeznaczonej dla rozbitków.

A jeżeli cię to nie obchodzi, to tym gorzej dla ciebie.

Mój nieszczęsny, oszalały z przerażenia, ubrany w upapraną krwią koszulę siostrzeniec wylądował na dworcu nie dlatego, że nie miał gdzie pójść. Chyba początkowo rzeczywiście chciał gdzieś jechać. Chciał uciekać. Bóg jeden wie, dlaczego akurat pociągiem. Ale nie uciekł. Kiedy człowiek wpada w panikę, jego umysł płata najrozmaitsze figle. Panika to przystosowanie ewolucyjne. Kiedy nie ma możliwości walki ani ucieczki i sytuacja staje się beznadziejna, mózg przestaje cokolwiek planować. Kiedy uznaje, że to już koniec, tłucze szkło i wciska wielki czerwony guzik z napisem „Panika”. Wykonujemy wtedy mnóstwo chaotycznych, losowych czynności, bo taktyka i strategia zawiodły, a histeryczna miotanina czasami jednak daje jakieś efekty. A jeżeli nie, to przecież i tak nie ma nic do stracenia. Lepsza taka szansa niż żadna. Ale czasami bezpiecznik nie wytrzymuje i człowiek zawiesza się jak komputer.

Siedzi wtedy na dworcu, z półotwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, gapiąc się na nogi przechodzących peronem podróżnych.

Mniej więcej w taki sposób wylądowałem kiedyś w szpitalu psychoneurologicznym z rozpoznaniem schizofrenii paranoidalnej. Obecnie zaleczonej, dziękuję bardzo. Opisanej w papierach jako epizod schizoidalny, o całkiem dobrym rokowaniu.

Nie poznałem go od razu. W moim świecie nigdy nie występował w takim kontekście. Słyszałem o nim od mojej matki jako o młodym-zdolnym, jako wzorowym mężu i ojcu, jako o robiącym karierę wspaniałym synu mojej kuzynki. A ostatnio jako o potworze i czarnej owcy. Boże, co za tragedia! Co za wstyd! W naszej rodzinie nigdy nie było rozwodów. Jak on mógł porzucić rodzinę!

Wygнали go ze stada. Koniec z obiadkami u babci, koniec z urodzinami u cioci Jadźki. Koniec z imieninami u wujka Czesia.

Nie obeszło mnie to, bo sam byłem wyrzucony z plemienia, sam już nie wiem, czy od czasów mojego pobytu w psychiatryku, czy też może w momencie, kiedy uparłem się zostać etnologiem zamiast lekarzem. Świr. Odmieniec. Wujek-wariat. Zresztą dopiero kiedy stał się bohaterem skandalu, po raz pierwszy poczułem do niego jakąś sympatię.

Patrzyłem, jak siedzi obojętnie na ławce, zacierając rozdygotane dłonie, popatrzyłem na jego koszulę pokrytą zrudziałymi smugami krwi i zrozumiałem, że nie mogę go tak zostawić.

Dwaj rośli policjanci w kombinezonach koloru sadzy i kanarkowych kamizelkach, zwrócili już na niego uwagę. Ich powolny spacer wzdłuż peronu zyskał nagle jakiś cel. Jeszcze dwie minuty i mój siostrzeniec zobaczy pośród żwawo przebiegających przed jego oczami nóg podróżnych, dwie pary zupełnie innych butów. Czarnych, sznurowanych kamaszy piechoty, firmy „Wojas”. Usłyszy wyszczekane głosem robota: „proszę o dokumenty” i jeżeli uniesie wzrok, zobaczy również obłe końcówki dwóch szturmowych maczug z włókna szklanego, majtające im się na wysokości kolan. Uderzenie taką pałką może zwalić z nóg byka.

Nie mogłem go tak zostawić. W końcu to jakaś tam rodzina. Nie pamiętam dlaczego, ale o krewnych należy dbać bardziej niż o innych ludzi.

Westchnąłem, podszedłem do niego i solidnym chwytem za ramię postawiłem na nogi. Był lekki i nie stawiał oporu, poza faktem, że nogi miał jak kawałki liny.

Chwyciłem go wpół i powlokłem w kierunku najbliższych ruchomych schodów.

– Idziemy – wycedziłem. – Ruszaj kulasami, bo za chwilę wylądujesz na dołku. Zaraz cię zwinie blacharnia, jak będziesz tu siedział.

Poszedł bezwolnie, mamląc coś wilgotnymi ustami. Nie wiedziałem jeszcze, co mu jest. Delirium? Naćpał się jakiegoś świństwa? Przedawkował środki uspokajające?

Wiele rzeczy różni mnie od normalnych ludzi, nie tylko moje osobliwe zajęcia. Nie tylko to, że od dziecka widzę więcej niż inni. Nie tylko to, że wiem, iż nasz świat to tylko jedna z wielu płaszczyzn, po których się poruszamy. Różni mnie także to, że umiem postępować z ludźmi pogrążonymi w kompletnym szoku.

Normalny człowiek zadaje takiemu mnóstwo zbędnych pytań. „Co się stało?” „Co ci jest?” „Co tu robisz?” „Dlaczego nic nie mówisz?”

To są pytania bez mała filozoficzne. Gołym okiem widać, że facet nie umie złożyć do kupy trzech słów, a co dopiero odpowiedzieć „co się stało”. Przecież nie wie. Wczoraj jeszcze był szanowanym obywatelem i ojcem rodziny, gwiazdą agencji reklamowej MBD, tym, który wymyślił Kogutka Bulionka. Jeździł „rodzinnym” Renault Espace i wiązał jedwabne krawaty, a dzisiaj siedzi na dworcu, zwinięty w kłębek i dzwoni zębami. Co ma wam odpowiedzieć? Że świat oszalał? Że życie wybuchło mu w twarz? Że spadł nagle do piekła? Równie dobrze możecie go zapytać: „Czym jest Bóg?”, albo: „Po co jest życie?”

Trafiłem na dworzec dlatego, że odprowadzałem parę przyjaciół i chciałem zajrzeć do tamtejszej trafiki. Nie zamierzałem nigdzie podróżować, dlatego mój poobijany „samuraj” stał opodal pod parkometrem.

Wsadziłem siostrzeńca na miejsce pasażera policyjnym chwytem, przyginając mu kark. Robi się tak, żeby klient nie gwizdnął łbem w krawędź dachu.

Chwilowo był bezpieczny.

– Pokaż, gdzie jesteś ranny – rozkazałem. Rodzina czy nie, nie chciałem, żeby zafarbował mi tapicerkę. – Chcesz do szpitala?

Walczył z mięśniami ust, jakby sparaliżowało mu twarz.

– To. Nie. Moja. Krew.

Cztery osobne zdania. Przynajmniej nie miał zamiaru odwalić kity, zanim dojedziemy do domu. Niejeden już krwawił w tym samochodzie. Ja też. Straszny potem bałagan.

Wygłoszenie tych czterech słów, zdaje się, kompletnie go wykończyło. Otworzyło mu jednak jakąś klapkę w mózgu, bo zwinął się w kłębek i zaczął gwałtownie szlochać. To dobrze. Płacz jest już ludzką reakcją. Towarzyszy wychodzeniu z szoku. Gdyby w ogóle nie reagował, znaczyłoby to, że wszystko to gotuje mu się w środku, a wtedy mogło go kompletnie wypłaszczyć.

Jechałem ostrożnie, bo ostatnie, czego było mi trzeba, to policyjny alkomat. Byłem trzeźwy, ale wczorajsze „Polaków rozmowy” mogły pozostawić jakiś ślad.

Zerknąłem w bok. Mój siostrzeniec łkał gwałtownie, spazmy tłukły jego czołem o panel pasażera. Z nosa ciekła mu struga śluzu.

Westchnąłem i zapaliłem papierosa.

– Jeszcze jednemu się kabaret spalił – mruknąłem.

Zdecydowałem się nie parkować przed domem i wjechałem prosto do garażu. Sąsiad stał przed swoim domem z węzem ogrodowym w rękę i usiłował zatopić rabatkę z przekwitłymi portulakami. Gapił się na mój samochód z takim natężeniem, jakby w środku był klub go-go.

Z garażu mam osobne przejście do wnętrza domu. To bardzo wygodne. Można spokojnie przetransportować to, co przywiozłeś samochodem, z dala od wścibskich oczu pana Marciniaka. Nawet jeżeli to jest twój pociotek, zamieniony w upaprany krwią, zapłakany flak.

Zdjąłem mu pokrwawioną koszulę, zmierzyłem puls, zajrzałem w źrenice, obejrzałem nadgarstki i przedramiona. Nic, poza rzetelnym szokiem.

Zastosowałem standardową terapię: seta, prysznic, nowe ubranie. Zakrztusił się koniakiem, omal nie utopił w kabinie prysznicowej i nie mógł sobie poradzić z nogawkami, ale program jakoś zrealizował.

Potem posadziłem go w fotelu na wprost kominka, nalałem sobie śliwownicy i zapaliłem papierosa. Byłem gotów dowiedzieć się, w co się wpakowałem.

Niepotrzebnie kazałem mu mówić po kolei. Gdyby opowiadał od końca, przynajmniej poznałbym jakieś fakty. Najpierw w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Najwyraźniej za dużo tego było i kłębiło mu się po głowie jak gniazdo żmij. Potem zaczął od początku, znaczy uraczył mnie historią swojego małżeństwa.

Trzeba przyznać, że przecieki, które znała moja matka i którymi w chwilach łaskawości raczyła mnie przez telefon, były podobne do prawdy przynajmniej w piętnastu procentach.

Nie dość, że nie jestem człowiekiem rodzinnym, to jeszcze, co gorsza, nie obchodzą mnie sprawy innych ludzi. Trochę to trudno wytłumaczyć, ale nie jestem kompletnym psychopata. Po prostu widziałem rzeczy, które zwykłym ludziom trudno byłoby nawet pojąć, a co dopiero w nie uwierzyć. Zbyt przerażające i ostateczne, żebym potem umiał się jeszcze przejmować tymi wszystkimi małostkowymi bzdurami, które uważacie za prawdziwe życie. Widuję je od dziecka. Jeżeli chcę normalnie zasnąć, muszę kłaść się do łóżka zmęczony do nieprzytomności, albo pijany jak bela. Jestem samotnym człowiekiem. Nie potrafię się po prostu przejść tym „jak ona mogła mi tak powiedzieć”, albo tym, czego kto oczekiwał, albo jak bardzo się zawiódł. Czasem chciałbym mieć takie problemy jak inni, ale nic z tego.

Siedziałem, obracając w dłoni kieliszek pachnący sadami śliw z okolic Łącka, i słuchałem śmiertelnie nudnej i banalnej historii, takiej samej jakich pełno w telewizji, wszystkich pismach ilustrowanych i radiowych piosenkach. Poznali się na studiach, ona była cudowną, niebiańską istotą,

on dzikim odludkiem, bez szczęścia do kobiet, on ją kochał szaleńczo, ona jego tak średnio, ale w każdym razie chwilowo powierzyła mu swoje wdzięki, więc miał w życiu cel – sprawić, żeby go pokochała i była z nim szczęśliwa, co mu się po jakimś czasie niby udało i tak dalej, panie dzieju.

Widziałem tę jego wybrankę. Raz na kilka lat mojej matce udaje się, szantażem i intrygami, których nie powstydziliby się Machiavelli, zmusić mnie do wzięcia udziału w jakiejś imprezie zbiorowej tej bandy hipokrytów, którą nazywam rodziną. Przy takiej okazji widziałem żonę mojego nieszczęsnego pociotka. Nawet niebrzydka, jeżeli ktoś lubi filigranowe blondyneczki. Przypominała mi jakąś piosenkarkę. Proste włosy koloru słomy, cienkie, czarne brwi, niemal niewidoczne okulary bez oprawek. Wszystko było w porządku, dopóki nie otworzyła ust. Zawsze musiała mieć odmienne zdanie, wygłaszane tym nieznośnym, pełnym wyższości tonem, jaki w reklamach wkłada się w usta Odpowiedzialnym, Nowoczesnym, Ambitnym Kobietom, Prowadzącym Aktywne Życie. Wszystko jedno, czy zrobiłeś uwagę na temat barszczu, pogody, czy omletów, natychmiast słyszałeś votum separatum wygłaszane przez panią Jestem Tego Warta.

No, ale, jeżeli mu wierzyć, kochał ją i nie było dla niego większego spełnienia niż ją zadowolić. I jak to często bywa, nic z tego w końcu nie wyszło. Nie bardzo umiał to opowiedzieć, bo najwyraźniej niewiele rozumiał z tego, co mu się przytrafiło.

Opowiadał mi to chyba z godzinę i, zdaje się, nie mógł przestać. Historia nieskończenie przewidywalna, bez żadnego zwrotu akcji, rozwijająca się jak grecka tragedia. Skakała mu po głowie ileś tam lat, raz chciała tego, raz tamtego ale nigdy nie była zadowolona. Zdaje się, że miała taki patent na życie. Zamierzała być króliczkiem, którego goniłby aż do starości i zawsze miałyby w zanadrzu „zmarnowałeś mi życie” i „co ja w tobie widziałam”.

Sam mógłbym dopowiadać kolejne etapy. Domagała się od niego forsy, jak nauczył się ją zarabiać, zaczęła się domagać dzieci. Kiedy już je miała, nagle chciała „wyjść z tego domu, rozwijać się i poznawać ludzi”. I tak w kółko. Chciała się rozwijać zawodowo, a zaraz potem „nie mogła znieść presji”. Oczywiście przestała z nim sypiać, była zbyt zmęczona i zupełnie straciła już zainteresowanie „takimi rzeczami”, ale zdaje się nie do końca, bo wyglądało na to, że zaczęła sypiać z innymi.

Paweł znosił to długo, aż zorientował się, że zajechał w rejony, których nigdy w życiu nie chciał zwiedzać, i nie umiał pojąć, skąd, u diabła, się tu wziął. Tak to już jest. Są kłótnie, które zostają na zawsze, i sytuacje, które wszystko zmieniają, jak wybór złego zjazdu na autostradzie. Nadszedł dzień, kiedy mój siostrzeniec uświadomił sobie, że jego życie aż do tego momentu zostało kompletnie schrzanione, i że wynika to z systemu, według którego funkcjonuje jego związek, więc nic nie będzie lepiej. Zbuntował się i postanowił ratować to, co mu jeszcze zostało. Miał forszę, więc wynajął mieszkanie, zabrał jakieś osobiste rzeczy i rozpoczął życie wygnańca, śpiąc na materacu z Ikei, wśród nierozpakowanych pudeł z książkami, i patrząc przez obce okno w maleńkim pokoju na obcą ulicę. Nie bardzo umiał pojąć, jak właściwie do tego wszystkiego doszło, ale fakt pozostawał faktem. Czuł się wolny. Był winny, był potworem, ale był wolny. Po raz pierwszy od bardzo dawna.

Słuchałem nadal cierpliwie, ale ta historia nijak nie tłumaczyła ani dworca, ani jego rozdygotanego, łamiącego się głosu, białej jak papier twarzy i krwi na ubraniu. Bywają związki kompletnie nieudane, a bywają takie, które z czasem takimi się stają. Kiedy słyszałem tę historię w nieco innej wersji od mojej matki, powiedziałem obojętnie „cóż, widocznie Bóg stworzył ich do siebie plecami”. Usłyszałem wtedy gniewne kazanie o wartościach rodzinnych, bo moja matka jest prawowierną katoliczką i nic jej tak nie drażni, jak pewna tradycja, w myśl której praojciec Adam był

żonaty co najmniej dwukrotnie. Jego pierwsza żona, imieniem Lilith, w momencie stworzenia była przyrośnięta do niego plecami, potem nigdy się nie rozumieli, a w końcu go porzuciła.

Co do mojego siostrzeńca, to byłem pewien, że w końcu dojdzie do miejsca, w którym zatłukł swoją byłą pogrzebaczem.

Wyglądało na to, że już się zbliżamy do tego, więc nalałem mu jeszcze koniaku. Niewiele jeszcze mogłem zrobić.

Można by sądzić, że jak ludzie doprowadzą już swoje życie do ruiny, to powinni przynajmniej zachować na drogę jakieś dobre wspomnienia. Podać sobie ręce i rozstać się w zgodzie. Gdzie tam. Mój siostrzeniec był oczywiście do bani i unieszczęśliwiał tylko swoją żonę, ale jak przestał, stał się obiektem najzjadliwszej nienawiści, jaką sobie tylko można wyobrazić. Nie mógł zrozumieć, jak ludzie, którzy kiedyś się kochali, mogą się tak traktować.

Ja wiedziałem. Porzucił ją jako pierwszy. Kopnął Jej Wysokość w tyłek. Gdyby to ona zdążyła, byłoby „zostańmy przyjaciółmi”, a tak, ubliżył jej ostatecznie. Przecież miała tyle lepszych propozycji.

Zaczął go prześladować dziwaczny, niezrozumiały pech. Wsiadło mu zdrowie. Nagle okazało się, że ma początki cukrzycy, siadła mu wątroba. Coś niedobrego zaczęło mu się robić z sercem. W jego branży albo się maszeruje, albo dostaje kulę w łeb, więc nie mógł iść do szpitala. Kampanie reklamowe, w których brał udział, kończyły się klapą. Miał mocną pozycję, więc nie wyleciał z roboty, ale działało mu się kiepsko. Od pewnego momentu, czegokolwiek się dotknął, zamieniało się w zgliszcza. Nabawił się nerwicy. Co gorsza, pech przeniósł się na wszelkie kobiety, z którymi miał coś wspólnego. Pracował w reklamie, więc nie miał problemu z chętnymi dziewczętami, którym wydawało się, że fikołki na jego materacu z Ikei mogą im pomóc w karierze. Zaczęło się robić dziwnie, kiedy jedna zginęła w wypadku samochodowym, następna przewróciła się na nartach

wodnych i wylądowała na wózku ze sparaliżowanymi nogami, a trzecia przedawkowała środki usypiające. To nie były jakieś płomienne związki, tylko raczej przygodne znajomości, ale zaczęło wyglądać na to, że jeżeli jakakolwiek panienka wyslizgnie się z majtek na jego brązowym tapczaniku, ma zagwarantowany ekspres na tamtą stronę tęczy w ciągu miesiąca.

O stanie nerwów mojego siostrzeńca najlepiej świadczy to, że zaczął w tym widzieć klątwę swojej byłej towarzyszki życia. To znaczy, ja bym tak pomyślał od razu, ale ja jestem świrem. Dla niego podejrzenie, że w głębi duszy wierzy w swoją ex, dżgającą szpilkami woskową laleczkę, oznaczało, iż pożegnał się z rozumem.

Słuchałem w milczeniu, bawiąc się ponuro stopką kieliszka. Sprawa zaczynała się pomału zbliżać do rejonów, w których sam zazwyczaj przebywam, i wcale mi się to nie podobało.

A potem w jego życiu pojawiła się zupełnie nowa kobieta. Taka, jaką powinien był spotkać już dawno temu. Dla odmiany nie była to modelka ani nikt taki. Zajmowała się składem komputerowym, ale wszystko, co robiła, dla niego było objawieniem. Lubiła się śmiać, potrafiła śpiewać na ulicy, jeżeli akurat miała na to ochotę, i nic ją nie obchodziło, co ludzie sobie pomyślą. Traktowała go jak prezent od losu, a nie jak zło konieczne albo szczebel w karierze. Wolne chwile wypełniały jej rozmaite radosne hobby, których go natychmiast nauczyła. Lubiła żeglarstwo, nurkowanie, piwo trąbiła jak czeski żołnierz.

Mój siostrzeniec odżył. Zamieszkali razem, w jej maleńkim mieszkaniu, ale to już przynajmniej nie była wynajęta kawalerka, ale dwupokojowe mieszkanko na zaadaptowanym strychu. Paweł rozpakował wreszcie pudła z książkami, przestał się żywić „gorącymi kubkami” i pizzą. Letarg dobiegł końca.

Mój siostrzeniec był szczęśliwy jak nigdy w życiu, ale nie mógł nic poradzić na przerażające uczucie, że klątwa nadal wisi mu nad głową i lada sekunda jego szczęście zostanie przerwane. To było kompletnie irracjonalne, ale żył z mrocznym cieniem za plecami, podświadomie czekając na cios.

Jego przeszłość nie dawała o sobie zapomnieć, ex dzwoniła niemal codziennie, z kolejnymi żądaniami, szantażami albo zwykłymi obelgami. Nauczył się to znosić spokojnie. Miał już jakieś oparcie.

Sielanka trwała ze dwa miesiące. Do zeszłej środy.

Musiał wyjechać na dwa dni, nadzorować plan zdjęciowy w Krakowie. Jechał pełen najgorszych przeczuc, przekonany, że coś niedobrego wisi w powietrzu. Samochód, którym jechał z ekipą, nie wpadł czołowo pod ciężarówkę, nie napadli ich, nawet nie przyplącił biegunką flaczków zjedzonych w przydrożnym barze. Podczas zdjęć reflektor nie spadł mu na głowę.

A potem wrócił do domu. Następnego dnia zaczynał mu się urlop. Mieli jechać na Krete.

Nie mógł mówić dalej, ręce znowu zaczęły mu dygotać, słowa nie chciały precyzyjnie się przez gardło.

Jego dziewczyna, jego Magda nie odpowiadała na domofon. Kiedy zaczął otwierać drzwi, okazało się, że są zamknięte od środka. Mieli taki zamek, który od wewnątrz zamykał się inaczej niż z klucza. Można go było otworzyć, ale z trudem. Szarpał się z nim kilka minut i dlatego wiedział, że drzwi zostały zamknięte od środka.

W tym momencie sam zacząłem mieć złe przeczucia. Nie o to chodzi, że przeczuwałem coś złego, bo wiedziałem, że tak się stało, ale dlatego, że zacząłem mieć własne podejrzenia. Takie rzeczy się zdarzają. Bardzo rzadko, ale to, co opowiadał, wyglądało jak coś, co już kiedyś widziałem. Coś z mojej branży.

Opowiadał jak przed sądem. Krótkimi, wyduszonymi zdaniami, pozornie bez emocji, drewnianym głosem robota. Trochę, jakby odtwarzał częściowo już zatarty w pamięci koszmary sen. Otworzył te drzwi. W środku było cicho, tylko woda lała się do wanny. W łazience kłębiła się para, ale w pełnej, aż po otwór przelewowy wannie, nikt nie leżał. Magdy ani śladu. Mój siostrzeniec zakręcił wodę i wszedł do pokoju.

Najpierw zobaczył rysunki na ścianach. Brązowe, prymitywne wzory pokrywały każdy kawałek otynkowanej ściany. Spirale, oczy, odciski dłoni, zygzaki, strzałki.

Magda leżała na łóżku, w pościeli przesiąkniętej szkarłatem. Z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, które przywiązano za pomocą wstęg zbrojonej tkaniny, szerokiej, srebrnej taśmy klejącej, do nóg łóżka. Mógł tylko podejrzewać, że ciało należało do jego dziewczyny. Nie umiał powiedzieć, co jej właściwie zrobiono, poza faktem, że zrobiono to nożem. Pamiętał tylko migawki, jak serię slajdów z policyjnego aparatu. Jej włosy razem ze skórą, przybite nad łóżkiem, wyglądające jak czarne, kudłate zwierzątko pełzające po ścianie. Jej pierś leżącą na talerzu na stole, zastawionym do kolacji. Sztućce, serwetki. Pierś ze śladami zębów. I krwawe bąble na ścianie.

Pamiętał swój bełkot do słuchawki. Język, jak zdębiały kołek w ustach, które wydawały się obce. Własny krzyk odbijający się od ścian i sufitu. Krzyk, którym się dławiał, tuląc do siebie ciało uwolnione z więzów. A potem coś, czego nie umiał nawet opowiedzieć.

To było zimno. Nagły, lodowaty powiew, który ściał mu skórę szronem. A potem pojawiła się postać. Czarna, zamazana, jak poruszone zdjęcie. Sylwetka wyszła wprost z pobazgranej ściany, okryta niewyraźną, czarną jak dym z płonącej opony peleryną. Nie miała twarzy, tylko ptasi dziób, niczym maskę doktora z czasów epidemii dżumy. Zobaczył jeszcze, że z każdej dłoni wyrastało jej po jednym żółtawym, zakrzywionym ostrzu.

Miałem mokre dłonie, czułem, jakby mój przełyk stopniowo napełniał się lodowatą rtęcią.

Wiedziałem, co zobaczył mój siostrzeniec.

Nazywam ich skeksami. Wiem, gdzie żyją, i widuję je od dziecka. Przyciąga ich nagła śmierć. Ale nigdy nie pojawiają się po tej stronie. Prawie nigdy.

I zwykli ludzie nigdy ich nie widzą.

Prawie nigdy.

Potem pamiętał podwórze. Pulsujące, niebieskie błyski alarmowych świateł na dachach policyjnych wozów. Silne dłonie chwytające go za ramiona, tupot wielu ciężkich butów na schodach, twarze sąsiadów wychylające się zza drzwi. Oleiste błyski na czarnych lufach. Błysk fleszy. Tłum mężczyzn krzątających się po domu. Szorstki, oliwkowy koc, którym okryto mu ramiona. Grzechoczące, blaszane głosy z krótkofalówek. Zastrzyki i ciche, lecz natarczywe pytania policyjnego psychologa. Tłuste ślady czarnej kalki, kiedy zdejmowali mu odciski palców.

Tranksen uspokoił go, zatopił płonąca część jego mózgu w chemicznej, pełnej pustki fałszywej uldze. Odpowiadał na pytania.

Zabrali go karetką, siedzącego na złożonych noszach i patrzącego w rozmazane światła miasta. Żółte i czerwone bliki na zalanych deszczem szybach.

Tymczasem ściągnięte z całej dzielnicy patrole brygady interwencyjnej szukały wysokiego, chudego mężczyzny w czarnym płaszczu i przeglądały kubły na śmieci w poszukiwaniu białej, ptasiej maski doktora.

Spędził w klinice psychiatrycznej trzy dni. Szok post-traumatyczny. Po zastrzykach przeszedł na pigułki, potem był w stanie jeść, spać i odpowiadać na pytania śledczych.

To było ekspresowe śledztwo. Nie znaleźli Doktora Dżumy, jak nazwali go w raporcie. Znaleźli świeżo wypuszczonego z zamkniętego ośrodka

psychiatrii więziennej Stefana Durczaka. Był niski, łysiejący, w grubych dwuogniskowych okularach. Do zeszłego tygodnia od trzynastu lat przebywał na leczeniu zamkniętym. Miał na koncie dwa morderstwa na nieletnich i trzy podpalenia. Kiedy go wypuszczano, stanowił kliniczny przypadek skutecznej terapii.

Złapali go tej samej nocy. Jeździł nocnym autobusem od pętli do pętli, upaprany krwią Magdy, i wrzeszczał rymowaną odę do jakiejś swojej królowej. Miał nóż. Zakrzywiony, sadowniczy kozik w drewnianej oprawie. Miał te same odciski palców, jakie odbito na ścianach domu mojego siostrzeńca.

Nikt nie zastanawiał się, jak Durczak wyszedł z zamkniętego od środka mieszkania. Nikt nie zainteresował się, co właściwie widział mój siostrzeniec. Sprawa zamknięta. Sukces.

Ale kiedy Paweł wyszedł z kliniki, oczywiście nie był w stanie wracać do rzeźni, w którą zamienił się ich dom. Poszedł spać do hotelu.

A poprzedniej nocy, zanim spotkałem go na dworcu, otworzył oczy z nagłego koszmaru i zobaczył czarną jak tłusty kłapeć sadzy postać stojącą nad jego łóżkiem. Zobaczył twarz, jak maska Doktora z czasów zarazy. Zapamiętał węzlastą, żółtawą dłoń, której dwa nienormalnie długie, zrośnięte palce przypominały zakrzywione ostrze. Skeks trzymał w tej dłoni mięsisty, pulsujący owoc. Ludzkie serce, zwieńczone pękiem wyszarpanych naczyń, które nacinał powoli ostrzem drugiej dłoni, jakby obierał pomarańczę. Krew – czarna w rtęciowym blasku neonów lejącym się z hotelowego okna, ciekła gęstą, gorącą strugą prosto na pierś mojego siostrzeńca.

A potem były puste ulice, dworzec, mój samochód i mój salon.

I Paweł, kołyszący się miarowo w fotelu, z monotonnym jękiem – „zwariowałem, zwariowałem, Boże, wreszcie zwariowałem”.

Mam w domu jakieś środki uspokajające. Jestem przecież świrem. Poklepałem go po plecach, łagodnym tonem zrobiłem mu wykład na temat halucynacji, koszmarów i szoku posttraumatycznego. Wykład brzmiał wiarygodnie, wiedział przecież, że jestem byłym schizofrenikiem. Powinienem przecież wiedzieć, jak realne potrafią być halucynacje.

Połknął seconal, wypił szklankę wody mineralnej. I, po dwudziestu minutach, spał jak dziecko. Chemia organiczna to wielka rzecz.

Pierwszego demona widziałem jeszcze zanim nauczyłem się mówić. Dlatego to tak pamiętam. To był gaki. A ja nie miałem nawet dwóch lat. Upiorna, wysnuta z nicości żółtawa gęba z krwawymi oczami, ścigająca mnie, wrzeszczącego, po całym mieszkaniu. Pamiętam nie tylko przerażenie. Pamiętam też straszny wysiłek, z jakim usiłowałem zawołać o pomoc, wyrazić cokolwiek z tego, co czułem, i nie potrafiłem. Nic z tego, co się ze mną działo, nie mogło być oddane za pomocą tych kilku przypadkowych słów, które znałem. Rodzice uspokajali mnie i nie mogli, bo nie widzieli tego, co ja.

Potem były sny.

Miałem normalne, pogodne dzieciństwo, dopóki nie wypilem kubka mleka, nie wysłuchałem bajki i nie położyłem się do łóżka. Potem w ciemnościach pokoju dziecięcego śniłem o szkieletowych twarzach ludzi ubranych w biało-sine pasiaki, kłębach zardzewiałego drutu kolczastego, widziałem morza ceglanych ruin, wśród których snuł się siny dym, widziałem doły pełne trupów, kłębowa wyciągniętych rąk, jak powykręcane gałęzie.

Nie bałem się.

Nie rozumiałem, co widzę.

Miałem też przyjaciela. Przychodził do mnie co noc, w swoim kosmatym, szorstkim ubraniu, o barwie zrudziałego brązu, i kapeluszu z podwiniętym z jednej strony rondem. Nazywałem go Matibolo. Pachniał

dymem. Miał dobre, szare oczy i brakowało mu zęba z lewej strony, co wydawało mi się bardzo zawadiackie. Był opalony tylko do linii kapelusza, a pod spodem miał krótką szczecinę rudych włosów, krótkich jak sierść jamnika.

Wiedziałem, że nie żyje.

Pojawiał się w moich snach co noc i usiłował mi coś powiedzieć. Nie umiałem tego zrozumieć, więc Matibolo dał spokój. Próbował się ze mną bawić, ale nie umiał.

A pewnego dnia zobaczyłem w kiosku żołnierzyka. Był inny niż zwykłe figurki czterech pancernych albo dzielnych żołnierzy radzieckich z pepeszami. Był wytłoczoną z masy plastycznej toporną kopią jakiejś zachodniej zabawki. Miał takie same śmieszne sztylpy, bardzo długi nóż u pasa i brudnożółtą krótką kurtkę z kieszeniami i podwiniętymi rękawami, sięgającą do bioder. A na głowie szeroki kapelusz z zawadiacko podpiętym jednym rondem.

Musiałem mieć tę figurkę, a kiosk był zamknięty. „Matibolo! Matibolo!” darłem się. Histeryzowałem tak długo, aż moi rodzice rozważali włamanie do kiosku. Wreszcie go otwarto i pierwszym klientem tego dnia była moja matka, a kiedy powędrowałem do przedszkola, w mojej kieszeni spoczywał bezpiecznie Matibolo.

Dopiero po latach wypełnionych przeraźliwymi i wyjątkowymi doświadczeniami, dotarło do mnie. Nie: „Matibolo”. Martin. Martin Borrows. Sierżant Martin Borrows z Sydney.

Potem nie miałem już koszmarów. Tylko kiedy w wieku dwunastu lat spadłem z drabiny i leżałem z ciężkim wstrząsem mózgu pośród jarzeniowego półmroku szpitalnej nocy, zobaczyłem, jak wokół mojego łóżka zbierają się skeksowie. Słyszałem ich ochryple szept, widziałem upiorne twarze wyglądające niczym czaszki ptaków, ciała jak zwoje czarnej pajęczyny i szkliste, zakrzywione szpony.

Wtedy na dziedziniec wpadła karetka z tym przeciągłym, przeciwlotniczym zawodzeniem, jaki miały wówczas sygnały pogotowia, i skeksów wymiotło. Nasyciły się i nie wróciły już do mojego łóżka.

Wróciło, kiedy zacząłem dojrzewać, ale już nie jako koszmary. Po raz pierwszy zdarzyło się, kiedy pewnego lata zasnąłem w dzień, znużony upałem. Potem w nocy nie mogłem zasnąć i w końcu zapadłem w lekki letarg, podobny do półsnu, wypełniony półczuwaniem i nieokreślonymi majakami. Pamiętam, że koniecznie chciałem się zbudzić i nie mogłem. Wiedziałem, że śnię, ale nie mogłem tego przerwać. Próbowałem sturlać się z łóżka, próbowałem wstać, próbowałem otworzyć oczy, ale moje ciało mnie nie słuchało. To było jak paraliż. W końcu do rozkołysanego paniką mózgu dotarło, że istotnie miotam się po łóżku, że wstałem i otworzyłem oczy, i patrzę na siebie samego leżącego na wznak. Otworzyłem wewnętrzne oczy.

Wtedy po raz pierwszy znalazłem się w świecie Pomiędzy. W Krainie Półsnu.

Po raz pierwszy zobaczyłem jego czerwone niebo i Ka wszystkich codziennych przedmiotów, stojące na ich miejscu, jak mroczne atrapy.

To nie jest zaświat. Jeszcze nie. Zaświaty są znacznie wyżej. To tylko pęknięcie. Szczelina. Dziura pomiędzy życiem a śmiercią, wypełniona cieniami i wątpliwościami. Znajdują się tam martwe albo półżywe dusze wszystkiego, co nas otacza. Stoją te same budynki, te same krzesła i lustra, ale wyglądają inaczej, bo to nie są te same przedmioty, tylko ich widma. Ich Ka. Ich odbicia w Świecie Półsnu.

Najpierw sam chciałem tam wrócić. Świat Pomiędzy był przerażający, ale fascynował mnie. Byłem tylko nastolatkiem. Czytałem książki o eksterioryzacji i ciałach astralnych. Ćwiczyłem jogę.

A potem okazało się, że nie mogę przestać tam wracać. Niemal co noc. I że świat Pomiędzy wcale nie jest pusty i bezpieczny. To wcale nie było

miejsce, w którym mogłem sunąć jak widmo, przenikając ściany, aż dotrę do pokoju, w którym śpi klasowa królowa piękności i będę bezkarnie mógł patrzeć na jej nieświadome, nagie ciało szesnastolatki.

Okazało się, że to królestwo demonów. Pogranicze. Miejsce, gdzie snują się ci, którzy nie umieją znaleźć swojej drogi na Tamtą Stronę, gdzie zakradają się stwory z innych obszarów, które nie mają siły, by ukazać się w naszym świecie. Najbliższe miejsce, z którego mogą nas dostać, to właśnie świat Pomiedzy.

Zwariowałem właśnie wtedy, kiedy zrozumiałem, że nie mogę się wyzwolić. Kraina Półsnu sama przyzywała mnie co noc, wciągała, pomiędzy widma i potwory zrodzone z naszej podłogi i karmiące się nami.

Leki pomogły. Nie wiem, czy uleczyły mnie ze schizofrenii, ale w każdym razie przerwały więź pomiędzy mną i światem Pomiedzy.

Potem wróciłem tam już świadomie.

Pomógł mi Siergiej Czornyj Wołk. Poznałem go zawodowo, jako etnolog, wędrując z ekspedycją po kraju Ewenków. To właśnie tam, siedząc w jego chacie przy samowarze i czarkach spirytusu, zrozumiałem, że po raz pierwszy mogę o tym komuś opowiedzieć. Siergiej – mały, chudy Azjata, o twarzy płaskiej jak patelnia, też wyczuł we mnie bratnią duszę. Dlatego zakładał dla mnie swoją reniferową kurtkę obwieszoną blaszanymi brzękadłami, brał do ręki bębenek, prychał spirytusem w ogień i opowiadał mi bajki o mądrym Lisie. Uczył mnie o Drzewie Życia i światach, które są nad nami i pod nami. Ale to po to, żebym mógł robić swój doktorat.

Potem, kiedy wyłączałem szpulowy przenośny magnetofon Kasprzak i odkładałem aparat Smiena, rozmawialiśmy naprawdę. I dopiero wtedy Siergiej pokazywał mi, co to znaczy naprawdę syberyjski szaman. Ale tylko w cztery oczy. Taka była umowa.

To Siergiej nauczył mnie zbierać wiotkie, maleńkie grzybki na czerwonych nóżkach, nauczył dodawać zioła i porosty i robić z tego

nalewkę na mocnym domowym spirytusie. To dzięki niemu wróciłem do świata Pomiędzy.

„Musisz tam wrócić” – mówił Czornyj Wołk. „Inaczej nie zaznasz spokoju. Zawsze już będziesz się bał”.

Bałem się, pijąc nalewkę.

A potem leżałem pod upiornym, czerwonym niebem Pomiędzy, widziałem nad sobą kolczaste widma cedrów, bodące wirującą nieskończoność, i wydawało mi się, że tłumy zębatach, porośłych czarną sierścią bestii rozrywają mnie na strzępy a potem składają na powrót, rudymi od mojej krwi łapami.

Umarłem i narodziłem się na nowo.

Ale nauczyłem się wchodzić do świata Pomiędzy zupełnie inaczej. Już nie jako mglisty, przeciekający przez ściany astral. Mogłem się tam pojawić jako istota z krwi i kości. I nie tak łatwo było mnie już skrzywdzić.

Wtedy właśnie spotkałem Celinę.

Sama ściągała mnie do siebie. Do na wpół rozwalonej altany z płyt pilśniowych i eternitu, gdzie ją zawleczono. Na pracownicze ogródki działkowe. Do szarej, cementowej podłogi, którą zalano jej płytki grób.

Wykopywała się spod tej podłogi co noc, krwawymi dłońmi o połamanych paznokciach, wyjąc przeraźliwie z wściekłości i żalu. Na jej zielonkawym ciele został tylko przegniły strzęp kostiumu kąpielowego.

Normalnie wystarczyłoby ją uspokoić i przeprowadzić. Mogłem to zrobić. Ale wtedy o tym nie wiedziałem. Celina przykuła się do tej altany i podłogi na zbyt długo. Myślę, że w kategoriach astralnych chyba jakoś zwariowała.

Znalazłem ten ogródek. Altana stała tak samo, jak jej cień w świecie Pomiędzy, a podstarzały morderca grabił zeschnięte liście, którymi sypały pokręcone jabłonie. Zapamiętałem jego twarz.

Dorwałem go potem którejś nocy, w świecie Pomiędzy. Spał we własnym łóżku, mglisty i nierzeczywisty. Tej nocy, to przede mną uciekano na zamglonych, zasypanych popiołem ulicach świata Pólsnu.

Patrzyłem na jego podwójne ciało. Materialne, ledwo widoczne i mgliste oraz słabego, świetlistego astrala, który wyglądał jak mdła poświata.

Pamiętam swój gniew. Gniew Celiny. Usłyszałem syczące szepty, jak szelest suchych liści i zobaczyłem, jak z szafy wychodzi skeks. Zaczął kręcić dziobatym łbem po ptasiemu, obracając go raz w jedną, raz w drugą stronę, wokół dzioba jak czarna żmijka zakręcił się chudy język.

A potem usłyszałem własny ryk i trzasnąłem go przez pysk.

To było szaleństwo. Powinien był mnie zabić.

Tymczasem uciekł.

A potem wbiłem dłoń w chudą klatkę piersiową, ubraną w bordowo-niebieską piżamę i namacałem twarde, śliskie serce, trzepoczące w mojej dłoni jak wróbel.

Dałem je Celinie.

I nie wiedząc dlaczego, przytuliłem ją do siebie. I wtedy po raz pierwszy otworzyłem komuś drogę.

Zalał nas słup białego światła, który wbił się w czerwone niebo jak filar. Czuję, jak dziewczyna w moich ramionach robi się coraz lżejsza. Wyszeptała mi coś do ucha, dopiero po chwili zrozumiałem, że to adres. Adres domku na przedmieściu, gdzie kiedyś mieszkała jej babcia.

– Pięćdziesiąt złotych rubli – powiedziała Celina.

– W pudełku po herbacie, pod korzeniami jabłoni. To był mój posag. Należy ci się obol, mój Charonie.

Puściłem ją, była lekka jak wypełniony gazem balon. Ruszyła w górę po słupie światła, który dla niej otworzyłem.

– Leć – szepnąłem. – Leć do światła.

Filar blasku przestał bóść czerwone niebo. Przejście zamknęło się.

Tak zostałem psychopompem.

A następnego dnia znalazłem resztki domku babci

– ceglany prostokąt, na opuszczonej działce zarośniętej bzem i pokrzywami. I wykopałem zardzewiałą puszkę po herbacie. Mój pierwszy obol.

Odkryłem swoje powołanie.

Nie pracuję co noc. Pilnuję, żeby nie wędrować po świecie duchów częściej, niż raz na dwa, trzy dni.

I tej nocy nie zamierzałem pracować, ale historia mojego siostrzeńca zmieniła wszystko.

Przez te wszystkie lata, zgromadziłem sobie sprzęt. Bywają przedmioty, które właściciele albo dramatyczne wydarzenia nasyciły tak potężnym duchem, że mogę je zabierać ze sobą. Dzięki temu mam broń, mam różne urządzenia, w naszym świecie będące tylko zardzewiałymi gratami, ale ich Ka działa tak, jak chcę w świecie Pomiedzy.

Jednym z tych przedmiotów jest Marlenę. Marlenę to motocykl. Martwy od lat, zapyziały grat BMW R-75 Sahara, z koszem. Marlenę była bardzo ważna dla swojego właściciela, sturmfuhrera Willy'ego Stoemke. Umarł na niej. Do końca nie wypuścił z rąk kierownicy. I nawet potem, długo nie był w stanie jej zostawić. Jazda na Marlenie była jedynym dobrym wydarzeniem, jakie trafiło mu się przez całe cholerne, dziewiętnastoletnie życie. Nie widział, nie robił i nie znał niczego dobrego, poza Marlenę. Nawet nigdy nie miał kobiety.

Po tej stronie, to tylko stojący w moim garażu zardzewiały trup, o zarośniętych tłokach, postrzelanym baku i zetlałych przewodach. Jednak w świecie Pomiedzy, wystarczy jedno kopnięcie w rozrusznik i Marlenę rusza jak niecierpliwy, rycerski wierzchowiec. Wytaczam się przez zamknięte drzwi garażu, pod ceglaste niebo i toczę przez miasto widm i snów, zerkając

na busolę. Jej tarcze wirują i kręcą się jak astrolabium, szukając zawirowania emocji i drgnień eteru, które towarzyszą nagłej śmierci i pojawieniu się w świecie Pomiedzy kolejnej, zagubionej, nie wiedzącej co dalej robić, duszy.

Tej nocy czułem, że coś się zmieniło. Coś było nie tak. Wiśniowe niebo było takie samo i tak samo jak zwykle przelewały się po nim dziwaczne fraktale żółtego i niebieskiego światła, jak mgławice ze zdjęć astronomicznych, ale jednak coś niedobrego wisiało w powietrzu. Czuło się jakiś niepokój.

Krążyłem po widmowym, mrocznym mieście i rozglądałem się. Większość istot, które można tam spotkać, to niewyraźne plamy mroku, przemykające gdzieś na granicy pola widzenia. Niektóre przychodzą gdzieś z innych światów, a niektóre rodzą się tutaj. To ludzie je produkują. Te są najbardziej podobne do zwierząt. Jakichś trujących meduz albo pajaków. Reagują instynktownie i bezmyślnie. Kiedy spotykają kogoś takiego jak ja, najczęściej po prostu czmychają.

Czasami, choć rzadko, spotykam Lunatyków. Tak ich nazywam, ale to nie wędrujący we śnie, tylko tacy sami idioci jak ja kiedyś. Eksperymentatorzy. Próbuje sztuki eksterioryzacji ciała astralnego. Chcą unosić się w powietrzu, wędrować przez ściany i ulice, odwiedzać ukradkiem tych, których kochają lub pożądają, i zostawiają swoje opuszczone, bezbronne ciała na pastwę demonów. Tu, w świecie Półśnu sami przypominają widma. Półprzejrzyści, zwiewni, snują się to tu, to tam i najczęściej, kiedy zorientują się, że nie są tu sami, uciekają z powrotem do swoich ciał, jak myszy czmychające do dziury. Prawdziwe widma wyglądają tu realnie i ostro. Przypominają istoty z krwi i kości.

Widuję tu przeróżne stwory. Są groteskowe i pokracczne, półludzkie i karykaturalne, ale kiedy się na nie patrzy, wyglądają wystarczająco realnie.

Zazwyczaj nie mogę spokojnie patrzeć na obrazy Hieronimusa Bosha. To wszystko wygląda zbyt znajomo.

Próbuję to oswoić i dlatego nadaję im nazwy, jakbym był przyrodnikiem odkrywającym i klasyfikującym nieznaną faunę. Wszystko zaraz robi się bardziej swojskie.

„Och, to tylko szczękacz”. Albo: „Płaskognilce nisko dziś latają. Chyba będzie padać krew.”

Tak naprawdę, zazwyczaj ulice są puste, wiatr gna po nich kłęby srebrnego popiołu, bestie i stwory przemykają gdzieś w mroku. Złazą się rzeczywiście, kiedy poczują świeżą pneumę, ale dopiero wtedy.

Tej nocy jednak, widziałem zbyt wiele ruchu. Dookoła mojego domu kręciło się kilka skeksów, a to nigdy nie jest dobrze. Czują śmierć, i to nagłą, paskudną, taką, która zostawia mnóstwo zaczętych i przerwanych spraw. Kucaly, owinięte swoimi płachtami, albo stały nieruchomo niczym ponure marabuty na trupie krokodyla. I patrzyły.

Patrzyły na mój dom.

Słyszałem szepty, syki i chichoty, jak szelest suchych, martwych liści. Jakieś inne bestie krążyły po ulicach, przez snop światła z reflektora Marlenę przebiegło coś zębatego, pokrytego kolcami, co omiotło mnie paskudnym spojrzeniem liliowych oczu. Nawet po niebie krążyły kształty podobne do płaszczyk, holujące długie ogony.

Znalazłem dom, w którym po tamtej stronie snu, mój siostrzeniec mieszkał kiedyś ze swoją dziewczyną.

Zaparkowałem na chodniku. Wzdłuż ulicy stały niewyraźne Ka kilku samochodów, wyglądały jak cienie. Albo dzisiejsze samochody nie mają duszy, albo właściciele nie przywiązują do nich wagi, nie wiem. Kamienica była wyraźnie widoczna, stara. Emocje, myśli i marzenia setek mieszkańców wyprodukowało przez lata mnóstwo myślo-kształtów, które pełzały po ścianach, skrobały i przebiegały w półmroku, wirowały wokół

mżących na rudo żarówek niczym ćmy. Jakieś chude, pokraczne stwory kucaly na gzymsach i balkonach jak średniowieczne gargulce.

Łatwo było znaleźć drzwi na najwyższym podeście schodów, przekreślone biało-czerwonymi taśmami z folii, zabezpieczone paskami papieru ze stemplami dzielnicowej komendy policji.

Zdarłem paski jednym ruchem, wyjąłem zza pazuchy obrzyna i kopniakiem otworzyłem drzwi.

Nic.

W środku było ciemno i pusto.

Jakby coś pożarło całe Ka mebli, ścian i przedmiotów, zostawiając tylko mrok.

Zawołałem Magdę. Musiała tu być. Chciałem jej pomóc, chciałem ją wypuścić na tamtą stronę, ale chciałem też zadać jej kilka pytań. O rzeczy, których dowiedziała się dopiero teraz.

Ale znikła.

Oczywiście mogła od razu przejść dalej. Nawet w wypadku takiego makabrycznego końca, czasem się to zdarza.

Nie dowiedziałem się niczego.

Dopadło mnie na schodach.

Na to coś nie miałem nazwy. Spadło z sufitu i było jednym, lśniącym jak rtęć ruchem. Było jak skorpion, modliszka i rzeźba kobiety odlana ze srebra. Zablokowałem coś kolczastego, chyba kończynę, ostre jak szkło szpony mignęły mi koło oczu, światło rozlało się po ślepym, obłym łbie, w którym kłapały ludzkie, srebrne szczęki, niczym proteza dentystyczna. Ręka trzymająca ciężką broń uwięzła gdzieś wśród tego całego ruchu i szamotaniny.

To było potwornie szybkie.

I silne.

Wszystko trwało najwyżej kilka sekund.

Mam płaszcz. Długi, skórzany i ciężki, który tutaj działa jak pancerz. To ten płaszcz mnie uratował. Machnąłem połą, zarzucając ją na wijące się ciało i odgrodziłem nią od kłapiących wściekle szczęk. A potem znalazłem jakieś podparcie pod lewą nogą i kopnąłem to coś, spychając je ze schodów.

Uniosłem uwolnionego obrzyna i ściągnąłem spust.

Wystrzał wypełnił klatkę schodową jak wodospad. Ciało bestii skłębiło się jak obłok dymu i zamieniło w wąską strugę zassaną przez lufę.

To wygląda jak wystrzał z dubeltówki na filmie puszczonej od tyłu. Najpierw jest błysk, potem obłok, który następnie wślizguje się do lufy. A na końcu łamię broń i wyrzucam z komory pełną łuskę. Do tego wszystkiego nie jest gorąca, tylko wściekle zimna.

I wypełniona demonem.

Pojechałem do lasu. Busola wibrowała i śpiewała metalicznym brzękiem, pierścienie wirowały wokół osi, strzałka wskazywała kierunek.

Las.

Za starymi torami.

Kiedy przyjechałem, już byli na miejscu.

Widmowy samochód, przez który przeświecały pokracczne Ka drzew.

I trzy widma. Dwa z pistoletami w dłoni i jedno ze związanymi z tyłu rękoma, ściśniętymi białym, plastikowym paskiem jednorazowych kajdanek.

Nawet nie pofatygowali się wykopać grobu.

– Było ci mówione, cwelu?! – darł się wyższy z katów. Przynajmniej jakoś angażował się emocjonalnie. – Było?! Że masz się nie wpierdalać?!

Nic nie mogłem zrobić. Nie należeli teraz do mojego świata.

Ten skazany walczył o ostatni haust godności, ale łyzy bez udziału woli ciekły mu po policzkach, nogi w przemoczonych spodniach dygotały jak w ataku malarii. Jego dusza za to świeciła jasnym ogniem przerażenia,

częściowo już wychodząc z ciała. Pewno odczuwał to jako wrażenie zapadania się i drętwienia.

Oparłem się łokciami o kierownicę i zapaliłem papierosa. Ka papierosa, ma się rozumieć. W świecie Pomędzy nawet papierosy mają duszę.

Wystrzał zabrzmiał głucho i płasko. Widmo wystrzału.

Potem jeszcze jeden i następny.

Czekałem.

Wypaliłem papierosa, zanim umarł. Potem musiałem jeszcze czekać, aż minie pierwszy atak paniki. Aż się wykaszle, wyszlocha, wymiotą pomiędzy pokręconymi drzewami, pod obcym niebem barwy krwi, po którym przelewają się żółto-zielone fraktale i tną je świetliste linie.

Aż zrozumie, że umarł.

Patrzyłem, jak od najgłębszych plam cienia odrywają się strzępy mroku i przybierają kształty zakapturzonych karłów, skrytych w głębokich kapturach i powłóczyстых opończach. Słyszałem drapieżne chichoty.

Czekałem, aż zaczną go gonić.

A potem bez pośpiechu rozdeptałem papierosa, okręciłem jedną rękę zdjętym płaszczem i poszedłem robić porządek.

Wpadłem w kłębowisko stworów – w większości zwykłych ghuli i rozpedziłem je. Poczujęm ręce chwytające mnie za ramię, wywinąłem się, uchyliłem przed kłapnięciem rekinich szczęk, kopnąłem w coś, a potem sięgnąłem za pazuchę po kordelas.

Następne sekundy wypełnił wrzask, chaos i szamotanina. Posłałem jakiegoś stwora pyskiem na pień drzewa, przydepnąłem coś przypominającego opończę, ciąłem przez łeb żabiogłową poczware, strzeliłem czołem w twarz pomarszczonego staruszka, z uśmiechem przypominającym zębate V i oczami ćmiącymi zielonkawym blaskiem próchna.

Klient kulił się pod drzewem, zasłaniając głowę rękoma.

Schowałem powoli kordelas i uśmiechnąłem się do niego. Patrzył na mnie z niewypowiedzianą zgrozą. Byłem dużo większy od niego, siwy, wąsaty, w hełmie na głowie, z rękami pokrytymi tatuażami, dla niego byłem jeszcze jednym demonem.

– Umarłeś – powiedziałem. – Ale utknąłeś pomiędzy światami. Mogę cię stąd zabrać.

– Gdzie? – wyszeptał.

– Tam, gdzie powinienesz być przejść, a nie umiesz.

– Nie! – wrzasnął nagle, głosem pełnym hysterii. To było tak nagłe, aż podskoczyłem. – Nie! Pójdę do piekła!

Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, co jest dalej. Żyjemy na parterze, a ja znam jeszcze pierwsze piętro i mam klucze do windy. Skąd mam wiedzieć, jak daleko jest jeszcze do gabinetów Zarządu? Sto pięter? Jedno? Nieskończoność?

– Niekoniecznie. – Zapewniłem go. – Na pewno jest jeszcze w tobie coś dobrego.

– Nie! Zgniję w piekle! Odejdź ode mnie! Odejdź! Boże, ratuj!

– Dobra. Ale wtedy zajmą się tobą ghule. Albo inne, jeszcze gorsze stwory. W każdym razie zostaniesz tutaj. I z czasem staniesz się jednym z nich. To się nie skończy, synku. Szczerze mówiąc, właśnie się zaczęło. I nikt ci tutaj nie pomoże. Witamy w świecie Pomędzy.

Wróciłem do motocykla, wrzuciłem płaszcz do wózka, kopnąłem starter i ruszyłem.

Gonił mnie, krzycząc i machając rękami. Patrzyłem we wsteczne lusterko, aż potknął się i upadł twarzą, wzbijając wokół srebrny popiół.

Dopiero wtedy zawróciłem.

Objeżdżałem go ciasnymi, powolnymi kółkami, kiedy zbierał się z ziemi.

– Kradłem! – wrzasnął. – Zabiłem człowieka! Nie chodziłem do kościoła! Napadałem! Wymuszałem haracze! I te... wymuszenia rozbójnicze! Siedziałem w zakładzie karnym! Przeklinałem! Zdradzałem żonę! W wielkim poście! Pracowałem w niedzielę! Kopnąłem zakonnicę!

– Wystarczy – przerwałem mu. Zatrzymałem Marlene i wyłączyłem silnik. – Wyglądam na księdza? Ja nie spowiadam. Nie osądzam. Tylko przeprowadzam na drugą stronę.

– Przeprowadzisz mnie?

– Musisz mi zapłacić obola.

– Że co?

– Starożytni Grecy wierzyli, że światy żywych i umarłych oddziela rzeka czasu – Styks. Można było przepłynąć na drugą stronę, ale trzeba było zapłacić przewoźnikowi obola. To taka grecka moneta. Dlatego wkładali pieniądź w usta zmarłego. Nie masz czasem czegoś w ustach?

– W Grecji jest już euro... – wybełkotał osłupiały.

– Może być euro – zgodziłem się życzliwie. – Euro, dolary, złotówki, złoto, informacja, jeny, obligacje, oprogramowanie, cokolwiek. Ale musisz zapłacić przewoźnikowi.

Obmacał się po kieszeniach, gorliwie potakując, i w końcu znalazł Ka swojego portfela.

– Nie, synku – powiedziałem. – Ty nie żyjesz, ja wracam do tamtego świata. Potrzebuję prawdziwej forsy. Po tamtej stronie.

– Ja... ja miałem portfel.

– Zabrali go twoi kumple – wyjaśniłem i przysiadłem sobie na siodle Marlenę.

– Serdel i Klapa?! To skurwiele! Obrobili mnie, jak nie żyłem?!

– Co się miało marnować?

– No, to nie wiem. – Oklapł.

– Nie miałeś czegoś zakitranego na złą godzinę?

– Miałem, w domu.

– Nie będę się włamywał – poinformowałem go. – Kombinuj.

– Akcje! Mogą być akcje?

– Mogą. Ile tego masz?

– Tysiąc pięćset akcji Olebanku. Stały po pięćdziesiąt złotych! Pójdiesz do takiego kolesia, nazywa się Korbacz, Jasiek Korbacz, pracuje w Funduszu Inwestycyjnym „Gryf, podasz mu hasło „kaszana” i powiesz, że cię przysyła Baleron. Wtedy wypłaci ci za nie gotówkę.

– Podejdz tu. Chcę zobaczyć twoje oczy, może polewasz? Pamiętaj, że nie żyjesz. Mogę cię wysłać nie tylko w górę. – Wyjąłem obrzyna z olstra. Jego oczy zrobiły się okrągłe.

– Nie! Jak bonie dydy! Hasło „kaszana”! Nie!

Nie kłamał. W jego aurze migotał tylko strach. Miał dosyć, w końcu już raz go dzisiaj zastrzelili.

Przeprowadziłem go.

– Idź do światła... – powiedziałem. Zawsze tak mówię.

Kiedy wracałem do domu, na leśnej drodze ktoś stał.

Czarna sylwetka w trójgraniastym kapeluszu, otulona krótkim płaszczem, w butach za kolana, wsparty na rapierze zatkniętym w ziemię. Alderon.

Konkurencja.

Do pewnego stopnia był taki jak ja. Spotkałem go niedawno, jakieś cztery lata temu. Byłem wściekły, bo myślałem, że ten świat należy tylko do mnie. Najpierw się ignorowaliśmy. Potem miałem go za dupka.

A potem znalazłem go w świecie żywych. Naprawdę nazywał się Błazej.

Miał tylko czternaście lat.

I od pięciu leżał w śpiączce. Żył właściwie tylko w świecie Pomędzy. Tutaj nie był bladym szkieletem podłączonym do przewodów, tylko

wojownikiem o imieniu Alderon. Od tamtej pory jest mi go tylko żal. Nigdy nie dałem tego po sobie poznać. Nie wie, że ja wiem.

Alderon rzadko kogokolwiek przeprowadza. Chce oczyścić krainę Półsnu z demonów. Ale kiedy przeprowadza, to za darmo.

Psuje mi tylko interes.

Pokazał otwartą prawą dłoń, w której nie było żadnej broni. Zsiadłem z motocykla i pokazałem mu swoją.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę – powiedział Alderon. – Przeprowadzałeś kogoś?

Przytaknąłem.

– Drogo?

– Na biednego nie trafiło – warknąłem. – Ty może jesteś milionerem, ja muszę tam z czegoś żyć. Poza tym, takie są zasady.

– Sam je wymyśliłeś – powiedział. – Obol to była drobna moneta.

– Przeprowadzałem już za pięć złotych. Chcesz czegoś, Alderon?

– Coś się dzieje. Zauważyłeś?

Pokiwałem głową. Wyjąłem z kieszeni łuskę i rzuciłem mu. Nadstawił dłoń w grubej rękawicy.

– Widziałeś kiedyś coś takiego?

Podważył kciukiem ołowiany korek i powąchał. Skrzywił się i ponownie zatkał łuskę, krztusząc się i wachlując koło twarzy drugą ręką.

– Ohyda – powiedział. – Widziałem. Dzisiaj już trzy. Są nowe. Ale według mnie to myślokształt.

– Taki wielki? Bzdura! To demon.

– No właśnie. Zachowuje się jak demon i tak wygląda. Ale jest zrodzony z człowieka. Nie atakują, tylko przeczesują miasto, jakby czegoś szukały.

– Byłeś tu w zeszły piątek?

Przytaknął w milczeniu.

– Umarła dziewczyna. Zamordowana, i to paskudnie. Przeprowadzałeś ją albo widziałeś samoistne przejście? W śródmieściu, koło placu Wolności.

Pokręcił głową.

– Nic nie widziałem. Przynajmniej nie przejście. Widziałem natomiast tłum demonów i myślokształtów. Działy jak stado. Właśnie w śródmieściu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Były tam i te twoje... modliszki. I mnóstwo ptasiogłowych. Jeżeli ta dziewczyna tam była, to mogła się na nie nadziać.

– Rozejrzyj się za nią. To brunetka, szczupła, młoda. Będzie przerażona. Jakbyś na nią trafił, daj mi znać.

– To ktoś ważny?

– Dziewczyna mojego krewnego. I być może przyczyna tego całego bałaganu.

Zmarszczył brwi, ale nie powiedziałem nic więcej.

– Trzymaj się, Alderon. – Kopnąłem w starter. Biedny dzieciak. Lada dzień go odłączą, a wtedy sam go przeprowadzę. Za darmo.

Do diabła z zasadami.

Popiół zalegający ulice wzbijał się za kołami wysokim, skłębionym całunem. Tyle to wszystko warte. Popiół i kurz.

Wyspałem się i z samego rana pojechałem do „Gryfa”. Pan Korbacz przyjął mnie niechętnie, dopóki nie usłyszał hasła „kaszana”. Zaproponował, że zrobi przelew. Wyjaśniłem, że z uwagi na sytuację Balerona, to raczej niemożliwe. I że się śpieszę. Dostałem kawę, a po pół godzinie gotówkę. Trzęsły mu się ręce.

„Kaszana” okazała się warta prawie sześćdziesiąt tysięcy, w bankowych paczkach spiętych banderolami. Nie zmieściły się w kopercie. Wyspały mu się na biurko. W końcu upchał je w wielkiej kopercie na dokumenty i zawinął w paczkę wielkości cegły.

Potem skwapliwie odprowadził mnie do drzwi, prosząc, bym koniecznie pozdrowił Balerona.

Zapewniłem, że zrobię to przy najbliższej okazji.

Potem wróciłem do domu i zszedłem do piwnicy.

Mam tam pomieszczenie, zamaskowane fałszywą ścianą i chronione ogniotrwałymi drzwiami. W środku są piwniczne półki z Ikei do samodzielnego montażu, a na nich tekturowe pudełka, w których trzymam obole. Są posortowane według nominałów, biżuteria spoczywa w wyściełanych kasetkach, ale są także słoiki carskich pięciorublowych „świnek”, sznury nanizanych obrączek, a także pudełka po butach, gdzie lądują tombak, fałszywe pieniądze i bezwartościowe przedmioty. Trafiają się i takie. Mam też kosz na bieliznę, do którego wrzucam zniszczone banknoty. Pokrwawione, oblane czymś, albo nadpalone.

Nie jestem kutwą.

Po prostu nie mam pojęcia o praniu pieniędzy. Nie mogę przecież pójść do banku i wpłacić tego wszystkiego na konto. Więc leżą na półkach.

Kiedy wracałem na górę, usłyszałem przeciągły jęk, niemal krzyk. Mój siostrzeniec obudził się i prawdopodobnie przez kilka sekund leżał w błogiej nieświadomości, jaką daje poranek, a potem w jednym miażdżącym uderzeniu cały koszmar wrócił do niego.

Poszedłem go przywitać szklanką wody i kilkoma tabletkami. Nowy dzień, nowa pigułka.

Potem siedział na fotelu w salonie, skuty chemią, i kiwał się jak przy chorobie sierocej, patrząc w przestrzeń, tak samo jak wtedy na dworcu. Śniadanie stało przed nim, samotne i smutne.

Chodziłem po tarasie i patrzyłem, jak kwitną śliwy. Nie mogłem wysiedzieć przy stoliku nad kawą i gazetą. Myślałem.

Potem stwierdziłem, że środki zaczęły działać, i poszedłem porozmawiać z siostrzeńcem.

– Opowiedz mi o swojej byłej żonie – zażądałem.

Nie zrozumiał, o co mi chodzi.

– Zawsze wam się nie układało? Od początku?

Opowiadał niechętnie, wyglądało na to, że już sam nie wie. Kiedyś myślał, że było w porządku, a potem okazało się, że momenty, które miał za niemal doskonałe, dla niej były albo nic nie warte, albo kompletnie żałosne. Nic mi to nie dało. Chłopak sam już nic nie wiedział. Nowa twarz jego byłej żony, rozjarzona wściekłością i nienawiścią, przesłoniła mu i zabiła całą przeszłość. Nie pamiętał już niczego dobrego.

Zadzwoniła do niego wczesnym popołudniem. Chodził po salonie z komórką przy uchu i odpowiadał „tak” „nie” i „nie wiem”, a w odpowiedzi z głośniczka dobiegało rytmiczne pobzykiwanie, jakby trąkotała niczym katarynka. Rytm głosu sugerował listę stanowczych i raczej agresywnych żądań. Nie wiem, co mówiła, zresztą nie bardzo mnie to obchodziło, zerkałem tylko znad gazety.

Makler Korbacz miał rację. Akcje Olebanku poważnie spadły i tylko się traciło na dzisiejszej sprzedaży. Niestety ani ja, ani Baleron nie mogliśmy czekać.

Paweł usiłował dziwnie spokojnym głosem wyjaśnić swojej ex, że to nie jest najlepszy moment jego życia. Został świadkiem i w pewnym sensie ofiarą morderstwa, spędził kilka dni w szpitalu i chwilowo nie ma gdzie mieszkać.

W odpowiedzi dostał kolejną porcję stanowczych pobzykiwań, jakby w obudowie telefonu zamknięta była wściekła osa. Wtedy też zaczął na nią wrzeszczeć i w końcu rzucił gdzieś telefonem.

Na pierwszej stronie działu miejskiego napisali, że pewien ksiądz wpadł pod tramwaj.

To się zdarzyło godzinę później. Paweł się położył, ja siedziałem w salonie i przeglądałem „Mitologię ludów Syberii” do czwartkowego

wykładu.

Najpierw zauważyłem, że zrobiło się ciemno. Jeszcze przed chwilą świat stał w ostrym słońcu, a nagle światło przygasło i zrobiło się brudnożółte, jak przed burzą.

Potem pojawiły się ptaki. Tysiące drobnych ptaszków, zbitych w gigantyczne jak chmura stado, wirujące nad moim domem, zwijające się w kręgi i zygzaki, jak jeden zbiorowy organizm. I ogłuszający, ćwierkający chór. Patrzyłem osłupiały, jak obsiadają śliwy, sosny i topole w całej dzielnicy. Miliony. Jak szarańcza.

Potem przyszło mrowienie skóry. Włoski na przedramionach podnosiły mi się po kolei, jakbym przesunął dłonią przed ekranem telewizora.

A później nadszedł nagły, polarny chłód.

Ptaki poderwały się w nagłej panice, z hukami tysięcy skrzydełek. W jednej chwili gałęzie opustoszały.

Poczułem, że coś idzie przez salon. Nie widziałem niczego, ale wyraźnie to czułem. Przez mój salon.

Do mojego domu nie zbliżają się nawet skeksowie i to nawet listopadową nocą. Jest obwarowany jak twierdza.

Tymczasem coś sunęło samym środkiem pokoju, w biały, słoneczny dzień, nie dbając o nic. Po moim dywanie.

Afrykańska maska spadła z trzaskiem ze ściany i zaczęła sunąć po podłodze.

Jadeitowy zielony Budda śmignął nagle tuż koło mojej głowy i trzasnął o futrynę drzwi. Zaczęły trzaskać stopnie schodów, jeden po drugim. Jakby coś ciężkiego szło na górę.

Pognałem tam, przeskakując po kilka naraz. Drzwi do pokoju, w którym spał Paweł, uchyliły się i biło stamtąd zimno.

Nic, co dotąd widziałem w świetle Pomiedzy, nie ośmieliłoby się wdzierać do tego domu.

Nagle odeszło. Znowu zrobiło się ciepło, w okna uderzył blask słońca, jakby przebiło się przez chmury.

Odeszło samo, ale czułem, że było tak potężne, że mogłoby nawet teraz rozszarpać nas obu na strzępy. Sprawilo, że słońce przygasło?!

Mój siostrzeniec płakał przez sen.

Musiałem czekać na zmrok.

Siedząc w salonie i patrząc za okna, postanowiłem, że zabiorę go ze sobą. Dostanie słabą dawkę i nic nie powinno mu się stać. Przy mnie i tak był bezpieczniejszy niż gdyby został tu, w domu, który nie zapewniał mu już ochrony. Czułem, że jego obecność może mi pomóc.

Nie miał ochoty na ten kieliszek. Wymawiał się, kręcił nosem. Musiałem uciec się do „z wujkiem się nie napijesz?”. Wtedy przypomniał sobie, że gości go wariat. Przełknął, dzielnie zwalczył dreszcz obrzydzenia, po czym trzasnął głową o stół. Nie widziałem takiego numeru nawet wśród Azjatów, którzy fizjologicznie są słabo odporni na alkohol.

W świecie Pomiędzy siostrzeniec stał, zdjęty szokiem, i patrzył na swoje ciało z głową leżącą na stole. A potem na swoje ręce.

– Zabiłeś mnie – wyszeptał. – Dlaczego?

– Tylko chwilowo – wyjaśniłem. – Wyszedłeś ze swojego ciała, ja też. Musimy iść coś sprawdzić. Chcesz się uwolnić, czy nie?

– Skoro wiem, że śpię, to i tak za chwilę się obudzę – powiedział z powątpiewaniem.

– Nie tak zaraz – zapewniłem. – A teraz słuchaj uważnie.

Opowiedziałem mu o świecie Półnsnu. Zapewniłem, że ze mną nic mu się nie stanie. Wyjaśniłem, że szukamy Magdy, żeby oboje mogli zaznać spokoju.

Przyjął to dzielnie. Przekonanie, że śpi, bardzo mu pomagało.

– Motocykl? – zapytał z niesmakiem. Motocykl nie pasował do zaświatów.

– Wszystko ma jakąś duszę. Zwierzęta, nawet przedmioty. To jest rodzaj widma motocykla, nazywam to „Ka”. Te przedmioty, mój strój, ta strzelba, ten hełm istnieją w realnym świecie. Są nawiedzone, jeżeli wolisz to określenie. Zabieram ze sobą ich Ka, bo pozwalają mi działać po tamtej stronie. Chronią mnie, jak ten hełm, który ocalił kiedyś życie jednemu żołnierzowi i stał się jego talizmanem. Dzięki niemu, ten człowiek wrócił cały z Wietnamu. Myślę, że mógłbym robić to samo, nie mając ich, ale tak jest łatwiej. To tak, jak posiadanie pistoletu. Sama świadomość, że go masz, sprawia, że czujesz się pewniej. To psychologiczne. Wsiadaj, będziesz jechał w koszu.

Wyjechaliśmy w mgliste, mroczne miasto widm i upiorów. Taką mam pracę.

– To są te... ghule? Te, co wyglądają jak koty?

– Nie. To są koty.

– Zwykłe koty?

– Koty nie są zwykłe. Zastanawiałeś się, dlaczego tyle śpią? Większość życia spędzają w świecie Pomiędzy. To nasz świat wydaje im się snem.

– A dlaczego niebo jest czerwone?

– Zamknij się i patrz na busolę. Masz mi powiedzieć, kiedy te obręcze zaczną się poruszać.

Popiół kłębił się na pustych ulicach, niebo stało nad nami w krwistej czerwieni, słycać było tylko równy stukot silnika Marlenę. Szkoda, że nie mogę dać znać fabryce. „Na motocyklu BMW zajdziesz nawet do piekła!” – byliby zachwyceni.

– Czego szukamy?

– Nie wiem. Przede wszystkim jakichś śladów.

Pociągnąłem manetki hamulców. Zapiszczały opony. Paweł majtnął się w koszu i chwycił dłonią za jarzmo do montowania erkaemu.

Na skrzyżowaniu stali skeksowie. Jeden kucał na słupie świateł ulicznych. Czterech.

Niedobrze.

Sięgnąłem do olstra i powoli wyjąłem obrzyna. Położyłem go w poprzek na baku. To słabo na nich działa, ale lepsze niż nic.

Paweł milczał, blady jak ściana, i kurczowo trzymał się za uchwyt wózka.

– Co to jest?

– Nazywam ich skeksami. To demony nagłej śmierci.

– Widziałem takiego...

– Wiem.

Skeksowie zaczęli naszeptywać i szeleścić. Wielkie dzioby o barwie polerowanej kości zaczęły się poruszać na boki. A potem zaczęli się cofać. Jeden po drugim wtopili się w mrok i znikli.

Ruszyliśmy. Motocykl powoli przetoczył się przez skrzyżowanie.

Na placu pod fontanną siedział Alderon, wsparty o wyciągnięty z pochwy rapier. Kapelusz położył obok, na cembrowinie. Wyglądał na wyczerpanego. Jedną rękę okręcił chustą, która zdążyła już przesiąknąć. Krew kapiąca na chodnik świeciła fosforycznym blaskiem. Na nasz widok uśmiechnął się słabo i uniósł otwartą dłoń, bez broni.

Zsiadłem z motocykla.

– Widziałem ją – powiedział.

– Widziałeś Magdę?!

– Nie. Widziałem matkę demonów.

– Co?!

– Co noc rodzi kolejne demony. To kobieta z naszego świata, która stała się bramą. Wpuściła do siebie coś potężnego. Nie damy rady, Charonie.

Nagle zauważył Pawła siedzącego w koszu i zamarł.

– A kto to jest? To umrzyk? Przeprowadzasz go?

– Nie. On żyje. To mój siostrzeniec.

Alderon uniósł głowę.

– Chyba ci odbiło. Przecież on zwariuje!

– Nie. Wmawia sobie, że śpi. Musimy znaleźć jego dziewczynę. Wtedy wszystko się skończy. Musimy ją znaleźć i przeprowadzić.

– To ona jest bramą?

– Nie. Ale ma znaczenie. Coś przyszło do mojego domu, Alderon. Dzisiaj. W biały dzień. To idzie po niego. – Wskazałem głową na motocykl.

– Chcesz użyć własnego krewnego na przynętę?

– Przed chwilą czterech skeksów uciekło na sam jego widok. Jechaliśmy przez puste miasto. Wiesz dlaczego?

– Boją się. Nie należy do nich. To Ona go chce.

– Idziesz z nami?

Podniósł się, podpierając rapierem jak laską.

– Będziesz musiał jechać powoli.

– Usiądziesz za mną.

Zatrzymaliśmy się pod domem. Niepozorna kamienica, z balkonami wychodzącymi na skwer.

– Tu mieszkałem – stwierdził Paweł.

– Wiem.

Usiedliśmy na ławce, przy pustym placyku zabaw, jak trzech meneli. Brakowało flaszki wina.

– Opowiem ci o Lilith – powiedziałem.

Paweł spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Opowiem ci o twojej żonie.

Zatkało go.

– To normalna dziewczyna. Żaden demon.

– Kiedyś tak. Jednak kiedy człowiek poddaje się najgorszym uczuciom – nienawiści, zawiści, złości, wpływa na ten świat. Zwłaszcza kiedy kieruje

te uczucia na

innego człowieka. Widziałeś te dziwaczne stwory, które biegają tu po murach, małe, pokraczne, chowają się jak szczury, kiedy przechodzisz? Te, na które polują koty? To myślókształty. Mówiłem ci, że tu nawet przedmioty mają dusze. Uczucia też. Te stwory powstają właśnie dzięki złym myślom. Rodzą się z nienawiści. Czasami jednak człowiek robi to obsesyjnie, w każdej minucie, spala na to całą energię. Wtedy otwiera się na zło. Chce pomocy, żeby niszczyć. Nie może zniszczyć fizycznie, więc próbuje mentalnie. I czasami zdarza się, że coś przychodzi, żeby go wykorzystać. Zazwyczaj to po prostu demon. One chcą przejść do naszego świata i jeżeli mają jakąś możliwość, wciskają się do ciała człowieka, który daje na to przyzwolenie i przejmują nad nim kontrolę. To nawiedzenie. Tak też stało się z twoją byłą. Tylko że ona przyjęła samą matkę demonów.

Jest wiele legend o Lilith. Mówi się, że była po prostu nieszczęśliwa i została niesprawiedliwie potraktowana. A według innych, była wściekłą suką, która wolała gzić się z diabłami i od początku nienawidziła swojego męża. Miała go za nudnego nieudacznika. Patronka małżeńskich konfliktów, intryg, wrogości i nielojalności, przekonana, że to ona zawsze ma rację. Podobno została przeklęta i teraz rodzi kolejne demony, żeby zemścić się na rodzie Adama. Wieczna mścicielka, karząca za męską niestałość, za wszelkie przywary, za upodobanie do przygody, za to, że mężczyzna nie słucha, nie interesuje się, nie zapewnia, czepia się, pali, śmierdzi, ogląda mecze, za to, że jest mężczyzną. Brzmi znajomo? Twoja Dorota gotowa była zwalić ci na łeb samo piekło, byle tylko się zemścić, i tak się stało.

A teraz ma Magdę.

– Dorota ma duszę Magdy?

– Nie. Ona nawet sobie nie zdaje sprawy z tego, co robi. To Lilith przez nią działa.

– Co chcesz zrobić?

– Wchodzimy, zabieramy Magdę, przeprowadzam ją, wiejemy do domu. Teoretycznie.

Alderon roześmiał się gorzko.

– Nie musisz iść, jeżeli nie chcesz. – powiedziałem do niego.

– To raczej moja robota. To ja tu jestem błędnym rycerzem, ty jesteś tylko psychopompem – najemnikiem. Pewnie, że idę.

Nad miastem podniósł się szum. Miliony szeptów, chichotów, zawodzenie, wszystko to zlało się w jeden pomruk. Na ścianach budynków zaczęły nagle mrowić się myślokształty, ulicami przebiegały grupki ghuli, skeksowie, szczękacze i mnóstwo innych stworów, na które jeszcze nie wymyśliłem nazw. Wyglądało to, jakby leśne zwierzęta uciekały przed pożarem lasu. Alderon wstał z ławki.

– Co się dzieje?

– Wyczuła go – powiedziałem. – Nadchodzi. Nie mamy czasu.

Szliśmy obok siebie, Alderon z obnażonym rapierem i zdjętym płaszczem w drugą rękę, ja z kordelasem w dłoni i lufą obrzyna opartą o ramię, a Paweł z tyłu, rozglądając się trwożnie, z gołymi rękami.

Budynek wyglądał normalnie i cicho.

Nacisnąłem klamkę i uchylłem drzwi na klatkę schodową.

– Kiedyś tu mieszkałem – szepnął mój siostrzeniec.

Na klatce schodowej pachniało stęchlizną, wszędzie unosił się popiół. Było cicho.

Otworzyłem drugie, wahadłowe drzwi i wleźliśmy na trzy skeksy.

W jednej chwili spokój prysł, a zapanował chaos. Alderon machnął furkoczącą peleryną, błysnął rapier, ja wystrzeliłem z obu luf naraz. Nad tym wszystkim wzniósł się grzmiący syk wściekłych skeksów i wrzask mojego siostrzeńca.

Zwyciężyliśmy. Alderon krwawił świetlistymi kroplami i, kaszląc, opierał się na poręczy schodów, ja usiadłem na stopniu, kordelas wyleciał mi z dłoni. Na nogawce nad kolanem rozlewała mi się świecąca jak neon plama.

Z zewnątrz narastał szmer. Szły tutaj.

– Nie ma czasu – stęknąłem, wyrzucając z luf pełne łuski i ładując dwie puste. Szliśmy na górę. Stopień po stopniu.

Na podeście czekały na nas modliszki, jak rzeźby z rtęci. Bezokie łby odwracały się do nas, jeden po drugim, rozległ się suchy grzechot, jak od rozzłoszczonego grzechotnika.

Wystrzały, wściekły wrzask, świst ostrzy.

Mieliśmy wprawę, ja i Alderon. Rutyna. Byliśmy w tym dobrzy.

Paweł zatrzymał się.

– Tu nie było takich sal – wyszeptał. – Nie było takich spiralnych schodów, ani kolumn. Pomyliliśmy budynek.

– To tylko Ka – uspokoilem go. – Lilith zmienia budynek pod swój gust.

Po ścianach zaczęły przemykać pierwsze myślokształty, jak małe ośmiornice ulepione ze smoły. Czas naglił.

Kolejny podest, kolejna bijatyka, więcej naszej świecącej krwi na ścianach i podłodze.

Dotarliśmy na miejsce.

Ściana obrosła spiralnymi kolumnami i gargulcami, ale drzwi zostały te same. Banalne, obite drewnem, z tabliczką i dzwonkiem.

Paweł stał przed nimi i nie mógł się ruszyć.

– Naciśnij klamkę – warknąłem. – To łatwe.

Na dole słychać było szuranie wielu nóg. Mieszkanie za drzwiami wyglądało zwyczajnie. Mgliste, mdłe Ka ukazywało zwykłe meble, krzesła i stoły.

– Dlaczego tu jest normalnie? – spytał Paweł.

– Ty to sprawiasz. To były twoje rzeczy. Znają cię.

Dorota spała w sąsiednim pokoju. Leżała z brzegu łóżka, mglista i niewyraźna. Filigranowa blondyneczka. Włosy koloru brudnej słomy były rozsypane na poduszce. Obok, jak przytulanki, leżały gliniane figurki. Były ostre i wyraźne. Należały do świata Pomędzy, nie było po nich śladu po tamtej stronie.

– Zabieraj to! – krzyknąłem.

Paweł posłusznie rozpiął koszulę i zaczął wpychać figurki za pazuchę.

– Co to jest?

– Potem!

Sylwetka leżącej na łóżku dziewczyny zrobiła się nagle wyraźniejsza. Przekręciła się na plecy sennym ruchem i nagle rozłożyła szeroko nogi. Jej brzuch raptem wydał się jak balon i zaczął rytmicznie falować. Patrzyliśmy w milczeniu jak urzeczeni. Filigranowa, niepozorna blondyneczka.

Jej ciało nagle wygięło się jak łuk, pod skórą naprężyły jej się wszystkie mięśnie, nogi wbiły się piętami w materac. Spomiędzy jej ud chlusnęła struga mętnego osocza i wyslizgnęło się coś splątanego, owiniętego w błoniasty pęcherz. Łatwo.

Jak u kotki.

Pęcherz pękł nagle, rozcięty małymi, ostrymi jak żyłki szponami, z kłębowiska członowanych kończyn wychynął obły, lustrzany łeb.

Modliszka.

Obrzyn huknął niespodziewanie, stworzenie zmieniło się w smugę srebrnego dymu zassaną do lufy. Wyrzuciłem pełną łuskę.

Dorota otworzyła nagle oczy. Brudnożółte, z krwawymi tęczęwkami. Oczy bestii. A potem wydała z siebie ogłuszający, wściekły wrzask.

I zaczęła rosnąć. Na łóżku nadal została mglista sylwetka niepozornej blondyneczki, a przed nami prostowała się wielka, smukła kobieta, o

skłębionych, miedzianych włosach i płonących czerwienią oczach. Lilith.

Matka demonów.

Sięgała głową sufitu. Na wpół wspaniała, ruda dziwa, na wpół potwór. Cofaliśmy się, zbici w gromadkę, ja trzymałem bezsensownie uniesiony, śmieszny, mały obrzyn.

Alderon nagle zrobił krok do przodu i zastąpił jej drogę.

– Wiejcie! – warknął przez ramię.

– Alderon, nie! – wrzasnąłem. – Zginiesz!

– Zabieraj go i uciekaj! – odkrzyknął. – Ja już nie żyję od pięciu lat i dobrze o tym wiesz.

Sięgnął pod swój kaftan i wyjął coś, co nosił na szyi. Nie wiem, jak wyglądało, ale wiem, co to było. Może figurka z jajka z niespodzianką, może magiczny amulet, który dostał od taty. Coś, co sprawiło, że dziewięcioletni chłopiec, który wpadł na rowerze pod ciężarówkę, trzymał się życia. Nadzieja. Zerwał to z szyi i nagle cały wypełnił się oślepiającym światłem.

– Uciekajcie!

Wyszliśmy na schody. Przed zbity tłum demonów, syczących, szczerzących zęby.

– Wyjmij figurki! – krzyknąłem.

Siostrzeniec posłuchał. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął terakotowy dzbanuszek. Tłum zafalował i nagle pękł. Stojące bliżej zaczęły się cofać, napierać na stojące z tyłu, a przed Pawłem utworzyła się luka. Istoty rozstały się.

Bały się podejść nawet do tego, co należało do niej. Do matki.

Zeszliśmy po schodach, a potem przed budynek. Tłum rzedniał. Odstępowały od nas. Podeszliśmy do motocykla. Na baku siedział rudy kocur, który miauknął na nasz widok i podsunął łebek do pogłaskania, a potem naostrzył pazurki o siodło Harlena i zeskoczył w mrok.

Paweł nagle stanął jak wryty.

– Magda!

– Stłucz figurki – poleciłem.

– Po co?

– Rób, co mówię!

Cisnął pierwszą o chodnik. Gliniane odłamki rozprysły się wokół, w obłoku żółtego dymu.

– Co to było?

– Nie wiem. Może twoje zdrowie, a może fart. Tłucz, mówię. Ja muszę tam wrócić.

Schody były już puste i wyglądały normalnie, jak schody w przedwojennej kamienicy. Wszedłem aż na górę i znalazłem byłe mieszkanie mojego siostrzeńca.

Alderon wpółleżał, oparty o ścianę, cały aż świecił od krwi. W rękę trzymał rękojeść rapiera ze złomkiem ostrza.

Rozkaszał się i na brodę popłynęła mu świetlista struga.

– Znajdź... mój kapelusz...

Kapelusz został w sypialni, wszedłem tam i znalazłem go na podłodze. Na łóżku spokojnie spała mała, niepozorna blondyneczka i śniła o zemście, obejmując poduszkę.

Ssała kciuk.

Odniosłem kapelusz, nasadziłem go Alderonowi na głowę i pomogłem mu wstać. Leciał przez ręce.

– Nazywam się Błazej...

– Nazywasz się Alderon – powiedziałem stanowczo. – I pokonałeś matkę demonów.

Zakaszła znowu.

– Nie... Odeszła tylko... Ona jest wieczna. Wróci, kiedy jakaś rozgoryczona kobieta ją znowu przywoła.

– To nieważne. Zwyciężyłeś.

– Przeprowadzisz mnie?

– Tak – powiedziałem.

– Należy ci się... obol...

Pokręciłem głową.

– To ja jestem ci dłużny. Alderon?

– Tak?

– Jeżeli... Jak już tam będziesz, jeżeli znajdziesz sposób, jeżeli to możliwe... Wróc i powiedz mi, co tam jest. Dokąd odchodzimy.

– Dobrze. Spróbuję...

Objąłem go.

– Leć – powiedziałem. – Leć do światła.

Na dole, przy motocyklu mój siostrzeniec stał wśród potłuczonych skorup i tulił swoją dziewczynę. Oboje płakali. Podeszedłem powoli, szurając butami w popiele. Popiół i kurz. Dotknąłem jego ramienia.

– Już czas.

– Nie! – krzyknął. – Pozwól jej zostać!

– To nie zależy od niego – powiedziała Magda. – Muszę. Wypuść mnie.

Pocałowała go i podeszła do mnie. Objąłem jej szczupłe ciało i po raz kolejny tej nocy, słup białego światła wbił się w purpurowe niebo świata Pomiędzy.

Wracając pustymi ulicami, milczeliśmy obaj. Tylko koła wzbijały popiół. Popiół i kurz...

Rano zastałem go siedzącego na łóżku. Kręcił z niedowierzaniem głową.

– Gdybyś... wiedział co mi się śniło... – wyjąkał. – To było... Chyba zwariowałem. Ty też mi się śniłeś, wuju.

– Koszmary zdarzają się po lekach – powiedziałem łagodnie.

– To dziwne – powiedział mój siostrzeniec. – Czuję się dużo spokojniejszy. Jakbym znowu mógł żyć. Nie rozumiem. Jakoś się z tym wszystkim pogodziłem.

Pokiwałem tylko głową.

Poszedł po śniadaniu. Ubrał się, ogolił, zabrał torbę i wezwał taksówkę. Podziękował mi. Powiedział, że teraz już sobie da radę.

Usiadłem na tarasie i spojrzałem na śliwy. Pomyślałem, że teraz przez jakiś czas nie będę pracował.

Potem długo nie słyszałem o moim siostrzeńcu i nie próbowałem się dowiedzieć, jak mu się powodzi.

Jakiś miesiąc później dostałem przesyłkę bez adresu zwrotnego. Zwykła, pęcherzykowa koperta. W środku nie było listu, tylko dwa kwadratowe pudełka z przezroczystego plastyku. W każdym leżał krążek wypolerowanego czystego złota, na którym odbito nieregularny okrąg z uproszczonym rytem przedstawiającym skaczącego delfina i niewyraźnie odbitymi greckimi literami.

Obol.

Pomyślałem, że powinienem kiedyś zadzwonić do mojego siostrzeńca i zapytać go, jak się ma jego była, ale wiedziałem, że tego nie zrobię.

Wydobyłem monety z pudełek i puściłem bączka na blacie. Wirowały z przenikliwym dźwiękiem, łapiąc światło biurkowej lampy.

Obol dla Magdy.

I obol dla Lilith.

Popiół i kurz... – pomyślałem.

17 lipca 2003

EuGeniusz Dębski

Valca Demona

Bóg zarechotał. Wyciągnął w kierunku Valki wskazujący, grożący i „zapowiadający” palec. Tak ojciec zawsze zapowiadał wymówki, wyrzuty, pretensje... Kary... Bóg... Ojciec...

Valca rozejrzała się z rozpaczą, dokoła jednak nikt nie słyszał śmiechu bóstwa, albo wszyscy udawali, że nie słyszą. Odwróciła się do boga i, zaskoczona, zamrugła oczami – fotel był pusty! Ale jednocześnie groza i przerażenie wpiły się dwoma szpalerami kłów z obu stron szyi, tuż pod uszami: każde poruszenie głowy musiało wywołać straszliwe zaciśnięcie szczęk, musiało doprowadzić do zgruchotania kręgów szyjnych.

Valca pomyślała, że zaraz się zsika w majtki...

... i obudziła się.

Po wewnętrznej stronie uda rozlewała się plama ciepła.

– Szkurwasz mać! – rzuciła i wyskoczyła z łóżka.

Włączyła światło. Pościel była sucha, pizama – nie. Zgasila światło, żeby nie budzić Shiwy, a raczej, żeby nie zobaczył jej kompromitacji, i pomaszerowała pod prysznic. Mokre spodenki zdarła, wrzuciła do pralki i weszła do kabiny.

„Już? – pomyślała. – Trzydzieści dwa lata i nocne moczenie? Nietrzymanie?! Czy to tylko z powodu snu? Trzydzieści dwa lata, ledwo napoczęte! No nie, tak nie może być!”

Zdecydowała, że po południu odpuści trening i wybierze się do... lekarza...? Jakiego? Do tego wała, fundowanego przez firmę, której szefostwo czerpało w tym względzie wzorce z filmów z Michaeliem Douglasem? Do reformatora dusz, usprawniacza umysłów, psychotrepa Mulista?

Poczuła, że pęcherz znowu przypomina o swoim istnieniu. Ulżyła sobie, nie przerywając prysznic. „Może to jakieś infekcyjne zapalenie czegoś tam: cewki, dróg moczowych, pęcherza... Może coś z nerkami?”

Włączyła tryb namydlenia. Woda zmieniła kolor na różowawy, a skóra stała się śliska. Chwilę później Valca przywróciła strumień normalnej wody, spłukała mydliny.

Była za dziewięć piąta. Nie warto już było kłaść się spać. Valca poszła do kuchni, włączyła zaparzarke, sięgnęła po puszkę z herbatą pu-erh i znieruchomiała. Puszki nie było. Inaczej – była, ale inna! Nie owalna, ciemnobrązowa, ze złoceniami na dolnej i górnej krawędzi i z tłoczonym wieczkiem. Zamiast niej stała trójkątna, z góry wyglądała jak klin wycięty z dużego kawałka okrągłego sera. Takiej puchy nigdy nie było w domu.

Dotąd.

Teraz była.

Otworzyła ją, zajrzała do wypełnionego suchymi liśćmi wnętrza. Zwykła czarna herbata, jakiej od dwu lat nie brała do ust. Odstawiła puszkę, rozejrzała się, zajrzała do kilku szafek, do kubła na śmieci. W połowie ruchu przypomniała sobie, że sama wynosiła go wczoraj wieczorem, ale i tak zajrzała. Puszki pu-erha nie było.

Czyli Shiwa zrobił porządek z jej herbatą. Bo co innego? Kto?

Omam nie zaklęła, ale to by znaczyło, że czuje się dotknięta, a starała się utrzymać kochankę w przeświadczeniu, że nie jest w stanie jej zranić czy dotknąć, że to ona dyktuje warunki, ona tu rządzi... Zaparzyła więc porcję... co to było? Rjina van Merckla...? Czekając, aż naciągnie, chwyciła puszkę z kawą Shiwy i wysypała zawartość do zlewu. Nienasycony młynek migiem rozprawił się z wulkanicznym stożkiem z kawy. Valca przez chwilę czuła się kiepsko – ruch był banalny, trywialny, a ona unikała prostego, tandetnego życia jak mogła, ale po chwili

uzmysłowiła sobie, że Shiwa potrzebuje czasem takiego prostego kopniaka, takiego prztyczka, który mu uprzytomni grzędę i miejsce na niej.

Popijając nijaki napar, przejrzała pocztę, wysłała antyspamowe tornada pod kilka adresów, z których jacyś durnie odważyli się podesłać jej reklamy, wysłała CV do dwóch interesujących firm. Zażądała w nich bardzo wysokiego wynagrodzenia, a czemu nie? Nie będą chcieli dać, to się nie odezwą, a Valca, jak na razie, ma się dobrze w Gort Holeswitz, pośpiechu nie ma, nacisku nie ma, jest chęć przeniesienia się wyżej, gdzie zasobniej, ale – bez natężania się, bez natężania.

Drugą porcję herbaty wylała do zlewu. Atak złości, pierwotnej i nieeleganckiej, spowodował, że nie obudziła Shiwy, wyszła, zamawiając taxi. Zdziwiła się, że śnieżnobiałe wozy korporacji March zostały upstrzone ogromnymi czerwonymi kołami na masce i bagażniku, skrzywiła się w duchu, ale nie chciało się jej dziś z rana podejmować decyzji o ewentualnym korzystaniu lub nie korzystaniu z usług tej firmy. Ale jakby rozzłościło ją, że bez porozumienia z nią, bez pytania...

W swoim pokoju od razu skierowała się do komórki zaplecza, zaparzyła ostrą porcję pu-erh i z przyjemnością wysiorbała kilka łyków. W powszechnej opinii herbata miała smak wywaru z worka po kartoflach. Jej smakowała inaczej. I-NA-CZEJ. Dlatego ONA ją piła.

Chwilę potem bluznęła z niej zawartość obu kubków – pierwszy paw zalał biurko, był zaskakujący i piorunujący, nie do skierowania. Valca ryknęła i zapaskudziła swoje miejsce pracy, dopiero potem odwróciła się i runęła na zaplecze, ale zanim dotarła do umywaleczki, jeszcze jedna porcja żołądkowej treści wychlusnęła z niej na podłogę. Tyle udało się jej osiągnąć: nie na ścianę, skierowała wymioty na podłogę... Dobięła do umywalki i jeszcze jedną, a potem kolejną porcją plwociny zabrudziła małą, stalową muszlę z wytrawionymi falami. Strumień wody szybko sobie poradził z rzadką, brązową cieczą. Valca długo odcharkiwała, potem

splukała usta, zdjęła żakiet, przesunęła krawat na plecy, umyła twarz, schłodziła ją w strumieniu zimnego powietrza z suszarki.

– Szkurwa... – jęknęła, przypomniawszy sobie biurko. Zastanawiała się chwilę, potem splunęła na podłogę. Wdusiła taster interkomu, z którego kuchennej odnogi korzystała niezmiernie rzadko. – Hil? Proszę przysłać tu ekipę sprząającą. Mają migiem oczyścić biurko...

– Co...

– Zamknij się i zrób to, co ci powiedziałam, OK? Jestem niedysponowana i wkurwiona, więc mi nie przysiadaj na ogonie!

– Ja nigdy...

– Zamknij się, kurwia maź! Sprzątaczkę do mnie i trzymaj jadaczkę w chłodzie, rozumiesz?

Wyłączyła się.

No i się wyjaśniło. Niepotrzebny jej psychotrep, ani test wirt-spirytualny. Bakteriolog – tak, internista – owszem, gastrolog może, ginekolog w końcu. Ktoś zastukał do drzwi gabinetu.

– Wejść! – krzyknęła, nie ruszając się z miejsca.

– Pani Sanersa? Co mam tu sprzątnąć? – rozległ się po chwili kobiecy głos.

– Biurko, cholera, biurko! – warknęła. – I podłogę! Ślepa jesteś?

Przez chwilę panowała martwa cisza. Potem coś szurnęło, nastąpiło bezdźwięcze.

– Ale ja nic tu nie widzę... – cicho powiedziała kobieta.

Valca zrobiła krok i zrozumiała, że nic nie rozumie.

Podłoga kuchenki była nieskazitelnie czysta! Odwróciła się błyskawicznie, ale już w połowie ruchu uświadomiła sobie, że umywalkę sama przecież opłukała. No tak było – brak najmniejszego śladu plwociny na połyskującej matowo blasze. Tylko kilkanaście półkropel wody osiadło na jej powierzchni. Ostrożnie podeszła do otworu drzwi. Podłoga była

czysta. Biurko było czyste. Czysty fartuch sprzątaczk. Garść czystych serwet w jej ręku, czysty mop...

– Przepraszam – Valca wzięła się w garść. – To nie ten pokój. Jak sobie przypomnę, gdzie mi się wylała kawa, to panią zawołam. Dziękuję.

Kiedy tamta wyszła, zbliżyła się do biurka. Papiery były suche, matryca net-topa też, ani kropli czegokolwiek wilgotnego, wszystko suche, jak zawsze, w końcu, na biurku!

CO JEST GRANE?!

Przepraszam, czy komuś tu zbyt ciasny beret nie wygładził przypadkiem fałd na umyśle?

Zwaliła się w swój fotel, taki wygodny, chłodzący, grzejący, masujący, i kołyszający, i grający...

Wkurwiający! Poderwała się i podeszła do matrycy okna. Przyłożyła czoło do elastycznej błony, chłodnej i delikatnie wibrującej. Poczowała tikowe drżenie powieki i jakiegoś mięśnia na policzku tuż pod okiem.

„Matko-matko-matko... Co się ze mną dzieje? Najpierw zeszczalałam się w łóżku, potem... Zaraz! A może...?!” Gorączkowo rozważała pewną myśl, jaka nie- spodziewanie pojawiła się w jego głowie. Imaginacja! Wyobraźnia! Miraż lub złudzenie?!

„Jeśli wydawało mi się, że narzygałam w gabinecie, to może ta zmoczona piżama też jest tylko złudzeniem? Ale czy to lepiej, że mam takie miraże? Boziu, co robić, co robić...? Zadzwoń do Shiwy? Tak! Nie! Po co? Co mu powiem: obwąchaj moje majtki? A jeśli nawet są mokre, to co to zmieni w kwestii rzygania, pozornego rzygania? A jeśli są suche, to co to zmieni w tejże kwestii? Szkurwasz mać! Czyja zwariowałam? Musiałam, bo co innego...?”

Odsunęła się od fantomokna, usiadła, położyła ręce na biurku. Patrzyła na swoje dłonie, a palce, jakby pod wpływem znajomego spojrzenia, zaczęły drżeć. Zacisnęła je w pięści i zdjęła z biurka, zanim drżenie przeniosło się na całe dłonie.

Odezwała się pimplik telefonu, co zaowocowało falą zimnego potu na czole.

– Tak? – rzuciła po kilku kaszlnięciach i chrząknięciach.

– O której walimy do klubu? Zaraz po pracy czy dasz mi pół godziny na zakupy? Urodziny Calantany, rozumiesz...

– Słuchaj...

„Co powiedzieć? Ile powiedzieć? Yogerdea jest przyjaciółką, ale i podwładnym... Może wykonać „obejście”, jak i ja kiedyś, i wskoczyć na moje miejsce...”

Nagle zdecydowała się:

– Nie mogę iść do klubu, wypadło mi coś... Ale nawet nie pytaj co. Jak chcesz wiedzieć, spotkajmy się w dupie.

– OK – rzuciła zdziwiona Yogerdea i rozłączyła się.

„Dupą” dwie ostre młode yuggies nazywały mały kąt na parkingu, gdzie nie sięgały, jak zdradziła komnet ochrony, czujniki, słuchofony i kamery.

– Co się dzieje? – zapytała nerwowo Yogerdea, gdy Valca dotarła do dupy.

– Nie wiem, czuję się kiepsko, nawet nie potrafię powiedzieć, jak kiepsko i z jakiego powodu... Dokoła mnie dzieją się dziwne rzeczy, których nie potrafię wytłumaczyć... Poczekaj! – powstrzymała ruchem ręki rodzące się pytanie przyjaciółki. – Zniknęła na przykład moja herbata... – Uświadomiła sobie jedną rzecz i od razu ją zwerbalizowała: – A pojawił się gatunek kawy, którego Shiwa nigdy nie zamawiał. Potem... – opuściła moczenie w piżamę -...potem już w biurze nagle rzygnęłam na biurko, i drugi raz przed umywalką... A kiedy przyszła sprzątaczką, nie było śladu po hacie! I jeszcze coś było, ale nie potrafię sobie przypomnieć... Dręczy mnie, tuż pod kopułą leży...

Potarła skronie, potem policzki.

– Hm... Nie wiem, co powiedzieć... – bąknęła Yogerdea.

– Wiem, nie dziwię się... Mam podstawy sądzić, że... że... że się rozjechałam, zwariowałam... Że jakaś część mojego rozumu trzyma się kupy i widzi coś, co robi in

na część, albo co imaginuje sobie druga część, ta kopnięta. Matko!

Przeszła się w koło, trzymając pięści zaciśnięte w górze, jakby grożąc komuś czy dopytując się o coś. Yogerdea stała, z zakłopotaniem przestępując z nogi na nogę, pocierając knykcie lewej dłoni opuszkami prawej.

– Wiesz co... – zaczęła, bez wątpienia jeszcze nie wiedząc, jakie będzie następne słowo -...póki co i tak nie masz nic do roboty... Mam na myśli, że nie możesz pójść do naszego lekarza, bo... wiesz... – Valca prychnęła przez nos: „Wiadomo, rozniesie się i zredukują!” – Jeśli więc masz iść do koniowała czy psychotropa, to musisz mieć jakiś pewny namiar, na jakiegoś zaufanego i lojalnego lekusia, nie do jakiejś sprzedajnej mendy. Na razie takiego nie masz, prawda? No to zostaje ci autobadanie, czyli postępowanie jakby nic się nie wydarzyło, i obserwacja. Notowanie. Ale wiesz! Notowanie nie na jakimś papierku, co to Hil znajdzie i zanieś do Wała dwa piętra wyżej, nie. Może nagranie albo nawet notatki, ale zakamuflowane... Na przykład, że opisujesz czyjeś doznania, może odbiło ci i piszesz opowiadanie, albo powieść, caperte?

– Capertissimo... – zareagowała rytualnie Valca.

Rozmowa z Yogerdeą, racjonalna reakcja przyjaciółki, przepis na kilkanaście najbliższych godzin nieco uspokoiły Valkę. Yogerdeą nie dziwiła się, nie krzywiła, nie śmiała, nie uciekała...

Możemy... O, tak by było dobrze: siądziemy w konferumie i wylistujemy w końcu towary nieprzechodnie. I tak mamy to zrobić, i tak, prawda? No to nie odkładajmy na kiedyś, tylko zróbmy to dziś. Będę przy tobie, i nikt nie będzie się temu dziwił.

– Yogerdea... Kurdino... – Valca aż się wzruszyła. – Ja...

– Dobra, nie trzepocz się. Masz pendisc?

Wymacała pióro w kieszeni, skinęła głową.

– No, to idziemy tam, powiadomisz swojego Hila i już. Idziemy – powtórzyła, klepiąc Valkę w ramię. – A przy okazji, trącnęłaś już tego

swojego sexytarza?

– Spadaj, Yogrie – uśmiechnęła się słabo Valca. – Przecież ci powiedziałam, że będziesz ostatnią osobą, która się o tym dowie.

– Ostatnią to będzie Hil, jak mniemam – roześmiała się głośno Yogerdea.

– Spadaj...

Zrobiła dwa kroki i, przypomniawszy sobie, że nie może iść do klubu, bo nie wzięła kul, odwróciła się.

Dupa była pusta.

Yogerdea nie mogła się ukryć – gołe, betonowe ściany bez wnęk, brak okien i filarów, jedyna droga do załomu zwanego dupą prowadziła tędy, a tu stała Valca. Po chwili umysł, jakaś racjonalna część umysłu podpowiedziała, że teraz jest w zasięgu oczu kamer, i w końcu ktoś zainteresuje się, dlaczego starszy protektor Valca stoi jak słup soli z wytrzeszczonymi w ciemny kąt garażu oczami.

Z wysiłkiem, niemal słowo po słowie wysyłając komendy do członków, odwróciła się i pomaszerowała do swojego gabinetu.

„Z kim rozmawiałam? – myślała po drodze. – Wymyśliłam sobie rozmowę z Yogerdeą? To może w ogóle wymyśliłam sobie Yogerdeę? Może nie istnieje taka moja przyjaciółka Yogerdea? Może nigdy nie piłam tej pierdolonej pu-ehr? Może Hil to mój mąż? Może... Mamo?... Co się ze mną dzieje? Iść porozmawiać z Yogerdeą? A jak znowu się okaże, że po rozmowie zniknie? Kurwasz... Co z tego dookoła mnie jest prawdą, a co zaraz zniknie albo się zmieni?!”

Dotarła do windy. Wsiadła, choć przez głowę przemknęła myśl, że jeśli jest złuda, to runie osiemdziesiąt kilka pięter w dół...

Nie runęła.

„Ale jak mam żyć, skoro jakaś część mojego umysłu serwuje mi fantony i zwidy?”

Noga za nogą, na swoje szczęście nie spotykając nikogo, dowlokła się do biura. Hil zmierzył ją spokojnym spojrzeniem, widocznie sprzątaczką nie podzieliła się z nim swoimi obserwacjami.

– Dziś mija ostateczny termin podjęcia decyzji o spotkaniu z grupą Kajman – powiedział sekretarz.

– Tak... Tak? Proszę... – Rozpaczliwie usiłowała podjąć jakąś decyzję, a potem umotywować ją racjonalnie, ale nic nie przychodziło jej do głowy, więc powiedziała po prostu: – Proszę mnie z nimi umówić. Za jakiś tydzień, może dziesięć dni...

– Oni chcieli wcześniej.

– Tak, wiem, ale to im zależy. Tydzień.

Ruszyła w stronę swojego biura, ale zatrzymała się, odwróciła i skierowała z powrotem w stronę wind.

– Już mnie nie ma – rzuciła w kierunku Hila. – Mam spotkanie na mieście. Do widzenia.

Czasem tak bywało, sekretarz nie powinien nic podejrzewać.

Zjechała na dół, po drodze zastanawiając się, w jakim kierunku powinna się udać, gdzie szukać pomocy, kogo o nią zapytać. Nie znalazła w sobie takiego zamiaru. Chwilę stała w holu, ale uznała, że to nie jest najlepsze miejsce, dla wyglądającej na zagubioną czy chorą szefową działu. Wyszła i skierowała się do parku, tam wskoczyła w pneumo, pozwoliła się nieść zestawowi, nawet nie sprawdziwszy w jakim kierunku.

W głowie tratowały się, rozpychały i miały we wszystkie strony oszalałe myśli. Migotały strzępy wspomnień z ostatnich godzin, jakieś obrazy, fragmenty zdań, pojedyncze słowa... Usiłowała skoncentrować się, uspokoić, wyciszyć. Niemal fizycznie ingerując w umysł, poskładała myśli, poupychała je, uciszyła. Przypomniała sobie dwa ćwiczenia mentalne z kursu fendai, wykonała, powtórzyła jeszcze raz. Niewiele pomogło, ale

przynajmniej przekonała się, że może skoncentrować się na jednym temacie.

Fakty...?

Właśnie, są fakty czy nie ma faktów? Skoro prowadzi rozmowę z wyimaginowanym interlokutorem, to o jakich faktach może być mowa? Ale i tak, spróbujmy to zebrać. W miarę chronologicznie. Sen – raz? Nie, chyba nie. Co, że śnił się jej rechocący bóg? Zmoczona pizama... Starzejemy się. Nie, to nie są dziwne fakty, dopiero herbata. Przecież pamięta pokpiwania Shiwy, że pije wywar ze śmierdzącego wędzoną makrelą wora po ziemniakach. Na pewno pijała pu-ehr od dobrych dwu lat. Dlaczego więc nagle wyparowała puszka? Jeśli to nie głupi dowcip Shiwy, to co? Po drugie, wyimaginowana rozm... Nie, kawa! Nigdy nie było w jej domu kawy White Elephant. Dlaczego niby Shiwa miałaby jednego wieczora, bez jej, Valki, wiedzy i aprobaty, dokonać rewolucji w dziedzinie kawy i herbaty? Potem... Coś jeszcze działo się podczas drogi do pracy, tylko co? Nieważne na razie. Potem napiła się herbaty w biurze i natychmiast ją wymiotowała na biurko, na podłogę i do umywalki. A! Taksówki March zmieniły barwy firmowe. Tak! I zawsze były to wozy Dougen-Ward, a dziś podstawiony była zwyczajny toycayo. Czyli – jeszcze raz: herbata, kawa, taksówka, znowu herbata. I pointa – rozmowa z Yogerdeą, której nie było.

Czy może była?

Nie miała odwagi zadzwonić do przyjaciółki.

„Spokojnie. Spokojnie. Valca, pizdo głupia, uspokój się. Przez trzydzieści lat wciskałaś wszystkim, że jesteś niezwykła, wciśnij teraz to samej sobie – pomyślała. – Sytuacja jest jakaś... niezwykła, akurat dla ludzi niezwykłych. Działamy spokojnie i metodycznie, rozważnie, celowo, racjonalnie...”

Odchyliła głowę, odetchnęła głęboko.

„Świat dokoła mnie się – moim zdaniem, zdaniem części mózgu – zmienił. Zobaczymy, co się zmieniło. Czy mogę to zobaczyć...?”

Popatrzyła na swoją garsonkę. Niewątpliwie Lutebaccio. Czyli dobrze. Paznokcie, kolor dobry. Zobaczymy makij... A, zobaczymy samą torebkę! Otworzyła ją. Bałagan.

„Hm? Czy ja mieszkam w torebce bałagan? Zdarza się, rzadko, ale zdarza. Dobra, czyli ten burdel, to jeszcze żaden dowód. Co więc tu mamy: pismak... Adresy? Moje... dobrze, to się zgadza. Connector... dobry... Vizazerka...? Tak, moja, i marka, i kolory się zgadzają... Kosmetyki kobiety wyzwolonej, kilka piercingów, ringi, natryski... A... to... co... jest?”

Na samym dnie torebki leżał płaski sztyft, dwanaście, może czternaście centymetrów długości, wygięty na końcu i pokarbowany, wygodny przycisk. Broń! Nigdy nie miała broni! Radziła sobie słowem, wyglądem, czasem używała kick-boxingu, ale spluwa???

Rozejrzała się, nikt na nią nie patrzył, wyjęła dłoń z pistoletem, obejrzała dokładniej, nawet przypomniała sobie, że Yogerdea pokazywała jej taki gadżet kilka tygodni temu, ale nie przekonała jej do zakupu. Ale teraz leżał w torebce. Zdziwiła się, jak mało ją to zdziwiło. Jakby już przyzwyczajała się do hopsztosów otaczającego świata. Nagle pomyślała, że po prostu zapadła na ostrą odmianę Alzheimera, zwyczajnie – dziury w mózgu! Nie pamięta, płacze, konfabuluje... Jak to się nazywa – zespół Korsakowa? Coś z degeneracją ciał suteczkowych? Tak, śmiali się z tego terminu z Shiwą... A teraz nie ma już z czego się śmiać, bo może sama na to zapadła – ma przed oczami maskownicę z dziurami, przez które widzi tylko część świata, a to, czego nie widzi, dorabia sobie w razie potrzeby. I czasem się udaje, mniej więcej trafia, a czasem nie do końca – robiła co innego, wymyśliła coś innego, i wtedy czasem coś się nie zgadza. Ale dlaczego tak nagle, skokowo, i dlaczego teraz?

Upuściła pistolet, zatrzasnęła torebkę, odchyliła do tyłu głowę i odetchnęła mocno kilka razy. Poczowała na twarzy chłodniejszy powiew, leniwie pomyślała: „Zimne powietrze...” Żadna inna myśl nie zwerbalizowała się w umyśle. Odwróciła głowę i popatrzyła na wodę.

Woda...? Skąd tu woda? Nigdy nie było. Ani sadzawki, ani przystani, przy której właśnie zwalniało pneumo... Odepchnęła się z wysiłkiem od poręczy i wstała, walcząc z bezwładem hamującego pociągu, podeszła do wyjścia. Wysiadło kilka zaledwie osób, słusznie – wszyscy pracowali o tej porze.

Valca wolno podeszła do piaszczystego brzegu, zdjęła buty na wysokim obcasie i bosą podeszła do jezora wody, ale nie weszła do niej, jak zamierzała. Woda była brudna, z kożuchem burej piany, kawałkami połamanych trzcin, zbutwiałymi gałęziami, płatami rozmiękłego papieru. Zalatywało od niej chłodem i zaniedbaną, porzuconą piwnicą.

– Ma pani kłopoty...

Powiedział ktoś za nią. Podskoczyła w miejscu, serce załomotało, ręka – odnotowała to z nagłym przestrawieniem – skoczyła do torebki. Jakby sięganie po broń strzelną było odruchem. A przecież, by tak było, musiała ją mieć od dłuższego już czasu.

Odwróciła się.

Stał kilka metrów od niej. Manifestował w ten sposób pokojowe zamiary, uspokajał. Wysoki, bardzo wysoki staruch, chyba dwumetrowy, w wysokim kapeluszu typu grandeco, niemodnym ale nie starym garniturze od Bootzla i wyczyszczonych na jakiś nieludzki połysk, czarnobiałych butach. Skóra na jego twarzy była sucha, ale nie pomarszczona, blada w cieniu szerokiego ronda. Pod rondem kapelusza zimne, przenikliwe oczy, ni to słabo zielone, ni to przejrzyste wodniste, patrzyły uważnie, spokojnie i władczo. Wąski wąs wyglądał jak pozostawiony tylko po to, by uświadamiać otoczeniu, że jego właściciel nie wszył sobie depilaru.

Mężczyzna trzymał dłonie splecione przed sobą na brzuchu, emanacja spokoju i bezpieczeństwa.

– Czego pan chce? – zapytała Valca.

– Pomóc pani – odpowiedział spokojnie. – Kiedy zobaczyłem, jak pani patrzy na to bajoro...

– Jak? – rzuciła agresywnie.

– Jak na drogę ucieczki.

– Chyba sobie pan kpi! – prychnęła. – Dlaczego? Od czego?

– Od demonów. – Nie poruszył się od początku rozmowy. Gdyby nie mówił, można by go wziąć za woskową postać. – Dokuczają pani, widzę to. Tylko nie wiem, czy już na tyle, by zaczęła pani myśleć o uwolnieniu się od nich...

– Bez jaj, dziadziu! – Valca zwerbowała wszystkie swoje siły i wystrzeliła chamstwem. Aż dziw, jak często skutkowały takie wulgarne wycieczki padające z ust kobiety. – Jakie, w dupie, demony? Co to za bełkot? – Wzruszyła ramionami, zrobiła dwa kroki po skosie: nie na niego, ale i nie od niego, tak na ominięcie.

– Czy dużo się już nie zgadza?

Słowa układające się na pytanie nie były zbiorem przypadkowym, takich pytań się nie zadaje, jeśli nie zna się na nie odpowiedzi. Valca zamarła w pół kroku.

– Co pan...

– W pani świecie sporo się zmieniło w ostatnim czasie, prawda? Od kiedy? Długo to trwa?

– Ale co?

– Zmiany. Coś się stało, coś się zmieniło, czegoś pani nie rozumie, coś jest nie na swoim miejscu... – Westchnął, jakby nieco zmęczony, zniecierpliwiony wyliczaniem.

Milczała. Mężczyzna poruszył się po raz pierwszy. Rozplótł tylko dłonie, uniósł eleganckim, archaicznym gestem kapelusz.

– Nazywam się Ader Yu – powiedział. – Z zawodu i zamiłowania jestem demonologiem. Czasem egzorcystą – uzupełnił z naciskiem.

– Egzorcystą!... – parsknęła Valca. – Psychotrep... Psychoterapeuta, znaczy się?

– Czasem...? – zgodził się Ader tonem: „Jeśli trzeba?”

– Nie mam dla pana żadnego... demona... żad...

– Właśnie że tak! – Po raz pierwszy od początku rozmowy mężczyzna się ożywił. Przerwał Valce i nawet kiwnął się, jakby zamierzając do niej podejść. – Ma pani w sobie, moim skromnym zdaniem, cały kłęb demonów. Tylko one jeszcze się nie usadowiły, nie rozsiadły, nie zaczęły sięgać po władzę. Ale uczynią to, może za kilka dni, może za kilka godzin. To różnie przebiega, ale kończy się podobnie.

Nie zapytała jak. Nie chciała wiedzieć. Nie chciała z nim rozmawiać, ale jednocześnie był jedyną osobą, która na pewno coś wiedziała o tym, co się z nią dzieje. Może jeszcze Yogerdea, ale rozmowa z nią mogła być wytworem tylko fantazji, więc...

– Proszę mówić – zażądała.

Ader Yu zgodził się z jej żądaniem, okazał to skinieniem głowy.

Jest pani opętana. Mogę to sprawdzić, najprawdopodobniej mogę pani pomóc. Nie za darmo, ale też nie za duszę, i nie za jakąś ogromną kwotę. Pani przypadłość stała się tak powszechna, że nie muszę żądać fortun, by przyzwoicie egzystować, przy tym mając jeszcze miłe poczucie pozytywnego oddziaływania na ludzkość.

Opętana? Powszechna przypadłość? Wybacz pan, ale trochę tu żyję, trochę się interesuję światem dokoła siebie i nic, kompletnie nic o tym nie słyszałam. W dzisiejszych czasach nowy szczep kataru staje się sensacją medialną, a pan mówi o demonach, i mam wierzyć, że cała ta horda

żarłocznych medioperatorów, żadnych najmniejszego śladu newsa nic o tym nie słyszała?

Słyszeli, sam kilku leczyłem. – Machnął niedbale ręką. – Ale jest coś takiego, jak zmowa milczenia, choć, przyznaję, kilka prób złamania „omerty” było...

– Nie wierzę... To jakieś brednie...

Yu zrobił krok, wyciągnął rękę. Na dłoni leżała standardowa wizytówka połączona giętym kabełkiem z bransoletą comintu. Valca, wbrew swojej woli, wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Adera swoją. Wymiana danych dokonała się w ułamku sekundy, jej bransoletka drgnęła, sygnalizując, że wyrwała się z odrętwienia, wchłonęła dane i przekazała swoje.

– Proszę możliwie szybko przyjsć do mnie. To dwie przecznice stąd. – Widząc, że Valca otwiera usta, uniósł rękę i szybko dokończył: – Proponuję standardową procedurę, bo rozumiem pani obawy: Nieznajomy mężczyzna zaprasza do siebie... Potem się widzi jakieś poćwiartowane zwłoki... Nie, proszę inaczej: proszę wykonać pogłębiony test z minderem, i jeśli wyjdzie pani, że jest zdrowa na sto pięćdziesiąt procent, a jednocześnie nie poznaje pani otoczenia, czuje się, jak przerzucona tu z innego miasta, świata, jeśli zaczepia panią ktoś nieznajomy i pyta, czemu się pani nie pojawiła na urodzinach męża... Wtedy zapraszam. Im prędzej, tym lepiej. Demony mają naturę kleszczy – im dłużej siedzą w człowieku, tym trudniej je zdebuforować.

Valca zdecydowała się nagle, ale często tak działała, polegając na intuicji, zaskakując samą siebie, z dobrym skutkiem:

– Idę z panem. Test zrobię po drodze, to przecież kilka minut.

Ader Yu odsunął się jej z drogi i okrągłym gestem wskazał kierunek. Demonstrując odwagę i wiarę we własne siły, przeszła obok, niemal ocierając się o starucha. Kiedy go minęła, pomyślała, że mógłby teraz jednym uderzeniem kantem kościstej dłoni złamać jej kark, nawet napięła

odruchowo mięśnie, ale nie uderzył. Valca wyjęła z torebki minder, przełożyła łańcuszek przez głowę, podłączyła ssawkę do conectora za uchem. Ader Yu dogonił ją kilkoma długimi krokami, szedł obok w milczeniu, wolno kręcąc na boki głową, jakby rozglądał się w poszukiwaniu kogoś czy czegoś. Valca usłyszała kilka standardowych sygnałów oznaczających początek przebiegu, potem odczuła gdzieś w lędźwiowych partiach kręgosłupa parę „tąpnięć” i serię innych sygnałów przebiegu testu: fala gorąca od czubka głowy do koniuszków palców, łaskotanie w podeszwy stóp, kilka lekkich skurczów przepony.

– Test standardowy – usłyszała komunikat. – Wynik: zero odchyień. Test pogłębiony. Wynik: zero odchyień. Test dogłębny. Wynik: odchylenie zero, przecinek, zero, zero, zero, sześć. Interpretacja: zdenerwowanie. Sprzeczek z partnerem. Złamany obcas. Wylana kawa. Dziękuję.

Wizualizacje odchyień od normy zawsze wydawały się jej idiotyczne, ale dziś po raz pierwszy ucieszyły ją – nie było tak źle, skoro komp szacował jej zdenerwowanie na poziomie złamanego obcasa.

– Im gorzej się pani czuje... Inaczej: im większa rozbieżność między tym, jak pani się czuje i diagnozą kompa, tym gorzej – odezwał się Ader, jakby czytając w jej myślach i utracając dobre samopoczucie w najbardziej nieodpowiednim momencie. – Komp długo nie zauważy niczego złego, a kiedy zauważy, będzie za późno, bo biesy już zawładną panią...

– Biesy... Słyszałam to słowo dotychczas tylko raz w życiu – powiedziała Valca, kompletnie zdezorientowana. – Egzorcyzmy... Gdzie tu sens, gdzie logika? – zapytała, wkładając palec za łańcuszek mindera i wysuwając go do przodu. – Tu mam sprzęg z komputerem, mogę dzięki temu prowadzić myślową telekonferencję z Japonią, zdać egzamin na drugi profesjonalny stopień, mogę... no, wiadomo, wiele rzeczy mogę. A pan mi mówi, że cofam się do jakiegoś tam... wczesnego... czego – średniowiecza? Czy jak się to nazywało...?

Ader milczał chwilę.

– To wszystko nie jest tak bardzo od siebie oddalone, jak się w tej chwili wydaje – powiedział. – Ale brzmi tak niewiarygodnie, że... – Przejechał palcem po wąsiku. – Skrajny przypadek, z jakim miałem do czynienia, to kobieta, która jakby „ocknęła” się na statku... Rozumie pani – nagle idzie po korytarzu, niesie tacę z napojami do kajuty numer jakiś tam. Przedtem nigdy nie była na statku, nie lubi wody, nie znosiła kołysania. Świetnie to pamięta, a tu nagle – praca na wycieczkowym liniowcu. I jest mężczyzną... Ma miejsce w czteroosobowym męskim kokpicie, nazywa się inaczej, ma inne, miała inne – poprawił się – w tym męskim wcieleniu obyczaje... Na szczęście do końca rejsu było tylko cztery dni... Trafiła do mnie, pomogłem jej...

Valca pomyślała nagle, że istnieje inny i to właściwy wariant rzeczywistości. „To nie ja oszalałam. Zwariowałam. To on jest Schizo Fizio. Idę obok faceta bardziej kopniętego niż najbardziej Kopnięty Kapelusznik!” Już miała zwolnić, odskoczyć, rzucić coś na pożegnanie, kiedy jakiś inny fragment umysłu zapytał, co z wcześniejszymi przygodami, kiedy jeszcze nie знаła Adera Yu. Straciła pewność, a przewodnik nagle wskazał ręką przecznicę i budynek po drugiej stronie ulicy:

– Tu mieszkam.

„Ja dziękuję! – pomyślała. – Jeśli to wariat, to bardzo, bardzo, bardzo bogato wariuje!”

– Jeśli nie zwątpiła pani w moje umysłowe potencjały, jeśli naprawdę dopiekły pani demony – zapraszam. Jeśli ma pani wątpliwości, bo rozumiem, że wszystko to brzmi trochę jak bełkot świra, to ma pani przecież mój adres, proszę przyjść później, kiedyś... byle nie za późno.

– Nie...

Nie bardzo wiedziała, na co to była odpowiedź, ale Ader Yu zinterpretował to sam, dotknął jej łokcia palcami i jakby skierował w stronę budynku. Brnąc przez powietrze jak we śnie, przemierzyła z nim pustą jezdnię, weszła przez szklaną, nafaszerowaną czujnikami kichę portierni, pod czujnym okiem dwóch bardzo profesjonalnie wyglądających i spoglądających strażników. Wjechali bezpośrednio do penthouse’u jedną z wind, przy tym wyglądało, że wszystkie prowadziły do jego apartamentu, bo to Valca wybrała drugą z lewej, a Yu nie protestował. Valca słyszała o takim szaleństwie architektonicznym – sploty wind, ale pierwszy raz tonęła w takim przepychu. „Chyba, że to jest ciąg dalszy mojego wariactwa!” – pomyślała nagle i sama poczuła, że ta myśl była wyrazem rezygnacji.

To wszystko ją przerastało.

Wnętrze nie szokowało bogactwem, nie kapało złoceniami. Ha! Po prostu – wszystko tam było osiem, dziesięć, czternaście razy droższe. Kanapa, stolik, dywan, videowall...

– Zapraszam od razu do pracowni, tam się napijemy...

Ader podszedł do wieszaka na ścianie i zawiesił kapelusz na szklanym trzpieniu. Jakiś bogaty nuworysz cisnąłby go niedbale na kanapę albo na podłogę, by robot sprzątnął, ale Ader był bogaczem z klasą. Powiesił go sam.

Przeszła za nim kilkumetrowym korytarzem, ściany którego pokrywały dziesiątki, może nawet setki płaskich, co najwyżej centymetrowej grubości gablot z monetami. Weszli do pozbawionego okien pomieszczenia.

Cztery fotele w kwadracie, w narożnikach tego kwadratu. W jego środku symetrii półkula telewizora, wyłączona... Przy najbliższym od drzwi fotelu mały pulpit na giętym wysięgniku. Gospodarz wskazał fotele, samo przez się zrozumiałe było, że ten z pulpitem zajmie on sam. Valca zajęła ten po przekątnej wyznaczonego przez fotele figury.

– Napije się pani czegoś? Nie? Ale gdyby nabrała pani ochoty – proszę powiedzieć. Tu wszystko jest do pani dyspozycji...

– Dziękuję – rzuciła, zmuszając się do zaakcentowania ponaglenia.
„Do rzeczy, panie Ader. Do rzeczy”.

Ader usiadł, pulpit bezszelestnie, jak giętki kot, wyciągnął się w górę, przesunął tak, że znalazł się nad kolanami mężczyzny.

– Droga pani... – Dopiero teraz Valca uświadomiła sobie, że nie przedstawiła się nowemu znajomemu.

– Palmet, proszę mi mówić Palmet – powiedziała, ulegając nagłemu impulsowi, który kazał jej skłamać. Na wszelki wypadek.

– Droga Palmet. Czy pani coś wie o demonach? – Valca wolno pokręciła głową. – Otóż każda encyklopedia, zapytana o demony, przytoczy potoczne ich określenie, w pewnym, oczywiście, uproszczeniu. Będzie w niej mowa o złych duchach, może coś się wspomni o upadłych aniołach... Ale to są w pewnym sensie bajdy dla prostaczków, a prawda jest taka, że demo...

Za plecami mówiącego otworzyły się drzwi, pojawił się w nich mężczyzna. Trzymał przed sobą jakieś urządzenie, którego wylot, obrzydliwie przypominający lufę silnej strzelby magnetoryjnej, skierowany był przez chwilę w Valkę, ale zaraz, zanim zdążyła zareagować choćby drgnięciem powieki, mężczyzna, trzymając w obu rękach uchwyty, przesunął gardziel broni w bok. Dopiero teraz w oczach Valki pojawił się strach, Ader Yu zobaczył go i umilkł. Nie zdążył poza tym zareagować w żaden widoczny sposób.

Z lufy wytrysnęła struga mocnego, błękitnego światła i uderzyła w plecy egzorcysty. Zastygł z otwartymi ustami, zaskoczony kompletnie, potem drgnęła mu głowa, jakby czknał, otwór ust powiększył się i nagle objął, zagarnął, całą głowę: na jej miejscu pojawiła się czarna dziura, a

potem ciemna plama błyskawicznie zjechała w dół i objęła resztę ciała Adera Yu.

Zniknął. Zdezintegrował się. Rozpłynął.

Razem z fotelem, w którym siedział.

Valca siedziała skamieniała, z zimnym kawałem lodu w trzewiach, nieruchomo oczekując swojego końca.

Przybysz poruszył palcem lewej ręki na rękojeści, struga błękitu zgasła, zrobił dwa kroki i popatrzył z góry na puste miejsce po fotelu z Aderem.

– No – powiedział. – Już po kłopotcie.

Dopiero teraz popatrzył na Valkę.

– Zaczął już? – zapytał.

– C-co?... – wykrztusiła, wpatrując się w wylot lufy.

Mężczyzna cisnął niedbale broń na trzeci fotel.

– Zaczął te swoje „testy”?

– N-nie... nic nie zaczął, dopiero doszedł do początku definicji demonów...

Valca usłyszała rodzącą się w swoim wnętrzu histerię, usiłującą wydostać się przez wąski otwór z gardła, razem z głosem, by powiadomić świat: „Zwariowała!”

Umilkła, zdławiła panikę.

– „Demonów”! – parsknął mężczyzna. – Upór tego idioty jest aż zastanawiający... – powiedział tonem zwierzenia. Przez chwilę, długą dla Valki jak śmierć, wpatrywał się w dywan, marszcząc brwi i poruszając skórą na czole. Valca uświadomiła sobie, że rozmawia z kimś. Potem podniósł głowę. – No dobra, co ci powieźć?

Umysł Valki, skamieniały z przerażenia, rozsyłający po całym ciele fale lodowatych ciarek, nie był w stanie przez dłuższą chwilę wysilić się choćby na jedną myśl, którą dałoby się wyartykułować. Potem jednak zadziałał

jakiś bezpiecznik, chroniący umysł przed zbyt długim, szkodliwym destrukcyjnym przerażeniem.

– Dlaczego... go zabiłeś... Kim on jest? Kim ty jesteś...

– I kim ty, nieprawdaż? – Mężczyzna uśmiechnął się. Miło, promiennie, lekko, jakby nie było przed chwilą zabójstwa z tej tajemniczej, wyglądającej jak przemysłowa laserownica broni. – Ty jesteś demona. A ten tu... – wskazał niedbale na puste miejsce po Aderze -...to wirus. Może nie tyle wirus, tylko parazyt wprowadzony do jednej z poczytniejszych gier naszego studia... – Uniósł rękę, powstrzymując ewentualne pytania Valki, przez chwilę wsłuchiwał się w czyjeś słowa z nieobecny spojrzeniem, potem, nie przejmując się skamieniałą słuchaczką powiedział na głos: – To dobrze, przecyśście wszystkie bufory, zamknijcie te od 45rt do 456u. Tędy się przesmyknął, skurwiel... Nie, nie uszkodził demony, jest cała... – popatrzył na Valkę. – Tak, zaraz...

„Co – zaraz?!»Zaraz ją załatwię«?»Zaraz jej powiem«?!”

Mężczyzna rozłączył się. Wychylił się w stronę zmartwiałej z przerażenia kobiety.

– Posłuchaj, nie lubię tego robić, ale to nie ode mnie zależy... Ja tylko pracuję, czyszczę grę z parazytów... – Widząc rozszerzające się źrenice Valki, potrząsnął głową: – Przestań, nie zabiję cię, to nie to... Posłuchaj tylko. Jesteś demoną, nie człowiekiem jak ja. Demona, czyli postać demonstracyjna kobieca... – westchnął. – Może nieco szerzej... Jest taka gra, pra-pra, kurwa, wnuczka wszystkich tych RealityShow, PersonVidów, paradokumentów... Nazywa się „VoyerCity”. Po prostu – codzienne życie innego miasta, innych ludzi, o innych zawodach, innej płci, innych obyczajach... Jesteś tu demona, czołową postacią wersji demo, bezpłatnej, kuszącej, zachęcającej, reklamującej... Nasza gra, powszednie życie wielkiego miasta, chętnie jest realizowana na całym prowincjonalnym zadupiu, a to wielki, kurwa, rynek... Idzie nam dobrze, ale jakiś kutas

wsadził do gry wirusy, to długa historia... My wsadziliśmy tu parazyta do czyszczenia, ale w pośpiechu ruszyła do roboty wersja niedopracowana, coś się porąbało w egzekach, parazyt zaczął prowadzić samodzielne parazytowanie... No i tak to się zaczęło...

Pociągnął nosem i popatrzył na Valkę. Westchnął.

– On ciągle zostawia gdzieś swoje hidden save'y, co go utłuczemy, to się odradza i bruździ. Wypuszcza quasiviry, te atakują demony, nie wiemy dlaczego, ale zawsze kobiece wersje postaci, potem, kiedy ogłupiała tym, co się dokoła dzieje, demona zaczyna wątpić w zdrowe zmysły, pojawia się on, przedstawia się jako egzorcysta, lekarz, mistrz,

demiurg, kurwa mać, i niby leczy demony. – Sapnął ze złością. – A tak naprawdę to chce się przebić do poziomu płatnego „VoyerCity”, ale niedoczekanie, skurwegosyna.

Popatrzył na Valkę.

– Nie denerwuj się. Nic ci nie zrobię...

– Ale jak ja będę... jak... co...

– Posłuchaj, po prostu, pójdiesz sobie do domu, wypijesz drinka, położysz się spać. Obudzisz się następnego dnia i nie będziesz nic pamiętać. Będziesz po prostu żyła sobie tak, jak żyłaś do tej po...

– Jak to – żyła sobie! – wrzasnęła Valca. – Mówisz mi, że nie jestem człowiekiem, i mam sobie po prostu żyć dalej...

– Przecież nie będziesz tego pamiętać – powiedział z łagodnym naciskiem mężczyzna. – Będziesz sądziła, że jesteś człowiekiem, rozumiesz? Tylko się prześpij...

– Ty bydlaku, kimkolwiek jesteś! Jak mam się położyć spać, ty gnoju! Skurwysynu?! Mam sobie powiedzieć: „Ach, co za dzień! Okazało się, że jestem jakimś pierdolonym fantonem w grze, no naprawdę, aż się wkurwiłam lekko!” Co? Czy ja...

Jednym szarpnięciem otworzyła torebkę, włożyła do niej dłoń, chwyciła pistolet...

Mężczyzna błyskawicznie sięgnął do swojej broni, ścisnął jedną z rękojeści, z lufy trysnął błękitnawy promień, uderzył w Valkę...

Mężczyzna wstał, westchnął.

– Kurwa jego mikrochipa!... – rzucił w przestrzeń. – Co zajebana robota. One ciągle uważają, że żyją i że się je morduje. I to zaczyna się udzielać i mnie... Pierdolnąć tym wszystkim i pojechać...

Pokręcił głową i nie dokończył.

Potrząsnął bronią, rozejrzał się dokoła, jakby sprawdzając, czy czegoś nie zostawił, w myślach wydał polecenie połączenia z centralą, ale zanim usłyszał sygnał odbioru...

...ekran zgasł.

– Ja ci dam niszczyć demony! – powiedziała. – Ja ci dam pastwić się nad biednymi demonkami! – powiedziała Yilda do ciemnego ekranu. – Dziewczyna tak się przestraszyła...

– Kochanie, przecież to gra. Tylko gra, choć bardziej wyrafinowana, gra w grze, ale nic więcej! – Podszedł i pocałował żonę w czubek głowy.

– Łe, zaraz się zacnie ta gadka o emancypacji i szowinizmie, i te inne pierdoły! – syknął Hubert i wyescapował się z gry.

Przeciągnął się z wyprostowanymi do góry rękami, na ekranie pojawił się wir, wciągał w swoją zwężającą gardziel wszystko: grę, postacie, napisy...

– Ciekawe, ile poziomów jest zaszyte w tę...

I zniknął z ekranu.

Ile, kurwa, można walić w tę samą urbie?

Ziewnąłem i wyciągnąłem palec w kierunku klawisza outlog.

Ale nie dotknąłem go.

Przyszło mi bowiem do głowy...

Przyszło mi do głowy...
– Szkurwasz mać...

Wrocław, maj 2003
Maja Lidia Kossakowska

Więzy krwi

Dobra, przyznaję. Odkąd umarłem po raz trzeci, przestałem kogokolwiek kochać. Moje potwory gapią się na mnie przekrwionymi gałami, ale one też stały się tylko narzędziem. Już nie potrafię z nimi rozmawiać, nadawać im imion i czerpać przyjemności z przebywania w ich towarzystwie. Szczerze mówiąc, wszystkie są niedoskonałe. Nie mogą mnie bawić, bo zdaję sobie z tego sprawę. Przestały być moimi przyjaciółmi, chociaż wina nie leży po ich stronie. Czasem mam wrażenie, że na szpetnych pyskach maluje się smutek, a ślepia potrafią zalśnić wilgotnie, jakby pojawiał się w nich wyrzut. Nie bardzo umiem się tym przejąć. Przykro mi, chłopaki. Straciłem zbyt wiele, żeby rozpaczać, że nie mam już do was serca. Po pierwsze, straciłem azyl. Siedzę w pracowni, zastawionej półkami pełnymi figurek, przesyconej zapachem lakierów i różnych mas plastycznych, pełnej narzędzi i poniewierających się wszędzie szkiców, ale to już nie jest moja magiczna kraina. Raczej miejsce ciągłych prób i porażek. Niewyobrażalne. Nigdy nie przypuszczałem, że pracownia może stać się miejscem przesyconym frustracją. Teraz niemal słyszę, jak każda ściana wrzeszczy. Każda kolejna figurka to klęska. Długo walczyłem o swój własny kawałek świata, więc ciężko mi patrzeć, jak spokój i zadowolenie uciekają stąd z krzykiem, przez drzwi brutalnie wywalone kopniakiem.

W porządku, wyrażam się w sposób egzaltowany, ale mam do tego pewne prawa. Jestem artystą. To mnie w jakiś sposób tłumaczy. To mnie od razu określa w oczach świata. Co więcej, dla większości trzeźwo myślących ludzi jestem artystą niespełnionym, ponieważ wylali mnie z uczelni. Odkąd przestałem być dzieckiem, wiedziałem, co chcę w życiu robić.

Ku zmartwieniu i przerażeniu bliższej rodziny wcale nie zamierzałem zostać lekarzem, adwokatem, przedsiębiorcą ani bankowcem. O zgrozo, nie wyrażałem zainteresowania nawet marketingiem i zarządzaniem. Nie tylko nie chciałem nikim zarządzać, ale z całą świadomością starałem się nie dopuścić do sytuacji, w której ktoś zarządzałby mną, a to, oczywiście, wyklucza wszelką uczciwą pracę. Miałem zamiar zostać rzeźbiarzem.

Pierwsze lata na uczelni okazały się cholernym rozczarowaniem. Babrałem się w glinie, wykonując niezliczone studia gipsowych głów, a jedyną rozrywkę stanowiły idiotyczne performance.

Grono pedagogiczne przypatrywało się z uznaniem lub pobłażliwym uśmiechem, jak studenci oblewają się farbami, tarzają po ziemi, wydając nieartykułowane okrzyki godne psa, któremu ktoś przytrzasnął ogon, albo wożą przed sobą na taczkach przyprawione gumką monstrialne genitalia. Cholera, poszedłem tam zajmować się rzeźbą, a nie uczestniczyć w terapii zajęciowej w zakładzie dla nieuleczalnych świrów. Ale nic, zacisnąłem zęby i postanowiłem wytrwać.

Boże, co to była za banda porąbów! Po korytarzach snuły się spowite w bure szaty laski, podobne w tych strojach do tłumoków ze szmat, wywracające oczami i opowiadające o wizjach. Mamroczący pod nosem koleisie, o odpowiednio artystycznych fryzurach, też co chwila zatraćali o wizje. W ogóle wizje były bardzo modne. Wszystkie rozmowy kręciły się wokół nich, a także wzajemnych zapewnień, jak bardzo sztuka ma pobudzać, szokować i otwierać oczy na współczesne problemy ludzkości. A ja, cholera, chciałem po prostu być dobrym rzeźbiarzem. Gdybym postawił sobie za cel otwieranie oczu, zostałem pieprzonym okulistą.

Grande finale zdarzyło się pod koniec trzeciego roku. Na specjalne zaproszenie miała przyjechać do szkoły sławna rzeźbiarka z Japonii. Wystąpiła tylko raz, w jednej z bardziej szacownych galerii. Przyodziana w przepisowe bure szaty, z powagą wysypała na podłogę zawartość dwunastu

woreczków. W jednym był piasek, w innym żwir, a w pozostałych zwykła ziemia. I tyle. Cała rzeźba.

Wszyscy rzucili się z zachwytem podziwiać dzieło. Bardzo odkrywczе i bardzo ekologiczne. Sztuka Ziemi. Wtedy spytałem, kto to, kurwa, posprząta. Skandal był naprawdę międzynarodowy.

Powiedzieli, że wylewają mnie za brak postępów i niewłaściwą postawę. Dzięki ci, Boże, że uchroniłeś mnie od właściwej.

Łapałem się różnych zleceń. Malowałem mieszkania, wyklejałem okolicznościowe pocztówki, trochę projektowałem wnętrza. Kiedyś znajoma spytała, czy nie ulepiłbym paru świątecznych figurek przedstawiających aniołki. Wyszły paskudnie. Pyski miały jak banda pijaków, ale cudem chwyciły. Właśnie dlatego, że były takie brzydkie. Właścicielka sklepu oznajmiła, że są nowatorskie i nietypowe. Zamówiła następne, tylko już nie związane ze świętami. I tak narodziły się potwory. Szły jak ciepłe bułeczki. Wyrobiłem sobie pozycję, a z czasem zacząłem zarabiać tyle, żeby móc się utrzymać na przyzwoitym poziomie. Żadnych luksusów, ale to mi wystarczało. Najważniejsze, że znalazłem właściwą drogę. Lepiłem figurki i żadne zajęcie nie przynosiło mi nigdy większej satysfakcji. Odnalazłem spełnienie.

W porządku, przyznaję, to nie są jakieś wiekopomne dzieła, ale dają mi radość. W pewien sposób jednak rzeźbię, przynajmniej we własnym mniemaniu. Kiedy patrzę wstecz, widzę, że okres, który spędziłem samotnie, wymyślając pierwsze potwory, był najszczęśliwszy w moim życiu. We wspomnieniach towarzyszy mi poczucie, że świat jest otwarty, przyjazny i oferuje wiele możliwości.

W takim stanie ducha i finansów poznałem Margot. Święty Boże, jaka ona była śliczna, z buzią laleczki, wielkimi, ciemnymi oczami, króciutką, czarną fryzurką i miękkim, z francuska wymawianym „r”. Maleńka, wręcz filigranowa, miała doskonałą figurę klepsydry i ładne nogi. A przy tym

wdzięk bibelotu. Wyglądała, jakby uciekła z pozytywki. Wydawało mi się, że bez trudu mógłbym zamknąć ją w dłoniach. Zakochałem się natychmiast, ufnie i bezmyślnie. Zachwyciłem się wszystkim. Szczebiotem i chichotem. Sposobem, w jaki się śmiała, odsłaniając drobne, równe zęby. Pazurkami umalowanymi na kolor intensywnego szkarłatu, jakby przed chwilą rozszarpała nimi upolowaną ofiarę. Niezliczonymi kokardkami i piórkami, które na sobie uczepiała. Zalotnymi spojrzeniami i nienagannym makijażem, jaki nadawał jej wygląd porcelanowej figurki. Małymi i większymi kaprykami, zawsze podbarwionymi odrobiną snobizmu, żeby przypomnieć wszystkim, że wychowała się we Francji.

Zawsze kręciło się koło niej kilku facetów, a ona przyjmowała ich hołdy i fascynację za coś należnego z góry. Popadała nawet w lekki niepokój, gdy mężczyźni u jej boku robiło się mniej niż trzech. Lawirowała między nimi z maestrią wytrawnego tresera, każdego obdarzając odpowiednio dużą ilością uśmiechów, żeby podtrzymać w nim nadzieję, i odpowiednio małą, żeby nie czuł się wyróżniony. Margot Krecia Fryzurka. Wirowałem wokół niej, jako jeden z odleglejszych satelitów, właściwie bez widoków na sukces. Być może tak by się wszystko skończyło, gdyby nie moje potwory. Tego sezonu zaczęły się sprzedawać lepiej niż dobrze. Niespodziewanie zrobiły się modne. Po zamówienia zwróciły się do mnie renomowane galerie i drogie sklepy. Kilka kupiła jakaś gwiazdka telewizyjna, kilka popularny sportowiec. Ktoś zrobił ze mną wywiad do kolorowej gazety, jedna z galerii reklamowała się moim nazwiskiem. W tym czasie, powoli, z nieszkodliwego świra, jakim do tej pory byłem dla Margot, przemieniłem się w interesującego artystę. Interesującego na tyle, że warto było się ze mną pokazywać. Wprawiła mnie tym w taką euforię, że chętnie wycalowałbym po pyskach wszystkie potwory, którym zawdzięczałem jej łaskawość. Margot Krecia Fryzurka zwróciła na mnie uwagę! Czy miałem prawo oczekiwać czegoś więcej?

Zaczęliśmy się spotykać, lecz z początku nigdy sam na sam. Bywaliśmy razem w knajpach, zawsze w większym towarzystwie. Na imprezach w gronie znajomych wyraźnie mnie faworyzowała, chociaż nadskakiwali jej inni faceci. Mówiła dużo o potrzebie zrozumienia niezwyklej duszy artysty, żartowała i uśmiechała się filuternie, a ja miałem wrażenie, że wokół mojej głowy fruwały anioły z harfami i czarami kadzidła. Nie wierzyłem w swoje szczęście.

Tymczasem potwory sprzedawały się coraz lepiej, a my, wśród znajomych zaczęliśmy uchodzić za parę. Margot wcale nie spieszyła się zaprzeczać. Nie przeszkadzało jej to widywać się z innymi. Nie, dzisiaj nie ma dla mnie czasu, bo jest już umówiona. Zżerała mnie zazdrość. Czasem ośmielałem się wtrącić jakąś uwagę, ale wówczas wydymała usteczka i zarzucała mi, że ograniczam jej wolność. Moja zaborczość ją rani, bo cóż w tym złego, że ma przyjaciół? Czy chcę, żeby spędzała życie w klatce? Oczywiście, nie chciałem. Jakie miałem prawo, żeby ją osaczać swoją nieufnością? Oczywiście, żadnego. Czy kobieta musi zawsze znosić tyranie partnera? Jezu, nie miałem zamiaru jej tyranizować! Wycofywałem się, przerażony, że mogę ją stracić. Ale i tak zawsze kończyło się na westchnieniach i spojrzeniach pełnych wyrzutu.

Kiedyś, w trakcie jednej z takich rozmów, popatrzyła mi głęboko w oczy i oznajmiła, że nie mogę zatrzymać w objęciach wiatru. Przysięgam, powiedziała ten pretensjonalny banał. Ale dla mnie brzmiał poetycko, świadcząc o wielkiej wrażliwości i niezbadanej kobiecej naturze. Wzruszyłem się nawet. Cholera, czego można się było po mnie spodziewać? Byłem śmiertelnie zakochanym gówniarzem. W konkluzji Margot wychodziła, a ja pocieszałem się wspomnieniem cudownego dnia, kiedy po raz pierwszy poszła ze mną do łóżka. Prawdę mówiąc, nie był aż tak cudowny, jak przedstawiałem sobie w marzeniach, bo to ja wykazywałem większość entuzjazmu. Królowna Margot zachowywała się

trochę jakby była Śnieżką w czasie śpiączki, ale ja roiłem sobie piękne wizje, jak budzę ją do życia pocałunkami, chociaż za cholere nie potrafiłem ujrzeć się w roli księcia. Czułem się raczej jak szewczyk, który cudem dostał swoje pół królestwa, prostak z wielkimi łapami, ciągle upapranymi farbą, papierosem w ustach i nienawiścią do krawatów. Margot natychmiast podchwyciła tę grę. Widziałem, że sprawia jej przyjemność. Małeńka wróżka oswoiła sobie coś pośredniego między dzikim smolarzem, niedźwiedziem i świrem z duszą artysty.

Do reguł zabawy należało również zachwywanie się spotykanymi współczesnymi księżętami, tymi śliskimi dupkami w nienagannie skrojonych garniturach, którzy błyskają bielą zębów, wachlują się pakietami kart kredytowych i tańczą tak, jakby mieli w środku sprężynę nakręcaną kluczykiem. Na widok takiego stwora w źrenicach Margot zapalały się dziwne ognie, głos przeradzał się w gruchanie z wibrującym, uroczym „r”, a ruchy stawały mdlejące. Słowem, całkowity zachwyt i uległość. Na szczęście nie spotykała ich na swojej drodze zbyt często, a w razie czego i tak wracała do mnie.

Żartowała, że sama nie rozumie, dlaczego rezygnuje z takiego pięknego światowca na rzecz prywatnego czarnego luda. Czyżbym rzucił na nią urok? Naprawdę było całkiem odwrotnie. Ona rzuciła zaklęcie na mnie. Zrozumiałem, że chcę, żeby została ze mną na zawsze, kiedy wyjechała na całe wakacje do Francji, do jakiejś dalekiej rodziny. Oczywiście, w żadnym razie do pracy. Opalać się, kąpać, zwiedzać i zawiązywać znajomości.

Dni mijały, Margot nie było, a ja biegałem po pracowni jak wściekły tygrys, na samą myśl o znajomościach, jakie zawiera z bandami smagłych, czarnookich, wypomadowanych Francuzów, przyplływających po nią jachtami lub zajeżdżających jaguarami. Im bardziej jej nie było, tym bardziej nie wyobrażałem sobie przyszłości bez niej. W końcu wróciła, opalona, rozszczebiotana, opowiadająca na lewo i prawo historie swoich

podbojów. Jeden milioner tak się na nią zagapił, że wpadł do basenu, a pewien szejk arabski chciał za nią oddać cały szyb naftowy, czy to nie urocze? Pewnie, że urocze, jak każdy gest, minka, uśmieszek, jak to, że wróciła. Wodziłem za nią maślanymi oczami, z głupawym uśmiechem przyklejonym nieustannie do ust i jakoś nie przychodziło mi do głowy zdziwić się, czemu nie została we Francji szczęśliwą panią milionerową. Grunt, że była. Przyjechała z powrotem, do mnie.

Po kilku nieprzespanych nocach, pełnych wizji potentatów komputerowych w basenie i arabskich bogaczy uwożących porwaną Margot w głąb pustyni, postanowiłem, że dłużej nie zniosę niepewności. Potwory sprzedawały się jak ciepłe bułeczki, więc wyciągnąłem z konta oszczędności, kupiłem pierścionek z brylantem, małym bo małym, ale prawdziwym, bukiet róż, tak ogromny, że mogłaby się w nim schować i grzmotnąłem przed nią na kolana. Nie wydawała się wzruszona. Raczej zaskoczona i odrobinę ubawiona. Na pierścionek popatrzyła z pobłażaniem, jakby dawała do zrozumienia, że niczego lepszego nie mogła się spodziewać po kimś tak kiepsko znającym się na biżuterii, ale przyjęła go. Na Boga, przyjęła! Miałem ochotę ryczeć ze szczęścia, nosić na rękach cały świat, ucałować każdego przechodnia i kupić rower każdemu dzieciakowi na podwórku. Margot Krecia Fryzurka zostanie moją żoną!

Została, choć nie mogłem w to uwierzyć. Oczywiście, przeprowadziła się do mnie, zwalniając wynajęty pokój. W podróż poślubną chciałem ją zabrać na Lazurowe Wybrzeże, ale nie miała ochoty. Za dużo wspomnień, powiedziała. W porządku, pojechaliśmy na włoską Riwierę.

Leżąc na piasku, w zasięgu chichoczących, łaszących się fal, wyglądała jak córka samego Posejdona. Ofiarowała mi dwa szczęśliwe tygodnie, chociaż już wtedy podświadomie wyczuwałem, że związek z Margot nie będzie wyglądał tak, jak sobie wymarzyłem. Spychałem wątpliwości na bok, ale szybko okazało się, że moja dziewczynka nie ma najmniejszej

ochoty zostać najbliższą mi osobą na świecie, przyjaciółką, partnerką, podporą i kochanką. Została natomiast nieustającą nagrodą, obiektem ciągłych hołdów, zachwytów i westchnień. Dzień za dniem musiałem na nią zasłużyć na nowo, wyręczyć we wszystkim, zdobyć względy. Starłem się, ale szczerze mówiąc, wszystko rozłaziło mi się w palcach.

Czasami dochodziłem do wniosku, że choćbym, zgodnie z jej życzeniem, wypruł sobie flaki i porozwieszał na okolicznych choinkach, skrzywi tylko pyszczek i oznajmi, że lepiej to miało wyglądać. Słowem, nie układało się nam.

Księżniczka leżała na kanapie i kaprysiła, a ja trzaskałem drzwiami od pracowni i siedziałem tam do późnej nocy. To był mój azyl, obwarowana twierdza, gdzie nikt nie miał mi za złe bałaganu, smrodu papierosów, powycieranych spodni i braku zaangażowania.

W dodatku potwory przestały uchodzić za hit sezonu. Wiedziałem, że tak się stanie, i wcale nie ubolewałem z tego powodu. Szczerze mówiąc, odetchnąłem nieco. Szum się skończył, a ja pozostałem na rynku, z dochodami wystarczającymi, żeby nas utrzymać. Ale nie było już rozgłosu, wywiadów w pisemkach i migawek w telewizji, co dla mojej pięknej żony urastało do rangi narodowej tragedii.

Poniosłem sromotną klęskę, zaprzepąściłem karierę, a ją, nieszczęsną, sprowadziłem na manowce. Jak teraz zapewnię królownie odpowiednie warunki, skoro nie mam porządnej pracy? Po co się ze mną zadawała? Ja też nie potrafiłem pojąć. Nie było chyba na świecie mężczyzny, który mniej odpowiadałby jej ideałom.

Minęły prawie dwa lata odkąd ochrzciłem Margot gorzkim, tajemnym imieniem Śnieżka, bo od początku naszego małżeństwa była oziębła i niemrawa jak katatoniczka. Zresztą, czemu się dziwić? Jak można iść do łóżka z bezmyślnym brutalem, który nie rozumie subtelnej kobiecej duszy? Wcale nie można, rzecz jasna.

Zatem odwracamy się noskiem do ściany, wzdychamy boleśnie i demonstrujemy całemu światu naszą niebywałą wrażliwość i samotność.

Miałem tego dość tak bardzo, że wiele razy pragnąłem po prostu wyjść z domu, trzasnąwszy drzwiami, i nigdy nie wrócić. Zaciągnąć się na morze, uciec w las wypalać węgiel, zamieszkać na dworcu, wyplatać w głuszy koszyki, nieważne. Byle dalej stąd. Ale wciąż bardzo kochałem Margot i miałem nadzieję, że się zmieni, przyzwyczai, zrozumie.

Zmieniła się, a jakże. Zupełnie niespodziewanie, ale wcale nie tak, jak pragnąłem. Wyjechała na dwa tygodnie do koleżanki, żeby choć na chwilę uciec od problemów. Jakich, do cholery, nie wyjaśniła.

Powróciła z głębokim przekonaniem, że natychmiast chce urodzić dziecko. Koleżanka właśnie jedno miała i odnalazła spełnienie, radość prawdziwej kobiecości, a zatem Margot życzy sobie także. Przeraziłem się trochę, bo nie czułem się przygotowany do roli ojca, a moja Krecia Fryzurka nijak nie wyglądała mi na mamusię. Próbowałem tłumaczyć, żebyśmy pożyli jeszcze trochę sami, nacieszyli się sobą, poczekali. Na nic. Zostałem obwołany bezdusznym potworem, ohydny egoistą, oszustem, który podstępnie ją omotał, a teraz odmawia jej jedynej radości, odziera z prawdziwej rodziny. Starłem się być twardy, ale poty się bzdyczała, płakała, histeryzowała, wściekała i obrażała, aż pękłem.

Fundowaliśmy sobie zatem kobiece spełnienie dla Margot. Wtedy gorliwie ciągnęła mnie do łóżka, ale wytęskniony seks nie dawał mi przyjemności. Zdawało mi się, że moja żona wykonuje zestaw nieprzyjemnych, lecz koniecznych ćwiczeń, aby otrzymać upragnione maleństwo.

W jej oczach nie widziałem śladu pożądania, tylko święty ogień macierzyństwa. Czułem się jak ogromny irygator, maszyna do produkcji nasienia i szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czy bardziej chce mi się płakać, czy rzygać.

Po upływie kilku nerwowych miesięcy Margot otrzymała łaskę. Dziewczęca twarz promieniała takim zadowoleniem, aż poczułem skurcz bólu, bo mnie nigdy nie udało się uczynić jej podobnie szczęśliwą. Ale starałem się cieszyć razem z nią, chociaż natychmiast odsunęła mnie do łoża. Przecież coś może stać się dziecku! (Egoisto, egoisto, potworze, ohydny, ohydny). Oczekiwanie na małeństwo przypominało czekanie na Mesjasza, a dla mnie stało się jednym z paskudniej szych momentów w życiu. Straciłem bowiem Margot bezpowrotnie. Z chwilą gdy dziecko się urodziło, musiałem sobie uświadomić, że nie ma dla mnie miejsca we własnym domu, ani w życiu żony.

Zmieniono mnie w automat do posług i dostarczania kasy. Margot i dziecko stanowiły oddzielną, spójną planetę, gdzie mnie obowiązywał zakaz wstępu. Doczekaliśmy się córeczki, którą Margot uparcie nazywała Perełką. Uważała, że to bardzo dowcipne. Małgorzata, znaczy przecież perła, a małeństwo będzie jej zminiaturyzowaną kopią. Perełka. Jezu, brzmi jak imię dla pudła. Ale jako podły brutal i tak musiałem trzymać mordę w kubek.

Pewnie pogodziłbym się z tym, że Margot i jej dziwna, pokrzykująca larwa wcale mnie nie potrzebują, gdyby okazało się, że kapitulacja wystarczy. Odszedłem, potwór, między swoje potwory, gdzie moje miejsce. Wygrzebałem jamę, w której zaległem, wyłaząc kiedy tylko księżniczka sobie życzyła. Przez resztę czasu schodziłem jej z oczu, zamknięty w pracowni.

Niestety, to nie wystarczyło. Margot postanowiła mnie zmienić. Perełka musi mieć przecież porządnego ojca, dostarczyciela wszelakiego dobra, osobnika w krawacie i na poziomie. Rozpoczęło się natarcie na wszystkich frontach. Dlaczego nie chcę znaleźć przyzwoitej pracy i zarabiać prawdziwych pieniędzy? Za co Perełka pójdzie do przedszkola z językiem francuskim i zajęciami z tańca? Za co opłacę jej prywatną szkołę? Czy

chcę, żeby moje dziecko trafiło między plebs i element, bezpowrotnie tracąc szansę na dobre wykształcenie? Czy z powodu mego uporu i egoizmu Perełka musi zaprzepaścić swoją przyszłość? Czy można wychować zdrowe, normalne dziecko w domu pełnym maszkar? Będzie dorastać? Czy wyobrażam sobie, co powie, kiedy ktoś ją zapyta, czym zajmuje się ojciec? Lepi potworki? Jaki to będzie dla niej wstyd, jaki stres. Gdyby wcześniej wiedziała, że jestem draniem bez serca! Gdyby wiedziała! Wszystko mogłoby wyglądać inaczej, a życie Perełki i jej samej nie byłoby bezpowrotnie złamane. Szlochy. Spazmy. Histeria.

Szybko i sprawnie zrobiła ze mnie psychopatę znęcającego się nad własnym dzieckiem w imię egoizmu i miałkich rojeń o karierze rzeźbiarza. Połknąłem i to. Ostatnio wszystko połykałem, jak posłuszny wąż boa. Ale nie ustąpiłem. Zaciąłem się w sobie i postanowiłem wytrwać. Margot wyszła za kolesia, który lepi figurki. Zdecydowała się na ten krok świadomie, jak sądzę, i w stanie poczytalności. Więc teraz ma go za męża. Żadnych firm, garniturów, posągowych min i szarych samochodów. Nigdy. Oczywiście, wybuchła wojna.

Brudna, podjazdowa, wyniszczająca partyzantka, oparta głównie na atakach terrorystycznych.

Nie uległem. Widziałem natomiast niedowierzanie i wściekłość na twarzy mojej żony. Ośmieliłem się sprzeciwić królowi. Ośmieliłem się przeciwstawić Margot! Musiałem, do diabła. To była walka o przetrwanie. Inaczej po prostu bym umarł. Nie wiem, skąd w kobietach bierze się to głęboko zakorzenione przeświadczenie, że każdego, a zwłaszcza mężczyznę, można, a nawet trzeba, zmienić. Ugnieść faceta jak plastelinę, przefasonować, wymalować pysk na nowo i proszę! Całkiem inny! Święta matko! Dlaczego?! Nie lepiej od razu poszukać sobie lepszego, a tamtego obejść szerokim łukiem? Widać nie. Może nie byłoby tak zabawnie. Nie wiem. W każdym razie nie pękłem. Gniewny, nabuzowany, ponury lepiłem

najszkaradniej ze stwory, jakie potrafiłem, a ściany pracowni wibrowały codzienną dawką wściekłości. Gdybym pozwolił się zmienić, przestałbym żyć.

Sądy człowieka są naiwne. Wiedza o sobie samym i ogląd wydarzeń, ograniczone. I tak umarłem. Tego dnia, kiedy zadzwonił telefon od Samanty. Z początku wyglądało to na zwykłe zlecenie. Potem, kiedy ze słuchawką przyklejoną do ucha słuchałem rzeczowego kobiecego głosu, na długo wyczekiwany, niespodziewany cud. W końcu, gdy przerwała połączenie, a ja zostałem z buczącym głucho telefonem, nabrałem przekonania, że ktoś zrobił mi głupi żart.

No, bo pomyślmy realnie. Czy w dzisiejszych czasach, w naszej rzeczywistości zdarzają się ekscentryczni milionerzy, którzy proponują plastikowi wytwarzającemu figurki z mas plastycznych, że kupią za niesłychaną cenę wszystko, cokolwiek zrobi? Każdego cholernego potworka. Musiałbym za to przerwać współpracę ze wszystkimi innymi galeriami i sklepami, słowem dać mu wyłączność. Oczywiście, to niełatwa decyzja, ale cena powinna ją zrekompensować. Mój Boże, dawał trzy razy tyle co najlepsi nabywcy. Taka cena zrekompensowałaby mi pracę w oparach chlorowodoru. A w oczach Margot znów stałbym się interesującym artystą. Artystą o wrażliwej duszy i grubym portfelu.

Jasne, że nie uwierzyłem. Jednak postanowiłem spotkać się z dziewczyną, która dzwoniła. Miała na imię Samanta, zajmowała się wystrojem wnętrz i właśnie projektowała pub czy klub dla szalonego miłośnika potworów. Umówiła się ze mną po południu, w kawiarni. Godziny dłużyły mi się jak seriale Margot. Dowcip, czy kontrakt życia? Za dziesięć szósta wysiadłem z autobusu spocony jak mysz, z przeświadczeniem, że w kawiarnianym ogródku zobaczę roześmiane gęby kilku kumpli, którzy w głupi sposób postanowili wyciągnąć mnie na piwo.

Zobaczyłem długowłosą, smukłą dziewczynę przeglądającą grubą, oprawną w skórę księgę. I umarłem. W ułamku sekundy. Poczułem coś jak ból, jak skurcz, zalało mnie oślepiające, błękitne światło, niby uderzenie błyskawicy. Nogi się pode mną ugięły, chwyciłem się kurczowo słupka znaku drogowego. Wokół wirował wiatr, gęsty, ciągnący za sobą snop iskier. Miał srebrny kolor. Ludzie i samochody znieruchomieli w okamgnieniu. Zamrożone rzeźby z lodu. Nic się nie poruszało. Nawet czas. Tylko dziewczyna o kasztanowych włosach spokojnie odwróciła kartkę książki. Zdawała się nie dostrzegać niczego niezwykłego. Lodowe, oślepiające niebo nade mną pękło. Ze szczeliny lało się białe światło. Głos.

Ona jest jedną z nas.

Niespodziewanie, drząc i kurczowo obejmując słupek, poczułem, że to prawda. Jedna krew, zrozumiałem. Płynie w nas jedna krew.

Szklany świat, zbudowany z lodu i szronu, mienił się odbłaskami diamentu. Widziałem ludzkie serca w przezroczystych piersiach. Pulsowały stłumionym, niebieskim światłem. Lód śpiewał i dźwięczał niczym potrącone przypadkiem naczynie z kryształu. Wiedziałem, że za chwilę wszystko rozprysnie się na tysiące odłamków. Tylko że tutaj nie było chwil.

Samanta podniosła do ust widmo szklanki, wypła łyk srebrnej ciemności. Niebo lśniło oszalałym blaskiem. Na jego tle, niczym hologram, zawisa wyolbrzymiona sylwetka dziewczyny. W kawiarnianym ogródku, między stalagmitami stolików, Samanta nadal przeglądała książkę, podczas gdy w przestworzach jej cień szybował z rozpostartymi ramionami i aureolą rozpuszczonych włosów. Upiorny anioł otworzył usta, ale głos wydobywał się ze szczeliny w niebie.

Samanta jest bramą. A ty kluczem, synu. Pamiętaj o krwi.

Nie rozumiałem ani słowa. Widmowa twarz Samanty obróciła się ku mnie. Oczy o źrenicach z wirujących galaktyk płonęły błękitem. Niebo śpiewało wysokie, wibrujące dźwięki układające się w monotonną pieśń.

– Życie. Sen – powiedział cień dziewczyny.

Poszybowałem w górę. Płynąłem z rozpostartymi ramionami ku żrenicom jak galaktyki. Umierałem. Przed oczami, niczym film, przewijało się całe moje życie. Seria obrazów. Brzydkich. Karykaturalnych. Głupcy wygłaszający banały, podli nauczyciele, nadęci wykładowcy, ukrywający pod płaszczkiem naukowego żargonu swoją małość, snobizm i nędzę intelektualną. Próżne, złośliwe, puste dziewczyny, zazdrośni lub irytująco głupkowaci koledzy i Margot. Moja Margot. Minoderyjna, chciwa, wyrachowana drobnomieszczanka, pretensjonalna idiotka, o duszy sknery i cwaniaczki, przeświadczona o własnej doskonałości. Nic. Zero. Księżniczka w jednej chwili przemieniona na powrót w żabę. I jaja miałem za słodką? Za cudowną? Za piękną? Małą, krępą, krótkonogą pokrakę, wlokącą za sobą wydęty odwłok? Zobaczyłem w niej kopię jej matki, starej ropuchy o wiecznie niezadowolonym pysku. Moja perła okazała się kupką zgniłego śluzu. Nie czułem żalu. Przecież umarłem i byłem wolny. Może gniew. Oczywiście. Wielki, wszechogarniający gniew. Chcą mnie zniszczyć. Stłamsić. Upodlić. Są moimi wrogami. Wszyscy wokoło. Każda z tych istot. Bo płynie w nich *obca krew*, powiedział głos z nieba.

Pamiętaj o krwi, synu.

Film z mojego życia kręcił się jak oszalały. Obrazy migwały przed oczami, zamazane, wirując we wściekłym korowodzie. Zlały się w jeden świetlisty błysk, w ogłuszającą eksplozję. Oślepiłem. W uszach słyszałem wysoki, natarczywy gwizd. Głos w mojej głowie brzęczał głucho.

Ona jest jedną z nas.

Spadłem na ziemię, a właściwie poczułem się tak, jakbym wpadł z impetem do własnego ciała. Dobrze, że nie tyłem naprzód, pomyślałem oszołomiony. Lodowy świat rozprysnął się na kawałki, a ja byłem prawie pewien, że dostrzegłem moment, w którym zamrożona rzeczywistość ruszyła do przodu.

Wciąż ścisnąłem słupek ze znakiem drogowym. Serce tłukło mi jak kafar, kolana zrobiły się dziwnie miękkie, ale i tak czułem się zdumiewająco dobrze. Nie, nie pomyślałem, że jestem wariatem. Wiem, że powinienem, lecz taka myśl wcale nie powstała mi w głowie. Dotknąłem nieznanego, spotkałem się z nadprzyrodzonym, wrażenie było piorunujące, ale w jakiś dziwaczny sposób podobało mi się. Zdarzyło się coś, co rozbiło nudną, beznadziejną powszedniość. Coś, wobec czego historie na temat zarobków, niezapłaconych rachunków i przyszłości Perełki traciły znaczenie, blakły jak wytarty jeans. Życie wyciągnęło do mnie ramiona, postanowiło przypomnieć, że w zanadrzu ma jeszcze wiele możliwości. Przyszłość nie jest przesądzona, śpiewało moje serce. Nie skończy się na kiśnięciu w związku z Margot, po sam gorzki koniec, aż za moimi plecami stanie zgorzkniała, przepełniona rozczarowaniami starość. Nie skończy się. Tyle wiedziałem na pewno.

Przyznaję, porządnie mną potrzepało. Miałem dreszcze, przez jezdnię przelazłem na trzęsących się nogach. W końcu nie tak łatwo się pozbierać, kiedy umierasz, a w następnej chwili zostajesz wskrzeszony. Trochę wyrozumiałości, panowie.

Wreszcie udało mi się dobić do bezpiecznej przystani kawiarnianego ogródka. Podeszedłem do stolika Samanty. Uśmiechnęła się do mnie i wstała, żeby podać mi rękę.

– Cześć – powiedziała.

Miała melodyjny, niski głos, tak że do razu chciałoby się posłuchać jak śpiewa bluesy.

Uśmiechnąłem się także. Podniosła na mnie oczy szarozielonej barwy, które nie przypominały już galaktyk, tylko przywodziły na myśl rozległe, dalekie krainy, gdzie zawsze panuje spokój. Mogły rozbudzić tęsknotę za tymi tajemniczymi miejscami w niejednym facecie. We mnie rozbudziły natychmiast.

Odsunąłem krzesło, żeby usiąść.

– Cieszę się, że pan przyszedł – powiedziała. Ja też się cieszyłem. Bardzo.

– Nie zamówiłam panu piwa, bo byłam prawie pewna, że musiałabym wypić je sama.

– Nie dałaby pani rady? – spytałem.

Znów uśmiech i figlarny błysk w morskich przestrzeniach oczu.

– Pan mnie nie docenia. Drugie piwo to nie przeciwnik. Nie dla kobiety obracającej się w kręgach bohemy wprost z architektury wnętrza. Chodzi o reputację. Samotnie można wypić jedno piwo, nie więcej.

– Teraz może już pani zamówić drugie – powiedziałem.

Skinęła głową.

– Pewnie dojdzie i do tego. Zastanowił się pan nad propozycją?

Odchyliłem się na krześle.

– Trudno się nie zastanawiać. Jest kusząca jak oferta rodem z piekła. Co mam oddać w zamian? Duszę?

Uniosła brwi.

– Z tego co wiem, na razie tylko ręce. Ale współpraca może się rozwinąć. Proszę uważnie czytać papiery. Pewnego dnia będzie między nimi cyrograf.

– Pani już taki podpisała?

– Niestety. Dostałam jedynie standardową umowę. On dba tylko o pańską duszę.

Mrugnęła do mnie.

– Kontrahent? – spytałem. – Czy smagły dżentelmen pachnący siarką?

– Nasz Lord Nabab – mruknęła. – Przyszły właściciel szalonego pubu w stylu gotyckiego horroru. Nie, źle mówię. To nie ma być gotycki horror, ale spełnienie jego dziwacznych wizji. Czepia się każdego szczegółu,

drobiazgów. Wszystko musi wyglądać tak, jak zaplanował. Ciężko się z nim pracuje, zobaczy pan.

– To nie brzmi zbyt zachęcająco – wtrąciłem.

– Faktycznie, niezbyt – przyznała. – Ale za to płaci doskonale, zawsze w terminie. Jeśli jest zadowolony, dorzuca ekstra premie.

Pochyliłem się ku niej.

– Dlaczego nie skontaktował się ze mną osobiście? Wzruszyła ramionami.

– Bo jest dziwakiem. Pracowników traktuje trochę jak swoją własność. Uważa, że może mnie obarczać przeróżnymi zadaniami, jeśli już zgodziłam się coś dla niego robić. Mam być teraz pośrednikiem między nim a panem. Na osobiste spotkanie przyjdzie czas, jak powiedział.

Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby ten czas nadszedł możliwie późno. Towarzystwo Samanty odpowiadało mi o wiele bardziej niż współpraca z ekscentrycznym, pryncypialnym staruszkim, jak wyobrażałem sobie kontrahenta.

– A ja myślałem, że w tym kraju nie zdarzają się bogaci szaleńcy obdarzeni wizjami.

Uśmiechnęła się.

– On z pewnością nie pochodzi z naszego kraju. Z Europy też chyba nie. To jakiś Arab czy inny mieszkaniec Orientu. Najprędzej Lewantyńczyk.

– Lewantyńczyk? – zdziwiłem się. Zrobiła ruch dłonią.

– Och, wie pan. Oliwkowa cera, sucha, orla twarz, płonące oczy i szopa siwych włosów. Mówi prawie bez akcentu, ale jakoś gardłowo.

– Niemożliwe – powiedziałem. – Takich facetów nie ma. Może w filmach klasy B.

– Do licha, prawie zapomniałam. Kazał dać panu książkę. Proszę.

Podsunięła ku mnie oprawny w skórę manuskrypt. Musiał być bardzo stary. Tłoczone na skórze wzory niemal się zatarły. Księga nie miała tytułu. Oszłupiały, przewróciłem kilka stron. Pergamin, nie papier. Pokryty gęsto rzędami zdumiewających znaków, które nie przypominały żadnego znanego mi pisma.

– Po co to? – wyjąkałem.

– Nie mam pojęcia – powiedziała. – Na pewno nie dla inspiracji plastycznej. W książce nie ma żadnych obrazków.

Poczułem nieprzyjemny chłód w żołądku na myśl, że tomiszczce może być kradzione.

– Nie mogę jej wziąć – zaprotestowałem. – Pewnie jest cenna, a ja nie wiem, co z nią zrobić.

Samanta westchnęła.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć. Musi pan ją zabrać. I starannie przejrzeć. To warunek współpracy.

– Zaraz, to absurd!

– Wiem – skinęła głową. – Ale pan Fhrad tak zarządził. Z nim nie ma dyskusji.

W spokojnych krainach zielonych oczu pojawił się dziwny wyraz. Czyżby lęk? Bezwiednie wodziłem palcami po wytartych żłobieniach okładki.

– Mogła pani spokojnie zostawić tę cegłę w domu, albo nawet wyrzucić do śmieci. Czego się pani boi? Że Lewantyńczyk by się dowiedział, wróżąc z fusów po kawie?

– Może – szepnęła, odwróciwszy wzrok. – A może chcę być po prostu uczciwa. Zależało mi, żeby dostał pan książkę. Proszę ją przejrzeć.

– W porządku – mruknąłem. – Wygląda na to, że jeśli przyjmę tę pracę, będę się musiał przyzwyczaić do dziwactw.

Uśmiechnęła się trochę kwaśno.

– Próbowałam to panu od początku powiedzieć.

– Więc ile figurek chce ode mnie magik z Orientu? Dziesięć? Dwadzieścia?

Podniosła do ust szklanę.

– Tyle, ile zdoła pan zrobić.

– A jeśli to będą dwie setki?

– Ucieszy się i da panu premię. Ale figurki muszą być staranne. I możliwie różnorodne.

Otworzyłem manuskrypt w przypadkowym miejscu i gapiłem się na niezwykle znaki. Wydały się tak obce i złowróżbne, aż po plecach przebiegł mi dreszcz. Mistyczne doświadczenie przy znaku drogowym zdawało się odległe jak wspomnienie minionego snu. Nie byłem wcale pewny, czy rzeczywiście je przeżyłem.

– Co za historia – powiedziałem cicho. Tym razem uśmiech Samanty był cieplejszy.

– Faktycznie – zgodziła się. – Co za historia! Ale przynajmniej jakaś przygoda, prawda? Teraz ludzie zdają się nie rozumieć, co to słowo znaczy. Kto marzy o przemierzaniu dżungli lub sawanny ze sztucercem na ramieniu, o odkrywaniu tajemniczych świątyń czy starożytnych grobów, o podróżach z karawanami wielbłądów, o tragarzach niosących kufry i namioty, o statkach kołyszących się na redzie egzotycznych portów? Prawdziwa przygoda pachnie morzem, dymem cygar, skórą, drewnem i aromatem roślin, które nigdy nie wyrosną na twoim podwórku.

Urwała nagle, speszona, a ja wolałbym nadal patrzeć, jak ożywienie rozjaśnia śliczną twarz w kształcie serca, na błysk w rozszerzonych źrenicach, lekki rumieniec na policzkach. Po raz pierwszy od wielu lat poczułem, że chcę zatrzymać ten obraz, utrwalić go natychmiast w glinie, w serii spiesnych szkiców, załączków prawdziwego portretu. Nagle przypomniałem sobie, dlaczego chciałem rzeźbić, jak wyglądała tamta

dawna, przemożna potrzeba ze wczesnej młodości, konieczność dotykania i kształtowania gliny, tak silna, aż niemal bolały do niej palce.

Samanta milczała zakłopotana.

– Do licha, zachowuję się jak chłopiec wychowany pięćdziesiąt lat temu na książkach po dziadku – powiedziała wreszcie.

– Dobrze, że nie jak nowoczesna kobieta, której zależy tylko na forsie i przywilejach – mruknąłem.

Uśmiechnęła się.

– Jak widać forszą nie pogardziłam. Nie rzuciłam jeszcze z trzaskiem roboty u Lewantyńczyka, chociaż, szczerze mówiąc, ma kaprysy jak primadonna. Przynajmniej praca jest ciekawa. No i jak? Wchodzi pan w skład załogi?

Skinąłem głową.

– Spróbuję. W końcu hurtowi miłośnicy potworów nie zlatują z nieba co chwila.

– Doskonale. – Wstała i wyciągnęła rękę. – Pędzę przekazać radosną wiadomość Lordowi Nababowi. Ucieszy się. Bardzo mu zależało na współpracy z panem. Zadzwoń, kiedy będą gotowe umowy i reszta papierów. Proszę przeczytać książkę.

– Dobrze, ale skąd mam wiedzieć, czy nie czytam do góry nogami? – spytałem.

– Zasada jest prosta. Zielonym do góry. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Do zobaczenia.

Nie obejrzała się, odchodząc, za to ja się gapiłem na jej idealne nogi i smukłą sylwetkę, aż znikła za rogiem. Zdawało mi się, że na tle innych ludzi lśni jak gwiazda wieczornego nieba. Zresztą, może to nie było tylko złudzenie.

Niewielu rzeczy tak naprawdę żałuję. Załedwie dwóch. Aż dwóch. Nie myślę o prostych, życiowych błędach jak związek z Margot, albo smutek,

że nie zostałem współczesnym Rodinem. Mówię o prawdziwym, strasznym żalu, który każe wdrapywać się nocą na dach i wyć do księżyca. Nie potrafię odżałować, że nie poszedłem do łóżka z Samantą i nie zrobiłem jej portretu. Nie zdążyłem. To takie bolesne. Zmarnowałem tyle momentów, tyle chwil. Wiem, obiecano mi, że wszystko odzyskam. Przyjdzie czas na naprawę, na nagrodę. Ale czasami nie potrafię uwierzyć. We wszystko inne tak, prędzej. Lecz nie w to, że odzyskam Samantę. Wciąż mam nadzieję, żyję nadzieją, jednak wiary tam brakuje.

Czekam. Wściekły, pełen frustracji, z dnia na dzień gorszej. Lepiej potwory, legiony, hordy potworów o paszczach pełnych zębów i ślepiach pełnych piekła, chociaż daleki jestem do sukcesu. Najgorsze, że praca mi nie idzie. A przecież ona jest kluczem. Ja stałem się kluczem, bez którego nie sposób otworzyć bramy.

Samanta. Opowiadam o niej potworom, które słuchają obojętnie. Są przecież martwe. Boję się, że wkrótce zacznę ich nienawidzić, chociaż wina leży po mojej stronie. Jestem felernym kluczem i nie umiem stać się bodaj wytrychem.

Spotykałem się z Samantą regularnie. Dostarczałem jej gotowe figurki, wypytywałem o szczegóły wystroju pubu. Byłem cholernie ciekaw jak wygląda projekt. Nigdy nie chciała pokazać. Kiedy marudziłem, że muszę wiedzieć do jakiego wnętrza przeznaczam potwory, żeby je odpowiednio dobrać, kręciła tylko głową. Pan Fahrad nie chce, żebym się czymkolwiek sugerował. Mam robić figurki po swojemu. I tak zrobię po swojemu, przekonywałem. Nic. Nie pozwoliła mi nawet obejrzeć miejsca, w którym powstanie lokal. Lewantyńczyk sobie nie życzy. Zaczynałem czuć do sukinsyna szczerą niechęć, choć bez niego nie poznałbym Samanty.

Przyszły pub pozostawał więc tajemnicą. Wiedziałem jedynie, że to stara hala fabryczna czy opuszczony magazyn, w każdym razie wielkie, industrialne wnętrze, jakie zmieni się w magiczne miejsce. Długo była

twarda jak gład, ale kiedy przyznała, że ma zamiar nadzorować wykonanie i osobiście pracować nad większością elementów plastycznych, podniosłem wrzask, którego nie wytrzymała. Pokazała mi szkice. Zobaczyłem dziwną, mroczną krainę, szaleństwo w odcieniach zieleni i czerni, zbudowane z kolumnad, schodów i omszałych bloków skalnych. Zatopione królestwo smutku, obcą, zimną planetę na gorszym końcu wszechświata. Upiorna Atlantyda w niczym nie przypominała łagodnych, podmorskich równin oczu Samanty. Nie wiem, kto chciałby bawić się w takim wnętrzu. Chyba świry i desperaci.

Szkice były narysowane bardzo sprawnie, pewną, wyrobioną ręką, lecz patrząc na nie, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak z perspektywą. Przeanalizowałem linie. Wszystkie przebiegały prawidłowo. Jednak dziwne odczucie nie mijało.

Spojrzałem na Samantę. Uciekła wzrokiem, wyraźnie zdenerwowana. W nagłym przebłysku zrozumiałem, jak wiele ją kosztuje odkrycie szkiców. Jakby wstydziła się własnego projektu, a może nawet bała. W gardle poczułem ucisk dziwnego wzruszenia. Zaufała mi bardziej niż mogłem przypuszczać.

– Niesamowite – powiedziałem szczerze. – Nigdy nie widziałem podobnych rozwiązań. A klimat...

– Daj! – Wyszarpnęła mi z ręki rysunki. Delikatnie przytrzymałem jej dłoń. Wciąż nie patrzyła mi w oczy.

– Szkice są niezwykle, Samanto – powiedziałem. – Nie kłamię. Moje potwory mogą się przy nich schować. Wyglądają jak zwykła tandeta.

– Wcale nie – burknęła.

– Wiem, co mówię. Ten pub będzie wyglądał jak kawałek obcej planety. Strasznej i mrocznej, ale przecież o to chodziło, prawda? Zobacz, dostałem gęziej skórki od samego widoku, chociaż sam produkuję koszmarki rodem ze złych snów. Nie tak łatwo mnie przestraszyć.

– Zrobiłam to wszystko dokładnie tak, jak chciał! – wybuchła. – Szczegół po szczególe. On ma to w głowie. Jak dane zapisane na twardym dysku. Ja tylko przerysowałam jego wizję. Boże, czuję się, jakbym zaprojektowała piekło według wskazówek Lucyfera!

Chciałem ją objąć, przytulić, ale zabrakło mi odwagi. Bałem się, że mnie odtrąci, że stracę ją na zawsze. Dureń! Kolejna chwila do kolekcji zmarnowanych szans.

– Daj spokój – powiedziałem łagodnie. – Projekt jest twój. Ty go stworzyłaś. Wybudowałaś z własnego talentu. Nawet jeśli ktoś się do tego wtrącał, nie potrafiłby cię zastąpić.

– W porządku – mruknęła.

Z trudem powstrzymywała łzy.

– Co się naprawdę dzieje? – zaryzykowałem pytanie. Westchnęła. Wyglądała jakoś blado i krucho, aż poczułem ucisk w sercu.

– Nie wiem – powiedziała bezradnie. – Nie lubię tego pubu.

Postanowiłem rzucić się na głęboką wodę.

– Jesteś przepracowana – zawyrokowałem. – Wiesz co? Dajmy sobie jutro spokój z pracą. Do diabła, należy nam się odpoczynek. Chodźmy gdzieś. Ja zapraszam.

– Dokąd? – Uniosła brwi, zdziwiona.

Jedno wiedziałem. Nic banalnego. Żadne kino, żadne drogie knajpy.

– Na przykład do Zoo.

Uśmiechnęła się.

– Dlaczego nie? Ze sto lat tam nie byłam.

Głęboko, w pudełeczku z kryształu wyłożonym aksamitem mieszka wspomnienie tego dnia. Proste obrazki. Chodzimy, śmiejemy się, szkicujemy zwierzęta, jemy lody. Kupuję jej balonik wypełniony helem, bo przyznała się, że chciała mieć taki przez całe dzieciństwo. To mała szkatułka, skarb pirata ukryty na bezludnej wyspie. Proste obrazki, a ten

stary, beznogi szaleniec z przepaską na oku gotów jest ich bronić za cenę życia.

Czas upływał mi na lepieniu potworów i spotkaniach z Samantą. O Margot właściwie nie myślałem. Oddawałem jej pieniądze, żyliśmy obok siebie, ale nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Nasze drogi rozchodziły się w przeciwne strony. Nawet nie zauważyłem, że mimo wyraźnej poprawy sytuacji materialnej stosunek mojej żony do mnie wcale się nie zmienił. Nadal byłem nieudacznikiem, egoistą i całą bandą wrednych typów, w zależności do kaprysu Margot. Nie przejąłbym się nawet gdyby obwołała mnie Herodem i Charlesem Mansonem w jednym. Wybacz, Śnieżko. Zimna, oschła i nieprzystępna przestałaś być dla mnie w jakimkolwiek stopniu atrakcyjna. Zmieniłaś się w kawałek mrożonej krowy.

Nie pamiętam, ile potworów posłałem w paszczę Lewantyńczyka. Pewnie całe kontenery. Żyjąc pomiędzy pracownią i spotkaniem z Samantą, byłem niemal szczęśliwy. Bałem się tylko upływu czasu. Kiedy kontrakt się skończy, skończą się także preteksty do kontaktów z kobietą, która wypełniała mi świat. Powinienem działać, ale tak bardzo bałem się porażki. Lęk przyprawiał mnie o paraliż. Niestety, przede wszystkim mózgu.

Tymczasem projekt wkroczył w fazę realizacji. Samanta zrobiła się nerwowa, zmęczona, jakby smutna. Wyglądała blado i mizernie. Bardzo dużo pracowała. Chciałem jej pomagać, ale powiedziała, że zleceniodawca stanowczo zabronił. Miałem w dupie te zakazy, jednak Samanta przywiązywała do nich wagę, więc odpuściłem.

Pracowałem dużo, lecz nigdy nie usłyszałem od pracodawcy żadnych krytycznych uwag. Brał wszystko na pniu i płacił jak za zboże. Książka leżała u mnie na biurku, pokrywając się kurzem. Owszem, przejrzałem kilka stron dziwnych znaków, podobnych do śladów zostawionych przez zmoczonego w atramencie owada, ale szybko mnie znużyły. Straciły swój

złowróbny charakter i nigdy już nie poczułem dreszczu niepokoju, otwierając manuskrypt. Czasem śniłem natomiast o wnętrzu zaprojektowanym przez Samantę. Błądziłem wśród wielkich, oślizgłych kolumnad, wdychając wszechobecną woń mułu i rozkładu. Czyściłem i odczytywałem na głos inskrypcje na omszałych gładkach, niekończące się inwokacje w gardłowym, niezrozumiałym języku. Spadałem głową w dół ze stromych schodów, wbitych w serce mroku, aby szybować bez końca pomiędzy zimnymi latarniami gwiazd. Krzychałem w ciemności, a wyolbrzymione twarze potworów zwracały ku mnie pełne współczucia ślepie.

Nie przywiązywałem specjalnej wagi do tych snów, przypisując paskudne wizje przepracowaniu. Ktoś, kto poświęca dwanaście godzin dziennie na wymyślanie i lepienie potworków, powinien przyjmować koszmary z odpowiednią dawką wyrozumiałości.

O niezwykłym doznaniu poprzedzającym spotkanie z Samantą zapomniałem gładko i całkowicie. Po prostu wyparłem wszystko ze świadomości. Natomiast samo pojawienie się dziewczyny w moim życiu odczytywałem niemal na poziomie mistycznym. Tęskniłem do niej jak cholera. Wstawałem w nocy, obracałem w dłoniach słuchawkę telefonu, używając całej siły woli i racjonalnych argumentów, żeby nie wybrać numeru. Nie obawiałem się reakcji Margot, bo od dawna, odkąd zaszła w ciążę, kazała mi sypiać w pracowni. Nie sądzę, żeby cokolwiek podejrzewała. Uważała mnie za zbyt nieapetyczny kąsek dla najpaskudniejszej nawet kobiety. Osobisty czarny lud na zawsze nosi wypalone piętno niewolnika. Głupi, tchórzliwi, służalczy niewolnicy nie uciekają. Tako rzecze królowa Margot.

W sumie, nic mnie już nie obchodziły sądy panny Nabzdyczona Mina. Martwiłem się o Samantę. Wyglądała kiepsko. Nie na żarty przestraszyłem się jednak dopiero po historii ze zdjęciami. Zadzwoiła niespodziewanie,

późnym wieczorem, prosząc o natychmiastowe spotkanie. Pędziłem do małego, zawałonego obrazami i projektami mieszkanka na poddaszu, łamiąc wszelkie przepisy drogowe. W głosie Samanty brzmiały jakieś niedobre, desperackie tony.

Otworzyła drzwi zanim zdążyłem zapukać. Widocznie wyczekiwała na korytarzu odgłosu kroków. Była bardzo blada, ciemne półkola sińców rysowały się wyraźnie pod szarą zielenią oczu. W krainie tajemnego spokoju zbierało się na katastrofę.

– Czy coś się stało? – spytałem głupio, walcząc z przemożną chęcią, żeby ją objąć i uspokoić.

Pokręciła głową.

– I tak, i nie. Chcesz kawy? A może herbaty?

– Na litość boską – wybuchłem. – Nie pytaj o takie banalne głupstwa! Co się stało?! Wyglądasz jakbyś zobaczyła śmierć.

Nerwowo przeczesła palcami włosy.

– Przepraszam. Nie powinnam wywoływać cię z domu o takiej późnej porze. W ogóle nie powinnam zwracać ci głowy. Zachowałam się jak idiotka.

Zachnąłem się.

– Daj spokój! Przyjechałbym z końca świata. Co jest grane? Mów.

Zagryzła wargę. W oczach miała smutek. I lęk. I zmęczenie.

– Chyba zwariowałam – wykrztusiła z trudem. – Chyba... Jezu święty, to już nie przygoda. To psychiatryk.

Ścisnęła palcami skronie. Dłonie drżały. Milczałem, uznawszy, że tak będzie najlepiej.

– Nie rób więcej figurek. Rzuć tę robotę. Natychmiast – powiedziała śmiertelnie poważnie.

Drgnąłem, zaskoczony.

– Nie mogę. Za dobrze płaci. W życiu nie miałem takiego zbytu.

– Musisz. Dla własnego dobra!

– Dlaczego? Fährad ma powiązania z mafią? Dowiedziałaś się, że to terrorysta? Groził ci? Nie bój się, zajmę się wszystkim. Zawiadomimy specjalne służby, policję. Będę cię chronił. Wszystko się dobrze skończy, zobaczysz.

Zaśmiała się nerwowo.

– Boże, nie! To nie tak! On... sama nie wiem. Chcę rzucić tę pracę. Nie mam już siły. To złe miejsce, zły projekt...

– Wcale nie – zaprotestowałem. – Jest doskonały. – Nie rozumiesz. – Machnęła ręką. – Chodzi mi o prawdziwe zło. Coś strasznego, nie z tej rzeczywistości.

– O rany – stęknąłem.

– Widzisz? – Uśmiechnęła się krzywo. – Mówiłam, że psychiatryk.

– Zaraz, ale o co chodzi? Nabrała głęboko powietrza.

– O zdjęcia – powiedziała. Nadal nic nie rozumiałem.

– Zrobiłam zdjęcia wykończonej części pubu – wyjaśniła. – One żyją.

– Kto? – wybełkotałem, nieźle przerażony.

– No, zdjęcia. A dokładniej rzeczywistość, którą przedstawiają. Zmieniają się. Przesuwają, pokazują miejsca, jakich nie ma w pubie. W dodatku prawdziwe.

– Jak to, prawdziwe? – przerwałem.

Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Nie mają nic wspólnego z dekoracją wewnątrz. Widać przez nie inną rzeczywistość, jakieś miasto, ale obce. Nie pochodzące z Ziemi. Jakbyś patrzył przez okno, rozumiesz? Nie umiem wytłumaczyć.

Przełknąłem ślinę. Z trudem.

– Widać obcą planetę? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba tak. I coś, co tam żyje. Stwory. Uchwytne tylko kątem oka. Nigdy nie zobaczyłam żadnego dokładnie. I wcale nie chcę. One kryją się w cieniu. Boże, jak to brzmi! Musisz mnie brać za wariatkę.

Dziwny ze mnie facet. To nie żaden narcyzm, ale fakty. Oczywiście, powinienem uznać, że oszalała. Jednak zamiast pójść prostą drogą, przypomniałem sobie mistyczne widzenie przed kawiarnianym ogródkiem. Zrobiło mi się zimno. I bardzo nieprzyjemnie. Nie uwierzyłem Samancie bez zastrzeżeń. Uznałem, że miała halucynację podobną do mojej, sen, który potraktowała zbyt rzeczywiście, zły dzień, chwilowe zamroczenie, ale wcale nie wykluczyłem spotkania z nadprzyrodzonym. W każdym razie wiedziałem, że spotkała się z czymś niezwykłym.

– Spokojnie – powiedziałem. – Damy sobie radę także z kosmitami. Pokaż te zdjęcia.

Odruchowo tarła skronie.

– Pokażę. Ale one nie zawsze tak wyglądają. Zazwyczaj to zwykłe fotografie.

Podeszła do biurka, wyjęła z szuflady dużą szarą kopertę. Wziąłem ją w ręce i wyciągnąłem ze środka gładkie, lśniące kartki. Faktycznie. To były zwykłe fotografie.

Samanta westchnęła.

– Mówiłam? Nic specjalnego.

Odetchnąłem z ulgą. Przynajmniej widziała to samo, co ja. Przyglądałem się zdjęciom, jakbym chciał wywiercić wzrokiem dziury w kartonie. Nic się nie działo.

– Wyrzuć je, proszę – szepnęła Samanta. – Ja... nie chcę ich dotykać.

– Dobrze, wyrzucę – zgodziłem się, wpychając fotografie z powrotem do koperty. – Zostać z tobą?

– Nie, nie. Nie trzeba – wymamrotała. – Jak przyjdą widma, wygonię je miotłą.

Sama wyglądała jak widmo. Bałem się, że zasłabnie.

– Zostanę – zdecydowałem. – Poczytam twoje książki, a ty się połóżysz i spróbujesz zasnąć. Dobra?

– Dziękuję – szepnęła.

Nie wiem, dlaczego nie zniosłem jej na rękach do łóżka. Prawdopodobnie dlatego, że jestem idiotą. Była tak zmęczona, że szybko zasnęła. Siedziałem przy niej do rana, a kiedy blade palce świtu zastukały w okna, wyszedłem, żeby nie czuła się potem skrepowana. Zdjęcia zabrałem.

Samanta spotkała się ze mną następnego dnia. Była w lepszej formie, żartowaliśmy nawet. Do sprawy fotografii żadne z nas nie wracało. Kilka razy przejrzałem zdjęcia, ale zawsze okazywały się martwe. Może ożywały wyłącznie w obecności Samanty.

Ona jest bramą, synu.

Praca nad pubem dobiegała końca. Spokój powrócił do szarzielonych krain. Czasem miałem wrażenie, że Samanta wyczekuje końca robót jak więzień ostatniego dnia odsiadki. Nie martwiłem się już o utratę kontaktu z dziewczyną. Staliśmy się sobie zbyt bliscy, zbyt potrzebni.

Druga śmierć dopadła mnie niespodziewanie. Tym razem też zaczęło się od telefonu. Samanta pojechała do pubu zobaczyć się z Fahrenadem i ustalić ostatnie poprawki. Siedziałem w pracowni, lepiąc kolejną szkaradę, a z głośnika magnetofonu zawadiacko darli się Clashe. Dzwonek zakrzyczał jak alarm, a ja po prostu wiedziałem, że zdarzyło się coś strasznego. Poderwałem się, żeby odebrać. Podnosząc słuchawkę, zauważyłem rozrzucone po stole zdjęcia.

Nie było ich przedtem. Leżały spokojnie w szufladzie. Teraz pokazały wreszcie prawdziwe oblicze. Mroczną głębię pełną kamiennych budowli, wzniesionych wbrew regułom rozsądku i fizyki. Nie miałem jednak czasu, żeby się przyglądać, bo w słuchawce brzęczał przerażony, histeryczny głos Samanty.

– O Boże! Ten sukinsyn to zrobił! Przed chwilą! Na moich oczach! Przysięgam, że zrobił! I co teraz?! Co teraz?

– Co zrobił? – wrzasnąłem. – Skrzywdził cię? Samanta! Na Boga! Co tam się dzieje?!

– Zrobił to! – powtórzyła. Musiała być w szoku.

– Co, na litość boską?!

– Zastrzelił się! – krzyknęła. – Rozmawialiśmy, a on nagle wyjął broń i odstrzelił sobie pół głowy! Leży tu teraz a wszędzie jest pełno krwi i mózgu... O Boże!

Głos załamał się nagle w autentycznym przerażeniu.

– Co się stało?! – zawołałem. – Halo! Słyszysz mnie? Samanta! Co się stało?!

– Święty Boże – powiedziała wyraźnie, choć niemal szeptem. – Nie wierzę.

W słuchawce rozległ się dziwny, głuchy dźwięk, jakby grzmot spod ziemi, seria gwałtownych trzasków i przesywający, kobiecy krzyk. Krzyk Samanty.

Minuty spędzone w samochodzie, w drodze do pubu, są moim osobistym piekłem. Znałem adres, bo wymogłem go kiedyś na Samancie. Nie pamiętam żadnej rzeczy, która zdarzyła się w drodze. Strzępy wspomnień, uliczne światła, wrzaski oburzonych klaksonów, pisk hamulców. Nie pamiętam też, jak znalazłem pub. Migają mi poszarpane obrazy, stare hale fabryczne, betonowe płyty na ziemi, chwasty. Widzę te detale z fotograficzną dokładnością, ale nie układają się w logiczną całość. Przypominam sobie mgliście samego siebie we wnętrzu pubu, biegnącego, otwierającego jakieś drzwi. Obrazy ze snu. I tylko jedna, przerażająco rzeczywista wizja. Ciało Samanty leżące na pokrytej nieregularnym brukiem posadzce, otwarte od szyi aż po brzuch, jak torba z rozsuniętym suwakiem. Krew miała czarny kolor i zapach czarniejszy od śmierci.

Pozlepiała kasztanowe włosy w strąki. W szarej zieleni oczu nie było już spokoju. Podmorskie równiny wyschły, wyjałowione. W źrenicach Samanty mieszkała teraz martwa pustka.

Krzyczałem, wyłem, płakałem, umazałem twarz i ubranie krzepnącą krwią. Wołałem imię dziewczyny, jakbym mógł ją zawrócić. Ale przecież nie odeszła z własnej woli. Nie mogłaby wrócić, nawet gdyby chciała. Przy jej ciele umarłem po raz drugi w życiu. Coś pękło i nie zrosło się już nigdy. Nie było żadnej przygody, żadnej mistyki. Tylko tandetny, ponury klub w opuszczonej fabryce. Do bólu materialny, banalny, prawdziwy. I ciało zamordowanej dziewczyny. Młodej projektantki wnętrz, którą pokochałem od pierwszego wejrzenia, bardziej niż samego siebie.

Zabrano mi ją. Zabrano nam życie, lata, jakie spędzilibyśmy razem, prostą wspólnotę kobiety i mężczyzny. Jakiś szalony porąb, zwykły świr, zamordował Samantę. I mnie zamordował niejako przy okazji, bo co go obchodziło, że wyznaczała cały mój świat. Ot, cała historia.

Szlochałem, ale to były suche, nerwowe spazmy, podobne do kaszlu, które nie przynosiły najmniejszej ulgi. Podniosłem głowę na odgłos kroków raczej odruchowo, bo nie potrafiłem uwierzyć, że ten skurwysyn miałby czelność tu zostać.

Wysoka sylwetka, szopa siwych włosów, ciemna twarz. Zerwałem się z kolan, otwierając bezgłośnie usta, bo czerwona fala nienawiści i gniewu wtłoczyła mi oddech z powrotem do płuc.

– M... morderco! – wychrypiałem. – Skurwysynu! Zabiję cię! Umrzesz! Umrzesz! Za... zabiję!

Wrzeszczałem, darłem się do ochrypnięcia, jękając się, opluwając, płacząc, a on czekał, aż zauważę. Zamilkłem nagle, ogłupiały.

Fahrad już dawno nie żył. Uśmiechał się z pobłażliwością, a mnie przebiegło przez myśl, że Samanta nie przesadziła. Nie miał połowy głowy. W lewej skroni ziała osmalona dziura, zaś znaczna część prawej i kawał

czaszki z tyłu po prostu nie istniały. Widziałem bielejącą kość i ślady mózgu, jakąś krwawą miazgę, fragmenty porwanych naczyń krwionośnych.

Przestałem krzyczeć, bo grożenie śmiercią trupowi wydało mi się dziwnie nie na miejscu.

– Synu – powiedział gardłowo. – Nie sądź po tym, co widzisz. Nie zabiłbym nikogo z nas. Pozostało zbyt niewiele. Zrozum, ona jest bramą. Spójrz, udało się. Powstało przejście. Popatrz za siebie, dziecko mojej krwi.

Obejrzałem się, czując lodowaty dreszcz grozy wzdłuż kręgosłupa. Nie było pubu. Zniknęły opustoszałe magazyny, puste hale fabryczne. Przedemną stało miasto, ogromne, nieludzkie i czarne. Budowle, wzniesione niczym szalone fraktale, z powtarzających się w nieskończoność, tożsamyh elementów, tworzyły sieć podobną do kłębowiska szczepionych ze sobą skorpionów. Sterczące w niebo iglice, masywne przypory, wielościennie, nieregularne bryły sprawiały wrażenie, że miasto narastało powoli, niczym chorobliwy nowotwór. Perspektywa zdawała się zaburzona, ciągi ulic czy tuneli wykrzywiały się, rosły, malały i rozszerzały się nienaturalnie. Dolne partie budynków tonęły w morzu, rozciągającym się po horyzont przestworzu atramentowej cieczy, gęstej jak ropa. Cuchnęło zgnilizną i rozkładem. Słodki, trupi zapach zdawał się emanować nawet z kamieni, które służyły za budulec niższych partii ścian. Wyższe, pełne wybrzuszeń, narośli i wypustek wydawały się zlepione z jakiejś organicznej substancji, przyrastającej nieregularnie w miarę upływu czasu. Miałem wrażenie, że patrzę na potwornego polipa, coś w rodzaju upiornej kolonii koralowców. Ponad wszystkim wisiało czarne niebo poznaczone liszajami purpurowych, nieustannie wirujących mgławic. Poczulem zawrót głowy i mdłości.

Staliśmy na czymś w rodzaju balkonu, postrzępionego mostka kapitańskiego, a raczej macki, którą wypuszczał budynek, żeby szczepić się z sąsiednim. Fehrad zwrócił na mnie ciemne, płonące oczy.

– Chodź, synu. Musisz coś zobaczyć.

Wnętrze przypominało brzuch Lewiatana. Poskręcane, węzłaste kolumny podtrzymywały wydęty, upstrzony brodawkami narośli strop. Nie było mebli. Z cienia wysunęli się cicho trzej rośli mężczyźni o identycznych, całkowicie obojętnych twarzach. Jeden z nich przyklęknął, rozwinął bure zawiniątko złożone u stóp najbliższej kolumny. Błysnął jaskrawy, chabrowy błękit, krzyczący kolorem wśród czerni, zgniłych zieleni i brązów wnętrza. Poczulem nagły skurcz lęku. Obróciłem się do Fahrada. Sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego.

– Nie bój się – powiedział. – Musisz się przekonać. Poznać własną krew.

Mężczyźni wciągnęli przez głowy niebieskie tuniki. W ciemnej hali zdawali się płonąć błękitnym ogniem. Wszyscy uklękli, sięgnęli po płaskie miseczki pełne tłustego, krwistoczerwonego barwnika. Z powagą, starannie malowali sobie twarze i dłonie, aż przemienili się w demoniczne manekiny, wielkie marionety z upiornego teatru.

– Co? – wyjąkałem przez ściśnięte gardło.

Strach zamienił mi nogi w galaretę, serce miałem ciężkie jak kowadło. Fhrad tylko pokręcił głową.

Mężczyźni powstali, milcząc, podeszli ku mnie. Chciałem uciekać, ale ciało nie zareagowało. Stałem bez ruchu, patrząc na zbliżających się oprawców. Sprawnie przewrócili mnie na podłogę, rozciągnęli. Jeden przytrzymał moje wyciągnięte nad głową ręce, drugi usiadł na nogach. Bronilem się, ale równie dobrze mogłem walczyć ze stadem słoni. Każdy z chabrowych katów mógłby złamać mi kręgosłup tak łatwo, jak łamie się wykałaczkę.

– Fhrad! – wrzasnąłem. – Ratunku! Odwołaj ich!

Lewantyńczyk uśmiechnął się, położył palec na ustach.

Przez chwilę patrzyłem na pokryty purchłami sufit, potem zawisł nade mną krwawy księżyc obojętnej, poważnej twarzy. Poczułem, jak mocarne palce drą materiał koszulki, którą miałem na sobie. Zacząłem krzyczeć, a wtedy zagłębił dłonie w środek klatki piersiowej i rozdarł mnie na pół. Wrzeszczałem, wyłem z bólu i przerażenia, miotałem się w drgawkach agonii, zalewany strugami gorącej krwi, a błękitno – czerwoni oprawcy nie zwalniali uścisku. Słabłem, krzyk przerodził się w jęk, potem w rżenie, oczy zasnuwała mgła, przez ręce i nogi płynęło do wnętrza ołowiane zimno. Oddech stał się ciężki, charkotliwy, zamierał. Ktoś zaciągnął kurtynę cienia i umarłem. Ból natychmiast ustał, odzyskałem ostrość widzenia, chwyciłem hausty powietrza jak biegacz, który przemierzył ogromny dystans. Oprawcy wstali, uklonili się głęboko i odeszli. Usiadłem w kałuży krwi. Porządnie roztrzęsiony, nie ma co ukrywać. Cały byłem umazany posoką. Drżałem. Powoli opuściłem wzrok, żeby zbadać klatkę piersiową i brzuch. Na skórze biegła jak namalowana cienka, czerwona linia.

– Witaj, synu – powiedział Fhrad. W jego głosie brzmiało ukryte wzruszenie. – Teraz zrozumiałeś.

– Nie bardzo – mruknąłem.

Wyciągnął do mnie rękę, pomógł wstać.

– Chodź – nakazał.

Spełniłem polecenie. Nie czułem żadnej słabości, żadnych zawrotów głowy. Minął też strach. Zaczynałem czuć dziwne uniesienie, jakbym miał się stać bohaterem podniosłego wydarzenia.

Fhrad ustawił mnie między dwiema kolumnami i nagle pojąłem, że wróciliśmy do pubu. Staliśmy przed wielkim lustrem.

– Synu, przesun lewą dłonią wzdłuż szramy.

Ledwo musnąłem palcami skórę, zaczęła się otwierać. Oniemiałem. Jakże piękny i doskonały był splot macek wewnątrz. Pulsujące lekko,

srebrzyste węże, pokryte opalizującą tęczowo łuską. Cudowna istota, którą kryłem w środku. Którą sam byłem.

Spojrzałem na Fahrada. Po policzkach płynęły mi łzy. Wiedziałem już. Poczułem wspólnotę krwi. Potężną, tajemniczą więź.

– Ojciec – wyszeptałem. – Co za radość.

– Wiem.

– Dlaczego nie mogę zostać w domu? Czemu sprowadziłeś mnie z powrotem? – spytałem, bo nie wiedziałem, czy zdołam tu teraz żyć z przemożną tęsknotą za moim miastem, za czarnym brylantem naszej planety.

– Wkrótce zrozumiesz. Musisz spełnić zadanie. Jesteś kluczem.

– Samanta! – zawołałem – Chcę ją zobaczyć!

Pokręcił przecząco głową.

– Nie teraz, synu. Powróciła do miasta. Wykonała swoją pracę. Czeka tam na ciebie, aby się z tobą na zawsze połączyć i spłodzić twoje potomstwo.

Spojrzałem w taflę lustra. Przez moment zdawało mi się, że widzę zarysy budynków, czarne niebo ze strzępami galaktyk i widmową twarz Samanty zawieszoną na tle gwiazd. Uśmiechała się do mnie. Rozwiane włosy były ogniem, a w otwartej piersi srebrzyły się pulsujące, splecione węzły strun. Wizja zgasła szybko, pozostawiając smutek.

– Jesteś tu, żeby ostatecznie otworzyć przejście – powiedział ojciec. Nie spłodził mnie, ale wiedziałem, że jestem jego synem, tak samo jak dzieckiem wszystkich starszych tej samej krwi. – Wiem, jak trudne przypadło ci zadanie. Chylę przed tobą czoła. Wgnaniec, zawsze obcy, zawsze odmienny. Czego doświadczyłeś od ludzi, prócz krzywd? Przypomnij sobie życie, które pokazaliśmy ci w chwili odnalezienia bramy. Współczuję ci i zazdroszczę zadania. Spełnij je, synu. Niegdyś byliśmy wszędzie. Władaliśmy Ziemią. Mieliśmy światy u stóp. Wyparli nas

podstępnie, wygnali. Bogowie zasnęli martwym snem. My zostaliśmy wygnani, z powrotem na mroczną gwiazdę, dawny dom. Już nie rządzą światami. Ale te chwile wrócą. Dzięki takim jak ty. Jest was więcej, w różnych punktach Ziemi. Walczycie, pracujecie, poświęćcie życie i szczęście, aby zbudzić bogów. Masz klucz w dłoniach, synu. Sam jesteś kluczem. Stoisz tak blisko sukcesu, aż boję się mówić. Musisz odnaleźć prawdziwe oblicza bogów. Stworzyć ich wizerunki i umieścić w przejściu uczynionym przez tę, którą poznałeś pod imieniem Samanta. Będziesz wiedział, kiedy zobaczysz światłość Przedwiecznych w oczach wizerunku. Odnajdź dusze wszystkich Wielkich, a wówczas powstaną z letargu i upomną się o panowanie. O utracone dziedzictwo.

Płakałem.

– Ojczy, nie podołam – szepnąłem.

– Walcz. – Oparł ręce na moich ramionach. Czarne oczy lśniły. – Musisz. Niektórzy z innych też są bliscy sukcesu. Jeśli kilka przejść otworzy się równocześnie...

Urwał, obawiając się dalej mówić. Lęk, nadzieja i radość szalały w moim umyśle jak tornado.

– Masz potomka na Ziemi. Córkę.

Skinąłem z roztargnieniem głową.

– Tak, ale...

Uniósł w górę palec, nakazując ciszę.

– Nie lekceważ jej. Jeśli przekazałeś dziecku dziedzictwo krwi, może okazać się potężniejsza niż zdołasz przypuszczać.

Spuściłem wzrok.

– Tak, ojczy.

– Sprawdź – nakazał. – Wiesz, jak to uczynić?

Wiedziałem.

– Idź – powiedział. – Nie wolno ci tracić czasu.

Nie pytałem, czy go jeszcze zobaczę. To byłoby dziecinne pytanie. Przyszłość szybuje wśród gwiazd, w uśpionych umysłach bogów.

Wróciłem do pracowni. Świt rozmazał już różowy krem po nocnym niebie. Chciałem od razu zabrać się do pracy, ale nie mogłem. Ręce mi się trzęsły, dygotałem z emocji. Otworzyłem starą szafę, w której trzymałem szpargały. Lustro po wewnętrznej stronie drzwi było wyblakłe, matowe, ale spore. Zdjąłem podarty T-shirt, opłukałem się w umywalce. Struna na skórze znikła, lecz czułem, że jest tam nadal. Podeszedłem do lustra, przesunąłem dłonią po piersi i brzuchu. Idealna istota wewnątrz mnie ożywiła się, poruszyła. Nie mogłem oderwać wzroku od gładkich, srebrnych splotów. Uśmiechałem się ze szczęścia. Ruchem ręki zasklepiłem szczelinę. Pozostawało coś ważnego do zrobienia. Coś, na co miałem szczególną ochotę.

Zza drzwi pracowni pilnie nasłuchiwałem, czy Margot już wstała. Cisza, szelest, odgłos kroków. Fantastycznie!

Suka tam była. W kuchni. Słyszałem ją. Odsloniłem zęby w wilczym uśmiechu. Teraz, za moment, porozmawiamy o krwi. Obejrzymy ją. Powąchamy. Przekonamy się, kto należy do klubu.

Otworzyłem drzwi pracowni. Odwróciła się, zaskoczona. Nigdy nie przerywałem pracy o tej porze. Ale właśnie nadszedł czas nowych rytuałów. Które nie będą już odprawiane na cześć królowej. O nie! Władczyni zostanie zdetronizowana i zdemaskowana.

– Co tu robisz? – spytała ostro. W orzechowych oczach pełno niechęci.

Paskudny uśmiech wilka nie schodził mi z twarzy. Orzechowa niechęć przerodziła się w zaniepokojenie.

– O co chodzi? Zachowujesz się dziwnie.

Jak zwykle. Dla niej zawsze zachowywałem się dziwnie. Niewłaściwie. Źle. Powinna przywyknąć przez te parę lat. Gdyby zwracała na mnie uwagę.

Milczałem. Wilczy uśmiech, wilcze ślepie. Potwór wylazł z nory.

Odstawiła filiżankę na blat.

– Przesuń się – sarknęła. – Stoisz jak kołek. Nie widzisz, że nie mam gdzie postawić herbaty? Oczywiście, ty nigdy nie zainteresujesz się moją wygodą. Mogę pić herbatę na podłodze, ale ty się nie odsuniesz. Mógłbyś zachowywać się uprzejmie. To nic nie kosztuje, wiesz? Odrobina dobrych manier i szacunku okazanego kobiecie. Ale oczywiście, nie da rady. Nie z tobą. Ty zawsze będziesz się zachowywał, jakbyś właśnie wlaźł do obory. Takie wzorce chcesz przekazać dziecku? Przy każdej okazji wychodzi z ciebie nieokrzesany samolub.

– Nie – powiedziałem.

Uniosła brwi.

– Nie co?

– Wszystko.

Wzruszyła ramionami.

– Wybacz, nie zrozumiałam subtelności. Dlaczego nie pracujesz? Raz trafił ci się przyzwoity kontrakt, chcesz go stracić? Nie znajdziesz kolejnego frajera, który kupi te twoje idiotyczne wylepianki. Mówiłam, odsuń się. Muszę zagrzać Perełce zupę. Ciebie, oczywiście nic nie obchodzi, że twoje dziecko płacze z głodu...

Urwała, zamarła z rozdziawionymi ustami. Warto było zobaczyć wyraz zaskoczenia w orzechowej niechęci oczu. Rzadki moment, kiedy przez chwilę siedziała cicho.

– Co ty robisz? – wykrztusiła. – Po co ci ten nóż?

Uśmiechnąłem się. Żeby cię zdetronizować, królowo.

Trochę czasu minęło, zanim pojęła. Z rozumem u ciebie jak zwykle ciężiej niż z gadaniem, ślicznotko. Pisnęła histerycznie, próbując rzucić się do ucieczki. Złapałem ją w pół, obaliłem na podłogę. Orzechowa niechęć

przerodziła się w panikę. Wywrócona filiżanka spadła z blatu. Widziałem krople herbaty kapiące na posadzkę.

Królowa wyrывała się, gryzła, kopała powietrze w nieudolnych próbach zrobienia mi krzywdy. Nogi wierzgały, różowe, burdelowe kapciuszki ozdobione piórkami przefrunęły przez kuchnię niczym egzotyczne ptaki. Długie, szkarłatne paznokcie połamały się zanim sięgnęły mojej twarzy. Nie zdołały wydrapać oczu. Nie potrafiły, tak jak stopy nie umiały zadać celnego kopniaka, ani białe, szczotkowane trzy razy dziennie zębki nie miały siły porządnie ukąsić. Tak bardzo się starała, a wysiłki okazywały się nieskuteczne. Gdyby intencje mogły zabijać, już bym nie żył. Niestety, Śnieżko. Zabić może tylko nóż. A ty zostałeś stworzona do miłości. Do miłości. Śmiałem się. Wilkołak, potwór. I dobrze. Przekonaj się teraz, słoneczko, że nie masz nad nim żadnej władzy. Może i oswoiłeś stwora, ale za często używałeś bata. Teraz zwierzę ma dość. Zwierzę, kudłate wilczysko, potwór.

Dyszała pode mną, śliniła się, panika wykrzywiła rysy porcelanowej lalki, makijaż spływał po twarzy jak czarne łzy. Za późno, za późno na wszystko.

Zawyła, kiedy zdzierałem jej ubranie. Przerazona, że zechcę drogocennego, lalczywego ciała. Ja, mąż. Potwór.

Nie, Śnieżko. Dziękuję bardzo. Nie mam ochoty na mrożone mięso.

Wbiłem nóż z rozmachem, pociągnąłem w dół, od mostka, aż za pępek. Krzyk. Wrzask. Drgawki. I czerwień. Czerwień. Czerwień.

W otwartej rozpadlinie brzucha lepkie, śliskie wnętrzności. Obrzydliwe. Cuchnące. Zachichotałem. Oto twoje prawdziwe wnętrze, księżniczko. Odśloniłem tajemnicę. Okazała się paskudna i śmierdząca. Wsadziłem w nią głęboko ręce, wyrzucałem na podłogę smutne, wiotkie węże jelit. Rzuciała się jeszcze, wrzask przechodził w ochryple rżenie. Wybałuszone, przerażone oczy nie rozumiały. Chyba nigdy nie grzeszyłeś rozumem, moja

droga. Odpowiedz, gdzie jest teraz twoja sekretna dusza, Krecia Fryzurko? Gdzie te wszystkie niebywałe cudowności? Zalutują kloaką! Śmiałem się, klaskałem w lepkie od czerwieni dłonie. Co za niespodzianka! Masz w środku kupę zgnilizny, ślicznotko. A gdzie perła? Gdzie drogocenny klejnot? Nie ma? Niebywałe! Chichotałem, zachwycony. Wiedziałem, byłem pewien, że nie jest z naszej krwi.

Margot już się nie ruszała. Skończyły się nawet konwulsyjne drgawki. Oczy z wywalonymi białkami gapiły się w sufit bezmyślnie. Otwarte usta, śluz, krew, paskudna, bezlitośnie odsłonięta cielesność. Zły chłopiec zepsuł lalkę. Ale pomyślmy, czy nie czas skończyć z zabawą lalkami? Nie czas ostro zareagować, kiedy lalki zaczynają bawić się ludźmi?

Kłęczałem w kałuży krwi, a srebrny sierp noża uśmiechał się do mnie. Przyjacielu, gdyby Margot widziała jak wygląda kuchnia! Nie wyobrażasz sobie afery. Zaraz, chyba zostało coś jeszcze do sprawdzenia. Jakość perły. Nie znam się na biżuterii, ale z pewnością potrafię ocenić, czy jest prawdziwa.

Zabrałem milczącego, srebrnego pod warstwą krwi przyjaciela ze sobą. Idąc, znaczyliśmy trop ciężkimi kroplami szkarłatu. Pochyliłem się nad łóżeczkiem. Moja córka spała. Słodki bobasek z mięciutką chmurką niemowlęcych włosków nad czołem.

– Hej – szepnąłem. – Kim jesteś? Jedną z nas?

Otworzyła oczy. Niebieskie, nie orzechowe. Moje. Wpatrywała się we mnie uważnie, długo. Wreszcie na usta zaczął jej wypełzać uśmiech. Porozumiewawcze, łotrowskie skrzywienie warg, wcale nie dziecięce. Mrugnęła do mnie i zachichotała. Ostry, nieprzyjemny dźwięk przypominał grzechotanie.

Nagle, zaczęła się przeistaczać. Patrzyłem zafascynowany, jak wydłuża się głowa, przybierając kształt obłego grotu, powiększając oczy, czerwieniejące niczym dwa olbrzymie rubiny, nos przemienia się w rogowy

grzebień, a usta w szeroką szramę skrywającą ostre jak igły zęby. Ciało wydłużyło się także, porosło delikatną, mieniącą się złotem i czerwienią łuską, wykształciło zwężający się ku końcowi ogon zwieńczony kostną maczugą z hakiem przypominającym żądło. Ręce i nogi mego pięknego dziecka wywinęły się nienaturalnie do tyłu, jakby zamierzało zrobić mostek, odsądziły się na sztywnych stawach od tułowia, uniosły ciało w górę. Dłonie i stopy miały krótkie palce, zakończone potężnymi, zakrzywionymi szponami. Moja córka wysliznęła się z cudowną zwinnością z pieluch i kołdry, a wtedy stwierdziłem z zachwytem, że jej pierś i brzuch stały się teraz grzbietem, ozdobionym rzędem kostnych wypustek. Głowa jednak wciąż zwrócona była twarzą do góry, czerwone oczy mrugały do mnie, a pozbawiona warg paszcza kłapała igłami zębów tuż przed karkiem. Miejsce, gdzie dawniej znajdowało się ciemię stanowiło teraz koniec grotowatego łba, wzmocniony twardymi, zachodzącymi na siebie łuskami. Była taka piękna! Zwinna, szybka, zwrotna, niczym język płomienia.

Patrzyłem na nią z zachwytem i lękiem w sercu. Nigdy w życiu nie czułem takiej dumy. Moje dziecko, moja córka. Jakże mnie przerastała. Jej doskonałość nie miała skazy. Ze szramy ust nieustannie wydobywał się chichot. Czerwone oczy płonęły.

Nie śmiałem się odezwać. Buszowała w łóżeczku między pościelą, zręczna i gibka. Wtem spojrziała mi prosto w oczy, mrugnęła ponownie i błyskawicznie wspięła się po prętach łóżka, aby zbiec na podłogę, głową w dół, czepiając się drewnianej konstrukcji szponami dłoni i stóp oraz hakiem ogona. Śmignęła w głąb mieszkania, z chichotem i chrobotem pazurów o podłogę.

Czułem straszny wstyd, że śmiałem zwątpić w czystość jej krwi. Była przecież najwyższej próby, idealna. Przepraszałem w myślach moje doskonałe, potężne dziecko, wiedząc doskonale, że nie zna takich słów jak

przebaczenie czy przywiązanie. Nigdy nie stanę się godny roli, jaką mi przydzielono. Wszystko, co mogę zrobić dla przyszłości córki, to wywiązać się z zadania.

Wróciłem do pracowni. Siedzę tam nieprzerwanie, sam nie wiem, godziny, dni? Ręce mam brunatne od skrzepłej krwi. Lepię figurki. Tworzę potwory. Moich braci, moje dzieci. Czasami dopada mnie rozpacz. Krzyczę wtedy, niszczę zrobione wcześniej modele, zabijam te dzieci, które są kalekie. Nie ma miejsca na niedoskonałości. Potem płaczę, rozmazuję łzy i smarki palcami pokrytymi skorupą krwi. Wtedy, na krótko, krew Margot znowu ożywa intensywną czerwienią. Żeby się uspokoić, czytam księgę. Święte znaki Przedwiecznych. Imiona, atrybuty, zaklęcia. Wodzę palcami po wyżłobieniach tłoczonych skóry, wspominając Samantę.

Czasem popadam w zniechęcenie. Tracę nadzieję, gapię się w ślepie stworów, które nigdy nie staną się idealne. Jesteś kluczem, powtarzam sobie, ale nie mam już siły. Wtedy siadam i nasłuchuję. Słyszę ciężkie, nieporadne szuranie w kuchni i monotony szept. To moja żona obija się o meble, upuszcza bez przerwy butelkę z pokarmem dla Perełki, w beznadziejnych, wciąż ponawianych próbach zagrzania dziecięcej zupki. Biedaczka, straciła na urodzie, przysięgam wam. Gdyby mogła się teraz zobaczyć, umarłaby ze wstydu.

Ale nie ją pragnę usłyszeć. Czekam na chrobot zakrzywionych pazurów i wysoki, zgrzytliwy chichot. Jest. Dobiega z salonu. Cichy odgłos skrobienia, kiedy smuga złota i czerwieni wdrapuje się na ściany, buszuje w kredensie. Otworzę świat dla ciebie, moje dziecko.

Niedługo, wiem. Mam chwile załamania, ale robię postępy. Pracuję bez przerwy. Wiem, że niebawem ujrzę światłość Przedwiecznych w ślepiach jakiejś szkaradnej, tandetnej figurki z modeliny.

Boicie się? Powinniście. To już niedługo. Może zaraz, może nawet w tej chwili. A wtedy świat będzie należał do bogów i do cudownych, gibkich

istot, które nie wiedzą, co to litość czy miłosierdzie.

Poczekajcie. Trochę. Tak jak ja. To już niedługo. Wiem. Czekam.
Czekam. Czekam.

Pawet Siedlar

Brzytwą kochanie, brzytwą

Jest bardzo lekko. Lekko i cudownie. Ogarnia mnie ogromna tolerancja i zrozumienie wszystkiego. Sprawy, o których jeszcze przed chwilą nie wiedziałem zgoła nic, jawią mi się jako zupełnie oczywiste. Delektuję się tym stanem wszechwiedzy i niewyobrażalnej radości, graniczącej z euforią. O ludziach myślę pobłaźliwie, z życzliwą litością. Staję się właśnie czystą świadomością, pozbawioną lub prawie pozbawioną emocji. Prawie, bo oto pojawia się, z początku nieśmiało, lecz narastające z każdą chwilą wspomnienie bólu, którego, nie mając ciała, nie mogę przecież odczuwać. Ale ono staje się, jest, trwa, eksploduje we wnętrzu mej bezwymiarowej struktury, sprawiając, że nieprawdopodobna jasność, której częścią zaczynałem się stawać, oddala się. Płynne, wchłaniające mnie światło przygasa, wreszcie znika całkiem. Wraz z nim znika tolerancja i zrozumienie. Nie tracę tylko poczucia zadziwiającej lekkości, nieskrępowania niczym, wiedzy o wszystkim. Pozostawiłem za sobą coś ważnego, coś, czego nie dane mi było ukończyć. Coś, co kazało mi się cofnąć, wyrwać z kręgu wabiącej mnie, nieskończenie pięknej światłości. Jest to coś, co usiłuję sobie przypomnieć i co ma związek z bólem. Jak silne musiało być to uczucie, jak wielkie cierpienie, jeśli pamięć o nim trwa nawet teraz, wobec mocy porywającego mnie, lśniącego wiru, niweczącego wszystko, co było przed nim, lecz obiecującego w zamian bezpieczeństwo, wolność, szczęście w doskonałej, skończonej postaci.

Wracam więc, walcząc z wsysającą mnie nicością. Jestem trzeźwy i czujny. Muszę się dowiedzieć i dowiem się, co mnie zatrzymało, bo to jest jedyne, czego nie wiem.

* * *

– Mieliśmy ciężki dzień.

Młody mężczyzna opiekuńczo obejmuje ramieniem nieco starszą od siebie, bardzo atrakcyjną kobietę.

– Zrobić ci drinka?

Kobieta bez słowa potakująco kiwa głową. Z wdzięcznością przyjmuje szklaneczkę. Sadowią się na obitej skórą otomane. Piją alkohol z wyraźnym smakiem i ulgą. Napięcie widniejące na ich twarzach słabnie nieco, lecz kobieta zaczyna płakać. Mężczyzna obejmuje ją ciaśniej, starając się włożyć w ten gest czułość, tkliwość. Gładzi jej włosy, całuje twarz, usta, szyję, piersi, lecz ona się odsuwa.

– Daj spokój – prosi. – Nie dziś. Nie teraz.

– Jak to? Nie chcesz już. Właśnie teraz? Kiedy pozbyliśmy się go i możemy swobodnie... Możemy się nikogo nie obawiać?

– Chcę, chcę. Ale dzisiaj po prostu nie mogę. Zrozum mnie – prosi, widząc na jego twarzy z trudem maskowaną irytację. – To musi potrwać. Jeśli jest tak, jak mówisz, jak wierzę, że jest, to musisz mi dać trochę czasu na otrząśnięcie się, na oswojenie z sytuacją. Przecież wiesz...

– Wiem, wiem.

Zaplanowali wszystko dokładnie. Dopracowali każdy detal. Nie było ich zbyt wiele. Wymyślili prosty plan, toteż nie mieli specjalnych trudności z jego wykonaniem. Mąż, żona i przyjaciel domu spędzili dzień w wiejskiej posiadłości, zażywając kąpieli i słońca. Potem zjedli dobrą kolację. W ostatniej chwili, tuż przed odjazdem, Ewelina zaproponowała, by zamienić się samochodami. Koniecznie chciała pojechać nowym wozem Petera.

– Proszę, kochanie. Dlaczego nie? – Greg zgodził się bez wahania.

No bo niby dlaczego miałyby się nie zgodzić. Znali się od kilku dobrych lat. Peter wniósł w ich życie tyle entuzjazmu i radości. Był młody,

przystojny, inteligentny, toteż początkowo Greg z pewną nieufnością traktował zbyt częstą, jak mu się zdawało, obecność młodzieńca. Po pewnym czasie przywykł do niej, zwłaszcza, że żona w żartach nazywała go zazdrośnikiem i głuptasem, a sam Peter przedstawił mu śliczną studentkę architektury jako swą narzeczoną. Młody człowiek z prowincji, nieco zagubiony w „wielkim świecie”, łaknął towarzystwa, a przede wszystkim oparcia. Zwierzał im się czasem z obaw i kłopotów, zasięgał rad i opinii, traktując zarówno Grega, jak i Ewelinę z nieco zabawną rewerencją.

Daleka kuzynka Eweliny poleciła ich uwadze młodszego krewniaka, stawiającego pierwsze kroki na śliskiej ścieżce poważnego biznesu. Greg zajął się nim początkowo niechętnie, mocno naciskany przez obie panie. Po pewnym czasie, widząc postępy młodego człowieka, przekonał się do niego i zaopiekował nim bardziej, niż wymagał tego święty spokój i interesy. Zaczął nawet traktować jak przyjaciela, w czym różnica wieku nie okazała się być prze – szkoda. Peter równoważył ją wielkim taktem, rozsądkiem oraz ujmującym sposobem bycia.

* * *

Do posiłku wypili po kieliszku lekkiego, białego wina i wsiedli do wozów.

– Wiesz kochanie, ja się chyba przesiądę – oznajmiła Ewelina. – Ten samochód jest jakiś ciasny.

– Zrozum kobietę i nie oszalej – mruknął. – Przecież przed chwilą bardzo ci się podobał. Mnie nadal się podoba. Jak chcesz, możesz jechać z Peterem naszym autem. Ja z przyjemnością poprowadzę to cudenka – uruchomił silnik.

– Dobrze, Gri, Gri – nazywała go tak, gdy miała szczególne powody do zadowolenia. Czule cmoknęła w policzek. – W tej zabawce tak nisko się siedzi. Nie polubiłabym go chyba.

– Ładna zabawka – zaśmiał się. – Czy wiesz, że on ciągnie dwieście osiemdziesiąt? Zabawka, ha ha. Z sercem smoka.

– Ach, wy mężczyźni – westchnęła kokieteryjnie i wysiadła. Po małej chwili Greg ujrzał tył własnego samochodu w perspektywie alejki. Został sam w pachnącej skórą i nowością, istotnie niezbyt obszernej kabinie. Cieszył się możliwością przetestowania rasowego wozu. Nie mógł wiedzieć, że wyrusza w swą ostatnią podróż. Wraz z winem wypił własną śmierć.

* * *

Peter prowadzi nerwowo i bardzo szybko. Jeden wiraż, drugi, trzeci, wzięte z piskiem opon i wóz z Gregiem, podążający jak przylepiony, w niezmiennej odległości, wciąż w zasięgu wzroku, wciąż siedzący mu na ogonie.

– Kiedy wreszcie to zacznie działać – warczy przez zęby. Traci cierpliwość. – Jak długo można prowadzić z wzrokiem utkwionym w lusterku?

Zwalnia. Czerwone porsche wyprzedza srebrne BMW. Teraz oboje widzą sylwetkę kierującego nim człowieka.

– Może w ogóle skończy się na niczym? – szepce Peter. Prawie chcieliby tego. Napięcie jest zbyt wielkie. Przerasta ich wytrzymałość. Sięga zenitu.

– Reakcja organizmu może być rozmaita. Greg jest bardzo silny, może więc okazać się mało podatny na... – urywa, bo oto mały samochód zaczyna tańczyć po szosie, uderza w zbocze po lewej stronie, odbija się jak piłka, by złamać barierę i runąć w przepaść.

Rozbłysk i smuga ognia znaczą jego drogę. Kobieta zasłania oczy dłońmi. Mężczyzna nawet nie zwalnia. Stało się. Już nie ma odwrotu.

* * *

Wiem już, gdzie i do czego muszę wrócić. Moje ciało płonie we wraku samochodu. Cofam się w czasie. Wizja tabletki, rozpuszczonej w lampce wina, nakłada się na obraz idącego głębokim ślizgiem auta. Moje dłonie wciąż ściskają kierownicę. Spadam wraz z masą płonącego metalu, sekundy upadku wloką się jak wieki. Nie mogę się poruszyć. Krwawa miazga, w którą zmienia mnie każde kolejne uderzenie o występ skalny, nie jest jeszcze całkiem martwa. Płomienie sięgają coraz wyżej. Docierają do dłoni, twarzy, oczu.

Ból odczuwany przez moje wciąż jeszcze żywe ciało, każe mi zawrócić, zawracam więc. Obserwuję żarzącą się kupę złomu. Płomień przygasa, nie wzbija się już, pełgając rubinowo. Tam nie pozostało ze mnie takiego, jakim byłem, prawie nic. Ból minął.

* * *

– Jeśli już się zdecydowałaś, zaakceptowałaś mój plan, czy raczej zaplanowałaś wszystko, musisz, po prostu musisz być konsekwentna. Czy nie potrafisz tego zrozumieć?

– Rozumiem. Rozumiem całkiem dobrze. Nawet nie wiesz, jak dobrze, ale nie mogłam przypuszczać, że to będzie takie trudne, takie straszne. – Nalewa sobie kolejną porcję koniaku.

– Nie to jest straszne, co się stało. Tego już nie ma. Straszne jest nasze wyobrażenie o tym i o ewentualnych konsekwencjach. Zrozum kochanie, że żadnych konsekwencji nie będzie, jeśli okazemy się silni. Jeśli będziemy się nadal wspierać i kochać. Przecież wiesz, że tak dłużej być nie mogło, prawda?

– Prawda, prawda. – Ewelina kiwa głową zamasyście, z przekonaniem. Jest mocno wstawiona, co pozwala jej pojmować słowa i zawarte w nich fakty jako prawie oczywiste. – Tak musiało się stać, Peter. Musiało. Moja ty maskotko. Już mi przeszło. Już będzie dobrze. Tylko nie trzeba za wiele myśleć. Jaki ty jesteś mądry i silny. Mój silny mały chłopczyk, mój wspaniały, silny mężczyzna.

– Twój, twój. Pamiętaj tylko, że nie jestem już maskotką. Byłem nią zbyt długo.

– Już nie, już nie. Jesteś znacznie więcej. Jesteś wszystko... prawie – droczy się.

Rozpina mu koszulę, spodnie. Po chwili leżą nadzy obok siebie. On szczupły, muskularny, wysportowany, ona rozkwitła pięknie pełnią trzydziestoparoletniej, doskonale utrzymanej kobiecości.

Obserwuję ich z pewnym zainteresowaniem, lecz nie wydaję się sobie podglądaczem. Nie czuję nic ponad to, co może odczuwać badacz, obserwujący pod mikroskopem wyhodowany przez siebie ciekawy szczep bakterii. Ich czynności są mi obojętne emocjonalnie. Jednakże świadomość, że oszukiwali mnie, nie jest miła. A oszukiwali od dawna. Pozbyli się mnie. Po co? Przecież mogli mi o wszystkim powiedzieć. Przecież istnieje mnóstwo rozwiązań tego typu sytuacji. Nigdy nie byłem brutalem ani tyranem. Nie byłem też ani uparty, ani złośliwy. Dałbym Ewelinie rozwód, gdyby go zażądała, gdyby spokojnie porozmawiali ze mną, gdybym zdał sobie sprawę, iż utrzymanie małżeństwa nie ma sensu i nie rokuje nadziei. Wcale nie musieli postępować ze mną tak, jak postąpili. Wcale nie musieli mnie... zabijać.

A może chodziło o co innego? Pewnie tak. Oczywiście. Jakież to prostackie i żałosne. Ewelina zawsze chciała być niezależna, nie miała jednak predyspozycji, by stać się niezależną od zera o własnych siłach. Nigdy nie umiała niczego robić. Prawda, potrafiła ładnie wyglądać i kochać

się. Niczego więcej od niej nie oczekiwałem. Może to był błąd? Może powinienem był dostrzegać jej wybujałe aspiracje? Ale nawet jeśli by tak było, jeśli bym je zauważał, to czy zdobyłbym się na poważne ich traktowanie? Nie. Niby jakim cudem? One stały w zbyt jaskrawej sprzeczności z nikłymi predyspozycjami Eweliny.

Taaak. Pomiędzy jej predyspozycjami a aspiracjami istniały, istnieją i zawsze będą istnieć zbyt wielkie, wręcz kolosalne dysproporcje. To musi być dla niej wysoce frustrujące. Skłamałbym jednak, gdybym twierdził, że jej współczuję z tego powodu. Po rozwodzie moja żona zostałaby bez środków do życia, na takim poziomie, do jakiego zdążyła przywyknąć. Teraz jest bogata. Jest nie tylko żoną bogatego męża. Jest bogata samodzielnie. Jest niezależna, a przynajmniej za taką się uważa. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co związało ją z Peterem. Nic nie wiąże mocniej niż wspólnie dokonana zbrodnia. Czyżby nie czytali kryminałów? Myśl o majątku, który przejmie już niedługo, bardzo podnosi ją we własnych oczach. Nie rozumie, że majątek trzeba pomnażać, dbać o niego, prowadzić interesy. W przeciwnym razie zgromadzony przez lata kapitał ulegnie rozproszeniu, firma popadnie w ruinę. Tymczasem Ewelina dorównuje Peterowi, ba, nawet przewyższa go i to znacznie. Peter jest bogaty. Dzięki swej inteligencji, pracowitości, ale przede wszystkim dzięki mnie, osiągnął bardzo wiele w stosunkowo krótkim czasie. Teraz stracił wszystko, choć jeszcze o tym nie wie. Głupia, przeraźliwie głupia, ale sprytna Ewelino! Nie zdążysz roztrwonić zgromadzonej przeze mnie fortuny. Peter, żal mi cię, chłopcze. Naprawdę cię lubiłem, zakochany młody frajerze. Przesuwając się w czasie dowolnie, znam rozwój wypadków, wiem wszystko, co stanie się waszym udziałem w całkiem niedalekiej przyszłości.

Zastanawiam się nad sposobem urozmaicenia im wieczoru. Dopiero zaczynam się orientować w zakresie własnych możliwości. Nie

wypróbowałem ich jeszcze i gdyby nie poczucie zawodu, krzywdy i wielkiej niesprawiedliwości, może nawet uznałbym sytuację do pewnego stopnia za zabawną. Obawiamy się śmierci bardziej jako wielkiej niewiadomej, niż ostatecznego końca. Nie sądzę, by wielu ludzi było absolutnie przekonanych, że ustanie życiowych funkcji organizmu stanowi całkowity kres ich egzystencji. Nie wydaje mi się możliwe, by istniał największy nawet sceptyk, który nie żywiłby choć cienia nadziei na kontynuację, w innej, zmienionej formie, ale przecież... życia (życia? nasuwa mi się szereg pytań o to, czym jest życie). W pewnym okresie często myślałem o śmierci. Wyobrażałem sobie, że umrę jako człowiek stary, powoli dogasając. Bałem się nie biologicznego porządku, naturalnej kolei rzeczy, lecz sposobu jej urzeczywistnienia. Obawiałem się choroby, kalectwa, demencji, niesprawności. Przeznaczenie zakpiło ze mnie, z moich obaw, ale i z oczekiwań. Nie ma to już jednak żadnego znaczenia. Dla mnie, takiego, jakim jestem, jakim się stałem, właściwie nic nie ma znaczenia.

Miłosna gra osiąga kulminację. Jęki i okrzyki Eweli – ny przybierają na sile. Znam je dobrze, aniołeczku. Sam dobywałem z ciebie podobne tony wcale nie tak dawno temu. Peter jest naprawdę sprawnym, wytrwałym i oddanym kochankiem. Czy zauważyłaś, że bardziej dba o ciebie niż o własną przyjemność? Czy to doceniasz? Pewnie nie. Pewnie uważasz, że ci się to należy. Jak wszystko. Peter, brawo. Brawo! Sam bym tego lepiej nie zrobił! Siedzisz uważnie reakcje kochanki, nie jesteś egoistą, przyziemnym, szybkozlewnym samcem. Nie. Ty jesteś wirtuozem, koneserem. Znakomicie Peter. Teraz chyba już pora na mnie. Chyba powinienem włączyć się w ten uroczy spektakl.

W pokoju rozlega się cichutkie postukiwanie w szybę. Zrazu nie zwracają na nie uwagi, pochłonięci sobą. Nagle zastygają oboje w pół ruchu, w pół szeptu, w pół oddechu.

– Co się stało? Co ci jest? – pyta Peter.

– Nie wiem. Ten dźwięk... jakoś dziwnie... posłuchaj no... co to?

Jest im bardzo nieswojo.

– Ktoś stuka do okna! – Ewelina nie tai lęku.

– To niemożliwe, kochanie. Jesteśmy na piętrze – trzeźwo zauważa Peter.

Wstaje niechętnie, spogląda w ciemność nocy, otwiera okno.

– Spójrz, to gałąź drzewa. To wiatr. Trzeba będzie ją przyciąć. Jutro powiem ogrodnikowi... Albo lepiej ty wydaj mu polecenie.

Ewelina oddycha z ulgą.

– Już myślałam...

– Co, co myślałaś?

– Nic. Nic ważnego. Zamknij okno i wracaj do mnie. Zimno mi.

Peter starannie zamyka zasuwkę i gwałtownie odskakuje.

– Przytrzasnąłem sobie palec – wyjaśnia, widząc jej zdumione spojrzenie. – Dlatego tak odskoczyłem. – Śmieje się nienaturalnie, dmuchając sobie na palec.

Nie przyzna się, że w ciemnej szybie ujrzał zarys swojej sylwetki. Spięty wraca do łóżka. Ewelina przytula się do niego.

– Obejmij mnie, obejmij swoją maleńką myszkę – przymila się.

Niezrażona nagłym chłodem kochanka, usiłuje go zachęcić, pobudzić. Nic z tego. Peter odwraca się od niej ze zniecierpliwieniem.

– Daj spokój, przestań – prosi. – Poczuję się nienajlepiej. Pewnie wypilem za dużo. A może przerwaliśmy zbyt nagle? Nie wiem, co mi się stało.

– Cóż, pewnie tak. Pośpijmy – wzdycha Ewelina. Leżą obok siebie, każde ze swymi myślami. Nie są to myśli wesole. Prawie zasypiają już, zmożeni trochę seksem, a trochę alkoholem. Towarzyszem im stale,

niewidzialny, lecz wyczuwalny całkiem nieźle. Ewelina zrywa się, szarpiąc Petera za ramię.

– Tu ktoś jest! Tu ktoś jest! – krzyczy.

– Śpij, maleńka – uspokaja ją bezskutecznie. – Tu nie może być nikogo. Zresztą zaczekaj.

Wstaje. Z szuflady wyjmuję mojego browninga.

– Czyżby alarm nawalił? Jeśli chcesz, mogę dokładnie sprawdzić cały dom. Przejdę się. Może rzeczywiście zakradł się jakiś złodziej? Jeśli tak, to już jest martwy – dodaje sobie otuchy.

– Nie, nie, błagam. Nie zostawiaj mnie samej... z nim.

– Z kim? Z kim? O kim, o czym ty mówisz? Co ty opowiadasz? – Stara się nie okazać zdenerwowania, nie może jednak całkowicie zapanować nad głosem. Zbyt dobrze wie, kogo miała na myśli.

– Czy ty naprawdę nic nie czujesz?

Peter walczy z sobą. Nie wypada mu okazać się tchórzem czy mięczakiem.

– Co masz na myśli? – Usiłuje nadać słowom lekki ton. Sporo go to musi kosztować.

Moja obecność staje się niemal namacalna. Zapala górne światło.

– Spójrz – Znow śmieje się sztucznie. – Tu nie ma nikogo. Oprócz nas, oczywiście.

– Tak, tak. Coś mi się przyśniło.

– Sny są projekcją naszej podświadomości. Im więcej ci się wyśni, tym szybciej odzyskasz spokój – tłumaczy.

– Tak, tak, zapewne. To była tylko projekcja – powtarza za nim bezwiednie Ewelina.

Nieznane wcześniej pojęcia, którymi operuje Peter, wzbudzają w niej zaufanie do jego rozsądku i mądrości. Ona znow jest bezbronną, bezradną dziewczynką, dużym dzieckiem, rzeczywiście potrzebującym opieki i

oparcia. Nie jak wtedy, przed laty, gdy okłamywała mnie, umiejętnie uczyniwszy z niedojrzałości, naiwności i prostoty kamuflaż dla swej właściwej natury.

Doskonale znała życie, zdawała sobie sprawę z uczuć, jakie potrafi wzbudzić w dojrzałym mężczyźnie za pomocą iście idiotycznych w swej prostocie i zwykle dzięki temu właśnie niezawodnych sztuczek.

Czego oczekuje od kobiety mężczyzna, który osiągnął prawie wszystko? Przecież nie będzie szukał partnerki w interesach, bo taka nie jest mu potrzebna. Towarzyszka życia? Nonsens.

Towarzyszami, kolegami, przyjaciółmi mogą być tylko mężczyźni jego pokroju, wysoce wyspecjalizowani łowcy. Pani domu? A jakież to dom? Człowiekowi typu Grega już od bardzo dawna nie był potrzebny dom w potocznym tego słowa znaczeniu. Nie miałby nawet czasu na przebywanie w nim. Nie potrzebował więc i żony, która byłaby tego domu współtwórczynią i jego głównym filarem.

W Ewelinie, ślicznej, niewinnej, świeżej, znalazł atrakcyjną zabawkę i w pewnym sensie, coś w rodzaju etykiety firmowej. Lubił ją ubierać, stroić, obsypywać kosztownymi prezentami, pokazywać ją w towarzystwie. Nie żył z nią, a raczej hodował, niczym niezwykle cenne zwierzę, na przykład rasowego konia, którego posiadanie nie jest do niczego potrzebne, ale dodaje splendoru właścicielowi. Ewelina błyszczała na przyjęciach, stawała się centrum męskiego zainteresowania. Swą obecnością pomagała mu w interesach. Istotnie, oczekiwał od niej tylko pełnienia funkcji reprezentacyjnych i od czasu do czasu seksu. Umiejętnie zagrała swoją rolę. Musiał zwrócić uwagę właśnie na nią, bo tylko z taką kobietą gotów był się związać.

Bo tylko takiej kobiety szukał. A właściwie nie szukał kobiety, lecz żywej laleczki, którą mógłby całkowicie zdominować. Marionetki

obdarzonej rozumem tylko na tyle, by go nie kompromitować w towarzystwie. Przynajmniej nie ponad umowną granicę przyzwoitości.

Ewelina tym razem jest naprawdę przestraszona dziewczynką, kompletnie bezradną wobec czegoś, co ją przerasta, czego nie rozumie i czego panicznie się boi. Niepewnie wpatruje się w kochankę, współnika.

– To był sen, koszmary sen – powtarza, upewniając samą siebie.

– Tak, jasne, że sen. – Peter wsuwa broń pod łóżko, aby łatwo móc po nią sięgnąć. Magiczny, dodający odwagi i pewności siebie, śmiercionośny kawałek metalu spocznie w zasięgu ręki.

Przed kim, czy przed czym ma was dzisiaj obronić, wy żalosne, beznadziejnie żalosne stwory?

Na dzisiaj wystarczy. Po co mają przywykać do mnie? Mam mnóstwo czasu. Mam przed sobą cały czas i doczekam się. Doczekam się was obojga.

Swoją drogą mieli sporo szczęścia. Gdyby wóz nie eksplodował, nie spalił się, gdybym nie zwęglił się razem z nim, mogliby mieć kłopoty. A tak? Żadna sekcja nie wykaze utlenionej w ogniu odrobiny substancji, którą dobrowolnie, choć nieświadomie przyjąłem przed odjazdem. Zresztą sekcji zwłok nie będzie. Bo i po co? Pozostanie szybki, nieznaną wóz na krętej, górskiej drodze, zmęczenie, chwila dekoncentracji. Pozostanie brak motywów plus zeznania świadków o zgodnym pożyciu z żoną i wieloletniej przyjaźni z Peterem. Pozostanie policja z mnóstwem beznadziejnej, papierkowej roboty, z tysiącami spraw, z setkami wypadków na tej i na wielu innych trasach. Zespół przepracowanych urzędników w granatowych mundurach. Grupa ludzi, od których wymaga się rzeczy niemożliwych.

Nie, nie zależy mi na tak zwanym wymiarze sprawiedliwości. Co mi da, że Ewelina i Peter powędrują do więzienia w wyniku długotrwałego procesu dochodzeniowego i nudnej rozprawy? Czy w ogóle można mówić o karze? Czym miałyby być owa kara i co by zmieniła? Ja również nie chcę

ich karać. Zależy mi na czymś innym. Może to ma być satysfakcja? Może chcę im tylko uzmysłwić, że nie byli tak przebiegli, jak sądzą? A jeśli nawet byli, to że na nic im się ta przebiegłość nie przydała. Jestem złośliwy? Być może stałem się taki ostatnio. Zresztą sam sobie nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego ich zniszczę. Bo przecież tylko po to zostałem z wami... moi drodzy.

* * *

Ewelina jest roztrzęsiona. Wcale nie musi udawać. Spazmuje, szlocha. Boi się okropnie. Peter siedzi obok, trzymając ją delikatnie za rękę.

– Sam pan rozumie, sam pan widzi, panie komisarzu. Od niej, od pani Bellert, niczego pan się nie dowie, dopóki znajduje się w takim stanie. Bardzo, bardzo pana proszę, panie komisarzu, by jej pan już dzisiaj dłużej nie... dręczył. Ja wiem wszystko. Chętnie udzielę wszelkich możliwych informacji i wyjaśnień, nawet teraz. Czy nie znalazłyby się tu jakieś środki uspokajające? Widzi pan przecież jej reakcję na to, o czym poinformował nas pan przed chwilą. Zawdzięczam im prawie wszystko. Od lat byłem bliskim współpracownikiem i przyjacielem zmarłego, to jest, chciałem oczywiście powiedzieć pana Bellerta. Sądzę, że opiekując się panią Bellert w tak trudnej i bolesnej chwili, w jakiś sposób okazuję wdzięczność za to, co dla mnie zrobiła, co razem ze swym nieodżałowanym małżonkiem zrobili dla mnie.

Głos łamie mu się ze wzruszenia, może z żalu. (Nieżył z ciebie aktor, chłopcze.) Policjant kiwa głową ze współczuciem.

Ewelina pochlipuje. Wcale nie gra. Ona naprawdę żałuje. Żałuje siebie. Skąd może o tym wiedzieć zażywny, siwiejący pan komisarz policji? Dla niego Ewelina jest zrozpaczoną kobietą, której zawalił się cały świat. Nawiasem mówiąc, moja była żona wygląda okropnie! Nędznie i staro. Makijaż rozmazał się, tworząc na jej twarzy coś w rodzaju tragikomicznej maski, zmieniając trzydziesto – paroletnią piękność w życiowy wrak w nieokreślonym wieku. Alkohol i bezsenna noc też zrobiły swoje. To punkt dla nich. Żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie posądzałby przystojnego, bardzo bogatego młodzieńca o romans z... kimś takim.

– Dlaczego państwo przyszli dopiero teraz? – Nie daje za wygraną policjant. – Czy nie niepokoiła pani przedłużająca się nieobecność męża?

Ewelina wybucha koncertowym rykiem. Peter obrzuca pytającego spojrzeniem pełnym wyrzutu. Ten, widząc, że nic nie wskóra, wydobywa z apteczki jakieś krople.

– Proszę to szybko wypić. Nie są smaczne, ale pomogą. Powinny przynieść ulgę.

– Co to jest?

Boisz się podstępu, maleńka? Podejrzewasz, że to jakiś eliksir prawdy? Cwana, głupio cwana jest ta moja była żona. Nie masz się czego obawiać, koteczku. Ten stary, zmęczony urzędnik przed emeryturą chce mieć już tylko święty spokój. Zaprotokołuje zeznania i... zamknie sprawę. Zdarzył się wypadek podczas nieostrożnej jazdy. Jeden z wielu, wielu wypadków zdarzających się w każdy weekend.

– To łagodny środek uspokajający. Proszę tylko po nim nie prowadzić samochodu. O przepraszam, przepraszam – usiłuje zatuszować nietakt. Palnął gafę pod tytułem: w domu wdowy po wisielcu nie należy mówić o sznurze. Wie o tym i robi mu się głupio.

– Oczywiście odwożę panią Bellert do domu – ofiarowuje się Peter rycersko.

Ewelina przyjmuje lek i wychodzi, głośno smarkając w chustkę. Mężczyźni zostają sami. Policjant przekonał się, że tak będzie lepiej, szybciej, wygodniej. Z niej i tak nie udałooby mu się wydusić niczego sensownego.

– Dlaczego państwo zgłaszają się dopiero teraz? – ponawia pytanie.

– Nie niepokoiłiśmy się wcale. Nie było powodu do niepokoju. Greg, chciałem powiedzieć pan Bellert, często zostawał na noc w swojej posiadłości. Zdarzało się, że odwoziłem panią Bellert do domu, podczas gdy on wybierał samotność. Wyłączał wtedy komórkę, odcinał się od

świata. Zresztą zarówno jego żona, jak i ja, potrafiliśmy się zająć interesami pod jego nieobecność. Miałem dostęp do wszystkich jego spraw, a on do moich. Nasze działania uzupełniały się, a często nawet zazębiały. Byliśmy więcej niż współnikami i jego obecność nie była niezbędna, gdyż ja potrafiłem go zastąpić. Och, oczywiście, był ode mnie znacznie bardziej doświadczony. Stale uczyłem się od niego. Ale na krótką metę mogłem go zastępować. Jestem z tego dumny.

Podnosi głowę. Opuszcza ją zaraz, jakby pojmując niestosowność swego oświadczenia w danej chwili.

– A teraz... – powtarza sztuczkę z załamującym się głosem. (To robi wrażenie, Peter. Nawet na mnie.)

– Wyruszyliście razem, prawda?

– Tak. Ale Greg zawrócił. „Pewnie czegoś zapomniał”, powiedziała pani Bellert. Ja też tak pomyślałem.

– No, ale gdy nie było go rano...

– Panie komisarzu, przecież nie sądziliśmy, nie mogliśmy przewidzieć, nie martwiliśmy się. Myśleliśmy, że zmienił zamiar, że postanowił przemocować, i że dołączy do nas koło południa. Albo że pojawi się w siedzibie firmy, jakby nigdy nic. Dopiero po wiadomościach dziennika porannego, gdy usłyszałem własne nazwisko w kronice wypadków, zadzwoniłem do pani Bellert i wtedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, co się stało. Domyśliliśmy się wszystkiego. Greg jechał moim samochodem! Jeszcze próbowaliśmy się łudzić, ale... – rozkłada ręce bezradnie.

– Taaak. Jechał pańskim wozem. Dlatego auto skojarzyliśmy z panem. Odkąd jesteśmy skomputeryzowani, nietrudno trafić od numeru silnika do właściciela pojazdu. Zwłok po prostu nie dało się zidentyfikować na miejscu. Byliśmy pewni, że to pan zginął. Nadal niezupełnie rozumiem, dlaczego pan Bellert używał pańskiego wozu. – Policjant świdruje Petera wzrokiem.

– Greg... pan Bellert zaproponował zamianę. Spodobał mu się mój nowy „wózek”, jak go nazwał. Pani Bellert wolała większy, wygodniejszy samochód, więc pozostała ze mną w aucie Grega. – Peter uprzedza następne pytanie.

– Tak, tak. – Policjant pociera podbródek. Marzy o prysznicu i o kolacji zakropionej dobrym, czerwonym winem.

– Czy wcześniej jeździł tym samochodem?

– Nie, chyba nie. – Peter udaje zastanowienie. – Na pewno nie – przypomina sobie wreszcie. – Kupiłem go parę dni temu. Dawniej tak, owszem. Czasem jeździł moim starym autem. To był mały peugeot, którym łatwo się wszędzie zmieścić. Z kolei ja pożyczałem sobie niekiedy jego bryczkę, dopóki nie stać mnie było na coś równie efektownego. Pan rozumie, panie komisarzu, w interesach często ważne są pozory.

– To znaczy, że pan Bellert nie znał możliwości tego samochodu? – Inspektor ignoruje dygresję.

– Trudno mi powiedzieć. Chyba nie. Ale jego BMW to też bardzo szybka maszyna. – Peter cieszy się z korzystnego obrotu sprawy. – Pan Bellert był bardzo dobrym kierowcą – dodaje. – Kiedyś ścigał się w rajdach i odnosił sukcesy.

– Lubił szybką jazdę?

– Tak. Ale jeździł bardzo bezpiecznie.

– Czy to było drogie auto?

– Jak to?

– Inaczej: czy dużo pan zapłacił za rozbity wóz. Bo że to drogie samochody, to wiem.

– Ponad sto tysięcy. – Peter marszczy brwi. – Pan wybaczy, panie komisarzu, ale nie jestem pewien, czy aby nie wkracza pan w kompetencje urzędu podatkowego. – Udaje, że nie zrozumiał intencji pytania. – W tym kontekście pańskie pytanie brzmi jak niesmaczny...

– Sto tysięcy franków? – przerywa policjant.

– Sto tysięcy dolarów. – Ton Petera jest lodowaty. – Tyle kosztuje nowy samochód tej marki i w tej wersji – dodaje wyniośle.

– Proszę jeszcze raz określić, jakie stosunki łączyły pana ze zmarłym.

– Już mówiłem, ale proszę. – Nieznacznie wzrusza ramionami. – Byłem jego wychowankiem, uczniem, współnikiem, wreszcie przyjacielem.

– Czy w chwili obecnej, w zaistniałej sytuacji, przejmie pan... – policjant zawiesza głos.

– Rozumiem, do czego pan zmierza, panie komisarzu. To pański obowiązek. Otóż nie przejmę firmy pana Bellerta. Mam już własną. Dzięki niemu stoję mocno na własnych nogach. Gdyby pani Bellert poprosiła mnie o czasowe poprowadzenie jej interesów, nie mógłbym odmówić. Lecz na dłuższą metę nie byłoby to możliwe. On nauczył mnie wszystkiego. Zrobił ze mnie człowieka – oświadcza prosto. Wcale nie kłamie. Następnie opisuje wydarzenia poprzedniego wieczoru, nie komentując ich. Policjant uważnie słucha. Od czasu do czasu notuje jakiś szczegół.

– Czy nie uderzyło pana w zachowaniu pana Bellerta coś niezwykłego?
– pyta nagle.

– Co pan ma na myśli?

– Nic konkretnego. Kolejne rutynowe pytanie.

Ale znał pan go dobrze?

– O tak – podchwytuje Peter. – Bardzo dobrze. Pan Bellert sprawiał wczoraj wrażenie zrelaksowanego. Z pewnością ostatnio był przemęczony, niedospany. Ja zresztą też mało sypiałem. W pracy, w interesach zapanowała pewna nerwowość w związku z ostatnimi wydarzeniami na arenie międzynarodowej... Ale to nie ma nic do rzeczy. Wczoraj bawiliśmy się świetnie. Miałem nawet zaprosić swoją narzeczoną. Chciałem bliżej poznać ich z sobą. Może lepiej się stało, że nie pojechała ze

mną. Gdyby wsiadła do tamtego wozu... Boże! Boże!... Dopiero teraz o tym pomyślałem.

Spryciarzu, cholerny spryciarzu! Do policyjnej mózgownicy już, już zaczęły kołatać pewne, nie do końca sprecyzowane podejrzenia co do ciebie i Eweliny. Ubiegłeś je chytrze. Po raz kolejny jestem z ciebie dumny.

– Żenię się niedługo, panie komisarzu, a w tej sytuacji... On był dla mnie jak ojciec. – Ukrywa twarz w dłoniach, by opanować „szczery odruch głębokiej rozpacz”. – Nie, nie wolno się poddawać – konkluduje. – Mam teraz nowe obowiązki.

– Pani Bellert jest bardzo piękna – zauważa od niechcienia policjant. – Dzisiaj nie wygląda zbyt korzystnie, ale trudno się dziwić. Znam ją z wcześniejszych zdjęć w prasie, telewizji, w związku z jej słynną akcją charytatywną.

– O tak, tak, jest bardzo piękna i dobra – entuzjastycznie przyznaje Peter. – Dlatego czuję się w obowiązku pomagać jej. Muszę jej pomagać. Tak. Tak. Poza wszystkim to moja krewna. Nie wiedział pan? Jako dziecko tytułowałem ją ciocią. Teraz już nie wypada. Postarzałbym ją.

Komisarz głośno wypuszcza powietrze. Jest to westchnienie ulgi. Nie będzie przecież podejrzewał młodego człowieka o romans z własną ciotką! Nić, którą już, już prawie zaczynał snuć, pęka. Nie warto jej wiązać. Nie sprawdzi więc bardzo wątpliwego pokrewieństwa. Ciotka to ciotka. W podświadomości ma zakodowany obraz licznych, zapamiętanych z dzieciństwa, starych i brzydkich ciotek, których czułości na przemian ze zrzędlivością serdecznie nie cierpiał. Wspomnienie tych smętnych, grzęznących w staropanieństwie postaci, które nazywał kwokami lub koczkodanami, przysłania mu obraz Eweliny z oficjalnych fotografii. – Pewnie zdjęcia były sprzed paru lat – myśli. – Teraz to taka sama mała jak i one. Ciotka to ciotka.

Jest tak duszno, tak gorąco. Prościej, dużo prościej jest zaopatrzyć sprawę w nagłówek „wypadek drogowy” i., złożyć ją ad akta. Awansu już i tak się nie doczeka. Zresztą wszystkie poszlaki wskazują na wypadek. Nic innego nie mogło się zdarzyć.

– Być może będziemy pana jeszcze potrzebowali – kończy przesłuchanie, nie wierząc w to, co mówi. – Do widzenia panu, panie Dabeau.

* * *

– Już po wszystkim, kochanie.

Spuchnięte oczy Eweliny wpatrują się w niego bezmyślnie.

– Po wszystkim?

– Tak, najdroższa. Co więcej można powiedzieć o nieszczęśliwym wypadku? Bo to był wypadek. Jeżeli policja tak uznała, to nie mogło być inaczej, prawda? (Nie posądzałem cię o cynizm, przyjacielu).

– Co im powiedziałaś?

– Prawdę. Tylko prawdę. Ominąłem kilka nieistotnych szczegółów, parę nie mających znaczenia drobiazgów. (Świnia z ciebie, chłopcze. Nieładnie).

– Uwierzyli ci?

– A czy mogli nie uwierzyć. Niby dlaczego? Wszystko, czego się dowiedzieli, jest niepodważalne, proste, logiczne. Sądzę, że pomogła nam cena samochodu, który poświęciłem i nasze, hahaha, pokrewieństwo, cioteczko. Ty też musisz uwierzyć, że tak było. Nie możesz myśleć inaczej. Autosugestią, maleńka, można działać bardzo, bardzo wiele.

– Autosugestią? – Ewelina zdaje się nie rozumieć.

– Tak. Musisz przekonać samą siebie, że to był wypadek. Jeśli to osiągniesz, skończą się złe sny, obawy, bo wtedy nasza prawda stanie się prawdą obiektywną. (Nie sądziłem, że jesteś filozofem. Nie doceniałem twej wszechstronności.) Ja już w nią uwierzyłem, a to, w co wierzę, jest prawdą – kończy tryumfalnie. (Machiavelli dla ubogich.)

A ona wciąż niczego nie rozumie. Peter nie znał jej z tej strony. Ewelina zawsze była ukryta w moim cieniu, przytłumiona. Często odpowiadałem za nią, więc trudno się było zorientować w jej straszliwej głupocie, w pustce wnętrza, w braku jakiegokolwiek wnętrza. Zakochany mężczyzna nie widzi początkowo wad swej wybranki, a Peter pod tym względem nie odbiega od

normy. Milkliwość Eweliny tłumaczył do tej pory głębią intelektu, bezmyślność ocząt uważał za subtelną zadumę, głupie uwagi traktował jako doskonale dowcipy. Teraz jest więc mocno zaskoczony.

– Nie pojmujesz, o czym mówię?

– Daj mi spokój. Jestem zmęczona. Taka zmęczona – jęczy.

– Przepraszam. Głupiec ze mnie. Ty jesteś taka delikatna, taka wrażliwa, a ja cię niepokoję. Powoli wszystko się ułoży. Nie martw się, czas jest najlepszym lekarzem duszy. – Plecie banały, dość słuszne zresztą, i dociera nimi do jej otępiałego umysłu.

– Tak, tak. Czas uleczy wszystko, naprawi – zgadza się z nim Ewelina, próbując przybrać bohaterski uśmiech.

– Moja biedna, moja dzielna – rozczuła się Peter. Zdaje się, że rzeczywiście bardzo ją kocha.

* * *

Pogrzeb miałem skromny. Była Ewelina, oczywiście z Peterem, podtrzymującym duchowo i fizycznie „zrozpaczoną wdowę”. Przyszło kilku moich współpracowników z żonami. Nie udawali smutku. Nie musieli. Odczuwali go naprawdę. Byłem dla nich wymagającym, ale chyba nienajgorszym szefem. Przynajmniej niektórzy z nich lubili mnie, a wszyscy z pewnością szanowali.

Z szacunkiem też kłaniali się Ewelinie, składali kondolencje. Padały słowa pociechy, otuchy. Przyjmowała je spokojnie, godnie. Nie ryczała, nie robiła scen. Kilka łez wymknęło jej się spod ciemnych okularów. Sprawiała wrażenie pogodzonej z „okrutnym losem”. Imponowała opanowaniem. Wszyscy podziwiali jej pobladałą pod czarną woalką twarz, z zastygłym na niej wyrazem cierpienia.

Bez wątpienia przeżywała koszmar. Przeżywali go oboje, ona i Peter. Starłem się regularnie dostarczać im mnóstwa zdrowych emocji. Czuli mnie zawsze i wszędzie. Sygnalizowałem swą obecność prostymi środkami. Nie było dnia, nie było wieczoru, że o nocy nie wspomnę, by nie zdarzyło się coś, czego wytłumaczyć nie potrafili, a co mniej lub bardziej świadomie kojarzyli ze mną. Człowiek, dzięki swej abstrakcyjnej wyobraźni, jest bardzo dziwnym zwierzęciem. A nad ich wyobraźnią pracowałem intensywnie i skutecznie. Z czasem przeobrażę ich w parę szaleńców, nie odróżniających jawy od urojeń, nie panujących nad sobą, całkowicie zdanych na pastwę emocji, głupich niewolników, wikłających się coraz mocniej w sieci własnych iluzji i zsyłanych im wizji. W moich niewolników.

Trumna wolniutko, dostojnie zsuwa się w czeluść grobowca. Nagle, co to? Rozlega się zgrzyt. Stateczna wędrownka gustownej, lśniącej politurą i

metałem skrzyni zostaje raptownie przerwana.

– Awaria urządzenia – wyjaśnia starszy człowiek o zawodowo smutnym obliczu. – Przepraszam państwa bardzo, zaraz usuniemy. – Manipuluje przy dźwigniach. – Gotowe – oznajmia. – Jeszcze raz ogromnie przepra...!

Trumna spada z platformy, wieko odskakuje. W powietrzu zastyga zbiorowy okrzyk zaskoczenia, przerażenia i wstrętu. Z wnętrza spogląda na światło dzienne szczerząca się upiorna maska niemal całkowicie spalonej twarzy, półzwęglone dłonie, pierwotnie złożone na piersiach, rozwarte są w powitalnym, zdawałoby się, geście. Peter pierwszy odzyskuje przytomność umysłu. Gwałtownie odpycha Ewelinę, dopada trumny, dźwiga wieko i usiłuje ułożyć je na właściwym miejscu. W następnej sekundzie wspomaga go pracownik przedsiębiorstwa pogrzebowego. Wspólnymi siłami osiągają cel. Wreszcie moje ciało definitywnie znika sprzed oczu zebranych. Płyta grobowca zostaje zasunięta.

– Szanowni państwo, proszę o chwilę uwagi. Jeszcze raz chciałem serdecznie przeprosić za jakże przykry incydent. W związku z nim czuję się zobowiązany w imieniu mej firmy zaprosić państwa na lampkę koniaku. Myślę, że nam, wszystkim tu zebranych, jest potrzebna, że wszyscy odczuwamy potrzebę uspokojenia się, odprężenia, jeśliby użyć tak banalnego zwrotu. – Przedstawiciel szacownego zakładu „Aeterna” usilnie stara się zatrzeć niemiłe wrażenie.

Propozycja zostaje przyjęta. Życie jest życiem. Organizm ma swoje prawa. Grupka czarnych postaci oddała się, by pokrzepić nadwątlone dusze i ciała. Nie skończy się na jednej lampce.

Na obrzeżach cmentarza kilku przedsiębiorczych restauratorów ulokowało swe przybytki. Ci znawcy realiów życiowych i psychiki ludzkiej robią zupełnie niezłe interesy, ofiarowując pogrążonym w żałobie odrobinę czysto fizycznej pociechy i chwilowego zapomnienia. Moi żałobnicy

wkraczają w gościnne podwoje restauracji „Concordia”. Wyjdą ogromnie pokrzepieni.

* * *

Oglądają telewizję. Program zupełnie ich nie interesuje. Zmienili kilka kanałów, nie znajdując nic dla siebie. Spać jednak nie pójdą. Zdarzenia dni ostatnich sprawiają, że oboje nie są w stanie zasnąć, toteż myśl o nocy przejmuje ich lękiem. Odwlekają więc moment, w którym będą musieli udać się na spoczynek. Peter z niechęcią obserwuje manipulacje Eweliny przy barku. Ma serdecznie dość jej pijaństwa, lecz zdaje sobie sprawę, że bez alkoholu jej stres byłby znacznie bardziej dotkliwy. Ona pije coraz więcej. Nie może jej tego zabronić, stara się więc, aby piła mniej, bardziej umiarkowanie i słabsze trunki.

– Nalej i dla mnie – prosi. – Nie, nie whisky, nie brandy. Koniak? Nie, nie. Za ciepło dziś na koniak. Może raczej napijmy się wermutu z lodem? – proponuje.

Pobrzękują kostki. Sączą alkohol w milczeniu. Ewelina zdaje się wyczuwać nastrój kochanka.

– Ja się boję, Peter. Dlatego piję. Nie gniewaj się na mnie.

– Nie gniewam się. Martwię się o ciebie – odpowiada ciepło, ze smutkiem. – Czego się boisz? Policja o nic nas nie podejrzewa. Rozmawialiśmy o tym kilka razy. Nic nam nie grozi.

– Nie myślę o policji. Boję się czegoś innego. Nalewa sobie nową porcję. Od dawna chciała z nim porozmawiać, ale wstydziła się przyznać w obawie przed wyśmianiem. Dziś jest na tyle trzeźwa, by w miarę poprawnie artykułować myśli, i na tyle pijana, by zdecydować się na poruszenie tematu, który jej samej wydaje się sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Dlatego zwlekała.

– Peter, ja nie wiem, jak zacząć. Coś jest ze mną nie tak. A może i z tobą?

– Och, nie przejmuj się. Oboje jesteśmy kompletnie wytrąceni z równowagi. Dziwisz się? Nie myśl o tym. Po prostu nie myśl o przeszłości. Tyle razy cię prosiłem, żebyś traktowała... zajście, jako wypadek. Z czasem przywykniesz do tej myśli i podświadomość przestanie cię dręczyć – powtarza swoją starą śpiewkę. – To takie proste.

– Ja nie to. Ja nie o tym. – Trochę trudno zebrać jej myśli. – Czy ty naprawdę niczego nie dostrzegasz? Nie słyszysz? Nie widzisz i nie czujesz?

(Wiesz dobrze, chłopcze, o co chodzi mej byłej połowicy, lecz zgrabnie udajesz nieświadomość, unosisz brwi ze zdumienia.)

– Nie dostrzegam? Czego?

– Tego, co dzieje się wokół nas. On jest z nami! Osacza nas. Słyszę jego kroki w hollu na dole co noc. Krąży wokół. Bez powodu trzaskają drzwi. Wyrzuciłam wszystkie jego rzeczy, a wczoraj w łazience znalazłam jego grzebień i szczoteczkę do zębów. Na grzebieniu widziałam jego włosy, a szczoteczka była wilgotna, jakby używał jej przed chwilą. Ja wiem, że mnie wyśmiejesz, że wszystko mądrze wytłumaczysz, odgłos kroków – złudzeniem, trzaskanie drzwi – przeciągiem, przybory toaletowe – moim roztargnieniem, zapomnieniem. Ale ja te rzeczy na pewno wyrzuciłam. Przysięgam!

– Nie wyśmieję. – Peter patrzy na nią poważnie. – To nie jest śmieszne, kochanie. Ja też łapię się czasem na odbieraniu nietypowych zjawisk i ignoruję je. To jest jedyna metoda. Uwierz mi, zaufaj. To podświadomość, nasza podświadomość. Nie martw się, ptaszku. Damy jej radę.

– Ciągle ta podświadomość. Nie potrafisz wymyślić nic bardziej sensownego? – Pod wpływem alkoholu odzyskuje animusz. – Podświadomość, phi. Robisz ze mnie wariatkę!

– Ależ skąd, skądże znowu. Wcale nie – protestuje Peter.

– I nie nazywaj mnie ptaszkiem. On tak do mnie mówił. Jeszcze trochę, a zaczniesz nazywać mnie aniołkiem. „Koteczku” też już do mnie mówisz.

Zupełnie tak samo jak on. Wszystko zaczynasz robić tak jak Greg. Coraz mocniej mi go przypominasz.

– No wiesz, kochanie, to naturalne. Zналиśmy się od kilku lat. On bardzo mi imponował. W pewnym sensie był moim idolem w niektórych sprawach. Mogłem bezwiednie przejąć od niego wiele zachowań, odruchów. Jesteś ostatnio bardzo przeczulona, podatna na niektóre wrażenia. Po prostu troszeczkę przesadzasz.

– Cooo? Ja przesadzam? – krzyczy Ewelina. – Ja? Mówiłam, że chcesz zrobić ze mnie nienormalną. Te twoje mądre mowy – jak jego. On też tak pieprzył, a nic do sensu. Oooo, nawet papierosa trzymasz tak jak samo.

– Możliwe, możliwe – uspokaja ją. – Po prostu wcześniej nie paliłem i teraz wydaje ci się, że...

– Nic mi się nie wydaje. Palisz jak Greg, pijesz, trzymając kieliszek jak Greg, siadasz podobnie, mówisz, używasz jego zwrotów i określeń, głos ci się zmienił, naśladujesz jego ruchy...

– Niczego nie naśladuję. To bzdura. Jestem troszkę nerwowy, zmęczony, ale nic poza tym. Jestem jaki byłem.

– Bzdura? Bzdura? Nawet w łóżku przyłapałam cię na podobnych numerach. On też miewał takie... zboczone zachcianki.

– Jakie znów zachcianki? Wszystko robię tak, jak do tej pory, normalnie, tak jak zawsze ci się podobało.

– Nie tak samo. Nie tak samo. Całkiem inaczej. Jak on! Patrzy na nią z obawą. Albo ja zwariowałem, albo ona, myśli.

– Chyba żartujesz, kochanie! Skąd niby miałbym wiedzieć... Skąd miałbym znać nawyki i upodobania seksualne Grega? Nigdy nie rozmawiałem z nim na takie tematy. Wiem, że pewne zachowania codzienne mogłem przejąć bezwiednie, ale szczegóły intymne...? Wybacz. A propos łóżka, chciałem zauważyć, że nie kochaliśmy się od trzech dni. Niedługo zapomnę w ogóle jak to się robi – dodaje, siląc się na żart.

– No właśnie, właśnie. Ja się boję nawet kochać z tobą, bo to jakby z nim. Czuję, słyszę jego oddech. Dotykają mnie jego ręce, jego ciało. Widziałem jak wyglądał wtedy, w trumnie, i teraz nie mogę, nie mogę, nie mogę! To tak jak z nim. Jak z nim – powtarza.

Peter nie wie, co odpowiedzieć. Co w tej sytuacji w ogóle można powiedzieć? Wypija sporą szklanekę, potem drugą, trzecią. Dzisiaj upiją się razem, jutro oboje będą skacowani... też razem. C'est la vie.

* * *

Peter kładzie się na mojej kanapie. Ewelina śpi już w swojej (naszej) sypialni. Taki stan rzeczy trwa od pewnego czasu, to znaczy od kilkunastu dni zajmują osobne pokoje. Po prostu nie mogą wzajemnie znieść swej obecności. Ona, ciągle pijana lub skacowana, zachowuje się ordynarnie, co razi jego subtelne poczucie estetyki. Są jednak sobie potrzebni. Peter wciąż liczy na cudotwórcze działanie czasu. Zaczyna zdawać sobie sprawę z pomyłki, którą popełnił, wiążąc się z Eweliną tak trudnymi do rozplatania więzami. Bardzo postarzał się ostatnio. (Cena którą płaci, znacznie przewyższa wartość – powiedzmy – „dóbr nabytych”. Wpakowałeś się w niezłe gówno, przyjacielu mojej żony. Nie było warto. Skąd jednak akurat ty miałeś o tym wiedzieć?)

Jeszcze broni się przed ponurą prawdą, atakującą go coraz brutalniej. Próbuje tłumaczyć Ewelinę. Nie zawsze mu się to udaje. Rozmyśla, paląc papierosa. Nie może zasnąć.

– Podejdiesz teraz do lustra. Wstań! Podejź! – rozkazuję.

Jak automat zwleka się z kanapy, posłuszny niespodziewanemu impulsowi. Staje przed lustrem. Bezmyślnie gapi się w swe odbicie. Szklana tafla zaczyna falować. Peter przeciera oczy. Odczuwa wielkie zmęczenie, ale żeby aż tak...?

Obraz załamuje się i zaciera. Niespodziewanie lustro rozbłyska jak ekran. Pojawia się na nim moja żywa twarz. Zanim patrzący zareaguje w jakikolwiek sposób, stanie się świadkiem maleńkiej metamorfozy. Oto uśmiechnięte oblicze czterdziestoparoletniego mężczyzny, przyglądającego mu się pogodnie, ulega błyskawicznej przemianie. Peter zasłania oczy dłońmi.

– O Boże, dobry Boże, co to jest? Czy ja śnię, czy postradałem zmysły?

– Nie zwariowałeś, chłopcze. To byłoby zbyt proste – odpowiada bezgłośnie trupia maska, obciążona resztkami spalonej, łuszczącej się skóry. Mętne, martwe oczy wpatrują się w niego. Opuchnięte, spękane usta, zdają się coś mówić, krzyczą grymasem straszliwej męczarni.

Peter cofa się, cofa, potyka o fotel, wywraca.

– Nie, nie! To nie ja! To ona mnie namówiła – tłumaczy się naiwnie. – Nie męcz mnie! Zostaw mnie w spokoju – bełkocze. – Odejdź!

Lustro, wiszące od lat na mocno wbitym haku, spada z hukiem i rozpryskuje się na tysiące kawałków. Ranią mu twarz, ręce. Peter traci przytomność.

Zastanawiam się, czy by podobnego obrazka nie przedstawić Ewelinie, stwierdzam jednak, że jest kompletnie niepodatna na jakiegokolwiek bodźce. Alkohol zrobił swoje. Na dzisiaj wystarczy, a niedługo i tak skończy wam się wszystko. Cały wasz plan runie.

Nie łudź się, Peter, że miałeś w tej grze jakiegokolwiek szanse. Byłeś tylko narzędziem, środkiem do osiągnięcia określonego celu. Wszystko to, co zaplanowałeś, i tak rozpadłoby się i bez mojej ingerencji. Wiem, że zaczynasz to rozumieć. Żałujesz ślicznej i mądrej Danielle, z którą zerwałeś, zauroczony Eweliną. Broniłeś się długo. Jej awanse traktowałeś jako wyraz sympatii i troskliwości. Nawet gdy jej zamiary stały się zupełnie oczywiste, zdawałeś się ich nie dostrzegać. Ignorowałeś prowokacje. Ja też byłem ślepy, przyznaję. Dopiero, gdy obcesowo wpakowała ci się do łóżka, uległeś. Kto by nie uległ? Rozumiem cię dobrze i pewnie dlatego troszkę ci jednak współczuję. Wyjechałem wtedy do Lyonu, pamiętasz? Ewelina zatelefonowała do ciebie. Podobno bała się samotnej nocy w pustym domu. Wcześniej dała wychodne pokojówce i ogrodnikowi. Przyjechałeś i grzecznie ułożyłeś się na niewygodnej kanapie, którą i teraz zajmujesz. Zasnąłeś, a gdy poczułeś ją obok siebie, wyrwany z głębokiego snu, było już za późno. Nie ma zdrowego, młodego mężczyzny, który o godzinie

trzeciej nad ranem byłby zdolny wyrzucić ze swego łóżka pięknie pachnącą, atrakcyjną kobietę, w której na dodatek od dawna podkochuje się skrycie. A potem zakochał się tak mocno, tak ślepo, tak po wariacku, że omotała cię całkowicie. Cóż. To się zdarza nawet całkiem mądrym samcom. Szkoda, że zdarzyło się właśnie tobie.

* * *

Ewelina maluje się bardzo starannie. Trochę trzęsą się jej ręce. Pociąga mały łyk.

– Muszę – tłumaczy. – Tylko odrobinę. Inaczej będę nie do życia. – Drżenie dłoni rzeczywiście ustaje.

Peter obserwuje ją zatroskanymi oczami. Milczy. Wyczerpał już wszystkie argumenty. Prosił, groził, wyjaśniał, tłumaczył. Nic nie pomogło. Nie mogło pomóc.

– Dobrze, kochanie, tylko uważaj – żartobliwie grozi jej palcem.

Ten gest zupełnie nie pasuje ani do sytuacji, ani do stanu jego umysłu, lecz on bardzo mocno stara się ratować ją, siebie, ratować twarz. Wie, że jest bezradny, lecz równie dobrze wie, że nie wolno mu tego okazywać. Musi być mądry, silny, przedsiębiorczy. Musi... wytrzymać za dwoje. Dlatego delikatnie kiwa paluszką, zamiast wyrwać jej szklankę i dać w twarz, żeby otrzeźwiała. Ma na to cholerną ochotę. Rozładowałyby narastającą, tłumioną z coraz większym trudem, bezsilną wściekłość. Kiedyś naprawdę cię palnę, myśli. Może to przywróci cię rzeczywistości, skretyniała pijaczko.

– Pospiesz się, myszko – przynagla łagodnie, z uśmiechem numer sześć.

– No, chodźmy wreszcie – naciska, widząc, że ona znów sięga po butelkę. – Czeka ją na nas!

Ewelina niechętnie odstawia szkło.

– Chodźmy, jak mamy iść – zgadza się smętnie, rzucając tęskne spojrzenie na barek.

* * *

Pracownicy zebrali się w hollu, by przywitać szefową. Ewelina w czerni, z oczami zapuchniętymi od bezsenności i pijaństwa, osłoniętymi ciemnymi okularami, przyjmuje kondolencje dyrektora handlowego i supervisora. Wygląda bardzo godnie i... staro. Tak właśnie powinna wyglądać wdowa w żałobie, pogrążona w żalu, gnębiona bólem po stracie ukochanego męża. Mężczyźni z szacunkiem rozstępują się przed nią. Po koniecznych ceremoniach, przechodzą do mego gabinetu.

– Tu nic się nie zmieniło – wzdycha Ewelina, rozglądając się.

– Oczywiście madame. Niczego nie zmienialiśmy. Nie ośmielilibyśmy się niczego tknąć bez pani wiedzy. Przecież nieodżałowany małżonek pani, pan Bellert wciąż żyje... w naszych sercach, w naszej pamięci.

Ewelina lustruje go tak dziwnym spojrzeniem, że gładki frazes więźnie człowiekowi w gardle. Dotknął bardzo czułej struny, tym swoim „on wciąż żyje”. W Ewelinie wszystko nagle kurczy się z przerażenia.

– To straszne, straszne! – szepce.

Dyrektor zachowuje pełne szacunku milczenie. Podaje jej szklanekę wody mineralnej.

– Dziękuję bardzo. – Pije szybkimi łykami. Zdejmuje okulary, przeciera je chusteczką. Mężczyzna jest pod wrażeniem jej bólu. Z uwagą wysłuchuje mało skomplikowanych dyspozycji. Ewelina dobrze zapamiętała Peterowe instrukcje. Pomyliła się tylko kilka razy, przy nie mających znaczenia detalach. Jej lapsusy zostaną złożone na karb zdenerwowania i wyczerpania nerwowego.

– Tymczasem proszę traktować pana Dabeau jako dyrektora generalnego – kończy monolog.

– Tak, oczywiście. To najrozsądniejsze i zupełnie naturalne rozwiązanie, łaskawa pani. – Dyrektor kłania się leciutko. Peter udaje, że nie zauważył mocno protekcyjnego tonu swego nowego podwładnego. Dyrektor handlowy jest od niego przynajmniej dwukrotnie starszy.

* * *

Wybrali spokojną, niedrogą restauracyjkę.

– Musimy unikać rozgłosu, potrzebny jest nam spokój – stwierdził Peter. – Za miesiąc, dwa, zaczniemy się powolutku udzielać towarzysko, bywać w dobrych lokalach, na przyjęciach. Na razie nam nie wolno.

Ewelina nie oponowała. Bardzo cierpi bez alkoholu, ale odczuwa i ulgę.

– Dobrze wypadłam?

– Znakomicie, naprawdę znakomicie. Mogłabyś być aktorką, gwiazdą scen dramatycznych – zachwyca się Peter.

Zawsze marzyła o karierze filmowej, więc teraz komplementy przyjmuje z dawno niewidzianym uśmiechem radości. Peter też się cieszy. Ma nadzieję, że przetrwali kryzys. Głaszcząc ją po dłoni.

– Już będzie dobrze, prawda? – upewnia się.

– Bardzo bym chciała, postaram się.

– Tak, tak. Wszystko się ułoży. Najgorsze już za nami. – Peter gorliwie umacnia się w pozbawionym podstaw optymizmie.

Tu, w lokalu, wśród ludzi i ich spraw, nie mogą oddziaływać na nich zbyt intensywnie, lecz nie opuściłem ich ani przez moment i nie opuszczę do samego końca. To wasz ostatni posiłek, gołąbeczki. Wasza, hahaha, ostatnia wieczerza.

* * *

Obiad w mieście wprowadził ich w błogi nastrój. Wyrwali się z marazmu, pozostawili w domu lepką, wsysającą ich powoli atmosferę obłędu. Zakupili kilka zupełnie niepotrzebnych drobiazgów, zastanawiali

się nad pójściem do kina. Jednak Ewelina wołała wracać. Peter nie krył zaskoczenia.

– Dlaczego? Dlaczego? Po co chcesz wracać już teraz? Nie możemy całkiem się zasklepić, izolować od świata, bo koszmar wróci. Przecież poczułaś się znacznie lepiej, prawda? Przewidywałem to. Wiedziałem, że krótki wypad w „normalność” dobrze nam zrobi. Należy kontynuować mile rozpoczęte popołudnie. Należy powtarzać takie dni jak dzisiejszy. Bywać w firmie, kierować nią lub udawać, że się to robi. Interes przez jakiś czas i tak będzie się kręcił siłą rozpędu, a potem coś się wymyśli. Może fuzję przedsiębiorstw pod naszym wspólnym zarządem?... Nieważne. Chodzi mi o to, żebyśmy jak najwięcej przebywali poza domem.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Może poczułam zmęczenie, może coś każe mi wracać? Nie potrafię tego sprecyzować, bo w zasadzie chętnie poszłabym do kina na jakiś zabawny film. Telewizja nudzi mnie. Dziwne. Mam uczucie, jakbym zostawiła włączone żelazko. To głupie.

– Głupie, niegłupie. Pewnie po prostu odwykłaś od ruchu, gwaru. Jeśli zdecydowałaś się wracać, to wracajmy. Widać masz w tym jakiś cel, nawet jeśli o tym nie wiesz. Za to twój organizm najlepiej wie czego chce. Potrzebny mu spokój, więc informuje cię o tym.

Z trudem manewrują w zatłoczonych ulicach.

– Trzeba będzie kupić dla ciebie jakieś auto na miasto. Zresztą sobie też muszę kupić nowy wóz.

– Dobrze, ale po co nam dwa?

– Nie możemy stale jeździć razem.

– Dlaczego?

– Ludzie zaczęliby gadać.

– Dobrze. Kupmy dla mnie jakiś mały, zgrabny samochodzik. Najlepiej czerwony. A ty weź sobie to auto.

– Nie chcę go.

– Ooo, a to czemu? Zawsze ci się podobał.

– Nadal mi się podoba.

– Więc?

– Powód jest ten sam co poprzednio, mianowicie ludzkie gadanie. Wyobraź sobie teksty maluczkich zawistników. Już je słyszę: – „zgarnął w spadku auto, firmę i szefową”. Fajne, co? Zresztą może kolejność byłaby inna.

– Jak to?

– No wiesz, może zaczęliby od szefowej?

Ewelina uśmiecha się niepewnie. Peter odwzajemnia się uśmiechem. Wraca im humor, zaczynają snuć plany na przyszłość, próbują żartować. W miarę zbliżania się do domu, poważnieją. Rozmowa przestaje się kleić. Peter odstawia samochód do garażu. Ewelina idzie na górę i natychmiast sięga po butelkę. Bezmyślnie nalewa sobie duży kieliszek i wypija go jednym haustem. Po nim połyka drugi, trzeci. Nie odczuwa dzisiaj potrzeby picia. Nie wie, dlaczego pije. Jakaś siła każe jej upić się bez żadnej przyczyny. Jest przecież prawie odprężona. Mogłaby pooglądać telewizję, pokochać się z Peterem. Dawno tego nie robili, więc mogłoby im być wspaniale właśnie dzisiaj... ale pije. Zanim Peter wróci, będzie już mocno zalana. Stanie się agresywna, złośliwa i ponura. Wściekła na cały świat.

* * *

Peter siedzi w samochodzie i leniwie pali papierosa. Jest zadowolony. Wszystko zdaje się powracać do normalności. Ten dzień potwierdził jego teorie. Ewelinę wystarczy odciąć od przeszłości, odizolować od wspomnień, zmienić tok jej myślenia i wszystko będzie dobrze. Jak niewiele potrzebowała, by po tygodniach koszmaru zacząć reagować prawie normalnie, po prostu śmiać się i zwyczajnie, po ludzku rozmawiać. Taaak.

Najlepiej byłoby gdzieś wyjechać. Jakiś luksusowy hotel w znanym kurorcie? Nie, raczej nie. Raczej coś cichy pensjonacik w niedużej miejscowości, gdzie nie spotkają żadnych znajomych mogących jej się źle kojarzyć.

Zaraz skończy palić. Sprawdzi ciśnienie w oponach i zajrzy pod maskę. W dzieciństwie lubił bawić się autkami i to mu zostało. Potem pójdzie podzielić się swymi planami z Eweliną. (Zrzednie ci mina, mój drogi. Odechce ci się wszystkiego, jak ją zobaczysz. Zapewniam cię.)

Przeciąga się, wysiada, zamyka wóz.

– Powinniśmy chyba znów zatrudnić pokojówkę – przebiega mu przez głowę. – Ba, ale wtedy nie moglibyśmy mieszkać razem. Czy jednak tak nie byłoby lepiej? Ona nie może pozostawać sama w tak dużym domu. Trzeba wziąć się do pracy, do interesów. Najwyższa pora. Najwyższy czas. Nie będę mógł przebywać z nią stale – myśli.

– Ona też nie zawsze będzie mi mogła towarzyszyć. Kiedyś, w przyszłości na pewno. Oczywiście jeszcze nie w tej, najbliższej. To spowodowałyby plotki, a te mogłyby stać się podstawą do podejrzeń. Ale kiedyś z pewnością zamieszkamy razem, już na stałe. Rozwiniemy firmę. Razem dokonamy wiele. Bardzo wiele. Ona i ja, ja i ona – myśli.

Ogarnia go zapał na myśl o nowych przedsięwzięciach. Ma wiele ambitnych planów. Będzie je realizował z rozmachem. Ma dwadzieścia osiem lat. Jest energiczny, operatywny. Chce żyć, działać, pracować, kochać. Przeszłość się nie liczy, a przyszłość stworzy sam. Dla siebie, dla niej. Przede wszystkim dla niej! Ileż ona przeszła? Ileż przecierpiała! Nie ma co się dziwić jej reakcjom. Myśli o Ewelinie z czułością, czego nie robił od niepamiętnych czasów.

Ma zamiar popędzić na górę, podzielić się z nią swoją budzącą się nadzieją, radością. Przedstawi jej swoje plany, a ona przyjmie je z ufnością, podziwiając go i chwając, jak kiedyś, jak dawniej. A potem będą się kochać, kochać. Nic już i nikt, nigdy nie zakłóci ich szczęścia!

Naiwny jesteś, Peter. Bardzo naiwny. Przekonasz się o tym już za moment. Przedtem jednak czeka cię maleńkie preludium, uwerturka przed ostatnim aktem.

* * *

Miał właśnie opuścić garaż, kiedy zgasło światło. Zaklął pod nosem. Po omacku, brudząc o karoserię swój jasny garnitur, dotarł do półeczki, na której zawsze leżała latarka. Szukając jej na ślepo, zdał sobie sprawę, że nie jest mu już potrzebna. Jaskrawe światło samochodowych reflektorów zalało pomieszczenie.

– Dziwne – pomyślał. – Co za zbieg okoliczności. Spięcie instalacji domowej i samochodowej jednocześnie?

Zerknął w kierunku wozu i... głęboko westchnął. Na fotelu ktoś siedział. Z wielkim trudem oderwał nogi od posadzki. Wykonanie dwóch kroków, dzielących go od samochodu, wymagało potężnego wysiłku.

– Kto to? – spytał bez sensu zmartwiałym głosem. – Kto tam jest?

Odpowiedziała mu cisza. Przecież nie mogło być nikogo! Lecz jeśli tak, to dlaczego oparcie fotela prostuje się, rozpręża, jakby ktoś właśnie z niego wstawał? Dlaczego z siedzenia spada gazeta, nieuważnie strącona przez kogoś, kto właśnie opuszcza pojazd? Opuszcza bez otwierania drzwi? A jak wszedł do środka? Czy może niewidzialny, przebywał tam przez cały czas?

– Bzdura, bzdura i złudzenie – perswaduje sobie Peter rozumnie. – To była tylko gra światła i cienia. Złudzenie optyczne. Moje oczy najpierw nie zdążyły przywyknąć do mroku, a jak już przywykły, to oślepiło je jaskrawe światło. Bzdura, nonsens – macha ręką. – Zwariuję przy tej babie. Ona stale pieprzy o Gregu. Jak to było? „On nas osacza, jest z nami, czuję go wszędzie”. Idiotka. Nie sądziłem, że udzieli mi się jej głupota.

Słysząc trzaśnięcie drzwiami. Z korytarza dobiega odgłos kroków. Moich kroków. Peter słyszy je wyraźnie. Miarowe, spokojne kroki pana domu na własnym terytorium, niespiesznie zmierzają w kierunku salonu. Tam cichną, gdyż głuszy je gruby, perski dywan. A on stoi jak wmurowany

w beton, jakby sam stał się betonową strukturą, wyrosłą nagle pośrodku mrocznego pomieszczenia. Tylko serce bije, łomocze nienormalnym, nierównym rytmem. Skronie pulsują. Brak mu tchu. Żarówki pod sufitem zaczynają się palić zwykłym, jasnym światłem. Reflektory samochodu gasną.

Trzeba będzie wezwać elektryka, a samochód zawieźć do warsztatu. To był głupi zbieg okoliczności, nic więcej. Ale dlaczego pozostał po nim metaliczny smak w ustach, nudności, stały, wewnętrzny dreszcz, uczucie tępego, niemożliwego do opanowania, irracjonalnego przerażenia?

Będzie ci ono towarzyszyć już do końca, Peter.

* * *

Jest załamany i przybity. Nie chce nawet patrzeć na kompletnie pijaną Ewelinę, rozpartą na fotelu. Nie mówi nic, za to ona ma mu sporo do powiedzenia. Obrzuca go wulgarnymi, chamskimi wyzwiskami, płacze i głupekowato śmieje się na przemian. Jest okropna! Po prostu okropna.

– Ty durniu, błaznie, bałwanie, pierdolony gówniarzu, szcurzy siurku – wymyśla, pokonując czkawkę. – Myślałeś, że zależy mi na tobie? A figa! Głupek z ciebie. Odwaliłeś za mnie całą robotę i o to mi chodziło, dupku. Nic dla mnie nie znaczysz, a jego też miałam dosyć, tego mojego mądrego mężusia. Teraz ciebie też mam dosyć. Najchętniej i ciebie bym załatwiła – heeep – ale jeszcze nie wiem jak – wyznaje szczerze.

– Zamknij się! – nie wytrzymuje Peter. – Zamknij wreszcie tę swoją pijacką jadaczkę, głupia flądro.

– Cooo? Ja ty do mnie mówisz? Ty wiesz, do kogo mówisz?

– Wiem, idiotko. Mówię do podstarzałej raszpli o kurewskich inklinacjach. – Zupełnie nie panuje nad sobą.

– Ty do mnie, ty do mnie tak, gnojku? Do własnej ciotki? – Ewelina zamierza się na niego butelką.

Jest szybszy. Osłania się przed ciosem i wymierza kochance siarczysty policzek, a ona zanosi się gromkim rykiem.

– Ueeeeeeeeee – wyje – to tak mi się odwdzięczasz? – opuścił ją wojowniczy nastrój, przeradzając się w bezsilne, nieporadne rozżalenie.

Peter wychodzi, zamyka się w łazience i... zaczyna płakać. Odkręcił kurki, żeby nie było go słychać. Woda szumi, pluszcze, a on płacze i płacze. Nie rozumie, za co spotyka go taka straszna krzywda i niesprawiedliwość. (Czyżby kłopoty z wyobraźnią, drogi chłopcze, czy może z samooceną? Nie potrafisz połączyć skutków z przyczyną? Co z tobą? Zawsze byłeś bardzo

bystry. Skretyniałeś ostatnio? Niiiee. To nie skretynienie. Jesteś tylko krańcowo wyczerpany mentalnie i główka odmawia współpracy. Masz, czego chciałeś.)

Peter bierze się w garść. Przemywa sobie twarz, uspokaja się.

– Ona jest taka biedna – tłumaczy sobie. – Muszę uzbroić się w cierpliwość. Musimy wyjechać. Koniecznie wyjechać. To ją wyleczy. Potem sprzedamy ten przeklęty dom i wyprowadzimy się, przeniesiemy. Trzeba ją izolować od wspomnień – przypomina sobie własną receptę. – Cholera, uniosłem się. To się już nigdy nie zdarzy – przyrzeka sobie solennie. Postanawia wrócić do Eweliny, uspokoić ją, ugłaskać, ukoić.

– Uderzył mnie, pobił, ueeee, heeeeeepp, brutalnie. Za co? Za co? – Ewelinie wszystko się miesza. – Jak on mnie traktuje? Jak on może tak traktować bezbronną kobietę? Jak on śmie tak traktować wdowę? Uueeeep, heeeep, bueee. – Zanosí się wyciem, szłocha, pochlipuje. W końcu cichnie, bo morzy ją sen. Oczy jej się kleją, głowa opada. Ostatnim odruchem wlecze się do łóżka, na które zwala się nieprzytomnie.

W takiej pozycji zastaje ją Peter. Przyszedł do niej, trochę z litości, trochę ze strachu. Nigdy nie wiadomo, co może strzelić do głowy pijanej, znerwicowanej kobiecie. Walczy z sobą, jednak współczucie przewycięża gorycz. Wściekłość i żal wypłakał w łazience. Ujmuje zwisające z łóżka nogi Eweliny, podnosi je, okrywa kocem. Pod głowę podsuwa jej poduszkę. Zastanawia się, czy by jej nie rozebrać, lecz nie chce jej budzić. Mogłaby pomyśleć, że dobiera się do niej, a on ma swój honor, swoją godność. Przygląda się śpiącej, gdy ta nagle otwiera oczy. Oblęd czai się gdzieś na dnie jej źrenic.

– Nie, nie – wrzeszczy nieludzkim głosem. – Odejdź. To niemożliwe. Niiiee. Odejdź! Odejdź!

Peter uśmiecha się do niej uspokajająco i życzliwie swoją twarzą. Oczy Eweliny ogromnieją jak spodki. Peter nachyla się nad nią troskliwym

gestem. Pada strzał. Ewelina naciska spust kilkakrotnie, aż iglica szczęka metalicznie, nie natrafiając na spłonkę. Siła wystrzałów odrzuca mężczyznę na środek pokoju. Z odległości pół metra nie sposób chybić. Wpakowała mu w klatkę cały magazynek. Błyskawicznie sięgnęła po broń. Nadal przechowywali ją u wezłowania łóżka. (Lekką miałeś śmierć, Peter. Precyzyjnie pokierowałem dłonią twej kochanki. Teraz kolej na ciebie, ptaszku.)

Ewelina ze zdumieniem i niedowierzaniem przygląda się ciału. Jeszcze nie kojarzy świeżych zwłok Petera z zaciśniętym w dłoni browningiem. Prawda spada na nią z przeraźliwą jasnością. Jest ostateczna i nieodwołalna.

– Zabiłam go. Zabiłam... Petera.

(Teraz pójdziesz do łazienki. No, idź już. Pospiesz się.) Jak w lunatycznym transie stawia niepewne kroki. W szufladzie leży brzytwa. Nie używałem jej prawie nigdy. Była pamiątką po moim ojcu. Kobieta ujmuje ją w palce. Jak zahipnotyzowana wpatruje się w ostrze, po którym przebiegają połyskliwe refleksy. Przeciąga chłodnym metalem po przegubie lewej ręki. Nie czuje bólu. Krew płynie szybko, bardzo szybko. Rozlewa się po posadzce, tworząc kałuże. Ewelina uśmiecha się leciutko. A może to ja uśmiecham się jej ustami?

– No dalej, dalej – przynaglam. – Brzytwą, kochanie, brzytwą.

Brzytwą, brzytwą, koteczku.

Ręka z fryzjersko-rzeźniczym narzędziem wędruje wyżej. Ostrze płynnie prześlizguje się po szyi, otwierając ją w jakiś obrzydliwy sposób. Krew z przeciętych tętnic i tchawicy pieni się i bluzga, wśród mlaszczących, charkotliwych odgłosów.

Ewelina osuwa się na podłogę. Każę jej ponawiać posuwisty, piłujący ruch. Ciało jeszcze drga konwulsyjnie. Ręka staje się tylko martwym narzędziem, wykonującym moją wolę. Krew buchająca dotychczas regularnymi gejerami, teraz zaledwie sączy się powoli. Krzepnie szybko

na chłodnych kafelkach i nieco wolniej na ciepłym jeszcze ciele. Głowa odrywa się od tułowia i bezwładnie toczy pod umywalkę. Dłoń, wciąż zaciśnięta na rękojeści brzytwy, opada.

Dzieło zostało ukończone.

Eva Snihur

Zoya

Pierwszy raz zobaczyłam ją we wtorek. Niewysoka postać między grobami. Światło słońca padało na uniesioną twarz, zacierając rysy. Dziewczyna miała proste włosy. Dłonie chowała w kieszeniach szarego płaszcza.

Usłyszała szelest liści i obróciła się. Spojrzała na mnie. Spuściłam wzrok i ruszyłam naprzód, żeby ją ominąć.

– Przepraszam – odezwała się.

– Tak?

– Ja... chyba pomyliłam alejki. Kręcę się tu od dłuższego czasu i nie wiem, jak wrócić.

– Sama często się gubię. – Nigdy nie widziałam tak jasnych oczu. Ucieszyłam się, że mogę dłużej na nie popatrzeć. – Na szczęście, to miejsce mam już opanowane.

Cmentarz położony był daleko od centrum miasta. Okres świetności miał dawno za sobą. Wiele nagrobków zniszczył czas, niektóre płyty popękały. Ostatnimi laty mało kto chował tu zmarłych. Nikt też najwyraźniej nie dbał o zarośnięte alejki.

– Idź na lewo. – Zdecydowałam się na formę „ty”. Byłyśmy w podobnym wieku. – A potem cały czas prosto, aż do figury anioła. Stamtąd zobaczysz mur. I wzdłuż muru, ciągle w prawo.

Nie patrzyła na rękę wskazującą drogę, lecz na moje włosy.

– Piękne – powiedziała.

– Trafisz? – Poczułam, że się czerwienię.

– Tak.

Pół godziny później, kiedy wracałam, dziewczyna stała w tym samym miejscu.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Pomyślisz, że ze mnie kompletna idiotka. Próbowałam iść tak, jak mówiłaś, ale wszystko mi się pomyliło. Wolałam tu wrócić i poczekać na ciebie.

Gdybym poszła inną drogą, stałaby tak do jutra.

– Nie ma sprawy. Wyprowadzę cię z tego labiryntu. Powiedziała, że ma na imię Zoya. Tak jak wiele kobiet w tym mieście. Zoya, Zoyana. Poprowadziłam ją skrótem, a potem jedną z alejek, które – jak pamiętałam – prowadziły wprost... No, najwyraźniej źle pamiętałam. Cofnęłam się, żeby naprawić błąd. Nie pomogło. Zoya uśmiechała się delikatnie.

– Wygląda na to – zatrzymałam się – że trzeba będzie wrócić. Niepotrzebnie skracałam drogę.

Rozejrzałam się. Nie było tu nikogo poza nami. Stałyśmy w malowniczym miejscu. Wokół nas, niemal w idealnym kręgu leżały stare, zwalone kamienie nagrobne, niby mniejsza wersja Stonehenge. Wiatr poruszał liśćmi leżącymi na ziemi i strącał coraz to nowe z chylących się ku nam gałęzi klonów. Spadały powoli, jakby lot sprawiał im przyjemność. Niektóre z nich lądowały na nagrobkach. Powiew delikatnie unosił włosy Zoyi. Powietrze było przejrzyste i rześkie. Zapraǳnęłam do końca świata stać w tym cudownym miejscu. Ptasi krzyk rozdarł niebo. Zoya uniosła głowę.

– Wracamy – zdecydowałam.

– Kurwa mać! Przepraszam cię, Zoya. To idiotyczne! Dotarłyśmy do punktu wyjścia. Rozpoznawałam już drzewko o czerwonych liściach. Za drugim razem nie starałam się być oryginalna i wybrałam drogę, którą, jak mi się zdawało, dobrze znam. Alejki cmentarza były jednak pierońsko zagmatwane. Nie dotarłyśmy nawet do muru. Zoya mnie rozpraszała. Raz

prawie dotknęła moich włosów. I to jej spojrzenie! W dodatku robiło się ciemno.

– Wiesz, co, Zoya? Teraz pójde sama – postanowiłam. – Znajdę drogę i wrócę po ciebie. Dawno tędy nie szłam i wszystko mi się pieprzy.

– Wrócisz?

– Jasne! Zresztą, to tylko cmentarz. W razie czego pójdziemy prosto i prędzej czy później dotrzemy do muru. Na pewno nie zostaniemy tu na wieki.

Uśmiechnęła się.

Jesienią znikła bujna korona kasztanowca, po której rozpoznawałam teren. Dlatego skręciłam w niewłaściwą alejkę i nie znalazłam figury anioła. Od niego droga do wyjścia była już prosta. Bez problemów doszłam do muru. Mogłam wracać po Zoyę. Po dziesięciu minutach dotarłam do drzewka. Liście połyskiwały krwawo w świetle zachodzącego słońca.

Zoyi nie było. Zawołałam ją kilka razy. Zrobiłam dwa koła wokół terenu, krzyknęłam jeszcze raz i wróciłam do domu.

Myśl o dziewczynie błądzącej po cmentarzu nie dawała mi spokoju. Inna sprawa, że spoglądanie w jej niezwykle oczy było wciągające. Kiedy w środę wróciłam na cmentarz, Zoya stała w tym samym miejscu. Bez zniczy. Bez torebki.

– No proszę – zagadnęłam. – Ty znowu tutaj? Nie odpowiedziała.

– Jak wróciłaś? – podeszłam bliżej. – Byłam wczoraj po ciebie.

– Byłaś? Nie widziałam...

– Bo już cię nie było.

W milczeniu wpatrywała się w jeden z grobów.

– Masz tu kogoś? – odważyłam się zapytać.

Jej ponura mina sprawiła, że poczułam się nieswojo. Zbliżyłam się i przeczytałam napis na nagrobku.

– Opanuj się – rozkazałam sobie.

Ledwo uspokoiłam oddech. Siedziałam na ławce przy cmentarnej bramie i zbierałam myśli. Zachowałam się nieuprzejmie. Nie wiedziałam, że jestem histeryczką. Co mnie tak przestraszyło? Zoya przychodziła sobie na grób... Zoyi. To się zdarza. Na tym cmentarzu łatwo zabłądzić. Zdecydowałam się wrócić, choć nie miałam na to ochoty. Drżałam. Do głowy przychodziły mi idiotyczne myśli. Przypomniałam sobie znane z dzieciństwa opowieści o duchach i upiorach.

Opierała się plecami o drzewko. Wyglądała niewinnie. Drobną postać w szarym płaszczu. Błada, ale na litość boską, żywa!

– Co się stało? – Błękit oczu Zoyi hipnotyzował. – Czemu stoisz tak daleko?

Przysunęłam się sztywno.

– Zmarła kilka dni temu. – Zoya wskazała grób.

– Tak – wymamrotałam.

Gdyby Zoya zbliżyła się choćby o centymetr, wrzasnęłabym.

– Dlaczego ma na imię tak jak ty? – zapytałam.

– Nie wiem.

– Jak to, nie wiesz?!

– Nazywa się tak samo jak ja.

– Chcesz mi powiedzieć, że jesteś trupem? – Zaczęłam się nerwowo śmiać. – Sama wymyśliłaś ten żart? Długo się przygotowałaś? Czekalaś tu sobie na jakąś idiotkę?

Może Zoya założyła barwione szkła kontaktowe, żeby być bardziej przerażająca? Kolor był niehumaniczny.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Wyglądała na zaskoczoną. – Nie jestem żadnym trupem! Jestem tak samo żywa jak ty.

– Więc czemu ciągle tu przychodzisz?!

– Po prostu stąd nie wychodzę! – zezłościła się.

Odeszłam szybko, zerkając za siebie. Stała obok drzewa. Oczy świeciły z daleka. Robi mnie w balona, a ja sram ze strachu, myślałam. Zimny pot spływał mi po plecach.

– Stoi zawsze tutaj. – Pokazałam palcem. – To ten grób.

Sal pochylił się. Odgarnął z czoła ciemną grzywkę. – Zoyana Volberg, 26 lat, zmarła... w zeszły poniedziałek.

Podniósł wzrok i obdarzył mnie uśmiechem.

– Przestań, Sal, ja nie żartuję!

– W takim razie ta panna robi sobie jaja. Powiedziała, że ma na imię Zoya? Też tak mogę powiedzieć. – Spoglądał zza niewielkich okularów.

Chociaż przy wysokim, pogodnym Salu czułam się bezpiecznie, nie miałam ochoty patrzeć na grób.

– Jak umarła? – zapytałam. Jeszcze raz się pochylił.

– Dość nieprzyjemnie – oznajmił. – Na pewno chcesz wiedzieć?

– Nie!

– Boże, jaka jesteś blada!

Dopiero w tej chwili zrozumiał, że nie ściągnęłam go z łóżka o świcie dla zabawy. Podszedł i objął mnie.

Budka strażnika znajdowała się obok bramy. Ceglane ściany oplatał bluszcz, brudne szybki tkwiły w popękanych ramach. Mężczyzna o pożółkłej twarzy i brzuchu imponujących rozmiarów stał przed drzwiami z niedopałkiem papierosa w dłoni. Zanim tu przyszliśmy, wymyśliłam kilka kłamstw mających skłonić strażnika do udzielenia nam informacji o grobie. Począwszy od udawania koleżanki zmarłej, po przemowy o duchach. Sal był prawnikiem. Zaczął rozmowę od błękitnego banknotu. Grubas przyjął pieniądze bez słowa. Pchnął drzwi do kanciapy, dał gestem znak, żebyśmy podążyli za nim, i wsunął się do środka.

– Taaa? – Zręcznym ruchem wrzucił banknot do szuflady.

Pokoik śmierdział tytoniem i sparciałymi szmatami. Poza biurkiem i krzesłem stała w nim jeszcze obdrapana szafka. Podłogę pokrywały strzępy brunatnej tkaniny będącej zapewne pozostałością dywanu. Herbaciany szczurek wysuwał nos z kubka stojącego na parapecie. Stanęliśmy z Salem tuż przy wejściu.

– Chcielibyśmy – zaczęłam – dowiedzieć się czegoś o osobie, która została tu niedawno pochowana... Nazywa się Zoyana Volberg.

Strażnik opadł na krzesło, zdusił niedopałek w pokrytej warstwą popiołu metalowej popielniczce i otworzył zeszyt.

– Po co wam to? – mruknął, przewracając kartki.

Otworzyłam usta, ale Sal mnie ubiegł.

– Robimy badania. Jesteśmy studentami.

– Aha! – Uśmiechnął się.

„Student” było jednym z ulubionych słów strażnika. Studenci byli częstymi gośćmi w kanciapie. Tu czaseczka, tam kosteczka, czasem trochę perwersji. I można było zarobić.

– Zoyana Volberg. Mam. – Grubas puknął palcem w kartkę.

– Jest tam jej adres? – zapytałam.

– Adres, pod jakim zamieszkiwała, to SepiYar 5/9. Miejskowa. Przyczyna zgonu...

– Nie!

Zerknął na mnie, rozdziawiając usta.

– Nie trzeba – dodałam.

– Powiesz mi teraz, po co ci adres? – rzucił Sal, kiedy wyszliśmy.

– Na wszelki wypadek – odpowiedziałam. Patrzyłam pod nogi, na żwirek, którym wysypana była ścieżka prowadząca z cmentarza na ulicę.

– Na jaki wypadek? Lepiej daj sobie spokój – poradził. – Ta dziewczyna może być stuknięta. Nie chodź tam sama.

Nie miałam ochoty chodzić tam sama. Z nim też nie. Wiedziałam jednak, że pragnienie wyjaśnienia sprawy jest silniejsze. Chciałam też jeszcze raz popatrzeć w nierealny błękit oczu Zoyi.

Wróciłam na cmentarz tego samego dnia, w południe. Tak jak się spodziewałam, Zoya stała przy drzewie.

– Cześć! – Zatrzymałam się w odległości kilku metrów. – Cześć!

Nie wydawała się zdziwiona moim widokiem.

– Znowu tu jesteś? – zapytałam.

– Ciągłe tu jestem.

– Byłam rano i jakoś cię nie widziałam.

Zoya zmarszczyła brwi.

– Jestem tu cały czas!

A może ona rzeczywiście jest chora? Może ma amnezję? Albo nawet coś poważniejszego. Mój mózg bardzo się trudził nad znalezieniem racjonalnego wyjaśnienia sytuacji.

– Jeśli chcesz – zaproponowałam – wyprowadzę cię stąd. Droga jest prosta.

Spojrzała, jakbym to ja robiła sobie żarty.

– Wyprowadzisz?

– Tak.

Byłam pewna, że dokładnie znam drogę. Pamiętałam ją jako sieć licznych punktów orientacyjnych. Charakterystycznie rozrzucone gałęzie. Pomnik anioła. Zniszczona płyta nagrobna. Tyle, że teraz znajdowałam te odnośniki gdzie indziej niż je pamiętałam. Starłam się nie poddać lękowi.

– Nie wyjdziemy – oznajmiłam wreszcie.

– Mówiłaś, że znasz drogę.

– Zoya... posłuchaj. – Odsunęłam się kilka kroków. – Czy ty nazywasz się Volberg?

Milczała.

– W tym grobie jest jakaś twoja krewna?

Zoya otworzyła usta i zamknęła je.

– Czy rozważałaś... Czy brałaś pod uwagę... że może umarłaś?

– Oszalałaś? – W oczach Zoyi pojawił się lęk. – Co ty w ogóle mówisz!
Drżałam.

– Zo... ya. Muszę... muszę iść po kogoś z twojej rodziny. – Cofałam się. Śledziło mnie jej zaniepokojone spojrzenie. – Niech cię stąd zabiorą.
Gdzie ty mieszkasz?

– SepiYar 5/9. Wrócisz?

– Tak.

Mieszkanie położone było na parterze nowoczesnego, trzypiętrowego budynku. Weszłam do klatki z jednym z mieszkańców, znalazłam numer dziewiąty i nacisnęłam dzwonek.

Drzwi otworzyły się, ukazując młodego mężczyznę w dresie.

– Tak? – Spojrzał na mnie z wysokości swoich 190 cm.

Nie wyglądał na przygnębionego. Spodziewałam się raczej zapłakanej matki.

– Ja... w sprawie Zoyi.

Zmrużył oczy i przygłodził ręką krótkie, jasne włosy.

– To pani. – Zabrzmiało to jak coś między twierdzeniem a pytaniem. – Proszę wejść.

Przez chwilę stałam zdziwiona, ale kiedy zniknął we wnętrzu domu, wślizgnęłam się za nim do środka.

– Zaraz zrobię herbaty. – Szurając kapciami, podreptał dalej. – Nie widziałem pani na pogrzebie.

– Nie było mnie na pogrzebie – przyznałam, podążając za nim.

Mieszkanie było przestronne, kilkupokojowe. Dotarliśmy do pomieszczenia, które prawdopodobnie służyło za salon. Stało w nim kilka prostych mebli. Kanapa w kolorze kości słoniowej. Fotel do kompletu.

Fantazyjny, trójkątny stolik. Szafka na czasopisma. Zaokrąglone wejście bez drzwi prowadziło do kuchni.

Usłyszałam szum wody gotującej się w czajniku elektrycznym.

– Czego się pani napije? – Mężczyzna stanął w progu.

– Herbaty. Pan... jest pan jej krewnym? Uśmiechnął się przeprasząco.

– Nie znamy się, jestem kuzynem Zoyi. – Podał mi dłoń. Wymieniliśmy imiona. – Widziałem panią kiedyś.

– Mnie? – wykrztusiłam. – Kiedy?

– Dawno, może pół roku temu, na uczelni. Zoya pokazała mi panią. Nie sposób pomylić tych rudych, kręconych włosów.

– Rudych, kręconych włosów? – powtórzyłam niepewnie.

– Tak. Powiedziała mi.

– O czym?

– No... – ściszył głos. – O was.

– O nas? i

– Mówiła – spojrzał niepewnie – że coś było między wami. Tak?

– Aaa... tak. – Nagle zakręciło mi się w głowie. Przed oczami pojawiły się szare plamy. Zachwiałam się.

– Przepraszam. – Pomógł mi dojść do kanapy. – Zapomniałem, jaki to dla pani szok. Ja widywałem ją tak rzadko.

Położyłam głowę na miękkim oparciu i przymknęłam oczy. Wszystko gmatwało się tak, jak te pieprzone cementarne alejki. Wiele bym teraz dała za nic Ariadny. Mężczyzna przyniósł herbatę.

– Ma pan jakieś jej zdjęcia? – Sięgnęłam po kubek.

– Pani nie ma? – zdziwił się.

– Nie...

– Niestety. – Przysunął sobie fotel. – Jak pani wie, ona mieszkała tu tylko kilka miesięcy. Wszystkie zdjęcia zostały u rodziny, nad morzem. Ja w każdym razie nic tu nie znalazłem.

– Chciałabym jeszcze o coś zapytać. Czy Zoya może mieć jakąś krewną, w wieku dwudziestu kilku lat? Widziałam kogoś przy grobie.

– Może to koleżanka? Zoya nie miała żadnych krewnych w tym wieku.

– A czy... mógłby pan zdobyć dla mnie zdjęcia Zoyi?

– Mogę poprosić, żeby rodzina coś przysłała. Jej rodzice nie wiedzą o pani, ale spróbuję coś wymyślić. Potrwa to kilka dni.

Wieczorem zadzwoniłam do Sala. Zdałam mu relację z przebiegu wypadków.

– Nie masz innych problemów niż zmarłe lesbijki? – skomentował.

Nie odniósł się też entuzjastycznie do pomysłu oznakowania drogi przez mazanie kredą po drzewach.

– A jeśli ona jest duchem? – Odważyłam się zapytać.

– Tylko tak to sprawdzę.

Odpowiedzią był śmiech w słuchawce.

– Muszę znaleźć sposób na wyprowadzenie jej z cmentarza!

– Może helikopter? – zaproponował Sal.

Sprawa byłaby prostsza, gdybym rano nie zastała Zoyi przy drzewie. Stała tam jednak, w mokrym płaszczu. Nocą padało. Zatrzymałam się w bezpiecznej odległości.

– Myślałam, że nie wrócisz, i będę musiała zostać tu do końca życia – powiedziała z nutką pretensji w głosie.

– Eee... tak – wyjąkałam.

W mojej głowie pojawił się pomysł sprawdzenia pulsu Zoyi. Nie miałam najmniejszego zamiaru go realizować.

– Zoya. Zrobmy teraz tak, jak mówiłam na początku. Pójdźmy prosto, aż do muru.

– I w ten sposób wyjdziemy?

– Tylko w ten sposób możemy się dowiedzieć...

– Niby o czym?

– Potem ci powiem.

Po dwudziestu minutach zaczęłam się bać... bardziej. Mur powinien już być widoczny. A może nie? Nie byłam pewna, czy nie skierowałyśmy się akurat w tę stronę, gdzie cmentarz był dłuższy. Czy ona jest dziewczyną Zoyi? Może oszalała?, myślałam. Kolor włosów mogła zmienić. Tylko jak je rozprostowała? To było prawie niemożliwe.

– Zastanawiałam się nad tym, co mi powiedziałaś – odezwała się.

Odwróciłam się. Duch gadający za plecami to zbyt dużo na moje nerwy.

– O czym?

– Że twoim zdaniem jestem nieżywa...

– Tego nie powiedziałam.

– ...tylko dlatego, że chodzę po cmentarzu i zabłądziłam. Przecież ty też chodzisz po cmentarzu! Nie widziałam, żebyś miała znicze.

Bicie mojego serca stało się głośnie jak uderzenia młotem.

– Nie rozmawiajmy teraz o tym.

– Czemu nie? – Zbliżyła się. Cofnęłam się kilka kroków. – Właśnie rozmawiajmy! Dlaczego to niby ja mam być martwa?

– Bo ja mogę stąd wyjść – odpowiedziałam. – I widzą mnie inni ludzie.

Przez chwilę przetrawiała te informacje.

– A co robiłaś na cmentarzu? – zapytała. – Pamiętasz, jak się tu znalazłaś?

– Co?

– Co robiłaś na cmentarzu?!

Wierzchem dłoni otarłam pot z czoła.

– To się robi absurdalne, Zoya. Przestańmy pieprzyć i po prostu wyjdźmy stąd! Albo obie wylądujemy u czubków.

Odwróciłam się i poszłam. Po chwili usłyszałam kroki. Szłyśmy tak chwilę, szeleszcząc liśćmi. I wreszcie. Prawie podskoczyłam z radości. Czerwony mur. Obejrzałam się. Zoya stała za mną.

– Widzisz?

Kiwnęła głową.

Sunęłyśmy wzdłuż muru, bardzo blisko kamiennej ściany, żeby jej za żadne skarby nie zgubić. Szłyśmy długo, bardzo długo, za długo. Zoya z opuszczoną głową tuż za mną. Mijały minuty.

– Niedługo zrobi się ciemno – zauważyła.

– Przestań... Zoya... Błagam cię. – Zatrzymałam się. Po moich policzkach spłynęły łzy. – Przestań...

Na myśl o zachodzie słońca czułam mdłości. Zdechnę, jeśli zrobi się ciemno. Zoya nie wydawała się przerażona.

– Nie wyjdę – oznajmiła.

– Co? – Podniosłam zapłakaną twarz.

– Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz, co robiłaś na tym cmentarzu. Zamiast oskarżać mnie o... jakieś bzdury!

Co ja robiłam na tym podzielonym cmentarzu? Próby przywołania wtorkowego przedpołudnia wywoływały ból pod czaszką. Byłam zbyt roztrzęsiona, żeby przypomnieć sobie cokolwiek. Oparłam się plecami o mur.

– Nie wyjdę, jeśli mi nie powiesz – powtórzyła.

– Nie wiem!

– A wcześniej?

Jakie, kurwa, wcześniej?! O czym my w ogóle mówimy?! Zoya zbliżyła się do mnie. Jej tęczówki świeciły jak lampy jarzeniowe. Zemdleję, jeśli mnie dotknie, pomyślałam.

– A może to ty jesteś trupem? – Uśmiechnęła się. – Co? – Tak! Tak, Zoya. To ja jestem trupem. A... teraz... wyjdziemy? Tak? Cofnęła się.

– Tak. Teraz tak.

Poszła przodem, a ja krok w krok za nią. Oczywiście, że jestem żywa. Wszyscy są żywi – moje myśli zmieniły się w bełkot. – Nie ma żadnego

dowodu na nic... przecież...

– Jesteśmy. – Zoya zatrzymała się. Rzeczywiście. Stałyśmy przed bramą. Usłyszałam przejeżdżające samochody.

– Widzisz? – zapytała. – Ja też mogę stąd wyjść. Teraz masz ten swój dowód.

Kiwnęłam głową. Niezdolna do wypowiedzenia słowa. Gardło miałam suche jak pustynia. Uniosła dłoń na pożegnanie.

– Nie przejmuj się. – Opuściła rękę.

Jacek L Komuda Maciej Jurewicz

36 pięter w dół

Przedświąteczna obniżka cen zwabiła tłumy do hipermarketu Super Big One. Ludzie deptali sobie po piętach, przepchali, napływali przejściami z podziemnego parkingu. Z ruchomych schodów wylewały się strumienie kupujących, które łączyły się w rzeki spoconych ciał, czekających na swoją kolej przy stoisku z koszykami. Tego dnia, na tydzień przed świętami Wielkiej Nocy, Super Big One ogłosił naprawdę super big promocję.

CZAS ŚWIĄTECZNYCH ZAKUPÓW

krzyczały gigantyczne plakaty.

TYLKO U NAS – SUPER

PROMOCJA!

Nawoływał landrynkowy głos miejscowej gwiazdki polskiego *rhythm 'n' dance*, zaproszonej na tę okazję do hipermarketu.

Morze ludzkich głów rozdzielało się przy barierkach i kasach na dwa strumienie – tych z zakupami i tych, którzy dopiero po nie szli. Stali tam obok siebie zarówno starzy, jak i młodzi, bogaci, jak i biedni, japiszony z agencji marketingowych, z szacownych firm, i dresiarze z Marek i Wołomina, robotnicy budowlani z Targówka, a przede wszystkim podstarzałe, wymalowane paniusie, trzymające się portfeli swoich mężów – prezesów.

Patrząc po nogach, na krystalicznie czystej posadzce hipermarketu odbijał się wizerunek społeczeństwa. Począwszy od błyszczących lakierok japiszonów, którym towarzyszyły pantofelki od Gucciego i Texcalony, poprzez eleganckie półbuty, a skończywszy na zwykłych butach i

najnowszych adidasach – tych z czterema fosforyzującymi paskami i neonową antenką.

Jednak ciężkie, ubłocone glany z pewnością tu nie pasowały. Nie pasowały tu także: stare, podarte džinsy, niemodny, skórzany płaszcz, ani beret, spod którego wystawały końcówki sztywnych, niegdyś ufarbowanych na czerwono dredów.

Wokół tego klienta nie było dużego tłoku. Przeciwnie – eleganccy faceci i ich wymalowane kobiety ustępowali na boki, przepuszczali mężczyznę coraz dalej i dalej.

– Przepraszamy pana, ale w hipermarkecie nie wolno palić – odezwał się Promocyjny Wielkanocny Króliczek, rozdający dzieciom Promocyjne Wielkanocne Drażetki.

Nieznajomy ćmił przyklejonego do wargi cyklona. Nawet nie spojrzał na króliczka, ale więcej uwagi poświęcił papierosowi. Wyjął go z ust, popatrzył na niego ze smutkiem, a potem wystrzelił z palców i poszedł dalej. Papieros tymczasem wpadł do koszyka pewnej starszej pani. Ulokował się pomiędzy sześciopakiem wody mineralnej Aqua Esmeralda i paczką chipsów Tijos.

Nieważne zresztą, co działo się z papierosem, mężczyzna bowiem zagłębił się pomiędzy hiperlady, między stopy towarów i czerwone plakietki oznajmiające:

PRZECENA – TYLKO W OKRESIE ŚWIĄTECZNYM

**Tudzież:
NIE WAHAJ SIĘ – SIĘGNIJ I KUP**

Aż wreszcie doszedł do dużego placu, nad którym sterczały głośniki, nadające nieprzerwanie miłą, taneczną muzykę zachęcającą klientów do wyciągnięcia kart kredytowych. Mężczyzna wziął karton papierosów, wsunął go do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Potem powoli spojrzął w prawo, spojrzął w lewo. Wypluł gumę, zsunął niżej nad – tłuczone okulary, jakby nad czymś się zastanawiając.

– Już wiem, co mi tu nie pasuje – powiedział do siebie. – Przecież ja, kurwa, nienawidzę tej pieprzonej muzyki!

Zdecydowanym ruchem wyciągnął wysłużoną śrutówkę Remingtona. Przeładował i wypalił... Dwa głośniki sypnęły iskrami. Huk rozniósł się po całym hipermarkecie. Zaraz po tym zagrała inna muzyka. Piski kobiet i krzyki mężczyzn, chowających się pod półkami, padających na ziemię. Mężczyzna przeładował broń. Dwie dymiące łuski odbiły się brzękiem od wypolerowanej hiperposadzki.

– A drugą rzeczą, której nienawidzę... – Dramatycznie zawiesił głos i potrząsnął dwoma wyprostowanymi palcami, zupełnie jak pan nauczyciel w szkole. Powiódł spojrzeniem po przerażonych ludziach. – ...są kłamliwe, nieuczciwe reklamy!

Odwrócił się w stronę żywej Wielkanocnej Pisanki, która z oczywistych przyczyn nie mogła ani przysiąść, ani położyć się na podłodze. Strzał rozerwał skorupkę, rozsypał dokoła kawały styropianu czerwonego od krwi. Pan Pisanka wpadł na hiperładę zastawioną koncentratem pomidorowym. Osuwał się na ziemię, desperacko usiłował chwycić się półki z przecierami

Uncle Bens. Nie wytrzymała, słoiki posypały się na podłogę a ketchup zmieszał się z krwią...

– I nienawidzę świątecznych zakupów!

Na obraz mężczyzny trzymającego w rękach dymiącego Remingtona nałożyło się logo wiadomości SatNetu.

– W dzisiejszej strzelaninie w hipermarkecie Super Big One zginęło pięć osób. Prezes sieci hipermarketów Big One oświadczył, że do tak tragicznego wydarzenia doszło na skutek niedopatrzenia firmy ochroniarskiej Securetec, wobec której wyciągnięto odpowiednie konsekwencje...

Przebitka na twarz prezesa.

– W imieniu firmy Big One chcę przeprosić wszystkich klientów naszej sieci supermarketów i uspokoić, że tego typu wydarzenia nie mają prawa się powtórzyć. W ramach przeprosin zorganizowaliśmy dla państwa specjalną promocję...

Telewizor gadał sam do siebie. Obraz był niewyraźny, zamazany, skakał i wyginał się. Słaba poświata ekranu rozjaśniała cuchnący, od dawna niesprzątnany pokój z zaciekami na ścianach. A przez niedomknięte drzwi do drugiego pomieszczenia widać było cień człowieka zdejmującego żyrandol, a potem wieszającego na haku pętlę z grubego sznura...

* * *

To nieprawda, że samobójcy nie kochają życia. W chwili, gdy muszą się z nim rozstawać, żałują każdego dnia, każdej godziny, każdej chwili... Wtedy, gdy się zabijają, kochają życie bezgraniczną, wielką miłością. Szkoda tylko, że nie jest ona odwzajemniona, bo życie nie kocha ich wcale.

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę Jana w chwili, gdy stawał na trzeszczącym taborecie. Przed nim, z haku po zdjętym żyrandolu zwisała pętla. Sznur kołysał się wolno, a mężczyzna wpatrywał się weń rozszerzonymi przerażeniem oczyma. Właściwie to nie pozostało mu nic innego, jak tylko zakończyć życie. Nic innego jak tylko powiedzieć całemu światu: nie!

Stracił wszystko. Odebrano mu paszport, bo nie miał pracy i regularnych dochodów. Razem z nim obszerne mieszkanie w Strefie Paszportowej, przy Puławskiej. Potem przepadło ulubione Alfa Romeo 266; stracił wielkie pieniądze, w końcu także żonę i całe swoje szczęście. Od chwili, gdy stracił pracę, staczał się ciągle w dół. A stracić pracę – znaczyło stracić paszport, czyli tak naprawdę stracić wszystko...

Za nim, na stoliku leżały stosy papierów – listy motywacyjne, życiorysy, podania, które rozsyłał do licznych firm w poszukiwaniu pracy. A wszystko na nic... Za sobą miał już setki, a może tysiące rozmów z wiecznie uśmiechniętymi yuppies w garniturkach, z którymi zawsze gadka była taka sama. I zawsze to samo przekonywanie, że jest człowiekiem sukcesu... Kreatywność, kreatywność za wszelką cenę! I zawsze wszystko kończyło się tak samo: „tak, tak, dziękujemy, oddzwonimy oczywiście”.

Choć żaden ze zmysłów mu tego nie mówił, czuł obecność tamtego. W kącie, za rozwalonym tapczanem... Za pustymi butelkami po wódce... Za

śmierdzącym, poplamionym zlewem, pod zaciekami i grzybem w kącie. Był wszędzie wokół niego...

Powoli zbliżył się do lustra. Odkręcił wodę i obmył sobie twarz zimną, rdzawą cieczą. Po raz ostatni rozkoszował się tym uczuciem. Zamknął oczy, a gdy je rozwarł, omal nie krzyknął. On stał tuż za nim. Wlepił weń płonące krwawo spojrzenie. Mężczyznę sparaliżował strach. Czuł, że jeszcze chwila, a oszaleje... Albo zwariuje... Nie mógł pozwolić, by obłąd zapanował nad jego ciałem. Obejrzał się wolno za siebie.

Pokój był pusty i ciemny.

Ogarnął go lęk. Miał już dosyć, dosyć obecności tamtego. Momentalnie wspiął się na stołek. Znów patrzył na pętlę. Czuł, jak serce poczyną bić coraz szybciej i szybciej. Nie mógł się zdecydować. Wiedział, że nie ma już nic do roboty w tym parszywym życiu, że powinien skończyć z nim jak najszybciej. Kiedy zakładał pętlę, jakaś część jego duszy krzyczała. To było jak sen. Miał być katem i ofiarą w jednej osobie. Przesunął się na stołku. I... stchórzył. Już wiedział, że tego nie uczyni, że nie wystarczy mu sił. Ale stołek pod nim zatrzeszczał gwałtownie. Mężczyzna stracił równowagę, zamachał desperacko rękoma, ale było już za późno. Nogi stołka rozjechały się na boki, a z trzaskiem pękającego drewna zlał się głuchy łoskot opadającego ciała.

* * *

– Witam, witam, witam, Tu wasz DJ Śruba. Słuchacie programu: Jaki świat – takie wiadomości. Oczywiście w Radiostacji. Kolejny facet nie wytrzymał i stwierdził, że robi sobie dzień bez zakupów. Mariusz Sz., o którym mowa, udał się dzisiaj do supermarketu Big One, by powiedzieć głośno o tym, co go boli. Bilans – pięć osób w trupiarni. Są tam: prezes podwarszawskiej agencji nieruchomości, account manager ze znanej agencji reklamowej, przedstawiciel funduszu emerytalnego, znany policji kieszonkowiec z Pruszkowa i pracownik hipermarketu – Pan Pisanka.

Dżingiel

– Przez cały czas śledzimy losy waszego ulubieńca, Tomasza W., którego prasa brukowa okrzyknęła „Mścicielem z Piastowa”. Przypominam, że jak na razie na swoim koncie ma trzech blockersów z Osiedla Młodych na Pradze, a także Kotleta i jego dwóch oficerów. Wiemy jednak, że Mściciel podejrzewany jest o zlikwidowanie sędziego Sokoła, tego samego, który wydał wyrok uniewinniający na Kotleta, a także zabicie trzech dresiarzy w dyskotecie Panorama pod Mszczonowem. Jeżeli chcecie wiedzieć więcej – zajrzyjcie na naszą stronę w necie. Tymczasem odbieramy telefon...

– Cześć, to ja, master Kefir. Chciałem pozdrowić Mściciela i zaprosić go na moje osiedle przy Górczewskiej na Jelonkach. Jest tu kilku takich mętów...

– A na drugiej linii mamy Agnieszkę...

– Cześć, ja chciałabym powiedzieć Mścicielowi: kochamy cię, jesteśmy z tobą, nie daj się złapać psom...

– Jak widać, wszyscy mamy swoje czarne listy...

– Ja też mam czarną listę – mruknął Junosza i wyłączył radio, gdyż właśnie zajechał pod budynek telewizji. Nie był w najlepszym humorze, ale rozmowy, która czekała go o godzinie trzynastej trzydzieści, z pewnością nie można było określić mianem miłej pogawędki przy piwie. Miał rozmawiać o przyszłości swej pracy w telewizji PolNet VI, której oglądalność oscylowała ostatnio w granicach błędu statystycznego, a gdzie pracował na jakże zaszczytnym stanowisku reżysera i zarazem scenarzysty w dziale rozrywkowym. Sam fakt, iż ludzie coraz mniej oglądali PolNet VI, niewiele wzruszał Junoszę. Jednak czekała go pogawędka z dyrektorem PolNetu Januszem Buble, a to już mogło oznaczać poważne kłopoty. Kim takim był zatem Janusz Bubel? Najprościej byłoby stwierdzić, iż po prostu kompletnym idiotą. Ten człowiek był najgorszym, co mogło spotkać tę nieszczęsną telewizję. Nie znając się na niczym, komplikował proste problemy, narzucał dziennikarzom pomoc znajomych, którymi najczęściej okazywali się podobni mu idioci albo zramolali starcy. Kolegia redakcji programów informacyjnych bywały często prawdziwymi horrorami, kobiety płakały, faceci wychodzili z sali z trzaskiem zamykanych drzwi, a oglądalność PolNetu VI nieuchronnie spadała. Bubel miał wprost nadnaturalny talent do psucia wszystkiego – w zasadzie jego działalność polegała przede wszystkim na pilnowaniu, czy aby żaden z dziennikarzy, czy pracowników stacji nie próbuje czasem stworzyć czegoś nowego i oryginalnego i przez to zagrozić jego pozycji. A już absolutne mistrzostwo osiągnął w bezustannym udowadnianiu właścicielowi stacji, iż z tym nędznym zespołem, którym kierował, niczego osiągnąć się nie da.

Drugim z osobników, przed którym stawał Junosza, był Andrzej Matoszek. To także był oryginał. Wystarczyło zresztą wyobrazić sobie małego człowieczka z dużym brzuchem i czerwonawą, pooraną zmarszczkami twarzą. Człowieczek ten z pozoru wyglądał niewinnie. Co jednak myliło, bowiem tak naprawdę, ów brzuchacz z czerwonawą twarzą,

chodzący w czapeczce, jaka modna była w Warszawie ze sto lat temu, był po prostu wrednym skurwysynem, a lista dziennikarzy wyrzuconych przezeń z PolNetu była długa. Matoszek nie znosił Bubla, i jak tylko mógł, podgryzał. Obaj podpisywali jednak wspólnie co miesiąc pewien bardzo szczególny dokument, a mianowicie listę przyznawanych sobie premii, notabene potrącanych z budżetu przeznaczonego na wypłaty dla pracowników. W tej bowiem kwestii panowała między oboma panami całkowita i jednomyślna zgoda.

Junosza zniósłby jednak nawet obecność obu zramolałych, wszechwładnych dziadów, gdyby nie obecność trzeciej osoby. A trzecim człowiekiem w pokoju, do którego wszedł, był młody mężczyzna w grubej, skórzanej kurtce, czarnych, przyciętych równo włosach i grubych przeciwsłonecznych okularach. Ten gość wyglądał jak wielki amant filmowy, któremu przez zwykłą złośliwość losu przyszło kręcić trzeciorzędne pornosy. Nawet się nie przedstawił. Obaj zramolali durnie mówili do niego: „panie Bartku”.

– Co to się do jasnej cholery dzieje! – warknął Bubel już na początku rozmowy. – Byłem dzisiaj na zakupach w Big One, kiedy wpadł tam jakiś świr i zaczął strzelać.

– Jezu, panie prezesie, chyba nic się panu nie stało?! – zawołał drżącym głosem ów tajemniczy młodzian w okularach.

– Mnie się stało? Nam się stało! W wiadomościach tego nie mieliśmy!
Zapadła cisza.

– Panie Junosza – odezwał się w końcu Bubel, który uspokoił się i wysapał. – Wezwaliśmy tutaj pana, ponieważ musimy zaprzestać emisji pańskiego programu...

Junosza westchnął. A więc chodziło o jego program „Rycerze i banici”. No tak, zbyt długo był na antenie...

– Chciałbym wiedzieć, czym motywuje pan swoją decyzję. Nie powie pan chyba, że mam zbyt małą oglądalność. Dostaję wiele listów od widzów...

– Ten program emitujemy już zbyt długo – mruknął Bubel. – Niech pan zawierzy zdaniu kogoś bardziej doświadczonego!

– Może ja powiem kilka słów od siebie – zabrał głos filmowy żigolak z końca stołu. – Widzi pan, telewizja to dość specyficzny rodzaj mediów. Nie wszystko da się pokazać w telewizji tak, jak pan usiłuje wmówić to na siłę. Oglądałem pańskie programy i – powiem szczerze – one nie są wizyjne. I nie trzymają się żadnej konwencji.

– Właśnie – rzucił Bubel głupekowato. – Niech pan słucha! Pan Bartek doszukał się u pana błędów! Podstawowych błędów! Przedszkolnych.

– Tak? To niech pan powie, jakie błędy znalazł pan w mój programie.

– Pański program nie jest wizyjny. Kogo interesują dziś jacyś wariaci wymachujący mieczami?!

– Szablami – mruknął Junosza.

– Zaprasza pan do studia wariatów w zbrojach z folii... A ten program kosztuje nas bardzo dużo pieniędzy.

– Właśnie! – prawie krzyknął Bubel.

– Bo po co tyle wydawać? Jeśli chcemy mieć dobrą oglądalność, wystarczy kupić nowy serial brazylijski, panie redaktorze – powiedział filmowy amant do Bubla.

No tak, zaczęło się. Wszystko wskazywało na to, że w ciągu najbliższego półrocza PolNetem kierować miało dwóch bezwzględnych staruchów i ten śmieszny gość w skórze.

– Ciekaw jestem, co innego zaproponuje pan w miejsce mojego programu! Niegdyś, jak sam pan dobrze wie, złożyłem kilka innych propozycji...

– Propozycje! – Roześmiał się elegant. Pogrzebał gdzieś pod stołem i wyciągnął na blat cały plik wydruków. – Czytałem te pańskie „propozycje” i stwierdzam, że są co najmniej nie dopracowane. Takie programy mógłby robić pan w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia. To nie jest wizyjne... To tylko strata czasu...

– Czy to oznacza, że jestem zwolniony?

Teraz odezwał się milczący dotąd Matoszek.

– To tylko wnioski – rzekł z lisim uśmiechem na twarzy. – Tylko wnioski, panie Januszu. Nikt nie mówi jeszcze o zwolnieniu.

Kłamał. Zawsze tak mówił, gdy wypowiedzenie pracy leżało już u niego na biurku, lub też razem z Bublelem podjęli już decyzję o zerwaniu kontraktu. Junosza zerwał się z krzesła. A potem uderzył pięścią w stół. Tamci aż podskoczyli.

– A ja już mam dosyć waszych impertynencji! Twierdzi pan – wycedził Bublowski prosto w twarz – że nie umiem robić programów, że nie trzymam się konwencji? A więc jak wyobraża pan sobie telewizję? Co ma w niej być? Amerykańskie sitcomy dla skretyniałych półanalfabetów? Seriale brazylijskie? A może talk show z boską Violetką, która opowie, jak to sto lat temu komuniści chcieli zrobić z niej polska Matę Hari? To jest pańska telewizja!

Bubel się poderwał. Junosza wyczuł już zbliżającą się burzę. Ale nie miał sił na to wszystko...

– Pan doprowadził do zguby tę telewizję! – wykrzyknął. – Przez ponad dwa lata zniszczył pan jeden z lepszych zespołów, z jakim miałem przyjemność pracować. Najpierw przyczepił się pan do redakcji programów kulturalnych, bo była zbyt samodzielna! Potem załatwił pan ekonomię. Potem redakcję wiadomości krajowych! A teraz kolej na mnie! Nie powinien pan być redaktorem telewizji, bo nie umie pan pracować z ludźmi! Powiem więcej! Jest pan kompletnym idiotą!

Bubel spurpurowiał na twarzy. Przez chwilę Junoszy zdało się nawet, że lada moment załapie zawał serca... Mały fircyk spoglądał na to z tryumfem. Tak, on będzie moim następcą – pomyślał Junosza. No to koniec.

Odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

* * *

Obudziły go jasny błękit i szum. Jasny błękit błyszczącego nieba, przebijający poprzez rozjazdy i rozploty warszawskich obwodnic, odbijający się refleksami w szybach wież i wieżowców Strefy Paszportowej, górujący ponad lasem neonów i anten. Pobłyskujący w kałużach, wśród śmieci i odpadków zalegających na wypaczonych, popękanych chodnikach pierwszego poziomu, tam, gdzie nie sięgał wzrok biznesmenów, mknących w lśniących, eleganckich autach estakadami pod niebem. I szum... Szum setek tysięcy samochodów, grzęznących w gigantycznych korkach, nie mogących przedostać się do centrum miasta – molocha – największej i najbogatszej ze stolic tej części Unii Europejskiej.

Pomylił się. To nie niebo pochylało się nad nim. To przez czarne kiry nocy leciał nad miastem sterowiec reklamowy.

HAWANA TWOICH MARZEŃ! MUSISZ TAM BYĆ – błyszczał złoty napis na olbrzymim, holograficznym oceanie pod statkiem.

Złuda poranka prysła. Zamiast niego nadeszła noc. Deszcz padał z czarnego, zasnutego przez opary nieba, szeleścił wśród śmieci. Leżał na wznak – samotny mężczyzna w kontenerze pełnym śmieci, gdzieś pod estakadami na skrzyżowaniu Jana Pawła i Alej Jerozolimskich. Wysokie, srebrzyste od świateł wieże Telecomu i Recompensy pochylały się nad nim, wiadukty estakad oplatały dokoła, odsłaniając wielki kwadrat czarnego, nocnego nieba...

Powoli wstał. Spojrzał na swoje ręce, blade i wymęczone, dotknął nimi twarzy. I nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Żył, naprawdę żył, a przecież wiedział, że wszystko, co stało się wcześniej, nie było snem. Na szyi czuł jeszcze zaciskający się powróż, jeszcze czuł zapadający się pod

nim stołek. Ale jak to?... Zamiast w grobie, leżał w kontenerze na śmieci. I pamiętał wszystko, co wydarzyło się wcześniej – swoje imię, nazwisko, całe życie dzień po dniu... I coś jeszcze...

Kula... Po prostu szklana kula wirowała mu w głowie.’...

Myślał o niej jeszcze, gdy nagle ktoś pociągnął go za nogę. Szarpnął mocno, niecierpliwie. Jan się poderwał. Wystraszył tym samym oberwanego włóczęgę ze złamanym nosem. Spojrzał w dół. Najwyraźniej tamtemu spodobały się jego buty.

Jan roześmiał się głośno.

– Hej, ty – zawołał przyjaźnie. – Nie umarłem! Chodź do mnie, nie bój się!

Widocznie powiedział to za głośno. A może tamten był niespełna rozumu? Jan poznał już nieco życie warszawskich lumpów i meneli i wiedział, że zwykle nie należeli oni do strachliwych. No, chyba że spotkali na swojej drodze nawalonych dresiarzy z Pruszkowa, ale przy takim spotkaniu nawet największy twardziel narobiłby w spodnie. Żaden bezdomny na pewno nie uciekałby na widok kogoś wylegującego się w kupie śmieci. Jednak ten pisnął cienko, jak szczur, i rzucił się do ucieczki.

Jan uśmiechnął się znowu. Pomyślał, że lump wziął go po prostu za martwego. Roześmiał się. Jak dawno już nie słyszał swojego śmiechu...

Powoli wygrzebał się z kontenera. Deszcz pluskał w kałużach, całe strumienie wody wylewały się z rynien odprowadzających wodę z estakad na górnych poziomach. Warszawa tonęła we mgle i kroplach wody; wilgoć gromadziła się wszędzie, osiadała nawet na porwanym płaszczu Jana. Powoli wszedł na zniszczone, pokryte zeschniętymi odchodami schody i skierował się na górny poziom. W nozdrza uderzył go smród szczyn i rzygowin, brudu, usłyszał piski spłoszonych szczurów.

Był na poziomie paszportowym. Na poziomie dla wybranych. Od kiedy korporacje Build Factory i Paradise INC wykupiły centrum miasta, wstęp

tutaj zarezerwowany był tylko dla tych spośród obywateli, którzy mogli zadeklarować wystarczającą ilość dochodów, aby zapłacić wysoką cenę za bezpieczeństwo, luksus i komfort. Te centra handlowe i rozrywkowe, eleganckie puby, multipleksy, fitness kluby, solaria i apartamenty, salony hiszpańskiej mody, wszystko przeznaczone było tylko dla tych, którzy portfele nabite mieli pękami kart kredytowych. Ale dlaczego centrum miasta zamknięte było dla innych? Otóż dlatego, że wszystkie te wspaniałe sklepy, salony i osiedla nie były zainteresowane, aby odwiedzały je ludzie o średnich lub niskich dochodach. Tacy ludzie nie byli potrzebni. Przecież nie przychodzili po to, aby coś kupić. Mogli co najwyżej pooglądać towary lub – najpewniej – ukraść coś, a już na pewno zniszczyć lub zabrudzić. Strefa Paszportowa, czyli oficjalnie I Strefa Mieszkaniowa mieściła się wyżej, wysoko ponad dachami starych, rozpadających się kamienic sprzed stu lat.

Jan szedł przez tłum; eleganccy spacerowicze rozstępowali się przed nim, wracający z pracy urzędnicy i japiszony potrącał go na przejściach, uciekali na boki, przebijali się pomiędzy dyszącymi spalinami samochodami. Przechodnie patrzyli na wysokiego oberwańca spode łbów. Piękne, pachnące perfumami kobiety usuwały się w cień, wpadały w kałuże, aby tylko nie otrzeć się o Jana, nie dotknąć przezroczyściego muślinem sukni brudnego, porwanego płaszcza. Lecz Jan szedł z wysoko podniesioną głową, patrzył prosto w oczy ludziom i nie unikał ich wzroku.

Jan szedł... Szedł, oblany światłem reklam, otoczony poświatą telewizorów i laserów, spowity odorem spalonego gazu, otoczony przez tłum. Wyszedł przez wielkie, oszklone drzwi przed Placem Zawiszy, opuścił Strefę Paszportową. Szedł dalej. Gdzieś z boku był mały obskurny pub. Jan zobaczył ślepiące nań znad stolików szklane, znieruchomiałe oczy dresiarzy. Widział przez chwilę ich tępe mordy; rozdęte przez anaboliki i koksy mięśnie szczęk... Dwóch dresów wstało, patrząc na wyniosłą sylwetkę kroczącą środkiem ulicy. Ale nie poszli dalej – poniechali go... A

może wypili zbyt dużo amfa-piwa? Jan szedł... Spoglądał na otaczające go morze twarzy. Widział je wszystkie. Widział twarze młodych japiszonów, jasne, z cynicznym uśmieszkiem przylepionym do ust, przesłonięte okularami oblicza młodych, ufryzowane, upięte wysoko włosy kobiet, grubo pociągnięte różową farbą oblicza ruskich dziwek, szeleszczące suknie wielkich dam, ogromne, czarne gogle podstrzyżonych, ufarbowanych małolatów, czarne płaszcze i długie włosy metali, porowate gęby ruskich handlarzy, skośne oczy Wietnamczyków i Chińczyków wychylających się z bud w poszukiwaniu klientów, posępne, nieruchome oczy bezdomnych grzebiących w stosach śmieci.

Jan szedł, chłonał wszystkimi zmysłami obraz miasta. Warszawa, ta korporacyjna stolica Wschodniej Europy, miasto pieniędzy i wielkich fortun, mgły, samochodów i telewizji otaczało go zewsząd. Powoli stąpał po chodnikach estakad. Po prawej miał Mirów z jego ciemnymi uliczkami i starymi kamienicami – czyli po prostu warszawski Sajgon; po lewej zjazdy do wiaduktów i mostów prowadzących ponad dachami rozpadających się kamienic w stronę Mokotowa. I właśnie tu, obok centrum i Strefy Paszportowej, miasto obumierało od dołu, gniło od korzeni, od straszących dziurami po wybitych oknach domów, od cuchnących odpadkami wymarłych ulic pod estakadami, na których wiatr przeganiał śmieci i stare gazety.

Jan doszedł w końcu do Placu Zawiszy. Tutaj kończyły się wiraże i pnące się w górę serpentyny wiaduktów. Za to wieżowce stawały się coraz wyższe i smuklejsze. Jan zszedł z wiaduktu po kręconych schodach. Zmierzał powoli w stronę Andrzejewskiej na Ochocie. Musiał sprawdzić, czy istniało jeszcze jego mieszkanie w starej, rozpadającej się kamienicy pełnej pluskiew, szcurów i ludzkich wraków, i co było w głównym pokoju...

Nagle zatrzymał się jak wryty. Stał zaraz za północnym skrajem Placu Zawiszy. Za sobą miał ruiny Sobieskiego. Stare, zamurowane na parterze i zabite deskami okna na wyższych piętrach ślepiły nań niby przesłonięte bielmem źrenice ślepego. Ale po drugiej stronie placu, przy Srebrnej, w miejscu, gdzie kiedyś można było wpaść na piwo do budy Ślepego Olka, wznosił się teraz ogromny, gigantyczny wieżowiec z betonu i szkła. Coś tu nie grało! Jan pamiętał przecież, że ostatniego dnia, wtedy, gdy usiłował popełnić samobójstwo, długo siedział tam nad pustym kuflem... A teraz... Buda zniknęła. A zamiast niej do nieba wznosiła się ogromna, srebrzysta wieża. To nie mogło tak być... Przecież jeszcze wczoraj jej nie było...

Spojrzał w górę i poczuł lęk. Ten wieżowiec był naprawdę bardzo dziwny. W ogromnych oknach nie świeciło się światło, nie paliły się nawet czerwone lampki przy krawędzi dachu. Jedyne gdzieś wysoko, w podniebnych przestworzach, Jan widział migotliwy, przesłaniany przez deszcz blask dwóch świateł, niby dwojga oczu olbrzyma patrzącego gdzieś w dal, ponad mokrymi dachami miasta...

Wstrząsnął nim dreszcz. Ta budowla była tak gigantyczna, tak ponura. Zdawało mu się, że sam szczyt wieżowca otoczony był przez coś na kształt stalowej korony, a jej ostre zęby lśniły lodowato w światłach miasta. Do diabła, co tak naprawdę działo się w tym przeklętym mieście? Dlaczego gmachy wyrastały tu z dnia na dzień?

Pod wieżowcem coś się działo. Już z Placu Zawiszy Jan widział błękitne odbłyски policyjnych kogutów, słyszał jęk syren karetok pogotowia. Kawałek ulicy Srebrnej był odgradzony czerwonymi taśmami, otoczony przez istny tłum ludzi. Właśnie – ludzie śpieszyli tam zewsząd, Jan widział ich płonące z podniecenia oczy, słyszał szepty i komentarze.

- Z trzydziestego piętra?
- Widział pan?! – A jak spadał?
- Zaczepił się o antenę...

– To pewnie jakiś prezes...

– Dobrze tak chujowi...

– Psy się kręcą...

– Widzisz grubego? Sprawdź, czy elektryczny... Wzruszył ramionami. A potem ruszył dalej. Szedł szybko chodnikiem. Jego dawny dom był już niedaleko. Z ufnością zapuścił się w labirynt wąskich uliczek Ochoty. Już wkrótce odnalazł odpowiednią bramę. Dom stał. Światła paliły się w oknach mieszkań, ze śmietnika dochodziły jęki pijaka. Schody śmierdziały rzygowinami, tak jak zawsze. Serce Jana biło coraz mocniej i mocniej. Czuł, że jeszcze chwila, a zacznie się dusić. Gdy sięgał do klamki, zrobiło mu się gorąco.

Mieszkanie nie było zamknięte. Przedpokój był cichy, spokojny. Tak samo pierwszy z pokoiów. Drzwi do drugiego były zamknięte. Jan stał na zakurzonej dywanie, dysząc ciężko, z dłonią na klamce. Bał się, bał się tak bardzo, że czuł, iż jeszcze chwila, a oszaleje, pocznie krzyczeć jak zwierzę. Jego rozdygotane, rozchwiane zmysły wyczuwały już ledwie słyszalny skrzyp sznura. Już dostrzegały zarys wiszącego na haku ciała...

Powoli się uspokajał. Przecież wcale nie musiał tam wchodzić. Przecież mógł zostać tutaj, w pierwszym pokoju. Jan uspokoił się wreszcie, odetchnął głębiej. Nie wiedział, o co w tym wszystkim chodziło. Kula, po prostu szklana kula wirowała mu w głowie... To było chyba jedyne wspomnienie, którego nie umiał zrozumieć.

Nie miał już sił. Zrzucił płaszcz i buty. A potem padł na stary, zapluskwiony fotel w kącie pokoju. Zwinął się w kłębek, bezradny jak dziecko, przykrył starym kocem, a potem przymknął oczy.

Na zewnątrz księżyc wynurzył się spoza oceanu chmur i rozświetlił wymarłe, zaśmiecone ulice. Zimna, trupia poświata przedarła się przez zabrudzoną, mętną szybę w drzwiach do drugiego pokoju i zarysowała na ścianie cień wiszącego na sznurze trupa...

* * *

Człowiek bez pracy warty był tylko tyle, ile kosztowały na rynku usług medycznych jego nerki, wątroba, a przede wszystkim serce, gałki oczne – no i jądra razem z penisem. Jeśli ów posiadał odpowiednią długość, można było naprawdę zyskownie sprzedać go Nowym Ruskim. Klinki w Sankt Petersburgu i Moskwie pełne były zamówień na przeszczepy genitaliów i oferowały zawrotne ceny za zdrowe organy. Niestety, po sprzedaży tej części ciała nie można było mieć dzieci. Ale za to można było jechać do wielkiej i gwarnej Hawany, która pod rządami postkomunistów Cabriolla stawała się znowu wielkim europejskim burdelem i kasynem gry zarazem. Można też było kupić sobie połowę Mercedesa 3400 DC lub mały domek z ogródkiem gdzieś na przedmieściu, w Tarczynie, czy Legionowie. Można było w końcu także pić za to wódkę przez ponad pięć lat i dziesięć miesięcy, o ile polskie Polmosy nie podniosły cen.

Junosza nie mógł znaleźć pracy wcale. Nie znaczyło to oczywiście, że pracy w mieście nie było. Ale Adam nie bardzo mógł wyobrazić siebie w roli pracownika restauracji McDonalds czy roznosiciela pizzy. A tylko tego typu praca dostępna była w stolicy. Wszystkie stanowiska, wszystkie posady, urzędy i godności obsadzone były już od dawien dawna według klucza partyjnego i znajomości. A on, niestety, przyjaźnił się z zupełnie niewłaściwymi ludźmi; a to znaczyło, że z zupełnie normalnymi. Niestety, od dziecka unikał włożenia w dupę i schlebiania wariatom, osłom i oszołomom. A to znaczyło, że był właściwie całkowicie wyeliminowany z rozgrywki władza – pieniądze – praca. Z dnia na dzień, w miarę jak posyłał przez Net coraz to nowe maile i podania, zdawał sobie sprawę, że jako kiepski dziennikarzyna, wyrzucony w dodatku z podrzędnej stacji telewizyjnej, nie znajdzie sobie nigdzie pracy. Nikt nie chciał nawet

spojrzeć na jego projekty. Pieniądze kończyły mu się z wolna, a wraz z nimi ulatywał cały entuzjazm. Na szczęście nie mieszkał w Strefie Paszportowej i nie musiał płacić dodatków za ochronę i oczyszczanie powietrza i wody.

Już po dwóch tygodniach zorientował się, że po to, aby znaleźć pracę, musiałyby w zasadzie się zdegradować. Do dobrych firm wstępu nie miał. Małe zaś (czytaj: kiepskie) – nie szukały wcale ludzi z doświadczeniem czy jakimiś wybitnymi osiągnięciami. Taki pracownik mógłby im co najwyżej przeszkadzać – upominać się o zaległą wypłatę, czy nie chcieć siedzieć po piętnaście godzin na dobę w imię, zamiennie: dobra – rozwoju – przyszłości – firmy.

Po następnym tygodniu szukania miał już tego dość. Dał ogłoszenie na giełda-comie:

Zzzzzzzzzzzzznakomity reżyser – scenarzysta z doświadczeniem poszukuje ciekawej pracy.

Te litery „z” na początku dał z czystej przekory – wszyscy bowiem zabijali się, aby ich ogłoszenie było pierwsze i (jako, że lista szła alfabetycznie) dodawali jak najwięcej liter „a” na początku.

Już następnego dnia zgłosiły się trzy firmy. Pierwszą z nich był Gigant, typowa „piramida”, oferująca tanie, tandetne kosmetyki i środki czystości. Jej hasłem było „Gigant – naszym domem”. Jako drugi zgłosił się do niego rosyjski emigrant, Iwan Biezrukow, producent filmów z serii Różowa Kalinka. Biezrukow nie bardzo dobrze pisał po polsku, Junosza zrozumiał jednak, że ten potrzebuje nie tyle dziennikarza, co wideokamerzysty. A gdyby tak przy okazji Adam znał jakieś modelki, Biezrukow gotów był *zapłatiť mnoho dzienieg*. Junosza wolał nie miał jednak ochoty poznać tego „producenta”, ani tym bardziej oglądać Różowych Kalinek.

Trzeci facet, który się z nim skontaktował, wyglądał najuczciwiej ze wszystkich pozostałych. Ale też okazał się największym oszustem. Po spotkaniu okazało się bowiem, że chodzi mu o akwizycję filtrów do wody.

Gość był tak namolny, że przez cały tydzień dzwonił do Junoszy, oferując coraz to inne zestawy, aż koniec końców Junosza zgodził się wziąć jedną partię kranów, wymiennych wkładek i filtrów. Długo jeszcze leżały u niego na pawlaczu.

Mijały dni. Adam wreszcie musiał udać się tam, dokąd z pewnością nie musieli chodzić wymuskani yuppies z agencji reklamowych. Do Rejonowego Urzędu Pracy po kuroniówkę, czyli całe 1000 złotych. Wystarczyła ona równo na dziesięć dni, ani godziny dłużej...

Był właśnie dziewiąty dzień, i Junosza przeliczał już ostatnie dziesięciozłotówki. Zastanawiał się, czy może opłacić abonament za Internet, z którym zalegał od trzech miesięcy, czy też kupić na śniadanie dwie bułki i serek, i zając je, czekać, aż do drzwi zastuka Napoleon, jak powszechnie nazywano osiedlowego komornika z Telecomu S. A. Niespodziewanie jednak odezwał się jego palm.

– Adamie, jedna osoba na linii. Odbierasz czy spławiasz?

– W porządku. Daj na ekran.

– Łączę...

Podszedł do komputera. Na ekranie zobaczył twarz Paragona.

– Cześć, Junosza. Słuchaj, mam mało czasu, to będę gadał krótko. Szukasz pracy. Zajrzyj na stronę New Art. Entertainment. Podobno szukają ludzi. Swoją drogą, odezwałbyś się czasem.

– A co u ciebie?

– Jakoś leci. Muszę spadać, bo ten stary debil idzie. Cześć.

Paragon wyłączył się. Junosza myślał przez chwilę. New Art. Entertainment... Co to mogło być? Nigdy o ich nie słyszał.

– Połącz z New Art.

– Łączę – odezwał się komputer.

Witryna wskoczyła na ekran. I Junosza się zdziwił. Wyglądała tak... tak jak lubił. To nie był żaden multimedialny sklep ani dresiarska tancluba.

Tylko skromna, przytulna sala szlacheckiego dworku, obwieszona bronią, tureckimi makatami i szlacheckimi portretami. Cholera, było zupełnie tak samo jak w „Panu Tadeuszu”. Strona nie była jeszcze gotowa, nie wszystkie linki działały, ale za oknem świeciło gorące, letnie słońce. Była chyba czwarta, może piąta po południu, czas spokojnego, leniwego odpoczynku po skwarным dniu. Na górze widniało jednak logo firmy – dwa anioły – jeden trzymający klucz, a drugi... dziurkę od klucza. New Art. Entertainment... Kimkolwiek by nie byli ci goście, mieli chyba podobne zainteresowania co Junosza. Ta witryna... Na stronie nie było jeszcze operatora, ale Adam odetchnął i otworzył drzwi na prawo, nad którymi było napisane: Wejdz gościu, do świetlicy.

I właśnie wtedy stary, wysoki zegar w kącie zaczął wygrywać melodię...

* * *

Ostatnie dwa przystanki Junosza musiał przejść na piechotę. Pozbawiony służbowego forda, musiał zdać się na łaskę i niełaskę komunikacji miejskiej. A że nie stać go było na bilet, więc w chwili, gdy w autobusie pojawiło się dwóch rosyjskich osiłeków w kamizelkach kuloodpornych z napisem „ZTM”, musiał ratować się ucieczką z pojazdu. Już wkrótce znalazł się na Placu Zawiszy, wszedł pomiędzy budy wietnamskim i chińskim żarciem. A zaraz po tym, niespodziewanie, tuż u wylotu ulicy Srebrnej, stanął oko w oko z ogromnym, strzelającym w niebo wieżowcem.

To był nowy budynek. Jeden z tych, które powstają tak szybko, że nawet rodowici Warszawiacy mają wrażenie, że budowane są z dnia na dzień. Pierwszego dnia w jego miejscu jest jeszcze jakiś stary plac czy pochylone ogrodzenie, a następnego wznosi się ku niebu ogromna, błękitna wieża z betonu i szkła. Jak go opisać? Chyba najważniejsze, że nie wyglądał tak, jak kwatery warszawskich spółek czy korporacji. Prędzej jak masywna wieża gotyckiego zamku, opatrzona licznymi przyporami, zjeżona płaszczyznami sterczyn. Był czarno-czerwony, nie lśnił srebrem szyb, i gdyby nie błyszcząca rozeta nad wejściem, nikałby w cieniu potężniejszych gmachów.

Junosza musiał przebrnąć przez błotnisty, nieuporządkowany plac nim znalazł się przed głównym wejściem. Ostrołukowy portal wrót na końcu schodów tonął w półmroku. Adam stanął u szczytu schodów. Spojrzał w górę. Przez chwilę wydawało mu się, że tam, hen wysoko, strome sterczyny układają się jakby w ogromną koronę...

Ogromne automatyczne drzwi były bardzo dziwne. Miały mały skaner. Ale obok niego ogromną, mosiężną kołatkę tkwiącą w pysku mitycznej

chimery. Adam namyślał się przez chwilę zanim ujął ją w dłoń i zastukał, wywołując po drugiej stronie wrót niesłabnące echa.

Przez chwilę nic się nie działo. Nagle drzwi uchyliły się, ale nie na boki, tak jak w normalnym budynku. Otworzyły się i złożyły do środka. Oczom Adama ukazał się pusty hali, wyłożony wzorzystym, czerwono – żółtym dywanem. Marmurowe ściany zdobiły ciężkie makaty i kilimy. Do diabła, ktoś musiał wydać naprawdę ciężką kasę na to wszystko.

Adam skierował się w stronę recepcji. Stał przy ciężkim, drewniany blacie, rozejrzał się, zdziwiony. W recepcji nie było nikogo. Nikogo nie widział też w korytarzy ani po drugiej stronie szklanych drzwi prowadzących do pokoju, nad którym widniał napis „Straż”. Nigdzie nie było ani ochroniarzy, żadnej sekretarki, ani jednego pracownika, a nawet zwykłej sprzątaczk...

Chrząknął niepewnie. Cisza. Zniecierpliwiony, zastukał w blat. Nic. Cały budynek spowity był milczeniem.

Ogromny wentylator na suficie obracał się z cichym szumem. Zupełnie nic... Czyżby nikt tutaj nie pracował?

Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Poszedł dalej, w głąb korytarza, zajrzał w najbliższe drzwi. Jego oczom ukazała się wielka sala zastawiona eleganckimi biurkami, terminalami. Wszędzie pusto. Ani żywej duszy... Cholera, o co w tym wszystkim chodziło? Te wszystkie biurka, te stanowiska, przy których nie widział żadnego człowieka... Co jest? A może jeszcze nie zatrudnili personelu?

– Panie Junosza... Panie Junosza...

Adam drgnął. Ten głos brzmiał niczym szept. Dobiegał chyba z hallu. A może gdzieś z okolicy recepcji? Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Korytarz był pusty. Ostrożnie skierował się w stronę recepcji. Zajrzał za drewniany kontuar. Wszedł dalej, oparł ręce na blacie.

Terminal ożył. Czarny ekran rozjarzył się na czerwono. Z głębi
wybiegły litery.

WITAMY W NEW ART.

ENTERTAINMENT!

PREZES OCZEKUJE.

PROSZĘ UDAĆ SIĘ DO WINDY NR 3 I WYBRAĆ
PIĘTRO 36.

Coś trzasnęło cicho, metalicznie. Otworzyły się drzwi jednej z wind. Adam się zbliżył. W ogromnym lustrze w środku luksusowo urządzonej kabiny zobaczył swoje odbicie – pobladłą, zmęczoną twarz, wymięty, tani garnitur...

Wszedł do środka. Przyciski pięter urywały się na trzydziestym. Dalej była przerwa. Dopiero wyżej widniał ten z numerem 36.

Drzwi windy zamknęły się z lekkim szumem. Przyśpieszenie ugięło kolana pod wzrastającym ciężarem ciała. Światła mijanych pięter zlały się w migocące lśnienie. Winda mknęła jak ptak, szumiała cicho po szynach. I nagle stanęła. Żołądek podszedł Junoszy aż pod gardło.

Drzwi rozsunęły się. Z głębi mrocznego korytarza patrzyła nań rzeźba przedstawiająca wyniosłą postać anioła trzymającego w dłoni obnażony miecz. U jego stóp leżały skruszone kajdany. Adam aż zamarł z wrażenia. Przez chwilę wydało mu się, że statua spogląda na niego kamiennymi oczyma, śledzi każdy ruch. Była wspaniale wyrzeźbiona. Nieznany stwórca oddał każdy fałd kamiennej szaty, każdą rysę szlachetnej, białej twarzy cherubina. Spośród wszystkich aniołów świata, ten mógłby być najpiękniejszy...

Zaraz za aniołem złota smuga blasku wskazywała drogę do rozwartych na oścież drzwi, ozdobionych symbolem klucza i zamka. Adam stanął na

progu. Rozejrzał się. Był w wejściu do ogromnego gabinetu. Z ogromnych okien rozpościerał się widok na całe miasto. Warszawa, spowita w opary, mgły i dymy leżała u stóp Junoszy. W czerwonej łunie zachodu wyglądającej spoza chmur widział równe prostokąty ulic, wyniosłe gmachy i wieżowce. Oparł się o stare, gdańskie biurko, na którym leżały w nieładzie książki, wyglądające na stare, ciężki przycisk do papieru, kałamarz, złote wieczne pióro. Natomiast nigdzie nie było zdjęcia żony i dzieci. Zamiast niego na biurku leżał mały, złoty medalion na łańcuszku. Był otwarty i Adam, wiedziony nieodpartą ciekawością, pochylił się, aby zobaczyć, kto był przedstawiony na portrecie. Medalion leżał w cieniu, zdołał dostrzec zatem jedynie nikły zarys bladej, wyniosłej kobiecej twarzy otoczonej kaskadami czarnych włosów. Przechylił się dalej...

...i właśnie wtedy rozległy się kroki.

Docierały z lewej strony, zapewne z małego korytarzyka dochodzącego do gabinetu. Adam obrócił się w tamtą stronę. Nerwowym ruchem poprawił krawat. Kroki zbliżały się, ale mimo tego Adam nie widział nikogo w ciemnym wnętrzu.

– Dobry wieczór, panie Adamie – rozległ się głos tuż zza pleców Junoszy. Adam drgnął. Odwrócił się szybko, nerwowo.

– Mogę tak się do pana zwracać?

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Przy biurku stał mężczyzna średniego wzrostu. Właściwie to trudno było go opisać. Trzymał się prosto, pomimo posiwiałych włosów na skroniach. Dumne czoło wyglądało całkiem jak u arystokraty, ale jego głos, spojrzenie i gesty nie było zmanierowane. To nie był gość z pretensjami, ktoś z krainy Guciów Potockich czy Branickich, procesujących się od trzydziestu lat o stary pałac w Wilanowie. Ten nosił się z godnością, ale nie był wyniosły. Spojrzenie i gesty zdradzały w nim pana, ale nie parweniusza. To nie był człowiek, jakiego spotkać można było w pierwszej lepszej firmie czy agencji

reklamowej. Tak zwani ludzie sukcesu, wyszczeni dziennikarze, szefowie korporacji czy zmanierowani aktorzy, mogli co najwyżej starać się o pracę u niego, ale nie żądać, ani tym bardziej rozkazywać...

– Dzień dobry. Miło pana poznać. – Junosza starał się odzyskać pewność siebie.

– Proszę, niech pan siada – powiedział tamten. – Może napije się pan czegoś? Może kieliszek przedniego wina?

– Wina? – Adam był nieco zaskoczony, zwykle w takich sytuacjach proponowano standardową kawę czy herbatę.

– Niech pan mi zaufa. Wyśmienity węgrzyn...

Po chwili Junosza siedział rozparty wygodnie w fotelu, trzymając w ręku kryształowy kielich pełen rubinowego trunku. Nie wyglądało to na zwykłą, standardową rozmowę o pracę.

– Pan Junosza – mruknął nieznajomy. Siedział już za biurkiem, spoglądając od niechcienia na ekran terminala. – Proszę, od dwóch lat pracował pan dla PolNetu VI.

– Jestem autorem „Rycerzy i banitów”, a wcześniej „Fantoma” – wtrącił Junosza.

– A jeszcze wcześniej zrobił pan „Stawkę Kapitana Koosa”. Tak, widziałem pana programy, panie Adamie.

– Mam jeszcze wiele innych scenariuszy i pomysłów. Ale, jak sam pan rozumie, PolNet nie chciał żadnego z nich. Z oczywistych względów...

Nieznajomy spojrział raz jeszcze na ekran komputera i przeniósł swój spokojny wzrok na twarz Junoszy. A potem wstał i wolno obszedł biurko dokoła. Wreszcie usiadł w fotelu naprzeciwko Adama.

– Nazywam się Krzysztof Widawski – powiedział spokojnym głosem. – Reprezentuję spółkę New Media, do której należy pewna zupełnie nowa telewizja. New Art. TV to oczywiście nazwa robocza. Rozpoczęliśmy niedawno działalność.

– I poszukujecie ludzi do pracy...

– To prawda. I powiem panu więcej – spośród wszystkich, którzy się do nas zgłosili, pan jest jedynym odpowiadającym nam kandydatem.

– Widzi pan, panie Adamie – ciągnął dalej Widawski. – Nie mówię tego panu w nadziei, że zażąda pan później mniej pieniędzy, bo ja, jak zapewne już sam pan zauważył, mam horyzonty nieco rozleglejsze niż lokalny prezes agencji reklamowej czy jakiejś stacyjki, nadającej codziennie nowy odcinek Różowej Kalinki, czy sześćset sześćdziesiątą szóstą część telenoweli brazylijskiej. New Art. TV ma być nowym, specyficznym rodzajem telewizji. Ma być wielkim dziełem, telewizją bez *rythm 'n' dance*, bez telenowel, teleturniejów dla debili z Pipidówka Dolnego, bez przemądrzałych spikerów w sterylnych studiach...

– Nie słyszałem o was wcześniej.

– Byłem, powiedzmy, na emigracji. I pracowałem w różnych stacjach telewizyjnych. W DBC, w National Channel, w NBCiA. Ale nie powiem, że chciałbym stworzyć w Polsce stację taką jak w USA. Bo Polska to nie Stany. To zupełnie inny kraj.

Junosza milczał. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

– Widzi pan, panie Adamie – kontynuował Widawski. – Ja mam już dosyć wypocin telewizyjnej mafii. Dosyć mdłych gwiazd, landrynkowych filmów. Chcę zrobić telewizję, która zamiast zalewać widza potokami różowego światła, zamiast podawać na talerzu promocyjne kolorowe drażetki, będzie potrafiła tworzyć własnego widza. Chcę stworzyć wielkie dzieło, odmienne od wszystkich.

– Wielu było takich, co chciało. – Uśmiechnął się Junosza. – Ale niewielu z nich udało się cokolwiek. Na ten rynek próbował wejść już FFN i Wizja Południe. Wszystko, ma się rozumieć, kapitał zachodni. I co z tego wyszło? Najpierw oglądalność rosła do, powiedzmy, dziesięciu procent. A potem stawała w miejscu i ani drgnęła. A przez ten czas te stacje zużywały

zwykle cały kapitał, który miał pójść na rozruch. Wiem, jak to jest. Zanim przyszedłem do PolNetu VI, pracowałem w FFN. Kasa była z tego taka, że na początku myślałem, że złapałem Pana Boga za nogi. Tylko, że po trzech miesiącach nie było już pieniędzy na wypłaty. Do dziś syndyk FFN nie wypłacił mi ani grosza z tych należności.

– Wiem, wiem, panie Adamie. – Widawski odpowiedział uśmiechem. – Tylko że oni wszyscy chcieli ścigać się z PolNetem I, z Jedyką, z TNT. Chcieli pobić ich ilością pieniędzy wydanych na programy. I przeliczyli się. A ja, ja zamyślałem inaczej. Nie chcę ich przeskoczyć, wolę obejść. Zamiast się ścigać, chcę stworzyć zupełnie nową telewizję i wykreować zupełnie nowy typ odbiorcy. Telewizję bez targetu, telewizję zupełnie dla ludzi, a nie medium wciskające im do mózgu kawałki giętkiego kitu. Dzieło przeznaczone nie dla małomiasteczkowego debila patrzącego na głupowaty teleturniej znad świeżo rozpoczętej flaszki wódki, ale prawdziwego nowego człowieka. Człowieka, który wie, czego chce. I do tego właśnie zadania jest mi pan potrzebny, panie Adamie. I właśnie pan. Ja chcę mieć pańskie wizję, pańską wyobraźnię. Chcę mieć kogoś, kto potrafi myśleć inaczej... Menadżerów, dyrektorów i prezesów mogę mieć na pęczki. Mogę ich kupić razem z willami w Tarcynie, żonami i samochodami. Ale żaden z nich nie da mi tego, czego wymagał będę od pana!

– Nie wiem, czy na wiele się panu przydam...

– Co też pan opowiada! Stworzył pan takie arcydzieła jak „Rycerze i Rabusie”, czy „Stawka kapitana Koossa. Niech pan się nie obawia. Ja nie jestem żadnym oszołomem. I proponuję panu bardzo dobre warunki. Proszę – wydobył skądś, może z sekretnej szuflady biurka, dwa duże arkusze papieru i podał je Adamowi. – Proszę, oto nasz kontrakt. Bezterminowy. Może pan go podpisać, kiedy tylko uzna za stosowne.

– Dziękuję. – Adam odruchowo schował papiery do zewnętrznej kieszeni swego wymiętego garnituru. – Rozważę to wszystko.

– Oczywiście.

Wiedziony jakimś instynktem, Junosza wstał, uścisnął wyciągniętą dłoń Widawskiego, a potem ruszył do drzwi. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy skórzane wrota zamknęły się za nim cicho i powoli.

Kiedy w chwilę później otworzył drzwi, wszedł do gabinetu i położył podpisaną umowę na biurku, na twarzy Widawskiego pojawił się przyjazny uśmiech. Junosza wiedział, że nie powinien decydować się tak szybko. Może należało poczekać, wytargować jeszcze lepsze warunki? Jednak nie zrobił tego. Bo co mu pozostało? Był zbyt oszołomiony tym wszystkim, aby móc myśleć normalnie. Zresztą, przecież wszystko jedno... I tak prawda była jedna: Widawski miał go. Miał go całego, ze wszystkimi pomysłami, z talentem, z głową i wizjami...

Na dole, gdy otwarły się drzwi windy, Junosza stanął zdumiony. Cichy, wymarły dotąd hali ożywił się. Korytarzem szły grupy młodych ludzi. Przez uchylone drzwi pokojów dolatywały strzępy rozmów, stukot klawiatury. Praca trwała. Przed drzwiami windy czekała na Junoszę młoda, jasnowłosa dziewczyna. Uśmiechnęła się do niego przymilnie.

– Pan Adam Junosza?

– Tak.

– Szef prosił, żebym przekazała panu wszystkie kody dostępu. Proszę przysunąć głowę bliżej.

– Przysunąć głowę? Po co?

– Karty magnetyczne można zgubić. Tych kodów nie.

– To zostawi jakiś znak?

– Proszę się nie obawiać, to nic nie boli.

Adama się zawahał. Odgarnął włosy z czoła. Dziewczyna wyciągnęła jakieś małe, płaskie pudełko, a potem przytknęła je do jego czoła. Adam poczuł chłód i było po wszystkim.

– Co pani zrobiła?

– Wypaliłam panu kody dostępu do budynku. Proszę się nie obawiać. Kod jest widoczny tylko w świetle ultrafioletowym. Aby otworzyć drzwi, należy tylko przysunąć głowę do czytnika przy ścianie – wyrecytowała formułkę do końca i podała mu białą kopertę. Junosza zajrzał do środka. Zobaczył czarnego pilota. Takiego, jakim zwykle uruchamiano się samochody.

– Proszę za mną.

Schodami zeszli do wielkiego podziemnego garażu. Na jednym z miejsc czekał już nieduży, lśniący czarnym lakierem Mercedes 2100. Junosza popatrzył na niego ze zdumieniem, jakby jeszcze nie docierało do niego to wszystko, co działo się wokół. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– To pański służbowy samochód – powiedziała. – Życzę szerokiej drogi, panie Junosza.

* * *

Johny zanurzył się w bezmiarze wirtualnej przestrzeni. Matryca, jak neonowy ocean, pochłonięła go całego. Pędził w bezmiarze poplątanych strumieni informacji. Prowadziły w różnych kierunkach, ale on wytrwale przemieszczał się na północ. Tam był jego cel. Wreszcie go dostrzegł. Z bezmiarów cyberprzestrzeni wynurzyła się strzelista, wyniosła cytadela z ognia i mgieł. Miała tylko jedną bramę, ale ta była zamknięta, strzeżona przez cyberpsy o płonących, wirtualnych oczach. Cofnął się więc, zawisł nieopodal muru i odpalił program skanujący. Scanner Cop przemknął wzdłuż gigantycznej wieży. W umyśle Johny'ego pojawił się zaraz plan całej fortecy, pokazany w rzucie izometrycznym i w dodatku obracający się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. I po chwili odkrył to, czego szukał – nie bronione okno u samego dołu, przy fosie. Szybko jak cień przemknął ku niemu...

– Maks, wyłącz to i chodź tu!

– Zajebiste – mruknął Maks, wpatrując się w ekran wyświetlacza, i strząsnął na podłogę popiół z peta. – Ci goście to dopiero mieli wyobraźnię...

Oderwał wzrok od ekranu, na którym bohater filmu „Killer Chip II” włamywał się właśnie do siedziby korporacji „WarTek”.

– Cholera, żebyśmy my mieli tak łatwo...

Wstał i ruszył do sąsiedniego pomieszczenia. Po drodze potknął się o stare pudło po wyświetlaczu. Zaklął, gdy na podłogę posypały się stare płyty, kable i puste puszkę po piwie. Ostrożnie wyminął kupki śmieci i, odgarnawszy pęk kabli zwisających z sufitu, wszedł do małego pokoju. Kapitan siedziała przed ekranem, wpatrzona w drzewo. Nie było to bynajmniej drzewo genealogiczne, lecz schemat serwera. Ma się też

rozumieć, że był to jedyny serwer wystawiony poza firewall, a oni mieli tylko jeden kod dostępu do niego. I bynajmniej nie dawał on uprawnień administratora sieci.

– Nie widzę tego skryptu – mruknęła szczupła, ciemnowłosa dziewczyna. – Ciekawa jestem, gdzie jeszcze można zajrzeć...

– Zobacz tam. – Maks wskazał jedno z odgałęzień. – Dlaczego tam?!

– Intuicja – mruknął krótko i zaczął skręcać nowego jointa.

– No dobra – mruknęła. – Robi się... Halil przeleć MegaFold – przekazała do komputera, a ten wyświetlił kolejny fragment architektury serwera.

Kapitan wytrzeszczyła oczy.

– Zajebicie! Jest!

– To kopiuj – mruknął Maks. – Wrzuć to na desktop i spoko. A, zaraz...

– Wlepił wzrok w boczny ekran, na którym przewijały się jakieś komendy.

– A to, to co to jest?

Kapitan spojrzała na prawo. Maks dojrzał, jak jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Ten ekran pokazywał kod systemu – po prostu setki, tysiące liczb i znaczków, w których rozeznąć mogli się tylko tacy spece jak Kapitan, Maks i im podobni. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, iż pojawiające się na ekranie znaczki nie wyglądały na cyfry i litery. To z pewnością nie był Infinite Linux C++... To były znaki, jakieś dziwne charaktery, niepodobne do żadnego alfabetu.

– Co to jest?

– Kurwa mać! To nie jest żaden system!

– Coś mam nie tak w komputerze! Turek nas wrobił!

– Zwalaj wszystko!!!

Kapitan jak tygrysica rzuciła się w stronę komputera.

– Hall, wyłoguj się!

Komputer nie odpowiedział. Zamiast tego ekran zabłysł na czarno i za chwilę ukazał się na nim zarys bomby z tłącym się lontem.

– Sorry. System error occurred – stwierdził Hall cichym, spokojnym głosem.

– Wyłącz go! Wyłącz! – krzyknęła Kapitan. Zerwali się na nogi. I w tym momencie Maks poczuł, jak lodowaty potoczek pociekł mu wzdłuż kręgosłupa. Coś było nie tak. Ten system nie miał prawa paść! Do diabła, o co chodziło w tym wszystkim. Przecież nie hackowali rządowego serwera. Maks rozejrzał się dokoła, bo poczuł, nawet nie poczuł, on widział, że coś zbliżało się do nich poprzez sieć. Coś namierzyło ich przytulną hackerską rudere w opustoszałej zajezdni autobusowej przy Ostrobramskiej. Coś przeniknęło do rupieciarni, w starej, zakurzonej hali pomiędzy wrakami jeliczy. To było po stokroć lepsze niż najwspanialszy film...

– Kapitan, spierdalamy! – Maks rozejrzał się po brudnych ścianach, po potłuczonych kafelkach, zawalonej smarami podłodze. Czuł, że coś czaiło się tam, przemykało nerwowo po kablach w ścianach jak cichy, szybki, niewidoczny pajak po pajęczynie... Było blisko, coraz bliżej...

– Spoko, bez paniki – Kapitan wyrwała wtyczkę z gniazdka. – Jak tylko postawię system, zaraz zmienimy konto i wyrolujemy ten program tropiący.

– To nie jest żaden program – wydyszał Maks. Teraz nie patrzył na komputery. Spoglądał w przejście między dwoma wrakami autobusów. Stara lampa z pogiętym, blaszanym kloszem kołysała się leniwie. Ale przecież nie było tu przeciągu... I nie było tutaj nikogo oprócz ich obojga...

– Uciekaj! – wrzasnął histerycznie. – Uciekaj!

Cofnął się, niemal oderwał Kapitan od komputera, popchnął w stronę drzwi.

– Jak to?! A ty?!

– Uciekaj! Ja go zatrzymam!

Kapitan spojrzała na Maksa. Przez chwilę chciała jeszcze zabrać coś ze sobą, złapać jakieś bambetle, a może powiedzieć coś jeszcze...

– Kapitan... to...

Odwróciła się i pobiegła ku drzwiom.

* * *

To było jak sen. Jak olśnienie. A może inaczej – jak przebudzenie po złym śnie. Adam nie wierzył własnym oczom. Nie chciało mu się wierzyć, że dostał tę robotę. I to w tak głupi sposób – przez ogłoszenie w Necie. To, czego inni nie mogli osiągnąć przez wieloletnią pracę i super układy w telewizjach, on otrzymał ot, tak – podane niemal na tacy. Wcześniej zastanawiał się długo, czy dobrze uczynił, godząc się na warunki Widawskiego. Gdzieś w głowie Adama rodziły się też myśli, że być może cała ta New Art. TV była jakimś skazanym na zagładę przedsięwzięciem kilku lokalnych biznesmenów, którym białe skarpetki wystawały z wytartych mokasynów, a którzy na wieść o najmniejszych kłopotach zwiną żagle i pójdą robić interesy gdzie indziej. Skoro jednak zobaczył prawdziwe studio i sprzęt używany przez ludzi Widawskiego, wszystkie wątpliwości natychmiast uleciały z jego głowy. New Art. miała wszystko, co tylko potrzebne było nowoczesnej telewizji. Na przykład najnowsze ręczne kamery transmisyjne ATV pracujące w standardzie Digital-Delta. Na przykład dwukamerowe ultracamy ze wspomaganiami. Na przykład studio z najnowszym amerykańskim Jimmy Jeepem na dziesięć kamer. Nie mówiąc już o takich drobiazgach, jak wozy transmisyjne VR, za pomocą których można było zbudować na ekranie prawdziwe miasto w środku pustkowi, czy Ultra Avida w montażowni...

Zaczął od „Rycerzy i banitów” w nowej wersji. Tym razem z wykorzystaniem wirtualnej scenografii. A po nim przyszły następne. Najpierw „Maszeruj, albo zdychaj” – czyli to, o czym marzył od dawien dawna. Teleturniej, ale specyficzny. Program dający możliwość spełnienia marzeń większości facetów. Uczestnicy wcielali się w komandosów, którzy musieli wykonać najróżniejsze niebezpieczne zadania, obejmujące

wspinaczki, podchodzenie wroga, strzelaniny, odbijanie zakładników, rozbijanie ładunków wybuchowych. A przede wszystkim udowadniali wszystkim, że są twardzielami. Jedyna różnica polegała na tym, że zamiast z prawdziwych – strzelali z pistoletów na farbę.

Widawski kupował jego pomysły na pniu. Wystarczyło przedłożenie konspektu, aby w ciągu czterdziestu ośmiu godzin Adam dostawał zgodę na produkcję. Koncepcje miał w głowie już od dawna, więc teraz wystarczyło mu tylko tydzień, dwa na zebranie ekipy i przygotowanie planu. Na szczęście miał do pomocy ludzi Widawskiego.

Adamowi wydawało się, że mimo wszystko branża, w której działał, jest małym światkiem. Tymczasem jednak okazało się, że ci wszyscy ludzie realizujący jego świat, jego marzenia, ci operatorzy kamer, scenografowie, technicy VR, graficy, montażyści, byli zupełnie nieznani. Żaden z nich nie pracował nigdy w którejś z wielkich i wspaniałych telewizji. Żaden nie znalazł się tutaj ze starych czy nowych układów, z pierwszego czy drugiego rozdania, z poparcia tego czy innego prezesa. W większości byli to ludzie młodzi, zdolni, ambitni, a prawie wszyscy pasjonaci. I to w dodatku z wyobraźnią.

Po niespełna miesiącu Junosza postanowił pójść do Widawskiego. Wszystko szło oczywiście dobrze, roboty miał tyle, że nawet nie miał czasu wydać pieniędzy przelewanych na konto przez New Art. Jednak chciał sprawdzić, jak przedstawiała się oglądalność – tak jego programów, jak i całej telewizji. I – trzeba powiedzieć prawdę – obawiał się najgorszego, iż na rynku mediów w tym kraju nie było miejsca dla takiej telewizji jak New Art. TV.

Na 36 piętrze nie było nikogo. Znów powitał go ten sam mroczny korytarz, znowu ta sama zagadkowa rzeźba anioła, ten sam wizerunek klucza... Ale gdy był przy wielkich, obitych czarną skórą drzwiach prowadzących do głównego gabinetu Widawskiego, te nagle otworzyły się,

a z za nich uderzył Junoszę błysk światła. Był oślepiający, tak iż Adam musiał zmrużyć oczy. W promieniu światła ledwie mógł dostrzec sylwetki dwóch ludzi, którzy wychodzili właśnie z tego pomieszczenia. Dopiero po chwili, gdy wzrok przyzwyczaił się do blasku, Junosza mógł przyjrzeć się im uważniej. I teraz właśnie zaskoczył go niezwykle kontrast pomiędzy tymi postaciami. Pierwszy z owych dwóch mężczyzn był wysoki, całkiem przystojny, ubrany w skromny, lecz dobrze skrojony garnitur. Prezentował się jak elegancki, pewny siebie młody mężczyzna, ale nie japiszon. Zresztą Junosza nie zauważył wcale, aby miał przy sobie e-com. A przecież żaden z warszawskich japiszonów z agencji reklamowej nie wybrałby się nawet do sracza bez swojej e-komórki. Jeszcze stojąc przed drzwiami mężczyzna uczynił gest, który zaskoczył Junoszę. Po prostu stanął i przepuścił towarzysza. A tamten...

Tamten był niższy. Nie miał nóg; jechał na małym, ręcznym wózku inwalidzkim. Junosza widział jego długą, posiwiałą brodę, stary, porwany pled, wymiętą, wojskową kurtkę i plastikową kartę na piersi. Taką kartę z prośbą o jałmużnę.

– Dzień dobry, panie Junosza – powiedział mężczyzna w garniturze. – Pan Widawski już czeka. Proszę.

Adam podniósł głowę i wówczas napotkał spojrzenie tamtego. Mężczyzna spoglądał nań uśmiechnięty. Ten człowiek budził zaufanie od pierwszego spojrzenia. Był miły, zadbany, skromny. Nie narzucał się. Ale, do diabła, nic nie tłumaczyło, skąd wzięli się ci dwaj w gabinecie Widawskiego. Skromny, elegancko ubrany mężczyzna, wyglądający tak, jak z pewnością nie wyglądał nigdy żaden polityk czy przedstawiciel funduszu emerytalnego oraz zwykły dworcowy lump, jeden z ludzi zamieszkujący warszawskie podziemia pod estakadami. Co ich łączyło? Kim byli? Skąd, u diabła, się tu wzięli? Junosza uświadomił sobie jeszcze jedno. Ten oberwaniec, ten żebrak nie cuchnął. Nie śmierdział, tak jak

stołeczni menele. Jego bluza i pled były wyświechtane, ale nie brudne. Co to mogło znaczyć?

Widawski rozmawiał właśnie przez telefon. Nie odłożył słuchawki od razu. Junosza usłyszał jeszcze fragment rozmowy.

– Tak, jeszcze za mało. Potrzebujemy więcej energii do zakończenia pierwszej fazy. Poczekaj, zadzwoń później.

Widawski odłożył słuchawki na widełki.

– Wiem, po co przychodzisz – mruknął. – Ale wyobraź sobie, że niczego się nie dowiesz.

– Co? Dlaczego? Przecież powinienem to wiedzieć, jak nam idzie...

– Nie powiedziałem, że nie chcę ci tego powiedzieć. Ja po prostu nie wiem – westchnął niefrasobliwie Widawski. – Widzisz, ja nie stworzyłem New Art. TV dla widowni czy jakiejś tam efemerycznej oglądalności. Target reklamowy, oglądalność, przeciętny wiek widza... to bzdury wymyślane przez japiszonów z Ameryki, a podchwyczone przez jakiś PolNet czy MTM. Prezesi, menadżerowie wymyślili to i nie mogą wydostać się z tego labiryntu. A ta stacja przecież ma być inna, bo to jest moje wielkie dzieło. Mój sposób na zdobycie ludzkich marzeń. Nasze społeczeństwo już się ich oduczyciło. Nasze społeczeństwo myśli tylko o jednym – jak kupić jak najwięcej, jak dorobić się lepszemu samochodowi, mieszkaniu, willi. My go tego oduczymy. My stworzymy zupełnie innego człowieka niż debil, który co wieczór wlepia oczy w telenowelę, czy głupowaty teleturniej.

Widawski odłożył na biurko trzymaną w dłoni książkę. Junosza przyjrzał się jej uważnie. Na brązowej, skórzanej okładce dostrzegł wyrysowany czerwony symbol klucza. Znów ten klucz. Cóż to, do diabła, mogło znaczyć?

– Wiesz co, jesteś przemęczony – stwierdził Widawski. – Daję ci trzy dni wolnego. Jedź sobie gdzieś, nad morze albo w góry. Odpoczywaj. I nie

martw się. Mamy już pierwsze spore wpływy z reklam. Wszystko jest pod kontrolą. Ty myśl tylko o nowych programach.

– Mam kłopot z jednym. Potrzebuję prezenterki.

– Wiem. Nie martw się, coś wymyślę.

Adam chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Odwrócił się więc i zamknął za sobą drzwi gabinetu.

* * *

Uuuuuuuuuu! Uuuuuuuuuu! Uuuuuuuu! Brawa, oklaski, okrzyki. Światła przesuwają się w stronę prezentera i gościa programu. Wielkie logo PolNetu I.

HUBERT RIPPER: Witamy w naszym programie Andrzeja. Andrzej przyjechał do nas ze Starachowic i dziś od wielkiej wygranej dzieli go tylko jedno pytanie. Jedno pytanie i miliard jest w jego kieszeni. Musi tylko postawić wszystko, co posiada, i odpowiedzieć na jedno, jedyne pytanie! Witamy cię, Andrzeju!

ANDRZEJ: Dzień... dobry. Nazywam się Andrzej.

HUBERT RIPPER: A zatem, Andrzeju, przejdźmy do sedna sprawy. Znasz regulamin naszego konkursu. Wiesz, że w naszym teleturnieju musisz iść na całość. Aby wziąć udział w ostatniej fazie gry, musiałeś postawić w zastaw wszystko, co posiadasz! Zdecydowałeś się postawić wszystko!

Brawa.

HUBERT RIPPER: Nasz prawnik sporządził już odpowiednią umowę. Ty ją podpisałeś! Czy jesteś pewien, że chcesz brać udział w naszym teleturnieju?!

Uuuuuuuuuu! Uuuuuuuuuu! Uuuuuuuu! Brawa, oklaski, okrzyki. Światła przesuwają się w stronę prezentera i gościa programu. Okrzyki: „Idź na całość! Idź na całość!”, „Postaw wszystko”.

ANDRZEJ: Tak, chcę pójść na całość.

HUBERT RIPPER: A zatem stawiasz swój dom, samochód i prawa do nich w naszym teleturnieju!

Brawa, jeszcze większe niż wcześniej.

Uwaga dla reżysera. W tej części teleturnieju operator komputera powinien dysponować odpowiednimi danymi dla określenia matrycy osobowości gościa programu. Dane te powinny zostać dostarczone do interfejsu Rippera tak, aby mógł w sposób zdecydowany uniemożliwić gościowi odpowiedź na pytanie.

HUBERT RIPPER: A zatem pytanie dla ciebie brzmi: Ile wynosi pierwiastek kwadratowy z odległości Księżyca od Ziemi:

A: 317

B: 23456788895

C:418

D: 36674.567

ANDRZEJ: Odpowiedź D. Trzydzieści sześć...

HUBERT RIPPER: Powoli, zastanów się. Pamiętaj, że masz dużo czasu...

ANDRZEJ: Jestem pewien. Odpowiedź D.

HUBERT RIPPER: Czy na pewno jesteś pewien, że jest to odpowiedź D? Powoli, zastanów się, masz jeszcze chwilę czasu. Pamiętaj, że każda z tych czterech odpowiedzi może być poprawna.

ANDRZEJ: Myślę, że D, ale nie jestem pewien.

HUBERT RIPPER: Właśnie. A zatem zastanów się dokładnie... Pomyśl i poczekaj...

ANDRZEJ (zdenerwowany): Tak, to będzie A. Jestem pewien, że A.

HUBERT RIPPER: A zatem zakreślmy odpowiedź A. I przekonajmy się, jaka jest prawidłowa odpowiedź!

Przerwa na reklamy

* * *

Gdy samochód jadący przed nim zjechał w prawo, Adam odruchowo skręcił za nim. Jego mercedes znalazł się na krawędzi pasa, tuż przy słupkach odgradzających pasmo asfaltu od młodej, wiosennej trawy rosnącej na poboczu szosy. Samochód jadący za nim także skręcił. Wszyscy zjeżdżali w bok. Była niedziela, koniec weekendu i wszystkie japiszony wracały do domów po odpoczynku na świeżym powietrzu. Adam nie

spojrzał zrazu na czarną, moką nawierzchnię, od której odbijały się światła reflektorów, ale w chwili gdy skręcił i wyminął coś, co leżało na szosie, zdębiał.

Najpierw wydawało mu się, że samochody przed nim skręcały, aby ominąć jakąś gałąź czy też zwój łachmanów.

Ale nagle ów ciemny kształt poruszył się, podniósł głowę i wsparł się na rękach...

To był człowiek! Adam był tego całkowicie pewien. Człowiek, pewnie ranny, potrącony przez samochód, leżący na czarnej jak noc szosie, przecinanej białymi smugami świateł reflektorów, oblanej rozbłyskami kierunkowskazów i czerwoną jak krew łuną tylnych świateł. Rzeka samochodów opływała leżącego ze wszystkich stron, strumienie błyszczących aut skręcały w prawo, omijał go i znowu wracały na swoje miejsce. Ten widok był tak niesamowity, że przez chwilę Adam nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Jechał dalej i ciągle miał przed oczyma tę niewyraźną sylwetkę, próbującą wstać z mokrego, brudnego asfaltu. Ten człowiek żył, ten człowiek próbował wstać – miał być może przetrącony kręgosłup, próbował odczołgać się dalej od szosy.

Na pewno jakiś pijany menel – pomyślał. – Cholera. Nie ma po co wracać. Pewnie już ktoś wezwał pogotowie...

To, co pomyślał, niemal go poraziło. Jak to? Tam, na szosie umierał jakiś człowiek, a on nie zatrzymał się, pojechał dalej. Zawróć, kurwa, pomóż mu! – krzyczało coś w jego duszy. – Przecież on nie wstanie!

Chciał zawrócić, skręcić, ale czuł się tak, jakby u rąk uwieszono mu gigantyczne ciężary. Nie mógł zawrócić, nie mógł zmusić się, aby zjechać na jeden z rozjazdów. Ręce i głowa ciążyły mu coraz bardziej. Po cholere mam się zatrzymać – pomyślał. – Zresztą jestem już za daleko. Już na pewno ktoś nim się zajął. Nie ma po co wracać.

– Kurwa mać! – krzyknął sam do siebie. Skręcił! Jego samochód wypadł ze strumienia dążących do miasta samochodów, przemknął przez pas trawy rozgraniczający oba pasma ruchu i zawrócił. Adam docisnął pedał gazu. Mercedes zawył i pomknął jak strzała. Światła samochodów jadących wolno w przeciwną stronę tylko migają w oczach Junoszy. Pędził jak szalencie. Jeszcze tylko kilometr, sto metrów...

Zahamował gwałtownie. Zjechał na pobocze i włączył światła awaryjne. Potem wyskoczył z samochodu, przemknął przez asfalt, zatrzymał się pomiędzy oboma jezdniami i starał się wypatrzeć miejsce, w którym leżał człowiek. Nie mógł go znaleźć. Auta przejeżdżały obok, oświetlały go strumieniami światła z wielkich reflektorów. Rannego nie było. Widocznie ktoś zadzwonił po karetkę.

Rozejrzał się jeszcze dokoła, a potem wrócił do samochodu. Wsiadł, odetchnął z ulgą i włączył silnik...

Aż krzyknął z wrażenia. Ktoś stał obok samochodu. Opierał się o framugę otwartego okna. Adam zadrżał, widząc wpatrzony w siebie blade oczy, długie, posiwiałe włosy nieznanego i rękawy wyświechtanego, skórzanego płaszcza.

– Co jest, do cholery! – warknął. – Guza szukasz?! Odruchowo sięgnął do kieszeni przy drzwiach, gdzie zawsze woził podręczny paralizator.

– Po co wróciłeś? – zapytał nieznajomy.

– Jak to, po co? Co ty, kurwa, naćpany jesteś?

– Pytam się, dlaczego wróciłeś? Widziałeś, co się stało, pojechałeś dalej. A potem zawróciłeś. Dlaczego?

– Tu przecież leżał człowiek! Jakiś ranny! Zabrało go już pogotowie?

– Pogotowie już nie jest potrzebne.

– Jak to, umarł?

– Ależ nie. Nic mu nie było. Ale dlaczego ty wróciłeś po niego? Przecież to był lump, menel. Nie miał paszportu. Nie miał samochodu.

Więc po co chciałeś go ratować?

Adam machnął w powietrzu paralizatorem, a gdy nieznajomy odskoczył, szybko dodał gazu. Wóz ruszył, popędził drogą i wkrótce zniknął w ciemności.

* * *

Minęła długa chwila, gdy Jan odwrócił się i wszedł w ciemność. Potem zanurzył się w ciemnym wnętrzu rowu. Tu, u jego stóp, umierał człowiek. Jan pochylił się, pomógł podnieść głowę nieznanemu.

– To już koniec – wychrypiął tamten. – Kurwa, nareszcie koniec. Czekalem na to od dawna... Wreszcie jest. Przyjacielu, daj mi fajka.

– Masz, pal – mruknął Jan i wcisnął cyklona w pokrwawione usta umierającego.

– Dzięki. Ostatni fajek przed końcem.

– A tak swoją drogą, to po co to zrobiłeś?

– Wiesz, kurwa... Moja żona. Wystartowałem w tym całym pierdolonym „Postaw wszystko”. I, kurwa, Ripper przyciął mnie na jednym pytaniu. I nie mam już nic. Straciłem wszystko.

– To przykre. Ale nie martw się. Nie będzie ci już nic potrzebne.

– A wiesz co, kurwa, jest najfajniejsze – wychrypiął umierający. – Wiesz?

– Nie.

– Że kurwa udawała. Myślałem, że umarła, a ona rzuciła mnie i pojechała z gachem. Wcale nie była chora... Wcale nie umarła.

– Naprawdę?

– Wiesz, jak się dowiedziałem? Zobaczyłem ją w telewizji. W takiej, kurwa, nowej stacji... W New Art. TV. Siedziała na widowni...

Mężczyzna zakrztusił się własną krwią, przez chwilę charczał, a potem umarł.

* * *

– Kurwa fiks kanada! Co to się na świecie porobiło! Ci gówniarze. Kurwa fiks kanada. Wszystko takie postrojone. Same skóry i te gogle jakieś... Staszek takie podpierdolił, jak likwidowali Hutę Warszawa. A co to oni robią. Tylko siedzą i gapią się w telewizor. A staremu nie ma kto piwa postawić. Kurwa, pierdolona chujosa i w dupę mamuni. I w co się gapią? A to ta nowa telewizja, jak jej tam... No, nawet pokazywali w niej Staszka z Przemysłowej... Gołębiarz ostatni w mieście. Kurwa fiks kanada. Wszystko się popierdoliło. O, a ten co za jeden? Ten długowłosey, kurwa? Wygląda jak ten pacjent, co mu obciąłem język. No, dla tego fagasa w czerni. Na chuj temu garniakowi język samobójcy? Żeby interesy lepiej szły? Biznesmeny z Ameryki. Kurwawdupęjebana. Przyjechali, kurwa, chuj. Teraz oni siedzą w naszych mieszkaniach, a nam przyszło na dworcach gnić. Kurwa fiks kanada! To jak? Ożył? Trzeba iść. Może chłopaki z dworca mają flachę. Kurwa fiks kanada...

Nikt nie zwrócił uwagi na wychodzącego Bolka ze Stalowej. Wszyscy naprawdę patrzyli w telewizory. W Subway, ulubionej knajpie neo-punków i rockersów panował tego wieczora wyjątkowy spokój. Skórzano-ćwiekowo-łańcuchowe bractwo w spokoju sączyło piwko, wypalało całe kartony cyklonów i patrzyło w ekrany dwóch starych telewizorów. Dzisiaj wyjątkowo nikt nie klął, nikt nie bawił się automatami, nie wrzeszczał, ani się nie kłócił. New Art. TV, jako jedyna stacja w kraju, emitowała właśnie na żywo koncert kapeli Wachtfeuer, która wykonywała właśnie utwory ze swej najnowszej płyty „Verboten”. Jak nazwa wskazuje, wspomniana formacja daleka była od wykonywania lansowanej w mediach muzyki *rythm'n' dance*. I bez wątpienia była to podstawowa przyczyna, dla której klienci Subway wlepiali oczy w telewizory.

Jan wziął kufel z rąk zapatrzonogo w ekran barmana. Usiadł przy barze, pociągnął jeden długi łyk. Od dawna nie pił piwa. Zaraz, zaraz... Kiedy po raz ostatni w ogóle coś pił? Nie przypominał sobie. Do diabła, co się

działo? Nie czuł głodu, nie czuł pragnienia, a przecież od przebudzenia na śmieciowisku, pod estakadami Strefy Paszportowej upłynęło już tyle dni... A może miesięcy?

Odruchowo spojrzął w telewizor.

Kryształowa kula...

Wirowała w jego głowie...

Błysk wypełnił jego źrenice. Osunął się ze stołka, może krzyknął. Ale i tak nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy wpatrywali się w ekrany.

– Jaaaa! Es war mai eine Dame... – krzyczał w mikrofon Wolfgang, lider grupy Wachtfeuer.

Jan podniósł głowę. Wpatrzył się zażawionymi oczyma w ekran. Znowu wróciło doń wspomnienie kuli. Szklana kula, płatanina rur. Twarze, twarze za szkłem. A potem czyjaś twarz i ciało opadające w strumień samochodów. Co to mogło znaczyć? Kim był? Dlaczego chciał się powiesić? A jeśli rzeczywiście się powiesił? Jeśli tak, to czyje zwłoki wiszą w mieszkaniu? I czy w ogóle wiszą?

Zatoczył się, piwo z przewróconego kufla rozlało się po blacie, spłynęło aż na kolana jednego z typów – podgolonego neo-punka w wyświechtanej skórze. Ale ten nawet nie drgnął. Wpatrywał się w telewizor. Wpatrywał jak zahipnotyzowany. Jan spojrzął nań, wpatrzył się w rozszerzone źrenice i wtedy zobaczył znaki.

Pojawiały się w źrenicach typa w skórze. Więcej – pojawiały się w oczach wszystkich tu obecnych, tych, którzy patrzyli w ekrany. Te znaki, te czerwone symbole czy piktogramy zmieniały się tak szybko, że niemal nie był w stanie ich rozpoznać. Pomiędzy symbolami, których nie rozpoznawał, były koła, półksiężyce, krzyże, gwiazdy, fale... Co to mogło być? Jakiś kod? Przekaz?

Nie mógł do tego dopuścić. Musiał przerwać to wszystko. Rozejrzał się dokoła. Wszyscy w knajpie oglądali telewizję. Nikt nie patrzył gdzie indziej

niż w szklany ekran. Jan musiał działać, musiał...

Jednym szybkim ruchem uderzył punka w skórce w splot słoneczny. Chłopak jęknął, spadł ze stołka, ale silne ramię Jana powstrzymało go przed upadkiem na podłogę. Mężczyzna pchnął go w stronę drzwi, a potem doładował prawy sierpowy w szczękę. Gdy chłopak wypadł z klubu, Jan posłał go w sam środek błotnistej kałuży. Potem odczekał chwilę. Punk zaczął się gramolić. Kilkakrotnie splunął, zaklął pod nosem, a potem szybko zerwał się na nogi. Jan ledwie umknął przed ciosem jego pięści. Gdy tamten sięgnął po łańcuch, chwycił go za rękę i przytrzymał. Szczerze mówiąc, sam był zdumiony własną siłą.

– Co jest? Coś ci, kurwa, zrobiłem?!

Jan milczał.

– Ty, kurwa, jakiś świr jesteś! Pieprz się, naćpany cwelu!

– Znaki. Miałeś znaki. Znaki w oczach...

– Kurwa, jakie znaki? Naćpałeś się, czy co?

– Coś jest nie tak z twoimi oczami. Nie, nie tylko z twoimi. Wy wszyscy macie znaki w oczach...

– Kurwa, odpieprz się, pojebie!

Jan spojrzał prosto w oczy chłopaka. Uśmiechnął się smutno.

– Widziałeś tam swoją dziewczynę. Tę, która zginęła w zeszłym roku... Gdy jechaliście na motorze. Morze... Jechaliście nad morze. Zobaczyłeś ją teraz w telewizji. Była na koncercie, w drugim rzędzie...

Punk zamarł. Cofnął się o krok.

– Kim ty, kurwa, jesteś? Skąd wiesz?

Jan bez słowa skierował się ku drzwiom prowadzącym do klubu Subway. Wszedł do środka. Młody punk postępował za nim, spojrzał na swoich kumpli. Wszyscy wpatrywali się w ekrany telewizorów, pomimo iż New Art. TV nie transmitowała już koncertu Wachtfeuer, ale na ekranach pokazywały się zajawki nowych programów. Przy jednej z nich wybuchła

prawdziwa owacja, na ekranie pokazana była zapowiedź „Maszeruj, albo zdychaj”, gdzie przewidywano kolejną akcję – tym razem przeciwko szajce złodziei samochodów. Owacje zaś rozległy się w momencie, gdy pojawiła się scena, kiedy ludzie z oddziału specjalnego wykańczali owych złodziejasków, ubranych w fosforyzujące dresy i adidasy z neonami.

Jan podszedł szybko do telewizora i jednym ruchem wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Telewizory zgasły od razu. Ale ludzie ocknęli się dopiero po kilku sekundach. Nagle rozbrzmiała wrzawa, przekleństwa. Kilku bardziej podпиты panczurów zerwało się ze stołków, któryś przyskoczył bliżej i chwycił Jana za ramię.

– Kurwa! Kurwa! Co jest? Co to za pojeb?!

– Kurwa! Przerwał koncert!

W powietrzu śmignął pierwszy kufel. Atmosfera wyraźnie gęstniała.

Młody punk wysunął się przed Jana, odgrodził go od tłumu.

– Spoko, spoko! On jest ze mną. Trochę sobie wypił. Ten gość jest wporzo. Mowa!

– To go pilnuj, Gniewko. – Ze stołka w kącie sali podniósł się niemłody metal. Długie, siwe włosy opadały mu na ramiona, ćwieki na pieszczochach lśniły w neonowym świetle. Nie spuszczał wzroku z Jana. – Kurwa, pierwszy raz od roku oglądałem tę pierdoloną tivi!

– Spoko, już go stąd zabieram. Nara!

Jan bez oporu dał się wyprowadzić na zewnątrz. Młody człowiek, który stał obok niego, wyciągnął doń rękę.

– Jestem Gniewko. Słuchaj, stary, myślę, że musimy pogadać. Chodź, przedstawię cię paru kumplom.

Głos Gniewka oddalał się. Jan go nie słuchał. Kula, po prostu szklana kula wirowała mu w głowie. Oddalała się, zamieniała w cylinder. Poza nią zobaczył coś jeszcze. To było najpierw czerwone, potem coraz jaśniejsze.

Czerwień przeszła w pomarańcz, aż wreszcie zaśśniło złoto. To było małe słońce uwięzione w obręczach z pierścieni.

* * *

Widawski miał naprawdę dziwnych znajomych. Adam miał okazję przypatrzeć się im dokładniej. Naprawdę, dziwni ludzie... Przed wszystkim byli... byli różni, tak różni od siebie, że niemal nie mógł uwierzyć, iż spotykał znajomych bajecznie bogatego szefa korporacji. Przez gabinet Widawskiego przewijali się bogaci i biedni, starzy i młodzi. Przystojni i brzydki. Byli wśród nich policjanci, były neo-punki i zwykłe lumpy z przedmieść, spoza Strefy Paszportowej. Były kobiety, byli mężczyźni, biznesmeni, artyści, pomywacze... Skąd Widawski miał tylu znajomych? Dlaczego zapraszał ich do siebie? Zresztą, czy rzeczywiście zapraszał? Junosza nie był pewien, ale wydawało mu się, że tych wszystkich ludzi widywał tylko jeden raz. Zupełnie jak gdyby pojawiali się w New Art. i więcej już nie wracali.

Naprawdę, New Art. TV była bardzo dziwną stacją, niepodobną do żadnej innej telewizji w tym kraju. Rozwijała się, zdobywała widzów, powoli stawała się gigantem. Junosza mógł wreszcie zrealizować wiele ze swoich pomysłów, mógł rozwinąć skrzydła. Ale pomimo tego, iż wszystko szło wspaniale, iż zarabiał dużo pieniędzy, wciąż zastanawiały go różne dziwne szczegóły.

Jednym z takich szczegółów była Waleria.

Wszystko zaczęło się od „Pojedyńku mistrzów”. Wymyślił taki zwykły talk – show, do którego chciał zapraszać wszystkich „wielkich artystów pióra i pędzla”, a więc wszystkich tych grafomanów i imbecyli, którzy dzięki układom i znajomościom wydawali dzieła, których nikt nie kupował. Program miał ich wyśmiewać, pokazywać prawdziwą pustkę i nicość postmodernizmu i sztuki, która nie służyła nikomu i niczemu, za to była obficie dofinansowana przez rządowe fundacje pieniędzmi wyciągniętymi z

kieszeni podatników. Program spodobał się bardzo Widawskiemu, chciał zaraz umieścić go w ramówce, ale z programem tym wiązał się pewien problem. Otóż Adam nie mógł znaleźć odpowiedniej prezenterki.

Tak właśnie, prezenterki... Adam wymyślił sobie bowiem, że program ten powinna prowadzić kobieta, i to nie żadna malowana lala, nie landrynkowa gwiazdeczka z PolNetu, ani też żadna z redaktorek z pism kobiecych – starych, „wyzwolonych” raszpli z pretensjami. Niestety, osoba prowadząca tak ambitny program nie mogła też być niedoświadczona, Adam nie mógł zatem po prostu znaleźć jakiejś ładnej i rozsądnej dziewczyny i przyuczyć ją, jak powinna zachowywać się przed kamerą. Musiał znaleźć gwiazdę, ale inną niż wszystkie, które występowały w różnych telewizjach.

Z pomocą przyszedł mu Widawski. Pewnego dnia wezwał Adama do swego gabinetu, Tam właśnie oczekiwała już młoda kobieta. To była Waleria. Waleria – największy problem i największa obsesja Adama...

Była młoda, średniego wzrostu. Bładą, delikatną twarz okalała ogromna burza kruczoczarnych włosów. Miała zgrabne, pięknie uformowane ciało i od pierwszego spotkania zafascynowała Adama. Kim była, skąd się wzięła – nie wiedział. Ale już po pierwszej rozmowie przekonał się, że jest nie tylko niezwykle piękna, ale przy tym urzekająco urocza. Nie była typem seks gwiazdy, nie epatowała swoim ciałem. Nie była też bladą niedojdą, nie pozowała na wielką panią i artystkę, do której strach było się zbliżyć, a cóż dopiero podać rękę. Ale jednocześnie miała w sobie coś, co powodowało, że Adam, choć jej nie pożywał, nie myślał nawet, aby nawiązać z nią romans, bez przerwy o niej myślał. Bez przerwy zastanawiał się, kim jest i skąd się wzięła. Być może dlatego, że czuł, iż tym, co pociągało go ku niej, nie była miłość i pożądanie. Była tajemnica...

* * *

– Hej, obudź się, zasnąłeś?!

Adam podniósł głowę. Była noc, siedział przy Avidzie VR z Łaszczem i kończył ostatni montaż „Stawki kapitana Koosa”. Program był w zasadzie gotowy. Chcieli jeszcze tylko przejrzeć dogrywki.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Łaszcz. – Usnąłeś? Jesteś przemęczony?

– Nie wiem – mruknął Junosza. – Sam nie wiem, co się dzieje... Ostatnio tyle pracuję. I tyle się wydarzyło...

– Masz rację. Kurwa, w strasznie dziwnej telewizji pracujemy. Wiesz, ja zastanawiam się, jak działa ten cały system komputerowy i wirtualne studia. Tu jest strasznie dziwny schemat sieci.

– Dziwny? Co w nim dziwnego?

– Te wszystkie sprzęty. – Łaszcz zatoczył koło ręką. – Wszystko podłączone jest do jednego, jedyne go serwera.

– Nie rozumiem.

– No wiesz, jak masz sieć komputerową, to tworzą ją komputery i serwery – takie większe komputery, które zarządzają danymi. Jest ich wiele. Ale tutaj – musi być tylko jeden wielki mainframe.

– Mainframe?

– No tak. Jeden wielki komputer, który zawiaduje tym wszystkim. On musi być strasznie wielki. Ale cholera, od lat nie ma takich komputerów. Mainframe'y się nie sprawdziły, były za drogie. Jeszcze pod koniec zeszłego stulecia wszyscy postawili na miniaturyzację.

Zapadła cisza.

– Zaraz wrócę – powiedział Łaszcz. – Muszę skoczyć do klopa.

Adam nie obejrzał się za nim. Siedział przy stole montażowym, wpatrzony w ekran monitora. Zastanawiał się nad czymś. Był zmęczony.

Dokoła panowała cisza. Cały gmach wydawał się być uśpiony. Pracowały może jedno, może dwa studia.

Adam wstał. Był zmęczony, niewyspany, praca w New Art. TV dawała mu się we znaki. Za dużo czasu spędzał w studiach lub w podróżach.

Ruszył do drzwi. Chciał przejść się po pustym gmachu, odnaleźć jakieś okno, spojrzeć na uśpione miasto. Wyszedł na korytarz i od razu skierował się ku windzie. Wcisnął guzik i czekał. Dokoła niego była cisza i spokój. W wyłożonych miękką wykładziną korytarzach i pokojach nie powstawał żaden dźwięk. Paliły się tylko światła, słabe, przyćmione światła nocy.

Dziwny to był gmach. Dziwny jak wszystko dokoła. Adam pracował w New Art. już cztery miesiące, a jeszcze nie zwiedził wszystkich pomieszczeń, jeszcze nie poznał wszystkich tajemnic...

No właśnie, tajemnic. Do diabła. Wszystko tu było tajemnicze. Choćby przyciski w windzie. Winda! Teraz właśnie przyjechała, drzwi otworzyły się przed Junoszą. W błękitnym świetle dostrzegł rząd klawiszy. Wszystkich pięter było 47. Ale przyciski kończyły się na 30. Potem była przerwa i dopiero wyżej widniały następne numery. 36, 37, 38, 39... 40. A gdzie był na przykład numer 33?

Co znajdowało się na tych piętrach? Prywatne apartamenty Widawskiego? Jakaś inna firma? Siedziba zarządu Art. TV?

Dlaczego windy miały przerwę w numeracji pięter? Adam jeździł wszystkimi, jakie były w gmachu, ale nie spotkał żadnej, która docierałaby na któreś z pięciu pięter pomiędzy 30 a 36. Dlaczego? Co to mogło oznaczać? Zaraz! A klatki schodowe? Przecież schody pożarowe musiały biec przez całą wysokość budynku.

Szybko wsiadł do windy. Nacisnął guzik z numerem 30. Jeszcze nie wyhamowała, a już szarpał drzwi. Gdy tylko się otworzyły, rzucił się w

stronę klatki schodowej. Szybko wbiegł na górę i...

Zatrzymał się jak wryty.

Schody kończyły się ceglana ścianą. Po prostu zwykłym, czerwonym murem. Bezmyślnie wodził po nim palcami, szukał drogi, jeszcze nie docierało do niego to, co widział. Mur, zwykły, twardy mur. Ale co było za nim?

Przyjrzał się uważniej przeszkodzie. Mur był mocny, ale w jednym miejscu coś było nie tak. W ceglach tkwiło coś czarnego. Dziurka od klucza. Wielka, czarna dziurka od klucza. Ale, do diabła, po co umieszczono ją w ceglanym murze?

Nie zastanawiał się długo. Niespodziewanie usłyszał jakiś przytłumiony odgłos. Jęk, albo westchnienie, dochodzące jakby z drugiej strony muru. Odskoczył, przestraszony, a wówczas usłyszał chrzęst klucza przekręcanego w zamku. Zamarł. Rozejrzał się dokoła, szukając drogi ucieczki. Zdał sobie sprawę, że zachowuje się głupio – jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. A przecież nie zrobił niczego niestosownego.

Kawałek ceglanego muru drgnął. Powoli otwierał się na zewnątrz. Z chrzęstem wysunął się do przodu, a potem otworzył. Długa smuga światła przemknęła przez rozwierającą się szczelinę, musnęła podłogę u jego stóp. Spojrzał na drugą stronę muru i zamarł. Nie było tam nikogo. A jednak klucz przekręcił się w zamku do końca.

Powoli wszedł w przejście i oto, co zobaczył po drugiej stronie: po prostu zakurzone schody. Poszedł dalej i w ten sposób trafił na piętro. Na trzydzieste pierwsze piętro. Stał w wąskim korytarzu ciągnącym się na przestrzał przez cały budynek. Po obu stronach korytarza widniały szeregi drzwi. A między nimi stały długie, ciężkie półki i regały zastawione książkami. Było ich bardzo dużo, było ich nieprawdopodobnie wiele. To pomieszczenie przypominało korytarz starej biblioteki, antykwariat, a może

sklep ze starociami. Adam czuł w ustach stęchły posmak kurzu, czuł ciężar tych wszystkich ogromnych, starych woluminów. Powoli ruszył wzdłuż korytarza. Zatrzymał się przy dwóch posągach pod ścianami. Jeden z nich przedstawiał uskrzydłonego mężczyznę, drugi kobietę – anioła. Mężczyzna trzymał w dłoniach tarczę z wyobrażeniem dziurki od klucza, zasłaniał się nią jakby przed ciosem, który miał spaść na jego głowę. Z kolei kobieta trzymała w podniesionej dłoni pęk kluczy. O ile rzeźby były marmurowe, o tyle klucze i tarczę wykonano z metalu.

Drzwi z prawej strony Adama zaskrzypiały. Junosza dostrzegł, że klamka opada w dół, jak gdyby naciskana czyjąś niewidzialną dłonią. Drzwi otwały się wolno. Adam przestąpił próg i zamarł.

Znajdował się w niewielkim pokoju, wyjętym żywcem z jakiegoś filmu historycznego. Na środku izby stał stół zastawiony dziwnymi sprzętami, były tam srebrne tygły i retorty, ogromne, szklane kule, szczypce, rękawice... Tuż koło stołu pulpit podtrzymywał ogromną księgę. Podmuch wiatru przewracał jej strony. Jedyne okno było rozbite, szyba pękła gwiazdziście, zupełnie jak gdyby ciśnięto w nią ciężkim przedmiotem. Brzegi szkła były ciemnobrązowe, zabrudzone jakąś zakrzepłą mazią. Na podłodze walały się kawałki potłuczonego szkła. Wszystko zakurzone i zapomniane...

Podszedł do księgi. Była zapisana drobnym, niewyraźnym pismem.

Krzysztof inaczej widzi nasz eksperyment niż byśmy tego oczekiwali. On ciągle marzy o stworzeniu wielkich geniuszy i chce, aby wszystko zacząć już, teraz, natychmiast. Nie mogę się na to zgodzić. Vis vitae dopływa bardzo powoli. Krzysztof chce zdobyć jej więcej. Chce wykorzystać do tego Cudowne Merkurium. Trzeba przyznać, że jego wizja jest wielka, większa niż wizje pozostałych. Jest urzekająca, chociaż sam przyznam, że się jej trochę boję. On ciągle eksperymentuje. Ciągle myśli o swoim geniuszu – homunculusie. Wciąż prowadzi niedorzeczne eksperymenty. Ostatnio coraz

bardziej ohydne. Boję się, że jeden z wyjątkowo udanych rezultatów jego eksperymentów...

Tekst się kończył. Dalej nie było już nic, zupełnie nic. Pusta strona. Co tu się rozegrało? O co w tym wszystkim chodziło?

Adam podszedł do okna. Trzydzieste pierwsze piętro. Wiatr poruszył jego włosami, wiał z dołu, skowyczał pomiędzy ogromnymi wieżami, wciskał się w szczeliny. Odruchowo dotknął pociemniałych brzegów szkła. Potem roztarł zaschniętą substancję na opuszku palca. Spróbował jej smaku. Od razu poczuł żelazisty posmak w ustach. To była krew.

Nagle zamarł. Patrzył na uśpione miasto rozpościerające się u jego stóp. Jednak nie był to widok taki, jakiego by się spodziewał. Wyraźnie widział wszystkie wieżowce, czarne kwartały dzielnic, długie linie ulic, światła, neony, lasery i błyszczące srebrne linie unoszące się w powietrzu.

Co to może być? – przemknęło mu przez głowę. Przyjrzał im się uważniej. Od każdego budynku, od każdej bryły betonu i szkła ciągnęły się w powietrzu delikatne, srebrzyste smugi, łączące się w strumienie a potem całe rzeki żywego srebra. Lśniące smugi napływały wprost do budynku New Art. Prowadziły przez mrok niczym szprychy w kole, do wielkiego gmachu ozdobionego czarną koroną, kierowały się do jakiegoś punktu nieco powyżej niego. Adam wychylił się przez rozbite okno i wyjrzał; spojrzał w górę.

Wokół korony wieżowca tańczyły mgliste sylwetki, unosiły się, trzepocząc skrzydłami, chcąc oderwać się od gmachu, uwięzione niewidzialnymi łańcuchami. Wirowały w tańcu dookoła wieży...

* * *

Nagle usłyszał za sobą jakiś szelest. Szybko cofnął głowę, chciał odwrócić się i zerknąć w tył. Nie zdążył. Czyjeś ręce chwyciły go mocno za ramiona, popchnęły z wielką siłą do przodu. Adam wrzasnął rozpaczliwie i wypadł. Wypadł przez okno, przez chwilę widział przesuającą się obok niego czarną ścianę wieży New Art., a potem ujrzał zbliżającą się szybko rozświetloną smugę ulicy. Zahaczył nogą o wystającą antenę satelitarną. To uderzenie zmieniło nieco położenie jego ciała. Spadał teraz, obracając się wokół własnej osi, aż wreszcie głowa rozleciała się, gdy uderzył w metalowy hydrant. Wielki czerwony, przeciwpożarowy hydrant.

Jan poczuł, że jest mokro. Otworzył oczy. Drobnny deszcz padał mu w twarz. Wysoko nad sobą widział czerń rozjarzoną nielicznymi światłami. Potem zobaczył coś jeszcze – czysty błękit. W niebie utworzył się wir, cyklon, tajfun? Nie było żadnego cyklonu. To przez czarne kiry nocy leciał nad miastem sterowiec reklamowy.

MOCNY ŚWIAT – MOCNY PAPIEROS – głosiło hasło reklamowe. Wir rozplątał się, zastąpiła go twarz młodej Azjatki, trzymającej w delikatnej, białej dłoni papierosa cyklon. Kobieta uśmiechała się słodko.

Nagle kobietę coś przesłoniła. W Jana wpatrywała się nieogolona, cuchnąca wyziewami przetrawionego piwa twarz punka. Też ćmił cyklona, ale nie uśmiechał się tak słodko.

– Cześć szajbusie! Jak się czujesz?

– Pochuchasz na mnie jeszcze trochę, to na pewno zejde – mruknął Jan. Powoli usiadł. Znajdowali się na dachu jakiegoś wieżowca. Wokół niego, tuż obok splątanych rur wywietrzników, obok gigantycznego, pordzewiałego wirnika wentylatora, siedziało w kucki kilka ciemnych postaci. Fłaszka krążyła z rąk do rąk. Gdzieś z boku płonęło ognisko, a

dalej, na krawędzi dachu Jan dostrzegł potłuczoną starą wieżę – jeszcze na płyty CD.

– Cześć, pierdolony zgredzie! – przywitał się najbliższy czerwonołłosy gość. – Ledwieśmy cię tu przytachali. Dobrze, że udało nam się uruchomić windę.

– A gdzie ja jestem?

– No, jak to, gdzie? W hotelu. To znaczy na hotelu Luxury. Piękny gmach. Sauny. Łazienki z hiszpańskimi kafelkami, dziesięć restauracji, obiady dla japiszonów z pękami kart kredytowych, czyste dziwki, kawior za tysiąc złotych. I oczywiście bezpieczna Strefa Paszportowa dla prezesów i ich flam.

Nieznajomy wstał i podszedł do Jana. Z boku wychynął Gniewko i jeszcze jakiś smutny koleżka w skórze.

– Cześć – mruknął Gniewko. – Chcę ci przedstawić kumpli.

– Ja jestem Śruba. DJ Śruba z Radiostacji. A to Makao.

– Cześć stary. Słyszałem, że nie lubisz telewizji. To tak, jak ja – powiedział Makao. – Ogłupia i szkodzi na wzrok.

Makao kiedyś na haju wparował do sklepu ze sprzętem i rozwalił siedemdziesiąt dwa telewizory, zanim go nie capnęli.

– No, ale do rzeczy – rzucił Gniewko. – Słuchaj, pierdoliłeś mi o tych znakach, które widziałeś...

– A tak w ogóle, to jak masz na imię? – wtrącił Śruba.

– Chyba Jan...

– Chyba?

– Tak miałem napisane w paszporcie. Póki go jeszcze miałem.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Najgłośniej śmiał się Makao.

– Te, Śruba? Tyś kiedyś miał paszport?

– Kurwa, może jeszcze książeczkę wojskową?

– No dobra – mruknął po chwili Śruba. – Ja, widzisz, jestem najstarszym DJ-em w Radiostacji. Takie pirackie radyjko. Rada Starców zamknęła nas jeszcze w ubiegłym wieku. Ale jak widać, żyjemy. Gniewko mówił mi, że wiesz coś o tej nowej telewizji, tej, jak jej tam, New Art. I coś w niej widziałeś.

– Byłem pijany – powiedział Jan. – Coś mi się przywidziało.

– Nie gadaj! – oburzył się Gniewko. – Skąd wiedziałeś o Ulce?

– O kim?

– Nie wpierdalaj mnie, zgredzie. Wjechałeś tu windą, ale mogę ci załatwić szybszą drogę na dół.

– Widziałeś Ulkę w telewizji – zgodził się Jan. – Wiem o tym. Ciągle pamiętasz, jak zginęła na E66. Najechał na was jakiś japiszon. A jak przyjechali gliniarze, to ciągle pierdolił, że musi jechać na naradę. A wtedy ty rozwaliłeś mu facjatę. I przypierdolili ci za to trzy lata. Bo to był pan prezes od telefonów komórkowych.

– Skąd ty o tym wiesz?

– Te znaki, te znaki, które były w telewizji, wydobyły te wspomnienia. Ty widziałeś Ulkę wśród żywych, tam, na koncercie, w drugim rzędzie... Ta telewizja. Robi coś z ludźmi. Ona pobudza wasze...

– Przestań pierdolić, koleś – mruknął Makao. – No naprawdę załatwię ci ekspresowy zjazd na dół!

– OK. – Jan wstał i ruszył do krawędzi dachu. Stał na samym gzymsie, spojrzął w dół, po czym odwrócił się w stronę młodych ludzi. – No to cześć, chłopaki.

Śruba pokręcił głową.

– Co by nie gadać, ten gość ma styl – powiedział i zaczął skręcać jointa. Pozostali nie zachowali zimnej krwi. Zerwali się na nogi.

– Ty, stary, nie wygłupiaj się! – krzyknął Makao.

– Kurwa, źle nas zrozumiałeś. Wróć, poczekaj. Albo sejnij się, zanim to zrobisz.

– Chłopaków trochę poniosło – mruknął Gniewko

– Chodź do nas, napijemy się!

Jan odwrócił się i popatrzył w ciemność rozświetloną przez tysiące neonów i latarni.

– Widziałem znaki. Znaki w waszych oczach. Nie wiem, czym one są. Ale ktoś je tam umieścił, ktoś z tej telewizji.

– Kurwa, następny świrnięty gość. Tak jak Zazo. Też wypalił za dużo cyklonów i odbiła mu palma.

– I co się z nim stało?

– Poszedł do hipermarketu. Na zakupy...

– Ciszej, Makao! Co to za znaki?!

To pytanie padło z tyłu, z miejsca, do którego nie dochodził blask dogasającego ogniska. Głos, który zabrzmiał w mroku, był inny niż zachrypnięte głosy Gniewka i jego kolegów. Jan odwrócił się, zaciekawiony. Z półmroku wychynęła wysoka, smukła postać. Dziewczyna ubrana w czerń i skórę, w wysoką, czarną, siodłatą czapkę z daszkiem. Jan rzucił na nią okiem. Lubiła gładki dotyk skóry. Miała wysokie, czarne, sznurowane buty, na czarnej bluzie wojskowe pagony kapitana. Ciemne włosy zaplatała w dwa warkoczyki, zupełnie jak mała dziewczynka. Gdy podeszła jeszcze bliżej, zobaczył gotycki makijaż na twarzy i wojskowy nieśmiertelnik zawieszony nad miniaturowym t-shirtem.

– Jak wyglądały te znaki?!

– Znaki? Te z telewizji? Jakieś symbole. Widziałem je tylko przez chwilę...

– JAKIE SYMBOLE?!

– Słońca, znaki zodiaku, półksiężycy...

Szybko odwróciła się i przepadła w ciemności. Jan spojrzał na Gniewka, Makao i Śrubę. Wzruszyli ramionami.

– Kapitan jest dziwna. Od kiedy zaginął Maks, pomieszało jej się w czajniku.

Dziewczyna otworzyła swoją torbę. Wydobyła z niej mały, prostokątny przedmiot i rzuciła go w stronę Jana. Złapał go w ostatnim momencie. Przedmiot okazał się palmem.

– Czy to te same symbole? – Kapitan patrzyła mu w oczy.

Jan otworzył komputer. Na ekranie jarzyły się na zielono rzędy znaków. Jan spojrzał na nie, a potem pokiwał głową.

– Takie same. To widziałem w telewizji.

Wszyscy pochylili się nad ekranem palma. Śruba i Makao wymienili spojrzenia.

– Kurwa, co to znaczy? Nic nie rozumiem? Co to za cholerne znaczki?
– zapytał Gniewko.

– Te znaczki były w sieci! Czy ty nic nie rozumiesz? W tym serwerze, do którego włamaliśmy się razem z Makssem. To był kod tej choleralnej sieci New Art. TV. Kurwa... Wy nic nie rozumiecie? Te skurwysyny z New Art.! Maks zniknął przez nich! Nie rozumiecie?! Trzeba pójść i rozpiardolić ich wszystkich!

Rozpłakała się, usiadła na betonie. Makao podał jej napełnioną do połowy butelkę. Dziewczyna zaszlochała, potem pociągnęła z butelki. Jan spojrzał pytająco na Gniewka, Śrubę i Makao.

– Jej facet gdzieś zniknął – mruknął Śruba. – Kapitan to hakerka. Włamali się do jakiegoś serwera i coś poszło nie tak. Cholera wie, co się stało? Maks zniknął. Gdzieś przepadł. Myślę, że dorwali go korpy z jakiejś agencji ochroniarskiej, kiedy odkryto włam.

– Nie mieli szczęścia – potwierdził Makao. – Zresztą w ogóle wielu kumpli hackerów ma teraz kłopoty. Cały ten Net jest jakiś popierdolony.

Wszystko zaczęło się dziesięć lat temu, od tej hysterii z dwutysięcznym rokiem.

– Sieć jest jak żywy organizm – wtrącił ktoś ukryty w ciemnościach. – W 2000 wszyscy kładli serwery, bo bali się pluskwy milenijnej. A co stanie się z organizmem, któremu wyłącza się płuca czy wątrobę, komórki mózgowe, jedną po drugiej?... Sieć czuła, że umiera i zaczęła się bronić.

Olbrzymia, błękitna błyskawica przecięła pół nieba. Na chwilę stało się jasno jak w dzień. To była chyba pierwsza wiosenna burza. Zagrzmiało znowu, tym razem bliżej. A potem z nieba lunęły potoki dżdżu.

– Chodźcie, idziemy do apartamentu! – krzyknął Makao.

– I nasze party wszyscy diabli wzięli – narzekał płaczliwie Śruba. – Kurwa, co za pogoda. Jak nie urok to sraczka.

Wszyscy rzucili się do klapy w dachu. Ostatni był Gniewko, trzymający pod pachą wieżę.

– Chodź. Pomóż Kapitan. Idzicie?! – Za chwilę!

Jan pochylił się nad dziewczyną. Klęczała. Na jej twarzy deszcz rozmywał biały podkład i czerwoną szminkę na ustach. Usiadł na wprost niej, spojrzał na jej ramiona, na drobne piersi pod przemoczoną koszulką (pogoda niewątpliwie sprzyjała obserwacji). Kapitan wyglądała tak biednie, tak nieszczęśliwie, że przysunął się jeszcze bliżej. Siedzieli tak w milczeniu i strugach deszczu.

– Kim jesteś? – spytała.

– Nie wiem – odpowiedział cicho. – Żyłem w tym mieście i w nim umarłem. Ale miasto ciągle nie chce mnie stąd wypuścić. Wszystko już widziałem, wszystko już poznałem. Nie siadam przed lustrem, ale kiedy patrzę na siebie, mam wrażenie, że ciągle jestem człowiekiem.

– Lubisz deszcz?

Zamyślony kiwnął głową.

Zagrzmiało znowu, błysk magnezjowego światła oślepił Jana. Dostrzegł jednak, jak Kapitan zrzuciła skórzaną kurtkę, a potem wzięła go za rękę.

– Chodź – wyszeptała.

Pocałował ją w usta. Najpierw powoli, delikatnie, jakby bał się, że nie będzie potrafił tego uczynić. A potem pchnął ją pod jeden z zardzewiałych wsporników na dachu tego ogromnego wieżowca, podwinął nasiąkniętą wodą koszulkę i spijał ten miejski deszcz z jej ust, ramion i piersi. Poddała się jego pieścizotom bez sprzeciwu. Objęła go ramionami, przyciskała mocno do siebie. A potem odepchnęła go na chwilę i wolno zsunęła koronkowe majteczki. Zdecydowanym ruchem rzuciła je za siebie. Jan przycisnął nagie ciało dziewczyny do metalowego wspornika dźwigającego ostatnią literę z napisu LUXURY HOTEL.

Godzinę później, gdy zmęczeni leżeli obok siebie na zalanym deszczem dachu, Kapitan pogładziła go po mokrej piersi. A potem na jej twarzy pojawiło się zdumienie,

– Ty nie masz NIP-u.

– Czego?

– NIP-u. Tatuazu z kodem kreskowym. Każdy to ma, każde dziecko po urodzeniu jest oznaczone numerem.

– To bardzo źle?

Kapitan roześmiała się cicho.

– Spoko, nie doniosę na ciebie do urzędu skarbowego.

Jan przytulił do siebie dziewczynę i szepnął jej do ucha:

– Dlaczego masz ksywę Kapitan?

– Bo mam mocną głowę – powiedziała słodko. – A kapitan zawsze schodzi ostatni.

Roześmiał się, ale w głębi duszy był poważny. Przecież kiedyś miał NIP.

* * *

– Nie wstawaj – szepnęła Waleria. – Leż spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Adam powoli otworzył oczy. Leżał na miękkim łóżku, pod głową czuł stos poduszek. Był słaby, obolały, ale chyba cały. Na suficie widział daleki błękitny fresk. To było | jakieś renesansowe malowidło. Przedstawiało wygnanie z raju. Opuścił wzrok i dostrzegł tuż obok, przy masywnej, hebanowej kolumnie twarz Walerii. Wpatrywała się w niego wielkimi, ciemnymi oczyma.

– Gdzie ja jestem?

– U mnie w domu – wyszeptała. – Nie bój się, już wszystko w porządku.

– Ale miałem koszmary sen... Śniło mi się, że wypadłem przez okno.

– I rozbiłeś sobie głowę o uliczny hydrant? – dopowiedziała Waleria.

Adam skamieniał.

– To nie był sen – ciągnęła z tajemniczym uśmiechem. – Naprawdę wypadłeś z trzydziestego piętra i się zabiłeś. Ale Krzysztof uznał, że jesteś zbyt cenny, żeby cię stracić.

– Nie! To niemożliwe! Co to za upiorny żart?!

– Żart! Właśnie. Dobrze to ująłeś. Przepraszam. To był niesmaczny dowcip. Zasnąłeś na montażu i uderzyłeś się w głowę. Ale wszystko jest w porządku. Poprosiłam Łaszczę, aby zawiózł cię do mnie. Przyda ci się trochę odpoczynku. Whisky jest w barku, piwo w lodówce. A ja zaraz wrócę.

Szybko zniknęła za drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pokoju. Weszła do łazienki, po chwili dobiegł go stamtąd odgłos odkręcanego kurka. Waleria zrzuciła szlafrok dokładnie w takim punkcie, aby przez

szczelinę w niedomkniętych drzwiach mógł podziwiać przez chwilę jej smukłe, nagie ciało.

Adam wstał, trzymając się za głowę. Dziwne, ale nie wyczuwał na niej guza. Ostrożnie podszedł do dużego, srebrnego lustra. Spojrzał w odbicie, zobaczył bladego, wymęczonego faceta o podkrążonych oczach. Tak, jego wygląd stanowczo nie wzbudzał zaufania. Adam rozejrzał się po mieszkaniu. Znalazł wnękę kuchenną. Otworzył lodówkę i wyjął z niej dobrze schłodzoną puszkę piwataminy. Pociągnął spory łyk, ale jakoś nie rozjaśniło mu się w głowie. Jednak w tym momencie zobaczył na małym stoliku otwartą torebkę Walerii. Wiedziony jakąś przekorną ciekawością podszedł bliżej. Zawahał się, spojrział w stronę łazienki. Wciąż słyszał odgłos spływającej wody. Torebka kusiała. Pomiędzy szminką, puderniczkami i małym palmem tkwił plik papierów szczipionych zszywaczem. Wyciągnął dokumenty, spojrział na nie i zakrztusił się piwem. Papiery i zdjęcia wypadły mu z dłoni, rozsypały się po stole i podłodze. Adam odskoczył, chwycił się rękoma za głowę, potknął się o stołek, omal nie upadł. Potrącony wazon roztrzaskał się na posadzce. Czerwone róże posypały się na zdjęcia. Adam zatoczył się, skoczył przed siebie, potykając się, dopadł do drzwi, otworzył je i wypadł na zewnątrz.

Na małym stoliku pozostały po nim rozsypane zdjęcia. Wszystkie pochodziły z policyjnych kamer i przedstawiały duży, czerwony, przeciwpożarowy hydrant. Ale to nie było wszystko. Obok niego na ulicy spoczywało zmasakrowane ciało mężczyzny...

* * *

Biegł przed siebie dopóty, dopóki starczyło mu sił. Pędził przez ulice, wpadał i potraçał ludzi, przewrócił się w kałużę. Gnał jak opętany. Wpadł do metra, a gdy zamknęły się za nim drzwi, przywarł, dysząc, do zaparowanej szyby i patrzył w mrok tunelu, bacząc na to, czy nikt go nie ściga.

Pół godziny później dotarł do swojego mieszkania.

* * *

– Nie cierpię tych nocnych dyżurów – mruknął DJ Śruba, choć tak naprawdę uwielbiał siedzieć w tym ciemnym pomieszczeniu, rozjaśnianym tylko przez kontrolki konsoly. Lubił puszczać swoją ukochaną muzykę, lubił mówić do mikrofonu, lubił słuchać swojego głosu, odbierać telefony, wolno sączyć piwko i palić skręty. Lubił te nocne rozmowy o wszystkim i niczym.

Była już trzecia nad ranem. Nikt nie dzwonił. Ludzie poszli spać, bo przecież nie byli prezesami i następnego dnia musieli zapierdalać do roboty. Tak przynajmniej pocieszał się Śruba. I rzeczywiście, być może miał rację. Być może, bo nagle po lewej stronie konsoli zamigotało czerwone światełko telefonu.

– Halo, tu Radiostacja, program „Przyśrubowany Mikrofon”.

Głos, który usłyszał, należał do mężczyzny. Gość był zdenerwowany, pewnie trochę wypił. I miał coś na języku. Coś ważnego. Śruba wyczuł to już od pierwszej chwili, gdy tylko tamten się odezwał.

– Mam poważny problem. Muszę z kimś pogadać.

– Wal śmiało. Wal, stary...

– Pracuję w telewizji. W Art. TV i od jakiegoś czasu nie czuję się najlepiej.

– Nie ty jeden, stary.

– Ale wiesz, w tej telewizji dzieje się coś dziwnego. Wygląda na to, że popełniono tam morderstwo. I to nie jeden raz – głos zaśmiał się ochryple i zjadliwie.

– A kogo tam zabili?

– Między innymi mnie...

– No, to fatalny zjazd, stary. Zabili cię, ale jednak żyjesz.

– Ale co to za życie, Śruba. Sęk w tym, że ja widziałem własny akt zgonu, raport policji i zdjęcie moich zwłok z mózgiem rozbryzganym na chodnik i hydrant przeciwpożarowy. Ty rozumiesz, taki, kurwa, czerwony hydrant przeciwpożarowy...

– Czerwony hydrant, rozumiem.

– Niczego, kurwa, nie rozumiesz.

– Okey, okey, wyluzuj, stary. Ta sprawa z hydrantem i New Art. TV wydaje się interesująca. Jak możemy się spotkać?

* * *

Adam odłożył telefon na widełki i zdał sobie sprawę, że oprócz niego, w mieszkaniu jest ktoś jeszcze, tuż obok, w sąsiednim pokoju... I ten ktoś był tu przez cały czas, czekał na niego. To dziwne uczucie, wrócić do domu i poczuć obecność kogoś jeszcze (a przecież mieszka się samemu).

Kiedy Waleria podeszła do niego, Adam nie miał ani siły, ani ochoty wstawać, ani uciekać. Nie uznał też, aby celowe było wydzieranie się, bo krzyk i tak nie był w stanie odmienić jego sytuacji.

Tymczasem ze stojącego w pomieszczeniu radia dobiegał spokojny głos DJ Śruby.

– A na dobranoc, moi mili, puszczę wam kawałek z najnowszej płyty waszej ukochanej formacji Wachtfeuer. Przez najbliższe cztery minuty będzie was bawić „Meine lieben”...

* * *

Długo stali przed drzwiami małego komunalnego mieszkania na Ursynowie, nasłuchując i stukając. Kiedy po piętnastu minutach stało się pewne, że wewnątrz nikogo nie ma, Makao stwierdził, że otworzy drzwi za pomocą przenośnego łapa i eurowytrychów. W ten sposób spędzili kolejne dziesięć minut. Wreszcie Gniewko się zdenerwował.

– Dupa jesteś, nie włamywacz – rzucił do Makao.

I wyważył tekturowe drzwi jednym potężnym kopnięciem.

Weszli do środka. Mieszkanie było małe i zagracone. Wszędzie poniewierały się kasety, pliki wydruków, stare gazety i brudne koszule.

– Swoją drogą, co to za koleżka, którego szukamy? – Makao spojrzał na Śrubę.

– To ten gość, co zadzwonił do mnie w nocy. On pracuje w New Art. Połączenie się urwało, ale i tak miałem numer, z którego dzwonił. Tylko gdzie on, kurwa, jest?

– Obawiam się, że tutaj! – krzyknął Gniewko z sypialni. Śruba i Makao weszli do pokoju i spojrzeli tam gdzie i Gniewko.

– Jezu...

– Kurwa... – Shit...

– Co się facetowi stało?

– Nie wiem.

– Mnie nie pytaj.

– Rzygać się chce.

– Dobra. On nic już nie powie. Potrzebujemy tylko jednej rzeczy. Gniewko, podaj piłę.

– Co ty? Kurwa, co ty?

– Nie gadaj.

Przez długą chwilę z sypialni dochodził tylko dźwięk spalinowego silnika piły łańcuchowej.

* * *

– O, shit, jaki ze mnie skurwysyn – mruknął Śruba, rozjeżdżając zwłoki dresiarza leżące na rogu Towarowej i Grzybowskiej. – Żadnego poszanowania dla zmarłych.

Ostrożnie wyminął stertę płonących śmieci i skręcił w Towarową. Nie było innej drogi. Chcąc dojechać na Srebrną, musieli kluczyć, objeżdżać całe miasto. Aleje Jerozolimskie okazały się nie do przebycia. Ogromne tłumy ludzi napierały na policyjne bariery, tłoczyły się u wrót Strefy Paszportowej. Zamieszki trwały w całej Warszawie. Nad głowami ludzi chwiały się szturmówki i transparenty. Rozwścieczone tłumy rzucały kamieniami, odrzucały w stronę policji pojemniki z gazem łzawiącym, ludzie kładli się na drodze transporterów opancerzonych, masakrowali policjantów. Znow strajkowała zbrojeniówka, znow pojawili się kosynierzy Syfowskiego, znow neo-punki obrzucały kamieniami japiszonów. Wraz z nimi na ulice wyległa cała Warszawa spoza Strefy Paszportowej; na tyłach tłumów, w bocznych uliczkach dresiarze rozpoczynali już rabunek sklepów, podjeżdżali jeepami pod komisy i hurtownie, aby rabować i palić. Na ulice wyległy tłumy. Tłumy biły się z policją, krzyczały, wygrażały jej pięściami... W zamęcie podpalono już pierwsze korporacyjne biurowce. Na tle nocnego, rozgwieżdżonego nieba płonęły biurowce Telecomu i PolNetu, samochody i ludzkie ciała.

Gniewko i Makao od rana nie mogli rozeznąć się w tym wszystkim. Makao przerzucał kanały na podręcznym komie, słuchał radia, zaglądał na serwisy do Netu. Nie rozumiał nic... Komentatorzy wiadomości spierali się ze sobą, przekrzykiwali jeden przez drugiego. Nikt nic nie wiedział, nikt nic nie potrafił powiedzieć. Gdzieś między programami mignęła przestraszona twarz premiera, później blade, suchotnicze oblicza przerażonych,

zdewociałych prawicowych ministrów. Na końcu spasiose gęby lewicowej opozycji, jak zwykle korzystającej z okazji, aby zmanifestować swą obecność. Makao miał w dupie zarówno jednych, jak i drugich. Miał w dupie cały ten jebany system, a gdyby nie fakt, iż zmierzali do siedziby Art. TV, chętnie przyłączyłby się do zamieszek. Ale cóż, mieli jeszcze coś do zrobienia...

Szybko i cicho podjechali pod wieżowiec z koroną na szczycie. Makao skręcił w Srebrną, odnalazł wjazd do garaży New Art. TV i ostrożnie zjechał w dół. Stanęli przed wielkimi, brązowymi wrotami. Tuż obok, na komputerowym ekranie pojawiła się komputerowa animacja twarzy młodej kobiety.

– Witamy w New Art. TV. Proszę opuścić szybę i spojrzeć mi prosto w oczy.

– Kurwa, dlaczego to na mnie wypadło – mruknął z niesmakiem Gniewko. Sięgnął szybko do czarnego, foliowego worka, rozsunął zamek błyskawiczny i skrzywił się. – No, stary, wyświadczysz nam ostatnią przysługę.

Wyciągnął z torby głowę Adama i skierował ją twarzą w stronę czytnika.

– Dziękuję – odpowiedział słodki, kobiecy głos. Wizerunek migotał przez chwilę, komputer sprawdzał poprawność kodu. – Witamy w New Art., panie Adamie. Życzymy udanego i produktywnego dnia pracy...

– Wystarczy już tych uprzejmości. – Skrzywił się Gniewko i wcisnął pedał gazu.

– Mów do mnie, Kapitan – mruknął Śruba do mikrofonu. – Sprawdź parking.

– Potwierdzam, parking czysty.

– A kamery?

– Zapętliłam trzyminutową sekwencję. Zatrzymali się w najciemniejszym miejscu, obok starego kontenera na śmieci.

– Jak teraz?

– Prosto do małych drzwiczek. Sprężajcie się.

Szybko wysiedli z samochodu i pobiegli przed siebie.

– Teraz w lewo. Powinniście być na wprost windy – usłyszał Śruba zdenerwowany głos Kapitan.

– OK. Mamy ją.

Szybko skoczyli w stronę towarowej windy. Tu też był skaner. Gniewko musiał zatem sięgnąć do torby i powtórzyć operację z głową. Wskoczyli do środka. Makao zachichotał nerwowo.

– Co jest?

– Wyobraziłem sobie, że w windzie byłaby sprzątaczką i zobaczyła, jak paradujemy z obciętą głową faceta.

– Kapitan, jak teraz?

– Po wyjściu z windy w prawo. Zaraz za rogiem powinny być schody przeciwpożarowe. Macie mało czasu. Za chwilę ruszą kamery. Biegnijcie!

Nie trzeba im tego było dwa razy powtarzać. Szybko wypadli z windy i skręcili w prawo. Za przepierzeniem były schody – mała żelazna klatka schodowa pnąca się na czterdzieści pięter w górę.

– No, to czeka nas mały spacer – wydyszał Makao.

– Jazda na dach!

– Nie gadaj! – syknął Gniewko. – Idziemy.

Schody ciągnęły się i ciągnęły. Na szczęście nikt z nich nie korzystał od dawna. Stopnie pokrywał kurz, leżały na nich śmieci, stare, pożółkłe wydruki. Jedna ze ścian klatki schodowej była przeszklona. W miarę jak wspinali się coraz wyżej i wyżej, roztoczyła się przed nimi panorama miasta. Śródmiejska Strefa Paszportowa była ciemna, w wielkich biurowcach, w przeszklonych gmachach nie paliło się zbyt wiele świateł.

Nie płonęły lampy przy basenach na dachach domów. Za to wokół murów gminy centrum płonęły sklepy i budynki, szalejące tłumy ścierały się z policją.

Wspinając się wciąż wyżej, widzieli błyski odpalanych policyjnych petard, czerwone ogniki wystrzałów, dostrzegali cienie helikopterów przemykających pomiędzy wieżowcami. Nie słyszeli tylko krzyków i wrzawy, odgłosu pękających butelek, stukotu kamieni i warkotu motorów...

– Stać! – rzucił nagle Jan. – Stójcie!!!

– Co?! Dlaczego?

– Jesteśmy za wysoko. Musieliśmy to minąć.

– Co takiego?

– Wejście do tego jest na 36 piętrze.

Zapadła cisza. Przerwał ją Makao.

– Nie ma to jak gość z przeczuciem. Gdzie mamy iść? – Nie mogłeś nam powiedzieć wcześniej? – wysapał Gniewko.

– Trzeba było rzucić cyklony – mruknął Śruba. – To byś się nie zmachał.

– Kapitan. Na którym piętrze jesteśmy?

– Na czterdziestym pierwszym.

– Pięć pięter w dół.

– No to jazda!

Szybko zbiegli po schodach. Skręcili w korytarz i... stanęli jak wryci. Drogę zagradzał im ceglany mur. Po prostu zwykła, nie otynkowana ściana.

– Kapitan, co jest. Na trzydziestym szóstym nie ma przejścia.

– Jak to nie ma? Poczekaj, przełączę się na obraz z kamery bezpieczeństwa.

– No i co?

– Co wy, chłopaki, nabijacie się? Przecież tu nie ma żadnego muru.

– Jak to nie ma? Stoimy przecież przed ścianą. Przed wielką, cholernie wielką i cholernie ceglana ścianą? To co, wydaje nam się? – Makao poparł swe słowa solidnym kopniakiem w mur.

– Poczekaj, daj mi obraz z twojej cyfry – poprosiła Kapitan.

– Daję. I co widzisz?

– O kurwa! Tu rzeczywiście jest mur – mruknęła Kapitan. – Co jest?

Nie ma go w planach.

– To co robimy?

Gdzieś z tyłu rozległ się lekki szum. Nie zwrócili na niego uwagi.

– Może, kurwa, rozwalić?

– Może spróbujemy wyżej?

– Kapitan! Kurwa! Poradź coś nam!

– Radzę, żebyście się odwrócili – mruknęła dziewczyna.

Uczynili, co im kazała. Najpierw usłyszeli odgłos pracującego silnika. Potem za szklaną szybą ukazała się zjeżdżająca w dół żółta winda techniczna, na której jeszcze stało wiadro z wodą i ścierki do okien.

– Bingo! – wykrzyknął Makao i szybko otworzył okno. – Ekspresowa winda do piekła!

– Kurwa! Wysoko!

– Tylko się nie porzygaj. Tu nie samolot. Nie mamy torebek...

Na platformie windy dopadł ich wiatr. Szarpnął linami, zatargał płaszcami neo-punków. Jan spojrzął wzdłuż ściany wieżowca. Kilka okien dalej dostrzegł wybite okno, przesłonięte szeleszczącą płachtą folii. Coś mu to przypominało, ale nie wiedział co. Spojrzął w dół i omal nie upadł. Obraz mrocznego miasta rozjarzonego światłami ulic był tak znajomy, tak bliski... Musiał już tu być... Musiał go widzieć... Ale kiedy, gdzie? Dlaczego prawie nic z tego nie pamiętał?

– Kapitan, przesun nas w prawo, pięć okien dalej – szepnął Śruba do słuchawki.

Platforma drgnęła, powoli przesuwała się wzdłuż brudnych, zakopconych okien. W końcu stanęła. Makao zerwał płachtę folii z rozbitego okna, pierwszy wskoczył do środka. Jan poszedł za nim. Z tyłu Gniewko zaświecił latarką. Znajdowali się w małym, zakurzonej pomieszczeniu. Jan spojrzał dokoła, zobaczył stare, zakurzone, jakże znajome księgi, zobaczył mały pulpit i stół, na którym...

...szklana kula. To była ta kula, którą pamiętał. Zachwiał się na nogach. Krzyknął i zatoczył się. Śruba i Makao podtrzymali go z obu stron. Wspomnienia napłynęły znowu. Teraz widział, widział już wyraźnie – pamiętał, jak wszedł do tego pokoju, jak powoli uchylił drzwi i dostrzegł starca na wózku inwalidzkim. Wyraźnie widział jego długie, białe włosy, pomarszczone oblicze, wysokie czoło, pociemniałe od tytoniu palce nabijające fajkę i wielką, grubą księgę na małym stoliku. Przypomniał sobie, jak wszedł, cicho, bezszelestnie. Starzec nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Pogrążony był w lekturze. A wtedy on przyskoczył bliżej, chwycił za poręcze wózka... unióśł go nad głową... Uniósł nad głową fotel z krzyczącym starcem i cisnął go w tę ogromną szybę, cisnął, rozbijając szkło...

– Co ci jest?! – wykrzyknął Makao.

– Nic, nic – wyszeptał. – To tylko wspomnienia.

– Wspomnienia czego?!

– Idziemy – mruknął. – W korytarzu, na prawo, jest winda. Pojedziemy nią i dostaniemy się na sam szczyt...

– Kapitan, co się dzieje? Odezwij się! – krzyczał z tyłu niewidoczny Śruba. – Kurwa, chyba straciliśmy łączność!

Jan szybko wszedł do ciemnego korytarza. To miejsce przypominało bardziej korytarz w starej bibliotece lub magazynie. Pod ścianami pomieszczenia ciągnęły się bowiem długie półki z książkami. Ogromna biblioteka, pełna starych woluminów i zatęchłych ksiąg.

– Co to za książki? – zaciekał się Makao. Podszedł bliżej i przeczytał: Lapis Philosophorum... Czerwony Smok, czyli Sposób Pewny... Postępek Prawa Czartowskiego... Die Geheimwissenschaften, Magia Naturalis et Innaturalis, Dreifaher Hoellenzwang... Theatrum Diabolorum... Tractatus Duo Egredi de Lapide Philosophorum.

Szli dalej. Jan pamiętał wszystko. W jego głowie odżyły wspomnienia tego korytarza, wspomnienia jego zapachu, mroku i dotyku starych ksiąg.

– Tu jest winda – powiedział, pokazując na wnękę. – Pojedziemy nią na sam szczyt.

Nacisnął przycisk, i drzwi opatrzone symbolami klucza i zamka otworzyły się. Ta winda miała tylko dwa przyciski. W dół, gdzie się teraz znajdowali, i na górę...

* * *

To coś było znowu obok niej... Znow, tak jak wtedy, przemykało kablami między stacjami. Znow z sykiem przeskakiwało z palmu do palmu. Chciała, żeby to był film, kolejny film z Johny'm, czy innym cyberpunkowym bohaterem. Ale nie był...

Krzyknęła, gdy na ekranie komputera pojawiły się symbole. Tak samo jak wtedy, gdy zniknął Maks.

Krzyknęła, gdy w sąsiednim pokoju włączył się telewizor. Nie wiadomo dlaczego, głos był maksymalnie podkręcony. Usłyszała głos prowadzącej.

– Witamy w naszym teleturnieju wiedzy o klasycznych filmach grozy. Telewizja New Art. zaprasza. Oto kolejny uczestnik naszego programu. Witamy! Co chciałbyś powiedzieć widzom naszego programu?

– Przede wszystkim chciałbym powiedzieć kilka słów mojej dziewczynie. Wiem, że nas teraz słucha, a za chwilę podejdzie do telewizora. Kapitan! Nie zapomnij o mnie...

Stała w drzwiach, zrozpaczona i przerażona. Na ekranie pojawiło się zbliżenie na twarz Maksa. Patrzył jej prosto w oczy i mówił:

– Nie zapomniałem o tobie, Kapitan. Ty też o mnie nie zapomnij...

Nie zapomniała. Przecież czekała na niego.

* * *

Drzwi windy rozsunęły się z lekkim szumem. Za nimi był korytarz wyłożony miękkim dywanem. Dojechali wysoko. Jan wiedział, dokąd prowadził szyb windy. Znajdowali się w środku ogromnej korony na szczycie wieżowca. Dokładnie w ogromnej czarnej kuli, w klejnocie pośrodku obręczy.

Szedł powoli przed siebie, a Makao i Gniewko postępowali za nim. A Śruba? Właśnie, gdzie był Śruba? Na pewno nie szedł za Makao, ani przed Gniewkiem. Nie był też na czele. Po prostu zniknął.

– Kurwa, gdzie jest Śruba?!

– Śruba! – krzyknął Gniewko! – Gdzieś ty się znowu wkręcił?

– Cicho, kurwa! Usłyszają nas! Wpadniemy! Ty, koleś poczekaj! – krzyknął do Jana. – Wciął nam Śrubę!

Jan jakby nie słyszał tych słów. Po prostu szedł przed siebie.

– Kurwa, to jakiś świr! – syknął Gniewko. Zatrzymał się, dysząc, Makao był tuż obok. Rzucił na ziemię torbę, w której znajdowała się głowa Junoszy, i wtedy zorientował się, że zamek błyskawiczny był rozsunięty.

* * *

– Znowu wkręcił się pan w niewłaściwe miejsce, panie Śruba – mruknął mężczyzna zza biurka. – Proszę, niech pan siada – powiedział Widawski. – Może się pan napije? Przedni węgryz.

– Węgryz? Wolałbym browar.

– Browar? – Starszy, szpakowaty mężczyzna był nieco zaskoczony, zwykle w takich sytuacjach proponował przede wszystkim wino. – Pan Śruba – powiedział. – Proszę, od trzech lat pracował pan dla Radiostacji.

– Ciągłe tam pracuję.

– Kiedy wysłucha pan mojej oferty, to może się zmienić.

– Zatem wal śmiało, stary!

– Nazywam się Krzysztof Widawski – powiedział spokojnym głosem. – Jestem szefem New Art. Rozpoczęliśmy niedawno działalność i potrzebujemy ludzi do pracy.

– I poszukujecie ludzi do pracy.

– Widzi pan, panie Śruba – ciągnął dalej Widawski. – Tworzymy telewizję zupełnie nową na naszym rynku mediów. Mam horyzonty nieco rozleglejsze niż mały prezes agencji reklamowej, czy jakiejś lokalnej rozgłośni. New Art. TV ma być w moim założeniu pewnym nowym, specyficznym rodzajem telewizji. Chcę stworzyć wielkie dzieło, odmienne od wszystkich. Telewizję bez targetu, telewizję dla ludzi...

– Ta pańska telewizja manipuluje ludźmi.

– Manipuluje?

– Tak, robisz im w głowach hokus-pokus. To całe zamieszanie na mieście to też pewnie przez ciebie.

– To prawda... Ale moja telewizja jest tylko kluczem do osiągnięcia pewnego większego celu. Trzeba mieć trochę odwagi, aby otworzyć te

drzwi.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, ekrany podwieszonych pod sufitem telewizorów zabłyśły kolorami. Śruba zobaczył na nich to, co działo się teraz w mieście. Widział zamieszki, ludzi walczących z policją, blade twarze skorumpowanych polityków, japiszonów wygłaszających przemówienia.

– Co widzisz w tym świecie, Śruba? – ciągnął dalej Widawski. – Płonące miasta? To nie miasto płonie, tylko więzienie, w którym jesteśmy. A ja chcę podpalić jego mury. Jestem alchemikiem, to prawda. Jestem alchemikiem ludzkich dusz. Chcę je zmienić, chcę je transmutować, tak, aby stały się doskonałe. Chcę stworzyć nowy świat.

Jednym szybkim ruchem Śruba wyciągnął pistolet.

– Ależ, Śruba – zachnął się Widawski. – To jak z hollywoodzkiego filmu. I to nawet nie kategorii B.

– Pomyliłeś się... – mruknął Śruba.

– Ależ znam się na filmie. Uwierz mi.

– Pomyliłeś się. Niektórzy mówią na mnie DJ Mauzer. Mierzył Widawskiemu prosto między oczy. – Jestem radiowcem i nie lubię telewizji – mruknął.

– A jeśli miałbym oglądać twoje New Art, to wolałbym zmienić kanał. Przyłożył sobie pistolet do skroni i nacisnął spust.

* * *

– I kim ty właściwie jesteś, Gniewko – powiedziała głowa. Oczywiście była to głowa Adama. – Jesteś śmieciem, zerem, nikiem. Nie masz paszportu, nie masz pracy. Nie masz pieniędzy, ale to jeszcze nic. Ty nie masz marzeń! A kiedyś, pamiętasz, kiedyś było inaczej. Chciałeś walczyć z systemem, zmienić świat. A teraz co? Straciłeś wszystko. Nawet jedyną osobę, której na tobie zależało. Ona zginęła przez twoją głupotę. Przez brak odpowiedzialności.

Gniewko wpatrywał się w obciętą głowę jak zahipnotyzowany. Ta głowa była martwa – powinna milczeć, ale mówiła.

– Nie jesteś w stanie zmienić już niczego, a z pewnością już samego siebie. Nie jesteś w stanie kierować swoim własnym życiem. Za każdym razem, gdy chciałeś się zmienić, coś działo się nie tak. Kto stawał ci na drodze. Tak jak teraz Makao. Patrz, on nie chciał cię wziąć do swojej audycji. Nie chciał ci dać szansy. Chce, żebyś był ciągle głupim, niedorozwiniętym Gniewkiem. Gniewkiem, któremu każdy mówi, co ma robić, a nikt nie pyta go o zdanie. I co – pozwolisz, żeby to tak dalej trwało? Nie upomnisz się o swoje? Popatrz, on jest tuż obok. Weź swój los w swoje ręce. Nie pozwól się stłamsić!

Gniewko poczuł, że drżą mu ręce. Z jego oczu pociekły łzy.

– Tu jesteś, Gniewko! – krzyknął mu prawie do ucha Makao. – Gdzieś ty poszedł, debilu!

Cios łomu rozplątał mu czaszkę. Gniewko uderzył raz jeszcze i jeszcze raz, walił raz za razem w zmiażdżoną czaszkę Makao, uderzał, dopóki u jego stóp nie rozlała się cała kałuża krwi.

– Zostaw, już dość. Wystarczy tego. – Rozległ się ciepły, cichy głos. Podeszła do niego z boku – wielka, czarnowłosa kobieta. Delikatnie wyjęła

z jego dłoni zakrwawiony łom. Potem przytuliła Gniewka do siebie, mocno i miękko, otarła krew z policzka.

– Jesteś Gniewko? – spytała.

Pokiwał głową ze łzami w oczach. Spojrzał na nią.

– Kim jesteś?

* * *

Korytarz się skończył. Jan stanął na progu. Przed nim była wielka sala o półkuliście sklepionym dachu. Klejnot w królewskiej koronie New Art. Ostatnia przystań. Pamiętał wygląd tego miejsca. Pamiętał jego smak i zapach. A zwłaszcza to, co znajdowało się w centrum pomieszczenia. Tak, to było to, co widział w snach, co pojawiała mu się przed oczyma, gdy patrzył na lampy, czy nawet uliczne latarnie. Ogromne, czerwone słońce unoszące się nad podłogą. Olbrzymia kula purpurowo – żółtawego blasku, kula ognia, która rozświetlała wielką halę i kładła tabuny rozmazanych cieni na ściany.

A dokoła niej, w równych rzędach spoczywały szeregi długich, szklanych sarkofagów połączonych z dziwną maszyną u podnóża kuli setkami zwijających się niczym węże kabli, oplecione siecią kolorowych przewodów. W pomieszczeniu było duszno i wilgotno, jak w cieplarni. Niektóre ze szklanych, obłych trumien były otwarte, jednak większość wypełniała mętna, biaława ciecz. W sarkofagach, które stały blisko kuli, była ona jednolita, w tych, które znajdowały się dalej, formowała półprzezroczyste kształty, które przypominały zarysy ludzkich sylwetek. W najdalszych szklanych skrzyniach istoty znajdujące się w skrzyniach były już prawie gotowe, wyglądali jak ludzie, zanurzeni w mętnych, nieprzezroczystych wodach płodowych. Wszyscy mieli zamknięte oczy, wyglądało to tak, jakby spali. Mężczyźni i kobiety. Setki nagich ciał pogrążonych we śnie. Czekających na sygnał, aby się zbudzić. Jan patrzył na nich bez zdziwienia. Wspomnienia wracały doń powoli. Pamiętał, że po chwili, w której zacisnął sobie na szyi pętlę z nylonowego sznura, nadeszła ciemność. A potem obudził się tutaj, w szklanej trumnie, w czerwonym blasku małego słońca. Pamiętał dwóch ludzi. Małego, skurczonego starca

na wózku i towarzyszącego mu postawnego mężczyznę w sile wieku. Pamiętał i czuł jeszcze przepelniającą go energię ludzkich snów. Ale co najdziwniejsze, pamiętał, kim był wcześniej, pamiętał swoje życie sprzed przebudzenia na śmietniku. Wyglądało na to, że umarł i narodził się na nowo...

Jan podszedł do jednego z sarkofagów. Powoli starł szron z pokrywy, przetarł ją, aby spojrzeć na twarz kobiety zanurzonej w merkuriuszu. Jej oblicze nie było dla niego znajome. Nie przypominało mu nikogo. Kobieta otworzyła oczy, spojrzała na Jana.

– A jednak wróciłeś... – usłyszał głos zza pleców.

Odwrócił się. Za nim stał szczupły, wyniosły mężczyzna o włosach przyprószonych siwizną. Patrzył na salę, rozglądał się dokoła, podobnie jak Jan zagubiony i samotny...

– Znowu klęska. Na szczęście do celu jest już blisko – powiedział.

– Tak, mistrzu?

– Janie, mój kochany Janie... Byłeś pierwszy, którego powołałem do życia. Pierwszym z moich homunculusów. A jednak mnie opuściłeś... Dlaczego?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– To wszystko wina tej cząstki człowieka, która jest w tobie. Byłeś pierwszy i dlatego stworzyłem cię w inny sposób niż twoich braci i siostry. Jest w tobie kawałek ciała, a w nim kawałek ludzkiej duszy, duszy samobójcy, która, jak na ironię, nie chciała opuścić swojego ciała. Potrzebowałem tego kawałka ciała samobójcy, żeby cię stworzyć. To dlatego pamiętasz poprzednie życie...

– Kim oni są? Kim ja jestem?

– Homunculus mercurium. Marzenie średniowiecznych alchemików. Albo nazwijmy to inaczej: Nowy Człowiek. Starożytni mistrzowie alchemii

wierzyli, że wszystko opiera się na przemianie. Stary człowiek, którym byłeś, musiał zgnić, by mógł narodzić się nowy, lepszy.

Jan milczał przez chwilę. W głowie miał dziesiątki myśli, setki pytań, które chciał zadać. Ale z tego zamętu pozostało mu tylko jedno.

– Po co? Po co to wszystko?

– Żeby wreszcie zmienić ten świat. Zmienić go w inny sposób, niż ci, którzy próbowali tego wcześniej. W inny niż te wybitne jednostki, które chciały czegoś dokonać. W dziejach ludzkości mówimy o epokach, o erach... Za każdą z nich stał jeden człowiek. Najczęściej brudny motłoch zduszał go, niweczył jego plany, rozbijał jego marzenia. Niszczył jego samego. I bieg historii zawracał do punktu wyjścia. Ten świat jest zmurszały, skostniały. Żyjemy w kajdanach, które same sobie nałożyliśmy. Te miliardy ludzi, które zamieszkują nasz glob, przez całe swoje życie kują te kajdany i łańcuchy, a potem same wkładają je sobie na ręce i szyje... Politycy narodom, prawnicy społeczeństwom, oficerowie żołnierzom, pracodawcy pracownikom... To labirynt i więzienie, z którego nie ma wyjścia. Pozostaje tylko jedna droga: skruszyć jego mury. Ale jak? Zrobić rewolucję? Nikt już nie zrobi rewolucji, bo i po co? Aby miejsce jednych prezesów zajęli inni prezesi? Ten świat trzeba zmienić inaczej. Trzeba go transmutować, I sprawić, by zgnął, i wtedy podnieść go z rozkładu.

Ta telewizja jest tylko środkiem do osiągnięcia celu. Jest i wielka, wspaniała po to, aby wyzwolić w ludziach to, czego pragną. Oglądają świat, o którym marzą, który jest dla nich niedostępny. Świat wielki, szlachetny, piękny, jakże odmienny codzienności. A ja zbieram te ich marzenia, sny setek tysięcy ludzi. Dzięki nim jestem w stanie zmienić ten świat. To nie zaklęcia ani inkantacje, ale marzenia i dusze j milionów ludzi pozwalają stworzyć moje homunculusy.

– Homunculus... Nowy człowiek... Człowiek, który I stworzy nowy świat, tak jak transmutuje się ołów w złoto. Wszyscy oni rodzą się tutaj,

wychodzą stąd na świat jako moje dzieci. A potem rozpoczynają stwarzanie Wielkiego Dzieła. Wielkiej Transmutacji. Oni zostają przywódcami, politykami, zaczynają zmieniać świat. Wielka Transmutacja już się zaczęła. Świat już nie będzie taki jak dawniej... Nic już nie wstrzyma raz zaczętego procesu...

– Kim był starzec, którego musiałem zabić?

– Był moim stwórcą. Tak, stworzył mnie pewnego pochmurnego dnia jako swoje wielkie dzieło. Ale on, Mikołaj, też dał sobie założyć kajdany, zniewolić swój umysł, nie mógł wyjść myślą dalej. Nie chciał mnie słuchać, a ja nie byłem w stanie mu się sprzeciwić. Dlatego też stworzyłem ciebie... Zabiłeś go...

– I stałem się niepotrzebny?

– Nie. Po prostu zniknąłeś, uciekłeś. Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. Ale jednak wróciłeś. Twoim braciom zostały już wyznaczone zadania. Jedni zajmą się polityką, inni mediami. Jeszcze inni prawem. Ty zaś pokierujesz ulicą. Masz do tego wielki talent. Męty, narkomani, bezdomni, neo-punki, będą słuchali twego głosu.

– Co to jest? – spytał Jan, pokazując na ogromną kulę czerwonego blasku.

– Czerwona Tynktura. Największe odkrycie mistrza Mikołaja. Jest czymś w rodzaju... procesora ludzkich marzeń, a właściwie żywej istoty, dzięki której mogę stwarzać homunculusy. I oczywiście, dzięki niej mogę dokonać wielkiej transmutacji...

– A zatem to jest wyjście.

– Co masz na myśli, Janie?

– Odchodzę. Nie próbuj mnie zatrzymać. Widawski spojrzał na Jana ze smutkiem.

– Nie zostawiaj mnie samego – powiedział do niego. – Jak ja sam dam sobie radę ze wszystkim?

Jan go nie słuchał. Szedł w stronę kuli czerwonego blasku, mijał szklane trumny z jego braćmi. A potem dotknął płomieni czerwonego ognia, poczuł, jak gorąco przepala jego ciało i kości, jak pochłania go całego. I wreszcie postąpił krok do przodu...

Za sobą pozostawił starego, siwego człowieka stojącego między szeregami milczących szklanych sarkofagów.

* * *

Jeszcze tej nocy wrócił do domu, otworzył drzwi do pokoju i zdjął ciało z haka. Już śmierdziało, rozkładało się. Z braku czegokolwiek innego zawinął je w dywan, ukradł dozorczy łopatę i poszedł zakopać je na podmiejskim śmieciowisku. Szedł wolno opustoszałymi ulicami, na których wcześniej wrzały walki, on, samotny mężczyzna dźwigający owinięte w dywan zwłoki i łopatę. Przeszedł przez pół miasta, aż trafił na wysypisko śmieci. Tam zaczął mozolnie wykopywać dół. Kopał i kopał, ale nie czuł zmęczenia. W końcu wrzucił ciało do dołu, przysypał ziemią. Później stanął nad mogiłą i spróbował się pomodlić. I wtedy właśnie usłyszał głos.

– Jan? Kurwa mać, chłopie, ty żyjesz?

Odwrócił się. Zza hałdy śmieci wyłonił się Śruba. Potknął się ze trzy razy, zanim udało mu się podejść do Jana. Całą twarz pokrywała mu zaschnięta krew. Jednak pomimo tego w jednej ręce trzymał papierosa, a w drugiej małą blaszaną piersiówkę.

– Mógłbym zapytać cię o to samo, Śruba – mruknął Jan.

– Aaa... To? To nic takiego – Śruba dotknął twarzy.

– To tylko farba. Pistolet z farbą... Wiesz, to dobra rzecz, żeby odstraszyć dresów, a gliny nie mogą nic ci zrobić, bo to nie jest nielegalne. Przystawiłem go sobie do głowy, ale wystrzał z takiej odległości powalił mnie z nóg... Chyba mam wstrząśnienie mózgu. Ale co tam... – Pociągnął łyk.

– Napijesz się?

– Kurwa, Śruba – westchnął cicho Jan. – Mam jedną prośbę!

– Tak?

– Mógłbyś nie pić na moim grobie...

Grudzień – maj 2000

Do HPL: Mistrzu, wybacz!
Artur C Szrejter

Skrzynia z Zamku Anioła I

Rzym płonął.

Później mówiono, że przybyło z nami aż trzydzieści tysięcy dzikich Saracenów. Czcze wymysły – gdybyśmy mieli taką armię, zawojowalibyśmy całą Italię. A przecie zadowoliliśmy się splądrowaniem stolicy apostolskiej.

Nas było mniej niż Saracenów, najwyżej tysiąc. Jednak dla wszystkich, i dla obu cesarzy, i innych władców Europy jasnym pozostawało, iż to my, Normanowie, złupiliśmy Rzym. O Arabach pamięta się dlatego, że pozwoliliśmy im urządzić plugawe modły w chrześcijańskich kościołach nadtybrzańskiego miasta. Przyznaję, iż ojciec mój, Robert Guiscard, i ja dopuściliśmy się tego haniebnego czynu w chwili podniecenia bojowego. Decyzja była niegodna tak prawych, chrześcijańskich władców jak my, ale obyło się bez konsekwencji, przynajmniej na tym świecie. Papież nie rzucił na nas klątwy, gdyż od lat pozostawaliśmy z nim w przymierzu, zaś władza Henryka, cesarza Niemców, nie sięgała na południe Italii, gdzie mieliśmy zamki.

Wiem już, że ojciec nie uczyni mnie swym dziedzicem. Wyrzeknie się mnie, swego pierworodnego! Wiernego towarzysza największych bojów! Twierdzi, że zmieniłem się po śmierci papieża Grzegorza – stałem się nieustępliwy, twardy i hardy, że brak mi najważniejszej cechy władcy j – litości. Zupełnie, jakbym opuścił komnatę umierającego papieża jako inny człowiek. Jakby coś we mnie wstąpiło.

Walczymy teraz na greckich wyspach, rozbijając Bizantyjczyków w pył. Ale mnie ciągnie z powrotem do domu, a ojciec niedomaga. Toczy go koszmarna choroba, która trzebi szeregi naszej armii. Nie zobaczy więcej

ulubionego zamku w Salerno. Zostanę z nim do końca, mimo i że pragnę wracać, że wracać muszą, gdyż mój przyrodni S brat Roger już obejmuje większość przynależnych mi po I starszeństwie ziem. Zostanę z ojcem do końca.

Wedle woli rodzica przypadnie mi ledwie miasto Tarent z okolicami. Na szczęście, pod Amalfi, nad Zatoką Neapolu, mam trzy zasobne majątki po matce, mogę więc I prowadzić morskie poszukiwania, które planuję od dłuższego czasu. Od rozmowy z Munkidhem? A może od śmierci ci Grzegorza?

Słyszałem o pewnym greckim uczonym z dalekiej Baktrii czy Kafiristanu, w każdym razie z dalekich ostępów Azji. Być może on zdoła wspomóc mnie swą wiedzą. Poślę po niego, nim jeszcze opuszczę bizantyjskie wyspy.

* * *

Gdyby nie dymy, ciężko unoszące się niezliczonymi smugami nad Rzymem, moglibyśmy się kąpać w promieniach słońca. Wszakże Stolica Piotrowa była w tej chwili stolicą jedynie ognia i rzezi. Właściwie zabroniliśmy zabijania zbyt wielu rzymian, ale wojownicy trzymali się rozkazu tylko pierwszego dnia. Potem każda przelana krew wołała o następną. Na dodatek, nawet gdybyśmy chcieli, nie zapanowalibyśmy nad Saracenami. Dostali zwyczajowe trzy dni na złupienie miasta, a my nie byliśmy na tyle głupi, by im przeszkadzać.

Starąłem się nie zwracać uwagi na zawodzenie muezzina, dobiegające od strony Pałacu Papieskiego na Lateranie.

Odwróciłem się od okna. Na fotelu ustawionym w najciemniejszym kącie komnaty siedział leciwy człowiek, któremu wydarzenia ostatnich dni jeszcze dodały lat. Nosił pancerz znakomitej roboty, ale w sztywnej, obszernej zbroi wyglądał jak zasuszony owad w zbyt dużej skorupie.

– Zniszczyliście mój Rzym – szepnął martwym głosem.

– Spodziewałeś się tego, panie, a mimo to wezwałeś nas przeciw cesarzowi. Widać, ważniejsze było dla ciebie coś innego niż Rzym i jego mieszkańcy – powiedziałem beznamiętnie, rozmasowując kark.

– Jesteś pewien, że ważniejsza jest dla mnie władza? – Uśmiechnął się starzec. Uświadomiłem sobie, że już nawet w myślach nie nazywam go papieżem, choć nadal nominalnie nim pozostawał.

– A cóż by innego? – Nie zamierzałem się kłócić. Naprawdę niegdyś podziwiałem tego człowieka, który, nie dysponując armią, a jedynie czymś tak ulotnym jak autorytet, potrafił upokorzyć cesarza Niemców i zmusić do uznania własnej wyższości. Ale potem nadeszły czasy przewagi zimnego żelaza, którym tak sprawnie władali wojownicy zza Alp.

Nie odpowiedział, jednak wtedy sprawa przedstawiała się dla mnie tak jasno, że nawet nie zwróciłem uwagi na jego minę. Trochę tajemniczą, podszytą grymasem, który wziąłem za wyraz smutku.

Znów wyjrzałem przez okno. Zapewne widok z Zamku Świętego Anioła potrafiłby mnie zauroczyć, gdyby nie wszechobecne dymy i płomienie. Cóż, Rzym, pępek chrześcijańskiego świata, przyszło mi oglądać w ciężkich czasach. Uśmiechnąłem się, zadowolony.

– Wejść! – krzyknąłem, słysząc pukanie do drzwi.

– Panie. – Jeden z przybocznych skłonił się papieżowi. Ja nie wymagałem takich ceremonii od rycerzy normañskiej krwi. – Pakowanie sprzętów zgromadzonych w zamku zakończone.

Skinąłem głową, a Grzegorz spytał:

– Czy mój księgozbiór znajduje się w odpowiednich skrzyniach, jak to poleciłem?

– Tak, wasza wielbność, zgodnie z życzeniem.

– Ile mamy zdobyczy? – spytałem bez ceregieli, choć, nawet nie patrząc na papieża, wiedziałem, iż się skrzywił. Mimo że nas wezwał, nie podobało mu się łupienie Rzymu. Zapewne wyobrażał sobie tę wojnę jako bezkrwawe przepędzenie cesarskich pachołków. A potem triumfalny przemarsz pomiędzy tłumami tak kochających niezależność rzymian...

– Dwie setki i dwadzieścia funtów złota, do tego sześć tysięcy funtów srebra. Zgodnie z rozkazami, braliśmy tylko kruszec. Saraceni łupili na własną rękę.

– Dobrze, możesz dać znak do przenoszenia skrzyń na statki. Chcę odpłynąć rankiem. – Widząc pytający wzrok przybocznego, dodałem: – Nie zwracajcie uwagi na Arabów. Jeśli sami nie przestaną grabić, i tak ich nie powstrzymamy. Zawiadom mego ojca o tym, co postanowiłem.

Nie dodałem, że będzie dla nas z korzyścią, jeśli Saraceni zostaną tu dłużej. Prędzej czy później patrycjusze rzymscy zbiorą wojska, albo nawet

cesarz opanuje strach i uderzy na Wieczne Miasto. Świetnie, jeśli stępi pazury na tych brudnych, ale walecznych Saracenach, nas już dopaść nie zdoła.

* * *

Prace na dnie morza rozpocząłem przy sprzyjającym ustawieniu gwiazd, kiedy rodzime słońca Wielkich stanęły do siebie w opozycji. Jezu Chryste, Panie nasz i Zbawicielu, musiałem chyba oszaleć, żeby dojść tak daleko. Munkidh ostrzegął, że jeśli będę chciał podążyć w te rejony wiedzy, muszę mieć się na baczności. Nie, jeszcze nie przekroczyłem granicy, a jeśli Pan pozwoli, nigdy jej nie przekroczę. Ale me pragnienie wiedzy jest tak silne, że czasami zadaję sobie pytanie, czy zdołam je przytłumić ograniczeniami, które postawiłem sobie na samym początku.

* * *

Korytarze Zamku Anioła mierziły mnie ponurymi, zimnymi murami, jakże odmiennymi od zdobnych twierdz, jakie zdobywaliśmy na Bizantyjczykach w Kalabrii, oraz subtelnych fortec Arabów, które opanowywaliśmy na Sycylii. Zamek Anioła przypominał znane z opowieści ojca ponure budowle jego ojczystej Normandii. Cóż, w końcu wzniesiono go nie ku wygodzie, a jako twierdzę, chroniącą miejsce ostatniego spoczynku zapomnianych cesarzy okrutnego Rzymu.

Wszakże ta atmosfera zdawała się nie przeszkadzać Grzegorzowi. Kiedy, przeprosiwszy ojca i mnie, odszedł od wieczerzy, nadal wyglądał na przygnębionego. Jednak w korytarzach, omieciony surowym, przenikliwym powiewem grobowca, wyprostował się i ruszył zwawszym krokiem. Nie przypuszczał, że za nim idę, a i ja nie miałem pojęcia, po co to robię. Wiedziałem przecież, że za chwilę zniknie w komnatach, gdzie kazał zgromadzić skrzynie z rękopisami.

Powodowany nierycerską ciekawością – a przecież miałem tyle ważniejszych spraw na głowie – stałem chwilę pod drzwiami papieża. Wzdrygnąłem się, kiedy wydało mi się, że brązowa kołatka w kształcie łba Gorgony uśmiechnęła się, szczerząc ostre, spiłowane zęby, a jej węzowe kudły zwinęły się niby atakujące gady... Przetarłem oczy – przywidzenie zniknęło. Powinienem się przespać, byłem wykończony kilkoma dniami bez snu, wypełnionymi walką j i bieganiną po wielkim mieście. Wróciłem na górę do ojca, zastanawiając się nawet, czy nie powinienem się pomodlić, aby odegnać złe wizje, bo a nuż nie były wywołane zmęczeniem, a wołą demonów, niewątpliwie nawiedzających ten pogański zamek. Nie pomodliłem się. Moi zdewociali wujowie, mój brat – pewnie by to zrobili. Ja na szczęście byłem bardziej podobny do ojca niż do reszty rodu.

Zapomniałem o całym zdarzeniu, zanim jeszcze ujrzałem swego rodziciela, nadal zajętego ogryzaniem kości. Rzucił resztki na srebrny talerz i wytarł palce w podaną przez służącego chustę.

– Nasi saraceńscy sprzymierzeńcy proszą o posłuchanie. Ponoć to ważne – powiedział, bekając przeciągle. Udałem, że nie usłyszałem zakończenia wypowiedzi. Wychowany nie tylko przez normańskich rycerzy, ale i italskich pokojowców przesiąkniętych bizantyjskimi obyczajami, nigdy nie pozwalałem sobie na bekanie czy puszczenie wiatrów przy stole. Ani przy damach.

– Chcesz, ojcze, abym ja ich wysłuchał? – Wiedziałem, jak bardzo nie lubi oficjalnych rozmów, szczególnie z Arabami, których, podobnie jak Bizantyjczyków, uważał za zniewieściałych eunuchów. I dlatego uwielbiał ich grabić. Westchnąłem, kiedy potwierdził przypuszczenie. – Dobrze, przyjmę Saracenów o świcie.

* * *

Jak się słusznie spodziewałem, wodzowie Arabów byli zaniepokojeni naszymi przygotowaniami do odpłynięcia.

Nawet nie miałem czemu zaprzeczać, statki stały już załadowane i gotowe do rejsu.

Przewodzący afrykańskim szejkom, niemłody już, wszakże nadal trzymający w posłuchu swych wojów Sulajman ibn Rosteh okazywał mi szacunek, ale widziałem, że ledwo utrzymuje spokój. Ach, jakże inni jawili mi się Berberowie z Afryki od swych cywilizowanych krewniaków, Arabów z Sycylii! Wprawdzie podziwiałem ich odwagę, ale odpychali mnie nieokrzesianiem, dzikością. I smrodem, jaki bił od ich nasmarowanych czymś – wołałem nawet nie wiedzieć czym – ciał. Nie miałem wątpliwości, jakim imieniem ich nazywać: barbarzyńcy.

– Racz mi rzec, sławny Boemundzie, synu Roberta, czemu chcecie nas zostawić tutaj samych, niczym dzieci bezbronne u wejścia do jaskini lwa? – spytał po frankijsku.

– Wielki Sulajmanie, synu Rosteha – przemagając niechęć, rzekłem równie uprzejmie, po czym wstałem z krzesła, aby Afrykańczyk myślał, że go cenię. – Czyż nie minęły dni trzy, przeznaczone dla twych pustynnych wilków? A przecież nie zauważyłem, by przestali rabować. Sulajmanie, królu oaz, przestałeś być panem własnych wojowników? Spraw, by do południa stawili się na twych statkach, a wyruszymy razem. Tyle czasu ci daję, potem odpływam. I zostaniecie sami u wrót jaskini lwa.

Ciemna twarz szejka poszarzała z wściekłości, jednak nie rzekł nic, bo nic rzec nie mógł. Jednocześnie chyba poczuł ulgę, że żaden z jego wodzów nie zna języka Franków, bo straciłby autorytet. Miał zatem dość czasu na

wymyślenie wytłumaczenia nagłej decyzji o zakończeniu łupienia Rzymu. Ukłonił mi się płytko, zamierzając odejść.

– Sulajmanie. – Powstrzymałem go ruchem ręki. Sięgnąłem ku uprzednio naszykowanej szkatułce i wyciągnąłem gruby łańcuch ze złota wykładanego czerwonymi almandynami. Ponoć należał do jednego z książąt pogańskich Longobardów, którzy niegdyś panowali nad Italią. Szkoda było tak cennego łupu dla zwykłego pustynnego psa, ale nie zamierzałem rozstawać się z Sulajmanem w nieprzyjaźni. Wsparcie, jakiego mógł mi użyć w przyszłości, choćby przeciw memu bratu, ważniejsze się wydawało od nawet najkunsztowniejszego klejnotu dawnych królów. – Przyjmij ten skromny dar jako oznakę wdzięczności, że oddziały twe wsparły nasze wojska w ataku na samego lwa chrześcijaństwa. Niech przyjaźń i pokój wiecznie panują między naszymi rodami.

Musiał się nieco uspokoić, gdyż spojrzał na mnie bez wrogości. I – co ujrawszy, ledwo skryłem uśmiech – z wdzięcznością. Docenił gest, którym sprawiłem, iż jego wodzowie nadal widzieli w nas równorzędnych sprzymierzeńców. Pochylił głowę, gdy wkładałem mu na szyję ciężki łańcuch. Pilnowałem się, by nie tknąć jego brudnej skóry.

Zaskoczyłem go tym darem – nie wziął na spotkanie nic równie cennego, by się zrewanżować, przeto sięgnął po swój oręż. Nie musiał nic mówić, nawet my słyszeliśmy, że szabla ta od siedmiu pokoleń, czyli od czasów, gdy przodkowie Sulajmana przeszli na diabelską wiarę w Allacha, należała do jego rodu. Ponoć pobłogosławił ją sam prorok Muhammad.

Ja też nie rzekłem słowa, tylko wysoko uniosłem ostrze, a potem chwyciłem Sulajmana w objęcia i ucałowałem w oba policzki. Odpowiedział twardym, męskim uśmiechem. Jego honor został uratowany, a na dodatek wróci do domu ze statkami pełnymi skarbów zrabowanych w Rzymie. „Przybywam z Mekki chrześcijan jako zwycięzca!” – tak zapewne powie, stawiając stopę na nabrzeżu rodzinnej wioski.

Ja też rad byłem temu niewielkiemu przedstawieniu. Zyskałem wdzięczność nowego, i to silnego, sprzymierzeńca. Rzecz niebłaha, pamiętając, jak niepewnie przedstawiała się moja pozycja w rodzie, w którym wszyscy mogli wszystkim rzucić się do gardeł. Zaś już mój przyrodni braciszek, Roger Borsa, był prawdziwym czyścowym utrapieniem. Co zaś się stanie, gdy ojca mego Pan powoła na swe błonia?... W naszym rodzie zawsze rodziło się za dużo żądnych władzy mężczyzn.

Na razie miałem jednak inne zmartwienie. Kazałem służącemu przyszykować wodę do bizantyjskiej kąpieli w płatkach kwiatów. Źle się czułem po tych dwu pocałunkach, jakimi obdarzyłem Sulajmana.

* * *

Rok temu zaprosiłem na swój dwór Drangianosa, greckiego inżyniera rodem z Baktirii, by, kierując się antycznymi zapiskami o dokonaniach Wielkiego Aleksandra, skonstruował kryształowy balon, w którym można się opuścić pod powierzchnię morza. Być może Aleksandrowi się udało, mnie jednak – jak na razie – nie. Oczywiście, nie sam wypróbowuję coraz to nowe wersje aparatu Drangianosa. Mam jeszcze w lochach kilku żywych Saracenów.

* * *

Nie wiem, jak pośród naszych zaufanych wojów, przenoszących skrzynie papieża, znalazł się ten Berber. Nie był prostakiem, co zauważyłem po jego rękach – nienawykłych do ciężkiej pracy, oraz dumnej sylwetce człeka, który rozkazuje, a nie dźwiga ciężary.

Grzegorz osobiście nadzorował transport kufrów z delikatnymi woluminami. Statecznie przemieszczał się między żołnierzami, kiwając głową i wskazując, co brać najpierw, a co później. Wojownicy spokojnie wypełniali rozkazy, ale aż się cicho roześmiałem, myśląc, jak muszą w duszy wyklinać marudnego dziadka. Chyba nawet woleliby – jak pracujący niedaleko jeńcy – spychać do wody ciała zabitych rzymian.

Od dawna wiedziałem, iż papież jest osobliwie przywiązany do ksiąg, ale nie przypuszczałem, że zdolny jest z narażeniem życia pilnować ich nawet w chwili ucieczki. Oczywiście, niektóre warte były więcej niż dostatnia wieś, ale trudno zapisanym pergaminem opłacić wojów. Znacznie łatwiej zrabowanym srebrem czy złotem. A Grzegorz mógł mieć szansę na odzyskanie tronu tylko dzięki armii – wynajętej armii. Zaś jemu

najwyraźniej chodziło jedynie o księgi. Nie zainteresował się nawet swymi, znacznie cenniejszymi od woluminów, strojami ceremonialnymi. Dziwne mi się to wtedy wydało.

Właśnie wchodziłem na kasztel flagowego okrętu, kiedy zauważyłem na nabrzeżu, pośród naszych szeregów, nagły tumult. Wokół Grzegorza skupiło się kilku zbrojnych, inni krzyczeli i gestykulowali. W pierwszej chwili myślałem, że zaskoczył ich wypad wojsk patrycjusza rzymskich, ale nie, zaraz wszystko się uspokoiło. Papież ruszył w stronę statków. Otaczali go wojownicy, kilku z nich wlekło związanego człowieka. Zwróciłem uwagę, że Grzegorz dwa razy odwracał się ku więźniowi i próbował dosięgnąć go trzymanym w rękach sztyletem, ale zbrojni mu to utrudniali, aż wreszcie zabrali papieżowi broń.

Przywitałem całą grupę na pokładzie okrętu, ciekaw, o co chodziło. Grzegorz od razu stanowczo ruszył w moją stronę, mijając niecierpliwym ruchem dwóch wojów niosących ciężko ранego towarzysza. Zauważyłem jego niezmierne wzburzenie, policzki mu nerwowo drgały.

– Boemundzie! Żądam, żeby ten niewierny natychmiast został zgładzony! Jeśli nie rozkażesz tego zrobić, sam poderżnę mu gardło!

Stałem prawdziwie zdumiony, widząc tego spokojnego zazwyczaj człowieka, staruszka zatopionego w księgach i teologicznych dysputach, który niczym krwiożercze zwierzę domagał się krwi. Zanim odpowiedziałem, przypatrzyłem się związanemu Berberowi. Nosił wprawdzie obszarpany burnus, ale od razu zwróciłem uwagę na jego postawę i dłonie.

– Co zrobił ten Saracen? – zapytałem sierżanta idącego na czele grupy.

– Próbował zabić wielbnego papieża, ksiązę. Ale byliśmy czujni.

– Znakomicie, sierżancie. Odprowadźcie go do ładowni i postawcie straż. Będę chciał go wypytać. – Już wtedy czułem, że powinienem bliżej zainteresować się wszystkim, co tyczy dziwnego zachowania papieża. Nie

wiedziałem jeszcze tylko, dlaczego chciałem tak uczynić. Przeczucie. Od dziewiątej wiosny życia, kiedy o mało co nie zginąłem w pułapce zastawionej przez piratów tureckich, nauczyłem się ufać przeczuciom.

– Młody książę! Chyba raczysz żartować?! – Grzegorz pozornie się uspokoił, ale wiedziałem, że zaraz znów wpadnie w furję. – Ten syn szatana chciał mnie zabić, a ty darowujesz mu życie? To hańba dla twego domu, tak mnie traktować...

– Wasza wielebność! – przerwałem mu gwałtownie. – Stoisz na pokładzie mego statku, więc rozejrzyj się: czy widzisz jakiegoś swego sługę? Nie, bo wszyscy oprócz Normanów cię opuścili... – I dodałem już bardziej pojednawczo: – Zatem racz uszanować mą wolę. Chcę się dowiedzieć, czemu usiłował cię zabić.

– Bo to niewierny pies! Inni Saraceni czciliby jego imię!

– Wątpię – odparłem spokojnie, widząc, że i z Grzegorza powoli spływa fala gniewu. – Gdybyś, wasza wielebność, lepiej znał Arabów, wiedziałbyś, że pomiędzy ludźmi Sulajmana nie znalazłby się żaden, który chciałby cię zabić dla sławy czy srebra. Dla nich byłoby to okrycie hańbą siebie, a przede wszystkim swego szejka. Powód musiał być inny. Dowiem się prawdy.

Nic nie rzekł, odebrał tylko swój sztylet i kazał się prowadzić do kajuty. Ale jego oczy gorzały nienawiścią. Nie myślałem nigdy, że takie uczucie jest w stanie żyć w duszy starca, którego wielokroć uważałem za prawdziwie świątobliwego męża. Utwierdził mnie swym zachowaniem w pewności, iż jak najszybciej powinienem zająć się tą sprawą. Jeśli Saraceni chcieli śmierci papieża, musiałem dowiedzieć się czegoś więcej, bo od tej chwili Grzegorz miał przebywać na naszej ziemi, zaś władztwa Arabów leżały tuż – na Sycylii i w Afryce. I zdawałem sobie sprawę, jak bardzo niebezpiecznymi sąsiadami mogli się okazać.

* * *

Zdecydowałem się zejść do więzienia, kiedy już płynęliśmy pod pełnymi żaglami ku Apulii. Nie powiem, powodowała mną głównie ciekawość, choć wolałbym myśleć, że postanowiłem się zająć Saraceniem, gdyż domyślałem się czegoś niezwykłego. Ale nie, jak już rzekłem – po prostu przecucie.

Spał, więc strażnik wylał mu na głowę wiadro wody. Krztusząc się, Saraceni spojrzał na mnie wyjątkowo rozbudzonym wzrokiem.

– Panie, szlachetny pośród szlachetnych. – Zdziwiłem się, słysząc zdanie wypowiedziane czystym frankijskim. – Widzę w twych oczach sprawiedliwość, która jest cechą mądrych władców. – Jeśli chciał mnie ugłaskać pochlebstwami, osiągnął cel. – Ty zrozumiesz, czym się kierowałem, kiedy zwróciłem broń przeciw ojcu wyznawców wielkiego proroka Chrystusa.

Nie odpowiedziałem, czekając na dalsze słowa. Zaintrygował mnie, gdyż nie wyrażał się jak inni Afrykańczycy ze świty Sulajmana – jego sposób mówienia i ogłada przypominały zachowanie książąt arabskich z Sycylii, z dumą wywodzących swe rody spośród Towarzyszy Proroka. Nie miał jednakże arabskich rysów twarzy. Nie zdziwiłbym się, gdybym spotkał go pośród najznamienitszych wasali cesarza Bizancjum albo pomiędzy italskimi poddanymi cesarza Niemców. Ten człowiek pasował... wszędzie.

– Opowiem ci, panie, pewną historię. Zapewne w nią nie uwierzysz, ale nie pozostało mi nic innego...

Kazałem sobie przynieść stółek i coś do jedzenia. Zapowiadała się długa noc.

* * *

Rankiem owinięte w płótno zwłoki wrzucono do morza. Ponurej ceremonii przyglądał się także Grzegorz. Kiedy dostrzegł moje spojrzenie, uśmiechnął się, skinął z uznaniem głową i wrócił do kajuty. Przez całą podróż twierdził, iż rozkołysane morze nie sprzyja jego zdrowiu. Ale zauważyłem, że mimo podeszłego wieku, trzyma się znakomicie niczym młodzieniaszek. Raczej starał się sprawiać wrażenie biedaka steranego życiem i niedawną utratą tronu pierwszego biskupa chrześcijańskiego świata.

– Kto to był? – Spod pokładu wywłókł się mój ojciec, noszący na twarzy ponure ślady wczorajszego oblewania zwycięstwa.

– Jeden z naszych, umarł w nocy od ran. Ale gdyby pytał Grzegorz, rzeknij, że morze przyjęło Saracena, który chciał go zgładzić – odparłem.

– Aha – mruknął bez zainteresowania. – Dobrze, synu, że pilnujesz tych wszystkich spraw, bo polityka mnie już nie zajmuje. Mam jej dość, wołę teraz rzeczy większe – wojny, walki, potyczki, najazdy! Dopiero co padło przed nami największe miasto świata, a już myślę, co byśmy mogli złupić...

Kochałem go za tę prostotę – choć w przeszłości potrafiła się przerodzić w prawdziwą chytrość, wszak nie bez przyczyny nazywano go Guiscardem, Rozważnym. Teraz uzupełnialiśmy się znakomicie – mnie zostawił politykę, a sobie walkę. Nadal był w tym niezrównany, jak trzydzieści lat temu.

– Ojczy, największym miastem świata jest Konstantynopol – rzekłem z uśmiechem. – Ale nie martw się...

– Ech, mój synu, widzę, że znów myślisz o ponownym uderzeniu na Bizantyjczyków. – Zaraz spowaźniał. – To byłoby ukoronowanie mego życia, jednak wojska greckie to nie to, co ci tutaj... – Machnął ręką na północ, w kierunku Rzymu.

– Przepędziliśmy z Rzymu jednego cesarza, dlaczego zatem nie mielibyśmy innego wyrzucić z Konstantynopola? Przecież zeszłego lata pobiliśmy Greków w Epirze – roześmiałem się. Wyciągnąłem z dłoni ojca kielich pełen wina i sam go opróżniłem. – Kto wysoko sięga, ten wiele zyskuje.

– Albo mocno obija sobie tyłek – mruknął, krytycznie oglądając trzymany w drugim ręku pusty już dzban.

* * *

Udało się! Następny Saracen wrócił żywy z podmorskiej wyprawy. Całe szczęście, że nie potrafi mówić po frankijsku, bo swoimi opowieściami wystraszyłby mi pokojowców, a może i mnie samego też. W każdym razie, pierwszy krok zrobiony – kapsuła zeszła na dwadzieścia łokci. Wedle moich obserwacji, Saracen ma jeszcze dwa tygodnie życia, tyle bowiem trza Drangianosowi, by udoskonalil swój aparat – bąbel Aleksandra musi opaść znacznie niżej niż na dwadzieścia łokci.

* * *

Na wysokości Neapolu dopadła nas burza. Nie spodziewaliśmy się zmiany pogody, a kapitan statku, jeden z najbardziej doświadczonych żeglarzy z Amalfi, zaklinał się, że nic jej nie zapowiadało. Czarne fale, z koronami osrebrzonymi światłem księżyca, przelewały się przez burty z rykiem, który wyciskał z mej piersi modlitwę o szybką śmierć.

Nie znosiłem morza, a co dopiero sztormu. Wprawdzie już podczas pierwszej wyprawy przeciw Grekom nauczyłem się, nawet przy najwyższych falach, dzierżyć żołądek w ryzach, ale przeżywałem katusze prawdziwie piekielne.

Tej nocy było znacznie gorzej.

Sztormu tak gniewnego, żeby starzy marynarze płakali ze strachu, nie doświadczyłem nigdy wcześniej. Rzeczywiście, był ognisty jak diabli język – na Boga, to, co zaczęło się ze mną dziać, przypominało gorączkę, na jaką zapadłem niegdyś pośród bagien afrykańskich słonych jezior. Żołądek ścisnął się w pięść, serce kołatało jak ptak w klatce, a oczy ledwo trzymały się w oczodołach.

Pośród tego piekła kroczył Grzegorz. Staruszek trzymał się wspaniale – szedł wyprostowany, nie zwracając uwagi na zimne bryzgi, zalewające go od stóp do głów. I to mnie właśnie dziwiło – pamiętałem, jak dawno temu Hildebrand, bo tak się nazywał, nim przybrał imię Grzegorza VII, wił się na okrętowych kojach podczas sztormów. A teraz szedł niby powiernik morza, jakby znał wszelkie tajemnice głębin, jakby był za pan brat z Posejdonem.

Zbliżył się, pewnie stąpając po śliskich deskach. Znalazł się o wyciągnięcie ręki, a ja poczułem, jak ustępują wszelkie dolegliwości. Stałem pośród wichru, na chylącym się to na jedną, to na drugą burzę pokładzie, ale... nie miałem choroby marynarzy!

– Boemundzie – mimo że Grzegorz szeptał, dokładnie go słyszałem. – Nie spodoba ci się to, czego możesz się dowiedzieć...

– O czym mówisz? – zwróciłem się do niego tak, jak przed laty do wujka Hildebranda.

– Chłopcze, zajmij się wojną. Bizancjum czeka na ciebie.

Przestraszyłem się nie na żarty. Nie, żebym bał się każdego staruszka, który przemawia zagadkami, ale Grzegorza... już Hildebranda można się było bać – miał niezwykły dar wpływania na ludzi. Dar od Boga. Zaś kiedy został papieżem, jednym słowem wzbudzał w słuchaczach strach lub radość, zależnie od własnej chęci. Teraz zaś obawiałem się Grzegorza, którego zawsze lubiłem, choć od lat przede wszystkim poważałem, a potem szanowałem jako namiestnika Piotrowego.

– Wojna... wojna zaczeka, teraz czas, by urządzić ci nową stolicę patriarszą.

– Nie łudź się, chłopcze. – Uśmiechnął się lekko. – Moje papieskie dni minęły. Ale mam po co żyć. Zaś ty jak najmniej zajmuj się mną, a jak najwięcej wojną. Ona jest twoim przeznaczeniem.

W pierś mą uderzyła następna fala, niemal przewracając na pokład. Obok przebiegł marynarz, wrzeszcząc coś do dwóch szaleńców

uczepionych przedniego masztu i próbujących na nowo przywiązać do niego kilka skrzyń. „Dlaczego tych kufrów nie ma pod pokładem?” – przemknęło mi przez myśl.

Grzegorz zniknął. Nie mógł tak szybko zejść do kajuty, więc... Zapewne... zapewne tak źle się czułem, że wyobraziłem sobie coś, co mogłoby złagodzić chorobę marynarzy. A Grzegorz, wujek Hildebrand, którego kochałem jako dzieciak, był takim lekarstwem. Jednak wraz z falą zniknął jego obraz, a z nim – dobre samopoczucie.

– Kto, na Boga, pozwolił trzymać na pokładzie skrzynie?! – wydarłem się na najbliższego z marynarzy.

– Księżę... – jego głos tonął w zawierusze. – Ustawiliśmy... rozkaz ojca świętego...

* * *

Z głębokości większej niż czterdzieści łokci nie wrócił żaden Saracen. Szkoda – tym razem chciałbym, by podzielili się ze mną wiedzą o tym, co widzieli. Cóż, przecie nie chodzi mi o ryby, tych mam w zamkowej kuchni pod dostatkiem – chcę się dostać na dno tej przeklętej zatoki! Dość już czasu strawiłem na opłacanie prób Drangianosa. Jeśli za dni czternaście nie stworzy odpowiedniej maszyny, sam powędruje na dno. Z dużym kamieniem u szyi.

* * *

Wraz z rankiem nadeszła poprawa pogody. Znużeni aż po granice obojętności ludzie ledwie mieli siłę stawać na stanowiskach. Zapasowe żagle były w niezłym stanie, więc z miejsca je rozwinęliśmy i pożeglowaliśmy w stronę Salerno, gdzie mój ojciec lubił spędzać większość czasu.

Skrzyń na pokładzie już nie zauważyłem, tylko zerwane sznury smętnie zwieszały się z przedniego masztu. Stwierdziłem z ponurą satysfakcją, że Grzegorz dostał nauczkę za swoją głupotę. Taka niegodna myśl opadła mnie chyba dlatego, iż papież – czy też jego mara – nastraszył mnie poprzedniej nocy. Poza tym wciąż po głowie kołatała mi się rozmowa z Munkidhem – Saracenenem, niedoszłym zabójcą papieża.

„Strzeż się Szejtana! Uwił cierniste gniazdo w samym sercu waszej wiary... Myśleliśmy, że to jego ramię odcięliśmy niegdyś na wieki, ale odrodziło się w miejscu, którego nie spodziewaliśmy się nawet my.”

Grzegorz pojawił się na pokładzie niedługo po mnie. W spokojnym blasku słońca jawił się niczym człek stojący na krawędzi grobu. Zniknęła

siła i majestat, zaś w porównaniu z tym Grzegorzem, którego wizję miałem ostatniej nocy, wydawał się dwustuletnim starcem. Ale na poranej zmarszczkami twarzy rozciągał się świeży, pogodny uśmiech, jakiego nie spodziewałbym się po kimś, kto jest wygnańcem.

– Piękny dzień, Boemundzie, piękny dzień. – Wpatrzył się w słońce, jakby wcale go nie oślepiało. – A każdy następny będzie jeszcze piękniejszy...

– Ojczy święty, nie chcę być zwiastunem złej nowiny, ale w nocy, podczas sztormu, woda zabrała twoje skrzynie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego kazałeś je przenieść na pokład. Sam pamiętam, że umieszczono je w ładowni...

– Synu mój, należy raczej dziękować Bogu, że wyratował nas z tej straszliwej burzy. Cóż tam kilka skrzyń, choćby nawet skarby nie wiem jakie zawierały... – ton miał lekki, zupełnie nie przejął się uszczupleniem swego już i tak wcale niepokąźnego majątku.

Wzruszyłem ramionami, choć tak naprawdę byłem zadowolony, że rozmawiam znów z tym samym Grzegorzem, którego pamiętałem z dzieciństwa. Koszmary nocy uleciały i miałem nadzieję, że więcej nie wrócą.

* * *

Dotarliśmy do Salerno bez dalszych przeszkód. Grzegorz łaskawie skorzystał z propozycji mojego ojca i przyjął gościnę w zamku. Z niedowierzaniem patrzyłem, jak zgarbiony staruszek radośnie poruszał się po komnatach, z uśmiechem podziwiając wnętrza, zdobne śladami panowania Bizantyjczyków, Longobardów, a teraz nas, Norma – nów. Poruszał się dziarsko, choć długie spacerowały mu trudność. Gdzieś stracił tę niespodziewaną siłę, objawioną w czasie podróży morskiej, jakby zniknęło źródło tajemnej, wspierającej go siły. Jej miejsce zajęła świeża radość, tak mało pasująca do niepewnych ruchów.

– Synu, widzisz tę kolumnę? – wskazał.

– Tak, ojczu.

Surowa i zniszczona, pośród wyszukanych kolumn wzniesionych przez Bizantyjczyków, wydawała się bardziej samotna od drzewa rosnącego na szczycie góry.

– Widzisz... Ona stoi tu od tysiąca lat. Tysiąca, a może od dziesięciu tysięcy... – W zamyśleniu nawet nie spostrzegł, iż liczby takie zdolny był sobie wyobrazić jedynie w odniesieniu do żołnierzy, na pewno nie do lat. – Wszystko wokół się zmieniło, wszędzie na miejscu ruin wzniesiono młodsze budowle. Ale ona nadal wspiera nowy dach, obudowana u swych stóp nową posadzką. I wytrzyma jeszcze długo.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, lecz nie przerywałem. Zbliżał się gorący wieczór, miałem wiele czasu, nim wreszcie zajmę się sprawami państwa.

– Są siły, które rządzą światem od niepamiętnych epok. – Zesztywniałem, czując ponury oddech wieków, zimny i nieprzyjazny, przywołany... słowami Grzegorza? – Wszystko inne mija, zostają tylko

one. Czasem zapomniane, czasem w ukryciu, pośród znacznie piękniejszych. Ale pamiętaj, że one właśnie stanowią o mocy i porządku świata.

Nadal nie wiedziałem, co chciał rzec, wszakże przeraziło mnie to, czego się domyślałem dzięki niejasnym wzmiankom Berbera Munkidha. Stanąłem przy kolumnie i pozwoliłem, żeby Grzegorz się oddalił. Oparłem czoło o chłodny kamień, ale zaraz się wyprostowałem, opanowany wstrętem. Naraz zapragnąłem znaleźć się jak najdalej od okropieństw, o których szeptał saraceński jeniec, od potępienia, wypełniającego każde słowo papieża. Byłem przerażony.

* * *

W specjalnie przysposobionym lochu, a właściwie obszernej komnacie z wszelkimi wygodami, gdzie mój ojciec przetrzymywał niegdyś porwanych dla okupu arabskich emirów, teraz ja umieściłem własnego gościa. Grzegorz bardzo by się zdziwił, gdyby ujrzał saraceńskiego zamachowca, który miał się lepiej niż dobrze. Wydało mi się nawet, że lekko przytył. Za to był przygnębiony.

– Nie mogę tu dłużej tkwić – szepnął na mój widok.

Skinąłem głową. Właśnie dlatego przyszedłem.

– Wiesz, że nie mam zamiaru więzić cię tu wiecznie, ale... nikt, kto był wtedy na moim statku, nie ma prawa cię zobaczyć. A to znaczy, że może cię pamiętać każdy ze znaczniejszych rycerzy tego zamku.

– W takim razie pozwól mi odejść! Dłużej nie wytrzymam w tej klatce!

– Munkidh, proszę, byś wytrzymał jeszcze dwa, góra trzy dni.

– A co wtedy? – Myśl, że niedługo coś się zmieni, wyraźnie dodała mu sił. Już nie miotał się po komnacie, usiadł na sofie i sięgnął po suszone owoce.

– Wtedy mój ojciec, razem ze swymi Towarzyszami Stołu, rusza na wielkie łowy. Postarałem się, aby spośród jego zaufanych rycerzy zostali na zamku tylko ci, którzy cię nie znają.

– Chyba nie myślisz o... buncie?!

– Niechaj Bóg broni! – Omal się roześmiałem. Do wielu koszmarów wojny byłem zdolny, ale nie do walki z własnym ojcem. Ze wszystkimi z rodziny, ale na pewno nie z nim.

– Nikogo nie zabijemy. Będziesz musiał dostać się do komnat Grzegorza.

Siedział spokojnie, kiedy tłumaczyłem, o co chodzi.

– Rozumiem. Ale dlaczego nie pozwolisz mi zgładzić Grzegorza? – spytał w końcu. – To rozwiązałoby wiele spraw...

– Raczej skomplikowało – przerwałem mu, myśląc przede wszystkim o polityce. – Poza tym, on już nie jest niebezpieczny. Nie patrz tak, nie wiem, skąd mam tę pewność. Ale mam. Poddał się losowi, niczego więcej nie poszukuje.

Wzruszył ramionami. Zgodził się ze mną, ale z przymusu.

* * *

Koniec końców, nie spuściłem Drangianosa na dno morza w towarzystwie kamienia. Skąd bym wziął drugiego Greka z Baktirii, który by się znał na tych wszystkich naukach, zapomnianych od czasów Aleksandra i Arystotelesa? Środki na prowadzenie bezsensownych poszukiwań są na wyczerpaniu. Roger Borsa, mój książęcy brat z Kapui, nie skąpi starań, by uprzykrzyć mi życie. Gdyby nie nasz stryj z Sycylii, już dawno rzucilibyśmy się sobie do gardeł. Nietrudno przewidzieć, kto by wygrał. Wiedziałem, że dysponuje hufcem dziesięciokrotnie liczniejszym od mojego. W każdym razie, jeśli nie zdarzy się cud, mój brat zje mnie na śniadanie.

* * *

Niespokojnie przespałem noc, myśląc o wyprawie Munkidha do komnat Grzegorza. Na mój rozkaz nikt nie pilnował Saracena, a że dostał normański strój, spokojny byłem, iż nie wzbudzi podejrzeń. Niepokoiło mnie raczej to, co mogło się przytrafić Berberowi u celu wędrówki...

Poszedłem do niego rankiem. Żył.

– I co znalazłeś?

Przeciągnął się, ziewnął i rozłożył bezradnie ręce.

– Nic.

– Jak to nic?! Kiedy wyruszaliśmy z Rzymu, Grzegorz kazał spakować wiele skrzyń pełnych książek...

I nagle zrozumiałem. Skrzynie, bezsensownie przywiązane do masztu, a potem zmyte przez fale, były właśnie tymi, na których nam zależało! Tylko dlaczego akurat je papież kazał wynieść z ładowni?

Kiedy opowiedziałem Munkidhowi, czego się domyślałem, roześmiał się serdecznie. Wygodnie rozparł się na atlasowych poduszkach.

– Chyba teraz sam rozumiesz, dlaczego tak się zmienił po rejsie? – powiedział, szczerząc zęby.

– Pozbył się magicznych ksiąg, które mu zatruwały życie. Znów mógł się zbliżyć do Boga...

– Pomyśl wreszcie! – krzyknął, zrywając się z łoża. – Księgi to tylko księgi! Niektóre mogą być pełne zaklęć, ale nie mając talentu magicznego albo pomocy demonów, nie zdołasz nic z nimi zrobić.

– Czyli pośród ksiąg znajdowało się coś jeszcze...

– Może, a może Grzegorz pozbył się ich, bo dobrze wiedział, że bez zawartej w nich wiedzy nie będzie w stanie nic uczynić. A nie miał ochoty już nic czynić.

– Stracił wiarę?

– W Boga? Tak, wiarę w Boga stracił już dawno temu. Mówię o czym innym. Albo uwolnił się w jakiś sposób od demona, albo wypaliła się w nim nadzieja, że odnajdzie coś, czego się spodziewał, dlatego zrezygnował ze swych zamierzeń.

– Więc może odzyskał wiarę w Boga? – szepnąłem.

– Wątpię. Raczej przekazał swoją plugawą wiedzę następcy. Komuś, kto ma dokończyć podjęte przez niego zadanie...

– Komu?

– Nie mam pojęcia – westchnął – i on pewnie też. Ale nie bez przyczyny zatopił księgi. Gdyby chciał je zniszczyć, oddałby pergamin ogniowi. Zapewne zabezpieczył je nie tylko przed wodą, ale i upływem czasu. Czarami. One wypłyną. W sobie tylko znanym czasie i miejscu.

W komnacie było ciepło, a jednak przeszył mnie dreszcz strachu. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Wierzyć temu saraceńskiemu przybłądzie, czy czcić Grzegorza jak świętego męża, który przez całe życie walczył z

zachłannością cesarzy i kleru? Który próbował uzdrowić Matkę naszą, Kościół?

– Nie wierzę ci – mruknąłem, podchodząc do drzwi.

– Wiem. – Uśmiechnął się. – Ale nie martw się, nikt mi nie wierzy.

W tym jednym zdaniu zawarł tyle goryczy, że aż przystanąłem. Ale nie odwróciłem się. Pchnąłem drzwi i wyszedłem, nie zamykając lochu.

* * *

Grzegorz umarł rok później. Ni ziarno prawdy nie tkwiło w rozpuszczanych przez cesarza Henryka pogłoskach, że otruliśmy go my, Normanowie. Po cóż mielibyśmy zabijać jedyne go prawowitego papieża, który z własnej woli żył w naszej gościnie?

Odszedł cicho i z godnością, wyznaczając następcę. Oczywiście, ani cesarz, ani kardynałowie podległej mu Italii nie uszanowali ostatniej woli biskupa Rzymu.

Obserwowałem go w tych ostatnich chwilach. Wciąż miałem mnóstwo współczucia dla wielkiego człowieka umierającego na wygnaniu, wciąż szanowałem za niezłomność i odwagę. Obserwowałem go chyba po to, żeby zobaczyć, czy nie ulatuje z niego demon jakiś, duch nieczysty, który wedle słów Munkidha miał mu pomagać w zgłębianiu tajemnic ksiąg magicznych, leżących teraz na dnie morza.

Nic takiego nie zobaczyłem.

Umarł cicho i z godnością.

* * *

W końcu nasze próby zostały uwieńczone powodzeniem. Kapsuła schodziła głęboko, a siedzący w niej człowiek swobodnie oddychał dzięki pompie podłączonej do łodzi. Za pomocą prostych dźwigni poruszał ramionami zakończonymi szczypcami, które były w stanie podnosić z dna nawet spore przedmioty.

Co z tego! Urządzenie było cudowne i dobrze działało, ale wśród bezmiarów morza nie potrafiliśmy odnaleźć miejsca, gdzie zatoneło to, co chciałem znaleźć. Może tu, a może tam – kto by potrafił urządzić

poszukiwania na dnie rozległej zatoki. Dlatego macaliśmy na ślepo, kierując się jedynie intuicją.

Przez całe miesiące czepiałem się nadziei, że się uda. Nie udało się. W końcu rozkazałem zakończyć badania. Teraz szczupłe dochody, jakie mi jeszcze pozostały, przeznaczyłem na wyposażenie nowej pieszej roty. Kryształowa kapsuła, starannie zabezpieczona, powędrowała do zamkowych lochów.

II

W Roku Pańskim 1090, kiedy nędznie wegetowałem, a mój książęcy skarb opierał się głównie na dochodach z miasta Tarent, wystarczających zaledwie na skromne wypadki przeciw Arabom i Bizantyjczykom (szczerze mówiąc, właśnie one przynosiły gotowiznę, którą przeznaczałem na opłacanie stałej obsady swych trzech zamków), wreszcie wydarzyło się coś, o czym niegdyś marzyłem. Ale czy marzenia powinny się spełniać?

Kiedy wracałem samotnie z polowania, a towarzysze zostali daleko w tyle, pozwoliłem rumakowi truchtać po nadbrzeżnym piasku, omywanym leniwymi falami. Wtem zatrzymał się gwałtownie, zaparł przednimi nogami i prychnął, próbował wycofać. Rozejrzałem się, myśląc, że może wyczuł rysia albo wilka, ale nie. Za to zauważyłem coś ciemnego na plaży przed sobą. Leżało na granicy lądu i morza, jakby nie mogło się zdecydować, do którego świata należy. Koń nie chciał się ruszyć, więc zsiadłem, rozchlapując wodę.

Skrzynia – drewniana, obita przegniłą, malowaną skórą. Metalowe okucia były przeżarte rdzą. Mimo to kufer trzymał się dzielnie – miałem wrażenie, że mógłby przetrwać w jednym kawałku jeszcze sto lat.

Wiesz, co to jest - powiedział ktoś. Odwróciłem się gwałtownie. Nikogo. *Nie szukaj wokół, tylko w sobie -* roześmiał się.

Głupawo spojrzałem na własny tors, nogi, ale rzecz jasna, nie dostrzegłem nic nadzwyczajnego.

Oczywiście. Wiedziałem, a raczej przeczuwałem wszystko od kilku lat. To tkwiło we mnie. Właściwie nie „to”, lecz pazerny demon, którego nie mogłem zobaczyć w chwili śmierci Grzegorza. Nie mogłem, bo był już w

mym ciele. Przesączał się od nocy na statku, od chwili, kiedy wyruszyliśmy z Zamku Świętego Anioła.

Pożałowałem teraz wypędzenia Munkidha z salerneńskiego zamku. Pewnie by poznał, że dopadł mnie demon Grzegorza, że właśnie moją osobę papież wyznaczył na swego następcę. Nie wiem, kim był Munkidh, nigdy go o to nie spytałem, jednak miałem pewność, iż gdyby stał u mego boku w noc śmierci Grzegorza, wyczułby, co się święci. Może potrafiłby coś poradzić... Może zaś po prostu by mnie zabił.

Na to nie ma rady - odezwał się głos. – Jesteś mój, a ja jestem twój. Otwórz skrzynię.

Czułem, iż nie ma nade mną władzy, choć od razu domyśliłem się, z czyjego podszeptu przez tyle miesięcy marnowałem pieniądze na odnalezienie kufrów na dnie morskim. Czułem równocześnie, że demon wie, iż nie może mną kierować, ale pochyliłem się i sięgnąłem ku wieku skrzyni.

Uniosło się nadspodziewanie łatwo, zamki same się otworzyły. Wewnątrz leżały, nie noszące żadnych śladów wody ani soli, ciasno opakowane w grube materie księgi i zwoje. Chwyciłem wolumin leżący na samej górze.

Odwinąłem sukno i oczom moim ukazała się okładka z delikatnej, śliskiej skóry. Dotykając jej, uczułem nieprzyjemny dreszcz, jakbym gładził zeszywniałe ciało trupa. Wytłoczony tytuł, zapisany po grecku, oznajmiał: „Księga krzyków demonów pustyni”.

Wprawdzie to tylko odpis - westchnął obcy – ale trzymasz właśnie w rękach dzieło mego życia!

Wstrząsnąłem się z odrazą. Jeszcze tego brakowało, żeby zamieszkał we mnie demon – Grek!

Nie jestem Grekiem, tylko Arabem! - zachnął się.

Poczułem się jeszcze gorzej.

Wieczorem to ciskałem się po całej komnacie, przysiadając co chwila na łożu, to znów wychylałem z okna, chciwie oddychając rześkim powietrzem. Nie dawała mi spokoju myśl, że tyle czasu pozwalałem się wodzić za nos jakiemuś pogańskiemu demonowi, który zagnieździł się w moim ciele i nie zamierzał ustąpić.

Poczułem się urażony, mój drogi dobroczyńco – odezwał się z westchnieniem. – Już wcześniej, tam na brzegu, zamierzałem cię poprawić, ale jakoś mi z głowy wyleciało: nie jestem demonem. Co więcej, ofiarą prawdziwego demona nie jesteś ty, a właśnie ja. Moje imię brzmi Abdul al...-Hazred.

Miałem kompletną pustkę w głowie – demon, nie-demon, a może demon, tylko kłamie...

Wiem, że jeszcze mi nie wierzysz, ale mam sposób, aby cię przekonać. Uwolnię cię od swej obecności, jednak musisz mi pomóc pozbyć się demona, który pewnego pięknego dnia...

* * *

„Tuż po porannych modłach wyszedłem ze swego wygodnego domu, aby spotkać się z kupcem korzennym w hammamie, łaźni, znajdującej się tuż przy suuku. Sudańskiego niewolnika, zwykle towarzyszącego mi w przechadzkach po mieście, tym razem nie zabrałem ze sobą, bo nie miałem zamiaru nic kupować. Potrzebowałem nie przypraw, a wieści, jakie kupiec miał dla mnie zdobyć w parnych, pamiętających tajemnice dawnych wieków miastach Indii. Niecierpliwie czekałem na rozmowę, ciekaw, czy udało mu się czegoś dowiedzieć o pewnych mrocznych istotach, które od niezliczonych tysiącleci starały się trzymać ludzkość w nieświadomości co do prawdziwej natury świata. Dzięki tymże wieściom zza morza zamierzałem ukończyć swe nowe dzieło...

Nie doszedłem do hammamy. Kiedy przepychałem się przez tłum panoszący się na suuku, rozległy się przeraźliwe piski, tak przejmujące, niskie, że zamarłem. Wiedziałem... Czytałem w prastarych zwojach o takich dźwiękach... W jednej chwili zrozumiałem, co mnie czeka.

Uderzył od góry, wielkimi skrzydłami rozpraszając tłum wokół mnie. Ludzie panicznie rozbiegli się, nie mogąc nawet dostrzec, przed czym uciekają.

Zwróciłem twarz ku słońcu, aby ostatni raz nacieszyć oczy jego blaskiem. Potem był już tylko ból...”

* * *

...porwał mą duszę na suuku w Damaszku i teraz nie daje mi spokoju. Wciąż pamiętam ból, jaki zadał mi niewidzialnymi pazurami.

– A Grzegorz? Kto w takim razie opętał duszę Grzegorza – ty czy twój demon? – spytałem, gdyż wreszcie postanowiłem poukładać w głowie wszystko, czego mogłem się dowiedzieć.

Racz nie nazywać go moim demonem, gdyż powstał w niewyobrażalnie dawnych czasach, kiedy przodkowie twoi, a moi zapewne również, walczyli o przeżycie z hordami białych małpoludów, które pewnego dnia zalały nasz świat, uciekając przed czarami potężniejszymi niż... Ekhem, wybacz, zdaje się, że nawet nie wiesz, o czym mówię. Wróćmy zatem do Grzegorza. Tak, to ten demon objął go w posiadanie.

– Dziwne – mruknąłem niedowierzająco. – Munkidh mówił, że demon Grzegorza ustąpił z jego ciała, by poszukać następcy. Myślałem, że następcą zostałem ja...

Zaiste, szczęśliwym jesteś człkiem, skoro miałeś zaszczyt poznać wielebnego Munkidha! Prawda to, że wielki Munkidh Powiernik zaszczycił cię rozmową?!

– I to niejedną. Ale kiedy indziej opowiesz, kim jest Munkidh – dodałem pospiesznie – choć sam się domyślałem, że musi być niezwykłą postacią. Mów mi o demonie!

Demon przeszedł zapewne na kogoś innego. Na kogo, nie wiem, ale człowiek ten musiał mieć bliski kontakt z umierającym Grzegorzem. Jednak demon nie od razu opanowuje ofiarę – najpierw mami ją zmyślnymi słowami, a potem dopiero może nią zawładnąć, ale to trwa. Ja z kolei postanowiłem udać się do gniazda twej duszy, gdyż spostrzegłem, iżeś jest odpowiednim człkiem do wyzwolenia mnie z oków.

– Zatem, kogo opanował demon... – spróbowałem się zastanowić.

Boemundzie, teraz sprawa to mniejszego znaczenia, bowiem jeśli pomożesz mi uwolnić się od niego, osłabiony demon będzie musiał na czas jakiś opuścić świat ludzki, aby pokrzepić swe siły w Szeolu, gdzie się narodził. Zajmie mu to dużo czasu, możesz się nie martwić.

– Pozwól mi teraz zasnąć – poprosiłem. – Muszę odpocząć. I wszystko przemyśleć.

* * *

Nie dał mi długo krzepić się snem. Ledwo świt ozłocił komnatę, a już słyszałem jego głos w swojej głowie. Coś mówił, a ja zawołałem na pokojowca, żeby przyniósł misę z wodą.

Boemundzie, niestety, mamy niewiele czasu. Nie bez powodu postarałem się, by skrzynię wyrwać z objęć morza akurat teraz. Przez następne dwa tygodnie mamy możliwość pokonania demona i zmuszenia go do odejścia z tego świata.

– A to niby czemu? – Pochyliłem się nad misą z wodą i rozpocząłem poranne ablucje.

– Słucham, panie? – Służący spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Nic, Bertrandzie... Możesz odejść – odparłem szybko. Zupełnie zapomniałem, że wciąż czekał, aby mnie wytrzeć.

Czemu? Od dziś Stary Olbrzym zachodzi na niebie za Strzelającym Gigantem. To idealny układ, podczas którego otwiera się najprostsza droga pomiędzy naszym światem a Szeolem, z którego przybył demon. Jeśli chcesz, mogę ci dokładniej rzec o tym jakże korzystnym dla nas ustawieniu gwiazd...

– Dziękuję, wystarczy.

W takim razie potrzebuję dwóch rzeczy: jednego z manuskryptów złożonych w skrzyni...

– Powiedz mi jeszcze coś – przerwałem mu. – Dlaczego kazałeś mi tak usilnie szukać skrzyń w morzu, skoro mogłeś je sprowadzić na moją drogę?

No cóż, Uczyłem, że jednak sam je odnajdziesz i zapoznasz się z zakazanymi księgami, a wtedy nawet nie musiałbym przemawiać do ciebie bezpośrednio, tylko podsuwałbym ci myśli, które brałyś za swoje. Ale nic nie znalazłeś, więc począłem działać.

– Czyli chciałeś moimi rękami pozbyć się demona? – Zmarszczyłem czoło.

Tak, przyznaję. Przyznaję też, że i teraz muszę posłużyć się twymi rękami, bo własnych, jak się domyślasz, nie mam.

– Dobrze, pomyślę o tym.

Tu nie ma co myśleć! Trzeba działać. Jeśli mi nie pomożesz, nie uwolnisz się ode mnie. A ja, nękany przez demona, stawać się będę coraz bardziej nieprzyjemnym towarzyszem.

Na chwilę przerwaliśmy rozmowę, gdyż służący przyniósł śniadanie. Kiedy tylko wyszedł, zadałem pytanie:

– A ta druga rzecz?

Otóż rzekłem ci, iż jesteś odpowiednim człkiem do mych celów, gdyż posiadasz rzecz pewną, która będzie nam niezmiernie pomocna w całym przedsięwzięciu.

– A myślałem, że wybrałeś mnie, bo zobaczyłeś prawość skrytą na dnie mej duszy – mruknąłem z przekąsem.

Cha, cha! Prawość? Cóż, jeśli tak wolisz... Czy wiesz, o czym mówię? Na pewno nie wiesz, bo i skąd miałbyś wiedzieć? Na poszukiwaniu podobnego świętego przedmiotu zeszło mi kilka stuleci, odkąd porwał mnie demon. A trudne to były poszukiwania, bo nie mogłem zbyt oddalać się od niego, zaś on postanowił za żer obrać sobie mieszkańców zachodnich krain, tak dalekich od ziem muzułmanów.

Zamilkł na chwilę, a ja zastanawiałem się, co ma wspólnego oddalenie się od państw Saracenów z poszukiwaniami jakiegoś świętego przedmiotu.

Ależ dużo, Boemundzie!

– Wolałbym, żebyś nie podsłuchiwał moich myśli. To jest... poniżające.

Wybacz... ale nic na to nie poradzę. Siedzę w tobie i wiem o wszystkim, co robisz i o czym myślisz... Zaś przedmiotem moich poszukiwań jest jakakolwiek rzecz, którą miał w swych świątobliwych rękach i

pobłogosławił wielki prorok Muhammad, oby imię jego było czczone na wieki! Ty zaś...

– No, proszę... – Machnąłem ręką. – Gdybym nie darował Sulajmanowi tego nieszczęsnego łańcucha, nigdy bym nie wpakował się w tę całą awanturę.

Ale podarowałeś – zaśmiał się nieprzyjemnie. – Zatem musimy się przygotować, już nie mogę się doczekać upragnionej wolności!

Wcale nie miałem ochoty pchać się w walkę z demonami ani żadnymi innymi ciemnymi mocami, ale cóż było robić... Skinąłem głową.

* * *

Przez skalny komin docierały do wnętrza jaskini ponure świsty silnego wiatru. Wzdrygnąłem się z zimna i bliżej przysunąłem do małego ogniska. Pożałowałem, że jednemu giermkowi, jakiego wziąłem ze sobą w góry, kazałem zostać w wiosce leżącej u podnóża wskazanego przez Abdula szczytu. Samotność...

Nie jesteś samotny – w głosie Araba zabrzmiała wesołość. – *Ja jestem z tobą!*

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło... Kiedy będzie po wszystkim?
Już niedługo, ledwie północ przeminie. Rozłóż manuskrypt.

Wyciągnąłem z sakwy nie księgę, ale papirus nawinięty na gruby, metalowy wałek, zakończony srebrnymi gałkami. Widniały na nich wygrawerowane liczne arabskie napisy – pokręcone zawijasy zapełniały całą srebrną powierzchnię, jakby nieznany artysta bał się zostawić choćby najmniejszą wolną przestrzeń.

Papirus zapisany był znakami, jakich nigdy w życiu nie widziałem. Setki kresek, na pierwszy rzut oka umieszczonych bez ładu i składu. Dopiero po chwili dawało się wychwycić pewne prawidłowości – kolumny, rzędy, odstępy...

To pismo Czarnogłowych, ludu, którego wysuszone szkielety dawno temu zostały zasypane przez piach. Wmieście Irem, zagubionym pośród upiornych równin Dahmy, Purpurowej Pustyni, odnalazłem sekrety, o jakich ci się nawet nie śniło. A wśród nich ten tekst, spisany na marmurowych tablicach. Skopiowałem go, po czym zniszczyłem tablice. Masz przed oczyma największe tajemnice starożytnego Wschodu.

– Tajemnice Wschodu? Skarby?

Skarby? O, tak! Ale inne, niż myślisz... Nie da się nimi opłacić twojej ulubionej zabawki – żołnierzy, choć można za ich pomocą wyniszczyć całe armie.

– Zaczynajmy. – Miałem już dość słuchania o tajemnicach, które na zawsze pozostaną dla mnie nieosiągalne. Żeby je poznać, musiałbym podciągnąć się w sztuce czytania. Choć i tak wśród Normanów uchodziłem za dziwaka, gdyż potrafiłem literować napisy łacińskie i greckie.

Jednym silnym ruchem rozwinąłem zwój. Biała wstęga poszybowała w krwawym świetle ogniska, aż jej koniec zniknął w mroku. Patrzyłem jeszcze za nim, gdy nagły wybuch ogniska zmusił mnie do odskoczenia. Paliło się teraz niczym beczka pełna ognia greckiego. Grota rozświetliła się ponurą łuną, która wypełniła me serce przerażeniem. Czułem, że zaczyna się dziać coś niedobrego.

Wyjmij szablę proroka!

Posłusznie wyciągnąłem ostrze i ustawiłem je pionowo przed sobą. Krwawy błysk odbił się od nagiej głowni, oślepiając mnie na chwilę. Byłem zupełnie sparaliżowany – ale ze strachu, nie z powodu wpływu woli al-Hazreda.

Wstrząs przewrócił mnie na kamienie, z góry posypały się odłamki skały. Huk zagłuszył nawet trzask płonącego ognia.

– Abdul! Abdul! Co się dzieje?!

Nie odpowiadał, a może po prostu go nie słyszałem – zdawało mi się, że huk pękających skał rozdziera moją głowę, przygniata do ziemi.

Ból między łopatkami był nie do wytrzymania. Sięgnąłem ręką i natrafiłem na złamaną szablę proroka, głęboko wbitą w me plecy. Nie miałem sił wyciągnąć ostrza.

Tuż za ogniskiem rozwarła się przepaść bez dna, z której buchnął kłęb żółtej pary. Gryzący smród pozbawił mnie na chwilę świadomości. Gdy znów doszedłem do siebie, cały lepiłem się od własnych wymiocin.

Obtarłem usta, bez cienia nadziei patrząc w kierunku rozszerzających się wrót do piekieł. Znów wezwałem Abdula, błagając o ratunek.

Ależ ratuję! - śmiał się. – *Choć nie ciebie, tylko siebie i swój ród.*

Zawyłem jak potępieniec.

– Ty synu suki! Dlaczego to robisz?! Przecież obiecałem ci pomóc! Co ty wyprawiasz?!

Nędzny człowieku! Za każdym razem jest tak samo: dajecie się mamić prostymi kłamstwami, w które chcecie wierzyć. Wystarczy, że postawi się przed wami prosty cel – taki, jaki jesteście w stanie pojąć. To wystarczy. Idziecie, niczym...

Ziemia znów zadrżała.

– Dość! – wrzasnąłem. – Nie mów do mnie jak do dziecka!

Ależ jesteś dzieckiem. Dla mnie i mego rodu cała ludzkość to dzieci, które same nie wiedzą, czego szukać, dlatego miotają się pomiędzy sprzecznościami, zamiast zatopić się w spokoju i pozwolić, by czas sam rozwiązywał wszystkie problemy.

Ognisko zahuczało po raz ostatni, kawałki drewna zapadły się w siebie i ogień zamarł. Już nie ożywiała go tajemnicza siła, a mimo to żółto-czerwony blask bijący z otchłani czynił jaskinię tak samo jasną, jak była przed chwilą.

– Ty wcale nie jesteś Abdulem! – Straszliwa myśl przyszyła mi naraz do głowy.

Oczywiście, że nie!

Potężne uderzenie rzuciło mną o ścianę groty. Wydawało mi się, jakby ktoś wyrywał moje serce. Panicznie dotknąłem dłońmi piersi. Zamiast twardych mięśni, poczułem miękką, falującą masę. Ze strachu i obrzydzenia nie mogłem nawet spojrzeć na to coś, co właśnie próbowało się ze mnie wydostać. Było częścią mnie, zrodziło się z mego ciała, ale jednocześnie pozostawało tak obce, jak najgorszy z wrogów.

Wiłem się w mękach, przetaczając po kamieniach, a ból rozrywał me wnętrzności z siłą mauretańskiego lwa. Wreszcie ustał, tak samo nagle, jak nadszedł. Spocony, ledwo dysząc, ległem w bezruchu.

Wtedy go zobaczyłem. Krwawa masa, wyrastająca wprost z brzucha, pulsowała, jakby wewnątrz formowało się coś diabelskiego niczym w kotle czarownicy. W masie tej poczęły się tworzyć zarysy zniekształconej twarzy, powykrzywianej gorzej niż ciała bizantyjskich igrców. Cienkie jak muślin powieki okrywały wyłupiaste oczy. Do – strzegłem ciemne źrenice, latające w okrutnym tempie to w lewo, to w prawo.

Wreszcie się zatrzymały, a powieki – otworzyły.

Jam jest – tu wymówił chyba swe imię, którego nie zapamiętałem, gdyż nie istnieją w żadnym ludzkim języku dźwięki zdolne je oddać – *Pan Odwagi...*

* * *

„Chcesz wiedzieć, co naprawdę widziałem na damasceńskim suuku? Nie wpatrywałem się w niebo, nie szukałem zagrożenia, które objawiło się niskim, świergolącym głosem...

Obserwowałem plac targowy z góry, coraz bardziej obniżając lot, a kiedy dostrzegłem ofiarę, rozpocząłem radosną pieśń przyzwania. Ludzie rozbiegli się, myśląc, że cień wąskich uliczek ochroni ich przed moją mocą - tak naprawdę, gdybym chciał, w jednej chwili połowa tej miejsciny stanęłaby w płomieniach.

Al-Hazred był tak przerażony, że nie mógł ruszyć się z miejsca, tylko tępo wbijał wzrok w słońce. Chyba myślał, głupiec, że mnie dostrzeże.

Zatopiłem szpony w jego ciele. Potem była już tylko rozkosz ucztowania...”

* * *

...Zwiecie mnie demonem, i niech tak pozostanie.

Przez jego ślimacze ciało przebiegł następny dreszcz. W bezkształtnej masie, nad oczami, uformował się otwór – cudaczne usta bez warg.

– Wreszcie mogę mówić! – Usłyszałem jego prawdziwy głos. Skrzypiał niczym wrota piekielne, tak przynajmniej myślę.

– Nie... myliłem się... – Ledwie oddychałem, czułem, jak ulatuje ze mnie dusza, ale czepiałem się życia niczym rozbitek pozostałości roztrzaskanego okrętu. Wiedziałem, że muszę być spokojny, inaczej – straciwszy panowanie nad sobą – umrę. Nawet jeśli nie z ręki demona, to ze strachu, który opanuje me serce. – Jesteś demonem... przed którym przestrzegał mnie Munkidh...

– Jessem... – zasyczał, gubiąc gdzieś ludzki sposób mówienia -... kimś więcej. Włóczę się po waszym świecie od niepamiętnych czasów, chroniąc przed wami własne plemię.

– Chronisz... przed nami? A w czym... ludzie mogą... zagrozić demonom... – Już nie starczało mi sił.

– Mógłbyś kiedyś stać się niezwykłym człowiekiem, jakim był Grzegorz, więc odpowiem na to pytanie. Potraktujmy je jak ostatnie życzenie skazańca. Albo może – zaśmiał się – życzenie, jakie spełnia dzinn uwolniony z lampy?

Dopał mnie następny atak bólu, a równocześnie demon stawał się coraz większy – zaczęły mu wyrastać odrażające odnóża, cienkie i ruchliwe jak u owada. Domyśliłem się, że już niedługo przyjdzie mi cierpieć. Ten szatan czerpał ciało z mego ciała, przemieniając je w swą nową powłokę, dzięki której mógłby przemierzać nasz świat, by w końcu odnaleźć nową ofiarę. Byłem dla niego jedynie zepsutym mięsem, z którego, jak wiadomo, lęgną się muchy i inne nieczyste owady.

Na dodatek każdy ruch coraz mocniej wbijał w me plecy złamaną szablę. Pragnąłem wtedy, by weszła jak najgłębiej, by wykończyła mnie wcześniej niż zrobi to demon.

– Jestem jednym z niewielu, który pozostał na waszej nędznej ziemi, aby chronić własny lud, skryty w głębinach lub pośród gwiazd, by tam czekać na odpowiedni czas odrodzenia. A czas ów może nie nadejść, jeśli ludzie nadal będą tak pomysłowi w wymyślaniu sposobów zabijania nas

– nas, których zwą demonami. Dlatego od niepamiętnych czasów ja i moi kompani krążymy po świecie, by odnajdywać i niszczyć wszelkie wasze niedołączne narzędzia do walki z nami...

– Szabla pobłogosławiona... przez Muhammada, tak...? Ale czemuż nazywasz je niedołącznymi? Gdyby... takie były, nie trudziłbyś się ich

niszczeniem... – Słaby uśmiech na mej twarzy musiał zapewne wyglądać jak przedśmiertny skurcz.

Przymknął powieki. W tym geście tłumionego gniewu było coś tak bardzo ludzkiego, że pomyślałem, jak mało różnią się od nas wszelkie istoty boskie. Choć nie, on istotą boską nie był na pewno.

– Na nic twoje marne żarty – wyrzekł powoli. – Zniszczyłem tyle waszych amuletów, tyle broni błogosławionej przez świętych i bogów samych. Tyle miast, że...

– Nie mów, że Rzym też...

– Oczywiście! Rzym – miejsce magiczne, jeden z najsilniejszych symboli wiary na tym świecie... a dla nas – prawdziwe niebezpieczeństwo. Przyznam, że doprowadzenie do zbezczeszczenia kościołów rzymskich przez Arabów zajęło mi sporo lat. Ale opłaciło się. Byliście mi w tym niezmiernie pomocni.

Nie wierzyłem. Nie chciałem wierzyć. To, co uważałem za największy triumf, było naszą, starannie zaplanowaną klęską. Zacisnąłem mocno zęby, chwyciłem za rękojeść szabli...

Miałem nadzieję, że już mogłem zrobić coś, o czym demon nie dowie się z mej głowy. Zapewne nie słyszał moich myśli, odkąd zaczął się wykluwać. Uświadomiłem to sobie dopiero w tamtej chwili – ten zadufany w sobie wysłannik Belzebuba na pewno skomentowałby jakąś uczoną wypowiedzią mój cichy wywód o tym, że nie jest jedną z istot boskich. Skomentowałby... gdyby ją usłyszał.

Zaczekałem jednak jeszcze chwilę. Chciałem się czegoś dowiedzieć przed śmiercią – bo że zginę w walce, w to nie wątpiłem.

– Na co potrzebne ci były księgi z zatopionego kufra? Tylko dla pokazania mi, że naprawdę jesteś al-Hazredem?

– Też, ale chyba nie myślisz, że znam na pamięć wszystkie zaklęcia, umożliwiające niszczenie błogosławionej broni w trzewiach ziemi?

Musiałem wydobyć księgi po tym, jak zbuntowany Grzegorz je zatopił.

– A więc zbuntował się pod koniec? – spytałem z nadzieją.

– Cały czas był zbuntowany. Przecież ci mówiłem, że nie mogę całkowicie opanować człowieka, najczęściej po prostu podszeptuję mu, co ma zrobić. Ale Grzegorz był silny, w końcu zrozumiał, że kroczy nie swoją, a moją drogą.

Kiwnąłem głową. Demon nawet nie wiedział, jak uradował mnie tą wieścią.

– A co zrobiłeś z prawdziwym Abdulem?

– To chyba jasne. Ciało rozerwałem na sztuki, a duszę zamknąłem w kryształowym sarkofagu, który puściłem na morze ognia. W przeklętym mieście Irem znalazł zbyt wiele ukrytych prawd, które niegdyś ja i moi pobratymcy zakryliśmy piaskami pustyni. Jak widać, niezbyt skutecznie... Ale miało być jedno pytanie, tymczasem zadałeś aż trzy. Jak w prawdziwej baśni o dzinnie...

I tak samo jak w baśni, i tym razem nad demonem zapanował człowiek.

Zdołałem wreszcie wyrwać z pleców ostrze uświęcone słowem proroka. Nie wiem, skąd wzięłem na to siły. Chyba dała mi je nienawiść. Patrzyłem, jak z szabli powoli spływa gęsta krew.

Demon wołał, prosił, błagał, starał się odepchnąć ode mnie swymi odnóżami, ale były jeszcze zbyt słabe, by poradzić nawet mnie, człowiekowi u progu śmierci.

– Popatrz – szepnąłem mściwie.

Nie odwlekałem tego dłużej, bo z każdą chwilą stawałem się słabszy, a on silniejszy.

Nie zdołałem jednym ciosem zbyt krótkiego ostrza odrąbać piekielnego korpusu od własnego ciała. Przy zetknięciu z szablą, skóra demona stawała żywym ogniem, czerniała i rozsychała. Wrzeszczał z bólu głośniejsz niż

zarzynany wieprzek. Mnie bolało nie mniej, w końcu raniłem własne ciało, jednak z zaciśniętych szczęk nie wypuściłem ni słowa skargi.

Drugie cięcie tylko pogłębiło ranę. W końcu przycisnąłem ostrze do ciała demona i zacząłem przeciągać ułomkiem szabli w tę i z powrotem, jakbym rozkrawał barani udziec...

Teraz i ja wyłem, łzy ciekły mi strumieniami, ale nie przestawałem.

Ale on wył głośniej. I to właśnie dodawało mi sił.

Wiem, że próbował użyć przeciw mnie zaklęcia – mamrotał coś w nieznanym mi języku, jednak wciąż gubił się w inkantacji. Kilka razy rwał mu się wątek – widziałem to wyraźnie, gdyż krzyki bólu rozrywały zaklęcie na strzępy.

Uśmiechnąłem się. Nie dorwie ani mego ciała, ani duszy.

* * *

Gdy tylko minęło gwałtowne, za to krótkie trzęsienie ziemi, mój giermek wraz z kilkoma wieśniakami wspięli się na górę i odszukali jaskinię, do której dążyłem.

Znaleźli mnie umierającego – a przynajmniej tak myśleli. Leżałem w kałuży krwi, ściskając w ręku złamaną szablę, wbitą we własny brzuch. Domyślili się, że w czasie trzęsienia ziemi musiałem upaść na złamane ostrze, a potem usiłowałem je bezskutecznie wyjąć. Kiedy zdołali uwolnić z mej kurczowo zaciśniętej dłoni rękojeść szabli, jej głownia rozsypała się w proch, jakby zrobiona została z piasku, a nie damasceńskiej stali.

Zanieśli mnie do wioskowej zielarki, która ponoć dostała niezrozumiałego ataku szału, kiedy dotknęła mego czoła. Przyszła do siebie, jak tylko giermek zaaplikował jej pięć kijów, ale przez cały czas opieki nade mną mruzczała pod nosem, że czarta kazali jej przywracać do życia. I owszem, przywróciła mnie do życia, ale z tym czartem to nie miała racji. Chyba... W każdym razie, za te bluźniercze słowa dostała od giermka na odchodnym następnych kilka batów.

Tak przeżyłem. W miesiąc później ściągnąłem z Neapolu na tarencki zamek nauczycieli łaciny, greki i arabskiego. Wątpiłem, bym w całej Italii znalazł znawcę języka owych Czarnogłowych, którzy ponoć opanowali wszystkie sekrety Wschodu. Ale i na ten tajemny język starożytnych przyjdzie odpowiedni czas.

Warszawa, wrzesień 2001 – lipiec 2003

Andrzej Pilipiuk

Czytając w ziemi

Marek Etter, spokojnie dociskając pedały roweru, wjechał na kolejną wydnię. Zatrzymał się. Szerokie opony do jazdy po piasku dobrze spisywały się na wąskiej ścieżce. Zza kolejnego pasma wydm zimny wiatr niósł zapach morza.

– Totenberg – mruknął. Tak nazywało się to wzgórze na starej niemieckiej mapie, którą kupił kiedyś w antykwariacie. Na nowych sztabówkach nie miało żadnej nazwy. W przedwojennym niemieckim leksykonie miejsc nawiedzonych odnotowano tę nazwę i krótką informację, że teren ten uważa się powszechnie za przeklęty. Od kilku miesięcy przyjeżdżał tu w każdej wolnej chwili...

U skłonu wydmy rozciągała się spora równina – miała mniej więcej cztery kilometry długości i co najmniej kilometr szerokości. Po lewej stronie zielony pas, wyraźnie odcinający się od burego, spalonego słońcem stepu, wyznaczał koryto Zgniłej Rzeczki. Po prawej majaczyły kryte papą i eternitem dachy pegeerowskiej wsi, przez którą przejechał czterdzieści minut temu. Dalej na zachód nie mógł jechać. Deszcze wyłobiły w piasku dwumetrowej głębokości kanion.

Przybysz otworzył torbę ze sprzętem. Na piasku położył kawałek szarego płótna. Pod spód włożył wyciągniętą zza krzaka kratkę z miedzianych prętów. Usiadł. W dłonie ujął dwie jadeitowe kule. Pod język wsunął znaczek nasączony LSD. Zamknął oczy. Usiłował nawiązać kontakt z duchami.

Złe miejsce. Musisz odejść - w jego umyśle narodziło się ostrzeżenie. Nie był pewien, czy pochodzi z jego głowy czy z zewnątrz... Wiedział, że

lepiej nie ryzykować. Umarli rzadko kiedy się mylili. O ile to oni przemówili, a nie jego rozgorączkowana, zatruta narkotykiem wyobraźnia.

Pożądaj informacji – rzucił w myślach.

Wyobraził sobie dwie grupy duchów. Nie były sobie współczesne. Jedna pochodziła z zamierzchłej przeszłości, inne mogły być średniowieczne. Tylko czy naprawdę tu były, czy to pracował rozgorączkowany mózg?

Zagląda, zagląda – szeptały duchy. – *Zagląda, zagląda...*

Nagle kontakt się urwał, jakby widma umknęły spłoszone. Etter zerwał się na równe nogi i wypuścił z rąk kule. Piasek wokoło zadrżał, ale metalowa siatka ochroniła poszukiwacza przed uderzeniem mocy. Jedna z kul leżących na ziemi rozpękła się z cichym trzaskiem. Może trafił w kamień, a może moce ukryte w ziemi... Nie było czasu sprawdzać. Wskoczył na rower, pozostawiając matę i siatkę, i pognął w dół, w stronę wsi. Każdą komórką ciała czuł, że rozpoczęto już za nim pościg. Był jednocześnie zachwycony, że wreszcie sprowokował duchy do działania, i przerażony osiągniętym efektem. Nieoczekiwanie odniósł wrażenie, że już go coś dopada. Bał się odwrócić. To coś siedziało na bagażniku roweru. Za chwilę... Zahamował gwałtownie i skręcił w bok. Spod nawianego przez dziesiątki lat piasku wystawały tu szczyty kamiennych nagrobków. Stary poniemiecki cmentarzyk. Ewangelicki, opuszczony, wielokrotnie sprofanowany, ale ciągle zachowujący moc sacrum. Porzucił rower i skoczył przez murek.

Uderzył się boleśnie o sterczącą z piachu płytę nagrobną, ale poczuł natychmiastową ulgę. Był bezpieczny. Skulił się drżący pomiędzy grobami. Czuł wiry mocy, przed oczyma przetaczał mu się ocean zielonych fal. Narkotyki pozwalały mu widzieć to, co chciał zobaczyć. Nie pozwalały jednak ocenić, czy to, co widzi, jest realne czy nie... Ale i tak był

zadowolony. Wyczuwał ich. Wcześniej wiele razy próbował różnych technik i nigdy mu się nie udawało...

* * *

Do każdego instytutu archeologii od czasu do czasu przychodzą paczki. Zazwyczaj zaprzyjaźnione placówki badawcze przysyłają swoje publikacje. Bywa jednak i tak, że na biurku archeologa ląduje przesyłka grubszego kalibru.

Polacy, po latach uświadamiania, zrozumieli z grubsza potrzebę istnienia archeologii i starają się pomagać, by nauka ta kwitła. Tak więc kartonowe pudełka kryją w sobie stopy zardzewiałego żelastwa, skorupy XIX-wiecznych doniczek, kamienie, które znalazcy wydały się podejrzane. Część tych zabytków jest brudna, świeżo wydobyta z ziemi, inne wręcz przeciwnie, wyszorowane na wysoki połysk. Ludziska mylą nagminnie archeologów z paleontologami, więc na biurkach lądują „kości dinozaurów” – czyli najczęściej krowie, oraz kamienie z odciskami muszli. Od czasu do czasu trafiają się znaleziska jeszcze ciekawsze – jeden z archeologów, otworzywszy przesyłkę, stwierdził, że zawiera dwa pociski od moździerza. Wezwani saperzy określili ich stan na niemal idealny i zachodzili w głowę, jakim cudem nie wybuchły, objając się w trakcie transportu.

Mniej więcej zawartość jednej paczki na dziesięć ma faktycznie coś wspólnego z profesją archeologów. Czasem jest to garść średniowiecznych skorup, czasem cały garnek, niekiedy krzemienne narzędzia... Tyle tylko, że średniowiecznych skorup można nazbierać na polach wokoło każdej wsi istniejącej dłużej niż 500-600 lat. Ludzie w dawnych czasach nie znali jeszcze gminnych wysypisk śmieci i wszelkie swoje odpadki wywozili wraz z obornikiem na pola.

Czasem w jednej na kilkadziesiąt przesyłek trafi się coś naprawdę ciekawego. Tak było i tym razem. Ta paczka była niewielka. Profesor

Maciej Kowalski zważył ją w dłoniach. Ciężka... Wyjął z kieszeni nożyk introligatorski i zabrał się za jej rozpruwanie. Pod grubą warstwą szarego papieru pakowego ukazało się nieduże, plastikowe pudełko po jakiejś margarynie.

– Zawsze podziwiałem idiotów, którzy jadają takie rakotwórcze paskudztwo... – uczoney mruknął sam do siebie.

Pudełko, oczywiście, nie było umyte, toteż już po chwili całe dłonie miał pokryte warstwą tłuszczu. Wreszcie, po chwili szarpaniny, oderwał wieczko pudełka. Sądząc z jasnych zacieków, nadawca przykleił je sporą ilością super glue. Wewnątrz znajdował się wilgotny nadmorski piasek. To akurat specjalnie profesora nie zdziwiło. Nadawcy lubią swoje skarby zabezpieczać na czas podróży. Otrzymywał przedmioty zawinięte w siano, stare szmaty, sznur do snopowiązałki, przesypane pierzem, trocinami, granulatem paszowym... Piasek nie był tu niczym nadzwyczajnym. Profesor ostrożnie przesywał zawartość paczki na plastikową kuwetę. W jasnym pyłe błysnęło coś matowoczarne. Palce uczonego przeryły piach i wydobyły nieduży odłamek czarnej skorupy.

– Aha – mruknął.

Obrócił ją w dłoniach. Czarna, grafitowana powierzchnia, do brzuśca garncarz dokleił wałeczek gliny. Przez niewielką dziurkę przewleczone było zaśnieżone kółeczko z brązu. Coś jak kolczyk tkwiący w uchu. Bo też i było to ucho. Ucho doklejone do amfory twarzowej kultury pomorskiej. Na papierze odszukał adresu nadawcy.

Potem wyszedł na korytarz i zapukał do drzwi sąsiedniego gabinetu. Na pokrywającej je płycie pilśniowej lśniła nowością mosiężna tabliczka: mgr Paweł Rawicz.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Gabinet wyglądał dokładnie tak, jak na filmach ukazuje się pracownie szalonych XIX-wiecznych naukowców. Na biurku piętrzyły się kuwety z piaskiem, tkwiły

w nim skorupy rozmaitych naczyń. Wilgotny piach utrzymywał w odpowiedniej pozycji klejone fragmenty. Na sporym regale, na pośliskich gazetach spoczywały ludzkie kości, a obok nich leżał podręcznik medycyny sądowej, pozakładany tu i ówdzie wycofanymi z obiegu banknotami. Drugi regał zastawiony był książkami, panował na nim kompletny chaos. Na stole kreślarskim spoczywały dziesiątki planów wykopów, jakieś teczki z dokumentacją oraz druczany koszyczek wypełniony krzemiennymi narzędziami.

Właściciel gabinetu pracował zapamiętale – walił w natchnieniu w klawisze komputera.

– Panie kolego – chrząknął profesor.

Paweł odwrócił się, zaskoczony.

– Witam, czym mogę służyć? – Jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu, ale oczy pozostały czujne.

– To przyszło dziś pocztą. – Kowalski wręczył mu skorupę.

Magister powoli obrócił ją w dłoniach.

– Ucho urny twarzowej kultury pomorskiej albo bardzo zręczna imitacja – mruknął.

Wyjął z kieszeni sprężynowiec i poskrobał ostrożnie krawędź zabytku.

– Nie, to autentyk – odpowiedział sam sobie. – Piękny odłamek, ale gdzie jest reszta?

– Przyszło pocztą. Znalazł to nauczyciel z wsi Zgniła Woda, gdzieś w zachodniopomorskiem.

– Cmentarzysko kultury pomorskiej z okresu największego rozkwitu...

– zamyślił się Rawicz. – Kto wie, może nawet kilkadziesiąt grobów? Ostatnie rozkopano... Będzie ze dwadzieścia lat temu.

– A gdyby udało się zlokalizować ich osadę? – kusił profesor. – Byłaby sensacja na grubszą skalę. Weźmiesz doktora Olszakowskiego i pojedziecie

na rekonesans. Znajdziecie nauczyciela, niech pokaże miejsce, rozpatrzycie się w terenie...

– Jasne, tylko gdzie jest ta cała Zgniła Woda? – Paweł sięgnął dłonią i bez chwili wahania wydobył z regału opasy atlas Polski.

Kartkował przez chwilę indeks, a potem otworzył na odpowiedniej stronie.

– Jest – mruknął z zadowoleniem. – Gmina Lewkowo...

Otworzył atlas.

– Kiepska skala – westchnął. – Trzeba będzie sztabówkę...

Wybiegł z gabinetu, podzwaniając kluczami od archiwum. Wrócił po kilku minutach. Zestawił kuwety ze skorupami na podłogę i rzucił arkusz mapy na biurko.

– Od zachodu szosa do wsi Lewkowo – to zdaje się siedziba gminy... Dalej droga gruntowa do Zgniłej Wody... Co za debilna nazwa... Jakież cztery kilometry... Wioska to tylko kilka gospodarstw... Ale co to za dziwne, podłużne budynki?

– Sądzę, że to baraki pegeeru – mruknął profesor.

– Racja, jest zaznaczone PGR. Od południa las i bagna, od północy morze, od zachodu rzeka, wzdłuż niej bagna. Rany, miejsce prawie odcięte od świata...

– Nie takie znowu odcięte, na pewno mają linię telefoniczną. Zresztą w dobie telefonów komórkowych nie ma to aż takiego znaczenia.

– Sprawdzę jeszcze arkusze archeologicznego zdjęcia Polski – mruknął magister.

– Rzuć też okiem, jak to wyglądało przed wojną. Mamy chyba niemieckie sztabówki?

– Tak, ale nie dla całego obszaru.

Ponownie zniknął. Wrócił z poślizniętym nieco arkuszem.

– Jest – powiedział, rozkładając go na stole. – Przed wojną ta wieś nazywała się Totenberg.

– Martwa Góra albo Góra Śmierci – westchnął profesor. – Niedobrze.

– Dlaczego?

– Myślę, że na wzgórzach znajdowano ludzkie kości. A to może oznaczać, że nasze cmentarzysko było rozgrzebywane przez tubylców. Z drugiej strony, kultura pomorska stosowała przeważnie kremację. Możliwe zatem, że nazwa wzięła się od jakiegoś innego cmentarza – zauważył łagodnie profesor. – Trzeba będzie zrobić kwerendę archiwaliów, warto by prześledzić dzieje okolicy i, co najważniejsze, sprawdzić, czy Niemiaszki nie kopały tam przed wojną.

– Zaraz się za to wezmę. Rekonesans chyba jutro dopiero...

Jaka to przyjemność widzieć pracownika naukowego, któremu jeszcze się chce – pomyślał profesor, opuszczając gabinet.

Paweł grzebał w dokumentacji przez ładnych kilka godzin. Nie natrafił na żadne ślady. Nawet pobliskie Lewkowo, którego prawa miejskie sięgały czternastego wieku, nigdy nie zainteresowało archeologów. Biała plama na mapach. Miejsce, gdzie można znaleźć dosłownie wszystko... Albo nic.

* * *

– Oto dobry dzień na dokonanie odkrycia naukowego, które wstrząśnie podwalinami archeologii – powiedział w zadumie magister Paweł Rawicz, patrząc, jak dziurawa szosa znika pod kołami samochodu.

– Tak pan sądzi, panie kolego? – Doktor Tomasz Olszakowski uśmiechnął się leciutko.

Od strony pobliskiego morza wiał ostry, lodowaty wiatr. Niebo zasnuwały ciężkie, ołowiane chmury.

– Jeśli to faktycznie jest cmentarzysko, będziemy potrzebowali kilku studentów do roboty – mruknął młodszy z uczonych.

– Owszem. Ale sądzę, że da się załatwić.

Drzewka po obu stronach drogi zgęstniały w rozległy zagajnik. Rawicz oderwał wzrok od szosy i gwizdnął cicho przez zęby.

– Niech pan spojrzy, doktorze...

Drzewa były niskie, powykręcane niemiłosiernie. Niektóre gałęzie rosły pionowo w górę, inne sterczały pod różnymi kątami. Zwykle, wydawałyby się, sosny przyjmowały kształty jak z chorej wyobraźni nowoczesnego artysty. Rawicz zahamował i otworzył okno, by lepiej się przyjrzeć. Las był cichy, nienaturalnie cichy.

– Nie podoba mi się tu – mruknął.

– Dlaczego? – zainteresował się jego towarzysz.

– Cicho... za cicho...

Faktycznie, tylko wiatr świstał pomiędzy powykręcanymi drzewami.

– Sądzę, że można to wyjaśnić – mruknął starszy z podróżników. – Tu były kiedyś radzieckie poligony. Widocznie ta część lasu stanowiła cel dla artylerii. Pociski potrzaskały młode drzewka, te przeżyły, ale rosną chore.

Zwierzęta uciekły. Ptaki podobno pamiętają przez całe pokolenia, że gdzieś nie należy się zapuszczać...

– Możliwe – mruknął Paweł. – Słyszałem, że na wybrzeżu Chile jest takie miejsce, gdzie w XIX wieku była stacja łowców fok. Kilka kilometrów dalej na plaży wylegają się ich setki, a tam, gdzie kiedyś na nie polowano, nie można odnaleźć ani jednej. Ale mimo wszystko tu jest dziwnie...

Zamknął okno i zapalił silnik. Samochód ruszył naprzód.

– Coś mi się zdaje, że i w drogę parę razy trafili – zażartował doktor, gdy mijali szczególnie rozległą dziurę w asfalcie. – Ale trzeba zwrócić na to uwagę. Jeśli tu był poligon, mogą się poniewierać niewypały. A studenci, sam pan wie, panie kolego, jacy są. Znajdą, to zaczną rozkręcać... I może być nieszczęście.

Wyjechali z lasu, przed nimi rozciągały się wydmy porośnięte lichą trawką i gdzieniegdzie krzewami. W powietrzu unosił się dziwny, trudny do określenia smród.

– Przeterminowane nawozy azotowe czy ki diabeł? – zastanawiał się doktor. – Zwyczajnie szambo tak nie śmierdzi...

– Może gnijące na brzegu morza wodorosty? – podsunął Paweł. – Wybrzeże niedaleko, zaraz za tymi wydmami.

Na poboczach, w krzakach, bieleły plastikiem dzikie wysypiska śmieci. Pola dawnego pegeeru wokoło zarastał już młody brzeziniak. Drzewka usiłowały czerpać soki z jałowej ziemi. Nadmorskie wiatry przyginały je do ziemi.

Rawicz dodał lekko gazu, podświadomie chciał wydostać się jak najszybciej z ponurej okolicy, jednak już po chwili znowu musiał zwolnić. Ta droga nie nadawała się do szybkiej jazdy. Przed samą wsią nawierzchnia nieoczekiwanie się poprawiła. Dziury zasypano tłuczoną cegłą i ubito na równo. Przyspieszył. Na nieprawdopodobnie sta – rej, zielonej tablicy – ileż

to już lat temu pozmieniano zielone tablice na białe? – widniała nazwa wsi. Korozja żrąca metal odsądziła lakier, całą powierzchnię pokrywały rdzawe purchle, ale ciągle widać było napis „Zgniła Woda”.

– Wygląda na to, że jesteśmy – powiedział doktor Olszakowski. – Trzeba odnaleźć tego nauczyciela.

– Zbigniewa Minca... – przypomniał magister.

Wjechał pomiędzy opłotki. Dwa rzędy baraków wzniesiono tu u zarania dziejów, zapewne jeszcze w okresie rozkwitu pomorskich pegeerów. Betonowe ściany pokryte rozbryzgami błota, pokrzywione, przepalone, ceglane kominy, sterczące z dachów pokrytych dziurawą papą. Największe otwory nakryto starymi workami po nawozach sztucznych, przygnięcionymi w rogach kawałkami cegieł. Nieprawdopodobnie brudne szyby i wykoślawione, rozłazące się, odrapane drzwi z płyty pilśniowej strzegły życia ludzi zamieszkujących te nory.

Przed domami, sądząc po resztkach ścieżek z płyt chodnikowych, znajdowały się w przeszłości niewielkie ogródki. Obecnie ciemne błocko podchodziło aż do drzwi. Nigdzie nie było widać tabliczek z numerami domów.

– Co za chlew – mruknął Paweł. – Rozumiem, że nędza, ale mogli te dziury w ścianach zaklajstrować choćby gliną...

– Nie chce im się, to któreś już pokolenia niewolników, jak nadzorca nie powie, sami się nie wezmą do roboty – powiedział Olszakowski. – Szkoda tych ludzi, ale cóż poradzimy?

– Szkoda... Ponuro tu jakoś...

– Bo i dzień taki ponury.

Pośrodku wsi, na niedużym placyku sterczał mocno pochylony budynek. Sądząc po grubych kratkach zabezpieczających brudne okna, był to sklep. Na betonowych schodkach siedziało kilku tubylców. We czterech rozpijali flaszkę taniego wina. Magister zatrzymał samochód i wysiedli.

Pomiędzy barakami snuła się woń fermentującego szamba. Na jednym z domów wisiała krzywo przytwierdzona zardzewiała tablica: „Szkoła Podstawowa w Lewkowie, filia w Zgniłej Wodzie”.

– Cywilizacja – zażartował Paweł, ale doktor nie podchwycił żartu.

Weszli po popękanych schodkach do sklepu. Szara od brudu lada obita ceratą, kilka półek, gdzieś torby z mąką i makaronem, jakieś słoiki z przetworami... Górną półkę zajmowało kilkadziesiąt flaszek wina „Ogier”. Za ladą na krześle siedziała rozlazła, zapasiona baba w nieokreślonym wieku.

– Wy czego? – zapytała.

– Szukamy Minca – powiedział Olszakowski.

– A, nauczyciela – burknęła. Zęby miała popsute. – A to pewnie w szkole jest...

– Panowie do mnie? – rozległo się z tyłu. Odwrócili się jak na komendę. W drzwiach stał jeden z autochtonów, którzy przed chwilą na schodach znęcali się nad flaszką. – Miło mi niezmiernie. Archeolodzy?

Przedstawili się i wymienili uścisk dłoni. Nauczyciel miał ciężką, kostropatą, murarską łapę. Wiało od niego wonią taniego wina.

– Zainteresował nas ten kawałek skorupy – wyjaśnił doktor. – Chcieliśmy obejrzeć miejsce znalezienia.

– Cztery flaszki – nauczyciel spokojnie wymienił cenę.

Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Tyle to będzie kosztowało – wyjaśnił Minc. – Za wszystko w tym kraju trzeba płacić.

– Cztery flaszki czego? – zapytał ostrożnie Rawicz.

– A, tego o „Ogiera” – wskazał półkę.

– Piętnaście złotych – wyjaśniła sprzedawczyni.

– Piętnaście złotych za takie gówno? – zdumiał się Olszakowski.

– Za cztery butelki z kaucją – uściśliła. – To co, podawać czy nie podawać, mi za gadanie nie płacą...

Magister odliczył żadaną kwotę. Nauczyciel umieścił dwie flaszki w kieszeniach marynarki a dwie wziął w dłonie.

– A szkło nie potrzebne? – sprzedawczyni wskazała gestem plastikowe kubeczki.

– E, jeszcze mamy – uspokoił ją.

Wyszedł przed sklep. Kumple na jego widok ożywili się wyraźnie.

– Chłopaki, załatwiłem wam dwie butelki od naszych nowych sponsorów – naukowców – powiedział nauczyciel.

Ukucnął, opierając się o ścianę, i wyciągnął przed siebie trzęsące się ręce z flaszkami. Puk, puk – wypuścił obie jednocześnie. Uderzyły o betonowe schodki. Magister ze zdumieniem spostrzegł, że od precyzyjnego uderzenia odpadły im denka. Nauczyciel złapał je za szyjki i jednym zręcznym uchem odwrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Denka zostały na stopniu, a on trzymał dwa jakby kielichy pełne złocistego napoju. Rozlał przy tym zaledwie kilka kropli. Podał wino kumplom i wstał.

– No to w drogę – powiedział do zaskoczonych archeologów.

– Niezła sztuczka – mruknął Rawicz, gdy sadowili się w samochodzie.

– A... z nudów człowiek tak do wprawy dochodzi – wyjaśnił Minc. – A ta skorupa, znaczy się, ciekawa?

– Tak nam się wydaje, ale musimy zobaczyć miejsce.

– Przydałyby się w okolicy wykopaliska – powiedział nauczyciel. – Bo, kurde, tu wszyscy na bezrobociu, kuroniówka to już się zakończyła... a do łopaty przyuczeni od małego. Na razie prosto.

Zaraz za wsią rozciągała się piaszczysta równina, porośnięta lichą trawą. Szosa zamieniła się w żuźłówkę, potem przeszła niezauważalnie w piaszczystą ścieżkę. Paweł po namyśle zatrzymał samochód. Minc, drzemiący na tylnym siedzeniu, otworzył oczy.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie pojedę po tym, zagrzebię się po osie w piasku.

Wysiedli. Magister wyjął z bagażnika torbę z saperką i składany świder, doktor zabrał torbę z lekkim sprzętem. Ruszyli na piechotę ścieżką przez wydmy.

– Co tak śmierdzi? – zapytał nauczyciela.

Każdy podmuch wiatru przynosił kolejne fale dziwnej woni.

– A, to szambo za wydumą wylewamy... Musi skisło... Pogoda była kiepska, od morza wiał ostry, chłodny wiatr, po niebie snuły się chmury. Gdzieś z piasku sterczało po kilka, kilkanaście kłosów zboża.

– To były pola waszego pegeeru? – zapytał Paweł, byle tylko przerwać nieznośne milczenie.

Nauczyciel rozejrzał się wokoło z frasunkiem.

– Coś tak jakby – powiedział. – Kazali obsiewać, ale i tak nie rosło. A teraz już, cholera, nawet obsiewać nie każą. Kiedyś robota była i pieniądze szły, a tak bezrobocie degraduje miejscowych – dodał naukowo. – Niby i tak wcześniej dochodów z tego nie było, bo tu nawet kombajnem nie było jak wjechać, ale ludzie czuli, że robią coś pożytecznego. Teraz o... – machnął ręką – parszywe czasy...

Wreszcie stanęli nad niewielkim kanionem przecinającym równinę. Woda deszczowa wyłobiła go sobie, płynąc w stronę odległego o pół kilometra morza. Kanion był szeroki na mniej więcej cztery metry i głęboki na jakieś półtora.

– O tu, patykami zaznaczyłem. – Minc wskazał leżący na dnie trójkąt.

Zeskoczyli na dno. Rawicz spojrział uważnie na ściany rowu. Mniej więcej dwadzieścia centymetrów nad dnem ciągnęła się cienka, ciemna warstewka, gruba na kilkanaście centymetrów.

– Poziom humusu pierwotnego – mruknął.

– Co to? – zaciekawiał się nauczyciel.

– Kiedyś tu był poziom ziemi, rosła trawa i odkładała się próchnica – wyjaśnił cierpliwie doktor. – Potem, prawdopodobnie na skutek potężnego spływu z którejś wydmy, ta powierzchnia została przykryta przeszło metrową warstwą piasku.

Ruszył dnem, aż dotarł do ułożonego z patyków znaku. Skrobnął podłoże saperką. Piasek, piasek... Warstwa pierwotna była tu wyżej.

Poskrobał się po głowie.

– Myślałem, że w warstwę humusu był wkopany grób – powiedział w zadumie. – Ale nie ma tu żadnych śladów. Widać to ucho woda przyniosła z góry.

– To może chodźmy poszukać? – zaproponował magister.

– Taki właśnie miałem zamiar.

Poszli w górę kanionu. Cały czas towarzyszyła im cienka, ciemna warstewka nad samym dnem.

– Sądzi pan, że to była jednorazowa katastrofa, czy może tak nanosiło ten piasek latami? – zapytał Minc doktora.

– Nie wiem. Nie wyobrażam sobie jednorazowego obsuwu, który pokryłby piachem tak duży obszar. To raczej były całe lata nawiewania. Może trawy na wydmach uległy wypaleniu, warstwa ziemi zerodowała i piasek zaczął swobodnie przemieszczać się z wiatrem... A może to na skutek jakiejś katastrofalnej ulewy tak naniosło...

– Morze to za daleko – dodał nauczyciel. Wyciągnął z kieszeni jedną flaszkę i zręcznie wyrwał korek zębami. Upił kilka łyków. Przeszli jeszcze dwadzieścia metrów. Teren wzniósł się, kanion miał teraz około dwu i pół metra głębokości. Patrzyli z niepokojem na piaskowe ściany, ale najwidoczniej trzymały się mocno. Warstwa humusu powoli wspinała się w górę; była teraz półtora metra nad dnem rowu. Nieoczekiwanie z boku pojawiła się nieregularna, ciemna plama.

– Znalezliśmy – mruknął Paweł.

– To? – W głosie nauczyciela pobrzmiwało rozczarowanie.

– Ktoś wykopał sporą dziurę w ówczesnej powierzchni ziemi – wyjaśnił Olszakowski, doczyszczając płamę saperką. – Wstawił do środka urnę i zasypał dziurę glebą zgarnianą wokoło. Jest trochę innego koloru niż ten piach.

Wydobył niewielki ułamek czarnej skorupy i pokazał im na dłoni. Przeszedł jeszcze kilka kroków, oglądając ściany, i wypatrzył kolejną ciemną plamę – tu brzusec urny wystawał ze ściany. Widać też było kawałek kamiennej płytki. Najwidoczniej ten grób miał kamienną obstawę po bokach.

– Metr ziemi do zdjęcia od góry – mruknął, patrząc na profil. – Sporo tu tego. – Zidentyfikował jeszcze dwa wykopy widoczne w skarpie. Na dnie rowu pojawiło się jeszcze kilkanaście kawałków czarnych skorup.

– Co to było? – zapytał nauczyciel. – Cmentarz, znaczy, tych jaskiniowców?

– Tak, ale to już nie byli jaskiniowcy. – Rawicz uśmiechnął się z wyższością. – Ludzie tacy jak my... Mieli gdzieś tu wioskę, a tu na pagórku założyli cmentarz. Ciekawe znalezisko.

– To jak będzie z nagrodą? – Oczy tubylca lekko zabłyśły.

– Wyślemy wniosek do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Trochę to potrwa, ale sądzę, że przyjdzie jakiś niewielki przekaz. Może nawet kilka tysięcy. Ważne, żeby nikt tu nie grzebał do czasu, jak wrócimy ze sprzętem.

– A tylko spróbują – mruknął Minc. – Zresztą nikt jeszcze nie wie, że to znalazłem.

– I bardzo dobrze. Trzeba to będzie naukowo zbadać. Wracajmy.

Cofnęli się do znaku z patyków i wyleźli na powierzchnię ziemi. Niebo zasnuły chmury i lada moment mógł lunąć deszcz. Odwieźli nauczyciela do wsi, wysiadł przed sklepem.

Paweł dodał gazu.

– Uf, paskudna okolica – powiedział do towarzysza.

– I ludzie nieciekawi – dodał doktor. – Ale co robić... Czasem nawet na śmietniku można znaleźć perły.

Rawicz jeszcze dodał gazu. Byle dalej od tego posępnego miejsca. Uciekali.

Wreszcie pojawiły się domy Lewkowa. Odrapane, walące się rudery, ale przecież wyglądały o niebo lepiej niż w Zgniłej Wodzie. Poczta, przystanek pekaesu. Cywilizacja. Doktor sprawdził telefon komórkowy. Aparat nadal nie łapał zasięgu. Dopiero dwa kilometry dalej nieoczekiwanie odnalazł sieć.

– Trzeba się zastanowić, gdzie się pomieścimy – powiedział Olszakowski, gdy wyjechali wreszcie na dobrą drogę.

– Ten pegeer wydaje się potwornie syfiasty...

– Łatwo sobie wyobrazić wnętrze tych baraków – mruknął magister. – Ściany wykończone płytą gipsowo-kartonową, przeżarte wieloletnim, ba, wielopokoleniowym brudem, zacieki od dziurawego sufitu, grzyby ścienne.

– Zapewne nawet tych rakotwórczych odmian – uzupełnił doktor.

– W dodatku nie sądzę, żeby mieli jakieś wolne pomieszczenia. Tych baraków jest tylko kilka a, jak widziałeś, kręciła się tam cała masa ludzi. Sądzę, że trzeba będzie podejść do sprawy tradycyjnie. Widziałem taką trawiastą łączkę kawałek na zachód od, nazwijmy to, kanionu. Myślę, że ziemia jest tam na tyle spoista, żeby utrzymała śledzie. A na strychu powinny być stare wojskowe namioty.

– Tak chyba trzeba będzie zrobić – westchnął doktor. – Ekspedycja jak w dziewiętnastym wieku...

– Prądu nie będzie – mruknął Paweł. – Można by pociągnąć ze wsi kabel, ale nie mamy dwukilometrowego drutu. A kupić, po te 70 groszy za metr, razy dwa tysiące...

– Sporo – powiedział Olszakowski. – Zresztą nie wiem, czy we wsi jest prąd.

– Jak to?

– W sklepie nie było lodówki, nie było też oświetlenia, choć dzień dość ponury.

– Przecież kołchoz, przepraszam, pegeer musiał mieć elektryczność. Elektryfikacja plus władza rad i reszta tych sloganów.

– Cztery kilometry do Lewkowa, niby niedaleko... ale mogło być inaczej. Mogli mieć w pegeerze własny agregat prądotwórczy, na przykład na ropę, a teraz, wraz z kryzysem i plajtą nie ma po prostu paliwa. Włączają go może na kilka godzin dziennie. Zresztą nie widziałem ani słupów trakcyjnych, ani anten na dachach.

– Szkoła musi mieć prąd. I w sklepie stał w kącie telewizor.

– Może i racja, zimą byłoby zbyt ciemno. W instytucie mamy jakiś agregat. Stary jak świat, ale trzeba sprawdzić, czy jeszcze działa.

* * *

Poranek we wsi. Wałące się domy, błoto, tubylcy na schodkach przed sklepikiem sączą pierwszą tego dnia flaszkę najtańszego wina. W powietrzu wisi mgła. Wszystko wokół jest szare, ponure i beznadziejne. Jedynym akcentem kolorystycznym, nie pasującym do otoczenia, jest czerwona półciężarówka instytutu. Rawicz wszedł do sklepu.

– Gdzie mieszka nauczyciel? – zapytał sprzedawczynię.

Spojrzała niego spode łba.

– A w szkole go znajdziecie – powiedziała. – Lekcje teraz ma...

Podjechali pod barak ozdobiony czerwoną tabliczką.

– Jedź już na miejsce – zwrócił się do Olszakowskiego.

– My dołączymy później, sprawdź tylko tę łączkę, co jest pod spodem...

– Wiem – doktor uśmiechnął się lekko.

Magister przypomniał sobie, kto jest kierownikiem ekspedycji, i zaczerwienił się. Aby ukryć zmieszanie, ruszył po schodkach do szkoły.

Pchnął drzwi z dykty. Były lepkie od brudu. Cuchnący moczem i stęchlizną ciemny korytarz. Ze środka dobiegał monotony, usypiający głos nauczyciela. Zapukał do drzwi opatrzonych tabliczką z napisem klasa I-IV.

– Wejść – rozległo się warknięcie.

Otworzył drzwi i wszedł do sali. W ławkach siedziało dziesięcioro dzieci w różnym wieku. Spojrzały na niego bezmyślnie. W powietrzu unosił się smród niemytych ciał, niepranych skarpetek i upiornej stęchlizny. Aż mu się zakręciło w głowie.

Nauczyciel spojrzał na wchodzącego.

– Ach, to pan. – Uśmiechnął się do archeologa. – To jak, będzie ekspedycja?

– Właśnie przywieźliśmy sprzęt. Do kogo należy to pole za rowem?

– A, pegeerowskie, możecie sobie kopać do woli. Syndyk sprzedał, co się dało, i już z pięć lat się nie pokazuje. A sołtysem wsi jestem ja i macie ode mnie pozwolenie.

– Uśmiechnął się ponownie. – Będziecie potrzebowali ludzi do roboty?

– Tak, ludzi z łopatami i z pięć par taczek.

– Da się załatwić. Koniec lekcji – huknął na dzieciaki. – Zmiatajcie do domów i powiedzcie starym, że za godzinę przed biurem będzie zebranie w sprawie pracy.

Dzieciarnia pozbierała zeszyty i nieliczne wystrzępione podręczniki i tłumnie rzuciła się do drzwi.

– Coś te dzieciaki mizerne – zauważył Rawicz, gdy Minc zamykał drzwi klasy.

– Bo to po pijanemu poczęte... Zwrócił pan uwagę na tę trójkę skośnookich?

– Tak... Zespół Downa?

– Gdzie tam, poligon radziecki. Baby ze wsi dupami na kiecki zarabiały. No i została pamiątka.

Przeszli przez wieś. Za barakami wznosił się budynek, w czasach świetności osady mieszczący zapewne biuro pegeeru. Obecnie konstrukcja przechyliła się na jedną stronę a okna zarosły pajęczynami. Nauczyciel wyłowił z kieszeni klucz i, pokonując zardzewiały zamek, puścił magistra do środka. Powietrze stało od wielu miesięcy. Było duszno i cuchnęło myszami.

– Są i narzędzia – mruknął Minc, otwierając kopniakiem drzwi. Faktycznie, na podłodze poniewierały się łopaty i szpadle. Rzucono je byle jak, na stos. Stalowe elementy pokryła delikatna kaszka rdzy.

– Taczki też są.

Na końcu korytarza pod ścianą stało kilka zardzewiałych egzemplarzy.

– Ludziska zaraz będą.

Wyszli przed barak. Stało tu już ze dwudziestu chłopów. Gapili się bezmyślnie na archeologa i sołtysa. Niektórzy drapali się po zmierzwionych kudłach lub nieogolonych mordach.

– Ilu potrzeba? – zapytał rzeczowo Minc.

– Nie więcej niż dziesięciu

– W szeregu zbiórka – huknął.

Ustawili się niechętnie. Minc wyjął z kieszeni elektroniczny alkomat.

– Pijani dwa kroki w tył – polecił. – Wstawieni też.

Szereg cofnął się posłusznie o dwa kroki.

– Trzeba było przyjechać przed otwarciem sklepu – wyjaśnił nauczyciel magistrowi. – O tej porze już późno... Trudno, bierzemy co jest. Dziesięciu do roboty przy łopatach wystąp – polecił. – Cztery złote za godzinę, dwanaście godzin dziennie, bez opierdalania się.

Prawie połowa odwróciła się na pięcie i odeszła. Zostało jedenastu.

– I żadnego chlania w miejscu pracy – uściślił nauczyciel.

Trzej kolejni zrezygnowali. Zostało ośmiu.

– Oto pańska ekipa – nauczyciel skinął głową Rawiczowi. – Taczki w dłoń, łopaty na taczki i na Trupią Górę

– Huknął.

– Eee, na Trupią Górę? – mruknął któryś.

– Coś ci się, Malinowski, nie podoba?

– No, to jakby powiedzieć, złe miejsce. Zresztą sam wiesz...

– Złe, nie złe, robota jest do wykonania. A jak który nie ma ochoty machać łopata, to niech spierdala w podskokach.

Wszyscy widać chcieli zarobić, bo nikt się nie ruszył.

* * *

Zazwyczaj laikom wydaje się, że praca archeologa jest łatwa i przyjemna. Siedzi się z pędzelkiem i odkurza tkwiące w ziemi skorupki. Owszem, archeolodzy zajmują się także odkurzaniem znalezisk, jest to jednak mniej więcej 5 procent ogólnego czasu pracy. W dziedzinie archeologii niewiele zmieniło się od XIX wieku. Nadal podstawowym narzędziem badawczym jest łopata. Zazwyczaj warstwy interesujące uczonych znajdują się pod powierzchnią ziemi. Czasem metr, czasem mniej. Nadmiar gleby należy usunąć. Można to zrobić na przykład spychaczem, każdorazowo usuwając około 30 centymetrów nadkładu. Jednak gdy zbliża się do warstw kulturowych, cennych dla nauki, spychacz odsyła się do bazy. Teraz głównym argumentem badawczym stają się łopata i taczka do wywożenia ziemi. To najgorszy możliwy moment. Należy zerwać warstwy geologiczne, uważając przy tym, by nie naruszyć specjalnie warstw kulturowych. Nadmiar ziemi należy wywieźć na hałdę. Każda taczka, jeśli się ją solidnie naładuje, to czterdzieści do pięćdziesięciu kilogramów. Bywają dni, że wywozi się ich nawet pięćdziesiąt. Metr sześcienny ziemi waży półtora tony.

Z reguły pierwsze praktyki wykopaliskowe studenci odbywają po drugim roku studiów. Chodzi o to, by nie zniechęcać ich przedwcześnie. Po całym dniu wypełnionym na przemian machaniem łopata i wywożeniem ziemi zdarzają się chwile załamania. Każde letnie praktyki owocują pewnym odsetkiem studentów, którzy przekonali się, że archeologia nie jest nauką dla nich.

Po zerwaniu nadkładu i szczęśliwym wywiezieniu go poza obszar wykopu zaczyna się kolejny etap zabawy. Powierzchnię należy wyrównać

gracą, sfotografować, zdjąć siatkę punktów niwelacji, narysować plan wykopu na papierze milimetrowym.

Potem można kopać dalej. Prowadząc łopatę na płask, zdejmuje się warstwę ziemi grubą na pięć do dziesięciu centymetrów. I znowu, doczyszczanie, niwelacja, fotografia, plan. W trakcie kopania, oczywiście, należy uważać na każde, najdrobniejsze nawet gówienko. Kawalki kości, paciorki, skorupki – to wszystko trafia do plastikowych torebek. Zdejmowane warstwy należy opisywać na specjalnych formularzach, na torebkach ze znaleziskami nanosi się numery warstw, w sumie okazuje się, że każdy ruch łopatą rodzi masę biurokratycznej roboty.

Na koniec ziemię z eksplorowanego obszaru należy przesiać przez sito o drobnych oczkach, celem pozyskania wszystkich tych drobnych artefaktów, które przeoczono przy kopaniu. Zbadanie wykopu o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych, na głębokość jednego metra może zająć miesiąc. Jeśli natrafi się na fundamenty, groby, wysypiska śmieci etc., czas pracy wydłuża się nawet trzykrotnie.

Doktor Olszakowski stał na szczycie wzgórza. Poniżej grupa byłych pegeerowców pracowała ciężko, usuwając nadkład. Oczyszczali kawałek o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia metrów. Cztery ary powierzchni. Ziemię wozili taczkami po kładce z desek i zsypywali ją do „kanionu”.

– Wydajność pracy minimalna – powiedział stojący opodal Paweł. – Mam nadzieję, że studenci pojawia się dziś wieczorem i od jutra będzie można ich zmienić.

– No cóż, odwykli od pracy – westchnął doktor. – Kiepsko się odżywiają, bardzo dużo piją, są efekty... Przypomina mi to takie opowiadanie o ufoludkach, którzy przylecieli nałapać na ziemi niewolników do pracy w kopalniach, złapali pijaczka i zrobili próby wytrzymałościowe, po czym odlecieli, sądząc, że Ziemianie do niczego się nie nadają.

Paweł parsknął śmiechem. Przeszedł kilka kroków i kopnął wystający z ziemi kawałek drutu. Po chwili wyciągnął z piasku miedzianą kratę liczącą sobie mniej więcej 70 na 70 centymetrów.

– A cóż to jest takiego? – zdumiał się. – Tak czy siak, współczesny śmieć...

– Przypuszczam, że to taka kratka, jakiej używają radiesteci – powiedział w zadumie Tomasz. – Wsuwają ją pod łóżka, żeby oddzielić się od żył wodnych.

– Czego to ludzie nie wymyślą – mruknął jego towarzysz, odrzucając siatkę. – Ano nic, trza zobaczyć, co też tam ukopali.

Zszedł niżej. Na sporej części powierzchni robotnicy odsłanili ciemniejszą warstewkę pierwotnego humusu. Przeszedł się.

– Dobrze kopujemy, nie? – zagadnął go Minc. – Ja tu ich pilnuję...

– Bardzo dobrze – pochwalił go archeolog.

W kilku miejscach warstwa pierwotna tworzyła nieduże pagórki o średnicy około półtora metra. Czy mogły to być nasypy grobowe, coś na kształt niewielkich kurhaników, które zapadły się i zostały rozmyte przez deszcze, jeszcze zanim lotne piaski pochłonęły starożytne cmentarzysko? Co kryły wewnątrz? W kilku miejscach spod ciemnej ziemi wystawały kamienie. Przypadek, czy może kamienne obudowy grobów? Trzeba będzie sprawdzić. Jeśli okaże się, że każdy taki pagórek kryje grób z urną twarzową, będzie to jedno z najbogatszych cmentarzysk tej kultury, jakie kiedykolwiek odkryto.

– Myślimy o tym samym? – zagadnął Olszakowski.

– Ponad dwadzieścia grobów na już odsłoniętym obszarze. A to oznaczać może dwie rzeczy.

– Ośrodek kultu, i to ważny – mruknął Rawicz.

– Świątynia i miejsce grzebalne. Albo osada. Duża osada, ludna, zamieszкана przez co najmniej kilkanaście, może kilkadziesiąt rodzin.

Osada, jakiej nie rozkopano od stu, może stu pięćdziesięciu lat. Sława, granty badawcze, robota na kilka lat...

– Wzbogacenie wiedzy o tym ludzie – dodał Olszakowski poważnie. – Do tej pory nie znamy ich miejsc kultu. Tu było wzgórze. Zazwyczaj cmentarze zakładali na południowych stokach, ale ten jest od strony północnej.

– Od południa niedaleko jest bagno. A to oznacza, że wieś była tu, między Trupią Górą a tamtymi wydmami. – Machnął ręką. – Może bliżej rzeki? Tak czy inaczej, to tylko cztery, może pięć kilometrów kwadratowych do przebadania. Studenci przywiozą świdry. Znajdziemy tę wiochę. Zrobimy odwierty w siatce co dziesięć metrów...

– Czyli sto na hektar, dziesięć tysięcy na kilometr kwadratowy – ostudził go starszy kolega. – Myślę, że raczej trzeba ściągnąć radar geologiczny i poszukać anomalii. A dopiero potem wiercić. Gdzieś tu powinna być niemiecka wioska. A nie widać po niej nawet śladu. Warstwa piachu nawianego z wydm musi być więc dość gruba.

– Wioska była tu? – zdziwił się Rawicz. – Sądziłem, że tam, gdzie pegeer...

– Nie, sprawdziłem na przedwojennej mapie i domierzyłem. Prawdopodobnie była pod tamtym zagajnikiem. – Wskazał brzeziniak. – Bo jeśli tu były pola pegeeru, to wyorywaliby kawałki cegły. No, ale to nie nasza sprawa. Szukamy czego innego. O, publiczność...

Na wydmie, kilkaset metrów od nich siedział jakiś ciemno ubrany człowiek.

* * *

Literatura i filmy ukształtowały XIX-wieczny obraz ekspedycji archeologicznych. Jałowa pustynia, na niej stoją namioty archeologów, w kociołku na ognisku warzy się strawa, zakurzone łopaty leżą na stosach przy wejściu do namiotów. Rzeczywistość z reguły jest inna. Archeolodzy wynajmują sobie kwatery w pobliskich wsiach, na teren wykopalisk dochodzą piechotą. W krajach bardziej egzotycznych niekiedy używa się jeszcze namiotów, częściej jednak ekspedycja posiada bazę w pobliskim miasteczku lub wznosi siłami miejscowych baraczki opodal terenu wykopalisk. Jeśli badania prowadzone są w miastach, archeolodzy oraz studenci odbywający praktyki gnieźdzą się w akademikach, pensjonatach lub najtańszych hotelach.

Wykopaliska w Zgniłej Wodzie miały wyglądać jak te klasyczne, z pionierskich lat archeologii. Na niedużej łączce, oddalonej o nie więcej niż sto metrów od terenu wykopalisk, wyrosły dwa duże, brezentowe, wojskowe namioty. W pierwszym stanęły składane stoły, krzesła i stalowe skrzynki z różnym wyposażeniem. W drugim, mniejszym, dwa składane łóżka dla kierownictwa. Obok pod daszkiem stanął stary jak świat agregat prądotwórczy i dwa kanistry ropy. Olszakowski odprowadził ciężarówkę do miasta, ale po sześciu godzinach przyjechał swoim fiatem, holując malutką, tysiąclitrową cysterne z wodą. Z kilku kamieni ułożono prowizoryczne palenisko. Spory kawałek łąki pozostał na namioty, w których zamieszkają studenci odbywający praktyki.

* * *

Studenci nadciągnęli późnym popołudniem. Magister widział ze swojego stanowiska na szczycie wydmy, jak pojawiają się na skraju wsi i maszerują, a raczej wloką ścieżką. Wreszcie dotarli do obozu. Doktor Olszakowski najwyraźniej udzielił im wstępnych instrukcji, bowiem sprawnie rozstawili swoje namioty, zamykając czworobok obozu.

– Fachowców sobie ściągacie? – zagadnął nauczyciel.

– Właśnie – mruknął Paweł.

– A co, mu już nie wystarczy? – spytał któryś z byłych pegeerowców.

– Są zadania, do których niezbędne jest kilkuletnie wykształcenie – wyjaśnił spokojnie kierownik. – Wy macie problemy nawet z tym, żeby odróżnić piasek od ciemniejszej gleby.

Spojrzał na zegarek. Siedemnasta.

– Fajrant – powiedział.

Zwalili łopaty na jeden stos i ustawili się w kolejkę. Wyplacał po 35 złotych. Na szczęście miał drobne.

Robotnicy zwinęli się szybko i sprawnie, po chwili ostatni zniknęli po drugiej stronie jaru.

Paweł ruszył do obozowiska. Olszakowski swoim zwyczajem tresował studentów.

– Bacność, obiboki – huknął, widząc wchodzącego do obozowiska przyjaciela. – W szeregu zbiórka!

Zebrali się niechętnie. Troje, dwie dziewczyny i jeden chłopak.

– Nazywam się Tomasz Olszakowski – powiedział spokojnie. – Na wstępie powiem, że bardzo nie lubię studentów i właśnie dlatego jestem kierownikiem tych wykopalisk. Rozkopujemy tu stanowisko wręcz bezcenne z naukowego punktu widzenia, więc wymagał będę ogromnej dokładności i ślepego posłuszeństwa w wykonywaniu moich poleceń. Usiądźcie.

Usiedli na składanych krzeselkach. On też zajął miejsce.

– A zatem po kolei – powiedział. – Na tym wzgórzu, które, nawiasem mówiąc, nazywa się Trupia Góra, znajduje się cmentarzysko kultury pomorskiej.

Ich twarze nie wyrażały nic poza uprzejmym zaciekawieniem.

– Chyba słyszeliście o kulturze pomorskiej? Profesor Hensel nazywa ją wejherowsko-krotoszyńską...

Nadal brak reakcji, ale zauważył, że są przestraszeni.

– Do licha, musieliście słyszeć na pierwszym roku! – huknął.

– Ale my... – jęknęła jedna z dziewcząt i zaraz umilkła, speszona.

– Jesteście przecież studentami...

– Tak, ale z egiptologii w Poznaniu – wyjaśniła druga.

– O żesz... – Przy studentach Paweł powstrzymał cisnące się na usta przekleństwo.

Zerwał się z krzesła i przeszedł kilka kroków po piachu.

– Byliście kiedyś na wykopaliskach? – rzucił pytanie przez ramię.

Trzy głowy pokręciły przecząco.

– To jest sabotaż – powiedział w przestrzeń.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałem – dodał Olszakowski. – Zamawiamy dwudziestu studentów, dostajemy tylko trójkę, w tym jednego z antropologii.

– To ja. – Jasnowłosey chłopak kiwnął dumnie głową.

– Ktoś nam pozazdrościł odkrycia – wydedukował Rawicz. – I co tu dalej robić? Chyba jedynym wyjściem jest zasypanie wszystkiego, zabetonowanie, żeby miejscowi nie dłubali i powrót tu za rok z większą ekipą.

– Poradzą sobie – mruknął doktor.

– Wątpię...

– Czy to aż takie trudne? – zagadnęła ta z warkoczem.

– My się szybko uczymy.

Rawicz podjął decyzję.

– Dobrze – powiedział z ciężkim westchnieniem.

– Angażujemy was. A od jutra do roboty. Zobaczymy, jak sobie poradzicie.

– Czy mógłby pan tak króciutko opowiedzieć o tej kulturze, którą będziemy badać? – zapytała nieśmiało jedna ze studentek.

– Dobrze. Jak masz na imię? Iwona? Faktycznie, przyda się wam trochę informacji. A więc wyobraźcie sobie, że jesteśmy na tych terenach w siódmym wieku przed naszą erą. Dopiero co przetoczyły się tędy watahy Scytów, które zniszczyły kulturę łużycką znaną wam zapewne doskonale z grodziska w Biskupinie. Zgliszczą grodów dopalają się, a tu na Pomorzu pojawia się nowa grupa, zwana kulturą pomorską. Jej przedstawiciele pozostawili po sobie bardzo niewiele. Bada się głównie cmentarzyska. Wiemy, że palili swoich zmarłych podobnie jak „łużycanie”, był to zresztą powszechny wówczas sposób pochówków. Popioły zbierali do urn kształtem zbliżonych do butelki po koniaku, tylko oczywiście znacznie większych i z zaokrąglonym dnem.

Studenci roześmieli się.

– Urny były grafitowane tak, że ich powierzchnia jest idealnie czarna. – Wyjął z kieszeni kawałek i zaprezentował. – W górnej ich części ryli kreski układające się w rysy twarzy, stąd też nazwa – urny twarzowe. Niewiele wiemy o ich życiu. Znaleziono ślady tylko kilku osad. Dlatego też liczymy bardzo, że gdzieś w tej dolinie, między Trupią Górą a wydmami, odnajdziemy kolejną. Okres istnienia ich cywilizacji musiał być w miarę spokojny – znalezione dotąd osiedla nie były obwarowane. Brak też śladów pożarów znanych choćby z łużyckiego Biskupina. Cztili jakichś bogów, na ściankach urn wyryto i napszczono białą farbą tak zwane ryty narracyjne – coś w rodzaju komiksów przedstawiających sceny z ich życia, a może

wierzenia... Najczęściej są to obrazki przedstawiające dachy domów lub drzewa, wozy, na których jadą wyniosłe postaci, może wodzowie, a może posągi bogów... Wokoło galopują konno na oklep inni ludzie. Może odrodzeni zmarli, a może uczestnicy wypraw wojennych...

– Bardzo ostrożne interpretacje – mruknął jasnowłosy student, Oleg.

– Owszem, ale gdybyś żył, powiedzmy, za tysiąc lat, co byłbyś w stanie wydedukować z zamazanego zdjęcia warszawskiej ulicy, nie mając w dodatku żadnych źródeł pisanych do historii naszego okresu?

– Warto wspomnieć o jeszcze jednej teorii – powiedział Rawicz. – mówi się o tym, że kultura pomorska mogła mieć związki z Etruskami. Profesor Hensel, zdaje się, jest tego prawie pewien. Widzicie, Etruskowie używali także urn twarzowych i, z grubsza, w podobnym okresie.

– Zapuścili się tu bursztynowym szlakiem? – zapytała druga z dziewcząt, Magda. – A potem jakaś grupa się tu osiedliła, aby skupować bursztyn?

– Teoretycznie można by coś takiego przypuszczać. Tyle tylko, że w tym czasie szlak przez nasze ziemie nie był jeszcze przetarty. Etruskowie znali bursztyn, przywozili go jednak z terenów dzisiejszych Niemiec. Poza tym ich urny twarzowe są innego kształtu. I używało ich tylko jedno etruskie plemię. Tak więc nie wiemy, czy kultura pomorska to ślad obcej penetracji, czy też nie...

– Jak można by to sprawdzić? – zaciekała się Iwona.

– Tylko w jeden sposób – powiedział poważnie Olszakowski. – Jeśli podczas badań ich cmentarzysk lub osad odnajdziemy jakieś towary, które Etruskowie przywieźli tu na wymianę. Sami widzicie, jak wielka szansa stoi przed nami...

* * *

Od rana Olszakowski pognął gromadkę na szczyt wzgórza. Poinstruował ich, jak należy doczyszczać powierzchnię, wyjaśnił, jak się rysuje plany wykopów. A potem zostawił ich przy pracy, a sam, ze świdrem na ramieniu, ruszył szukać osady. Paweł Rawicz dla odmiany siedział w obozowisku i oglądał zdjęcia lotnicze okolicy.

– Panie magistrze? – U wejścia do namiotu stała Magda.

– Tak? – Paweł oderwał się od kserokopii.

– Mamy problem. Grób numer 4.

Ruszył za nią. Obie dziewczyny, zgodnie z zaleceniem, przecięły wkop grobowy na pół i wybrały ziemię, by odrysować profil. Zrobiły to bardzo ładnie, jama była półkolistą, profil idealnie równy. Jego długość wynosiła nieco ponad metr, głębokość jamy sześćdziesiąt centymetrów.

Głębsza nie była potrzebna. Pochylił się nad dziurą i spojrzął z boku. Zasypisko grobu było jednolicie szare.

– Brakuje pochówku – powiedziała Iwona. – Nie ma urny.

– Przesiałyście ziemię? – W zasadzie niepotrzebnie zapytał. Pracowały tak dokładnie, że z pewnością o tym nie zapomniały.

Magda wskazała sito leżące na taczkach. Było puste. Na siatce o średnicy oczek trzech milimetrów pozostały tylko niewielkie kamyczki. Rozgarnął je palcami.

– Ani śladu przepalonych kości – stwierdził. – Ale w takim piasku mogły się rozłożyć prawie bez śladu.

Podłubał w profilu szpachelką, nigdzie nie widać było jasnej smugi mogącej być składem wapnia.

– Pewnie pochówek symboliczny – zawyrokował. – Bo gdyby wsypali tu resztki stosu pogrzebowego, powinny być konerkcje węgla drzewnych.

– U mnie to samo – zameldował Oleg znad sąsiedniego wykopu.

– No trudno. Odrysujcie profile i przesiejcie ziemię – polecił. – Nie zapomnijcie o fotografiach.

Wdrapał się na szczyt wzgórza. Z wzniesienia mógł ogarnąć wzrokiem całe cmentarzysko. Tabliczki z numerami oznaczające poszczególne groby układały się wyraźnie w dwa kręgi. Mniejszy – właśnie rozkopywany, i większy, zachodzący nań częściowo. Jego skrajnie wschodnią część pochłonał kanion wypłukany w piasku przez deszczówkę. Część zachodnia kryła się jeszcze pod warstwą nawianego piasku. Widać było tylko część obwodu.

– Trzeba będzie dokładnie sprawdzić środek mniejszego kręgu – odezwał się doktor Olszakowski.

Paweł nawet nie zauważył, kiedy kierownik stanął za jego plecami.

– I odsłonić w całości ten większy – powiedział poważnie. – Jeśli zachowali kształt z grubsza kolisty, to najdalej na południe wysunięte pochówki mamy gdzieś pod nogami.

– A środek nadal przykryty jest piaskiem. Zastanawia mnie co innego. Proszę zwrócić uwagę, że pochówki koncentrują się przy obrzeżach tego, ale sporo jest też wewnątrz, tymczasem, jeśli się spojrzy uważniej, widać pas ziemi nietkniętej przez naszych przodków. Coś jakby droga przecinająca mniejszy krąg i zahaczająca o większy. Droga prowadząca ze wzgórza w dolinę.

– W stronę wioski?

– Właśnie. Gdzieś tam jest ta cholerna wieś. Musimy ją odnaleźć.

– Jeśli wyznaczyli drogę idealnie prosto, to mamy jakieś szansę. Ale co, jeśli u stóp wzgórza zakręcała? Nie była w żaden sposób utwardzona, nie znajdziemy jej nigdy.

– Warto kontynuować wiercenia i zobaczymy, czy gdzieś nie znajdziemy cienkiej warstewki sadzy? Skoro tu, na cmentarzysku, nie

natrafiliśmy dotąd na żadne ślady stosów pogrzebowych, może palili zmarłych w pobliżu wsi?

– Albo w połowie drogi – uśmiechnął się Rawicz. – Trochę za daleko idąca hipoteza. Ale wierzenia trzeba będzie zrobić. Może uśmiechnie się do nas szczęście.

– Wieś potrzebowała wody – zastanawiał się nadal doktor. – Rzeczka jest w tej chwili dość daleko, ale może pierwotnie jej koryto przebiegało bliżej. Kurczę. Gdzie tu, na tych pięciu kilometrach kwadratowych piachu. A studentom nieźle idzie.

Poszedł w dolinę i znowu zaczął bawić się świdrem. Paweł pomagał studentom. Czas mijał powoli. Trzynasta, szesnasta, siedemnasta, przerwa na podwieczorek, osiemnasta... Skończyli o dwudziestej. Czternaście godzin pracy... Dwanaście przebadanych grobów, dwanaście rysunków, sześć rolek fotografii.

* * *

– To beznadziejne – powiedział Rawicz, leżąc na łóżku. Akumulatorowa lampa dawała jasne, mocne światło. Przeglądał w zadumie zdjęcie lotnicze terenu wykopalisk.

– Znajdziemy wieś – uspokoił go doktor. – I chyba nawet wymyśliłem jak.

Magister spojrzał na niego uważnie.

– Trzeba zrobić wiercenia, powiedzmy w siatce co 50 metrów. Zobaczymy grubość pokładu tej ciemnej warstwy. Koło wsi będzie gruba, ale zrobimy jeszcze jedną próbę. Zanalizujemy próbki na obecność pyłków roślin. Wszędzie pewnie będzie od cholery sosny, ale liczę na to, że trafimy też na zboże. Wyznaczymy z grubsza obszar, na którym znajdowały się pola uprawne tych sukinsynów. A wsi poszukamy w samym środeczku. Przecież musieli rozglądać się naokoło. Nie postawiliby domów na skraju lasu.

– W sumie nie wiemy nawet, czy żyli w czasach spokojnych, czy niespokojnych – westchnął Paweł. – Ile ich osad zbadano? Trzy?...

– Nasza będzie czwarta.

– Siatka co 50 metrów, czyli na kilometr kwadratowy czterysta punktów... 20 dni pracy.

– Owszem. Ale możemy oddelegować do tego dwoje studentów, niech robią jednocześnie po dwa odwierty. Mamy taśmy, trzeba będzie tylko zaznaczyć kołkami miejsca.

– Jest to jakiś pomysł. Ale wyniki będą bardzo niepewne.

– Przy odrobinie szczęścia odnajdziemy osadę. Poza tym przywiozłem ramowy wykrywacz metali. To wprawdzie jeszcze nie epoka żelaza, ale nie da się wykluczyć, że trafimy na jakiś zapomniany kociołek albo kubek z brązu.

– Na równinie grubość warstwy piasku wynosi co najmniej pół metra, a w niektórych miejscach pewnie więcej.

– Owszem. Ale ramowym sięgniesz efektywnie na metr, może półtora w głąb... Zajmiemy się tym jutro.

– Zgoda.

Pół godziny później obaj uczeni spali. W ciemnościach słychać było brzęk gitary i chrzęst zgniatanych puszek po piwie. Studenci na swój sposób odreagowywali zmęczenie po całym dniu ciężkiej pracy.

* * *

Ramowy wykrywacz metali najczęściej posiada kwadratową cewkę w kształcie ramy o wymiarach metr na metr. Do cewki kablem podczepia się ważącą kilka kilogramów metalową skrzynkę z aparaturą pomiarową. W starszych modelach skrzynka potrafi być naprawdę ciężka. Maksymalny zasięg tego typu urządzeń wynosi około dwu metrów, jednak, aby wykryć przedmiot spoczywający tak głęboko, musi mieć on wielkość samochodu osobowego.

Oleg szedł z wykrywaczem. Omiałał cewką ziemię, badając na raz pas szerokości około dwu metrów. Magister Rawicz, dzierżąc w dłoni saperkę i sito skrzynkowe, podążał na nim. Co jakiś czas urządzenie wydawało pisk. Gleba kryła w sobie różności: kawałki drutu, zęby bron, puszki po piwie i konserwach, sreberka z papierosów.

– Ależ tu zaśmiecili – mruknął Oleg, zmieniając ścierpniętą rękę. – Aż dziwne, że mieszkańcy Zgniłej Wody nie zajmują się poszukiwaniem złomu.

Nieoczekiwanie urządzenie zahuczało mocniej.

– Coś dużego – stwierdził. – Podłużne. Dwa, może dwa i pół metra długości. Radziecka rakietka typu katusza, skoro poligon niedaleko – zażartował.

– Nie da się wykluczyć – odparł magister. – Pokaż, gdzie ma środek, lepiej nie trafić na zapalnik.

– Poważnie myśli pan?

– Poważnie. Cholera wie, co tu wyrabiali.

Po kilkunastu sztychach saperką ziemia odsłoniła swoją tajemnicę – kawał grubej stalowej liny.

– Szukanie pomorskiej wsi to jak igły w stogu siana – westchnął student.

– Owszem, ale pożytek ze znalezienia będzie większy. – Magister klepnął go w ramię, zmuszając do podjęcia wędrówki.

Przeszli jeszcze kilkanaście metrów, gdy wykrywacz nieoczekiwanie zabuczał.

– I co tu mamy? – Paweł wbił saperkę w ziemię.

– To jest duże, podłużnego kształtu, jakieś dwa metry długości i z półtora szerokości. – Pod cienką warstwą ziemi pojawił się jasny piach, jednak nie był on jednolity. Szare pasma układały się w zarys sporego dołu.

– Cholera – zastanowił się archeolog. – Skocz, ściągnij resztę. Z grackami, nie zapomnijcie o niwelatorze. Coś mamy, założymy tu nieduży wykop.

Wyjął z kieszeni GPS i zaznaczył na mapie miejsce wykopu.

Przyleciał Olszakowski z drewnianymi palikami.

– Dwa na dwa – poleciał Rawicz.

– Coś ciekawego?

– Cholera wie, daje sygnał, jakby u zakopano cały stos kociołków z brązu.

Nadbiegły dziewczyny z łopatami i grackami.

– Doczyście i narysujemy – poleciał.

Oczyściły. Potem jedna pobiegła do niwelatora, a druga zmierzyła wysokość miejsca.

– Wykop grobowy? – zastanawiał się doktor.

– Musieliby go pochować w miedzianym kotle.

Niwelacja i rysunek.

– Zdejmijcie warstwę plantem, dziesięć centymetrów – poleciał studentom.

– Gdzie sypać ziemię?

– Tu na bok. – Wskazał ręką.

Nieoczekiwanie spod warstwy gleby błysnęła czerwienią korozja. Czubek czegoś okrągłego. Pochylił się ze szpachelką w dłoni i obkopał starannie znalezisko dookoła. Obok jedna z dziewcząt odsłoniła długie pasmo sklejjącej piasek rdzy.

– Cholera – westchnął wreszcie magister.

Teraz widać było, że to, co odsłania, to hełm o charakterystycznym kształcie. Doktor wgryzł się w piach.

– Lufa – zameldował.

Przestali się spieszyć. Kości palców mimo upływu lat nadal zaciśnięte na spuście. Czaszka nieco kruszyła się w dłoniach. Kości...

– Niemiec – mruknął Oleg, obracając w dłoniach blachę identyfikacyjną.

– Musiał siedzieć tu w dole i zasypał go wybuch pocisku. – Doktor w zadumie popatrzył na niedaleki lej, ciągle jeszcze widoczny w trawie. – No cóż, nie będziemy się nad okupantem rozczulać. – Powkładał kości do tekturowego pudełka. – Dam znać Czerwonemu Krzyżowi, pewnie żyje jakaś jego rodzina, niech go sobie zabierają...

Przegrzebali piasek, odnajdując jeszcze podeszwy butów, kości nóg i futerał z resztkami okularów. Mundur ani dokumenty nie zachowały się.

– W zasadzie to nie był okupantem – stwierdził Oleg, gdy doktor zakładał pokrywę na pudło. – Przed wojną to były tereny niemieckie.

– No to poległ, broniąc ojczyzny. – Olszakowski wzruszył ramionami. – Wstawcie do magazynu – polecił. Zbadał jeszcze wykrywaczem metali dno jamy i znalazł odznakę NSDAP. – Ale należało mu się – dodał, wrzucając ją do plastikowej torebki.

– Często się znajduje takie rzeczy? – zapytała Magda.

Zauważył, że trochę pobladła.

– Czasami – powiedział niechętnie. – Nie przejmuj się, w tym zawodzie po pewnym czasie można się przyzwyczać.

Do wieczora nie znaleźli nic ciekawego. Tymczasem dziewczyny z doktorem przekopały jeszcze osiem grobów, kończąc tym samym mniejszy okrąg...

* * *

Lekkie potrząsanie wyrwało Pawła z głębokiego snu.

– Co się stało? – zapytał sennie, uchylając powieki.

W namiocie było ciemno.

– Ktoś nam wlażł w szkodę – wyjaśnił doktor. – Ma pan broń?

– W szkodę? Cholera.

Ubrał się pospiesznie. Sprawdził pistolet gazowy. Wyszli przed namiot. Była trzecia nad ranem. Niebo jeszcze wieczorem zasnuły chmury, ciemno było, że oko wykol. Na szczycie wzgórza coś połyskiwało dziwnie.

Doktor podał mu lornetkę.

– Lampa naftowa i jeszcze coś – ocenił. – Zaraz na kraju naszego cmentarzyska...

– Jakież kłopoty? – zapytał w ciemności Oleg. Widocznie też się obudził.

– Masz jakąś broń? – zapytał Rawicz

– Maczetę.

– Ktoś nam ryje na cmentarzysku. Zajdziemy go z trzech stron.

– Jasne. – Olszakowski klepnął się po dłoni kijem bejsbolowym. – Latarki zapalmy w ostatnim momencie czy stukniemy go po ciemku?

– Może być ich kilku. Chodźmy.

Ruszyli pospiesznie dobrze znaną drogą. Lampa na szczycie wydmy nie poruszała się. Rozdzielili się i podeszli od trzech stron.

– A co tu się, do cholery, dzieje – huknął Olszakowski, zapalając halogenowy reflektor.

Na kracie z miedzianych prętów siedział półnagi mężczyzna z brodą. W rogach kraty płonęły cmentarne znicze, lampa stała opodal. Siedzący w

zaciśniętych dłoniach trzymał dwa ostrosłupy z żółtego, lekko prześwitującego kamienia. Na wrzask archeologa otworzył oczy.

– Przerwał mi pan kontakt z duchami – powiedział z naganą w głosie.

– Ja cię zaraz, świrze, ustawię! – Doktor zamierzył się kijem. – Coś ty za jeden?

– Marek Etter, bioenergoterapeuta, a przy okazji medium – wyjaśnił siedzący.

– Won z naszego terenu – warknął doktor.

– To wolny kraj – odgryzł się Etter. – Mam prawo tu przebywać. Zresztą w tym miejscu nie kopiecie jeszcze nic.

– Cała ta góra jest terenem wykopalisk – powiedział spokojnie Rawicz. – Mamy umowę podpisaną z wójtem.

Etter opuścił dłonie i schował kamienie do skórzanej sakwy przy pasie.

– Usiłuję uspokoić duchy tych, którym rozgrzebałicie groby – powiedział.

– Ekstra – warknął Olszakowski. – Nie lubię świrów. A zwłaszcza nie lubię nawiedzonych świrów. A po prostu nie cierpię, jak mi idioci włożą do wykopów.

– Rusz mnie tylko, a odpowiesz za prześladowania religijne – uśmiechnął się bioenergoterapeuta. – I tak popsuliście obrzęd, który usiłowałem odprawić od czterech godzin.

– Medycyna alternatywna dla inteligentnych inaczej – parsknął Tomasz. – A siedź tutaj goły na wietrze i zdechnij na zapalenie płuc – warknął i odszedł w ciemność.

– Kolega pański ma wyraźne problemy z czakrą serca – powiedział Etter. – Bardzo ciemna i zakłócona aura. Może mógłbym mu pomóc poprzez spalenie kadzidła i odmówienie mantry?

Rawicz wzruszył ramionami.

– Chodźmy – powiedział do studenta.

- Zostawimy go tu?
- A w czym on nam przeszkadza? – Machnął dłonią.
- Niech siedzi choćby do usranej śmierci...

Dwadzieścia minut później, zagrzebany w ciepłym śpiworze, ponownie zapadł w sen.

* * *

– Tak swoją drogą – zastanawiał się Rawicz, goląc się przed niedużym lustrem. – To można by wykorzystać naszego nowego znajomego.

– Jakiego znajomego? – zdziwił się Olszakowski.

– Tego świra, co w nocy siedział na wydmie. Skoro on taki szaman, to niech nam pokaże gdzie była wioska.

Doktor zatrzymał się w pół kroku.

– Żarty – parsknął. – Taki hochsztapler? Strata czasu.

– Może tak, a może nie... Profesor Gąsowski używał jasnowidzów podczas wykopalisk.

– Taaa... Ale profesor Gąsowski cieszył się odpowiednim autorytetem i drobne dziwactwa w niczym mu nie zaszkodziły, a nas, panie kolego, towarzystwo naukowe za taki numer zetrze na miazgę.

– Nie, jeśli znajdziemy wioskę. W takim przypadku zastosują zasadę „cel uświęca środki”.

Olszakowski westchnął.

– Wiesz co? Zdumiewa mnie twoja naiwność. Jeśli znajdziemy wioskę, to skupi się na nas niechęć całego środowiska. Jest kupa zazdrosnych palantów, którzy zrobią wszystko, aby nas zdyskredytować i odsunąć od tych badań. Oskarżą nas o rozkład moralny i alkoholizm, będą rozpuszczać wszelkie możliwe plotki, co tylko przyjdzie im do głowy... A ty byś chciał oddać w ich ręce narzędzie, dzięki któremu byłby potwierdzony zarzut wysługiwania się hochsztaplerami?

– Nie wierzy pan w możliwości jasnovidzenia?

– Nie, i póki żaden z jasnowidzów nie wygra w lotto, nie uwierzę.

– Może wygrywają? – westchnął Rawicz. – Ostatecznie ktoś co najmniej raz na tydzień trafia szóstkę. Może to właśnie jasnowidze? W

gazetach co i raz ogłaszają się nowi. Widać ci poprzedni wygrali i już nie muszą tak zarabiać na życie...

Doktor mruknął pod nosem jakiś komentarz, zrobił to jednak na tyle cicho, że magister mógł tylko domyślać się jego treści. Wyszedł przed namiot. Na szczycie Trupiej Góry było pusto. Nocny gość zabrał widać swoje graty i jeszcze przed świtem ulotnił się z miejsca, w którym nocą odprawiał swoje tajemnicze obrzędy.

O ósmej rano studenci stawili się do pracy. Przekopanie i zadokumentowanie ostatnich czterech grobów (jeden znowu okazał się pusty) zajęło im nie więcej niż dwie godziny.

Rawicz zarządził przerwę śniadaniową a sam dokładnie obejrzał plany.

– Trzeba będzie ruszyć szczyt – powiedział do Tomasza, który, siedząc na krześle, ostrzył pilnikiem krawędź szpadla. Miał przy tym minę, jakby chciał tym narzędziem poderżnąć komuś gardło.

– Trzeba będzie ściągnąć metr albo i półtora piachu – zauważył. – Wzywamy nauczyciela i roboty?

– A mamy jakieś inne wyjście? – Magister wzruszył ramionami. – Skoczę do wsi.

Poszedł. Olszakowski obejrzał szczyt wydmy. Kopnął w zadumie butem w podłoże.

– A wy coście się tak rozsiedli – huknął na studentów. – Przerwa śniadaniowa skończyła się półtorej minuty temu.

– To co mamy robić? – zapytał Oleg.

Tomasz poskrobał się po głowie. Faktycznie, chwilowo nie było tu dla nich nic do roboty.

– W sumie to nic – mruknął. – Rozkazuję odpoczywać!

Gdy wydał polecenie, od razu poczuł się lepiej. Niebawem nadciągnął nauczyciel z robotami. Przyszedł też magister.

– Szczyt pagórka plantem – poleciał. – Zdjąć dziesięć centymetrów i do rowu. – Wskazał jar.

Ułożyli ścieżki z desek, po chwili pierwsze taczki piachu runęły do dziury.

– Macie od wczoraj coś ciekawego? – zagadnął Minc. Kierownik wzruszył ramionami.

– Nic. Kojarzycie takiego świra? W nocy się przyplątał...

– Takiego, co siada na kablach ze świeczkami w rękach? – upewnił się nauczyciel. – Znamy, a jakże... Palant straszny. A co, przeszkadzał wam?

– Nie, tylko sobie tu siedział – odrzekł doktor.

– A, on często tu się kręci. Na tej górcie siada, a to znów na wydmach po drugiej stronie. Chyba go tu coś ciągnie. Ale jakby trzeba mu było gnaty przetrącić, to za stówaka da się zrobić.

Tomasz uśmiechnął się do swoich myśli.

– Pomyślę – mruknął. Łopaty o coś zgrzytnęły.

– Stop – poleciał Rawicz, wyminął szereg robotników i przyjrzał się oczyszczonemu już kawałkowi.

– Doktorze!

Olszakowski szybko znalazł się przy nim. Pod cienką warstwą lichej trawy i próchnicy rysował się kwadrat z cegieł.

Oleg szybko omiół go szczotką. Cegły otaczały kwadratowy otwór o boku mniej więcej dwudziestu pięciu centymetrów. Wewnątrz widać było jeszcze ślady przepróchniałego drewna.

– Ciekawe – stwierdził kierownik. – Czyścić dalej, ale ostrożnie.

– Pewnie w tym miejscu kiedyś stał krzyż, a to taka podmurówka, żeby lepiej się trzymał w piachu – zauważył student.

– Nie da się wykluczyć.

Robotnicy zerwali drugą dziesięciocentymetrową warstwę. Na zachód od tajemniczej podmurówki zarysowała się istna płatanina ciemniejszych

plam.

– Dobra, jesteście na dzisiaj wolni. – Rawicz wyciągnął z kieszeni zegarek. Robotnicy pracowali niecałą godzinę.

– Kurde – odezwał się jeden z nich. – A nie dałoby się dłużej popracować? Może jeszcze coś wam zrównać?

– Na razie nie trzeba – uciął ostro. – Po dychu na łba – odliczył banknoty.

Zaszemrali z uznaniem i ruszyli do wsi. Tu, ze szczytu wzgórza, widać było, że skierowali się prosto do sklepu.

– Trzy flaszki na twarz – mruknął doktor z naganą.

– Jeśli będziemy ich jutro potrzebowali, będą do niczego.

– Liczę się z tym – powiedział Paweł. – Ale sądzę, że to zajmie nam więcej czasu. Co może pan powiedzieć o ceglach?

– Gotycka palcówka. Dobrze spojone wapnem. Sądząc po zaokrągleniu, szczyt tego sześcianu wystawał ponad powierzchnię ziemi przez co najmniej kilkadziesiąt lat. Biorąc pod uwagę, jak płytko był przykryty, zaryzykuję stwierdzenie, że prawie przez cały czas był narażony na warunki pogodowe. Wapno jest trzech różnych odcieni, co jakiś czas ktoś to konserwował, uzupełniając fugi.

– A więc krzyż na wzgórzu, a wokoło chyba cmentarz. Średniowieczny?

– Nie wiem, możliwe. Ta wieś, nie wiemy, jak stara była. Trzeba będzie w brzeziniaku założyć jakiś wykop sondażowy. Tak dla porównania.

– Co robimy? – zapytała Magda.

– Sądzę, że trzeba się bliżej przyjrzeć tamtym plamom – powiedział Rawicz. – Ale najpierw założycie siatkę i narysujemy sobie to dokładnie.

Jęknęli zgodnie, ale widząc minę doktora, posłusznie zabrali się za wbijanie kołków i naciąganie sznurka. Narysowanie planu zajęło im dwie godziny. Zrobili jeszcze niwelację i byli gotowi do dalszej pracy.

– Zdejmujcie grackami – polecił. Pierwsze kości tkwiły tuż pod powierzchnią.

– Nie podoba mi się to – mruknął Tomasz, patrząc na wyłaniające się spod ziemi żebra i czaszkę.

– Dlaczego? – zapytała Iwona.

– Te zwłoki leżą bardzo płytko – wyjaśnił. – Zobaczcie, na jakiej wysokości jest ten ceglany kominek. Można powiedzieć, że tego nieboszczyka nie zakopali, tylko przyprószyli ziemią.

Ukląkł ze szpachelką i zaczął starannie odsłaniać kości.

– U la la – burknął.

– Coś ciekawego? – zainteresował się Rawicz.

– Tak. Dla naszego antropologa. – Poszukał wzrokiem Olega. – Co o tym powiesz? – Wskazał jedną z rąk szkieletu.

– Pęknięta kość promienista. Złamanie zastawne? – upewnił się.

– Tak...

– Co to znaczy? – zapytała Magda.

– To bardzo proste – wyjaśnił Oleg. – To znaczy, że temu komuś złamano rękę w walce. Ktoś chciał go uderzyć pałką albo bronią, a on sparował cios przedramieniem, uderzenie było jednak na tyle silne, że kość nie wytrzymała.

– Do tego złamane dwa żebra – stwierdził archeolog, odsłaniając resztę szkieletu. – Zajmij się nogami...

Student przykląkł i zaczął odsłaniać kości.

– Brakuje stóp – zameldował. – Piszczele są przecięte, brak dolnych stawów.

– Jedna stopa jest tu. – Doktor pokazał kości, które zaczęły się zarysowywać koło ramienia zmarłego.

Odmiótł starannie czaszkę i teraz szukał jej połączenia z resztą szkieletu.

– Ciężko uszkodzony obojczyk, a do tego wszystkiego gość został uduszony – zakończył ponuro.

– Skąd to wiadomo? – zdziwiła się Iwona. – Zobacz sama. – Wskazał jej ręką. – Ta kość, to z grdyki. Jeśli ktoś dusi człowieka, to ona najczęściej pęka. Kto na ochotnika narysuje?

Rawicz przesiał ziemię wybraną spomiędzy kości. Po sprzączce od pasa zachował się tylko rdzawy ślad na miednicy, ale na sicie zostały trzy kościane guziki od koszuli.

– Gdzieś między XV a XX wiekiem – mruknął, chowając je do torebki i opisując. – Ano, fotografia pamiątkowa i pakujemy pierwszą ofiarę do pudełka...

Karton pomieścił wszystkie kości. Zabrali się za kolejny grób. Tu także nieboszczyk pogrzebany został bardzo płytko i także przed śmiercią uduszony. W trzecim to samo, złamana kość grdyki. Ten szkielet miał dodatkowo złamane obie ręce i kości goleni.

– Jakiś rozbójnik tu grasował czy ki diabeł? – zdziwiła się Magda.

– Nie rozbójnik – wyjaśnił Olszakowski. – Tak okaleczało średniowieczne prawo. Tu stała szubienica. – Wskazał ceglana platformę. – A tych, na których wykonano wyrok, po prostu zakopywano wokoło. Złamania zastawne – niektórzy widać stawiali opór – obcięta stóp, łamanie członków... Nasi przodkowie cenili takie rozrywki.

– Widać wieś była pełna kryminalistów – stwierdził Oleg, patrząc na liczne ciemniejsze plamy. – Grobów a grobów...

– Sądzę raczej, że tu wykonywano wyroki na mieszczanach z Lewkowa – wyjaśnił Rawicz... – To tylko kilka kilometrów, a miejsca egzekucji najczęściej były oddalone o dwa do sześciu kilometrów od miejscowości. I wcale nie było tych kryminalistów tak dużo. Naliczyłem siedemnaście jam, nie we wszystkich muszą być pochówki. Szubienica w tym miejscu mogła stać nawet...

– Nawet trzysta lat – dopowiedział Tomasz. – To by dawało mniej więcej jeden wyrok śmierci na dwadzieścia lat. Chyba przejadę się jutro do Lewkowa i zobaczę, co mają w gminnym archiwum. Jeśli zachowały się stare księgi sądowe, to niewykluczone, że na podstawie obdukcji zwłok i rodzajów zadanych im obrażeń uda nam się zidentyfikować niektórych spośród tych ptaszków.

Do wieczora rozkopali i zadokumentowali cztery groby. Cztery kartony kości dołączyły w magazynie do piątego – kryjącego szkielet esesmana.

* * *

Po całym dniu wykopalisk, gdy mięśnie tężeją od wielogodzinnego machania łopata, wieczór zazwyczaj przynosi ulgę. Zazwyczaj... Olszakowski wsiadł w swojego fiata i pojechał w świat. Rawicz odczekał, aż studenci wy – pluskają się w rzece i zjedzą spóźniony obiad, a potem brutalnie poderwał ich do roboty.

– Spać trzeba było w nocy – powiedział. – Odpoczynek ogłupia.

– Co mamy robić? – Oleg, leżący na karimacie przed swoim namiotem, leniwie otworzył oczy.

– Trzeba narysować skorupki, pomierzyć, posklejać, sfotografować...

Jęknęli, ale zebrali się w namiocie magazynowym. Na stołach kreślarskich spoczywały już równo przycięte arkusze brystolu oraz świeżo zatemperowane ołówki.

Magister w drugim kącie urządził przenośne atelier fotograficzne. Ustawił arkusz papieru jako tło, podłożył czerwoną szmatkę w charakterze podstawy. Doświetlił całość kilkoma reflektorkami. Ustawił aparat i statyw. Po kolei umieszczał na miejscu urny. Błyskał flesz.

– Zdjęcia do książki będą? – zainteresowała się Magda.

– Nie, to tylko fotografia dokumentacyjna – wyjaśnił. – Do publikacji trzeba będzie dać fachowcowi.

Mijały godziny. Siedemnaście urn. Każdą obfotografował z trzech stron. Dziewczyny skończyły rysować. Pokazał im, jak unieruchamia się klejone skorupy wilgotnym piaskiem w kuwecie.

Zerwał się wiatr. Oleg wyszedł przed namiot i węszył dłuższą chwilę.

– Chyba idzie deszcz – powiedział. Paweł wyjrzał na zewnątrz.

– Też tak mi się wydaje – mruknął. – Pójdę na wzgórze, nakryję wykopy folią. A wy tu dokończcie i jesteście na dzisiaj wolni.

Zabrał cztery arkusze grubej folii, takiej, jakiej używają malarze do zabezpieczenia podłóg i mebli przy odnawianiu. Zabrał też skrzynkę czterocalowych gwoździ. Powędrował na szczyt. Starannie rozłożył pierwszy arkusz i przyspilił jego krawędź do podłoża.

– Może pomogę – rozległ się głos.

Podniósł wzrok. Na szczycie, tuż obok podstawy szubienicy, stał Marek Etter.

– Dziękuję, poradzę sobie – odparł Rawicz. – Znowu jakieś wywoływanie duchów? Burza chyba idzie.

– Owszem, ale nauczyłem się nie zwracać uwagi na pogodę – powiedział bioenergoterapeuta. – Pański przyjaciel, zdaje się, pojechał sobie?

– Tak.

– Bo, jak zauważyłem zeszłej nocy, pan nie ma nic przeciwko mojej obecności?

– Jest mi to obojętne. Póki nie dewastuje pan stanowiska archeologicznego. – Wzruszył ramionami.

Ukląkł i rozwinął kolejny arkusz. Wiatr się wzmagił.

– Nie powinniście tu kopać – przestrzegł Marek. – To złe miejsce.

– Złe miejsce – powtórzył archeolog. – A dlaczego niby ma być złe?

– Tu, w ziemi, drzemie jakaś potężna siła. Uwięziona, głodna... Może duch, może demon...

– Dlaczego nie wylazła?

– Jest zapieczętowana, tak sadzę.

– Czyli wygrzebiemy urnę, otworzymy, a wtedy spełni nasze trzy życzenia?

– Hmm. W urnie? Nie, raczej nie...

Pawłowi znudziło się słuchanie świra. Przyspilił ostatni arkusz i popatrzył zadowolony na swoje dzieło.

– Szykownie – ocenił. – Jak w angielskim podręczniku. Lepiej, żeby pan tu nie siedział podczas burzy, to najwyższy możliwy punkt w okolicy. Jeszcze jakiś piorun pana trafi – powiedział poważnie.

– Pierścień Atlantydwów ochroni mnie przed mocą żywiołów – wyjaśnił szalencie, rozkładając sobie swoją miedzianą kratkę.

Magister ruszył w dół. W chwili, gdy wchodził do namiotu, w brezent uderzyły pierwsze krople deszczu. Zjadł dwie kanapki a potem wyrzwał na zewnątrz. W namiocie magazynowym paliło się ciągle światło.

– Zapomnieli zgasić – wydedukował. Ruszył w tamtą stronę. Zanurkował pod brezentem. Studenci siedzieli przy stole. Paliły się na nim dwie świece. Ich płomienie odbijały się w butelce taniego wina owocowego „Ogier”.

– Przyszedł nasz kierownik – ucieszył się Oleg. – Karniaka dla naszego kierownika!

Zaraz też nalał do szklanki złocistego płynu z flaszki. Paweł usiadł ciężko na krześle.

– Co wy tu pijecie? – mruknął, oglądając butelkę. – Jakąś pryłę za 3,50...

Kierownik przełknął łyk „Ogiera” z podsuniętej szklanki. Wino miało nieokreślony, syntetyczny, owocowy posmak. Do tego, jakby z głębi, przebijała ciężka woń spirytusu zbożowego.

Wygulgał szklankę trzema łykami, a potem zza pudła z teodolitem wyjął flaszkę bimbru kupionego od nauczyciela.

– Też nie macie się czym truć – powiedział, stawiając ją na stole. – To przynajmniej produkt ekologiczny.

Wypili, zakąsili kiszonymi ogórkami, po które pobiegł do swojego namiotu student. Wypili na drugą nogę.

– U, mocne – mruknęła Iwona.

– Z buraków chyba nastawione. – Kierownik smakował przez chwilę.

Na zewnątrz słyhać było dalekie grzmoty, od czasu do czasu światło błyskawicy rozświetlało na moment gruby brezent. Deszcz bił o ściany.

– I Boh trojcu lubit – zażartował po rosyjsku, nalewając trzecią kolejkę.

Wypili. We flaszcze pozostało kilka kropli na dnie. Strzasnął je na ziemię.

– To dla nich – powiedział.

– Dla kogo? – nie zrozumiał Oleg.

Rawicz wskazał stojące w kacie pudła, do których pozbierali kości i rząd skrzynek z urnami. Magda wzdrygnęła się.

– To oni są tutaj?

– No przecież nie trzymamy szkieletów pod własnymi łózkami – zażartował. – Choć i tak bywało. – Przypomniał sobie dawniejsze wykopaliska.

– My w zasadzie pijemy jak na cmentarzu – powiedziała. – Tu jest...

– Więcej żywych niż martwych – mruknął. – Siedemnaście urn, co najmniej po jednym w środku. I jeszcze czterech kryminalistów...

– Jak to, co najmniej po jednym? – zdziwiła się Iwona.

– No cóż, w takich urnach można znaleźć resztki spalonych kości nawet siedmiu osób – wyjaśnił. – Genetycy to ustalili. Najczęściej nieboszczycy są ze sobą spokrewnieni. Nie wiemy jednak, dlaczego tak jest. Może po śmierci głowy rodu zabijano część jego dzieci, może po prostu z grzebaniem członków rodziny czekano, aż nazbiera się odpowiednia ilość ciał i palono wtedy jeden duży stos pogrzebowy? Tak było oszczędniej.

Wyciągnął drugą flaszkę i popatrzył po nich. Oleg podsunął swoją szklankę ale dziewczęta najwyraźniej straciły ochotę do picia.

– Nie bójcie się – powiedział – Nic nam nie zrobią. Umarli nie gryzą... Zazwyczaj.

Chyba nie uwierzyły. Burza się zbliżała. Rozbłyśki stawały się coraz silniejsze. Pioruny były gdzieś w odległości dwu lub trzech kilometrów.

Deszcz ustał, ale wiatr jeszcze się wzmógł. Dopili z Olegiem drugą butelkę.

Wreszcie studenci poszli spać. Rawicz obszedł jeszcze raz dookoła namioty, sprawdzając, czy śledzie dobrze trzymają się gruntu. Wicher stawał się coraz bardziej porywisty. Po bimbrze odrobinę plątały mu się nogi. Burza oddalała się w głąb lądu, pioruny waliły w coś za lasem raz po raz.

– Pewnie jakieś poligonowe instalacje przyciągają – mruknął. Nieoczekiwanie niebo rozdarła oślepiająco jasna błyskawica. Piorun uderzył gdzieś w szczyt Trupiej Góry. Huk prawie zbił magistra z nóg. Dłuższą chwilę dzwoniło mu w uszach a przed oczyma latały kolorowe plamy.

– Kurde – jęknął.

Potrząsnął głową i już miał schronić się w namiocie, gdy nagle przypomniał sobie o pomyłonym bioenergoterapeucie. Jeśli pozostał tam na szczycie... Miedziana kratka mogła się naelektryzować...

– O zesz... – warknął i puścił się biegiem.

Na szczycie wzgórza zapalił latarkę. Widok, który zobaczył w pierwszej chwili, potwierdził jego najgorsze przypuszczenia. Etter leżał na ziemi, zwinięty w pól. Archeolog podbiegł do niego. Światło latarki padło na wytrzeszczone oko. Żrenica drgnęła, a powieka opadła. A więc żył.

– Co z tobą?

Marek potrząsnął głową i spróbował się podnieść.

– Nic nie słyszę – powiedział. – Ogłuszyło mnie całkiem. Po chwili zaczął odzyskiwać słuch.

– Ale walnęło! – powiedział. – Chciało mnie ukatrupić, ale nie trafiło. Pierścień Atlantydów chroni...

Wstał chwiejnie. Archeolog zatoczył latarką krąg. Światło wydobyło z ciemności spalony, powykręcany na wszystkie strony wrak roweru.

– Blisko walnęło – stwierdził. – Dwanaście, może piętnaście metrów. Trochę bliżej i nie rozmawialibyśmy teraz...

Bioenergoterapeuta ponownie potrząsnął głową.

– Chce się wyrwać na wolność – powiedział – Dlatego uderzyło w to miejsce. Chciał, żeby piorun przebił piasek i uwolnił go.

– Tak, oczywiście. – Paweł przypomniał sobie, że wariatom należy potakiwać.

– Ale dziękuję za troskę. – Etter zadawał się odzyskiwać siły. – Dziś już chyba na nic... Pojadę., pójdę do domu.

Faktycznie, odwrócił się i odszedł w mrok. Burza dogasała. Deszcz jak gdyby tylko czekał na tę chwilę. Lunął niespodziewanie. Rawicz, przygięty do ziemi, pobiegł w stronę namiotu.

* * *

– Prawie połowa miesiąca – mruknął doktor Olszakowski, patrząc w zadumie na powierzchnię stanowiska. – Niewiele zrobiliśmy.

– Jak to, niewiele? – obruszyła się Magda. – Rozkopaliśmy większość grobów i wszystkie te średniowieczne spod szubienicy.

Wzruszył ramionami.

– No faktycznie – mruknął. – Ale tu nie było dużo roboty. A tymczasem powinniśmy jeszcze zlokalizować osadę tych nieboszczyków. Musi gdzieś tu być.

– Niekoniecznie – westchnął Rawicz. – Mogła być trzy kilometry w tamtą stronę – pokazał dłonią wydmy, zza których słychać było odległy huk morza. – Nie wiemy, ile lądu zniknęło w ciągu ostatnich dwu tysięcy lat. To brzeg klifowy, jak w Trzęsaczu. Nasza osada mogła dawno pójść na rybki. Arkona na Rugii, badana jeszcze w XIX wieku, obecnie nie istnieje. Morze zabrało kawał wyspy.

– Co to jest Trzęsacz? – zapytała Iwona. Olszakowski wzniósł oczy ku niebu.

– To taka wieś, nad Bałtykiem – powiedział. – W XIII wieku zbudowano tam kościół, ceglany, stał w środku wsi trzy kilometry od brzegu morza. W ciągu pięciuset lat woda zabrała cały ten kawał lądu. Pod koniec XIX wieku stał już na krawędzi skarpy. Nie było wówczas jeszcze środków technicznych, które pozwoliłyby go zabezpieczyć. Pewnej nocy po silnym sztormie runęły ściany i dach. Dziś już tylko fragment prezbiterium stoi na szczycie klifu. Zresztą, żeby nie szukać daleko, także kościół w Helu, na końcu mierzei, też częściowo runął podmyty przez morze.

– A, ten dawny, protestancki, gdzie teraz jest muzeum – mruknął Oleg. – Byłem tam kilka lat temu. Nie wiedziałem, że to tak...

Robotnicy sprawnie machali łopatami i niebawem odsłoniли dawną powierzchnię wzgórza.

– No i sprawdziło się nasze przypuszczenie... – mruknął Rawicz.

Ślady dawnych grobów układały się w okrąg, zalegały ponad metr poniżej poziomu średniowiecznego cmentarza otaczającego szubienicę. Nieco z boku zarysowała się nieregularna plama czarnego piachu. Obaj archeolodzy pochyłili się nad nią.

– Na północ stąd było miejsce budowy stosów pogrzebowych – powiedział magister do studentów. – Może jakieś piętnaście metrów.

– Odsłaniajcie w tamtą stronę. – Doktor wskazał robotnikom.

– Skąd pan to wie? – Minc spojrzał na niego zdziwiony.

– To proste. To ciemniejsze zabarwienie spowodowała spadająca z dymu sadza. Wiatry, tak jak dzisiaj, wieją przeważnie od strony morza. Gdy tam płonęły stosy, popiół, sadzę, węgle drzewne zwiewało w tym kierunku.

Studenci założyli siatkę, przedłużając po prostu tę służącą im do badania wcześniej odsłoniętych grobów. Zdjęli niwelacje.

Olszakowski stanął pośrodku kręgu i w zadumie po – skrobał gracką ziemię.

– Mamy tu przebarwienie – zwrócił się do magistra.

– Proszę zwrócić uwagę...

– Faktycznie. Dziura przeszło dwa na dwa metry – mruknął Paweł. – Ale prawie jednolita z otoczeniem.

– Szybko wykopali i zasypali, a potem ubili na równo – wysunął przypuszczenie Tomasz. – Naruszyli jednak strukturę ziemi i na tym kawałku nastąpiło silniejsze bielcowanie warstwy humusu.

– Czyli starali się zamaskować to, co tu zakopali? – zainteresował się Oleg.

– Być może – powiedział pogodnie. – Zobaczymy, jak tu pokopie.

Wyjął ze skrzynki szprychę rowerową i spokojnie wbił ją w glebę.

– Oho, coś twardego – stwierdził. Dźgnął obok. Szprycha weszła na jakieś dwadzieścia centymetrów i ponownie natrafiła na przeszkodę.

Studenci do wieczora przekopali z pomocą obu uczonych jeszcze osiem grobów. W czterech były urny twarzowe, w jednym nieduże pudełko z wypalanej gliny – bardzo rzadko spotykana urna domkowa. Ponadto przy przesiewaniu ziemi znaleziono brązowy kolczyk lub zausznicę. Robotnicy odnaleźli i odsłanili miejsce, gdzie kiedyś płonęły stosy pogrzebowe, nie było w nim jednak nic ciekawego. Platforma z niedużych przepalonych otoczków i cienka, smolista warstwa powstała ze smoły wytapiającej się z sosnowych szczap. Archeolodzy narysowali, obfotografowali i zasypali ją z powrotem ziemią. Może kiedyś ktoś zechce to dokładniej badać lub pobrać próbki do badań radiowęglą C14...

* * *

– Udany dzień – mruknął po kolacji Rawicz.

Ustawił wykopane tego dnia urny na stole i fotografował je spokojnie.

– Ja też uważam, że nieźle poszło – doktor był w dobrym humorze. – I jakoś się ten świr siadający na siatce nie pojawiał.

– Pewnie dochodzi do siebie po tym uderzeniu pioruna – mruknął magister.

– Będzie miał nauczkę na przyszłość, żeby się tu nie kręcić – warknął Tomasz.

– W sumie jest nieszkodliwy.

– Może i tak, ale nie lubię takich nawiedzenców. Czemu siedzi tutaj, a nie na tym zasypanym, poniemieckim cmentarzu?

– Bo tam nie kopujemy – uśmiechnął się Rawicz. – Tamtych duchów nie musi uspokajać. Swoją drogą, słyszałem, że na uniwersytecie Kardynała Wyszyńskiego ktoś pisze pracę na temat zachowania kościelnych procedur ekshumacyjnych przy pracach archeologicznych.

– Hy hy hy – zaśmiał się doktor. – Może jeszcze mamy zabierać na wykopaliska kapelana? Przecież to wszystko poganie! – Splunął przez drzwi namiotu w stronę wzgórza.

– Chodźmy spać, króliki nam się w mózgu lęgną.

Wyszli przed namiot. Studenci siedzieli przy niewielkim ognisku.

– Oto i nasze kierownictwo – ucieszył się Oleg. – Napijcie się panowie bimbrow z prostymi studentami?

– A coś ty się tak w mleku wściekłej krowy rozsmakował? – zdziwił się Paweł.

– „Jak ktoś pracuje jak bydlę, to musi potem pić jak bydlę” – antropolog zacytował Jacka Londona.

– Coś z racji w tym jest – mruknął doktor. – Wynikałoby z tego, że najciężej pracują studenci archeologii z Warszawy.

Siedli w kręgu.

– Bimber – mruknął Rawicz. – To mi przypomina rodzinną wiochę mojego dziadka.

– To tutaj niewiele droższe do wina, a sam pan mówił, że te tanie jabcki szkodzą – wyjaśnił chłopak. – Zresztą my sobie robimy drinki – pokazał dwulitrową butlę coli.

Olszakowski nalał sobie do blaszanego kubka bimbrowa z pięciolitrowej plastikowej butli, wypił jednym haustem, nalał sobie raz jeszcze i znowu wypił bez mrugnięcia okiem.

– Niezłe – mruknął.

Pili i zagryzali pieczoną kiełbasą. Na szczycie wzgórza rozbłysło światełko lampy naftowej. Etter znowu coś odprawiał.

– Wypiję jeszcze kubek, to może ten palant przestanie mi przeszkadzać – powiedział z nadzieją doktor i wysuszył trzecią kolejkę.

Brało go w oczach. Był już zdrowo pijany.

– Jutro nasz wielki dzień – stwierdził z patosem. – Dobierzemy się tym sukinsynom pomorskim do skóry, odnajdziemy to, co próbowali przed nami ukrywać – zarechotał wesoło.

Usiłował zjeść kawałek kiełbasy, ale omal nie wyjął sobie oka patykiem.

– A co będziemy robili przez resztę miesiąca? – zaciekawiał się Oleg. – Mamy odwalić 20 dni praktyk.

– Poszukacie wioski – wyjaśnił Tomasz. – I znajdziecie ją, choćbyście mieli sami wykopać tu system rowów sondażowych długości stu kilometrów. Pokażę wam, jak się robi wielkie odkrycia.

– Chyba już wystarczy, doktorze – łagodnie zwrócił mu uwagę Paweł.

Zwierzchnik wstał chwiejnie i poszedł do namiotu. Po chwili wynurzył się z kijem bejsbolowym w dłoni.

– Śmierć hochsztaplerom – powiedział mściwie i ruszył w stronę pełgającego na wzgórzu światełka.

– O jeden kubek za dużo tego dobrego – zauważył sentencjonalnie magister.

– Jeszcze rozbije głowę temu jasnowidzowi – zaniepokoiła się Iwona.

– Fakt. – Rawicz dopił swoją porcję i ruszył za Olszakowskim. Dogonił go u stóp wzgórza. Doktor łąził w kółko na czworaka. Kij gdzieś zgubił.

– Witaj w krainie szalonej krowy – powiedział na widok podwładnego a potem zamuczał i ruszył w jego stronę.

– O, do diabła – przestraszył się magister i cofnął. Doktor, ciągle mucząc, opuścił głowę i zaczął skubać trawę. Nadbiegł Oleg.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie wiem. Zwariował od wody czy co?

– A nie wierzyłem, że alkohol przemienia człowieka w zwierzę – spróbował zażartować student.

Doktor ponownie zamuczał. Przestało im być do śmiechu.

– To nie jest delirium – powiedział poważnie magister. – Ile wypił, może z pół litra?

Obalił zwierzchnika na ziemię. Oleg unieruchomił Olszakowskiemu rękę. Doktor nadal wydawał z siebie krowie ryki. Paweł zaświecił mu latarką w oczy. Malował się w nich całkowity obłąd.

– Cholera – zaklął.

Z góry nadbiegł Marek.

– Co się stało? – zapytał.

– Kurde, odbiło mojemu szefowi – wyjaśnił archeolog.

Bioenergoterapeuta zrobił mądrą minę.

– Wyczuwam tu silne zaburzenia aury. Coś nie w porządku jest też z czakrą mowy.

– A jakże – zironizował Rawicz. – To akurat słyhać! Doktor zachowywał się spokojnie, tylko muczał co chwila żałośnie.

– Chyba będę potrafił mu pomóc – Etter wyjął z kieszeni wahadełko. – Zaczniemy od rozczesania aury, potem zastosujemy świecowanie uszu. Nie od rzeczy byłoby też spalenie przy nim wiechcia lnu...

– A w dupę sobie wsadź wiecheć lnu i podpal – wrzasnął doktor na przedstawiciela medycyny niekonwencjonalnej.

A potem znowu zaczął muczeć. Puścili go. Olszakowski opuścił głowę i długo wymiotował na ziemię przeżutą trawą. Skończywszy, poszedł gdzieś w ciemność. Rawicz po chwili ruszył jego śladem, ale zwierzchnik zniknął, jakby go ziemia pochłonęła.

Była prawie jedenasta, gdy magister dotarł do obozu. Oleg jeszcze nie spał. Czekał.

– Wrócił i śpi w magazynie – wyjaśnił.

– A cholera by go wzięła! Skąd taki nagły atak obłądu?

– Wszyscy piliśmy to samo... – Student najwyraźniej miał wyrzuty sumienia.

– Właśnie – mruknął magister. – Można by przyjąć, że pędzili bimber ze słodu, a ziarno było skażone sporyszem. On wywołuje podobne objawy, ataki szaku, zaburzenia świadomości. Tylko że stężenie trucizny musiałoby być identyczne w całym roztworze. No, i jest to bimber z buraków cukrowych. A tymczasem wszyscy czujemy się dobrze.

– Może zaszła interakcja z jakimiś lekami? Nie wie pan, czy czegoś nie brał?

– Chyba nie... Cholera. Idźmy spać, jutro ciężki dzień...

* * *

Zaczęli o ósmej rano. Dzień był chłodny, po niebie sunęły ciemne chmury, jednak w powietrzu nie było czuć tej dziwnej ociążałości, która zwiastuje deszcz. Olszakowskiego zostawili w spokoju, żeby odespał nocne udawanie szalonej krowy.

Plama, leżąca w środku kręgu grobów, po oczyszczeniu grackami ukazała się w całej okazałości. Była niemal idealnie kwadratowa, miała dwa na dwa metry. Dwadzieścia centymetrów poniżej powierzchni ziemi natrafili na warstwę gliny udeptanej z niewielkimi kamieniami. To o nie wyginała się szprycha, którą poprzedniego dnia doktor badał znalezisko. Na glinie jeszcze teraz odznaczały się krwistoczerwone plamy.

– W tych miejscach palili ogniska – wyjaśnił Rawicz studentom, wykonując fotografie dokumentacyjne.

– Deszcze wypłukały częściowo węgiel, ale pozostały takie placki gliniastej ziemi wypalanej na cegłę. Zresztą w Egipcie są znajduwane podobne ślady. Z tego, co pamiętam, w sprawozdaniu profesora Myśliwca koło grobu Meref – Nebefa Hefi w Sakkara też były takie placki w miejscach, gdzie palono mu kadzidło na ofiarę.

– Co z tym robimy? – zapytał Oleg.

– Niestety rozbieramy – polecił. – Tylko najpierw rysunek. – Powstrzymał ich niszczycielskie zapędy.

– A ja sądzę, że to nie jest ślad ogni ofiarnych, tylko rytualnego oczyszczenia ziemi – powiedział spokojnie Marek Etter.

Zajęci pracą, nie zauważyli, jak się zjawił. Siedział teraz na podstawie szubienicy i obserwował ich przez lekko przyciemnione okulary. W obu dłoniach trzymał kamienie przycięte w ostrosłupy. Amulety podzwaniały mu na szyi.

Zignorowali go. Poniżej glinianej polepy pojawiła się warstwa żółtego piasku. Wyglądała na nienaruszoną nigdy przez człowieka, ale Rawicz nie dał się zwieść. Zdjęli ją plantem, dziesięć centymetrów. Potem jeszcze raz. Dopiero po trzecim plantowaniu pojawiały się węgle drzewne. Układały się w wielką spiralę.

– Cholera – mruknął Rawicz, fotografując znalezisko.

– A to ci dopiero...

– To krętoodróg – powiedział Etter. – Ktoś dołożył starań, aby ten pogrzebany pod spodem nie znalazł drogi do świata żywych. Spirala zawsze kieruje go z powrotem w głąb ziemi.

– A skąd te wiadomości? – zagadnął zjadliwie Paweł.

– Identyczne znaki wyryto na megalitach we Francji.

– Nie ten okres historyczny – parsknął archeolog.

– A co do wirujących linii wyrytych na menhirach i dolmenach, przychyliam się do tezy profesora Wiercińskiego, że był to zapis wizji powstających przy spożyciu ziół zawierających substancje pokrewne LSD. Wówczas często pojawiają się takie wiry.

Etter wyjął z kieszeni wahadełko. Wyciągnął rękę ze sznureczkiem. Masywny, mosiężny stożek zaczął wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

– Nie kopcie głębiej – powiedział spokojnie. – Tu w ziemi ukrywa się straszna, destrukcyjna siła...

Zadokumentowali warstwę, zniwelowali. Pobrali próbki węgla do próby C14. Znowu zeszli plantem. I jeszcze raz. Dopiero gdy byli już przeszło metr poniżej powierzchni ziemi, natrafili na kolejne znalezisko. Na dnie wykopu pojawiła się, prostokątna z grubsza, kamienna płyta ozdobiona rysunkiem kilku spirali. Długość jej boku wynosiła nieco ponad metr.

– Przerwa, dwadzieścia minut – zarządził magister. Wyleźli z wykopu. Oleg przyniósł butlę coli, której w końcu nie wypili wieczorem. Nalał

dziewczynom do kubków. Wyjęli kanapki. Etter też miał drugie śniadanie, ale zjadł wcześniej. Teraz, nie pytając o pozwolenie, zszedł na dno wykopu i „obwąchał” płytę wahadełkiem. Mruczał przy tym coś sam do siebie.

– I jak, dużo złota pod spodem? – zażartował Rawicz.

Bioenergoterapeuta wygramolił się z wnętrza jamy. Był lekko pobladły. Archeolog zauważył rozszerzone źrenice gościa i uśmiechnął się do swoich myśli.

– Coś wam opowiem – westchnął intruz. – W 1941 roku radzieccy archeolodzy postanowili zbadać mauzoleum Guri Emir, grobowiec Timura w Samarkandzie. Grób wpuszczony jest w podłogę i przygnieciony płytą z marmuru o wadze przeszło 240 pudów, czyli na nasze prawie cztery tony. W grobowcu na ścianie znajdował się ostrzegawczy napis. Informował, że w grobie uwięziony został demon straszliwej wojny, i że ten, kto płytę podniesie, uwolni go. Jednak Ruskie się zaparli. Zaczepili płytę linami i ponieśli dźwigiem. Zeszło im aż do późnej nocy. Wreszcie o trzeciej nad ranem zdołali tego dokonać...

– I co było w środku? – zaciekawiała się Magda.

– Trumna nakryta zetłałym całunem – mruknął Oleg. – Obecny przy badaniach profesor Gierasimow, twórca metody odtwarzania rysów zmarłych na podstawie czaszek, zabrał głowę wodza i zrobił potem rekonstrukcję.

– A demon? – Magda popatrzyła na bioenergoterapeutę. – Nie wymordował archeologów?

– Dwie godziny później hitlerowcy bombardowali Kijów – powiedział Etter. – Faszyści doszli prawie do Uralu. Zginęły dziesiątki milionów ludzi. Są groby, których nie należy otwierać...

– Jasne, a wrzesień 1939 roku to był kawałek innej wojny. I pod tą płytą siedzi coś takiego samego – mruknął magister. – Gotowi? Podnosimy razem.

Zeskoczyli na dno.

– Ja was ostrzegam – powiedział Marek – Tego nie wolno ruszać! Oni zadali sobie dużo trudu, aby zabezpieczyć to miejsce.

– Bo i w tamtych czasach grasowały hieny cmentarne – wyjaśnił Rawicz. – Stąd maskowanie, ciężki kamień i tak dalej. Gotowi? – Trzy głowy skinęły. – No to razem.

Unieśli płytę i ostrożnie odłożyli ją na bok. Skrzynia, ułożona z dobrze dopasowanych kamieni, była do połowy wysokości wypełniona drobniutkim, miłkim piaskiem, który najwidoczniej przez całe tysiąclecia osypywał się do środka. Stały w niej trzy urny twarzowe, pokryte pięknymi rytami narracyjnymi. W kącie leżała szczeka świni, jednak rozsypała się, gdy Oleg jej dotknął. Pozostały tylko popękane zęby i garść białego pyłu kostnego.

– Cholera – zaklął przyszły antropolog.

– Aparat – polecił magister.

Dziewczyny wyszły z wykopu. Jakiś cień przesłonił słońce. Wariat z wahadełkiem... Rawicz miał ochotę powiedzieć coś złośliwego ale powstrzymał się. Etter przesunął teraz dla odmiany kryształową kulką ponad dnem grobu.

– Uciekło – powiedział. – Nie wyczuwam już żadnych wibracji.

Faktycznie wahadełko w jego dłoni wisiało jak martwe.

– No i dobrze. Nic nas nie pogryzie. – Uśmiechnął się archeolog.

Oleg podał mu aparat. Kilkanaście szybkich fotografii z różnych ujęć, potem wyszedł na brzeg wykopu i strzelił jeszcze kilka zdjęć.

Bioenergoterapeuta odwrócił się bez słowa i powędrował w stronę wsi.

– A ładnie to tak bez kierownika groby otwierać? – Usłyszeli nad sobą zgryźliwy głos Olszakowskiego.

– O, wrócił pan? – zdziwił się Oleg.

– Otruliście mnie tym bimbrem, ale już mi lepiej – warknął szef. – No, ale popiliśmy zdrowo – powiedział zadowolony. – Umiecie zdrowo wypić, a to w naszym zawodzie bardzo ważne.

Stał dłuższą chwilę nad krawędzią wykopu i patrzył w opróżnioną powoli jamę grobu. Narysowali i zadokumentowali. Rozebrali obudowę i sprawdzili jeszcze boczne ściany. Urny i płytę zanieśli do magazynu. Umyli się starannie po ciężkiej pracy. Dziewczęta zakrzętnęły się przy obiedzie. Zjedli klopsiki w sosie.

– Trzeba będzie wezwać robotników, aby zasypali wykopy – powiedział zadowolony Rawicz, klepiąc się po pełnym brzuchu. – Ile mamy urn?

– Dwadzieścia trzy, to więcej niż ma w swoich zbiorach muzeum w Gdańsku – powiedział zadowolony Olszakowski – I jeszcze ta domkowa... Są tylko trzy podobne.

Oleg spojrzał na zachód.

– Niemieckich bombowców nie widać – zażartował. – Trzeba by jakoś to uczcić – mruknął w zadumie. – Ostatecznie odwaliliśmy w ten tydzień ogromną robotę. Skończyliśmy już cmentarzysko?

– Tak – potwierdził kierownik.

– No to może skoczmy do sklepu?

– Po wino – wpadł mu w słowo doktor. – Byle nie to o nazwie „Ogier”. Do tego kupcie kiełbasy, zrobimy sobie znowu ognisko. I trzeba kupić puszki na jutro i chleb. Dziś poświętujemy sukcesy.

– Sam nie dam rady wszystkiego przydźwigać – mruknął Oleg.

– Pójdę z tobą – zaofiarował się magister. Ruszyli ścieżką do wsi.

* * *

– W sumie to żal mi tego pomysłu – powiedział student. – Naprawdę się przejął...

– Zdarzają się tacy. Tu i tak mamy święty spokój. Jeśli będziesz kopał w mieście, zawsze przylezie cały tłumek takich, którzy zechcą się podzielić wiedzą. Na przykład będą radzili, żeby kopać dalej, bo tam są zagrzebane przez hitlerowców brylanty... Czasem przyjdą jacyś nawiedzeńcy z różdżkami i wahadełkami, tacy jak ten. Jasnowidze, obiecujący wskazać miejsca sensacyjnych odkryć, szarlatani, naciągacze, postrzeleni nauczyciele historii proszący o jakąś możliwie starą skorupę do kolekcji dydaktycznej, dziennikarze pisemek dla świrów... Od kiedy jestem archeologiem, bez przerwy spotykam takich maniaków. Też przywykniesz. A ten, trzeba przyznać, że był przynajmniej oryginalny. Straszyc archeologów III wojną światową?

– To prawda z tym Timurem? To znaczy, czytałem, że jego grób otwarto w 1941 roku, ale daty się zgadzają?

– Tak, faktycznie, zbieżność była zaskakująca. Ale zdarzają się takie przypadki.

Na schodkach przed sklepem było zupełnie pusto, za to wewnątrz kłębił się zbity, milczący tłum. Wszyscy wgapiali się w telewizor, który, o dziwo, działał.

– Poprosimy... – zawrócił się Rawicz do sprzedawczyni.

– Zamknij mordę!!! – huknął na niego nauczyciel. Ktoś podkreślił głos.

– ...z Nowego Jorku dochodzą sprzeczne informacje. W tej chwili mówi się już o kolejnym samolocie, który staranował przed chwilą drugą z wież World Trade Center...

Rafał A. Ziemkiewicz

Akwizytor

Możliwe, że spotkanie z Akwizytorem było nam obu pisane i doszłoby do niego tak czy owak, nawet gdyby pewnego dnia nie okradziono mnie w tramwaju linii 22, gdzieś między Niedopałkiem a Dworcem Centralnym. Ale gdyby nie to zdarzenie, spotkalibyśmy się znacznie później i w innych okolicznościach; na pewno nie wybrałbym się tego dnia na komisariat, co za tym idzie – firma „Sprawiedliwa Magia GmbH” nie miałaby okazji kusić mnie swoją promocyjną ofertą.

Na komisariacie dyżurny policjant ochrzaniał akurat jakąś roztrzęsioną kobietę.

– No kto, jak rany, nosi pieniądze w torebce! Jak można być tak nieodpowiedzialnym! To pani, dorosła osoba, nie wie, że złodzieje wyrywają kobietom torebki? No i jak ja teraz mogę komuś tak niemądremu pomóc?

Kobieta broniła się słabo, że właśnie odebrała pensję i niosła ją do domu, ale – no trudno, proszę pani, trzeba było myśleć! – sprowokowała tylko rozmówcę do tyrady, że mądrzy ludzie używają do rozliczeń konta bankowego, a nie noszą całej pensji, jak za króla Ćwieczka, w torbie. Logika wyводу gliniarza była nie do ugryzienia i w końcu natrętna interesantka, popłakawszy sobie trochę, musiała dać mu święty spokój.

Odniesione zwycięstwo najwyraźniej wprawiło dyżurnego policjanta w przekonanie, że i ze mną poradzi sobie równie łatwo.

– Ukradziono mi telefon komórkowy – oznajmiłem, nie czekając na pytanie, które zapewne od razu ustawiałoby mnie na pozycji natręta i ofermi.

– No i co? Może życzy pan sobie, żebym biegł go szukać? – Policjant najwyraźniej miał dobry humor.

– A wyglądam na idiotę?

– No, to czego pan chce?

– Protokołu zgłoszenia kradzieży. Komórka była w promocji. – Uciszyłem od razu jego protesty. – Bez tego kwitu każą mi bulić półtora tuzena, więc i tak nie ustąpię.

Westchnął ciężko, po czym z miną „a-taki-był-piękny-dzień” zaczął wyciągać z różnych szuflad i składać przede mną na stos rozmaite formularze.

– Dla pana to jeden protokół – burczał – a ja będę musiał, o, ile tego nawysłać! Proszę. – Podał mi długopis i kilka wielkich, złożonych w pół płacht. – Niech pan to wypełni.

Zaśmiałem się.

– To jednak wyglądam, co?

– Jasna cholera! – Teraz już zirytował się nie na żarty, ale nie miał innego wyjścia, niż zabrać się do obowiązków służbowych. – Nazwisko? Imię? Data urodzenia...?

* * *

Nie dręczyłem policjanta z czystej złośliwości – nowa komórka, a co za tym idzie, stosowny kwit, stwierdzający utratę poprzedniej, były mi naprawdę potrzebne. Wydobywszy wreszcie papier z trzewi policyjnej biurokracji, ruszyłem, nie tracąc czasu, zanieść go do dilerka i wymienić na nowy aparat.

Z jakiegoś powodu przyszło mi do głowy przyjrzeć się po wyjściu, co obrażony na cały świat gliniarz raczył tam wpisać. Wydobyłem bumagę z plastikowej teczki: na oko, najnormalniejszy w świecie urzędowy protokół, z niezbyt równo odbitymi rubrykami, wypełnionymi nieczytelnym pismem.

Tylko w prawym górnym rogu było coś, co przyciągało wzrok. W pierwszej chwili sądziłem, że to rodzaj hologramu. Diabli wiedzą, może robią teraz takie zamiast stempli, pomyślałem, przybliżając papier do oczu. Jeśli był to hologram, to wykonany zupełnie nieznaną mi techniką, dającą tym doskonalsze złudzenie głębi, im dłużej się w niego wpatrywałem. Owa głębia wypełniona była migocącymi we wszystkich kolorach punkcikami, jakby ktoś nasiał świetlistym brokatem. Światełek przybywało, nabierały intensywności, aż w końcu zaczęła się na ich tle formować twarz dziewczyny. Dziewczyny o bujnych, rudych włosach, falujących w brokatowym uniwersum jak kępy wodorostów w spokojnej wodzie. Pomyślałem, że gdyby modelka miała bliznę na szyi, nadawałaby się idealnie na Hellę w „Mistrzu i Małgorzacie”. Tym bardziej, że poza rudą grzywą chyba nie miała na sobie nic; niestety, dolny skraj obrazka wypadł mniej więcej w tym miejscu, gdzie zwykle lokuje się górną krawędź przyzwoitej wieczorowej sukni.

– Z największą radością mogę poinformować, że został pan wybrany do udziału w naszej specjalnej promocji – poinformowała mnie z lubieżnym

uśmiechem. – W imieniu firmy „Sprawiedliwa Magia” zachęcam do skorzystania z naszych usług i sprawdzenia ich jakości.

Wpatrywałem się w nią z takim zainteresowaniem, że omal nie wyrzniętem głową w latarnię. Zatrzymałem się i odszedłem parę kroków na bok, pod ścianę pobliskiego budynku.

– Jakich znowu usług?

– Oczywiście usług magicznych. W naszej specjalnej promocji, adresowanej do ofiar przestępstw, oferujemy pełny zestaw klątw, zarówno przypisanych do chronionego przedmiotu, jak i personalnych. Czy nie chciałby pan, aby człowieka, który pana okradł, spotkała zasłużona kara?

– Pewnie. Żeby tak zdechł, swołocz.

– Niestety, tak silnej klątwy nie jesteśmy w stanie zaoferować w ramach promocji. Czy nie zadowoli pana, jeśli uschnie mu ręka?

– Bardzo dobrze. Niech mu uschnie.

– Stanie się według pana życzenia. Dziękuję za skorzystanie z naszej promocji. Szczegółowe informacje o działalności firmy znajdzie pan w swojej skrzynce pocztowej.

Dziewczyna uśmiechnęła się raz jeszcze i puściła do mnie oko, po czym obrazek znikł i znowu miałem w ręku najzwyklejszy w świecie urzędowy kwit ze stemplem osiedlowego komisariatu.

* * *

– Stary, przestań mnie robić w konia – zezłościł się oderwany od swoich redakcyjnych bieżączek Grabula. – Tu nic nie ma.

– Ale było, rozumiesz? Właśnie o to mi chodzi, w jaki sposób mogli to zrobić?

– Nie mogli. Nie ma takich cudów. Najzwyklejszy papier pod słońcem. Przestań mi zawracać głowę, mam czas do szóstej, żeby obrobić panienkę z rozkładówki.

Nie miejcie głupich skojarzeń – Grabula obrabiał panienki z rozkładówek komputerowo, na fotoszopie. Powiększał im na zdjęciach piersi, zwężał biodra, wydłużał i wyszczuplał nogi, nadawał gładkość i złocisty połysk skórze, zagęszczał włosy i tak dalej. Żadna z gwiazdek ekranu, dla których rozebranie się w piśmie dla panów stanowiło niezbędny etap kariery, nie szła do druku bez takiego retuszu. Kiedyś próbowałem wzbudzić w nim wyrzuty sumienia z powodu wszystkich tych nastoletnich frajerów, którzy myślą, że kobieta naprawdę wygląda tak, jak na jego obrazkach, i za parę lat zapelnia z ciężkimi frustracjami poczekalnie seksuologów. Był odporny: i dobrze tak gówniarzom, odpowiedział, niech uprawiają sport i biorą zimne prysznice, tak jak nam to doradzali katecheci, kiedy byliśmy w ich wieku.

– Posłuchaj, Grabula, jesteś najlepszym specem od grafiki komputerowej, jakiego znam. – Wcale mu nie kadziłem, gdyby nie poszedł w robienie kasy, stałby się z czasem ozdobą Polskiej Akademii Nauk. – Więc od razu przyszedłem z tym do ciebie. Może to się pojawi jeszcze raz. Może trzeba czymś naświetlić, albo...

– Człowieku, taka animacja, jaką opisałeś, wymaga komputera jak gdańska szafa! I jeszcze mówisz o interaktywności. A to, do cholery –

zaszeleścił policyjnym protokołem – jest zwykły papier, nawet prostego scalaka nie byłoby gdzie ukryć. Przyznaj się od razu, że zarzuciłeś grzybka, i daj mi spokój, bo Basia z „Wesołego posterunku” pójdzie do druku z cyckami jak koza, a tego fani serialu mogą nie przeżyć.

– Jesteś pewien, że nie ma żadnej możliwości, żeby coś takiego zrobić?

– upierałem się, nie zrażony faktem, że redaktor Grabowski siada już do komputera, na ekranie którego widniał, w istocie niezbyt okazały, biust gwiazdy popularnego serialu.

– Tylko jedna: czary.

Oczywiście, to była właśnie odpowiedź, której się spodziewałem. Ale zawsze dobrze mieć pewność.

* * *

Sprawa gryzła mnie przez cały wieczór. Miałem akurat wolne, chciałem się trochę odprężyć – a tymczasem, zamiast kontemplować głębię telewizyjnej rozrywki, co i raz łapałem się na myślach o „Sprawiedliwej Magii”. Inna sprawa, że nowy przebój TVN-u „Żona czy kochanka?” okazał się lepszy w pomyśle, niż w wykonaniu. Wynik audio-tele stał się oczywisty, a tym samym siadła cała dramaturgia widowiska, w pięć minut po tym, jak gość programu przedstawił widzom obie konkurujące o niego kobiety. Żona, nie dość, że nadgryziona zębem czasu, to jeszcze stale usiłowała widownię wzruszyć tanimi, sentymentalnymi chwytami, opowiadając o wspólnej przeszłości, dzieciach i tak dalej, podczas gdy jej rywalka w kolejnych konkurencjach bez trudu oczarowywała publikę godnym pozazdroszczenia wdziękiem i seksapilem.

W końcu zaczęło to być męczące i postanowiłem przełączyć na Polsat – tam akurat leciał ten teleturniej z falowcem i kotem: dzwoniący telewidz miał za zadanie, pod okiem przebranego za kaprała prezentera, maksymalnie przeczołgać gracza w studiu. Jeśli falowiec umiał wymyślić taką torturę, żeby kot spękał, kasa należała do niego, w przeciwnym razie brał ją ten ze studia. Program może i szedł już od wielu miesięcy, ale jakoś wciąż jeszcze nie nudził.

Tym razem go jednak nie obejrzałem. Kiedy sięgałem po pilota, roziskrzony kolorowym brokatem kwadrat przestrzeni objawił się nagle na samym środku mojego stolika do kawy. Podobnie jak poprzednio, trwało kilka sekund, nim obraz wyostrzył się i nabrał głębi. Wtedy dopiero pojawiła się Ruda.

– Z największą radością mogę poinformować, że pańskie zlecenie zostało już wykonane. Złoczyńca, który podniósł rękę na pańską własność,

został ukarany zgodnie z wyrażonym życzeniem. Serdecznie polecamy nasze usługi na przyszłość.

– Chwileczkę! – Nie chciałem, żeby znowu zniknęła.

– Czy mogę to jakoś sprawdzić?

– Proszę na nas polegać. – Uśmiechnęła się. – Nasza firma dysponuje w karaniu złoczyńców doświadczeniem wielu tysięcy lat. Wszelkich szczegółów dowie się pan niebawem od naszego akwizytora.

I tyle. Świetlisty kwadrat zamigotał i zgasł, pozostawiając mnie opukującego i obwąchującego z ogłupiałą miną blat stolika. Minęło ładnych parę minut, zanim dotarło do mnie, że robię z siebie idiotę.

Przyszedł mi do głowy Zbyszek; nie bacząc na późną porę, wystukałem jego numer. Zresztą wyznaję zasadę, że na komórkę wypada dzwonić o każdej porze dnia i nocy – jeśli ktoś akurat śpi albo wykonuje czynności uniemożliwiające rozmowę, to może ją wyłączyć. Zbyszek nie spał ani nie wykonywał czynności.

– Słuchaj – zacząłem niepewnie. – Wiem, że to pytanie może się wydać dziwne, ale z medycznego punktu widzenia, czy to możliwe, żeby komuś uschła ręka?

– Jak temu brzydkiemu chłopczykowi, który podniósł kończynę na mamusię?

– Coś w tym stylu. To możliwe?

– O ile dobrze pamiętam tę pouczającą opowieść, chłopczykowi uschnięta ręka miała potem wystawać z grobu i przechodzący ludzie się o nią potykali...

– Zbyniu, nie chodzi o szczegóły, tylko tak ogólnie, czy medycyna zna podobne schorzenia.

– Nie wiem, na czym by to miało polegać. Owszem, medycyna zna rozmaite rodzaje niedowładów i porażień kończyn, zarówno o genezie neurologicznej, jak i miażdżycowej, ale osobiście nie widziałem niczego, co

by pasowało do tego malowniczego określenia. Sądzę, jeśli to masz na myśli, że pomysł musiał poddać komuś paraliż po udarze mózgu. A co, piszesz coś o niedowładach?

– Dokumentuję temat. Dzięki za pomoc.

Oglądania telewizji odechciało mi się już definitywnie. Pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu wyszedłem z mieszkania i zjechałem na dół sprawdzić moją skrzynkę pocztową. Była pusta.

Do jutra zwariuje, myśląc o tym dukacie – pamięć podsunęła usłudzie słowa wieszcza. A niedoczekanie.

– Dość tego, cholera – powiedziałem na głos, stanąwszy z powrotem na progu swojego dużego pokoju. – Prysznic, kielonek i do łóżka.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Rafał? – Zbyniu był wyraźnie podniecony. – Kurde, wiesz co się stało? Właśnie nam przywieźli faceta z jakimś dziwnym paraliżem prawej ręki. Na oko wygląda dokładnie tak, jakby mu uschła. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Facet sprawia wrażenie drobnego złodziejaska?

– Jak w mordę strzelił! Słuchaj, o co tu chodzi? – Tak prawdę powiedziawszy, chłopie, to sam nie wiem. Ale mam przeczucie, że w najbliższym czasie dostaniesz takich przypadków więcej. Może to nawet sprawić wrażenie epidemii.

* * *

Wbrew zapowiedziom Rudej, następnego dnia w poczcie nie było żadnych materiałów reklamowych firmy „Sprawiedliwa Magia”. Nie pojawił się też zapowiadany akwizytor. Albo mieli tam niezłą biurokrację, albo liczyli, że ciekawość skłoni mnie do samodzielnych poszukiwań.

Normalnie pewnie nie miałbym czasu za dużo główkować, ale dziwnym zbiegiem akurat odpadły mi redakcyjne bieżączki. Przede wszystkim, odwołała swoje posiedzenie krajówka „Solidarności”. Zamiast jej nowych decyzji, musiałem komentować spekulacje, dlaczego nie doszło do posiedzenia, bo oczywiście oficjalnej wersji – problemy zdrowotne przewodniczącego i kilku szefów regionów – nikt nie traktował poważnie. Musiało to być jakoś związane z wewnętrzną walką w związku przed zjazdem, ale jak i o co właściwie chodziło, nikt nie miał pojęcia, więc na wystukanie komentarza wystarczyło mi pół godziny. A sprawa szefa „pabianickiej ośmiornicy”, domniemanego szefa (oczywiście, cała Polska wiedziała, że to ten, ale w gazecie musi człowiek udawać idiotę, bo jeszcze go gangster poda do sądu i wygra), nie podpadała pod mój dział. Szkoda zresztą; gdybym chwilę nad nią pomyślał, wcześniej bym pojął, na jaką skalę rozkręca się nowy biznes.

Pasztetowa z całą swoją „ośmiornicą” był zasadniczo poza zasięgiem prawa. W porę zakończył pionierski etap działalności – czy, jak to ujmują podręczniki, okres pierwotnej akumulacji kapitału – wyrzucił spluwę, łom oraz inne bandyckie narzędzia do rzeki i zamiast napadać na TIR-y, włamywać się, porywać dla okupu czy wymuszać haracze, zainwestował w zatrudnianie młodych, ambitnych księgowych i finansistów. Zakładał w całym kraju legalnie działające firmy, sprzedające sobie nawzajem własne zobowiązania płatnicze i podatkowe, a nierzadko oferujące także

uprawniające do oddłużeń transakcje, z obopólnym zyskiem, dużym firmom państwowym. I na końcu całego łańcucha oczywiście kasował zwrot VAT-u. Dowcip polegał na tym, że działał całkowicie legalnie, wykorzystując dziury w prawie. Idę zresztą o zakład, że większość tych dziur sam wyborował, kupując albo podpuszczając posłów, żeby je na komisji wpisali jako poprawki. Udowodnić nic oczywiście nie można, a używani do tego posłowie zazwyczaj wierzą, że ich poprawki służą walce z obcym kapitałem albo zabezpieczeniu interesów ludu pracującego. Skąd taki poseł, głąb po zawodówce rolniczej albo wieczorowym kursie marksizmu i leninizmu, ma wiedzieć, że wprowadzając w najlepszych intencjach do przepisów jakieś niezdefiniowane prawnie sformułowanie, paraliżuje skutecznie całą ustawę i odwraca do góry nogami starania prawników, którzy ją pisali? A raz wrzuconego do ustawy szczura już się z niej nie wyciągnie, bo inni posłowie nie są mądrzejsi od tego pierwszego. Nawet gdyby byli, żaden nie ma głowy do czytania całych ton papierzyk, zwłaszcza, że odrywałoby go to od smakowania uroków poselskiego życia.

W każdym razie, Pasztetowie (bardzo nie lubił tej ksywy, przypominającej o początkach jego działalności) można było skoczyć – kiedy w końcu o „ośmiornicy” zaczęło się pisać i mówić w telewizji, ustawy pozmieniano, ale tego, co już nakradł, mógłby używać w spokoju do późnej starości, gdyby właśnie w tych dniach w tajemniczy sposób nie był wyniósł się ze świata podczas wystawnej kolacji w należącej do niego, drogiej knajpie pod Gdańskiem. Oficjalnie śmierć miała przyczyny najzupełniej naturalne – zadławienie. Tylko, że zdaniem wykonującego sekcję zwłok lekarza, nie było do tego żadnego powodu. Denatowi nic nie utkwilo w przełyku, nic nie zaważało drożności dróg oddechowych – wyglądało to tak, jakby ktoś po prostu przytrzymał mu kęs w ustach tak długo, aż się przekręcił. Ale musiałyby to zrobić Niewidzialna Ręka, bo facet udusił się pośrodku licznego towarzystwa – albo też wszyscy obecni

byli uczestnikami spisku, mającego za podłoże zadawnione gangsterskie porachunki, co zresztą część prasy sugerowała.

Nikt nie wpadł na pomysł, by sformułować tego niusa najprościej: domniemany oszust, znany jako Pasztetowa, po prostu udławił się tym, co ukradł, tak, jak tego zazwyczaj życzymy w gniewie swym bezkarnym krzywdzicielom.

Ale tego dnia, jak wspominałem, na sprawę Pasztetowy jakoś nie zwróciłem uwagi. Podałem się atmosferze lenistwa, która zapanowała w redakcji na okoliczność odwołania kilku oficjałek. W ogóle liczba odwołanych konferencji prasowych i innych politycznych „wydarzeń” rosła w ostatnim czasie z dnia na dzień. Przy komputerach działu politycznego zrobiło się luźniej niż zwykle, i tknięty nagłą myślą, postanowiłem skorzystać z tej okazji, żeby coś sprawdzić.

Ten błogi bezruch dotyczył jednak tylko mojego działu. W miejskim urywały się telefony ze skargami na zaburzenia w pracy przychodni i różnych urzędów, głównie skarbowych, a Bulba, przydzielony ostatnio do kryminałków, biegał po redakcji jak kot z pęcherzem. Oderwał mnie na chwilę pytaniem, czy nie mam kogoś zaufanego w pogotowiu, bo do nikogo ze swoich nie może się dziś dodzwonić. Zapisując komórkę do Zbyszka, opowiedział mi pokrótce „ekstra, kurde, story”, którą właśnie wpalcowywał z przejściem do wydania: trzech dresiarze, którzy w Parku Skary – szewskim skroili wracającego ze szkoły małolata, ledwie parędziesiąt kroków dalej w nagłym ataku ni to szału, ni to padaczki, porozbijali sobie łby o kamień upamiętniający brytyjskich lotników. Dodatkowo ten, który dzieciaka uderzył, w ciągu kilku godzin pokrył się cały ropiejącymi parchami. Gliniarze wysunęli hipotezę, że chłopak musiał niepostrzeżenie opylć napastników jakimś wyjątkowo parszywym gazem, pewnie kupionym na pobliskim stadionie od Ruskich – według zeznań świadków, siedł za dresiarzami, jakby czekał na ten efekt, po czym odebrał skradzioną kurtkę i

dał nogę. Świadkowie zresztą nie chcieli wcale pomagać w ustaleniu tożsamości małolata. Byli po jego stronie i to, co spotkało dresiarzy, bardzo im się podobało. Podobnie jak i Bulbie, i mnie, i – nie mieliśmy cienia wątpliwości – wszystkim naszym czytelnikom.

Bulba bardzo chciał znaleźć tego małolata, broń Boże nie żeby go sypnąć, tylko pogadać, ale w tej sprawie nie mogłem mu pomóc. Co najwyżej wskazówką, że jego rodzice musieli być raczej dziani: wyglądało mi to na klątwy silniejsze, niż oferowano w promocji, i to aż dwie naraz, biorąc pod uwagę te parchy. Zbyszek też Bulbie nie pomógł. Kiedy mojemu redakcyjnemu kumplowi udało się dodzwonić na jego komórkę, usłyszał tylko od jakiejś kobiety, pewnie pielęgniarki, że pan doktor absolutnie nie ma czasu na rozmowy i że to, co się dzisiaj dzieje w warszawskim pogotowiu, to prawdziwy sądny dzień. Dokładnie takie słowa powtórzył mi w drzwiach redakcji, kiedy wreszcie znalazłem potrzebny mi list, strawiłem dobrą godzinę na bezowocnych próbach dodzwonienia się do jego autorki, i, ostatecznie, postanowiłem pofatygować się do niej osobiście.

* * *

List, którego szukałem, przysłało mi mejlem, sam nie pamiętałem, ile miesięcy wcześniej. Po każdym felietonie przychodzi takich kilkanaście, a jeśli napisze się coś złego o kotach albo piłce kopanej, to nawet kilkadziesiąt – kto by spamiętał. Tekst, do którego odnosił się ten konkretny list, też obrodził mnóstwem polemik, chociaż nie dotyczył żadnego z powyższych tematów. Tym, co w nim rozsierdziło czytelników, było nabijanie się z feng-szui. Napisałem coś w tym guście, że gdyby Chińczycy naprawdę posiadli, i to już od starożytności, wiedzę, jak za pomocą zwykłego przestawiania mebli zapewnić sobie szczęście, pieniądze i długowieczność, musieliby być narodem zauważalnie szczęśliwszym, zdrowszym i bogatszym od innych. Tymczasem ich poziom życia, zwłaszcza w części kontynentalnej, bliższy jest standardom Albanii niż USA i dopóki nie ulegnie to zmianie, w żadne magiczne srułki nie uwierzę. Nie mam nawet żalu do tych wszystkich, którzy mi potem listownie ubliżali – ludzie tak mają, jeśli ktoś już dał kasę wydrwigroszom, za nic nie uwierzy, że pozwolił się wystrychnąć na dudka, prędzej znienawidzi tego, kto mu to usiłuje tłumaczyć.

Ale list, którego szukałem, nie dotyczył głównego wątku mojego felietonu; na marginesie sformułowałem spostrzeżenie, że szerząca się w naszej cywilizacji wiara w duchy i czary jest śmiesznie niekonsekwentna. Pisma kobiece, popularne tygodniki i telewizja na każdym kroku reklamują rozmaite zabiegi magiczne, twierdząc, że mogą nam one pomóc w karierze, miłości, mówiąc najogólniej – że można w ten sposób robić różne rzeczy dobre. A przecież, jeśli tak, to musi istnieć i druga strona zagadnienia. Jeśli czarami można pomagać, to można i szkodzić. Jeśli odpowiednio rozmieszczając w swoim gabinecie palemki, dzwonki i akwaria, możesz

sobie zapewnić awans, to podkładając dyskretnie fengszujowego szczura do gabinetu rywalki, możesz ją awansu pozbawić i ściągnąć jej na głowę kłopoty, ze zdrowotnymi włącznie. Albo doprowadzić czarami konkurencyjną firmę do utraty zamówień publicznych i bankructwa. Zresztą nie ma znaczenia, czy wbijając szpilki w woskową lalkę, twój wróg naprawdę może ci zrobić krzywdę – ważne, że próbuje to zrobić, prawo przecież karze za samą próbę zamachu na czyjeś życie lub zdrowie, nawet tak głupią czy nieudolną, że predestynuje ona niedoszłego mordercę do nagrody Darwina. Słowem: jeśli współczesne media zupełnie serio traktują horoskopy, feng-szui, numerologię i tarota, to logika nakazuje, by wreszcie od – chrzaniły się od polowań na czarownice i przeprosiły autorów „Malleus maleficarum” tudzież radnych miasta Salem.

Czytelniczka, podpisująca się jako właścicielka „renomowanego salonu wróżby Studio Cośtam”, poczęstowała mnie w odpowiedzi kilkustronicowym wykładem, utrzymanym w tonie łagodnej i nawet dosyć dla mnie życzliwej perswazji. Strawiwszy parę akapitów na ani w ząb niezrozumiałe definicje rozmaitych rodzajów działań magicznych, mające mi uświadomić, że wymieniając je na jednym oddechu, zaprezentowałem się jako zupełny laik, wywiodła renomowana wróżka, dlaczego mianowicie poważnej magii nie można używać do wyrządzania zła. Bez wdawania się w zawilości, dlatego – twierdziła – iż zła energia zawsze wrócić musi w tej lub innej formie do tego, kto zapoczątkował jej cyrkulację. Kto chciałby magicznie zaszkodzić innej osobie, prędzej czy później oberwie rykoszetem, dlatego żaden liczący się profesjonalista podobnego zamówienia nie zrealizuje. List nie pozostawiał wątpliwości, że „liczący się profesjonalista” od magii to oczywiście sama autorka, i w ogóle był mocno autoreklamiarSKI – wróżka zapewne liczyła na publikację i spopularyzowanie tą drogą swego interesu.

Rzecz oczywista, nie dałem listu do druku ani nie traciłem czasu na odpisywanie. Wątpię nawet, czy chciało mi się wzruszać ramionami – po prostu naciśnięciem klawisza odesłałem go na twardego dysku i gdyby nie „Sprawiedliwa Magia” oraz jej promocyjna oferta, w życiu bym sobie o renomowanym salonie wróżby nie przypomniał. Ostatecznie: salon nazywał się „Studio Futura”, jego właścicielka podpisała się zawodowym pseudonimem Serenita, podany telefon nie odpowiadał, a siedziba firmy mieściła się niedaleko mojego mieszkania, przy rogu Alej Jerozolimskich i Poznańskiej. To znaczy, poprawiłem w myślach, przy rogu Pepsi-Coli i Marlboro. Korespondencja pochodziła jeszcze sprzed tego historycznego momentu, kiedy to warszawscy radni, uświadomiwszy sobie, że rozkradli i przehandlowali już wszystko, wpadli na pomysł, żeby jeszcze posprzedawać nazwy ulic, placów i skwerów na reklamy.

Najpierw jednak pojechałem do domu, jak się domyślicie – sprawdzić skrzynkę pocztową. Wciąż była pusta. Ruszyłem najkrótszą drogą, przez dworzec. Wprawdzie zdążyło się już zrobić ciemno, ale moja strona dworca uchodziła za dość bezpieczną. Od czasu do czasu zachodziły tu nawet patrole policji, co było znakiem nieomylnym – na pewno nie zapuszczałyby się w okolice niebezpieczne.

Kiedy zbliżałem się do zejścia w podziemia Centralnego, które przed laty oszalowano prowizorycznie nieheblowanymi dechami i tak już pozostało, dobiegł mnie przeciągły, bolesny jęk. Rozejrzałem się. Jęczał facet, na oko powyżej pięćdziesiątki, o raczej ubogim wyglądzie, zgięty w pół na ławeczce pobliskiego przystanku.

– Proszę pana... Proszę pana... – wyrzucił zboląłym głosem w moim kierunku. – Pan pomoże...

– Co się panu stało?

– Kurde, jak mnie nagle zaczęło, panie, w brzuchu rznąć... Uuuu! Kurr... hhh... mać... – Chyba rzeczywiście się męczył, na niezdrowo

bladej twarzy pobłyskiwały drobne kropelki potu. – Pan mi poda rękę... Tylko tu obok, do domu...

Zbliżyłem się. Z wyświeruchtanej, foliowej torby, rzuconej obok na ławce, wystawał gruby plik kolorowych pism, głównie tych z obrobionymi przez Grabulę babkami. Rzut oka – wszystkie przedatowane, ale jak nowe. Niedaleko, koło peronów WKD, rozstawili parę miesięcy temu stoisko złodzieje handlujący wycofaną z kiosków prasą. Piszę: złodzieje, bo zgodnie z umowami „Ruch” miał obowiązek zwroty niszczyć, ale oczywiście jego pracownicy opylali je za grosze hurtownikom, a ci z kolei dziadkom podobnym do tego na przystanku, którzy też chcieli sobie popatrzeć na gołe laski, a szkoda im było tych siedmiu czy dziewięciu złotych. Moja gazeta traciła na tym mniej niż luksusowe magazyny, ale choćby przez solidarność z okradanymi kolegami po fachu starałem się gazetowy szaber zwalczać.

– Wyrzuć pan to i przestań kupować kradzione rzeczy, to przejdzie – rzuciłem oschle i zszedłem na dół. Minąłem tasiemcową kolejkę, kłębiącą się przy całodobowej aptece, ruszyłem przez perony i ostrożnie wychynałem na powierzchnię po drugiej stronie, za „Mariottem”. Byłem już koło salonu „Futura”, kiedy zobaczyłem chuderławego policjanta w czarnym drelichu i bejzbolówce. Wyglądał jak ostatnia ofiara losu. Wszyscy gliniarze tak wyglądali, odkąd zamiast w porządne mundury poubierano ich w workowatą odzież ochronną. Stał przy rogu ulicy, rozglądając się czujnie, podczas gdy za jego plecami rozlegało się jakieś dziwne popsykiwanie. Schowałem się wśród drewnianych szalunków, oplatających remontowaną od niepamiętnych czasów przychodnię, i z zawodowym zainteresowaniem śledziłem zza nich stróża prawa.

Nie trwało to długo – popsykiwanie ucichło, zza rogu wyłonił się drugi policjant, równie chuderławy jak ten pierwszy, i obaj pośpiesznym krokiem oddalili się w stronę Domów Centrum. Poszedłem z ciekawości za róg.

Obelgi wobec policji, wypisane kiedyś przez kogoś na ścianie pierwszego za rogiem budynku, zostały niedbale zamazane, a ponad nimi pysznił się krzywy, pryśnięty szprejem w wyraźnym pośpiechu napis „Jebać lumpów!

Znalazłem właściwą bramę – jej fasadę ozdabiały dziesiątki tabliczek z nazwami firm i jeszcze więcej dziur po tabliczkach już poodrywanych. Nigdzie nie było ani słowa o „salonie wróżby Futura”. Z wydobytą z kieszeni kartką zbliżyłem się do domofonu, by wystukać na nim numer mieszkania. Klawisze były głuche, martwe. Nikt nie odpowiedział, nie zapaliło się żadne światełko, nie zaświergolił elektroniczny sygnał. Spróbowałem raz i drugi, w końcu z rezygnacją popchnąłem drzwi ręką. Otworzyły się bez najmniejszego oporu – zamek był wyłamany.

Również na solidnych, wysokich drzwiach o przedwojennym wyglądzie, do których doprowadziła mnie klatka schodowa kamienicy, nie było żadnego szyldu. Ale można było dopatrzeć się dziur po śrubach, które zapewne kiedyś go mocowały.

Zapukałem mocno – raz, drugi, trzeci. Byłem już bliski rezygnacji, kiedy po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos:

– Kto tam?

Też mi renomowana wróżka.

– Dobry wieczór. Nazywam się Rafał Aleksandrowicz, jestem dziennikarzem...

– Proszę mi dać spokój! Salonu już tu nie ma, zamknięty.

– Ale ja w innej sprawie. Umawiałem się z panią Serenitą.

Głos po drugiej stronie drzwi aż zaniósł się oburzeniem:

– Nieprawda! Z nikim się nie umawiałam!

– Ależ tak. – Uśmiechnąłem się z uczuciem triumfu. – Napisała pani kiedyś do mnie do redakcji list, a w nim zaproszenie, żebym się skontaktował, jeśli chciałbym się dowiedzieć o prawdziwej magii. Chodziło

o mój felieton, pamięta pani? No, więc właśnie potrzebuję się czegoś na ten temat dowiedzieć i chciałbym z tego zaproszenia skorzystać.

Długotrwałą ciszę przerwał zgrzyt zasuw i rygli. Drzwi otworzyły się gwałtownie; wychynęła z nich sucha, wysoka kobieta z mnóstwem czarnych, nierozczesanych włosów, owinięta w wytarty szlafrok. Nie zwracając na mnie uwagi, starannie lustrowała korytarz – popatrzyła w lewo, w prawo, znowu w lewo, po czym gwałtownym ruchem złapała mnie za wszarz, wciągnęła do środka i natychmiast znowu zajęła się zamykaniem imponującej liczby zasuw.

Znalazłem się w ogromnym jak na współczesne standardy przedpokoju, z którego widać było pograżony w półmroku pokój.

– Kogo się pani tak boi?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Skończywszy zabezpieczanie drzwi, Serenita milcząco wskazała mi drogę do pokoju, w którym niegdyś zapewne przyjmowała klientów. Wyjąwszy kilka rekwizytów w rodzaju wielkiej kryształowej kuli czy trupiej czaszki na stole, wystrój przyćmionego wnętrza bardziej niż z magią kojarzył mi się z perskim burdelem.

Serenita rozsiadła się, zapewne z przyzwyczajenia, po drugiej stronie stołu z trupa czachą. Z odpowiednio zrobionym makijażem i w należyтым oświetleniu miała szansę wyglądać odpowiednio do swej profesji. Ale w tej chwili sprawiała wrażenie starego, skiepszczonego kaszalota. Umiejętnie zresztą to wrażenie uwydatniła, wyciągając z kieszeni szlafroka i zapalając jakiegoś okrutnie cuchnącego kopciucha bez filtra.

– No, więc cóż się takiego stało, że po tylu miesiącach raczył pan na moją ofertę odpowiedzieć? – zapytała, odkasławszy i odrzęziwszy swoje po pierwszym, głębokim machu.

Opowiedziałem pokrótce, jak zetknąłem się z promocyjną ofertą „Sprawiedliwej Magii”. Skinęła głową; wiadomość o tej firmie wyraźnie

nie była dla niej nowością.

– I skorzystał pan?

– A kto by nie skorzystał?

– Uhm. Współczuję. No cóż, rozumiem prostych ludzi, ale pan przecież został ostrzeżony. Zresztą, nie moje zmartwienie. W ogóle nic mnie już to wszystko nie obchodzi.

– No tak, widzę, że zwinęła pani interes. Można spytać, dlaczego?

– A czyż nie jest to oczywiste? Jak to ujął pewien były minister: nie zamierzam się kopać z koniem.

– Konkurencja? Coś jak hipermarket wykańczający małe sklepiki?

– Raczej coś jak mafia wykańczająca wszystkich, którzy nie chcą jej płacić haraczu. Trudno, znajdę sobie inne zajęcie.

Skinąłem głową, udając zrozumienie.

– Pisała pani, że żaden prawdziwy profesjonalista nie podejmie się zleceń mających przynieść komuś szkodę. Ale żeby komuś uschła ręka, pokrył się ropiejącymi parchami czy doznał podobnych sensacji, tego chyba byle amator nie sprawi?

Przyjrzała mi się uważnie.

– Widzę, że nie dotarło jeszcze do pana, z kim mamy do czynienia. Oczywiście, podtrzymuję to, co panu pisałam. Żaden zajmujący się magią człowiek, normalny człowiek, suwerenny w swoich decyzjach, nie podejmie działań, które wprowadzają w normalną cyrkulację mocy dodatkowe negatywne energie. Ale w wypadku „Sprawiedliwej Magii” nie mamy do czynienia z ludźmi. W każdym razie nie z ludźmi normalnymi. Dla nich doprowadzenie do eksplozji zła, do wybuchu niekontrolowanej nienawiści to nie zagrożenie. To cel, do którego dążą, i na dodatek nic ich w żaden sposób nie ogranicza w doborze środków stosowanych dla jego osiągnięcia. Podjudzanie do zemsty, nakręcanie spirali nienawiści to ich ulubione metody działania: niech ludzie sami niszczą się nawzajem i sami

padają ofiarą spowodowanego przez siebie zła, niech się gryzą i rzucają na siebie klątwy. I to najlepiej w przeświadczeniu, że w ten sposób staje się zadość sprawiedliwości. Człowiek nigdy nie jest w stanie wyrządzić więcej szkód, niż wtedy, gdy ma głębokie przekonanie, że tylko wymierza sprawiedliwość.

Zaciągnęła się ponownie głęboko cuchnącym dymem, a potem przez dłuższą chwilę wpatrywała mi się w oczy, ponad czerepem ustawionej na stole czaszki.

– Panie redaktorze – podjęła wreszcie. – Jeżeli naprawdę jeszcze się pan nie domyślił, kto stoi za spółką „Sprawiedliwa Magia”, to dziwię się, jak prasa może zatrudniać równie nieinteligentnych pracowników.

* * *

Owszem, domyślałem się, i nie będę udawał – kiedy wracałem do domu, i kiedy po raz sam nie wiem który sprawdzałem swoją skrzynkę pocztową, czułem na plecach zimny dreszcz. A już szczególnie mocno poczułem go następnego dnia rano, kiedy wreszcie w moim domu pojawił się zapowiedziany przez Rudą Akwizytor.

Ale trzymajmy się kolejności wydarzeń. Najpierw zadzwonił Zbyszek. Po wieczorze, kiedy długo nie mogłem zasnąć, zastanawiając się nad skutkami działalności „Sprawiedliwej Magii”, wyrwał mnie z łóżka pierwszym, bladym świtem, kiedy są w stanie funkcjonować tylko emeryci, księża i lekarze. Sam sobie byłem winien – zapomniałem z tego wszystkiego wyłączyć komórkę.

– Cześć Rafał. Wiesz coś nowego?

Wydałem z siebie słabo artykułowany pomruk, coś pomiędzy „aha?” a „mhm?”.

– No, o tej epidemii?

Z przykrością uświadomiłem sobie, że nie zdołam uniknąć uruchomienia narządów mowy.

– Jakiej epidemii?

– Stary, skup się. Wczoraj, jak mówiłem ci o tym z uschniętą ręką, zapowiadałeś, że się szykuje więcej takich wypadków, pamiętasz? A dziś mieliśmy przez całą noc formalne oblężenie. Zresztą my to pikuś, podobno to, co się działo na Wołoskiej i w Aninie, to był prawdziwy Sajgon.

– I wszystko uschnięte ręce?

– Trochę niedowładów też. Ale w ogóle mnóstwo przedziwnych wypadków. Jakieś nagłe paraliże, apopleksje, paskudne egzemy, a przede wszystkim mnóstwo dolegliwości trawiennych. Przeważnie w jakiś

nieswoistych, trudnych do zdiagnozowania formach. Nie jest to oczywiście epidemia w znaczeniu medycznym, po prostu jakby wszyscy zawzięli się chorować jednocześnie.

– Pozwól, że zgadnę. Najmniej było wśród nich ludzi, którzy się uczciwie utrzymują z własnej pracy? Co ja gadam najmniej, w ogóle. Trafiłem?

– Wiesz, u nas, na pogotowiu, zawsze przywożą mnóstwo nurów i menelstwa. Jeśli cokolwiek było ostatnio odmiennego, to wiek. Pacjenci w większości młodzi, a zazwyczaj mamy mnóstwo emerytów.

– Zgadza się. Emeryci przecież pobierają świadczenia uczciwie, wpłacali na nie składki przez całe aktywne zawodowo życie. Więc na pewno nie są złodziejami. Raczej okradzionymi, bo w stosunku do tego, co zapłacili, dzisiaj dostają grosze.

– A co tu ma do rzeczy złodziejstwo? – zdziwił się. – Zresztą mówię ci, że na Wołoskiej i w Aninie mieli jeszcze gorzej, a sam wiesz, że tam wstęp ma tylko erka, posłowie, ministrowie, wyżsi funkcjonariusze administracji...

– Zbyniu – ziewnąłem. – Powoli zaczynam jarzyć, o co w tym wszystkim chodzi, ale daj mi jeszcze trochę czasu. Obiecuję, że jak do czegoś dojdę, będziesz pierwszą osobą, z którą się podzielę swoimi odkryciami.

Rozmowa, tak czy owak, trwała zdecydowanie zbyt długo, żeby przyłożywszy głowę do poduszki, mieć jeszcze nadzieję na dogonienie uciekających snów. A jeżeli nie spać, to należało się budzić. Nie wiem, jak kogo, ale mnie nic nie budzi skuteczniej niż śniadanie. Właściwie nie uznaję innych sposobów. Od biedy mogę nie zjeść obiadu ani kolacji, ale śniadanie, zaraz po wstaniu z łóżka, muszę, i żaden diabelski pomysł nie zdoła mi w jego spożywaniu przeszkodzić.

Akwizytor chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo odczekał, aż wepchnąłem do paszczy i pogryzłem ostatni kęs. Znany już, rozmigotany kwadrat pojawił się na moim stole dopiero w chwili, gdy zabierałem się do sprzątania talerzy. Usiadłem wygodnie, podparłem się łokciem i cierpliwie czekałem na pojawienie się Rudej.

Spotkało mnie rozczarowanie. Zamiast urodziwej wiedźmy w rozgwieżdżonym oknie pojawił się facet – w trudnym do określenia wieku i z gębą jak kobyła Raskolnikowa. Staranna fryzura i dobrze dobrane oprawki grubych okularów nie były w stanie osłabić wrażenia, jakie robiły jego szerokie czoło i cofnięta, wygolona na stalowy kolor szczeka.

– Dzień dobry, panie Aleksandrowicz. – Uśmiechnął się całą swoją końską fizjonomią. – Jestem z firmy „Sprawiedliwa Magia” i chciałbym z panem przez chwilę porozmawiać. Czy nie będę teraz przeszkadzał?

– W porządku, już zjadłem.

Świetlisty kwadrat zbladł i zgasł, tak samo jak poprzednio. Tym razem już nie próbowałem obwąchiwać stolika. Nie upłynęły więcej niż trzy sekundy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Oczywiście stał za nimi jegomość o końskiej twarzy. Teraz dopiero było widać, że nosi garnitur z najdroższej pracowni w Warszawie; ostatni raz widziałem taki u Leppera, kiedy SLD robiło go marszałkiem Sejmu. Ale ten dużo lepiej leżał.

– No, to proszę – starałem się nie okazać podenerwowania. – Pan wybaczy nieporządek, ale...

– Ależ, panie redaktorze! – nie pozwolił mi dokończyć. – To ja muszę pana gorąco przeprosić. Po pierwsze za to, że pojawiając się tak późno. Niestety, nie doceniliśmy popytu na nasze usługi. Od kilku dni harujemy wszyscy ponad 24 godziny na dobę. Naprawdę, zainteresowanie przerosło nasze najśmielsze oczekiwania.

– Uhm. Wiem coś o tym. Proszę. – Wprowadziłem Akwizytora do gościnnego pokoju i wskazałem mu fotel. – Powiedziałbym nawet, że

efektów waszej działalności trudno było w ostatnich dniach nie zauważyć.

– Wie pan, jak to jest, kiedy wprowadza się na rynek coś zupełnie nowego; trudno z góry ocenić potrzeby. Dosłownie zostaliśmy zasypani zamówieniami, i to nie tylko od osób prywatnych, także instytucji... Ale zanim o tym, jest ważniejsza sprawa, za którą muszę pana, panie redaktorze, przeprosić. Otóż przez karygodne niedopatrzenie mój personel nie poznał się, z kim ma do czynienia. Potraktowano pana jak zupełnie przeciętnego klienta, a przecież...

– A przecież co? – rozsiadłem się naprzeciwko.

– A przecież pan jest kimś szczególnym. – Kobyla twarz rozjaśniła się uśmiechem. – Szczególnie cennym. Wiem, skromność każe panu zaprotestować, ale proszę się powstrzymać.

Prawdę mówiąc, nawet mi do głowy nie przyszło, żeby protestować.

– Wie pan sam, jakie mamy czasy. Kryzys. Zwłaszcza kryzys osobowości. Świat pełen ludzi o mentalności cink – ciarzy, sklepikarzy, kombinatorów; małe cele, małe ideały... A tymczasem nasza firma stale potrzebuje ludzi pełnowartościowych, że tak powiem, całą gębą ludzi.

– Do akwizycji magicznych ubezpieczeń przed złodziejami? Czy to nie przesada?

Poprawił się w fotelu, odchrząknął i podjął o ton poważniejszym głosem, jakby dotąd tylko odgrywał jakiś narzucony rytuał.

– Panie Aleksandrowicz, grajmy w otwarte karty. Przecież już dawno się pan domyślił, z kim ma do czynienia. Ja też wiem o panu to i owo. Właściwie, co tu ukrywać, wiem o panu wszystko, taka już specyfika naszej pracy. Dlatego pozwoliłem sobie przyjść osobiście, zamiast posyłać niższy personel.

Powstrzymałem się od uwagi, że poblądził: widok Rudej zrobiłby na mnie zdecydowanie lepsze wrażenie od jego końskiej gęby. Zwłaszcza, gdyby przysłali ją w stroju organizacyjnym.

– Mam rozumieć, że rozmawiam z szefem tego całego interesu?

– Ach, nie. Jestem tylko... kimś w rodzaju urzędnika. Ale firma, którą reprezentuję, ma naprawdę wiele do zaoferowania. „Sprawiedliwa Magia” to tylko najnowsze dziecko w holdingu, przyznam, że mnie akurat szczególnie drogie. Tak, proponowałbym, żeby zaczął pan pracę u nas właśnie od akwizycji zamówień, bo przecież od czegoś musi pan zacząć. Ale można u nas awansować, jak wszędzie.

– Nie. – Sam się zdziwiłem, że umiałem to powiedzieć tak stanowczo i zarazem beznamiętnie.

Mój rozmówca bynajmniej nie przejął się odmową. Uśmiechnął się tylko wyrozumiale.

– Wszyscy najpierw odmawiają. To zresztą ciekawe, dlaczego. Może wszyscy mamy w sobie coś z panienki, która zanim się zgodzi, najpierw musi parę razy powiedzieć „nie”, bo inaczej straciłaby dla siebie szacunek? Kwestia konwencji, panie redaktorze. Bo chyba pan, autor tylu tak przenikliwych tekstów, które miałem przyjemność czytać, nie ulega temu czarnemu pijarowi, jaki zrobiła nam konkurencja?

– Dlaczego miałbym nie ulegać? Przecież pan wie, w jakiej gazecie pracuję.

– No tak. Ale wiem też, że ceni pan sobie chłodną, logiczną argumentację, a nie znosi manipulowania emocjami. Więc chyba zgodzi się pan, że zdemonizowano nas zupełnie bezpodstawnie. A my po prostu jesteśmy, powiedziałbym, testerami porządku świata. Czy potępi pan kierowców fabrycznych dlatego, że zajeżdżają nowe samochody w ekstremalnych warunkach? Albo pracowników fabrycznego laboratorium, którzy miażdżą nieskończoną ilość kadłubów tychże samochodów o ściany czy słupy? Co jest złego w pomysle, że zanim wpuści się na nowy most normalny ruch, przeprowadza się na nim próbę obciążeniową? Proszę wybaczyć, to nienajlepsze przykłady, ale na pewno rozumie pan, co mam na

myśli. Jakże mogłoby się powieść stworzenie czegoś tak skomplikowanego, jak ten świat, z miliardami obdarzonych wolną wolą jednostek, gdyby w ramach projektu nie wyodrębniono specjalnej drużyny, testującej jego słabości? Musicie przyznać, że facet był wygadany.

– Oczywiście, nikt nie lubi, kiedy znajduje się dziury w jego robocie. Nazwano naszą działalność złem i w sposób zupełnie irracjonalny uwarunkowano przeciętnego człowieka, żeby na samą wzmiankę reagował negatywnie. Ale tak naprawdę...

– Tak naprawdę, jest pan częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro...

– Coś w tym jest. Stary Goethe miał ten temat niezłe przemyślany.

– Ale, pan wybaczy, to jeszcze nie powód, aby się przyłączać. Ja na przykład cieszę się, że szlag trafił Związek Sowiecki, doceniam rolę, jaką odegrały w tym reformy Gorbaczowa, ale też wiem, że on te reformy wprowadzał po to, żeby Sowiety uratować, a nie dobić. Nie dość, że komunista, to jeszcze nieudacznik; ostatnia rzecz, na jaką mogę się zdobyć, to żeby go szanować. Z wami, jak widzę, jest podobnie...

– Och, niech pan nie bierze tak dosłownie tych kilku słów starego poety... Który, nawiasem mówiąc, przyjął naszą propozycję. Widzi pan, nasza robota jest wyjątkowo niewdzięczna, dlatego oferujemy za nią gratyfikacje odpowiednio rekompensujące jej uciążliwość. I nie kiedyś tam, w odległej przyszłości, o ile się nikomu nie odwidzi i nie zabraknie kasy w budżecie. Płacimy teraz, od razu, że tak powiem: na rękę. I w takiej walucie, jakiej pan potrzebuje. Może to być sława, powodzenie u kobiet, kariera...

– Powiedzmy. I co mi pan proponuje?

– Jak już mówiłem, na początek akwizycję. Wszyscy od tego zaczynaliśmy, ja też. Choć dla pana chętnie zrobiłbym wyjątek, jako,

poniekąd, pomysłodawcy. Promocja pokazała oszałamiające zainteresowanie, będziemy musieli rozszerzyć asortyment...

– Oczywiście, kontr-klątwy dla złodziei, dresiarzy i paserów. A w następnym rzucie specjalne zaklęcia przestępcze, przeciwko którym z kolei „Sprawiedliwa Magia”, albo jakaś inna firma holdingu, będzie sprzedawać czary ochronne.

Końską twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Panie Aleksandrowicz, pan jest po prostu stworzony do tej roboty! Rzecz jasna, skoro weszło się na rynek, trzeba być konsekwentnym, oferować coraz to nowe produkty i usługi. Tak, żeby każdy, kto czuje się pokrzywdzony, mógł tanio się zemścić na swoim prześladowcy, a tamten z kolei równie tanio zemścić się potem na tym pierwszym... Swego czasu udało nam się tą metodą rozkręcić koniunkturę na parę stuleci. I widzi pan, kiedy wpadł mi w ręce pański artykuł – bo przecież musimy starannie monitorować media – od razu sobie pomyślałem: ależ tak, wszystko sprzyja temu, żeby powtórzyć tamte sukcesy. I to właśnie tu, u nas. Och, pan to doskonale rozumie. Klnę się, że nie posiedzi pan długo w akwizycji.

– W ogóle nie posiedzę. Już powiedziałem: nie. Uprzejmie dziękuję za propozycję, nie skorzystam, chyba wyra – żarn się jasno. Ale nie taję, że przyjmuję tę waszą... akcję z dużą sympatią. Podoba mi się jej aspekt pedagogiczny. Uśmiechnął się. Chyba nie rozumiał.

– Cóż, niektórzy zaliczają to do naszych ubocznych zadań. – Ucichł na chwilę, a potem zapytał: – A co pan konkretnie ma na myśli?

– Jeśli dobrze rozumiem, wykupiona u was klątwa działa tak, że na każdego, kto okradnie waszego klienta, sprowadza jakieś nieszczęście...

– To jedna z usług. Można także zapewnić sobie bezpieczeństwo osobiste.

– Klątwa – podjąłem – spada także na pasera, i na każdego, kto korzysta z dokonanej kradzieży. Oczywiście w stopniu odpowiednim do udziału w

niej. Temu, kto gwizdnął mi komórkę, uschła ręka. Ten, kto ją od niego kupił, pewnie swoją złamał. A jeśli i on oddał fant komuś następnemu, tamten wykpił się już tylko atakiem bólu nadgarstka?

– Wiele zależy od intencji tych kolejnych osób. Jeśli ktoś kupuje komórkę za kilkanaście złotych, to przecież wie doskonale, że jest kradziona.

– Oczywiście. A czy zauważył pan – przeszedłem do sprawy – że wystarczyło kilka dni waszej działalności, aby nastąpił prawdziwy pomór w niektórych dziedzinach życia publicznego? Część urzędów państwowych w ogóle przestała działać, a ich personel gremialnie stawił się w rządowej klinice w Aninie, pochorowali się przywódcy związków zawodowych, no i cała rzesza rozmaitych drobnych beneficjentów państwowej sprawiedliwości społecznej.

– Zauważył pan? No, rzeczywiście, mamy drobne kłopoty z wyregulowaniem mocy klątw, ale...

– Panie szanowny! – Nie lubię, gdy mi się przerywa. – Nie przypadkiem mówiłem tu o Gorbaczowie. Ludziom można wciskać różne kity i prać im mózgi, ale w magii, cokolwiek nią tam zawiaduje, pojęcia pozostają proste. Dla czaru nie ma żadnej „redystrybucji”, „sprawiedliwości społecznej” czy innego bełkotu. Jeżeli odebrano komuś pod przymusem część jego dochodu, żeby ją przeznaczyć na potrzeby kogoś innego, to wasza klątwa reaguje na to jak na każdy inny rodzaj kradzieży.

– Ależ nie... – zaprotestował niepewnie. – Podatek to rodzaj składki na wspólne cele...

– Tak, i tam, gdzie ta pierwotna zasada została zachowana, tam nie będzie problemu. Nie sądzę, żeby jakaś epidemia powaliła nagle policję czy sądy. Ale za zdrowie rolników, którzy korzystają z interwencyjnego skupu, górników czy pracowników innych dotowanych przedsiębiorstw, nie dałbym teraz złamanego grosza. Czerpiąc inspirację z mojego artykułu,

zapomniał pan, że to już nie szczęśliwe średniowiecze, gdzie dużym podatkiem wydawała się dziesięcina, tylko kraj, w którym dwadzieścia milionów obywateli żyje z rozmaitych zasiłków, a tylko niecałe czternaście na nie pracuje. Wie pan co? – Podniosłem się energicznie i podszedłszy do barku, otworzyłem szeroko. – Musimy to oblać.

Chyba z wolna zaczynało do niego docierać to, co mówiłem, bo zamilkł z niemądrze opuszczoną szczęką.

– Niech pan pomyśli – ciągnąłem, nalewając do szklaneczek. – Wystarczyło parę dni, żeby pod aptekami zrobiły się kolejki, a pogotowie miało pełne ręce roboty. Wszystkich zaczęło nagle strzykać, mdlić, nudzić, pobolewać, i oczywiście nikt nie rozumie, dlaczego. Na razie nie rozumie. To miara, do jakiego stopnia w tym ustroju zostaliśmy wplątani w taki, rozumie pan, złodziejski łańcuch pokarmowy. Prawie każdy jest okradany i prawie każdy korzysta z jakichś ochłapów, które pozostają państwu po wykarmieniu polityków i rzesz urzędasów od wyrównywania szans... Traciłem nadzieję, że ktoś kiedyś zdoła to Polakom wyjaśnić, a tu proszę, sposób pewny, pogładowy, stuprocentowo skuteczny. I kto z nim wystąpił? Aż się nie chce wierzyć. Proszę bardzo, chyba pan nie odmówi?

– Jeśli można, to i ja poproszę kropelkę – odezwał się z boku dystyngowany głos, przypominający trochę barwą i intonacją Gustawa Holoubka.

– A, służę panu. – Sięgnąłem po trzecią szklaneczkę. – Gość w dom, eee... hm... – Omal od razu na dzień dobry nie strzeliłem gafy.

Właściwie należało się go tutaj spodziewać. Siedział w głębokim, staroświeckim fotelu, który pojawił się razem z nim, niczego podobnego wcześniej w domu nie miałem. Starszy jegomość, w eleganckim, letnim garniturze z szarej flaneli. Skinął uprzejmie głową, kiedy podałem mu napitek.

– No, durniu – odezwał się do skulonego pod jego spojrzeniem Akwizytora. – Może umiesz jakoś odpowiedzieć panu redaktorowi?

– Ale, panie prezesie... – Wił się tamten. – No, może rzeczywiście... niedopatrzenie... ale to dopiero program pilotażowy...

– Milcz, kretynie! – Nazwany prezesem zerwał się nagle, w jego dłoni pojawił się pejcz, którym, zupełnie zapominając o dystynkcji, zaczął prać po gębie swojego pracownika. – Pod stół, idioto! W tej chwili pod stół!

Okładany Akwizytor zanurkował z bolesnym kwikiem pod blat i w jednej chwili rozpląnął się tam bez śladu. Pejcz w ręku prezesa zamienił się ponownie w szklaneczkę whisky.

– Proszę wybaczyć. – Usiadł, wracając do pełnego godności tonu. – Niestety... Ludzie nie zdają sobie sprawy, co to znaczy kierować równie rozległym przedsięwzięciem. Wydaje im się, że ja mogę wszystko... I oczywiście to prawda. Ale przecież nie dopatrzę wszystkiego osobiście. Muszę, niestety, polegać na idiotach. A oni ciągle wszystko psują. Gdybym miał odpowiednie kadry, już wiele pokoleń temu byłoby po meczu.

– Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

– Ależ właśnie może pan, może, panie Aleksandrowicz! Ten cymbał przecież powiedział prawdę. Jest pan człowiekiem, jakich angażujemy natychmiast. Ci durnie przygotowali i rozpoczęli całą akcję, nie pomyślawszy nawet, jak to uderzy w nasz największy w dotychczasowej historii sukces, jakie fatalne może mieć skutki propagandowe. A pan przejrzał uboczne skutki w jednej chwili.

– Zapewne dlatego, że ten pański historyczny sukces zupełnie mi nie odpowiada. I chętnie dołożę starań, żeby nie trwał zbyt długo.

– Ech, wie pan, jak to jest. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Zmieni się pańska sytuacja, to i zmieni się pański pogląd na rzeczywistość. Niech pan żąda, czego tylko pan zamarzy, a ja i tak przebijam to potrójnie. No, jak?

– W ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut odpowiadałem na to pytanie już dwa razy. Czy to naprawdę nie wystarczy?

Przypatrywał mi się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

– Wystarczy. Znam się na ludziach i widzę, że istotnie, nie da się pan zwerbować. Cóż, nie lubię takich, ale szanuję. Niech pan tylko za bardzo nie wbija się w dumę. Stać mnie na to, żeby odpuścić, bo doskonale wiem, że nigdy mi pan w żaden sposób nie zaszkodzi. Nikogo nie zdoła pan przekonać ani niczego zmienić, ot, poprzygaduje pan sobie trochę, pozrzedzi, i tyle. Cóż, pański wybór.

Podniósł się z fotela.

– Jedna sprawa, tak z zawodowej ciekawości. – Zatrzymałem go. – Jestem ciekaw, dlaczego? Czy to jest naprawdę tak, jak to mówił pański pracownik, że macie szukać w nas słabych punktów?

– Owszem, można to tak ująć. Ale szczerze mówiąc, mam swój osobisty powód. – Uśmiechnął się w sposób, który sprawił, że na chwilę stał się ludzako podobny do capiej fizjonomii ze średniowiecznych polichromii. – Po prostu cholernie was nie lubię.

Sięgnął ręką za plecy, do regału z książkami. Bez patrzenia, jakby był u siebie, wyciągnął i podał mi jeden z tomów. Chwilę później już go nie było.

To było „Akwarium” Suworowa; w moich rękach samo otworzyło się na tej stronie, gdzie sowiecki szpieg, zakonspirowany w Niemczech, zwierzał się ze swego marzenia. Skromnego marzenia – żeby już po wszystkim, kiedy wyzwolicielska Armia Czerwona przetoczy się pancernym cielskiem przez syte i rozbawione miasta Zachodu, zostać komendantem łagru, najlepiej w malowniczych górach Szwarcwaldu. I mieć w nim tych wszystkich, z którymi jako szpieg pracował i którzy mu oddawali nieocenione usługi, pacyfistów, postępowych intelektualistów, lewaków – wszystkich swoich ochotniczych pomagierów, co to nigdy nie zaznali sowieckiego piekła, ale dla jakiejś intelektualnej perwersji albo w

geście znudzonych dobrobytem dzieciaków gotowi mu byli służyć. Umieścić ich wszystkich w osobnym sektorze, nie dawać ani kęsa, i tylko codziennie patrzeć. „Niech pożerają się nawzajem. Niech każdego dnia ustalają, kto z nich jest najsłabszy. Niech każdy boi się zmrużyć oka, żeby nie udusili go we śnie i nie zjedli. Wtedy może zrozumie...”

Może zrozumiałem – co mi chciał powiedzieć, i dlaczego w taki sposób. Odstawiłem książkę na półkę.

Pomyślałem, że zanim jeszcze zadzwonię do Zbysia ucieszyć go wiadomością, że spiętrzenie roboty już ma się ku końcowi, wywalę na śmietnik fotel pozostawiony w stołowym przez Prezesa. Kiedy wynosiłem mebel z klatki schodowej, omal się nie poślizgnąłem na rozsypanych listach; gówniarze znowu wybebeszyli skrzynki pocztowe. Oczywiście wśród walającej się po ziemi korespondencji nie było reklamówki „Sprawiedliwej Magii”. Do dziś nie wiem, czy gwizdnął ją osiedlowy złodziejaszek, czy poczta, czy też może firma, tak jak inne, wchodzące w skład reklamowanego przez Akwizytora holdingu, zadbała o zlikwidowanie śladów swej działalności.

październik 2002

Jacek Piekara

Sierotki

Najpierw poczułem mdlący smród palonego mięsa. Dopiero później ujrzałem kłęby szarego dymu, które wzbijały się w pochmurne niebo spoza gęstej zasłony drzew. Na samym końcu usłyszałem radosne krzyki. Wstrzymałem konia, gdyż wiedziałem, co się dzieje przede mną, i wiedziałem też, że jeśli ruszę dalej, to będę musiał ponieść pełne konsekwencje uczynionego wyboru. Ale tak naprawdę nie miałem się nad czym zastanawiać. Moja powinność nakazywała mi sprawdzić, cóż takiego zdarzyło się w miejscu ukrytym za drzewami.

– Mordimer... – Usłyszałem za sobą głos Kostucha, gdyż on również się domyślał, co się święci.

Pokręciłem tylko głową, nie odwracając się w jego stronę, i ruszyłem naprzód. Zza pleców dobiegło mnie westchnienie i przytłumione szepty bliźniaków. No cóż, chłopcy chcieli już wracać do Hezu, a ja zamierzałem wpakować ich w nową kabałę. Chociaż mogłem mieć nieśmiałą nadzieję, że wieśniacy palą na przykład mięso zarażonej krowy lub świni. Ale czy w takim wypadku wznosiliby te radosne okrzyki? Zbyt często miałem okazję obserwować ludzi płonących na stosach, by wiedzieć, że tak właśnie zachowuje się oglądająca mękę gawiedź. I ku mojemu ubolewaniu, nie było w tym nic ze wzniosłej radości wynikającej z ratowania grzesznika, lecz jedynie pusta uciecha spowodowana przypatrywaniem się cierpieniu drugiej istoty.

Niestety, moje podejrzania okazały się słuszne. Zza drzew wyjechaliśmy prosto na łąkę umiejscowioną w zakolu rzeki, a na środku tej łąki stał dopalający się już stos (bardzo niefachowo ułożony, gdyby ktoś mnie pytał). Wokół stosu kłębiła się czereda chłopstwa – mężczyźni,

kobiety i dzieci. Widać cała wioska (a może nawet kilka okolicznych wiosek) wyległa, by przypatrywać się przedstawieniu. Krzyczeli, śmiali się, pili piwo, ktoś rzucał w płomienie szyszkami, a ktoś inny tańczył wokół, głośno wywrzaskując „u-ha!, u-ha-ha!”. Kto spłonął na stosie, tego już dopatrzeć się nie byłem w stanie, gdyż z nieszczęśnika czy też nieszczęśnicy nie pozostało nic poza zwęglonymi szczątkami, jedynie z grubsza przypominającymi kształtem człowieka.

Wjechaliśmy na łąkę stępa, ja na przedzie, a za moimi plecami Kostuch i bliźniacy. Chłopi jednak byli tak zajęci zabawą, że przez długą chwilę nikt nas nie zauważył. Stanęliśmy więc spokojnie, ale nagle pod Pierwszym szarpnął się koń, a bełt wystrzelony z kuszy gwizdnął mi koło ucha.

– Yaah, wybacz, Mordimer – burknął Pierwszy, a ja tylko westchnąłem.

Wtedy chłopi wreszcie dostrzegli, że nie są sami, i zaczęli się odwracać w naszą stronę. Była ich spora gromada. Może pięćdziesięciu lub więcej, w tym co najmniej dwudziestu mężczyzn w sile wieku. Kilku miało siekiery w dłoniach, a zauważyłem też, że parę innych siekier leżało porzuconych w trawie. Rozglądałem się w milczeniu, a tłum przypatrywał nam się z mieszaniną zaciekawienia oraz obawy. Nie lękałem się, że nas zaatakują, bo tylko szalencie rzucałby się z toporkiem czy drągiem w rękę na czwórkę zbrojnych. Musieli przecież widzieć kolczugi pod naszymi płaszczami, krzywą, szeroką szablę Kostucha, kusze bliźniaków i mój miecz kołyszący się u końskiego boku.

– Nazywam się Mordimer Madderdin – rzekłem głośno, ale spokojnie. – Jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hezhezronu. Kto z was, ludzie, jest przy władzy?

Tłum wyraźnie się cofnął. Zauważyłem, że kilka bab nader szybkim krokiem ruszyło w stronę brodu, za którym dostrzegłem strzechy chałup. Mężczyźni zbili się w gromadkę i zagadywali coś jeden do drugiego, popatrując na nas spode łba.

– Sołtys. Wójt. Musicie tu chyba mieć kogoś takiego – powiedziałem, kiedy cisza się przedłużała.

W końcu krok przed gromadę wystąpił chudy, wysoki starzec w szarej opończy. Miał siwe, skudłone włosy wymykające się spod kapelusza i twarz przeoraną dziobami po ospie.

– Ja jezdem wójd – powiedział, biegając wzrokiem na boki.

– Chodź no tu. – Pokiwałem na niego palcem. – No chodź, chodź nie bój się...

Zbliżył się ostrożnie, ale stanął jednak w sporej odległości ode mnie.

– Złucham, jaźnie pana – burknął.

– Kapelusz – powiedziałem łagodnym tonem, a on zagapił się na mnie.

W końcu zrozumiał, zerwał okrycie z głowy i zmiął je w dłoniach. Powiodłem wzrokiem po tłumie, reszta chłopów też zaczęła ściągać czapki.

– Co to jest? – wskazałem palcem dopalające się bierwiona.

Wójt obejrzał się przez ramię i długą chwilę przyglądał się stosowi, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

– To? – spytał głupawo.

– Czarownicę spalilim! – wrzasnął ktoś z tłumu, ale nie zauważyłem kto.

– To prawda? – Pochyliłem się w stronę wójta.

– Ano wychodzi, że jaźnie panie, tag a nie inadziej... – mruknął.

– Powiedz no, Kostuch, przyjacielu, jaka jest kara dla tych, co uzurpują sobie prawa sądu inkwizycyjnego? – rzekłem donośnym tonem.

Kostuch wyjechał naprzód i odrzucił kaptur. Wójt zamarł z do połowy rozchylonymi ustami, kilka osób jęknęło, a kilka innych się przeżegnało. No cóż, Kostuch nie grzeszy urodą, a biegnąca przez całą twarz szeroka, pofałdowana blizna też nie dodaje mu uroku. Nie ukrywam, że lubię wrażenie, które na ludziach wywołuje jego fizjonomia.

– Tą karą jest kastracja, darcie pasów i palenie na wolnym ogniu – powiedział Kostuch bardzo głośno.

– Dzieci nam chciała pozabijać, wiedźma przeklęta! – zapiszczała jakaś baba, a zaraz potem poparł ją chór głosów.

Wójt, wsparty przez chłopów, uniósł na mnie wzrok.

– Zwięda prawda! – Huknął się pięścią w piersi. – Żebym tak drupem pad na mieczu.

– A to się zaraz stać może – zaśmiał się Kostuch, i ten śmiech bynajmniej nie dodał mu piękności.

Wójt cofnął się dwa kroki i przygiął grzbiet w pokłonie.

– Ubrażam łazgi jaźnie pana – zajęczał, patrząc spode łba i wykrzywając twarz w grymasie.

Jednak zauważyłem, że spoziera na mnie całkiem bystro. Cóż, skoro został wójtem, nie był zapewne zupełnym idiotą. Ale nawet w małym stopniu nie zdawał sobie sprawy, w jakie kłopoty właśnie wdepnął. Bowiem widzicie, mili moi, Święte Oficjum, potocznie zwane Inkwizytorium, jest jedyną i ostateczną wyrocznią w sprawach o czary i herezję. A my, inkwizytorzy, nie lubimy tych, którzy palą lub torturują ludzi bez naszej wiedzy, zgody oraz błogosławieństwa. Nie wynika to nawet z nadmiernej łaskawości czy też miłosierdzia (w końcu nasz Pan, schodząc z Krzyża swej męki, rzekł Apostołom: „zabijajcie ich wszystkich, Ojciec rozpozna swoich”), ale służy po prostu zachowaniu prawa oraz porządku. Bo cóż by było, gdyby mieszkańcy każdego miasta, miasteczka lub wsi zajmowali się śledzeniem czarowników i heretyków, rozpalali stosy, urządzali przesłuchania i polowania? Powstałby zamęt, nieporządek i bałagan. Krótko mówiąc: chaos. A wszak dobrze wiemy, któż jest Ojcem Chaosu, nieprawdaż?

Zresztą, trzymając się spraw przyziemnych: kto pracowałby wtedy na polach, w kramach, czy manufakturach? Kto płaciłby podatki? Nie mówiąc

już o tym, że jedynie my – absolwenci Akademii Inkwizytorium – jesteśmy przyuczeni, by odsiewać ziarno od plew i by codziennie wykuwać ostrze Bożego gniewu z zimnego ognia sprawiedliwości. To my trzymamy klucze do szkatuł ludzkich serc i niechętnie tymi kluczami dzielimy się z kimkolwiek innym.

Dlatego też kary za bezprawne tropienie herezji oraz czarów były surowe, choć ku mojemu ubolewaniu, patrzono czasem przez palce na zapał chłopów lub mieszczan, którzy za najlepszy sposób służenia Panu uznawali usmażenie na stosie kilku nieszczęśników. Zwykle zdziwaczałych starowinek, sąsiadek, którym za dobrze się wiodło, lub dziewczuch, których piękna buzia i powodzenie u mężczyzn wywołały zazdrość mniej urodziwych kobiet.

Gwoli sprawiedliwości muszę jednak przyznać, że hołota miała czasem rację i rzeczywiście któryś z sąsiadów parał się czarną magią. A przynajmniej tak mu się wydawało, gdyż bełkotanie niezrozumiałych zdań, uważanych przez maluczkich za zaklęcia, nikomu przecież nie mogło zaszkodzić. Za wyjątkiem samych bełkoczących... Gdyż widzicie, mili moi, dla naszego świętego Kościoła nie ma różnicy po między grzechem a żądzą popełnienia grzechu. Jeśli nawet ktoś tylko uważał się za czarownika i pragnął szkodzić ludziom, w oczach Świętego Officjum zasługiwał na stos. Oczywiście, nie na pospiesznie ustawioną stertę bierwion, z jaką tu mieliśmy do czynienia. Zasługiwał na prowadzone z prawdziwą miłością, rzetelne przesłuchanie, a potem godną śmierć. Pełną bólu, ale też żarliwej skruchy i wszech – dojmującej wdzięczności dla sług Bożych, którzy nie szczędzili trudów, by naprostować pokręte ścieżki jego żywota. Wierzcie mi, że niewiele jest piękniejszych widoków nad skruszonego grzesznika, który w żarze płomieni głośno wykrzykuje imię Pańskie, wyznaje braciom swe winy oraz daje świadectwo zahartowanej ogniem wierze. Tej nieszczęśnicy, która spłonęła z woli zgromadzonego na łące chłopstwa, nie

dano szansy oczyszczenia serca, duszy i sumienia. A to był grzech, mili moi, grzech ciężki do wybaczenia.

– Kim była ta kobieta i co uczyniła? – zapytałem.

– Wieźma przeklęta – warknął wójt. – Wierdzie mi, panie. Dziadki chdziała upiedz...

– W piecu chlebowym! – wrzasnęła z tłumu ta sama kobieta co przedtem.

Spojrzałem w jej stronę. Była tłusta, o czerwonych, obwisłych policzkach i nosie przypominającym świński ryj. Zatopione w zwałach tłuszczu małe oczka patrzyły jednak na mnie hardo i z niezachwianą pewnością siebie.

– Gdzie macie te dzieci? – spytałem.

– We wiozce – burknął wójt.

– Niebożątka maluchne – rozczuliła się tłusta baba i przepchała przez tłum w moją stronę. – Gdybyście widzieli, szlachetny panie – złożyła dłonie na bujnych piersiach – jak te biedulki płakały, jak opowiadały, że je chciała upiec, jak cudem z jej chałupy uciekły, i u nas, ludzi poczciwych, schronienia szukały. Aże mi się serce krajało. – W jej oczach zalśniły nieudawane łzy.

Pokiwałem głową.

– No to prowadźcie nas do wsi – zdecydowałem. – Chcę zobaczyć te dzieciaki. Być może – podniosłem głos, aby wszyscy mnie dobrze usłyszeli – jeśli wszystko, co mówicie, jest prawdą, Święte Officjum w swym niezmiernym miłosierdziu daruje wam wasze grzechy!

Nie zauważyłem, co prawda, aby moje słowa spotkały się z nadmiernym entuzjazmem, bo zapewne chłopci mieli własne zdanie na temat miłosierdzia inkwizytorów. Nawiasem mówiąc, w opinii plebsu o naszym zbożnym trudzie najwięcej było plotek, przekłamań, bajęd albo i zwykłych łgarstw wynikających zapewne nie tyle ze złej woli, co z nadmiernie

wybującej wyobraźni i lęku. A przecież naszym zadaniem było strzec tych ludzi przed złem. Również złem, które może się czaić w nich samych, a z którego obecności nie zdają sobie nawet sprawy. Niestety, tak finezyjne rozważania nie trafiały do serc i umysłów prostaczków. Cóż, niektórzy z braci-inkwizytorów twierdzili, że wiele jeszcze trudu przed nami zanim doprowadzimy do tego, by nas szczerze pokochano. Ośmielałem się mieć odrębne zdanie w tej kwestii i sądziłem, że ta szczęśliwa chwila być może nigdy nie nadejdzie. Ale przecież nie dla miłości i poklasku tłumów oraz złudnej radości chwały czyniliśmy swą powinność. Nasze serca wypełnione były Panem i to musiało nam z naddatkiem wystarczyć.

Nie musiałem ostrzegać bliźniaków i Kostucha, że muszą uważać. Chłopi, przerażeni, niepewni własnego losu, mogli zdobyć się na jakiś szalony czyn, a nie chciałem przecież żadnych jatek. Bo rzeź czeredy rozjuszonego chłopstwa naprawdę nie była tym, czego najbardziej bym sobie życzył. Poza wszystkim było nas tylko czterech, a w takiej sytuacji zawsze może zdarzyć się nieszczęśliwy wypadek. A jak się domyślacie, mili moi, zakończenie życia z uwalanymi gnojem widłami w brzuchu nie było perspektywą, o jakiej marzyłby biedny Mordimer.

* * *

Gruba kobieta przyprowadziła dwójkę dzieci, które szły, trzymając ją za rękę. Dziewczynka oraz chłopiec. Oboje jasnowłosi i piegowaci. Na pierwszy rzut oka widać było, że to brat z siostrą. Dziewczynka miała długie, skudłone włosy, ładną buzię i usta wygięte w podkówkę. Chłopiec był krótko ostrzyżony, szczupły i nieco wyższy od siostry. Kiedy podchodzili, widziałem, że obserwuje mnie spode łba i bardzo mocno ściska dłoń opiekunki.

Usiadłem na cembrowinie studni.

– Nazywasz się Margerita, prawda, dziecko? – zagadnąłem.

Podniosła na mnie ogromne, błękitne oczy, teraz pełne łez.

– Tak, panie – wyszeptała.

– A ty Johann, czyż nie tak? – Obróciłem wzrok na chłopca.

Skinął głową, i w tym skinięciu była jakaś tłumiona hardość.

– Chcę, abyście mi opowiedzieli o czarownicy – powiedziałem łagodnym tonem. – Co się wam przytrafiło? Jaką krzywdę chciała wam wyrządzić?

Dziewczynka tylko bezgłośnie zapłakała i wtuliła się w suknię grubej kobiety. Chłopiec też mocniej do niej przylgnął.

– Chciała nas upiec – odezwał się w końcu. – Wrzucić do pieca.

– Zacznijmy od początku – rzekłem. – Po co weszliście do lasu?

– Nazbierać grzybów – bąknął Johann.

– I jagód – dodała jego siostra.

– Z tatuńciem.

– I z mamunią.

– Zgubiliśmy się.

– 1 wiedźma nas wtedy znalazła.

– Znaliście wcześniej tę kobietę? – Spojrzałem na wójta.

– Włóczyła się po lasach. Ten ją widział i tamten...

– Gdzie mieszkała?

– A tamój – machnął dłonią – za wąwozem. Daleko. No tak, równie dobrze mogłem nie pytać, bo niewiele mi te jego tłumaczenia dały. Dla wieśniaków wszystko było albo przed lasem, albo za lasem, albo na lewo od stada owiec.

– Zaprowadzicie nas tam jutro – rozkazałem i odwróciłem się z powrotem w stronę dzieci. – Co się dalej stało?

Z nieskładnej opowieści zdołałem się dowiedzieć, że stara obiecała dzieciom, iż odprowadzi je do wioski, ale przedtem chciała zanieść do chaty koszyk z ziołami i grzybami, które zbierała. Już w domu nakarmiła rodzeństwo, po czym rozpała ogień pod ogromnym piecem. A potem związała dzieciaki i chciała wrzucić do pieca małą Margeritę. Jednak Johann poluzował więzy na rękach, wyrzucił czarownicę pogrzbaczem w głowę, uwolnił siostrę i uciekli do lasu ścigani przekleństwami zranionej wiedźmy.

– Jak trafiliście do wioski? – zapytałem.

– Ja je znalazłem – rzekł barczysty, czarnobrody mężczyzna z bielmem na jednym oku. Wystąpił krok przed gromadę. – Jestem Wolfi Łamidąb, proszę łaski jaśnie pana.

– Służyłeś – raczej stwierdziłem niż spytałem.

– Dwadzieścia lat, proszę łaski jaśnie pana – odparł zaczerwieniony z dumy. – Cesarska piechota wybraniecka.

– Zuch – powiedziałem głośno. – Opowiedz nam więc, co widziałeś, Wolfi.

– Usłyszałem płacz i potem zobaczyłem biegnące dziecko – rzekł. – No to się dopytywałem, ale ni to, ni tamto ni śmo nie mogłem, takie były

zestrachane. No to je poprowadził do wioski i już wtedy wójt i inși się wywiedzieli co i jak. No to wszystko, proszę łaski jaśnie pana, co wiem.

– Wzruszył lekko ramionami. – Upraszam o wybaczenie...

– Dobrze się spisałeś – powiedziałem. – Uratowałeś dzieci i ludzie powinni ci być wdzięczni. A ty, Johann, jesteś dzielnym chłopcem. Niewielu tylko miałoby śmiałość zmierzyć się z prawdziwą wiedźmą.

Chłopiec podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się szczerbatym uśmiechem.

– Musiałem ratować Margotkę. – Wyciągnął rękę i ścisnął dłoń siostry.

– Krzyczała, że inni po nas przyjdą – wydusiła z siebie Margerita. – Tak krzyczała, jakżeśmy uciekali...

– Jacy inni? – Moje pytanie było ledwo słyszalne w gwarze, który się nagle wszczął pośród gromady.

– Powiedziała, że wielu jest, co lubią mięso takich dzieciaczków, jak my. – Johannowi udało się przekrzyczeć hałas.

– Ludzie, ludzie! – wrzasnęła tłusta kobieta. – Kto chodził do wiedźmy? – Powiodła wzrokiem po stojących kołem wokół studni sąsiadach. – Rita, ty zamawiałaś napary, żeby bydło nie puchło!

– Łeż! – wrzasnęła nazwana Ritą, wysoka, siwa kobieta z twarzą jakby wystruganą z brązowej kory. – Łeż przekłeta! To ty, diable nasienie, żeś chodziła dla synowej, bo wszyscy wiedzą, że nogi przed byle kim rozkłada!

Tłusta kobieta skoczyła w stronę Rity, celując pazurami w twarz, ale Wolfi Łamidąb wyrósł nagle na jej drodze i unieruchomił ją jednym ruchem.

– Spokój, baby! – krzyknął tubalnym głosem. – Bo jak której przyłożę, to pożałuje!

Wstałem i klasnąłem w dłonie.

– Milczeć! – zawołałem i czekałem, aż ludzie się uciszą. – Łaska Pańska sprowadziła nas do waszej wioski – rzekłem poważnie – bo jak

widać, Zły krąży wokół i szuka, kogo by pożreć. – W tłumie odezwały się przerażone piski. – Módlcie się wraz ze mną: *Wierzę w Boga, Stworzyciela Nieba i Ziemi...*

Pierwszy zawtórował mi Wolfi, a za nim poszli inni. Kostuch z poważną miną uklęknął w błocie, a zaraz potem zaczęli klękać chłopi. Po chwili tylko ja stałem, górując nad całą rozmodloną gromadą.

– *...umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, zstąpił z krzyża, w chwale zaniósł słowo i miecz swemu ludowi...* – kontynuowałem modlitwę z prawdziwą radością, patrząc na pokornie pochylone grzbiety oraz głowy.

* * *

Z chaty, którą przydzielili nam wójt, usunięto dotychczasowych mieszkańców, czyli nad wyraz liczną rodzinę bednarza. Skądinąd byli zresztą zadowoleni, gdyż za uprzejmość nagrodziłem ich kilkoma groszami. Na moją usilną prośbę usunięto również trzy warchlaki, które wesoło bawiły się przy palenisku. Niemniej ślady w postaci brudu i smrodu pozostały zarówno po gospodarzach, jak i po prosiętach.

Kostuch nagarnął sobie słomy do kąta i rozwalił się ze szczęśliwą miną.

– Jak w domu, co? – zadrwiłem.

– Nie wieje, na łeb nie pada... Czego więcej trzeba? – odpowiedział.

– Dziewki niby – mruknął Drugi.

– Ta gruba mi się, prawda, zwidziała – rzekł w zamyśleniu Pierwszy i zagmerał palcem w zębach. Wyjął spomiędzy nich jakiś farfocel starego mięsa i przyglądał mu się z pilną uwagą.

– Ta od dzieciaków? – skrzywiłem się.

– Lubię takie... – zastanowił się chwilę i włożył wydłubany strzęp mięsa z powrotem do ust -...prosiakowate.

– Cycate – dodał jego brat.

– Z wielgachną dupą – kontynuował Pierwszy.

– Wystarczy – rozkazałem.

Nie zamierzałem wysłuchiwać ich fantazji. Zwłaszcza że kilka razy miałem okazję widzieć, jak te fantazje przeradzają się w rzeczywistość, a bliźniacy mieli pociąg nie tylko do wielkich piersi i wielkich tyłków, ale również do kobiet, łagodnie to ujmując, śmiertelnie spokojnych i trupio zimnych.

– Macie być grzeczni, rozumiano? Żadnych zabaw z chłopkami, żadnych pijatyk, bijatyk i zabójstw.

– Znasz nas, Mordimer – powiedział Pierwszy z wyrzutem w głosie.

– O tak, znam – odparłem, bo byli jak wściekłe psy i spuszczenie ich z łańcucha nie byłoby dla nikogo bezpieczne.

– Wyśpimy się i co, pojedziemy do domu? – zapytał Drugi.

– Bliźniak, czyś ty zdumiał? Nie sądzisz, że zostało nam tu co nieco do wyjaśnienia?

– A niby co takiego?

Westchnąłem tylko, bo głupota moich towarzyszy była czasem iście porażająca.

– Znaleźć tatuńcia i mamuńcię. – Kostuch dość zgrabnie udał głos małego Johanna.

– O! – Wskazałem na niego palcem. – Bardzo dobrze, Kostuch. A poza tym zbadać chatę więdźmy, jeśli z tej chaty cokolwiek jeszcze zostało. I dowiedzieć się kim są ci „inni”, o których mówiły dzieciaki. Sporo roboty, nie sądzisz?

– A spalimy tu kogoś, prawda, czy nie? – Pierwszy podniósł się na łokciu i spojrzał na mnie.

– Na przykład kogo byś chciał teraz spalić? – spytałem łagodnie.

– A bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – To ty jesteś od myślenia, Mordimer.

Westchnąłem tylko, gdyż, niestety, była to szczerza prawda. Oczywiście będę musiał napisać stosowny raport dla kancelarii w Hezie, a biskup sam już postanowi, co zrobić z mieszkańcami wioski, którzy złamali prawo. Szczerze jednak wątpiłem, by raport ten, gdy już powstanie, zasłużył na cokolwiek ponad znudzone prychnięcie Jego Ekscelencji. Bo któżby się przejmował tym, że jacyś wieśniacy z zapadłej głuszy spalili obłąkaną staruszkę? Też mogłem na wszystko machnąć ręką i pojechać dalej, ale – niestety – miałem zbyt mocno rozbudowane poczucie obowiązku. W końcu

jeśli nie my, inkwizytorzy, będziemy stać na straży prawa, któż zrobi to za nas?

Poza tym sprawa nabrała nieoczekiwanego obrotu. Bo oto pojawili się jacyś „inni”, którymi groziła rodzeństwu wiedźma. Smakosze młodego, ludzkiego mięska? Czarownicy? A może tylko wymysł dziecięcej wyobraźni? Z całą pewnością ten ślad należało uważnie sprawdzić. Wtedy, być może, być może, naprawdę zapłoną tu stosy... Ale do tego droga jeszcze była daleka, gdyż Pan w swej łasce nie obdarzył mnie przywarą nadmiernej pochopności sądów. Dobrze przecież pamiętałem słynną (a słyszałem też, że obecnie na wykładach w Akademii często przypominaną) sprawę miasteczka Dunholz. Tam niedoświadczeni bracia z miejscowego Inkwizytorium dali wiarę bajdom dzieciaków z sierocińca i spalili pół rady miejskiej, zanim Jego Ekscelencja biskup wysłał pewnego zaufanego inkwizytora, który ku uldze znacznych mieszczan przywrócił porządek. A poszło ni mniej, ni więcej tylko o zakaz opuszczania murów sierocińca, co tak zeżliło poczciwe dziatki, że oskarżyły swych dobroczyńców o czary oraz spiskowanie z Szatanem.

Tak więc nie zamierzałem pospiesznie dawać wiary nie – udokumentowanym oskarżeniom. Niemniej wyobrażałem sobie, do czego mogłoby dojść, gdyby nie moje niespodziewane pojawienie się w wiosce. Koncert wzajemnych oskarżeń już się przecież rozpoczął, a możecie mi wierzyć, mili moi, że było to jedynie leniwe preludium tego, co wydarzyłoby się, gdyby nie ingerencja waszego unizonego sługi. Znając zapiekłą nienawiść, jaka potrafiła zrodzić się z byle powodu w sercach plebsu, byłem pewien, iż w tym, tak poważnym przecież wypadku, bogobojni mieszkańcy zamęczyliby i zatłukli swych sąsiadów, a kto wie, czy nie zaczęli szukać winnych również w innych wioskach. Znałem takie przypadki i nie były one niczym niecodziennym. Zwłaszcza na tak zapadłych pustkowiach, gdzie mieszkańcy rządzą się według własnych

praw i obyczajów, niewiele poświęcając uwagi temu, co dzieje się za granicami ich osady.

– Śpijmy – rzekł Drugi. – Alem znużony, niech to!

– W grobie się wyśpisz – powiedziałem, a Drugi splunął, żeby odpędzić zły urok.

* * *

Rodzice Margerity i Johanna nie wracali trzeci dzień, a więc dla każdego musiało być jasne, że nie wrócą już w ogóle. Gdzieś w lesie, rzecie albo na mokradłach musiały leżeć ich zwłoki. Ale spróbujcie znaleźć na tak wielkim obszarze dwa trupy... Baaa, życzę szczęścia. Bez szkolonych w tropieniu psów rzecz wydawała się zupełnie niemożliwa, a nawet z psami bardzo, ale to bardzo trudna. Jednak dzięki łasce Pańskiej zostałem obdarzony pewnymi zdolnościami, które miałem już okazję nie raz i nie dwa wypróbować. Nie korzystałem z tych mocy zbyt pochopnie ani zbyt chętnie, gdyż doświadczenie nauczyło mnie, że za wszystko trzeba płacić. A ja płaciłem bólem, strachem i nazbyt bliskim obcowaniem z siłami, od których najchętniej trzymałbym się z daleka.

– Potrzebna mi jest jakaś rzecz, która była ich własnością – wyjaśniłem Wolfiemu. – Coś do czego byli przywiązani. Medalionik, święteczna chusta, cokolwiek...

– Ha! – Zastanawiał się moment, a potem klepnął się w czoło dłonią. – Siekiera! Tak, panie, jego siekiera! Mówił, że nie ma na świecie lepszej, dom nią zbudował...

Siekierę znaleźliśmy w domu Johanna i Margerity. Leżała w skrzyni zbitej z nieheblowanych desek. Wziąłem ją do rąk i pogładziłem wyrobione, gładkie stylisko oraz nadspodziewanie dobrze utrzymane ostrze. Siekiera była wypolerowana, lśniąca i nosiła ślady ostrzenia. Właściciel musiał o nią naprawdę dbać.

– Dobrze – powiedziałem. – Zabiorę ją. Wyrzuciłem chłopaków z zajmowanej przez nas chaty bednarza i kazałem im pilnować, by pod żadnym pozorem nikt obcy nie wszedł do środka. Usiadłem na klepisku i położyłem sobie siekierę na kolanach. Zamknąłem oczy. Głaskałem ją

delikatnie, czując pod opuszkami palców gładź drewnianego styliska oraz chłód żelaznego ostrza. O tak, w tym przedmiocie była moc. Właściciel przelał na niego swe myśli i uczucia, a ja niemal widziałem, jak cierpliwie szlifuje krawędź na osełce i bada palcami, czy stała się wystarczająco ostra. Ta siekiera mogła mnie doprowadzić do ojca Johanna i Margerity, gdyż łączyła ją z właścicielem niewidzialna, duchowa więź. Wież, która z całą pewnością przetrwała nawet jego śmierć, chociaż z każdym dniem i z każdą godziną słabła. Westchnąłem i uklęknałem, kładąc broń na klepisku. Znowu zamknąłem oczy. Dłonie złożyłem na piersiach.

– *Ojcze nasz - zacząłem – który jesteś w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi...*

Miałem opuszczone powieki, ale mimo to zacząłem widzieć leżącą przede mną siekierę. Jednak nie widziałem brązowego styliska i szarego ostrza, a jakiś drgający niepokojącą czerwienią kształt, który jedynie w niewielkim stopniu przypominał narzędzie pracy drwala.

– *...chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...*

I wtedy uderzył ból. Zawsze się go spodziewam i zawsze wiem, że będzie tak wielki, iż niemal nie do wytrzymania. A mimo to atak zawsze przeraża mnie gwałtownością. To nie jest ból koncentrujący się w jednym miejscu: nogach, rękach czy głowie. To wszechogarniający, paraliżujący w jednej chwili płomień, rozrywający na strzępy całe ciało. To galera o szkarłatnych żaglach, która wpływa do portu mego umysłu, by zakazić go szaleństwem i przerażeniem. I w takiej chwili obronić mnie może tylko modlitwa.

– *...I daj nam też siłę, byśmy nie przebaczeni naszym winowajcom. Ojcze nasz...* – zacząłem znowu, chociaż z kolejnymi słowami ból potężniał.

Wydawało się, że cierpienie nie może już być straszliwsze, a jednak każda następna chwila spychała mnie w otchłań nieludzkiej męki. Mój

umysł i moje ciało błagały, abym przestał się modlić. Lecz wiedziałem, że jeśli przerwę modlitwę, to najprawdopodobniej stanę oko w oko z czymś, czego nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, a przed czym będę całkowicie bezbronny, pozbawiony opieki, jaką dawało mi imię Pańskie.

Od drgającego czerwonego kształtu oderwał się płomień i poleciałem na tym płomieniu pod niebo. Wzbiliśmy się nad wieś, lecz nie widziałem ani domów, ani ludzi. Tylko na granicy postrzegania unosiły się mroczne kształty, płynące niczym burzowe chmury. Starłem się im nie przypatrywać, gdyż jeszcze bardziej od potężniejszego bólu lękałem się tego, że któryś z tych uszytych z mroku kształtów spojrzy na mnie. Gdzieś tam, w dole, spojrzeniem zdolnym przenikać ściany oraz strzechy, widziałem maleńką, skurczoną postać Mordimera i jego twarz ściągniętą cierpieniem.

– ...*bądź wola Twoja...* – wyjęczałem, choć moje usta błagały mnie, abym umilkł.

Pędziłem na płomieniu, jak gnana podmuchami wichury nić babiego lata. Zielone, wrośnięte w serce ziemi kolosy obracały za mną brodate głowy. Pod białą skałą leżał niebieski olbrzym i wyrzygiwał w powietrze chmury tęczy mieniającej się różnymi odcieniami błękitu. I tam właśnie ujrzałem kształt, do którego dążył płomień. Natężyłem wszystkie siły, by zawrócić, gdyż płomień chciał połączyć się z martwym człowiekiem. Ból stał się tak wielki, że powoli zmieniał się w mdlącą rozkosz wypełniającą całe moje ciało, niczym wrzący miód. Płomień zawahał się, ale potem, zmuszony modlitwą, zawrócił. I nagle, w mgnieniu oka, znalazłem się z powrotem w mrocznej, brudnej i śmierdzącej izbie. Przede mną, na podłodze, leżała siekiera, cała czerwona od krwi sączącej się z moich ust, nozdrzy i uszu.

– Boże mój – wyjęczałem, a potem upadłem na klepisko i zwinąłem się w kłębek.

Drżałem z chłodu, przerażenia i nawet nie z bólu, lecz na samo wspomnienie o cierpieniu, jakiego przed chwilą zaznałem. Ale wiedziałem już, gdzie szukać martwych ciał. Tyle, że jedyne, co mogłem zrobić, to wymiotować pod siebie i zasnąć w kałuży utworzonej z własnej krwi i rzygowin.

– Mordimer, Mordimer... – Zaniepokojony głos Kostucha dotarł do mnie w tej samej chwili, co uderzenie w zęby.

Ktoś rozwarł mi usta i siłą wlał w gardło ciepłą, gryzącą wódkę o smaku palonych śliwek. Zakrztusiłem się i otworzyłem oczy. Zobaczyłem, że Kostuch klęczy nade mną. Podważył mi zęby ostrzem noża i lał gorzałkę z bukłaka prosto w moje usta. Chciałem się wyrwać, ale trzymał mocno, a ja byłem tak osłabiony, że mogłem tylko przełknąć nieznośnie piekący, smrodliwy trunek. W końcu puścił mnie i znowu wymiotowałem.

– Chcesz mnie zabić? – jęknąłem i zobaczyłem, że twarz mojego towarzysza rozjaśnia uśmiech.

– No, już dobrze, dobrze – mruknął uspokajającym tonem.

– Nic nie jest, kurwa, dobrze – warknąłem i usiłowałem się podnieść, ale ramiona nie wytrzymały i z powrotem zwałem się na klepisko.

Kostuch okrył mnie podbijanym futrem płaszczem i usiadł obok. Łyknął z bukłaka, aż zagulgotało.

– Wykończysz się, Mordimer – powiedział i splunął w kąt. – Jak Bóg na niebie, wykończysz się.

Oczywiście te słowa wsparcia i otuchy były mi wręcz nad wyraz niezbędne. Tak więc, cichym jeszcze głosem, powiedziałem Kostuchowi, co myślę o nim, o jego matce oraz o sposobach, na jakie puszczała się z okolicznym bydłem nierogatym. Roześmiał się chrapliwie.

– Jeszcze łyeczka? – spytał.

– Zbieramy się – rozkazałem i dałem mu znak, żeby pomógł mi wstać.

Podtrzymał mnie ramieniem, a ja skrzywiłem się, bo odór bijący od ciała Kostucha był nawet w tej zasmrodzonej izbie tak silny, że wykręcił mi nozdrza na drugą stronę.

– A dokąd to? – zagadnął.

– Obejrzeć zachód słońca? Przysłuchać się świergoleniu ptaszków? Połowić ryby w rzece? Jak myślisz?

– Mordimer, prawda, znowu żyje – mruknął, wchodząc, Pierwszy, bo musiał dosłyszeć ostatnie zdanie. – Ty tu sobie spałeś, a my pracowaliśmy. – Miał lekko bełkotliwy głos, więc poznałem, że musiał sporo wypić.

Najchętniej rąbnąłbym go w ucho, gdyby podniesienie ręki nie było zbyt męczącym zajęciem. – I co? – zapytałem tylko.

– Chłopi mówią, że wróciły jakieś niby odmienione – mruknął Drugi, wchodząc do izby. – Niby te dzieciaki.

– Jakby cię chcieli upiec w piecu chlebowym, też by cię odmieniło – skwitowałem – Kostuch, osiodłaj konie i jedziemy, a wy – spojrzałem na bliźniaków, ale tylko machnąłem dłonią – róbcie, co chcecie...

Pierwszy rozwalił się w słomie z zadowoloną miną.

– No to jeszcze po łyчку, brat – zdecydował.

* * *

Świeże powietrze trochę mnie otrzeźwiło. Podeszedłem do studni, nabrałem w garście wody z wiadra i opłukałem sobie twarz. Potem uniosłem wiadro (a wierzcie, mili moi, że nie przyszło mi to łatwo) i wylałem resztę wody na głowę. Lodowate strużki spłynęły mi na kark i za kołnierz. Parsknąłem i poczułem, że może nie wraca mi jeszcze chęć do życia, ale pojawia się lekka nadzieja, że ta chęć kiedyś powróci. Kostuch stał już przy koniach i pomógł mi się wdrapać na siodło.

– Dokąd? – zapytał.

– Hej, ty tam! – zawołałem na chłopaka, który przypatrywał się nam z rozdziawioną gębą. – Gdzie tu jest wodospad?

Patrzył na mnie długą chwilę, aż w końcu machnął ręką za siebie.

– Tamój, panie – odparł.

– Zabierz go – rozkazałem Kostuchowi.

Mój towarzysz podjechał, chwycił chłopaka za kark i jednym ruchem posadził na siodle przed sobą. Dzieciak był zbyt oszołomiony, by protestować, zresztą kiedy widzi się z bliska twarz Kostucha, to słowa zwykle więzną w gardle.

Dawno temu już nauczyłem się właściwie odczytywać moje wizje, choć świat pojawiający się w nich tak bardzo różnił się od świata rzeczywistego. Olbrzym, wyrzuający tęczę o różnych odcieniach błękitu, musiał być wodospadem, a zielone, wrosnięte w ziemię kolosy symbolizowały stare drzewa, najprawdopodobniej dębowy bór. Jednak z reakcji chłopaka wywnioskowałem, że Bogu dziękować, w okolicy i tak jest tylko jeden wodospad, więc nie będziemy musieli długo szukać.

Podróż zajęła nam nie więcej niż godzinę, a miejscowy poprowadził nas przecinkami wśród gęstwiny, których istnienia inaczej pewnie bym się

nawet nie domyślił. Wodospad spływał z wapiennych, obrośniętych niskimi krzewami skałek i rozlewał się na dole w niewielkie, płytkie jeziorko pełne białych, nagrzanym słońcem głazów, wystających nad lustro wody. Kiedy znaleźliśmy się już na miejscu, Kostuch zgonił chłopaka z siodła i kazał mu wracać do wioski. Potem podał mi rękę, żebym bezpiecznie zgramolił się z konia. No, no, cóż za domyślność i troska, pomyślałem z lekkim rozbawieniem, choć nie ukrywam, że byłem mu wdzięczny, gdyż upadek przy zeskakiwaniu z siodła byłby dla waszego uniżonego sługi nieco poniżający.

– Zabrałeś łopatę? – spytałem.

– Nic nie mówiłeś o łopacie – odparł po chwili obrażonym tonem.

– Jassne – rzekłem. – No to możesz zacząć kopać tam. – Wskazałem mu miejsce kilka metrów na prawo od brzegu.

– Czym mam kopać? – Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

– Skoro nie zabrałeś łopaty, to pewnie rękami – wyjaśniłem pogodnie.

Chwilę jeszcze wpatrywał się we mnie, potem powiedział „aha” i uklęknął w miejscu, które wskazałem. Zaczął rozgrzebywać ziemię dłońmi. Ja tymczasem zdjąłem buty i onuce, usiadłem na jednym z głazów i włożyłem stopy do lodowatej wody. Od razu zrobiło mi się lepiej.

– Bardziej na prawo – rozkazałem, przyglądając się, jak Kostuch grzebie w ziemi. – I prędzej na miecz Pana, nie mamy całego dnia...

Fuknął coś z niezadowoleniem, ale zaczął kopać nieco szybciej. Przymknąłem oczy i obróciłem twarz w stronę słońca.

– Mam! – Z bezmyślenia wyrwał mnie wrzask Kostucha. Uniosłem powieki.

– Co masz? – spytałem.

– Kość! – Machnął w powietrzu wygrzebanym z ziemi piszczelem, jakby to była magiczna różdżka.

– No to jesteśmy w domu. – Wstałem, i nie zakładając butów, podszedłem do niego. – Kop w górę, a znajdziemy resztę.

Wzięłem od niego piszczel i przyjrzałem się jej uważnie. Trudno było nie dostrzec, że kość była gładka, oczyszczona z wszelkiego mięsa, ścięgien i krwi. Dostrzegłem ślady zębów. Z całą pewnością nie były to wilcze kły, ani tym bardziej niedźwiedzie. Po pierwsze, zwierzęta nie objadłyby piszczeli tak dokładnie i nie pozostawiły samej kości w stanie niemal nienaruszonym. Po drugie, ktoś wyraźnie zeżarł zwłoki, a potem niejadalne resztki pieczołowicie zakopał. A w ten sposób mógł postąpić tylko człowiek. I odkrycie tegoż właśnie faktu wydało mi się nad wyraz interesujące, chociaż zwiastowało również nieliczne kłopoty.

– O, następna...

Tym razem Kostuch odkopał miednicę. Przyjrzałem się jej uważnie.

– Tatuńcio – powiedziałem. – Szukaj teraz mamuńci.

Zaśmiał się chrapliwie i zagrzebał w ziemi ze zdwojonym zapalem. Wydawało mu się chyba, że zbliżamy się do celu naszej misji. Niestety, ja nie ośmielałem się być aż takim optymistą, gdyż znalezienie ogryzionych kości po rodzicach Johanna i Margerity tylko komplikowało całą sprawę.

Usiadłem obok i przyglądałem się, jak Kostuch wyjmuje po kolei kości. Piszczele, miednice, żebra, czaszki. Ułożyłem z tego wszystkiego dwa całkiem zgrabne szkieleciki. Efekt psuł tylko fakt, że zwłaszcza na czaszkach ślady ugryzień były aż nazbyt widoczne.

– Ej, już wszystko – powiedziałem, kiedy mój towarzysz nie przerywał kopania. – Co byś chciał jeszcze znaleźć? Trzecią głowę?

– Wesolek – burknął i nagle zamarł z palcami w ziemi. – Czekaj, Mordimer, mam coś...

– Może kreta? – poddałem.

I wtedy Kostuch wyciągnął następną czaszkę, a ja zagapiłem się na nią zdumiony.

– Na miecz Pana – mruknąłem w końcu. – Kogo tu jeszcze zabito?

– Coś ona mała – mruknął Kostuch, oglądając czaszkę pod słońce.

– Przecież chłopci nie mówili, żeby ktokolwiek jeszcze zaginął – rzekłem w zasadzie do własnych myśli, a nie do Kostucha. – Ani kobieta, ani dziecko. Może to jakieś stare kości?

– Spójrz no – Kostuch wyciągnął czaszkę w moją stronę. – Znowu zęby.

I faktycznie, czaszka została tak samo dokładnie ogryziona jak pozostałe dwa, kompletne już szkielety.

– Dobra, kop dalej – powiedziałem i sam przykucnąłem, rozgrzebując ziemię dłońmi, bo cała sprawa zaczynała mnie coraz bardziej ciekawić.

Po dłuższej, wytężonej pracy odnaleźliśmy jeszcze dwa szkielety. Oba były małe, więc z całą pewnością musiały należeć do dzieci. Do chłopca i dziewczyny.

– Może to jakieś dzieciaki z innej wioski – zastanowiłem się. – Albo te wieprze nie powiedziały nam o innych zaginięciach.

– Ślepy by powiedział – burknął Kostuch.

No i rzeczywiście miał rację. Wolfi Łamidąb (którego Kostuch niesłusznie nazywał ślepym, bo miał on przecież bielmo tylko na jednym oku) wyraźnie nam sprzyjał i z całą pewnością nie zataiłby tak ważnej informacji.

– Co tu się wyprawia? – Wstałem i przyjrzałem się szkieletom z góry. – Dwoje dorosłych i dwoje dzieci, ale przecież Johann i Margerita żyją, chyba że ja mam już zwidy...

Kostuch, wyraźnie mało zainteresowany moimi rozważaniami, usiadł nad brzegiem jeziora i zdjął buty. Smród doleciał mnie pomimo tego, że stałem kilkanaście kroków od niego. Skrzywiłem się i odsunąłem jeszcze dalej. Tymczasem Kostuch włożył stopy do jeziora, bardzo ostrożnie, jakby mogły mu się w nim rozpuścić. Po chwili uśmiechnął się i zagmerzał palcami w wodzie.

– Dobrze się czasem wykąpać – stwierdził z zadumą. – Bo czekajże no, kiedy ja się kąpałem ostatni raz? W Hezie na święto Zstąpienia? Co, pamiętasz może, Mordimer?

Westchnąłem tylko i znowu kucnąłem nad wykopanym przez nas dołem. Zacząłem przesypywać ziemię przez palce.

– Piątego już nie znajdziesz – zaśmiał się Kostuch i podrapał się po brodzie. – A zresztą może i tak, co?

Odrzuciłem na bok brązowy kamyczek i nagle zorientowałem się, że to wcale nie był kamyczek. Zanurkowałem palcami w trawę i szybko namacałem okrągły kształt. Uniosłem go do słońca.

– Pierścionek – powiedziałem. – Miedziany pierścionek z literą „M”.

– Miedziany? – Kostuch nawet nie odwrócił się w moją stronę, tylko z pogardą wzruszył ramionami. – Co ci, Mordimer, po miedzianym pierścieniu? Weź go wyrzuć...

– Mały – przyjrzałem mu się z bliska. – Ot, taki na palec dziecka albo dziewczyny. Ha! – Schowałem pierścionek w zanadrze.

* * *

Do wioski wróciliśmy późno, gdyż najpierw kazałem Kostuchowi zakopać szkielety, a potem odmówiłem nad grobem krótką modlitwę, polecając Bogu dusze nieszczęsnych ofiar. Nie zamierzałem przerażać chłopów wieściami o odnalezionych szczątkach, zwłaszcza że ślady zębów na kościach nawet mnie niepokoiły. Czyżby istniał tutaj, w tej głuszy i na tym pustkowiu, kult kanibali? A jeśli istniał, czy zjadali oni ludzkie mięso jedynie dla kulinarnej podniety, czy też kryła się w tym część jakiegoś mrocznego obrzędu lub magicznego rytuału? Poza tym, człowiek jest dość dużym stworzeniem, a tutaj oczyszczono z mięsa kości czterech osób. Trudno było więc nie zgodzić się z tezą, iż był to naprawdę obfity obiad, nawet dla kogoś dysponującego ogromnym apetytem.

Zakazałem Kostuchowi wspominać komukolwiek o tym, co widzieliśmy, a on poklepał się po głowie.

– Już zapomniałem – odparł z krzywym uśmiechem.

Roześmiałem się, gdyż miał to być dowcip. Kostuch, bowiem, nigdy niczego nie zapomina i muszę przyznać, że te jego niezwykle zdolności czasem się przydają. Choć ja sam nie za bardzo wyobrażam sobie, jak mógłbym żyć z wieczną pamięcią o wszystkich, nawet najmniej istotnych wydarzeniach w moim życiu. Czy nie czułbym się trochę, jak na szczycie przeogromnego śmietnika, gdzie wśród nieogarnionej sterty rupieci ukryto prawdziwe skarby? No, ale na korzyść Kostucha przemawiał fakt, że bez trudu potrafił wydobyć z otchłani każdą informację, której potrzebowałem, więc jakoś przez ten śmietnik się przekopywał.

Kazałem mu wrócić do bliźniaków, a sam podjechałem na skraj wioski, gdzie tuż przy brzozowym zagajniku stała chałupa Wolfiego Łamidęba.

– Dostojny panie! – Były żołnierz zerwał się znad paleniska, gdzie pichcił coś w osmolonym kociołku. – Może zechcecie pojeść? Czym chata bogata...

Przysiadłem na ściętym i wygładzonym pniu, który zastępował w tym skromnym wnętrzu krzesło.

– Na zdrowie – odrzekłem. – Nie jestem głodny. Ale może napijiesz się ze mną?

Wyciągnąłem ku niemu bukłak z gorzałką, a on uśmiechnął się, skłonił w podziękowaniu głowę i łyknął, aż zagulgotało. Przymknął powieki.

– Śliwkowa. Palona – powiedział z rozmarzeniem. – Człowiek na samym piwie nie wydoli, panie. – Spojrzał na mnie pytająco, a ponieważ skinąłem z uśmiechem głową, wydudlił jeszcze jeden potężny łyk.

– Popatrz no, Wolfi. – Wyciągnąłem z kieszeni miedziany pierścionek. – Widziałeś kiedyś ten przedmiot?

Wziął pierścionek z mojej ręki i przyjrzał mu się w blasku ognia.

– Ano widziałem – rzekł. – Jasna sprawa, że widział, panie. Toż to pierścionek Margotki, co ojciec jej nie tylko kupił na jarmarku, ale kazał taką zręczną literkę wyrychtować. To „M”, prawda, panie?

– Tak. To „M” – odparłem. – Jesteś pewien, że to jej pierścionek?

– Żebym tak skonał! – Huknął się w pierś. – Będzie wam dziewczuszka wdzięczna, żeście znaleźli zgubę, boż to ostatnia pamiątka po rodzicielu...

– Myślisz, że nie wróci?

– Neeee... – Pokręcił głową. – Skoro nie wrócił, to i nie wróci, świeć Panie...

– Biedne sierotki – westchnąłem. – Ciężkie jest życie sierotek, co Wolfi?

– Oj, ciężkie, dostojny panie – również westchnął.

– Ale my jesteśmy dobrzy ludzie. Jakoś odchowamy, żeby im się krzywda nie działa.

– Podobno ludzie gadają, że dzieciaki wróciły jakieś odmienione. –
Podałem mu bukłak. – Co to ma znaczyć? O jakiej odmianie się mówi?

Przechylił bukłak do ust i wysączył do dna, a ja widziałem tylko, jak
miarowo rusza mu się grdyka na pokrytej kępkami włosów szyi. Odetchnął
głęboko, odbeknął, zakaszłał i oddał mi naczynie.

– Dobrze – mruknął. – Aj, jakie dobre. Służba mi się przypomina... Też
tak sobie siedzieliśmy przy ogniu i pociągali śliwówkę...

Jak widać Wolfi Łamidąb miał całkiem miłe skojarzenia z wojskową
służbą, ale w sumie nic dziwnego, że kojarzyła mu się ona z pićciem i
odpoczynkiem, gdyż najjaśniejszy cesarz był człowiekiem spokojnym i
niechętnym do wojaczki. Czego nie dało się, nawiasem mówiąc,
powiedzieć o jego spadkobiercy, którego nieskrywane nawet plany
przyszłych kampanii budziły pewne poruszenie wśród poddanych.
Zwłaszcza tych, którzy mieliby zaszczyt umierać na polu chwały w imię
realizacji jakże śmiałych cesarskich planów.

– Co tam z tym odmienieniem? – zagadnąłem.

– Aż tam, ja wiem? – Rozłożył dłonie. – No niby jakoś tak...

– Zachowują się inaczej niż zwykle? Mówią w inny sposób? –
dopytywałem.

– Coś tam jakby trochę – pokręcił palcami przy głowie – nie tak jak
trza.

Wolfi zdawał się być poczciwym człowiekiem, ale najwyraźniej nie
otrzymał w darze od Boga lotnego umysłu oraz daru pięknego wysławiania
się. No cóż, i tę przeszkodę trzeba było jakoś pokonać.

– A dokładniej, Wolfi? Co się zmieniło? Spokojnie, chłopcze, pomyśl
dobrze, nie spiesz się...

– Teraz to tylko razem się trzymają... – Lewą dłonią zagiął wskazujący
palec prawej.

To akurat byłem w stanie zrozumieć. Nieszczęście zbliża ludzi, zwłaszcza kiedy tracą rodzinę i pozostają sami na świecie.

– ...mówią jakensik inaczej, jakby ładniej niby to. – Zmarszczył czoło i zagiął drugi palec. – Albo co tam...

No cóż, wydawało mi się, że niekoniecznie Wolfi Łamidąb mógł odgrywać rolę eksperta w sprawie wysławiania się oraz bogactwa wymowy.

– ...zdawało się, że jakby nie poznali od razu, kto jest kto, i tak widać to sobie potem przypomnieli... – Zagiął trzeci palec.

I to byłem w stanie zrozumieć, gdyż zdarzało się, że przeżyta tragedia odbierała ludziom nawet nie część pamięci, lecz pozostawiała w świadomości jedynie nędzne okruchy dawnego życia.

– No i jakieś takie one w ogólności dziwne. – Podsumował, zaginając czwarty palec.

– Bardzo mi pomogłeś, Wolfi – rzekłem serdecznie, bo wiedziałem, że nie wycisnę z niego wiele więcej. Rozpromienił się.

– Zawsze do usług, proszę łaski jaśnie pana – powiedział dziarskim tonem.

– Wiem, Wolfi. Doceniam to. – Wstałem i pożegnałem go skinieniem głowy.

– Cesarska piechota wybraniecka, proszę łaski jaśnie pana! – niemal zawrzasnął.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem, pochylając głowę, by nie rozbić jej sobie o niską powałę. Z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem, bo podejrzewałem, że po pierwsze, Wolfi miał podobny stosunek do kąpieli co mój przyjaciel Kostuch, a po drugie, nie był zapewne mistrzem sztuki kulinarnej i to coś, co gotował w kociołku, musiało już umrzeć bardzo dawno temu.

Rozmowa z Łamidąbem nie przyniosła wiele nowego, ale wiedziałem jedno: nazajutrz wnikliwie przebadam dzieci. Jeśli znający je od lat

miejscowi gospodarze twierdzili, że jakoś się zmieniły, to wasz uniżony sługa chciał znać przyczyny tej zmiany. A poza tym bardzo interesowało mnie, w jaki sposób pierścionek małej Margerity znalazł się w jamie, w której ukryto szczątki czterech trupów.

Na razie jednak postanowiłem posiedzieć chwilę nad strumieniem. Noc była ciepła, rozpromieniona blaskiem księżycy w pełni, a mnie nie chciało się jeszcze spać. Zwłaszcza że z niejaką obawą oczekiwałem na wzmożoną gamę zapachów, która zaatakuje me nozdrza zaraz po wejściu do chatynki, gdzie spali Kostuch oraz bliźniacy.

* * *

Bóg obdarzył mnie wyczulonym słuchem, więc usłyszałem za plecami kroki, pomimo że przybysz wyraźnie starał się iść cicho. Odczekałem jeszcze chwilę i skoczyłem na równe nogi. Odwróciłem się już z mieczem w garści. W jasnym świetle księżyca, kilka kroków przed sobą, zobaczyłem Johanna, który zamarł z jedną stopą uniesioną w powietrzu.

– A co ty straszysz ludzi po nocy, smyku? – spytałem, chowając miecz do pochwy.

Stał cały czas nieruchomo, w tej nienaturalnej i niewygodnej pozycji. Przypatrywał mi się zawziętym, wrogim wzrokiem. Czujnym. Jak wilk, którego przyłapano na podkradaniu się do ofiary. Ha – niemal zaśmiałem się w myślach – ja, inkwizytor Mordimer Madderdin, miałem być ofiarą kilkuletniego chłopca? No cóż, szczerze mówiąc, nie takie historie słyszałem, a wsadzić człowiekowi nóż w plecy potrafi nawet dziecko.

I wtedy moich uszu dobiegł leciutki plusk. To mogła być ryba szamocąca się w toni lub żaba polująca na owady. Cokolwiek. Ale kiedy płynnie się obróciłem (tak, by nie stracić z oczu Johanna), przekonałem się, że nie była to ani ryba, ani żaba. Na wodzie stała ubrana w białą sukienkę, bosa Margerita, a jej jasne włosy błyszczały w księżycowym świetle. Zatrzymałem wzrok na jej stopach. Bowiem dziewczynka stała na strumieniu, a nie w strumieniu. Wyraźnie widziałem dziecięce palce opierające się o lustro wody.

Podobnie jak Johann, zamarła w pół kroku i przyglądała mi się spod strzechy skołtunionych włosów.

– No, dzieciaczki – powiedziałem, wyciągając miecz.

A wtedy Johann i Margerita skoczyli w moją stronę. Tak szybko, jakby zostali utkani z księżycowego światła. Machnąłem mieczem, ale ostrze

tylko ze świstem przecięło powietrze. Uderzyli mnie z dwóch stron. Całym pędem i ciężarem dziecięcych ciał. Zachwiałem się, poślizgnąłem na błotnistym brzegu i wpadłem z chlupotem w wodę. Podniosłem się błyskawicznie, tylko po, aby zobaczyć jak Johann i Margerita zaczynają zrastać się w jedno ciało. Stali tuż obok siebie, kilka kroków ode mnie, ramię przy ramieniu. Ich postaci otoczyła migotliwa, srebrna poświata. Ciała wibrowały w niej, rozmazywały się, jedno wchłaniało drugie. Po chwili widziałem jakiś dziwny twór o czterech nogach i dwojgu ramion, który miał połowę twarzy Johanna, a połowę twarzy Margerity.

Zapewne powinienem właśnie wtedy podbiec do tej przedziwnej istoty i zbadać, w jakim stopniu dziecięce ciała odporne są na stal miecza. Jednak zamiast tego wpatrywałem się oszołomiony tak długo, aż przemiana dobiegła końca. Przede mną stało coś, co jedynie z grubsza przypominało człowieka. Miało biały, rozdęty i nabrzmiąły kałdun, niemal ludzką głowę z ogromną paszczką i wyszczerzonymi zębami. Krótkie, napuchłe ramiona zakończone były szarymi pazurami.

Teraz dopiero ruszyłem z uniesionym mieczem, ale wtedy istota spojrzała na mnie. W jej wzroku pełgał fosforyzujący, trupi blask. Było w tym spojrzeniu coś tak nieludzkiego i tak przerażającego, że zmyliłem krok, a cięcie wypuściłem zbyt wolno i niecelnie. Potwór zszedł zręcznie z linii ciosu i sieknął mnie przez ramię pazurami. Miecz wypadł mi z dłoni, a ręka zwisała bezwładnie. Poczułem piekielny, palący ból, rozchodzący się wzdłuż całego ramienia. Zdołałem jednak uskoczyć przed następnym uderzeniem. A potem... cóż... Potem nie pamiętam już nic.

* * *

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że pochyla się nade mną dziewczyna, a raczej młoda kobieta. Miała bujne, związane w gruby węzeł, ciemne włosy oraz oczy o wykroju migdałów. Jej twarz była niemal biała, jak twarz porcelanowej lalki i tylko ledwo widoczna, niebieska, pulsująca żyłka przy kości policzkowej wskazywała, iż jest kobietą z krwi i kości. Uśmiechnęła się.

– Witaj znów na świecie – powiedziała.

To był budzący zaufanie głęboki, ciepły głos. Wierzyłem, że właśnie taki głos każdy chciałby usłyszeć, leżąc na łożu bóleści. A ja właśnie leżałem, choć słowo łoże może nie było najlepszym określeniem dla futrzanej szuby, rzuconej w kącie tej niewielkiej chatki. Mrok przeganiała tylko oliwna lampka stojąca tuż przy pościeli.

– Nazywam się Karla, Mordimerze – powiedziała, a ja nawet nie zdziwiłem się, skąd zna moje imię. – Wybacz mi, ale będę musiała teraz na poważnie zająć się twoją raną.

– Wybacz? – odchrząknąłem i spojrzałem w bok na paskudny, rozogniony i zakrwawiony strzęp, który niegdyś był moim ramieniem. O dziwo, jednak nic mnie nie bolało, więc przypuszczałem, że podała mi jakiś kojący wywar.

– Pij – Podetkała mi pod usta gliniany kubek.

Już sam zapach niemal mnie odrzucił, ale nie miałem siły, aby się uchylić.

– Pij, pij, pij – szepnęła nalegającym tonem i lewą dłonią nieco uniosła mi głowę.

Przechyliła kubek i w moje usta wlało się coś ciepłego i tak nieprawdopodobnie gorzkiego, że omal nie wymiotowałem.

– To lekarstwo. Pij!

Posłusznie wypilem wszystko do dna, bo, prawdę mówiąc, nie miałem większego wyboru. Poza tym miałem nadzieję, że ktoś, kto uratował mnie od śmierci, nie zechce natychmiast potem mnie otruć. Ośmielałem się wyciągać tak zuchwałe wnioski nie z uwagi na nadmierną łatwowierność charakteru, lecz posługując się zasadami czystej logiki, która taki czyn określiłaby z całą pewnością mianem bezsensownego. Jednak zaraz potem niewiele już mógłbym powiedzieć o logice, bowiem moje myśli gdzieś uleciały, a ciało stało się lekkie niczym puch unoszony ciepłym podmuchem. Twarz Karli to rozmywała się, to wyostrzała, jej wysoka, ubrana w biel, postać zdawała się unosić nad ziemią. A potem zobaczyłem, że dziewczyna zdejmuje suknię i staje olśniewająco naga w migoczącym, żółtym blasku lampki.

Uniosła w górę ramiona i widziałem, jak jej usta poruszają się, ale nie słyszałem żadnego dźwięku. A potem nagle słuch powrócił. W jednej chwili. Usłyszałem, jak Karla miarowo wypowiada słowa w nieznanym mi języku, a z każdym zdaniem jej oczy zdawały się ogromnieć i płonąć ogniem, w którym jednak nie było światła, a sam mrok. A później gwałtownie opadła tuż nade mną, tak że zobaczyłem jej nagie piersi niemal przy samej twarzy. Poczulem, że ściska moje zranione ramię dłońmi, a ten uścisk przypominał chwyt rozgrzanymi, żelaznymi kleszczami. Wrzasnąłem. Wrzasnąłem i, wstyd się przyznać, mili moi, wrzeszczałem tak długo, póki nie została mi ofiarowana łaska powtórnej utraty świadomości.

Kiedy się ocknąłem, Karla siedziała tuż obok mnie, i trzymając dłoń na moim ramieniu, nucila coś cicho. Tym razem jednak jej palce niosły nie tylko ukojenie, ale i odświeżający chłód. Przyglądałem się jej spod przymrużonych powiek, a ona się uśmiechnęła.

– Jesteś już niemal zdrowy, Mordimerze – powiedziała, nie otwierając oczu.

Zerknąłem na ramię i zobaczyłem, że na skórze została tylko różowa blizna i lekka opuchlizna, tak jak po niezbyt mocnym uderzeniu.

– To niemożliwe – wychrypiałem, gdyż ani medycyna, ani najszczerze nawet modlitwy nie potrafią czynić takich cudów.

– A jednak. – Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. – To była trucizna. Bardzo groźna trucizna. Sądzę, że bez mojej pomocy nie przeżyłbyś nawet dnia. A zresztą – zaśmiała się – i tak byś nie przeżył, zważywszy na fakt, iż twój przeciwnik znany jest z ogromnego apetytu.

– Tak. – Przypomniałem sobie już wszystko, ale zagadką pozostawało dla mnie jeszcze wiele spraw. Za wyjątkiem jednej. Kobieta, która mnie uratowała, była czarownicą i niesłychanie interesowało mnie, czemu czarownica zdecydowała się pomóc inkwizytorowi. Zwłaszcza że nigdy nie słyszałem o tak potężnych zaklęciach, jak te, których użyła, by uleczyć moją ranę.

– To był demon – powiedziałem wolno. – A ja nigdy nie słyszałem o demonie tego rodzaju.

– Bo nikt nie słyszał – zgodziła się. – Sądzę, że ty i ja mieliśmy okazję ujrzeć go jako pierwsi z ludzi. Chociaż zapewne przynajmniej ty z radością darowałbyś sobie takie doświadczenie, prawda?

Wysławiała się ładnie, konwersację prowadziła z pełną swobodą, a jej wymowa pozbawiona była gwarowych naleciałości. Interesujące, jak na czarownicę ze środka puszczy.

– Znalazłem trupy – powiedziałem. – Dwoje dorosłych i dwoje dzieci. A więc to byli Johann, Margerita i ich rodzice. – Pokręciłem głową. – A ten demon przybrał postać sierotek...

– Zadasz sobie pytanie, dlaczego?

Cóż to miało być? Egzamin zdolności dedukcyjnych biednego Mordimera? Paradne, czarownica przesłuchująca inkwizytora... Przymknąłem powieki i milczałem długą chwilę.

– Strach, wrogość, wzajemne oskarżenia. Zabójstwa, może stosy – otworzyłem oczy i dostrzegłem, że Karla uśmiecha się z aprobatą – wyludniłby wioskę. Tę, potem pewnie następną i następną...

– Ta już była następna i następna – przerwała mi Karla

– Tylko po co? – zapytałem. – Przecież mógł ich zwyczajnie pozabijać i pożreć.

– A skoro tego nie zrobił, to...?

– Widać potrzebuje również innego pokarmu oprócz mięsa – odparłem po chwili. – Czym się karmi? Przerażeniem? Nienawiścią? To nie lepiej wybrać się do Hezu? – Pozwoliłem sobie na gorzki żart.

Roześmiała się.

– Widocznie własnoręcznie przyszykowany obiad lepiej smakuje – powiedziała.

– Jak przed nim uciekłaś? – spytałem. – Jak ci się udało mnie wynieść?

– Ja nie uciekałam, Mordimerze. – Patrzyła na mnie z pogodnym, choć jednocześnie lekko zakłopotanym uśmiechem. – Ja go wypędziłam z powrotem w otchłań.

– Aha – odparłem tylko, bo niewiele było do dodania.

– Pojawi się znowu – westchnęła – prędzej czy później. Jak zawsze. No, ale dość tego. Powinieneś się przespać, a i ja zmęczyłam się tym wszystkim. Ta trucizna, te rany, w głowie mi się kręci. – Machnęła ręką, a potem pochyliła się i zgasła lampkę.

– Zrób mi trochę miejsca i przytul się – powiedziała. – Tylko bądź łaskaw trzymać ręce przy sobie – dodała, kiedy zbyt dosłownie potraktowałem jej słowa.

* * *

Obudziła się, otworzyła oczy i spojrzała w moją stronę. Uśmiechnęła się, lecz zaraz uśmiech zgasł na jej twarzy. Poczuła, że ma skrępowane nogi w kostkach oraz dłonie w nadgarstkach. Ruszyła się niespokojnie, ale potem zamarła w bezruchu.

– Mordimer – powiedziała bardzo spokojnym tonem. – Co ty wyprawiasz?

Wzulem buty, a później poprawiłem pas. W chatce nadal było mroczno, ale światło poranka jednak przebłyskiwało przez pęcherze, którymi zasłonięto okienne otwory. Karła czekała cierpliwie, aż się odezwę.

– Jesteś czarownicą – odparłem, gdyż moim zdaniem to stwierdzenie tłumaczyło wszystko.

– Uratowałam ci życie. – Nadal na jej twarzy nie widziałem ani złości, ani strachu. Przyglądała mi się uważnie.

– To prawda – rzekłem – i jestem ci niezmiernie wdzięczny. Szczerze. Wielu uważa, że moje życie nie jest warte specjalnego zachodu, ale ja jednak cenię je sobie, tak, jak biedak ceni ostatni grosz brzęczący w sakiewce. Jednak nie zmienia to postaci rzeczy, droga Karło, że jesteś czarownicą. A ja, jeśli byś nie wiedziała – pozwoliłem sobie na łagodną nutę ironii – tropię czarownice.

Usiadłem przy niej i wziąłem w palce kosmyk jej włosów. Nie poruszyła się.

– Człowiek przedkładający własne uczucia i żądze nad obowiązek wobec idei, nie jest wiele warty. – Powiedziałem, mając nadzieję, że mnie zrozumie lub przynajmniej postara się zrozumieć. – Jak mógłbym być inkwizytorem, sługą Bożym, młotem na czarownice i mieczem w ręku

Aniołów, bo wiesz przecież, że tak nas nazywają, gdybym nie potrafił wymazać grzechu z własnego serca?

– Wdzięczność jest grzechem? – Patrzyła mi prosto w oczy.

– Ależ nie! – zaprotestowałem. – Jestem ci gorąco wdzięczny. Zobowiązany. Wzruszony twoją pomocą. Ale... to nic nie zmienia. Czy sądzisz, że odstąpiłbym od wykonania obowiązków za łapówkę? Za sto, tysiąc, czy dziesięć tysięcy koron? Jeśli nie znasz odpowiedzi, to powiem: nie, nie odstąpiłbym. Czy więc mogę od nich odstąpić, ponieważ ocaliłaś moje życie? Cóż to ma za znaczenie w oczach Boga?

– Mordimerze, byłam twoim sojusznikiem w walce ze złem – powiedziała dobitnie. – Czy nie udowodniłam więc, że stoję po właściwej stronie?

– Nie – odparłem z żalem. – Uwierz mi, Karło – wziąłem jej rękę w swoje dłonie – że czynię to, co czynię, z miłości do ciebie i chęci zbawienia twej duszy. Jakim – że byłbym człowiekiem, gdybym potrafił pozostawić cię w grzechu? Ty idziesz w stronę przepaści, a ja wyciągam rękę, aby cię ratować.

Cały czas patrzyła na mnie i widziałem, że rozmyśla nad moimi słowami. Nie łudziłem się, że ją przekonam do swych racji, ale pragnąłem, aby chociaż je usłyszała.

– Ty szykujesz dla mnie stos, Mordimerze – powiedziała w końcu gorzko. – Nie wyciągasz z przepaści.

– Ja ratuję twoją duszę, Karło – odparłem. – No kogóż może obchodzić, co stanie się z twoim ciałem?

– Wyobraź sobie, że mnie obchodzi! – Uniosła się na łokciu. – Rozwiąż mnie natychmiast i daj mi odejść!

– Na tym świecie jesteśmy tylko gośćmi, to tam – podniosłem wzrok – czeka nas prawdziwe życie. Czy chciałabyś z niego zrezygnować? Gdybym pozwolił ci odejść, zniszczyłbym nadzieję. Ale ja zawiozę cię do Hezu,

Karło, i postawię przed sądem Świętego Officjum. Uwierz mi, że umrzesz pogodzona z Bogiem oraz naszą świętą wiarą. Przepelniona miłością. Szczerze żałująca grzechów. Uwierz mi też, że tam, w płomieniach, zrozumiesz, iż w chwili, kiedy wydałem cię na stos, okazałem się twoim prawdziwym przyjacielem. Bo czyż może istnieć większy dowód miłości nad walkę o zbawienie czyjejś duszy?

Wszystko, co mówiłem, było szczerą i całkowitą prawdą, ale miałem również pewność, że Święte Officjum z pełną zapału radością zapozna się z wiedzą czarownicy, dysponującą tak potężną mocą i stosującą nieznaną inkwizytorom zaklęcia. A więc i w taki sposób Karła mogła się jeszcze przyczynić do chwały Bożej.

– Mordimerze, na miecz Pana! – Po raz pierwszy dostrzegłem zaniepokojenie w jej oczach. – Jesteś szalony! Czy naprawdę sądzisz, że skazanie mnie na cierpienie i śmierć jest dowodem miłości?

– A czyż chirurg nie tnie kończyny, w którą wdała się zła krew, by uratować życie podopiecznego? – zapytałem.

Ująłem jej twarz w swoje dłonie i pocałowałem ją prosto w usta. Nie stawiała oporu, ale nie oddała pocałunku.

– Wiem, że mnie teraz nienawidzisz – powiedziałem i naprawdę było mi ciężko na sercu. – Ufam, że to się kiedyś odmieni.

Wstałem, popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się smutno do własnych myśli. Karła była piękna, słodka i mądra. Być może, pomimo parania się mroczną sztuką, nie była również do końca zła. Ale ja pamiętałem słowa Pisma, które w swej niezmierzonej mądrości mówiło: *nie będziecie mieli względu na osobę żadnego*. Pamiętałem o tych słowach zawsze i stale czerpałem z nich pociechę.

– Mordimer! – Jej głos chlasnął jak bicz, a ja odwróciłem się od progu. – Kiedy będziesz stąd wychodził, pomyśl nad tym wszystkim. Nad tymi bredniami o ratowaniu mojej duszy, przysłudze, jaką mi oddajesz. –

Wzruszyła wściekle ramionami. – Pomyśl sobie, mój idealny inkwizytorze, czy wydałbyś na stos własną matkę w imię miłości, o której tyle opowiadasz?

Patrzyłem na nią nieporuszony. Wpatrywała się we mnie pałającym wzrokiem, który w pewnym momencie przygasł. Opadła na barłóg.

– Mordimer, na miłość Boską – powiedziała głucho.

– O tak, Karło, na miłość Boską – odparłem i wyszedłem.

Epilog

Sądzę, że ze względów bezpieczeństwa nie powinniśmy wjeżdżać na tę łąkę. Ale spokój letniego dnia, zapach nagrzanego słońcem trawy, świergot ptaków – to wszystko uspiło czujność waszego unizonego sługi. W końcu i ja jestem przecież jedynie słabym, sentymentalnym człowiekiem, zdolnym bez reszty poddać się czarowi chwili oraz urokowi natury. A kiedy dojrzałem wyłaniających się zza ściany drzew trzech jeźdźców na karych rumakach, na wszystko było za późno. Zresztą, przecież i tak nie walczylibyśmy ani nie uciekalibyśmy przed inkwizytorami z najtajniejszego Wewnętrznego Kręgu. No, ale gdyby przybysze byli naszymi wrogami, to środek łąki z pewnością nie stałby się najlepszym miejscem na odparcie ataku. Co prawda, bliźniacy wyciągnęli kusze, a Kostuch obnażył szablę, ale ostro rozkazałem im natychmiast schować broń. Być może pod słońce nie widzieli połamanych srebrnych krzyży wyhaftowanych na płaszczach jeźdźców, ale ja widziałem je aż nazbyt dobrze. Skąd wiedziałem, że nie są zwykłymi inkwizytorami? Cóż, miałem już do czynienia z im podobnymi i potrafiłem pogodzić się z graniczącym z pewnością wrażeniem, że oto zbliżają się ludzie, dla których zamienienie biednego Mordimera i jego przyjaciół w cztery krwawe strzępy byłoby tak samo trudnym zadaniem jak otarcie nosa chusteczką.

Konni zbliżali się do nas spokojnie, stępa. Dowodził nimi zażywny, łysiejący mężczyzna o spoconej i pokrytej ceglastymi rumieńcami twarzy. Z całą pewnością nie wyglądał na inkwizytora, ale ja znałem już członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium i doskonale wiedziałem, że nie należy ich sądzić z wyglądu. W końcu Marius von Bohenvald – człowiek, który nigdy dwukrotnie uratował mi życie – przypominał zapasione go,

rozleniwionego życiem kupca. Ale tak mógł sądzić tylko ktoś, kto nie widział, jak potrafił on walczyć i zabijać.

– Witaj, Mordimerze – uśmiechnął się przybysz. – Jestem Arnorld Welrode, do twoich usług.

Zamachał w powietrzu kapeluszem, więc uprzejmie skłoniłem głowę.

– Pozdrowienia od Mariusa – dodał. – Bardzo żałował, że nie mógł cię zobaczyć.

– Bądź łaskaw przekazać mu również moje pozdrowienia oraz szczerze wyrazy ubolewania – powiedziałem. – Gdyż wreszcie mógłbym się z nim spotkać, nie znajdując się na wyciągnięcie ręki od śmiertelnego niebezpieczeństwa.

– Młodzieńcza pochopność sądów. – Pokręcił głową Welrode. Widziałem, że jest troszkę rozbawiony, i zastanowiłem się, cóż takiego oznaczały naprawdę jego słowa. – Matthaus! – Obrócił się do jednego ze swych ludzi. – Pomóż zsiąść pani.

Inkwizytor nazwany Matthousem zeskoczył z siodła i zbliżył się do nas. Podał rękę Karli, ale ona miała związane dłonie w nadgarstkach, więc wyciągnęła ku niemu obie ręce. Matthaus zobaczył sznury, zmarszczył brwi i zobaczyłem, że spojrzał na czarownicę z jakimś pytaniem w spojrzeniu, a ona ledwo zauważalnie pokręciła głową. Korzystając z pomocy Matthausa, zwinnie zeskoczyła z mojego wierzchowca, a kiedy stała już na ziemi, inkwizytor przeciął jej więzy wyjętym zza cholewy nożem. Zauważyłem, że robił to niezwykle ostrożnie. Odeszli w stronę luzaka prowadzonego przez trzeciego z przybyszy.

– Przejmujemy twojego... więźnia. – Welrode znowu lekko się uśmiechnął przy ostatnim słowie. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Zastanawiałem się, jak jeszcze długo trwałoby moje życie, gdybym stwierdził, że owszem, mam coś przeciwko takiemu rozwiązaniu sprawy.

Ha, zapewne nie dłużej niż lot bełtu wystrzelonego z kuszy. Jak się jednak domyślacie, moi mili, nie zamierzałem sprawdzać odporności Arnolda Werlode na podobne wymyślne żarciki.

– Oczywiście, że nie – odparłem. – Jestem zobowiązany.

– Och nie, Mordimerze – zamachał dłońmi. – To my jesteśmy szczerze zobowiązani. Bardzo pomogłeś nam w tej niewdzięcznej i, nie ukrywajmy tego – podniósł znacząco palec – oraz nie bójmy się otwarcie powiedzieć: wielce zagadkowej sprawie. Do czasu manifestacji demona, która odbyła się w twojej obecności, nie byliśmy pewni, co do właściwej istoty problemu. Mamy nadzieję, że złożysz drobiazgowy raport Jego Ekscelencji ze szczególnym uwzględnieniem faktu, iż pojawił się nowy rodzaj szatańskiego sługi, sam chyba przyznasz, bardzo niebezpieczny... – westchnął. – Ta wiedza z całą pewnością przyda się innym inkwizytorom, którzy być może nie mieliby tyle miłej Bogu dociekliwości i cierpliwości co ty. A z tego powodu ich święty zapał mógłby zostać wykorzystany w złym celu.

– Uczynię, co tylko w mojej mocy, aby w pełni przedstawić niebezpieczeństwo – powiedziałem.

– Którego istota, jak mniemam, została ci już dogłębnie przedstawiona, nieprawdaż?

– Podałam jedynie pewne myśli – wtrąciła Karla. – Mistrz Madderdin okazał się na tyle bystry, by samodzielnie odpowiedzieć na wszystkie pytania.

– Z całą pewnością, właśnie tak sądziłem. – Pokiwał głową Werlode i wydawał się być zadowolony. Potem obrócił się do tyłu. – Czy możemy już jechać, pani?

– Owszem – odparła Karla i uśmiechnęła się w moją stronę. – Do zobaczenia, Mordimerze, a mówię do zobaczenia, gdyż wierzę, że jeszcze się spotkamy...

– Baa! – Rzucił głową Welrode, jakby z niedowierzaniem.

– Ależ tak, Arnoldzie. – Spojrzała w jego stronę. – Spotkamy się, gdyż w sercu naszego przyjaciela płonie ogień szczerzej wiary, a oto niełatwo w naszych podłych czasach. Bądź zdrow, Mordimerze.

Przyglądaliśmy się, jak odjeżdżają, a kiedy zniknęli nam z oczu za drzewami, Drugi ruszył się w siodle i splunął pod kopyta konia.

– Co oni, niby, spalają, no bo jak? – zapytał.

– Oczywiście, bliźniak – odparłem. – Oczywiście.